The image shows the interior of a Gothic cathedral, likely the Sagrada Família in Barcelona. The view is looking down a central aisle between two massive, fluted stone columns. In the distance, a large, circular rose window is brightly lit, casting a glow on the surrounding stone. Below the window, a statue of a figure in a dark, draped garment stands on a white, tiered pedestal. The architecture features pointed arches and intricate stonework. The overall atmosphere is one of grandeur and historical significance.

KATEDRA
w
BARCELONIE

ILDEFONSO FALCONES

ILDEFONSO FALCONES

**KATEDRA
W BARCELONIE**

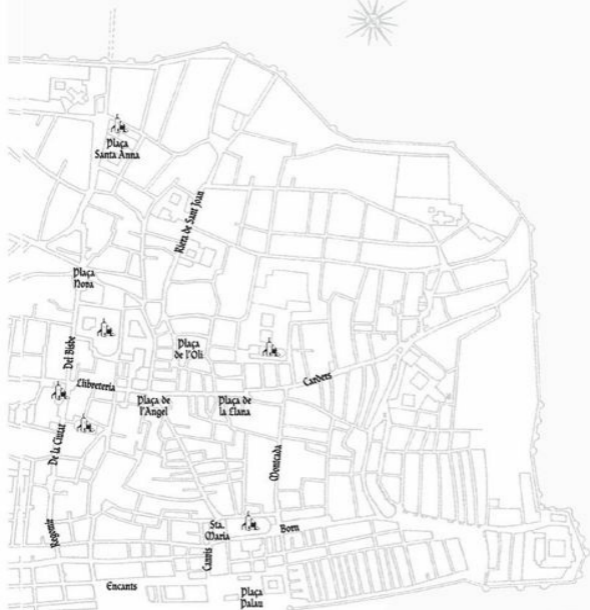
**Z hiszpańskiego przełożyła:
MAGDALENA PŁACHTA**

**Tytuł oryginału:
*LACATEDRAL DEL MAR***

Dla Carmen

Barcelona, XIV wiek





CZEŚĆ PIERWSZA



SŁUDZYZIEMI



1

*Gospodarstwo Bernata Estanyola Navarcles,
Księstwo Katalonii,
1320 rok*

Kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, Bernat spojrział na bezchmurne błękitne niebo. Białe słońce ostatnich dni września pieściło twarze weselników. Włożył tyle wysiłku i czasu w zorganizowanie przyjęcia, że tylko niełaskawa pogoda mogłaby je popsuć. Bernat przesłał uśmiech jesieniemu niebu, a potem spuścił wzrok i uśmiechnął się jeszcze szerzej, słysząc rejwach na kamiennym dziedzińcu przed oborami zajmującymi parter domu.

Jego trzydziestu gościom dopisywał humor, bo tegoroczne winobranie było wyjątkowo udane. Mężczyźni, kobiety i dzieci pracowali od świtu do nocy, najpierw przy zbieraniu gron, potem przy ich udeptywaniu, nie pozwalając sobie na choćby jeden dzień odpoczynku.

Dopiero gdy wino znalazło się w beczkach, gotowe do fermentacji, a wytloczyliny odłożono, by w gnuśne zimowe dni destylować upędzoną z nich wódkę, dla katalońskich chłopów nadchodziła pora wrześniowych świąt. Bernat Estanyol wtedy właśnie postanowił wyprawić swe wesele.

Przyjrzał się gościom. Musieli wstać skoro świt, by przebyć pieszo odległość, często nie małą, dzielącą ich gospodarstwa od majątku rodziny Estanyol. Teraz gawędzili z ożywieniem, może o weselu, może o zbiorach, może o jednym i drugim. Kilku z nich — grupka tworzona przez jego kuzynów oraz rodzinę Puig, krewnych jego szwagra — wybuchło śmiechem, posyłając mu filiterne spojrzenia. Bernat poczuł, że oblewa go rumieniec, ale nie zareagował na zaczepkę, wołał nie zastanawiać się nad przychyłą ich rozmawianiem. W tłumie rozproszonym na dziedzińcu wypatrzył rodziny Fontanies, Vila i Joaniquet oraz, a jakże, rodzinę Esteve — krewnych panny młodej.

Zerknął kątem oka na swego teścia. Pere Esteve obnosił między weselnikami swe wielkie brzusisko, rozsyłając uśmiechy i co chwila do kogoś zagadując. Gdy Pere zwrócił ku niemu swe rozradowane oblicze, Bernat, chcąc nie chcąc, musiał go pozdrowić, chyba po raz setny w tym

dniu. Następnie poszukał wzrokiem i wyłowił z grupki gości swoich szwagrów. Od początku traktowali go dość nieufnie, mimo że Bernat wyłaził ze skóry, żeby ich sobie zjednać.

Znowu spojrzął w niebo. Urodzaj i pogoda postanowiły towarzyszyć mu w tym ważnym dniu. Zerknął na dom, potem znowu na gości, i wykrzywił lekko wargi. Mimo rozgardiaszu poczuł się samotny. Jego ojciec umarł przed rokiem, a siostra Guiamona, która po wyjściu za mąż przeniosła się do Barcelony, nie odpowiadała na jego wiadomości, mimo że bardzo za nią tęsknił. A przecież z bliskich krewnych ch pozostawała mu tylko ona...

Właśnie po śmierci ich ojca dom rodziny Estanyol znalazł się w centrum uwagi całej okolicy i zaczęły ścierać do niego tłumnie swatki oraz ojcowie panien na wydaniu. Jeszcze do niedawna wieśniacy trzymali się z daleka od gospodarstwa „szalonego Estanyola” — jak nazywano ojca Bernata ze względu na jego buntowniczą naturę — ale śmierć starca tchnęła nadzieję w serca sąsiadów pragnących wydać córki za najbogatszego rolnika w okolicy.

— Najwyższy czas się żenić — mówiono Bernatowi. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia siedem. Chyba... — odpowiadał.

— W tym wieku mógłbyś mieć nawet wnuki — strofowali

— Jak sobie poradzisz sam z takim gospodarstwem? Potrzebujesz żony.

Bernat cierpliwie słuchał rad, z góry wiedząc, że nie obejdzie się bez wzmianki o kandydatce, której cnoty przewyższać będą siłę wołu oraz urok najpiękniejszego zachodu słońca.

Zresztą nie było to dla niego nowością. Już szalony Estanyol, którego żona umarła, wydając na świat Guiamonę, próbował go wyswatać, ale wszyscy ojcowie panien na wydaniu opuszczali jego dom, miotając przekleństwa: nikt nie mógł sprostać żądaniom dotyczącym posagu. Zainteresowanie Bernatem zaczęło więc powoli słabnąć. Dziwactwa starca pogłębiały się z wiekiem, a jego buntownicze porywy zaczęły się przeradzać w napady delirium. Bernat poświęcił się bez reszty doглядaniu ojca oraz włości i raptem, mając dwadzieścia siedem lat, został zupełnie sam na świecie, na dodatek osaczony przez natrętów.

Jednak pierwszy odwiedził go, jeszcze zanim Bernat zdążył pogrzebać ojca, zarządca pana Narvarles i wsiłkich okolicznych chłopów. Miałeś świętą rację, ojcze! — pomyślał Bernat na widok zarządcy i towarzyszących mu żołnierzy na koniach.

— Gdy tylko umrę — powtarzał starzec w przebły skach świadomości — zjawią się tu, a wtedy pokażesz im testament. — Wskazywał kamień, pod którym leżała ostatnia wola szalonego Estanyola, owinięta w kawałek skóry.

— Ale dlaczego, ojcze? — spytał Bernat za pierwszym razem.

— Jak wiesz — odparł starzec — otrzymaliśmy nasze ziemie na prawie emfiteuzy, wieczystej dzierżawy, ale jestem wdowcem i gdybym nie sporządził testamentu, po mojej śmierci pan miałby prawo zająć połowę naszego ruchomego majątku i żywego inwentarza. To przywilej zwany *intestia*, zresztą istnieje wiele innych, podobnych, musisz je wszystkie poznać. Przyjdą, Bernacie, zobaczysz, że przyjdą zabrać naszą własność. Ale ten testament pozwoli ci się od nich uwolnić.

— A jeśli postawią na swoim? — spytał Bernat. — Przecież ich znasz...

— Mogą próbować, ale wszystko zapisane jest w księgach.

Gniew zarządcy i pana feudalnego poniósł się po okolicy i sprawił, że sierota, jedyny spadkobierca wsiłkich włości starego szaleńca, stał się jeszcze ponętniejszą partią.

Bernat dobrze pamiętał wizytę swego teścia, który zjawił się u niego tuż przed winobraniami.

Pięć soldów, siennik i biała lniana kamizela — tak wyglądało wiano jego córki Franceski.

— Na co mi kamizela? — spytał Bernat i dalej przerzucał słomę na parterze domu.

— Sam się przekonaj — odparł Pere Esteve.

Bernat wsparł się na widłach i spojrzął w kierunku wskazanym przez sąsiada. Widły wysunęły mu się z ręki i upadły na słomę. Na progu obory zobaczył Francescę w długiej białej koszuli... Dziewczyna stała pod światło i Bernat miał jak na dłoni całe jej ciało!

Ciarki przeszły mu po plecach. Pere Esteve się uśmiechnął.

Bernat przyjął jego propozycję, i to natychmiast, jeszcze tam, w stodole, nie podchodząc nawet do wybranki, ale i nie odrywając od niej oczu.

Wiedział, że podjął decyzję pochopnie, niczego jednak nie żałował, bo oto stoi teraz przed nim Francesca: młoda, piękna, silna... Zaczął szybciej oddychać. To już dziś... Ale co ona myśli? Czy czuje to samo? Dziewczyna nie brała udziału w wesołej pogawędce kobiet, stała w milczeniu obok matki, nie uczestnicząc w ogólnej wesołości, kwitując tylko żarty i chichoty towarzyszek wymuszonym uśmiechem. Ich spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy. Francesca zarumieniła się i spuściła wzrok, Bernat zdążył jednak dostrzec falowanie jej piersi, zdradzające zdenerwowanie. Biała lniana koszula i tym razem okazała się sprzymierzeńcem jego wyobraźni i pragnień.

— Winszuję — usłyszał za sobą, a potem z całej siły poklepano go po plecach i stanął koło niego Pere Esteve. — Bądź dla niej dobry. — Podążył za wrokiem Bernata i skinął na dziewczę, które w owej chwili najchętniej schowałoby się do mysiej dziury. — Zresztą wy starczy, że będziesz o nią dbał jak o weselnich gości... W życiu nie widziałem przedniejszej uczy. Słowo daję, nawet pan Navarcles nie raczy się takimi przy smakami. To pewne!

Bernat postanowił podjąć swych gości wystawnie, dlatego przygotował czterdzieści siedem bochnów białego chleba z pszennej mąki, rezygnując tym razem z jęczmienia, żyta i orkiszu — zbóż pojawiających się najczęściej na stołach katalońskich chłopów. Czterdzieści siedem bochnów z czystej pszennej mąki, białej jak koszula panny młodej! Udał się do zamku w Navarcles, aby upiec chleb z pańskim piecu, przekonany, że jak zwykle zapłaci za usługę dwa bochenki. Na widok pszennego chleba oczy piekarza przemieniły się w spodki, a zaraz potem zwężyły w nieprzeniknione szparki. Tym razem Bernat musiał zostawić na zamku aż siedem bochenków. Wracał do domu, przeklinając prawo, zakazujące chłopom budować we własnych gospodarstwach pieców chlebowych... A także kuźni i rymarni...

— Na pewno — zgodził się z teściem, odpędzając przykre myśli.

Omieli wrokiem folwarczny dziedziniec. Może i skradziono Bernatowi chleb, ale nie ruszono wina, którym raczyli się teraz weselnicy — tego najlepszego, rozlewanego jeszcze przez jego ojca i leżakującego przez długie lata — ani solonej wieprzowiny czy potrawki z dwóch kur w bukietcie z jarzyn, ani też, ma się rozumieć, czterech jagniąt, które, przywiązane do kija, obracały się wolno nad żarem, skwiercząc i rozczając smakowitą woń.

W końcu potrawka była już gotowa, więc kobiety zaczęły napełniać miski przyniesione przez gości. Pere i Bernat zajęli miejsca przy jedynym wyniesionym na dziedziniec stole, a kobiety ruszyły im posługiwać. Nikt nie usiadł na pozostałych czterech zydlach. Rozpoczęła się ucza: niektórzy weselnicy jedli na stojąco, inni siedzieli na pniakach lub na ziemi, zerkając w stronę jagniąt piekących się pod czujnym okiem kilku kobiet. Wszyscy popijali wino, gawędzili, pokrzykiwali i raz po raz wybuchali śmiechem.

— Weselisko jak się patrzy, bez dwóch zdań — orzekł Pere Esteve, wiosłując łyżką.

Ktoś wniósł toast za nowożeńców, wszyscy mu zawtórowali.

— Francesco! — krzyknął ojciec panny młodej, stojącej wśród kobiet pilnujących jagnięt, i uniósł kubek w jej stronę.

Bernat spojrzął na dziewczynę, a ta znowu skryła twarz.

— Jest zdenerwowana — usprawiedliwił ją Pere, puszczając do niego oko. — Francesco, córuś! — krzyknął znowu. — Wnieś z nami toast! Korzystaj z okazji, bo niebawem zostaniesz sama... no, prawie sama.

Salwy śmiechu jeszcze bardziej speszyły Francescę. Uniosła wetknięty jej w rękę kubek i nie przytykając go do ust, odwróciła się plecami do chichoczących weselników. Ponownie skupiła całą uwagę na jagniętach.

Pere Esteve stuknął się kubkiem z Bernatem, rozbrzygzując wino. Goście poszli w ich ślady.

— Oduczysz ją nieśmiałości — rzekł głośno Esteve do zięcia, tak by wszyscy go słyszeli.

Znów rozległy się salwy śmiechu, tym razem towarzyszyły im niewybredne uwagi, które Bernat wolał puścić mimo uszu.

Wśród ogólnej wesołości raczono się do syta winem, wieprzowiną i drobiową potrawką. Kobiety zaczynały właśnie ściągać jagnięta z roznów, gdy nagle kilku gości zamilkło i skierowało wzrok ku granicy gruntów Bernata, na linię lasu za rozległymi polami uprawnymi i niewielkim pagórkem obsadzonym przez rodzinę Estanyol winoroślą, z której pochodził wyśmienity trunek pity przez weselników.

Kilka sekund później na podwórzu zapanowała cisza.

Z lasu wyłonili się trzej jeźdźcy. Za nimi podążało wielu umundurowanych piechurów.

— Czego tu szuka? — zapytał cicho Pere Esteve.

Bernat nie spuszczał wzroku ze zbliżającego się orszaku, który okrążał właśnie pola. Goście szepotali między sobą.

— Nie rozumiem — rzucił w końcu Bernat również szeptem. — Nigdy tędy nie przejeżdża. To nie jest droga na zamek.

— Nie podoba mi się ta wizyta — mruknął Pere Esteve.

Orszak posuwał się powoli. Śmiechy i uwagi jeźdźców zaczęły już docierać na podwórzec i zastąpiły gwar, panujący do niedawna wśród weselników. Bernat spojrzął na gości: niektórzy nie patrzyli już przed siebie, ale w ziemię. Odszukał wzrokiem Francescę stojącą wśród kobiet. Dobięgl ich tubalny głos pana z Navarcles. Bernat poczuł wzbierający gniew.

— Bernat! Bernat! — zawołał Pere Esteve, szarpiąc zięcia za ramię. — Zamurowało cię? Biegnij go przywitać!

Bernat skoczył na równe nogi i popędził do swego pana.

— Bądźcie pozdrowieni, panie. Gość w dom, Bóg w dom — powitał go, zasapany.

Llorenc de Bellera, pan Navarcles, ściągnął wodze i zatrzymał konia przed Bernatem.

— To ty jesteś Estanyol, syn tego wariata? — zapytał oschle.

— Tak, panie.

— Byliśmy właśnie na polowaniu i wracając na zamek, usłyszeliśmy odgłosy zabawy. Co świętujecie?

Bernat wypatrzył między końmi wojów z łupami: królikami, zającami i bażantami. „To raczej wasza wizyta wymaga wytłumaczenia — miał ochotę powiedzieć. — Czyżby zamkowy piekarz napomknął wam o pszennych bochnach?”.

Nawet konie, które stały nieruchomo, świdrując Bernata wielkimi okrągłymi ślepiami, zdawały się czekać na odpowiedź.

— Moje wesele, panie.

— A kogóż to poślubiłeś?

— Córkę Perego Esteve'a, panie.

Llorenc de Bellera zamilkł, patrząc na Bernata ponad głową swego rumaka. Konie głośno ryły ziemię kopytami. I? — warknął pan Navarcles.

— Moja żona i ja — rzekł Bernat, próbując ukryć niezadowolenie — będziemy zaszczyceni, jeśli wasza wielmożność i jego towarzysze zechcą się do nas przyłączyć.

— Pić nam się chce, Estany ol — rzucił Llorenc w odpowiedzi.

Konie ruszyły, jeszcze zanim jeźdźcy spięli je ostrogami. Bernat spuścił głowę i poprowadził swego pana w stronę domu. Przed podwórcem czekali już na nich wszyscy weselnicy: kobiety ze wzrokiem wbitym w ziemię, mężczyźni z odkrytymi głowami. Niewyraźny szmer poniósł się po zgromadzonych, gdy Llorenc de Bellera stanął przed nimi.

— No dalej, dalej — ponaglał, zsiadając z konia — wracajcie do zabawy.

Chłopi posłuchali i w milczeniu wrócili na swoje miejsca. Kilku żołnierzy przyskoczyło, by zająć się końmi. Bernat poprowadził niezapowiedzianych gości do stołu, przy którym siedział wcześniej z teściem. Zniknęły ich misy i kubki.

Pan de Bellera i jego dwaj towarzysze usiedli. Bernat cofnął się kilka kroków, a trzej stolownicy rozpoczęli pogawędkę. Kobiety pospieszyły ku nim z dzbanami wina, szklanicami, bochnami chleba, miasami z potrawką drobiową, półmiskami solonej wieprzowiny i świeżo upieczonym jagnięciem. Bernat na próżno szukał wzrokiem Franceski, nie było jej między kobietami. Napotkał spojrzenie teścia, stojącego pośród gości, który wskazał podbródkiem niewiasty, po czym prawie niedostrzeżalnie pokręcił głową i się odwrócił.

— Nie przerywajcie weseliska! — wrzasnął Llorenc, ściskając w garści udziec jagnięcy. — No dalej, bawcie się!

Chłopi ruszyli w milczeniu ku dogasającym ogniskom, na których dopiero co piekło się mięswo. Tylko mała grupka gości — Pere Esteve, jego synowie oraz kilku innych weselników, stojących poza zasięgiem wzroku pana z Navarcles i jego kamratów — nie ruszyła się z miejsca. Bernatowi mignęła między nimi biała lniana koszula, więc skierował się w ich stronę.

— Odejdź, głupcze — warknął teść.

Zanim zdążył odpowiedzieć, matka Franceski włożyła mu do rąk półmisek jagnięciny i szepnęła:

— Usługuj panu i nie podchodź do mojej córki.

Chłopi zaczęli kosztować w milczeniu pieczystego, zerkając ukradkiem na możnych. Na podwórzu rozbrzmiewały tylko rechoty i pokrzykiwania pana z Navarcles oraz jego dwóch towarzyszy. Żołnierze odpoczywali na uboczu.

— Przed chwilą zaśmiewaliście się tak — zagrzmiął Llorenc — że ploszyliście nam zwierzyńnię. A teraz co? Mowę wam odjęło? Śmiejecie się, u licha!

Nikt go nie posłuchał.

— Durni wieśniacy — mruknął do swych towarzyszy, którzy skwitowali jego słowa rechotem.

Wszyscy trzej najedli się do syta jagnięciny i pszennego chleba. Solona wieprzowina i misy z potrawką pozostały nietknięte. Bernat jadł na stojąco, nieco za nimi, kątem oka obserwując

grupkę kobiet, wśród których skrywała się Francesca.

— Wina! — zażądał pan Navarcles, podnosząc kubek — Estany ol! — krzyknął zienacka, szukając wzrokiem pana młodego. — Od tej pory masz mi płacić dzierżawę takim winem, a nie tymi sikami, którymi oszukiwał mnie twój ojciec. — Bernat wciąż stał za jego plecami. Matka Franceski spieszyła już z dżbanem. — Estany ol, gdzieś się podział?

Llorenc de Bellera uderzył w stół akurat w chwili, gdy chłopka przechylała dżban, by napełnić jego szklanicę. Kilka kropel wina przysnęło na szaty młodego.

Bernat stał już przy nim. Pozostałych dwóch stołowników wypadek z winem wyraźnie rozbawił. Pere Esteve skrył twarz w dłoniach.

— Głupia starucho! Jak śmiesz wylewać na mnie wino? — kobiecina pochyliła głowę w poddańczym geście, a gdy pan zamachnął się, by ją spoliczkować, odsunęła się i upadła.

Llorenc de Bellera odwrócił się do swych kompanów i wybuchnął śmiechem na widok uciekającej na czworakach babiny. Po chwili spowaźniał i zwrócił się do Bernata: — No, nareszcie raczyłeś się pojawić, Estany ol! Popatrz tylko, co wyprawiają te niezdarne staruchy! Czyżbyś próbował obrazić swego pana? Czy jesteś na tyle głupi, by nie wiedzieć, że gościom usługiwać powinna pani domu? Gdzie panna młoda? — zapytał, wodząc wzrokiem po dziedzińcu. — Gdzie jest panna młoda?! — wrzasnął, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Pere Esteve złapał Francescę za rękę i poprowadził do Bernata. Dziewczyna drżała.

— Wasza wielmożność — powiedział Bernat — przedstawiam wam moją żonę Francescę.

— To co innego — stwierdził Llorenc, bezczelnie oglądając dziewczynę od stóp do głów. — Zupełnie co innego. Teraz ty będziesz nam polewała wino.

Usiadł i podsunął kubek pannie młodej. Francesca wzięła dżban drżącą ręką, by spełnić jego rozkaz. Llorenc de Bellera złapał ją za nadgarstek i nie puścił, dopóki kubek nie był pełen. Potem szarpnął ją za ramię, zmuszając do obsłużenia swych towarzyszy. Piersi dziewczyny musnęły jego twarz.

— Tak się polewa wino! — zarechotał, podczas gdy stojący obok Bernat zacisnął zęby i pięści.

Llorenc de Bellera i jego druhowie raczyli się winem, co rusz przywołując Francescę. Za każdym razem powtarzała się ta sama scena.

Żołnierze wtórowali im śmiechem, gdy tylko dziewczyna nachylała się nad stołem. Próbowali powstrzymać łzy. Bernat coraz głębiej wbijał paznokcie w dłonie, raniąc je do krwi. Weselnicy odwracali bez słowa wzrok za każdym razem, gdy dziewczyna nalewała wino.

— Estany ol! — krzyknął Llorenc de Bellera i wstał od stołu, nie puszczając nadgarstka Franceski. — Zgodnie z przysługującym mi prawem pierwszej nocy, zabawię się teraz z twoją żonką.

Współbiesiadnicy pana Navarcles nagrodzili jego pomysł brawami. Bernat rzucił się ku niemu, ale pozostali dwaj moiżni, pijani, zagrodzili mu drogę, sięgając po broń. Bernat zatrzymał się w pół kroku. Llorenc de Bellera popatrzył na niego, uśmiechnął się, a potem głośno zarechotał. Francesca wbiła w męża błagalny wzrok.

Bernat zrobił krok do przodu, ale poczuł na brzuchu czubek miecza. Francesca, wleczonej na stronę schodów prowadzących na piętro, nie przestawała na niego spoglądać. Gdy moiżny objął ją w pasie i przerzucił sobie przez ramię, zaczęła krzyczeć.

Kamraci pana Navarcles ponownie usiedli za stołem, by nadal zaśmiewać się i raczyć winem. Strażnicy pilnowali schodów, zagradzając drogę Bernatowi.

Bernat, stojąc pod domem, twarzą do żołnierzy, nie słyszał śmiechu moiżnych ani szłochu ko-

biet. Nie przyłączył się do milczenia weselników, nie zwracał też uwagi na drwiny rycerzy swego pana, którzy zerkali na dom, pozwalając sobie na niewybredne uwagi i gesty. Słyszał tylko rozpaczliwe krzyki dobiegające z okna na pierwszym piętrze.

Niebo ciągle promieniało błękitem.

Po chwili, która Bernatowi wydała się wiecznością, spocony Llorenc de Bellera stanął na schodach, wiążąc myśliwski kasak.

— Estany ol! — wrzasnął, mijając Bernata i kierując się do stołu. — Teraz twoja kolej. Donia Caterina — poinformował kompanów, mając na myśli swą młodą, świeżo poślubioną małżonkę — nie chce słyszeć o kolejnych bękartach, a i ja mam szczerze dość jej szlochów. No, dalej, pokaz, na co cię stać! — zwrócił się rozkazująco do pana młodego.

Bernat z rezygnacją spuścił głowę i zaczął wchodzić po bocznych schodach, odprowadzany wzrokiem przez wszystkich zebranych na dziedzińcu. Wszedł na pierwsze piętro, do obszernej izby służącej za kuchnię i jadalnię. Do jednej ze ścian przylegało wielkie palenisko nakryte potężną konstrukcją z kutego żelaza, pełniącą rolę kominka. Bernat, wsłuchany we własne kroki rozbrzmiewające na podłodze z desek, ruszył ku rabinie prowadzącej na drugie piętro, gdzie znajdowała się sypialnia i spichlerz. Wsunął głowę przez otwór w deskach i rozejrzał się po izbie, bojąc się iść dalej. Panowała całkowita cisza.

Z podbródkiem na wysokości podłogi, wciąż stojąc na drabinie, Bernat zobaczył ubranie Franciszki rozrzucone po izbie. Biała lniana koszula — duma całej rodziny — była podarta niczym pierwszy lepszy łachman. W końcu zdecydował się wejść.

Leżała skulona na nowym sienniku poplamionym krwią. Naga, patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Była spocona, podrapana i poobijana, nie ruszała się.

— Estany ol! — z podwórza dobiegły pokrzykiwania Llorenca de Bellera. — Twój pan się niecierpliwi.

Bernata chwyciły torsje i zaczął wymiotować na zmagazynowane w izbie zboże. O mało nie wpuł wewnątrzności. Francesca ani drgnęła. Wybiegł z izby. Po chwili wypadł błady na podwórze, w jego głowie kłębiły się najokropniejsze myśli i uczucia. Zaślepiiony, omal nie zderzył się u stóp schodów ze zwałistą postacią Llorenca de Bellera.

— Coś mi się nie wydaje, żeby pan młody skonsumował małżeństwo — rzekł pan Navarcles do swych towarzyszy.

Bernat musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w twarz.

— Nie... nie mogłem, wasza wielmożność — wyjąkał. Llorenc de Bellera nie odzywał się przez chwilę.

— Jeśli ty nie możesz, na pewno któryś z moich przyjaciół... lub wojaków chętnie cię zastąpi. Już mówiłem, że nie życzę sobie kolejnych bękartów.

— Nie macie prawa...!

Chłopi zadrżeli na myśl o skutkach takiego zuchwalstwa. Pan z Navarcles jedną ręką złapał Bernata za szyję i zaczął go dusić. Młodzieniec otwierał rozpaczliwie usta, próbując łapać powietrze.

— Jak śmiesz? A może chcesz wykorzystać moje prawo pierwszej nocy z żoną sługi, by przybiec potem na zamek z bękartem, domagając się nie wiadomo czego? — Zanim Llorenc postawił Bernata na ziemi, potrząsnął nim jeszcze. — O to ci chodzi? To ja stanowię tu prawa, tylko ja. Zrozumiano? Chyba zapomniałeś, że mogę cię ukarać, kiedy i jak tylko zechcę?

Z całej siły uderzył Bernata, powalając go na ziemię.

— Gdzie mój bat?! — wrzasnął rozwścieczony.

Bat! Bernat był jeszcze dzieckiem, gdy wiele razy zmuszono jego, jego rodziców oraz wielu innych chłopów do oglądania publicznej chłosty wymierzonej przez pana Navarcles jakiemś nieszczęśnikowi, którego winy nikt nigdy do końca nie poznał. Trzask rzemienia o plecy wieśniaka zadźwięczał teraz na nowo w uszach Bernata, zupełnie jak owego dnia i jak przez wiele, wiele nocny jego dzieciństwa. Nikt z obecnych nie śmiał wtedy drgnąć, podobnie jak teraz. Bernat zaczął się czołgać, spoglądając z dołu na swego pana, który stał nad nim niczym skała i czekał z wyciągniętą ręką, aż ktoś poda mu bat. Przypomniał sobie rozorane rzemieniem plecy tamtego nieszczęśnika — krwawą masę, na której nawet bezbrzeżna nienawiść pana nie mogła już natrafić na skrawek zdrowej skóry. Powlókł się na czworakach ku schodom z oczami pełnymi łez, drżąc jak w dzieciństwie, gdy dręczyły go koszmary. Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. A słońce nadal świeciło promiennie.

— Przykro mi, Francesco — wyjąkał, gdy wdrapał się z trudem po drabinie, odprowadzany przez jednego z żołnierzy, i znowu stanął w sypialni.

Opuścił spodnie i ukląkł przy żonie. Ani drgnęła. Spojrzał na swój zwiotczały członek, zastanawiając się, jak zdoła wykonać rozkaz pana. Delikatnie musnął palcem nagie bok Franceski. Dziewczyna nie zareagowała.

— Muszę... musimy to zrobić — szepnął, biorąc żonę za Przegub ręki i próbując odwrócić do siebie.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła, nagle oprzytomnawszy. Obedrze mnie ze skóry! — Bernat siłą odwrócił żonę, odkrywając jej nagie ciało.

— Puść!

Mocowali się przez chwilę, ale w końcu Bernat chwycił Francescę za oba nadgarstki i przyciągnął do siebie. Mimo to nadal się bronila.

— Przyjdzie inny! — szepnął jej do ucha — przyjdzie inny i cię... zniewoli! — Oczy dziewczyny wbiły się w męża z wyrzutem. — On mnie obedrze ze skóry, obedrze ze skóry... — usprawiedliwiał się.

Francesca nadal się opierała, ale Bernat rzucił się na nią gwałtownie. Nawet jej łzy nie zdołały ostudzić pożądania, które opanowało go, gdy dotknął jej nagiego ciała. Wszedł w nią, a ona krzyczała wniebogłosy.

Skowyt Franceski zaspokoił ciekawość rycerza, który bez cienia zakłopotania przyglądała się całej scenie z drabiny.

Nim Bernat skończył, opór Franceski niespodziewanie osłabł. Jej krzyk przemienił się w szloch. Właśnie płacz żony towarzyszył Bernatowi w chwili szczytowania.

Pan Navarcles słyszał rozpaczliwe wycie dobiegające z okna na drugim piętrze. Gdy tylko jego szpieg potwierdził, że małżeństwo zostało skonsumowane, kazał przyprowadzić konie i oddalił się wraz ze swą ponurą kompanią. Większość przygnębionych weselników poszła jego śladem.

W izbie panowała cisza. Bernat leżał na żonie, nie wiedząc, co robić. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przytrzymuje ją z całej siły za ramiona. Zwolnił uścisk, chcąc oprzeć dłonie o siennik przy jej głowie, ale stracił równowagę i opadł na nią bezwładnie. Gdy się podniósł odruchowo, podpierając ramionami, napotkał błędny wzrok żony. W takiej pozycji przy każdym ruchu musiał się otrzeć o jej ciało. Za wszelką cenę chciał tego uniknąć, by nie sprawiać jej jeszcze więcej bó-

lu. Żałował, że nie potrafi lewitować i nie może odsunąć się, nie dotykając jej ponownie.

Wreszcie, po długim wahaniu, zsunął się z Franceski i ukląkł obok. Wciąż nie wiedział, co robić — wstać, położyć się przy niej, wyjść, próbować się usprawiedliwić? Uciekł wzrokiem od prowokująco wyciągniętego ciała Franceski. Nie mógł dojrzeć jej twarzy, znajdującej się o dwie pięćdziesiąt od jego głowy. Spuścił oczy, spojrzął na swój nagi członek i nagle ogarnął go wstyd.

— Przeprasz...

Nieoczekiwany ruch Franceski zaskoczył go. Dziewczyna zwróciła ku niemu twarz. Bernat szukał na tej twarzy zrozumienia, ale znalazł tylko bezbrzeżną pustkę.

— Przepraszam — powtórzył. Francesca nadal patrzyła na niego bez wyrazu. — Przepraszam, przepraszam. Obdarłby mnie, obdarłby mnie ze skóry... — wybąkał.

Przywołał w myślach postać pana Navarcles, który stał nad nim z ręką wyciągniętą po bat. Jeszcze raz przejrzał się w spojrzeniu Franceski — zobaczył w nim pustkę. Złakł się, popatrzywszy jej w oczy w poszukiwaniu odpowiedzi: krzyczały bezgłośnie, krzyczały tak jak ona przed chwilą.

Bernat chciał ją pocieszyć, gładząc dłonią po policzku, jakby była małą dziewczynką.

— Ja... — zaczął.

Nie dokończył zdania. Na widok jego wyciągniętej ręki rysy Franceski stężyły. Cofnął dłoń, zakrył nią twarz i załkał.

Dziewczyna leżała bez ruchu z nieobecny spojrzeniem.

Gdy Bernat przestał płakać, wstał, wciągnął spodnie i zniknął w otworze prowadzącym na niższe piętro. Kiedy jego kroki ucichły, Francesca zwlekła się z łóżka, podeszła do skrzyni stanowiącej jedyny mebel w izbie i wyjęła ubranie. Odziewszy się, pozbierała pieczołowicie z podłogi swój weselny strój, między innymi tak drogą jej sercu białą lnianą koszulę. Złożyła ją starannie, próbując dopasować strzępy, i schowała do skrzyni.



2

Francesca snuła się po domu jak dusza pokutująca. Choć nie zaniedbywała swych obowiązków, wypełniała je w milczeniu, brocząc smutkiem, który niebawem zagnieździł się w każdym, nawet najodleglejszym zakamarku gospodarstwa.

Bernat wiele razy prosił ją o wybaczenie. Gdy czas zatarł potworne wspomnienie wesela, mógł przedstawić argumenty na swoją obronę: strach przed okrucieństwem pana Navarces, konsekwencje, jakie niespełnienie jego rozkazu miałyby dla nich obojga. Przepraszał Francescę po tysiącokroć, ale ona patrzyła tylko na niego i słuchała w milczeniu, jakby czekała, aż jego wywód dotrze niezawodnie do tego samego, kluczowego argumentu: „Gdybym tego nie zrobił, przyszedłby inny...”. Bo gdy Bernat dochodził do tego punktu, miłk, jego usprawiedliwienia traciły na sile i dokonany gwałt na powrót stawał między nimi jak przeszkoda nie do pokonania. Przeprasiny i usprawiedliwienia męża oraz milczenie, stanowiące jedyną odpowiedź żony, powoli zablizniały ranę, którą Bernat starał się zaleczyć. Jego wyrzuty sumienia zaczynały niknąć pośród codziennych obowiązków. W końcu pogodził się z obojętnością Franceski.

Każdego dnia o świcie, przed rozpoczęciem ciężkiej pracy na roli, Bernat wyglądał przez okno sypialni. To samo robił kiedyś z ojcem, nawet w ostatnich latach życia starca: oparci o gruby kamienny parapet spoglądali razem w niebo, sprawdzając, jaką przyniesie im pogodę. Następnie obejmowali wzrokiem swe żywe pola, pokrywające rozległą dolinę, która otwierała się u stóp gospodarstwa. Przyglądali się ptakom i bacznie nasłuchiwali dochodzących z parteru odgłosów zwierząt hodowlanych. Były to chwile duchowej komunii ojca i syna, ich komunii z ziemią, jedyny moment, gdy ojciec zdawał się odzyskiwać jasność umysłu. Bernat marzył, by dzielić te chwile z żoną, a nie przeżywać ich, jak teraz, w samotności, słuchając jej krzątania w kuchni. Marzył, by opowiedzieć Francesce wszystko, czego dowiedział się od ojca, a czego jego ojciec dowiedział od swego dziada, i tak dalej — przez wieki i pokolenia.

Marzył, by powiedzieć jej, że te żywe grunty stanowiły przed trzystu laty rodowy majątek rodziny Estanyol, że jego pradziadowie uprawiali je z miłością i oddaniem oraz korzyści w pełni

z ich pól, nie musząc płacić danin i czynszów ani składać hołdów wyniosłym i niesprawiedliwym panom. Marzył, by dzielić z nią, swą żoną i matką przyszłych spadkobierców tych ziem, smutek, jaki dzielił z nim jego ojciec, i wyjaśnić, dlaczego jej dzieci urodzą się jako chłopcy pańszczyźniani. Chętnie opowiedziałby jej — z dumą pobrzmiwającą w podobnych momentach w głosie jego ojca — że przed trzyset laty ród Estanyol, jak wiele innych chłopskich rodów, miał prawo przechowywać w domu własny oręż, jego przodkowie byli bowiem ludźmi wolnymi, którzy pod dowództwem hrabiego Ramona Borrella i jego brata Ermengola d'Urgell bronili Starej Katalonii przed najazdami Saracenów. Chętnie opowiedziałby żonie, że niektórzy z jego przodków walczyli w zwycięskich oddziałach, które pod rozkazami hrabiego Ramona pokonały Saracenów z kalifatu kordobańskiego w bitwie pod Albesą, na równinie Urgel, niedaleko miejscowości Balaguer. W wolnych chwilach ojciec opowiadał mu o tym wszystkim z ożywieniem, choć ożywienie to przeradzało się w smutek na wspomnienie śmierci hrabiego Ramona Borrella w roku 1017. Ojciec Bernata uważał, że to właśnie wtedy zrobiono z nich chłopów pańszczyźnianych. Gdy zmarłego hrabiego zastąpił jego piętnastoletni syn, a regentką została wdowa, hrabina Ermessenda de Carcassonne, katalońscy baronowie — którzy dopiero co walczyli ramię w ramię z wolnymi chłopami przeciwko Saracenom — widząc, że granice księstwa są już bezpieczne, postanowili wykorzystać bezkrólewie. Zastraszili chłopów, zabili tych, którzy stawiali opór, i przywłaszczyli sobie ich ziemie, pozwalając im je uprawiać w zamian za prawo do części pól. Wiele rodzin chłopskich, wśród nich ród Estanyol, ustąpiło pod naciskiem możnych, jednak inne zostały bestialsko wymordowane.

— My, katalońscy chłopcy — mawiał ojciec Bernata — byliśmy wolnymi ludźmi i jako piechota walczyliśmy u boku rycerzy przeciwko Maurom. Nie mogliśmy jednak stawać przeciwko rycerzom. Gdy kolejni hrabiowie Barcelony próbowali zaprowadzić porządek w Katalonii, napotykali opór bogatych i wpływowych możnowładców, musieli więc iść z nimi na ugodę, zawsze naszym kosztem. Najpierw odebrano nam ziemię, grunty Starej Katalonii, potem wolność i... honor, na koniec pozwolono panom decydować o naszym życiu. Twoi dziadowie — ciągnął drzącym głosem, nie odrywając wzroku od pól — pierwsi utracili wolność. Zabroniono im porzucać ziemię, przemieniono ich w chłopów pańszczyźnianych, ludzi z pokolenia na pokolenie przypisanych do majątku. Od tej pory nasze życie... twoje życie spoczywa w rękach pana, który wymierza sprawiedliwość i ma prawo nas dręczyć i poniżać. Nie możemy się nawet bronić! Bo jeśli ktoś cię skrzywdzi, musisz prosić pana, by wystąpił w twoim imieniu o odszkodowanie, z którego połowa przypadnie właśnie jemu.

Następnie starzec wymieniał niezliczone prawa pana. Zapisaly się one na zawsze w pamięci jego syna, który nigdy nie miał odwagi wejść w słowo rozsierzdzonemu rodzicowi. Pan mógł w każdej chwili zażądać od poddanego odnowienia przysięgi. Mógł przywłaszczyć sobie część majątku poddanego, jeśli ten umarł, nie zostawiwszy testamentu, lub jeśli dziedziczył po nim syn, a także jeśli poddany nie doczekał się potomstwa, lub jeśli jego żona dopuściła się cudzołóstwa, jeśli w gospodarstwie wybuchł pożar, jeśli gospodarz musiał je zastawić lub zawierał małżeństwo z panną innego pana i oczywiście jeżeli opuszczał majątek. Pan miał prawo spędzić noc poślubną z żoną chłopca i uczynić ją mamką swych dzieci, a jego córki musiały usługiwać na zamku. Poddani musieli uprawiać pańskie pola, bronić zamku, oddawać panu część pól, używać jemu oraz jego wysłannikom gościny i noclegu, płacić mu za prawo do korzystania z lasów i pastwisk — a także z zamkowej kuźni, pieca chlebowego i młyna... — oraz dawać mu prezenty

z okazji Bożego Narodzenia i innych świąt.

A Kościół? Przy tym pytaniu ojciec Bernata jeszcze bardziej się unosił.

— Mnisi, zakonnicy, księża, diakoni, archidiaconi, kanonicy, opaci, biskupi — wyliczał. — Niczym się oni nie różnią od panów feudalnych, którzy nas uciskają! Zabroniono nawet chłopom składać ślubów zakonnych, by utrwalić nasze poddaństwo i nieemożliwić nam porzucenie roli! Synu — surowo przestrzegał Bernata ojciec, gdy zwracał swój gniew przeciwko Kościołowi — nigdy nie ufaj tym, którzy twierdzą, że służą Bogu. Ludzie ci przemawiają łagodnie i tak uczenie, że aż niezrozumiale. Pamiętaj, będą cię zwodzili pięknymi słówkami, które są ich specjalnością, a wszystko po to, by zawładnąć twoim umysłem i sumieniem. Będą cię przekonywali, że przychodzą w dobrej wierze, że chcą cię uchronić przed złem i pokusami, ale patrzą na nas poprzez swe księgi. Wszyscy ci, którzy zważ się rycerzami Chrystusa, postępują zgodnie ze swymi pismami. Ich słowa to wymówki, ich argumenty to bajeczki dla grzecznych dzieci.

— Ojczy, co mówią o nas, chłopach, ich księgi? — zapytał chłopak pewnego razu.

Ojciec powiódł wzrokiem po polach, ale tylko do linii, gdzie stykały się z niebem. Nie chciał patrzeć na miejsce, w którego imieniu przemawiali ludzie w habitach i sutannach.

— Że jesteśmy tępi niczym bydłeta, że nie mamy pojęcia o oglądzie. Że jesteśmy wstrętni, podli, plugawi, bezwstydni i ciemni. Że jesteśmy okrutni i uparci, że nie zasługujemy na łaskę, bo nie potrafimy jej docenić, że przemawia do nas tylko pięść i bat. Napisano tam, że...¹.

— Tacy właśnie jesteśmy, ojczy?

— Synu, to oni chcą nas takimi widzieć.

— Ale przecież wy, ojczy, modlicie się codziennie, a gdy matka umarła...

— Modłę się do Najświętszej Panienci, synu, do Najświętszej Panienci. Ona nie ma nic wspólnego z zakonnikami i klechami. Jej możemy zaufać.

Bernat Estany ol marzył, by oprzeć się rankiem o parapet i rozmawiać z Francescą, jak kiedyś z ojcem. By razem z nią patrzeć na pola i rozmawiać o tym, czego się od niego nauczył.

Przez pozostałe dni września i cały październik Bernat zaprzęgał woły do pługa i orał pola, rozdrapując i zrywając z nich stwardniałą skorupę, by słońce, powietrze i nawóz tchnęły w nie nowe życie. Następnie razem z żoną siał zboże: ona niosła korzec i rozrzuciła ziarno, on prowadził zaprzęg wołów, który orał, a potem ubijał obsianą ziemię, przeciągając po niej ciężką żelazną płytę. Pracowali w milczeniu, zakłócanym tylko od czasu do czasu przez Bernata pokrzykującego na woły. Jego głos niósł się po dolinie. Bernat liczył, że wspólna praca ich zbliży, ale jego nadzieje okazały się płonne. Francescą nadal traktowała go jak powietrze. Sięgała do korca i rozrzuciła nasiona, nie patrząc nawet w stronę męża.

Nadszedł listopad, a wraz z nim kolejne obowiązki w gospodarstwie. Bernat pasł świnię przeznaczone do uboju, rąbał drwa na zimę, nawoził i przygotowywał do wiosennego siewu pola oraz warzywnik przycinał i szczepił winorośl. Gdy wchodził wieczorem do kuchni, Francesca, która zdążyła już zakończyć pracę w domu, w ogrodzie, w kurniku i przy królikach, podawała mu bez słowa kolację, po czym szła spać. Wstawała wcześniej od niego, więc codziennie rano na Bernata czekała w kuchni torba z prowiantem i śniadanie. Jadł je samotnie, przysłuchując się krzątaniu żony w oborze.

Boże Narodzenie minęło w mgnieniu oka i w styczniu zakończono zbiór oliwek. Bernat miał niewielki sad oliwny, który wystarczał na zaspokojenie domowych potrzeb oraz na spłatę czynszu

należnego panu.

Potem przyszedł czas na świniobicie. Choć za życia starego Estany oła sąsiedzi rzadko zaglądali do folwarku, w świniobicie nigdy nie zawodzili. Bernat pamiętał tamte dni jako prawdziwe święto: po zabicu i rozebraniu tuczników mężczyźni bawili się, a kobiety przygotowywały wędliny.

Ojciec, matka i dwaj bracia Franceski przyszli z samego rana. Bernat przywitał ich na podwórzu, jego żona czekała z tyłu.

— Jak się masz, córuś? — zagadnęła ją matka. Francesca nic nie odrzekła, pozwoliła się jednak objąć. Bernat obserwował, jak stęskniona matka tuli córkę, czekając, aż ta odwzajemni jej pieszczotę. Na próżno, dziewczyna na ani drgnęła. Bernat spojrzął na teścia.

— Francesco — rzucił tylko Pere Esteve, patrząc gdzieś za plecami dziewczyny.

Bracia pozdrowili ją skinieniem ręki.

Francesca poszła do chlewu po wieprzka, pozostali czekali na dziedzińcu. Nikt się nie odezwał, ciszę przerywał jedynie zdławiony szloch matki. Bernat chciał ją pocieszyć, powstrzymał się jednak, widząc, że ani mąż, ani synowie nie reagują na jej płacz.

Francesca przyprowadziła wieprzka, który zapierał się, jakby czuł, co go czeka. Przekazała go mężowi, jak zwykle bez słowa. Bernat i jego dwaj szwagrowie rozciągnęli zwierzę na ziemi i usiedli na nim. Przeraźliwy kwik wypełnił dolinę. Pere Esteve jednym zdecydowanym ruchem poderżnął wieprzowi gardło, a potem wszyscy czekali w milczeniu, aż krew zwierzęcia spłynie do naczyń podsuwanych raz za razem przez kobiety. Nikt na nikogo nie patrzył.

Tym razem, kiedy matka i córka przystąpiły do obrabiania poćwiartowanego już wieprzka, mężczyźni nie sięgnęli po wino.

O zmroku, po zakończeniu świniobicia, matka ponownie próbowała przytulić córkę. Bernat obserwował tę scenę w nadziei, że tym razem jego żona nie pozostanie obojętna na pieszczotę matki. Mylił się. Ojciec i bracia pożegnali Francescę ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jej matka podeszła do Bernata.

— Gdy zobaczysz, że zbliża się rozwiązanie — powiedziała, odciągając go na bok — poślij po mnie. Nie sądzę, by Francesca sama cię o to poprosiła.

Rodzina Esteve ruszyła w drogę powrotną. Tamtego wieczoru, kiedy Francesca wchodziła po drabinie do sypialni, Bernat nie mógł oderwać oczu od jej napęczniałego brzucha.

Pod koniec maja, pierwszego dnia żniw, Bernat z sierpem na ramieniu rozglądał się po swych polach. Jak zdoła sam zebrać całe zboże? Dwa tygodnie temu Francesca dwa razy zasłabła i zabronił jej się przemęczać. Posłuchała go bez słowa. Co też go podkusiło? Znowu potoczył wzrokiem po czekających na niego łanach. Przecież to może nawet nie jego dziecko, tłumaczył sobie. Poza tym wszystkie chłopki rodzą w polu, przy pracy. A jednak Bernat nie mógł ukryć niepokoju, widząc, jak Francesca osuwa się na ziemię.

Chwycił mocno sierp i zaczął z rozmachem żąć zboże. Kłosa przyskały na wszystkie strony. Słońce stało już w zenicie, ale Bernat nie zrobił sobie przerwy na obiad. Łany ciągnęły się w nieskończoność. Ojciec zawsze pomagał mu przy żniwach, nawet w ostatnich latach, gdy już nie pomagał. Zboże zdawało się dodawać mu sił. „Dalej, synu, do roboty — zagrzewał go — zanim burza lub grad popsują nam zbiory”. I kosili. Kiedy jeden słabł, drugi dodawał mu otuchy. Razem jedli obiad w cieniu, popijali dobre wino (najlepsze, najstarsze wino z ojcowskich zapasów), gawędzili i śmiali się. A teraz... Teraz Bernat słyszał tylko gwizd sierpa przecinającego powietrze, by uderzyć w kłos. Sierp, sierp, sierp — wszechobecny znak zapytania, indagujący o ojcostwo

dziecka, które miało się wkrótce urodzić.

Przez następne dni Bernat pracował aż do zachodu słońca, nierzadko nawet przy świetle księżyca. W kuchni zawsze czekała na niego kolacja. Mył się w miednicy i jadł bez apetytu. Pewnego wieczoru drgnęła kołyska, którą Bernat wyrzeźbił zimą, gdy ciąża Franceski była już widoczna. Bernat zauważył ruch kolebki kątem oka, mimo to dalej jadł zupę. Francesca spała piętro wyżej. Znowu zerknął w stronę kołyski. Jeszcze jedna łyżka zupy, jeszcze jedna i następna. Kolebka znowu drgnęła. Bernat przyglądał się jej z łyżką zastygłą w powietrzu. Omiół wzrokiem izbę, szukając śladów obecności teściowej... Francesca urodziła sama... A potem poszła spać.

Opuścił łyżkę, wstał, ale nim doszedł do kołyski, przy stanął, zawrócił i znowu usiadł. Wątpliwości opadły go ze zdwojoną siłą. „Każdy Estanyol ma koło prawego oka znamię” — powiedział mu kiedyś ojciec. Bernat miał ten szczególny znak, jego ojciec również. „Podobnie jak twój dziad — zapewnił go ojciec — I pradziad...”.

Bernat był wycieńczony, przez ostatnie dni pracował od świtu do nocy. Znowu zerknął na kołyskę.

Wstał i zbliżył się do noworodka, który spał słodko z otwartymi rączkami, przykryty prześcieradłem zrobionym ze strzępów białej lnianej koszuli. Obszedł kołyskę, by przyjrzeć się twarzy dziecka.



3

Francesca nawet nie patrzyła na swego synka. Przystawiając do piersi niemowlę, któremu dali na imię Arnau, odwracała wzrok. Bernat często widział wieśniaczki karmiące piersią. Wszystkie, zarówno te najuboższe, jak i opływające w dostatki włościanki, uśmiechały się wtedy łagodnie, przymykały powieki lub tuliły swe pociechy. Francesca co prawda przewijała i karmiła synka, ale przez dwa miesiące od jego narodzin Bernat nie słyszał ani nie widział, by zagadnęła do niego słodko, by się z nim bawiła, laskotała, całowała czy chociażby przytuliła. Francesco, w czymże on zawinił? — myślał Bernat, biorąc Arnaua na ręce. A potem zabierał go jak najdalej od niej, przemawiał do niego i obsypywał pieścizotami, by wynagrodzić mu oziębłość matki.

Bo Arnau był jego synem. „Znak Estanyolów”, mruczał Bernat pod nosem, całując zamię koło prawej brwi dziecka. „Wszyscy je mamy, ojczy”, dodawał, unosząc syna ku niebu.

Zamię stało się niebawem czymś więcej niż tylko gwarancją dla Bernata. Gdy Francesca szła do zamku piec chleb, kumy nosiły kocyk zerkają na Arnaua i uśmiechały się do siebie porozumiewawczo w obecności piekarza i żołnierzy. Także kiedy Bernat uprawiał pańskie ziemie, wieśniacy gratulowali mu i klepali go po plecach na oczach pilnującego ich zarządcy.

Llorenc de Bellera spłodził sporo nieślubnych dzieci, choć nikomu nie udało się upomnieć o ich prawa, bo słowo pana liczyło się bardziej niż skarga pierwszej lepszej wieśniaczki. Nie przeszkadzało to jednak Llorencowi przechwalać się w gronie kamratów swą jurnością. Lecz było oczywiście, że Arnau Estanyol nie jest jego synem i pan Navarcles coraz częściej zauważał drwiące uśmiešky chłopek odwiedzających zamek i widział z okien zamkowych komnat, jak szepeczą między sobą, a nawet z jego żołnierzami na widok żony Estanyol. Wieść rozniosła się po okolicy i Llorenc stał się ofiarą docinków innych moźnych.

— Jedz, jedz, kochasiu — rzekł z uśmiechem pewien baron goszczący na zamku. — Doszły mnie słuchy, że siły ci nie dopisują.

Biesiadnicy nagrodzili żart salwą śmiechu.

— W moich włościach — wtrącił inny gość — nigdy nie pozwoliłbym, by pierwszy lepszy

parobek drwił z mojej męskości.

— A co, zabraniasz noszenia znamion? — odparł odurzony winem baron, znów wywołując zbiorowy rechot, na który gospodarz odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

Pewnego dnia, na początku sierpnia, Arnau leżał w kołysce na folwarcznym dziedzińcu, w cieniu drzewa figowego. Jego matka krzątała się w ogrodzie warzywnym i w obórkach, a ojciec, ani na chwilę nie spuszczał syna z oka, zmuszał woły do deptania po zbożu rozrzuconym na klepisku. Pod ich kopytami kłosa wypluwały drogocenne ziarno, które miało wyżywić całą rodzinę aż do przyszłych zbiorów.

Nie szli nadjeżdżających. Na podwórze wpadli galopem trzej jeźdźcy: zarządca w towarzystwie dwóch żołnierzy. Wszyscy trzej byli uzbrojeni i dosiadali okazałych rumaków stworzonych do wojaczki. Bernat zauważył, że konie nie są przystrojone jak podczas innych wypadów zbrojnych pana Navarcles. Najwyraźniej Llorenç de Bellera uznał, że pełny rynsztunek nie jest konieczny do zastraszenia prostego chłopca. Zarządca został z tyłu, ale towarzyszący mu żołnierze nie tylko nie zwolnili, ale jeszcze spięli konie i skierowali się wprost na gospodarza. Nawykłe do bitewnych natarć rumaki ruszyły z kopyta. Bernat potknął się, cofając, i upadł tuż pod nogi rozpędzonych koni. Dopiero wtedy jeźdźcy ściągnęli wodze.

— Pan Navarcles — krzyknął zarządca — przysyła nas po twoją żonę! Zamieszka na zamku jako mamka panielca Jaumego, syna twojej pani, donii Cateriny. — Bernat chciał się podnieść, ale jeden z jeźdźców ponownie spiął konia ostrogami. Zarządca zwrócił się do Franceski: — Bierz dzieciaka i chodź! — rozkazał.

Francesca wyjęła Arnaua z kołyski i ze spuszczoną głową ruszyła za koniem zarządcy. Bernat krzyknął i zerwał się z ziemi, ale jeden z rycerzy znowu go powalił. Spróbował jeszcze raz, jeszcze wiele razy, ale na próżno. Jeźdźcy urządzili sobie zabawę jego kosztem, gonili go na koniach i przewracali raz po raz. W końcu, zziębnięty i obolały, leżał na klepisku pod nogami koni, które gryzły nerwowo wędziłła. Kiedy zarządca zniknął na horyzoncie, żołnierze spięli rumaki i odjechali.

Gdy na folwarku znowu zapanowała cisza, Bernat spojrzął najpierw na obłok kurzu wzbijanego przez jeźdźców, a potem na dwa woły przesuńjące świeżo podeptane kłosa.

Od tej pory Bernat zajmował się gospodarstwem, jakby był pograżony we śnie, nie mogąc przestać myśleć o synu. Nocami snuł się po domu, wspominając dziecięce gaworzenie oznaczające życie i przyszłość, skrzywienie drewnianej kołyski, rozpaczliwy płacz, którym Arnau domagał się jedzenia. Próbował odszukać w murach domu, w każdym zakątku obejścia, zapach niewinności — zapach dziecka. Gdzie teraz sypia mały Arnau?

Przecież w rodzinnym domu pozostała kołyska zrobiona przez jego ojca. Jeszcze dobrze nie zasnął, a zaraz budziła Bernata cisza. Wtedy zwiąjał się w kłębek na sienniku i całymi godzinami słuchał odgłosów zwierząt dochodzących z parteru — tylko one dotrzymywały mu towarzystwa.

Regularnie chodził na zamek piec chleb, którego nie mogła mu przynosić Francesca, odcięta od świata i całkowicie uzależniona od widzimisię donii Cateriny i zmiennego apetytu jej synka. Bernat dowiedział się od ojca — podczas jednej ze wspólnych wizyt na zamku — że siedziba pana Navarcles była niegdyś zwykłą basztą obronną stojącą na szczycie niewielkiego pagórka. Przodkowie Llorenca wykorzystali zamieszanie, jakie zapanowało po śmierci hrabiego Ramona Borrella, i zmienili basztę w warowną twierdzę dzięki pracy chłopów ze swych coraz rozleglejszych włości. Do wieży zamkowej doklejono bez ładu i składu piec chlebowy, kuźnię, nowe, większe stajnie, spichlerze, kuchnie i sypialnie.

Folwark Estany olów dzieliła od zamku Llorenca ponad mila. Z początku, ilekroć Bernat próbował dowiedzieć się czegoś o synu, zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź: Francesca i Arnau przebywają w komnatach donii Cateriny. Jednak niektórzy mówili to z cynicznym uśmiechem, inni spuszczała wzrok, bojąc się spojrzeć mu w oczy. Bernat pozwolił się tak zwodzić przez cały miesiąc, aż pewnego dnia, opuszczając zamek z dwoma świeżo upieczonymi bochnami chleba z bobowej mąki, napotkał tyczkowatego czeladnika kowalskiego, którego już kilkakrotnie wypytawał o małego Arnaua.

— Wiesz coś o moim synu? — zagadnął go i tym razem. Na zamkowym dziedzińcu nie było akurat nikogo oprócz nich. Czelnik udał, że nie słyszy pytania, i próbował wyminać Bernata, jednak ten złapał go za ramię.

— Pytam, czy wiesz coś o moim synu.

— Twoja żona i syn przebywają w... — zaczął czeladnik ze Wzrokiem wbitym w ziemię.

— To już wiem — przerwał mu Bernat. — Powiedz mi lepiej, czy Arnau ma się dobrze.

Chłopak nie odrywał wzroku od stopy, którą rozgrzebywał ziemię. Bernat potrząsnął nim z całej siły.

— No, mów, ma się dobrze czy nie?

Czeladnik stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Bernat szarpał go coraz gwałtowniej.

— Nie! — krzyknął wreszcie chłopak Bernat poluzował uścisk i stanął naprzeciwko rozmówcy.

— Nie — powtórzył czeladnik Bernat wpatrywał się w niego pytająco.

— Co się dzieje z moim synem?

— Zakazano nam mówić... Nie mogę... — głos czeladnika zaczął się łamać.

Bernat znowu potrząsnął nim z całej siły i zapominając, że może ściągnąć sobie na głowę strażników, krzyknął:

— Co się dzieje z moim dzieckiem? No, mów!

— Nie mogę. Zakazano nam...

— Może to cię przekona. — Bernat podał chłopakowi jeden z bochnów chleba.

Czeladnik wybaluszył oczy i bez słowa rzucił się na chleb, jakby od wielu dni nie jadł. Bernat odciągnął go na bok, jak najdalej od ciekawskich spojrzeń.

— Co się dzieje z moim synem? — zapytał niespokojnie. Czelnik spojrział na niego z pełnymi ustami i dał mu znak, by szedł za nim. Ostrożnie, przemykając pod murami, dotarli do kuźni. Wślizgnęli się do środka i skierowali do przylegającej do kuźni komórki, gdzie składowano narzędzia i materiały. Czelnik usiadł na klepisku i w milczeniu pochłaniał chleb. Bernat przecesał wzrokiem wnętrze komórki, w której panował skwar i duchota. Nie bardzo rozumiał, dlaczego czelnik przyprowadził go właśnie tu: w komórce nie było nic prócz narzędzi i starego żelastwa.

Bernat spojrział pytająco na chłopaka. Czelnik, który z największą rozkoszą przeżuwał chleb, wskazał na kątkę komórki, dając Bernatowi znak, by tam zajrzał.

Na stercie desek leżał w dziurawym koszyku mały Arnau: porzucony, głodny, czekający na śmierć. Przykryty był onegdaj białą, a teraz brudną i złachmanioną koszulką z lnu. Bernat nie potrafił zdławić wyrywającego się z piersi krzyku — niemego, prawie nieludzkiego szlochu. Podniósł Arnaua i przytulił do piersi. Dziecko zakwiliło cichutko, bardzo cichutko, ale najważniejsze, że żyło.

— Pan rozkazał je tu zamknąć — dobiegł go głos czeladnika. — Z początku twoja żona przychodziła kilka razy dziennie je karmić. — Bernat ze łzami w oczach obejmował małeńkie ciało,

próbując podtrzymać w nim życie. — Pierwszy dobrał się do niej zarządca — ciągnął czeladnik — Twoja żona opierała się i krzyczała... Ja byłem akurat w kuźni i widziałem wszystko przez dziurę w deskach. Ale zarządca jest bardzo silny... Gdy zrobił swoje, wszedł pan z żołnierzami. Francesca leżała na klepsku. Pan zaczął się śmiać, pozostali również. Od tamtej pory, ilekroć twoja żona przychodziła karmić dziecko, żołnierze czyhali już na nią za drzwiami. Broniła się, lecz na próżno... Od kilku dni przychodzi rzadziej. Żołnierze biorą ją w obroty... gdy tylko opuści komnaty donii Cateriny. No a potem robi się późno i musi wracać do panicza. Czasami pan wszystko widzi, ale tylko się śmieje.

Bernat, niewiele myśląc, ukrył za pazuchą małeńkie ciało, zasłaniając je bochenkiem chleba. Dziecko nawet nie drgnęło. Gdy Bernat ruszył ku wyjściu, czeladnik skoczył na równe nogi.

— Pan zabronił. Nie wolno!

— Puszczaj, chłopcze!

Czeladnik chciał zastąpić mu drogę. Bernat, bez chwili wahania, przytrzymując jedną ręką bochen chleba i dziecko, drugą zerwał ze ściany żelazny pręt i odwrócił się, zdesperowany. Pręt dosięgnął głowy chłopaka dokładnie w chwili, gdy ten już, już miał wybiec z komórki. Czeladnik zwałił się na ziemię, nie zdążywszy nawet jęknąć. Bernat ani spojrzął na niego. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Bez przeszkód opuścił zamek. Nikt nie podejrzewał, że pod bochnem świeżo upieczonego chleba Bernat niesie synka. Dopiero za bramą pomyślał o Francesce i żołnierzach. Oburzony, wyrzucił jej w duchu, że nie próbowała przesłać mu wiadomości i uprzedzić go o niebezpieczeństwie grożącym ich dziecku, że pogodziła się z losem. Przytulił mocniej zawiniątko pod koszulą, myśląc o żonie gwałconej przez żołnierzy i o niemowlęciu dogorywającym na stercie przegniłych desek.

Ile czasu upłynie, nim odnajdą czeladnika? Czy go zabił? Czy zamknął drzwi komórki? Takie pytania przebiegały przez głowę uciekającego Bernata. Tak, chyba tak. Pamiętał jak przez mgłę, że je zamykał.

Gdy tylko zamek zniknął za zakrętem wijącego się gościńca, Bernat wy dobył synka zza pazuchy. Oczy niemowlęcia były nieprzytomne. Malec ważył mniej niż bochenek chleba! A te rączki, te nóżki... Bernat poczuł mrowienie w żołądku, żal ścisnął go za gardło, a z oczu popłynęły łzy. Wy tłumaczył sobie jednak, że nie ma czasu na płacz. Wiedział, że pan Navarcles wyśle za nim pogoń, spuści psy... Ale Arnau musi żyć, inaczej cała ucieczka na nic. Bernat zszedł z drogi i skrył się w zaroślach. Ukłęknął, położył chleb na trawie, wziął Arnaua i podniósł go na wysokość oczu. Dziecko się ruszyło, jego przechylona główka zwiśla bezwładnie. „Arnau” — szepnął jego ojciec. Potrząsnął nim delikatnie raz, drugi... Małeńkie oczka popatrzyły na niego. Bernat zalał się łzami, widząc, że jego syn nie ma siły nawet płakać. Ułożył go sobie na ramieniu, a drugą ręką pokruszył trochę chleba, wymieszał go ze śliną i podsunął małemu. Arnau nie zareagował, ale Bernat próbował tak długo, aż w końcu wsunął chleb do ust dziecka. Odczekał. „Przełknij, synku”, błagał. Wargi Bernata zdrząły, gdy gardło dziecka poruszyło się niedostrzegalnie. Pokruszył jeszcze trochę chleba i ponownie z nadzieją podsunął okruski dziecku. Arnau i tym razem przełknął chlebową papkę, a potem połykał ją jeszcze siedmiokrotnie.

— Poradzimy sobie — powiedział Bernat. — Obiecuję. Wyszedł na drogę. Było cicho i spokojnie. Najwyraźniej nie znalazł jeszcze czeladnika, w przeciwnym razie na zamku wszczęto by już alarm. Pomyślał o panu Navarcles, człowieku okrutnym, podłym, nieubłagany m. Z jaką przyjemnością Llorenc de Bellera puścił się w pogoń za jednym z Estanyolów!

— Poradzimy sobie, synku — powtórzył Bernat, biegnąc w stronę folwarku.

Przez całą drogę nie przystanął ani nie spojrzął za siebie. Nawet w domu nie pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Ułożył Arnaua w kołysce i zaczął przygotowywać prowiant i ekwipunek na drogę. Wziął worek fasoli i mielonej pszenicy, bukłak wody, bukłak mleka, solone mięso, miskę, lyżkę, trochę ubrań i pieniędzy, a do tego nóż myśliwski i kuszę. To duma mojego ojca! — pomyślał, przekładając kuszę z ręki do ręki. Walczyła pod rozkazami Ramona Borrella, gdy Estany ołowie byli jeszcze wolnymi ludźmi, powtarzał mu ojciec, ucząc go strzelać z kuszy. Wolny mi ludźmi! Bernat przywiązał sobie dziecko do piersi i wziął toboleki. Na zawsze pozostaniemy chłopami pańszczyźnianymi — pomyślał. Chyba że...

— Na razie jesteśmy uciekinierami — rzekł do syna i ruszył w las. — Nikt nie zna tych borów tak dobrze jak Estany ołowie — zapewnił, zanurzając się w gąszcz. — Bo nasza rodzina poluje tu od pokoleń. — Przedzierał się przez zarośla. Dotarłszy do strumienia, wszedł w sam jego środek i począł iść pod prąd po kolana w wodzie. Arnau zasnął, mimo to Bernat nadal do niego przemawiał. — Psy pana sprytem nie grzeszą, bo są często bite. Pójdziemy w góry, gdzie las jest jeszcze gęstszy i trudno wjechać koniom. Panowie zawsze polują konno i nie zapuszczają się w knieję w trosce o swe szaty. A żołnierze? Po co mają polować, skoro mogą kraść jedzenie nam, chłopom? Ukryjemy się. Nikt nas nie znajdzie, obiecuję. — Bernat pogłaskał główkę syna i powędrował w górę rzeki.

Po południu przystanął. Las robił się coraz gęstszy, drzewa niemal wchodziły do strumyka i całkowicie przesłaniały niebo. Przysiadł na kamieniu i spojrzął na swe białe, pomarszczone od wody nogi. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo go bolą. Nic sobie z tego nie robiąc, zrzucił z ramion toboleki i odwiązał Arnaua. Dziecko otworzyło oczy. Bernat zmieszał mleko z wodą oraz mieloną pszenicą i podsunął miseczkę synkowi. Ten skrzywił się i odwrócił głowę. Bernat obmył palec w strumyku, zanurzył go w papce i dotknął ust syna. Po kilku próbach Arnau nauczył się ssać palec i pozwolił się karmić. Zaspokoiwszy głód, zamknął oczy i usnął. Bernat zjadł trochę solonego mięsa. Chętnie by odpaczał, ale mieli przed sobą długą drogę.

Dopiero po zmroku Bernat dotarł do „Groty Estany ołów”, jak jego ojciec lubił nazywać to miejsce. Po drodze raz jeszcze zatrzymał się, by nakarmić syna. Do grotty wchodziło się przez wąską szczelinę. Bernat, jego ojciec oraz dziad, zapuszczający się w te okolice na polowania, zasłaniaли szczelinę od środka gałęziami, by prznocować bezpiecznie w grocie z dala od kaprysów pogody i od dzikiej zwierzyny.

Bernat rozpalil ognisko przed jaskinią i wszedł do środka z pochodnią, by sprawdzić, czy nie za domowił się w niej przypadkiem jakiś czworonożny lokator. Potem wypchał worek suchymi gałązkami, ułożył synka na tym prowizorycznym poślaniu i go nakarmił. Niemowlę zjadło i zasnęło, a Bernat, zbyt zmęczony, by czuć głód, wziął przykład z syna, nie spróbował nawet solonego mięsa. Pan z Navarcles nas tu nie znajdzie, zdążył jeszcze pomyśleć, zamykając oczy i dopasowując oddech do oddechu małego Arnaua.

Llorenc de Bellera i jego żołnierze wypadli galopem z zamku, gdy tylko majster kowalski znalazł martwego czeladnika w kałuży krwi. Zniknięcie małego Arnaua i fakt, że dopiero co widziano na zamku jego ojca, wskazywało jednoznacznie na Bernata. Pan Navarcles, czelający na koniu przed folwarkiem Estany ołów, uśmiechnął się na wieść, że w domu panuje bałagan i że Bernat najwyraźniej zbiegł z synem.

— Po śmierci ojczulka ci się upiekło — syknął przez zęby. — Ale tym razem wszystko będzie

moje. Szukajcie go! — rozkazał swym ludziom, a potem zwrócił się do zarządcy: — Spisz cały dobytek, sprzęty oraz żywy inwentarz i dopilnuj, by nie skradziono ani funta zboża. A potem przyprowadź mi tego Estanyola.

Po wielu dniach zarządca stanął przed swym panem.

— Przeszukaliśmy okoliczne folwarki, lasy i pola, ale nie znaleźliśmy uciekiniera. Pewnikiem ukrywa się w mieście, może w Manresie albo...

Llorenc nakazał mu gestem milczenie.

— Znajdziemy go. Zawiadom okolicznych możnych oraz naszych szpiegów w mieście, że zbiegł jeden z moich chłopów. Niech go aresztują. — Do komnaty weszła donia Caterina w towarzystwie Franceski, niosącej na rękach panicza Jaumego. Llorenc spojrział ze wzgardą na mamkę. Już jej nie potrzebował. — Pani — zwrócił się do żony — pozwalacie, by dziewczka uliczna wychowywała waszego syna? — Donia Caterina wzdrygnęła się. — Czyżbyście nie wiedzieli, pani, że ta ladaczniczka puszcza się z moimi żołdakami?

Donia Caterina wyrwała syna z rąk mamki.

Gdy Francesca usłyszała, że Bernat uciekł z małym Arnauem, zaczęła się zastanawiać nad przyszłością syna i nad własnym losem. Ziemie i majątek Estanyolów przeszły na własność pana Navarcles. Francesca nie miała gdzie się podziać, nadal była zabawką żołnierzy. Kawałek czerstwego chleba, zgniłe jarzyny lub nie do końca ogryziona kość były zapłatą za jej ciało.

Chłopi zaglądający na zamek odwracali od niej wzrok. Francesca próbowała zagadnąć dawnych znajomych i sąsiadów, ale wszyscy na jej widok uciekali. Matka wyrzekła się jej publicznie przed piecem chlebowym, więc Francesca bała się wrócić do domu. Chcąc nie chcąc, przyłączyła się do żebraków wegetujących pod murami zamku, żywiła się odpadkami i oddawała się żołnierzom w zamian za resztki z ich stołu.

Tymczasem nadszedł wrzesień. Mały Arnau nauczył się uśmiechać i raczkował po jaskini i leśnych polanach. Jednak zima była tuż-tuż, a uciekinierom kończyły się zapasy. Trzeba było ruszać w drogę.



4

U stóp Bernata rozciągało się miasto.

— Patrz, synu, to Barcelona — rzekł do Arnaua, który spał słodko, wtulony w jego pierś. — Tu będziemy wolni.

Od ucieczki z zamku nie przestawał myśleć o stolicy — mekke chłopów pańszczyźnianych. Nieraz przy słuchiwał się rozmowom towarzyszy, z którymi pracował na polach Llorenca, naprawiał zamkowe mury lub wypełniał inne zadania zlecone przez pana. Rozmowy te, zawsze prowadzone szeptem, w tajemnicy przed zarządcą i żołnierzami, budziły w Bernacie wyłącznie ciekawość. Był szczęśliwy w rodzinnym folwarku, poza tym za nic w świecie nie zostawiłby ojca. Nie mógłby też zabrać go ze sobą. Jednak teraz, gdy nie miał już ziemi ani majątku, Bernat, czuwając nocami nad snem syna, wspominał te rozmowy, które poczęły ożywać w jego myślach, a nawet rozbrzmiewać echem w grocie.

„Jeśli spędzisz w Barcelonie rok i jeden dzień i nie pozwolisz się dopaść ludziom pana — przypomniאל sobie to, co kiedyś usłyszał — nabywasz prawa mieszkańca i zostajesz zwolniony z poddaństwa”. Bernat pamiętał, że po tych słowach zapadło milczenie, a on obrzucił spojrzeniem swych towarzyszy: jedni przytknęli oczy i zacisnęli usta, inni kręcili z niedowierzaniem głową, ale większość uśmiechała się, wpatrzona w niebo.

— Mówisz, że trzeba spędzić w mieście tylko rok? — ciszę przerwał młody chłop, jeden z wielu, którzy spoglądali w niebo, marząc zapewne o zerwaniu łańcuchów poddaństwa. — Dlaczego akurat w Barcelonie?

Najstarszy z chłopów zaczął niespiesznie opowiadać:

— Tak, wystarczy przesiedzieć rok w Barcelonie, to jedyny warunek — Pytającemu młodzianowi rozbłyły oczy. Ponaglił starca, by mówił dalej. — Barcelona jest bardzo bogata. Przez długie lata, od Jakuba Zdobywcy po Piotra Wielkiego, królowie prosili miasto o pieniądze na prowadzenie wojen i utrzymanie dworu. Przyznawali mu w zamian specjalne przywileje, które Piotr Wielki, prowadzący wówczas wojnę na Sycylii, zebrał w kodeksie... — starzec się zająknął —

nazwanym bodajże *Recognoverunt proceres*. Tam właśnie zapisano, że możemy uzyskać wolność. Barcelona potrzebuje rąk do pracy i wolnych pracowników.

Nazajutrz chłopak nie przyszedł na pole, następnego dnia również. Jego ojciec pracował w milczeniu. Trzy miesiące później przyprowadzono go skutego łańcuchami. Mimo śmigającego nad jego głową bata wszystkim wydało się, że widzą w jego oczach błysk dumy.

W górach Collserola i na przecinającym je trakcie, zbudowanym jeszcze przez Rzymian, by połączyć Ampurias z Tarragoną, Bernat cieszył się wolnością oraz... morzem! Nigdy wcześniej nie widział — nawet oczami wyobraźni — takiego ogromu ciągnących się bez końca wód. Wiedział, że za morzem leżą katalońskie lądy — tak twierdzili wędrowni kupcy. Po raz pierwszy w życiu miał przed sobą coś, czego nie mógł objąć wzrokiem. „Za tamtą górą. Na drugim brzegu tej rzeki” — do tej pory zawsze mógł wskazać pytającemu o drogę konkretne miejsce lub punkt. Powiódł spojrzeniem po linii horyzontu stykającej się z morzem. Stał przez chwilę, zapatrzony w siną dal, głaszcząc główkę Arnaua i jego niesforne włoski, które tak urosły podczas ich pobytu w lesie.

Następnie skierował wzrok tam, gdzie morze łączy się z lądem. Tuż przy brzegu, obok wysepki Maians, dojrzał pięć statków. Dotąd widywał statki tylko na obrazkach. Na prawo wnosił się szczyt Montjuic, podmywany przez morskie fale. Pod nim rozciągały się pola i równiny, a za nimi — Barcelona. Od środka miasta, wyznaczonego przez niewielki pagórek mons Taber, rozchodziły się na wszystkie strony domy i setki budynków: niektóre były nizinne, przytulone do znacznie wyższych sąsiadów, inne — pałace, kościoły, klasztory... — oszałamiały wielkością. Bernat próbował zgadnąć, ile osób mieszka w Barcelonie. Miasto miało wyraźnie zarysowane granice, wyglądało jak ul otwarty tylko od strony morza, z innych stron otoczony murami, za którymi widać było pola. Znajomi chłopci twierdzili, że żyje tu czterdzieści tysięcy osób.

— Ludzie Llorenca nie znajdują nas w tym mrowisku — szepnął Bernat i spojrzał na Arnaua. — Będziesz wolnym człowiekiem, synu.

Ukrzył się w Barcelonie. Bernat postanowił odszukać siostrę, wiedział jednak, że najpierw będzie musiał przejść przez miejską bramę. A jeśli pan Navarcles rozesłał za nim listy gończe? No i to znamie... Rozmyślał o tym przez trzy noce, pokonując mile dzielące grotę Estany olów od miasta. Teraz przysiadł na trawie i sięgnął po zająca, ustrzelonego niedawno z kuszy. Poderżnął szarakowi gardło i pozwolił, by krew kapnęła mu na dłoń, do której nabral trochę ziemi. Poczekał, aż mieszanina zacznie zasychać, po czym rozsmarował ją sobie na prawym oku. Następnie schował zająca do sakwy.

Gdy mazidło przemieniło się w strup, uniemożliwiający otwarcie oka, Bernat skierował się w dół ku bramie Świętej Anny, należącej do najbardziej na północ wysuniętego odcinka murów zachodnich. Do miasta ciągnął gościńcem zbity tłum. Bernat, powłócząc nogami, ustawił się w kolejce, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Tulił dziecko, które zdążyło już się obudzić. Bosy chłop zgięty w pół pod ciężarem wielkiego wora rzepy odwrócił głowę w jego stronę. Bernat się uśmiechnął.

— Trąd! — wrzasnął wieśniak, ciskając wórn na drogę i odskakując na bok.

Tłum, aż po samą bramę, rozpierzchnął się w mgnieniu oka. Na opustoszałym gościńcu zostały tylko porzucone w panice sprzęty, tobołki z jedzeniem, dwukółki i kilka mułów. Na środku tego pojowiska miotali się ślepcy, żebrzący zwykle pod bramami miasta.

Arnau wybuchnął płaczem. Bernat zobaczył, że strażnicy sięgają po miecze i pospiesznie za-

mykają bramę.

— Idź do leprozorium! — krzyknął ktoś w jego stronę.

— Nie jestem trędowaty! — zaprotestował Bernat. — Po prostu wbilem sobie do oka gałąź. Patrzcie! — Unosił ręce i poruszył palcami. Następnie położył Arnaua na ziemi i zaczął się rozierać. — No, patrzcie! — powtórzył, pokazując umięśnione, zdrowe, wolne od ran, wrzodów i znamion ciało. — Sami widzicie! Jestem zwykłym wieśniakiem, szukam lekarza, który wyleczy mi oko, bym mógł wrócić do pracy.

Podszedł do niego jeden ze strażników. Dowódca musiał wypchnąć go siłą z bramy. Zatrzymał się kilka kroków od podejrzanego i zaczął uważnie mu się przyglądać.

— Obróć się — rozkazał, zataczając palcem koło. Bernat spełnił polecenie. Strażnik odwrócił się do dowódcy

i pokręcił głową. Z bramy wskazano mieczem na zawiniątko u stóp Bernata.

— A dziecko?

Bernat schylił się i podniósł Arnaua. Rozebrał go, przyciskając do piersi jego prawy policzek, po czym wyciągnął w stronę strażnika, trzymając główkę tak, by zasłonić palcami znamię nad okiem.

Żołnierz znowu odwrócił się ku bramie i pokręcił głową.

— Zakryj lepiej tę ranę, wieśniaku — poradził. — W przeciwnym razie niedaleko zajdziesz.

Ludzie znowu wysypali się na drogę. Otworzono bramy. Chłop z rzepą pozbiierał swój dobytek, omijając Bernata wzrokiem.

Bernat przeszedł przez bramę z prawym okiem przepasanym koszulką Arnaua. Strażnicy odprowadzili go spojrzeniem. Jakże ma nie zwracać na siebie uwagi w takim przebraniu? Po lewej stronie minął kolegiatę Świętej Anny i dreptał dalej z wlewającą się do miasta cizbą, po czym skręcił w prawo na plac o tej samej nazwie. Szedł ze spuszczoną głową... W miarę jak wieśniacy rozchodzili się po mieście, sprzed jego oczu zaczęły znikać bosa stopy, łapcie i espadryle. Jego wzrok napotkał nagle łydki obciążone ogniste czerwonymi pończochami z jedwabiu i obute w zielone trzewiki z delikatnej materii, bez podeszwy, dopasowane do stopy i zakończone długim szpicem, przywiązany m do kostki złoty m łańcuszkiem.

Odruchowo podniósł głowę i zobaczył mężczyznę w kapeluszu, odzianego we wspaniałe czarne szaty kąpiące złotem i srebrem, z pasem haftowanym złotą nicią oraz ze skórzanymi wykończeniami haftowanymi perłami i drogimi kamieniami. Bernat wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Strojnis odwrócił się w jego stronę, ale zdawał się go nie dostrzegać, zupełnie jakby był powietrzem.

Bernat zawahał się, spuścił wzrok i odetchnął z ulgą, widząc, że przechodzień nie zwrócił na niego uwagi. Ruszył dalej ulicą w stronę wznoszonej właśnie katedry. Podniósł ostrożnie głowę. Nikt na niego nie patrzył. Przez dłuższą chwilę przyglądał się robotnikom ciosającym kamienie, uwijającym się na wysokich rusztowaniach wokół katedry, wciągającym na krążkach wielkie kamienne bloki... Z zamyślenia wyrwał go dopiero płacz Arnaua.

— Dobry człowieku — zagadnął przechodzącego obok robotnika — kórędy do dzielnicy garnarczy? — Mąż jego siostry Guiamony był garnarczem.

— Idź prosto — zaczął tłumaczyć mu pospiesznie robotnik — aż do placu Świętego Jakuba, który poznasz po studni. Potem skręcisz w prawo i będziesz szedł prosto do nowych murów i do bramy Boqueria. Nie wchodź do dzielnicy Raval, tylko idź wzdłuż murów, kierując się ku morzu, aż

do bramy Trentaclus. Tam właśnie zaczyna się dzielnica garncarzy.

Bernat na próżno starał się spamiętać wszystkie nazwy. Gdy chciał ponownie zagadnąć robotnika, ten zniknął już w tłumie.

— Prosto aż do placu Świętego Jakuba — powtórzył, zwracając się do Arnaua. — Tyle zdążyłem zapamiętać. A potem mamy skręcić w prawo, prawda, synku?

Głos ojca działał na Arnaua kojąco. Sprawiał, że dziecko natychmiast przestawało płakać.

— I co teraz? — spytał głośno Bernat, wyszedłszy na kolejny plac, plac Świętego Michała. — Robotnik nie wspomniał o tym miejscu, ale niemożliwe, byśmy pobłądzili. — Próbował pytać o drogę przechodniów, ale nikt nie przy stanął. — Wszystkim się tu bardzo spieszy — informował właśnie synka, gdy dostrzegł mężczyznę stojącego do niego tyłem przed wejściem do... Do zamku? — Ten tu nie wygląda na zabieranego, może tym razem nam się uda...

— Dobry człowieku... — zagadnął, dotykając czarnej peleryny na plecach nieznanego.

Mężczyzna się odwrócił. Bernat aż podskoczył i Arnau, uczipiony piersi ojca, również się wzdygnął.

Stary Żyd pokręcił z rezygnacją głową; oto skutek ognistych kazań chrześcijańskich księży.

— Tak? — zapytał.

Bernat nie mógł oderwać oczu od czerwono-żółtego krążka na ubraniu starca. Zjrzał do wnętrza budowli, którą dopiero co wziął za obwarowany zamek. Zobaczył tam tylko i wyłącznie Żydów! Wszyscy mieli na piersiach taki sam znak. Można z nimi rozmawiać?

— W czym mogę ci pomóc? — zapytał ponownie starzec.

— Któż... którędy do dzielnicy garncarzy?

— Cały czas prosto. — Starzec machnął ręką. — Aż do bramy Boqueria. Potem pójdziesz wzdłuż murów w kierunku wybrzeża. Gdy dojdiesz do następnej bramy, będziesz już na miejscu.

Bądź co bądź, Kościół piętnuje tylko stosunki cielesne z Żydami. Dlatego każe im nosić ten znak na piersiach, by nikt nie tłumaczył, że nie wiedział, z kim ma do czynienia. Księża grzmią na Żydów, tymczasem ten starzec...

— Dziękuję, dobry człowieku — powiedział Bernat z uśmiechem.

— Nie ma za co — usłyszał w odpowiedzi. — Jednak na przyszłość nie zagaduj nas na ulicy, a tym bardziej nie uśmiej się do nas. To może się dla ciebie źle skończyć. — Żyd wykrzywił usta ze smutkiem.

W bramie Boqueria Bernat napotkał liczną grupkę kobiet kupujących w jatce podroby drobiowe i koźlęcinę. Przyglądał się przez chwilę, jak wybrzydają i targują się z rzeźnikami. „Oto mięso, które spędza sen z powiek naszemu panu”, mruknął do syna i zaśmiał się na wspomnienie Llorenca de Bellera. Nieraz widział, jak próbuje zastraszyć pasterzy i hodowców zaopatrujących stolicę w mięso i nasyła na nich konnych! Zawsze jednak kończyło się na pogroźkach. Do Barcelony wpuszczano tylko żywe zwierzęta, dlatego dostawcy mięsa mieli prawo wypasać stada na terenie całego księstwa.

Bernat obszedł targowisko i ruszył ku bramie Trentaclus. Ulice były tu szersze, coraz więcej było na nich glinianych wyrobów: talerzy, mis, saganów, dzbanów i cegieł suszących się na słońcu.

— Szukam domu Graua Puiga — rzekł do jednego z wartowników strzegących bramy.

Puigowie byli sąsiadami Estany olów. Bernat przypomniał sobie Graua, czwartego z ośmiorga wiecznie głodnych dzieciaków, które nie mogły się wyżywić z poletek uprawianych przez rodzinę.

Matka Bernata ceniła starą Puigową, która pomogła Bernatowi i Guiamonie przyjąć na świat. Grau był najbystrzejszy i najpracowitszy z całego rodzeństwa, dlatego gdy Josep Puig uprosił krewnego garncarza z Barcelony, by pozwolił jednemu z jego synów terminować w swoim warsztacie, wybór padł na dziesięcioletniego Graua.

Ale skoro stary Puig nie potrafił wyżywić rodziny, tym bardziej nie stać go było na danie koca białej pszenicy i dziesięciu soldów na utrzymanie Graua podczas pięcioletniej nauki rzemiosła. Do tego dochodziły dwa soldy dla Llorenca za uwolnienie poddanego oraz ubranie dla Graua, bo według umowy, majster zapewniał uczniowi przy odziewek tylko przez trzy ostatnie lata.

Dlatego stary Puig zawitał na folwark Estanyolów w towarzystwie Graua, nieco starszego od Bernata i jego siostry. Szalony Estanyol wysłuchał z uwagą propozycji Josepa Puiga: jeśli przekaże córce w posagu potrzebną sumę i wypłaci ją Grauowi już teraz, ten, gdy tylko skończy osiemnaście lat i zostanie czeladnikiem garncarskim, ożeni się z Guiamoną. Szalony Estanyol przyjrzał się wyrostkowi. Gdy Puigowie nie mogli związać końca z końcem, przysyłali mu go do pomocy w polu. Chłopak nigdy nie żądał zapłaty, ale i tak zawsze wracał do domu z pęczkiem jarzyn czy garncem zboża. Estanyol miał do niego zaufanie. Dlatego przystał na propozycję sąsiada.

Po pięciu ciężkich latach terminowania Grau zdobył stopień czeladnika. Nadal pracował pod kierunkiem dawnego majstra, który, zadowolony z podwładnego, zaczął mu wypłacać pensję. Grau dotrzymał obietnicę i skończywszy osiemnaście lat, ożenił się z Guiamoną.

— Synu — zwrócił się pewnego dnia szalony Estanyol do Bernata — postanowiłem dać Guiamonie nowy posag. Nas jest tylko dwóch i mamy najżyźniejsze i najbardziej rozległe ziemie w okolicy. A twoja siostra potrzebuje zapewne pieniędzy.

— Ojciec — przerwał mu Bernat — nie musicie pytać mnie o zdanie.

— Guiamona już raz dostała posag. Jesteś moim jedynym spadkobiercą i majątek należy do ciebie.

— Czyńcie, co uważacie za stosowne.

Cztery lata później dwudziestodwuletni Grau złożył egzamin mistrzowski przed czteroosobowym trybunałem cechowym. Pod bacznym okiem cechmistrzów wykonał pierwsze samodzielne prace — dzban, dwa talerze oraz misę — i otrzymał stopień majstra, który pozwolił mu otworzyć warsztat w Barcelonie i posługiwać się własną pieczęcią, przybijaną od tej pory, na wypadek ewentualnych reklamacji, na wszystkich jego wyrobach. Zgodnie z katalońskim znaczeniem słowa *puig*, Grau umieścił na swoim znaku firmowym górę.

Grau i oczekująca dziecka Guiamona zamieszkali w jednopiętrowym domku w dzielnicy garncarzy, zlokalizowanej królewskim dekretem na zachodnich obrzeżach Barcelony, między starymi murami miejskim i nowszymi fortyfikacjami wzniesionymi przez Jakuba I. Dom kupili z posagu Guiamony, odkładanego specjalnie na ten upragniony cel.

W tym domku — będącym jednocześnie warształem i mieszkaniem, gdzie łóżka stały obok pieca do wypalania gliny — Grau rozpoczął pracę w chwili, gdy prężny rozwój katalońskiego handlu rewolucjonizował garncarski fach, skłaniając do specjalizacji, której opierało się wielu przywiązanych do tradycji rzemieślników.

— Będziemy robili dzbany i amfory — oznajmił Grau. — Wyłącznie dzbany i amfory. — Wzrok Guiamony spoczął na czterech wyrobach, które zapewniły jej mężowi tytuł mistrza garncarstwa. — Napatrzyłem się na kupców, którzy błagali moich kolegów z cechu o amfory na oliwę, miód czy wino, a ci odprawiali ich z kwitkiem, bo mieli piece zawałone wymyślnymi kafla-

mi, polichromowany mi zastawami stołowymi dla możnych i flakonami dla aptekarzy.

Guiamona musnęła palcami cztery naczynia. Jakie ładnie! Gdy uszczęśliwiony Grau podarował jej po egzaminie te cacka, myślała, że jej dom będzie od tej pory pełen takich właśnie cudniek. Zachwycali się nimi nawet sami cechmistrzowie. Tymi czterema przedmiotami Grau dowiedział, że posiadał tajniki garncarskiego rzemiosła. Dżban, dwa talerze i misa, powleczone białą warstwą cyny i ozdobione zygzakami, gałązkami palmowymi, rozetami i lilijkami, mieniły się kolorami tęczy: charakterystyczną miedzianą zielenią, nieodzowną w pracy każdego szanującego się garncarza z Barcelony, purpurą i fioletem manganu, czernią żelaza, błękitem kobaltu i żółcią antymonu. Każda kreska, każdy zawijas miały inny kolor. Guiamona z drżeniem czekała, aż zostaną wyjęte z pieca, bojąc się, że popękają w wysokiej temperaturze. Na zakończenie Grau powlekł je przezroczystą warstewką wodoodpornego lakieru z zeszkłonego ołowiu. Guiamona jeszcze raz musnęła opuszkami palców ich gładką powierzchnię. A teraz... miał robić tylko i wyłącznie amfory.

Grau podszedł do żony.

— Nie martw się — próbował ją pocieszyć. — Dla ciebie nadal będę robił takie cudnieka.

Decyzja Graua okazała się strzałem w dziesiątkę. Napelnił przydomową suszarnię dżbanami i amforami, a kupcy szybko zwindzieli się, że w jego niewielkim warsztacie zaspokoją swe garncarskie potrzeby i nie będą już musieli nadskakiwać zadufanym majstrom.

Nic więc dziwnego, że dom, przed którym stał teraz Bernat — trzymając na rękach Arnaua, znów się domagającego jedzenia — w niczym nie przypominał pierwszego domku-warsztatu Graua i Guiamony. Był to wielki trzypiętrowy budynek. Na wychodzącym na ulicę parterze znajdował się warsztat, na pierwszym i drugim piętrze mieszkanie majstra. Do domu przylegał ogród i warzywnik, komórki sąsiadujące z piecami garncarskimi oraz wielkie, niezadaszone podwórze, zastawione nieprzebraną ilością dżbanów i amfor wszystkich rodzajów, rozmiarów i kolorów. Za domem, zgodnie z zarządzeniem władz miejskich, składowano glinę i inne surowce. Gromadzono tam również popiół oraz odpady, których prawo zabraniało garncarzom wyrzucać na ulicę.

W warsztacie uwijało się jak w ukropie dziesięciu pracowników. Bernat nie dostrzegł wśród nich Graua, zwrócił natomiast uwagę na dwóch mężczyzn, którzy żegnali się właśnie przy bramie, obok załadowanej nowiutkimi amforami fury zaprzężonej w woły. Jeden z nich wskoczył na wóz i odjechał, drugi, elegancko ubrany, skierował się do warsztatu.

— Poczekajcie! — krzyknął za nim Bernat. — Szukam Graua Puiga — wyjaśnił, zbliżając się.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Jeśli chcesz prosić go o pracę, marnujesz czas. Czas majstra — burknął niezyczliwie — a przy okazji i mój — dodał i ruszył przed siebie.

— Jestem krewnym majstra.

Mężczyzna zamarł, a potem odwrócił się gwałtownie.

— Dość już pieniędzy od niego wyłudziłeś! Daj mu wreszcie święty spokój! — rzucił przez zaciśnięte zęby i odepchnął Bernata. Arnau wybuchnął płaczem. — Przecież cię ostrzegano, że jeśli nadal będziesz nachodził majstra, zajmą się tobą władze. Chyba wiesz, że Grau Puig jest wpływową osobistością...

Mężczyzna odpychał Bernata, który cofał się, nic nie rozumiejąc.

— Ale posłuchajcie — próbował tłumaczyć — ja... Arnau darł się wniebogłosy.

— Nie rozumiesz po dobroci? — mężczyzna próbował przekrzyknąć płaczące niemowlę. Nagle z ostatniego piętra domu dobiegły jeszcze głośniejsze krzyki.

— Bernat! Bernat!

Spojrzeni na kobietę, która wychylała się z okna, machając w ich stronę.

— Guiamona! — krzyknął Bernat, odpowiadając na jej pozdrowienie.

Gdy kobieta znikła w głębi domu, Bernat zmrużył oczy i spojrzał na swego prześladowcę.

— To pani Guiamona cię zna? — zdziwił się tamten.

— Jestem jej bratem — oznajmił chłodno Bernat. — I wiedz, że niczego od nikogo nie wyludzam.

— Przepraszam. — Mężczyzna był wyraźnie zmieszany. — Wziąłem cię za brata majstra. Nachodzą go na zmianę i bez końca domagają się pieniędzy...

Na widok biegnącej siostry Bernat przerwał mu w pół słowa i rzucił się, by ją uściskać.

— A Grau? — zapytał Bernat, obmywszy oko z krwi i oddawszy Arnaua arabskiej niewolnicy, która opiekowała się najmłodszymi dziećmi Guiamony. Przez chwilę przyglądał się, jak malec pochłania kaszkę na mleku. — Chciałbym się z nim przywitać.

Guiamona spoważniała.

— Coś się stało? — zdziwił się Bernat.

— Grau bardzo się zmienił. Teraz jest bogaty i wpływowy. — Guiamona wskazała kufrы stojące rzędem pod ścianą, szafę oraz zastawiony książkami i wyrobami ceramicznymi mebel, jakiego Bernat nigdy wcześniej nie widział, na zasłaną dywanami podłogę oraz na kobierce i kotary wiszące na ścianach i w oknach. — Już się prawie nie zajmuje warszatem. Zastępuje go Jaime, podmajstry, z którym przed chwilą rozmawiałeś. Grau poświęcił się handlowi. No, wiesz, wino, oliwa, statki... Teraz należy do starszych cechu, więc wedle Usatges, katalońskiego kodeksu praw, jest patrycjuszem i prominentem miejskim, łąda dzień mają go mianować członkiem Rady Stu. — Guiamona omiotła izbę nieobecny m spojrzeniem. — To już nie ten sam Grau.

— Ty też bardzo się zmieniłaś — zauważył Bernat. Guiamona popatrzyła na swą figurę matrony i przytaknęła z uśmiechem. — Ten Jaime — Bernat zmienił temat — napomknął coś o krewnych Graua. Co miał na myśli?

Guiamona pokręciła głową i zaczęła opowiadać:

— Gdy rozeszła się wieść, że Grauowi świetnie się powodzi, wszyscy jego bracia, kuzy ni, siostrzeńcy i bratankowie poczęli ściągać do Barcelony. Porzucali wieś i przychodzili prosić Graua o pomoc. — Guiamona zauważyła zmieszanie na twarzy brata. — Ty też? — Bernat przytaknął. — Ale... Przecież mieliśmy wspaniałe gospodarstwo!

Guiamona zalała się łzami, słuchając opowieści brata. Gdy dowiedziała się o chłopaku z zamkowej kuźni, wstała i uklękła obok Bernata.

— Nie mów o tym nikomu — poradziła, po czym położyła głowę na jego kolanach. — Nie martw się — załkała, gdy Bernat skończył. — Pomożemy ci.

— Siostrzyczko — rzekł Bernat, gładząc Guiamonę po włosach — przecież Grau nie pomógł nawet rodzonym braciom...

— Bo Bernat to co innego! — krzyknęła Guiamona z taką furią, że Grau aż się cofnął.

Wrócił do domu dopiero po zmroku. Ten drobny człowieczek wbiegł po schodach rozjuszony, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Guiamona czekała na niego. Jaime powiedział mu o wszystkim jeszcze na podwórzu: „Wasz szwagier śpi z terminatorami, a jego syn... z waszymi

dziećmi”.

Grau ruszył czym prędzej do żony.

— Jak mogłaś?! — wrzasnął, wysłuchawszy jej wyjaśnień. — To zbiegły chłop pańszczyźniany! Wiesz, co się stanie, jeśli ktoś się dowie? To będzie koniec mojej kariery! Rozumiesz? Koniec!

Guiamona patrzyła w milczeniu na piekącego się i wymachującego rękami męża. Przerastała go o głowę.

— Rozum ci odjęło?! Własnych braci wpakowałem na statek i wysłałem za granicę. Krewniaczkom na wydaniu dałem posag, żeby wyszły za cudzoziemców i nikt nie wycierał sobie gęby moją rodziną, a ty... Dlaczego miałbyś darzyć szczególnie mi względami twojego brata?

— Bo Bernat to co innego! — krzyknęła Guiamona ku zdumieniu męża.

Grau się zawahał.

— Co...? Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli. Chyba nie muszę ci przypominać...

Grau spuścił wzrok.

— Akurat dzisiaj — mruknął — namawiałem jednego z pięciu rajców miejskich, by wybrano mnie jako cechmistrza garncarzy na członka Rady Stu. Zjednałem już sobie trzech z nich, muszę jeszcze tylko przekonać burmistrza i naczelnika miasta. Wyobraź sobie radość moich wrogów, jeśli się wyda, że ukrywam zbiegłego chłopca...

— Wszystko, co mamy, zawdzięczamy właśnie jemu — przemówiła słodko Guiamona.

— Jestem tylko rzemieślnikiem, Guiamono. Zwykłym, choć bogatym rzemieślnikiem. Możliwość gardzą, kupcy mnie nienawidzą, choć chcąc nie chcąc, muszą ze mną trzymać. Jeśli wyjdzie na jaw, że udzielam schronienia zbiegowi... Pomyśl tylko, co powiedzą moiżni ziemianie.

— Wszystko, co mamy, zawdzięczamy mojemu bratu — powtórzyła Guiamona.

— Dobrze, dajmy mu więc pieniądze i niech sobie idzie.

— Bernat chce być wolny. Musi przeczekać rok i jeden dzień...

Grau chodził nerwowo po pokoju. Uniósł ręce do twarzy.

— Nie możemy — powiedział przez palce. — Nie możemy, Guiamono — powtórzył, zerkając na żonę. — No, pomyśl tylko...

— Pomyśl tylko! Pomyśl tylko! — przerwała mu zirytowana Guiamona. — A ty pomyślałeś, co będzie, jeśli go wypędzimy i wpadnie w ręce pana Navarcles czy chociażby twoich wrogów? Wszyscy się dowiedzą, że zawdzięczasz karierę zbiegłemu chłopu pańszczyźnianemu i posagowi, który wcale mi się nie należał.

— Grozisz mi?

— Nie, bynajmniej, ale dokumenty wszystko potwierdzą. Wszystko zostało zapisane, Grau. Powinieneś pomóc mojemu bratu, jeśli nie z wdzięczności, to przynajmniej kierując się zdrowym rozsądkiem. Lepiej mieć go na oku. Chce być wolnym człowiekiem, więc i tak nie opuści Barcelony. Jeśli go wygnasz, będzie błąkał się po mieście, a jego znamię nad prawym okiem, dokładnie takie jak moje, może zwrócić uwagę twych wrogów, których tak się lękasz.

Grau Puig spojrział przenikliwie na żonę. Chciał coś powiedzieć, ale machnął tylko ręką i wypadł z pokoju. Guiamona słyszała, jak wchodzi po schodach do sypialni.



5

— Twój syn zostanie u państwa, donia Guiamona weźmie go na wychowanie. Gdy podrośnie, będzie się uczył na garncarza.

Bernat nie słuchał już podmajstrzego. Jaume wszedł o świcie do izby sypialnej. Niewolnicy i terminatorzy skoczyli na równe nogi, jakby ukazał im się sam bies, i wypadli z izby, potrącając się nawzajem. Bernat pomyślał, że Arnau będzie pod dobrą opieką, a z czasem zostanie terminatorem garncarstwa i wolnym rzemieślnikiem.

— Słyszysz, co się do ciebie mówi? — niecierpliwził się Jaume. Zaklął, nie mogąc doczekać się odpowiedzi: — Cholerni wieśniacy!

Bernat już, już miał się na niego rzucić, ale powstrzymał go uśmiezek na jego twarzy.

— Tylko spróbuj mnie dotknąć — syknął Jaume — a wylecisz na zbity pysk. Nie pomoże ci nawet protekcja siostry. Powtarzam ci, wieśniaku, zasady: będziesz pracował od świtu do nocy, jak wszyscy, za dach nad głową przyodziewek i strawę. I za to, że donia Guiamona zaopiekuje się twoim synem. Nie możesz wchodzić do domu majstra. Nie wolno ci też wyściubiwać nosa z warsztatu, zanim upływie rok i użyskasz prawa wolnego obywatela. Będziesz musiał się chować, ilekroć przyjdzie ktoś nieznamy, i nie możesz opowiadać o sobie nikomu, nawet pozostałym robotnikom. Chociaż z tym znamieniem... — Jaume pokręcił głową. — Tak zarządzili majster i donia Guiamona. Co ty na to?

— Kiedy będę mógł zobaczyć syna? — zapytał Bernat.

— To już nie moja sprawa.

Bernat przymknął oczy. Gdy po raz pierwszy zobaczył Barcelonę, obiecał Arnauowi wolność. Jego syn nie będzie miał pana.

— Co mam robić? — spytał w końcu.

Nosił chrust. Dźwigał drwa, setki, tysiące drewna, i podtrzymywał ogień w piecach. Nosił glinę i czyścił warsztat z błota i glinianego pyłu, wymiatał popiół z pieców. Złany potem pucował warsztat i wynosił popiół za dom. Gdy wracał, umorusany sadzą i pyłem, warsztat znowu tonął

w brudzie i musiał zaczynać od nowa. Razem z niewolnikami wynosił świeżo ulepione naczynia na słońce, zawsze pod bacznym okiem podmajstrzego, który doglądając warsztatu, przechadzał się wśród pracowników i pokrzykiwał, policzkował terminatorów i z byle powodu okładał batem niewolników.

Kiedyś, gdy Bernat niósł z niewolnikami do suszarni wielką amforę, naczynie wysliznęło im się z rąk i potoczyło po ziemi. Jaume rzucił się z batem na winowajców. Amfora nawet się nie wyszczerbiła, ale podmajstrzy, wrzeszcząc jak opętany, zaczął okładać bezitośnie niewolników. W pewnej chwili podniósł bat również na Bernata.

— Uderz, a zabiję — zagroził Estany ol, spoglądając na niego hardo.

Jaume zawahał się, spłoszował i strzelił z bata w kierunku towarzyszy Bernata, którzy zdążyli już odsunąć się na bezpieczną odległość. Podmajstrzy puścił się za nimi w pogoń. Bernat odetchnął głęboko, odprowadzając go wzrokiem.

Pracował bardzo ciężko i nie trzeba było stać nad nim z batem. Nie wybrzydzał przy posiłkach, choć miał czasami ochotę powiedzieć usługującej im opasłej kobiecie, że jego psy jadają lepiej. Jednak na widok terminatorów i niewolników rzucających się łapczywie na strawę wołał trzymać język za zębami. Spał we wspólnej izbie na sienniku, pod którym przechowywał swój lichej dobytek i sakiewkę zabraną z Navarces. Odkąd postawił się podmajstrzemu, niewolnicy, terminatorzy i czeladnicy darzyli go szacunkiem, mógł więc spać spokojnie mimo pcheł, odgłosów chrapania i smrodu spoconych ciał.

Znosił to wszystko z myślą o dwóch dniach w tygodniu, gdy arabska niewolnica przyносиła mu, za zgodą Guiamony, syna. Arnau zazwyczaj spał. Bernat brał go na ręce i rozkoszował się zapachem jego czystej bielizny i dziecięcych pachnidel. Delikatnie, nie chcąc obudzić synka, rozsuwał ubranka i podziwiał jego pulchne nóżki, rączki, pełny brzusek. Arnau rósł i przybierał na wadze. Bernat tulił go i spoglądał błagalnie na Habibę, młodą niewolnicę, prosząc o dodatkową chwilkę. Czasami chciał pogłaskać synka, ale jego szorstkie ręce ranily delikatną skórę dziecka i wtedy Habiba zabierała mu malca. Z czasem zawarł z niąką cichą umowę (Arabka nigdy się do niego nie odzywała) i gładził zarumienione policzki syna odwrotną stroną dłoni. Dotyk jego skóry przyprawiał go o drżenie. Gdy służąca dawała znak, że czas się żegnać, Bernat całował syna w czoło.

Po kilku miesiącach Jaume stwierdził, że Bernat może wykonywać bardziej odpowiedzialne zadania. Nauczyli się wzajemnie szanować.

— Niewolnicy to banda gamoni — powiedział kiedyś Grauowi. — Pracują tylko ze strachu przed batem, nic ich nie obchodzi sam fach. Ale wasz szwagier...

— Nie nazywaj go moim szwagrem! — zrugął go, zresztą nie po raz pierwszy, Puig. Jaume lubił wspominać mu pokrewieństwo z Bernatem.

— Przepraszam, wieśniak.. — poprawił się starszy czeladnik, udając zakłopotanie. — Ten wieśniak ma zupełnie inne podejście, przykładą się nawet do najbardziej błahych prac. Czyści piece tak starannie, że nigdy dotąd...

— Co w związku z tym proponujesz? — przerwał mu Grau, zatopiony w dokumentach.

— Można mu powierzyć bardziej odpowiedzialne zadania. Skoro kosztuje nas tak niewiele...

Grau spiorunował podwładnego wzrokiem.

— Mylisz się — powiedział — nie kupiłem go jak niewolnika, nie podpisałem z nim umowy terminatorzkiej i nie placę mu jak czeladnikowi, ale to mój najdroższy robotnik

— Miałem na myśli...

— Wiem, co miałeś na myśli. — Grau znowu zaczął przeglądać papiery. — Rób, co chcesz, pod jednym warunkiem: ten wieśniak musi pamiętać, gdzie jest jego miejsce. W przeciwnym razie stracisz pracę i nigdy nie zostaniesz majstrem. Zrozumiano?

Jaume skinął głową. Od tej pory Bernat pracował ramię w ramię z czeladnikami. Zlecano mu nawet zadania, których nie powierzano młodym terminatorom, zbyt słabym, by udźwignąć nieporęczne i ciężkie formy z ognioodpornej gliny. Formy te, w których wypalano fajans i ceramikę, służyły do wyrobu wielkich, pękatych amfor o wąskiej i krótkiej szyjce oraz płaskiej, zwężającej się podstawie, mogących pomieścić nawet dwieście osiemdziesiąt² litrów ziarna lub wina. Dotychczas przy wyrobie takich naczyń asystowało co najmniej dwóch czeladników, ale dzięki pomocy Bernata jeden doświadczony rzemieślnik wystarczał do całego procesu, który polegał na ulepieniu i wypaleniu formy, pokryciu naczynia warstwą topnika z tlenku cyny i ołowiu, ponownym wypaleniu go w niższej temperaturze, tak by cyna i ołów stopiły się i oblały naczynie, tworząc na jego powierzchni białe, wodoodporne szkliwo.

Jaume śledził efekty wprowadzonych zmian i gratulował sobie pomysłu. Wydajność warsztatu wyraźnie wzrosła, a Bernat nadal przykładał się do pracy. Bardziej niż niejeden tytułowany rzemieślnik! — musiał przyznać, podchodząc do Bernata i czeladnika, by odbić znak mistrza pod przewężeniem nowej amfory.

Jaume próbował wyczytać z oczu wieśniaka, o czym myśli. W jego spojrzeniu nie było nienawiści ani urazy. Zastanawiał się, co sprawiło, że znalazł się w takim położeniu. Nie przypominał innych krewnych majstra, którym chodziło wyłącznie o pieniądze. Tymczasem Bernat... Jak on tulił swego syna! Marzył o wolności i potrafił na nią ciężko zapracować, ciężiej niż ktokolwiek inny.

Odwzajemniona sympatia podmajstrzego do Bernata zaowocowała nie tylko zwiększeniem wydajności warsztatu. Pewnego razu, gdy Jaume już, już miał odbić stempel na nowym naczyniu, Bernat zmrużył oczy i wbił wzrok w podstawę amfory.

„Nigdy nie zostaniesz majstrem!”, zagroził Grau. Słowa te rozbrzmiewały w głowie podmajstrzego, ilekroć chciał potraktować Bernata nieco serdeczniej.

Udał napad kaszlu. Odsunął się od amfory i spojrzał w kierunku wskazanym przez wieśniaka. Zobaczył małe pęknięcie, które spowodowałoby zniszczenie naczynia podczas wypalania. Wpadł w gniew, który wyładował na czeladniku i na... Bernacie.

Upłynął rok i jeden dzień. Bernat i jego syn byli już wolnymi obywatelami Barcelony, a uszczęśliwiony Grau Puig został nareszcie członkiem Rady Stu. Podmajstrzemu zdawało się, że Bernat obojętnie przyjął swój nowy status. Każdy inny wystąpiłby natychmiast o glejt obywatelski i ruszył na ulice Barcelony w pogoni za rozrywkami i kobietami. Każdy, ale nie Bernat. Co gryzie tego wieśniaka?

Bernat nie mógł zapomnieć o chłopcu z zamkowej kuźni. Nie miał wyrzutów sumienia — nieśczęsny czeladnik zagrażał jego synowi. Ale jeśli go zabił... Był już wolny, ale rok i jeden dzień nie wystarczą, by uniknąć kary za morderstwo. Idąc za radą siostry, nie powiedział nikomu o tym wydarzeniu. Nie mógł ryzykować, na wypadek gdyby Llorenç de Bellera ścigał go nie tylko za porzucenie folwarku, ale również za zabójstwo. A jeśli zostanie pojmany, co stanie się z jego synem? Mordercę czeka kara śmierci.

Arnau rósł zdrowy i silny. Jeszcze nie mówił, ale raczkował i gaworzył tak, że jego ojciec ze

wzruszenia dostawał gęsiej skórki. Choć Jaume nadal nie spoufaliał się z Bernatem, jego nowa pozycja w warsztacie — o której Grau, pochłonięty interesami i obowiązkami w radzie miejskiej, nie miał pojęcia — sprawiała, że szanowano go jeszcze bardziej. Również Guiamona, bardzo zajęta w związku z nowym stanowiskiem męża, pozwoliła niańce przynosić mu częściej dziecko, które teraz już nie spało podczas ich spotkań.

Jednak dla dobra syna Bernat nadal musiał się ukrywać.

CZEŚĆ DRUGA



SŁUDZYMOŻNYCH



6

Barcelona, Boże Narodzenie 1329 roku

Arnau miał już osiem lat. Wyrósł na grzecznego i roztropnego chłopca. Kędzierzawe kasztanowe włosy spływały mu na ramiona, okalając ładną buzię, w której zwracały uwagę duże, błyszczące oczy barwy miodu.

Dom Graua Puiga był udekorowany na Boże Narodzenie. Puigowi, który dzięki pomocy hojnego sąsiada opuścił dom rodzinny jako dziesięcioletek, poszczęściło się w Barcelonie. Teraz czekał z żoną na gości.

— Chcą wkraść się w moje łaski — rzekł do Guiamony. — Proszę, proszę, moi i kupcy wierzają pod dachem rzemieślnika...

Guiamona słuchała go w milczeniu.

— Nawet król mnie popiera. Rozumiesz, co to znaczy? Król we własnej osobie! Sam król Alfons.

Tego dnia nie pracowano w warsztacie, więc Bernat i Arnau marzli na dziedzińcu zastawionym glinianymi naczyniami, patrząc, jak niewolnicy, czeladnicy i terminatorzy pojawiają się i znikają w sieni Puigów. Przez osiem lat Bernat nie przekroczył Progu domu. I co z tego? — myślał, mierząc Arnauowi czuprynę. Najważniejsze, że mam przy sobie syna, że mogę go przytulać. Czegoż chcieć więcej? Arnau mieszkał i jadał w domu Guiamony, a nawet pobierał nauki pod okiem preceptora jej dzieci. Razem z nimi nauczył się czytać, pisać i rachować. Guiamona dopilnowała, by pamiętał, kto jest jego ojcem. Z kolei Grau traktował małego krewniaka obojętnie.

Arnau nie stronił od psot, Bernat ciągle mu przypominał, by był grzeczny. Gdy wpadał roześmiany do warsztatu, twarz jego ojca promieniała. Niewolnicy i czeladnicy, nawet sam Jaume, uśmiechali się do chłopca, który wybiegał na podwórze i czekał, aż Bernat będzie miał dla niego

chwilkę. Rzucił mu się w ramiona, a potem znowu siadał na uboczu, przyglądał się ojcu i uśmiechał do wszystkich, którzy go zagadywali. Wieczorem, gdy kończono pracę w warsztacie, Arnau wymykał się z domu za zgodą Habiby. Wtedy ojciec i syn mogli gawędzić i śmiać się do woli.

Sytuacja w warsztacie uległa zmianie, choć Jaume wciąż odgrywał rolę narzuconą mu przez ciągle aktualną groźbę majstra. Grau nie zaprzął sobie głowy dochodami z warsztatu ani żadnymi innymi kwestiami z nim związanymi. Warsztat był mu potrzebny, by zdobyć i utrzymać tytuł cechmistrza, patrycjusza i członka Rady Stu, pozwalała mu rzucić się w wir polityki i finansów, co dla patrycjusza takiego miasta jak Barcelona wcale nie było rzeczą trudną.

Od początku swego panowania Jakub II, który objął władzę w roku 1291, próbował zmniejszyć wpływ katalońskiej oligarchii feudalnej, w czym pomóc mu mieli mieszkańcy wolnych miast, na czele z Barceloną. Sycylię przyłączył do korony jeszcze Piotr Wielki, a gdy papież zezwolił Jakubowi II na podbój Sardynii, Barcelona i jej obywatele sfinansowali królewską wyprawę wojenną.

Przyłączenie do korony dwóch wysp na Morzu Śródziemnym opłacało się zarówno władcy, jak i miastu: gwarantowało dostawy zboża do Katalonii oraz umacniało jej pozycję w zachodniej części Morza Śródziemnego, a tym samym kontrolę morskich szlaków handlowych. Z kolei król zastrzegł sobie prawa do kopalni srebra i żup solnych na Sardynii.

Grau Puig nie uczestniczył w owych wydarzeniach. Początek jego politycznej kariery zbiegł się ze śmiercią Jakuba II i koronacją Alfonsa III. Wtedy właśnie, w roku 1329, wybuchło powstanie w sardyńskim mieście Sassari. Jednocześnie Genuńczycy, niezadowoleni z rosnących wpływów Katalonii, wypowiedzieli jej wojnę i zaatakowali statki handlowe płynące pod katalońską banderą. Król i kupcy uznali, że stłumienie buntu na Sardynii i wojna przeciw Genui powinny zostać sfinansowane przez bogatych barcelońskich mieszczan. Tak też się stało, przede wszystkim dzięki staraniom jednego z głównych patrycjuszy, Graua Puiga, który nie tylko sam wyłożył sporą sumę na potrzeby wojny, ale płomiennymi przemówieniami zachęcił nawet najbardziej opornych mieszczan do pójścia w jego ślady.

Sam król publicznie podziękował mu za pomoc.

Grau co rusz podchodził do okna, wypatrując gości. Bernat na pożegnanie pocałował Arnaua w policzek

— Zrobiło się zimno, synku. Biegnij lepiej do domu. — Chłopiec chciał zaprotestować. — No, już! Na pewno czeka na ciebie pyszna kolacja.

— Kogut, nugat i wafelki — wyrecytował malec. Bernat klepnął go w pupę.

— No, uciekaj. Później porozmawiamy.

Gdy Arnau wszedł do domu, zasiadano już do kolacji. Miał jeść w kuchni razem z młodszymi kuzynami: jego rówieśnikiem Guiamonem i półtora roku starszą Margaridą. Dwóm starszym kuzynom, Josepowi i Genisowi, pozwolono jeść na górze z rodzicami.

Grau był bardzo przejęty zjawieniem się gości.

— Sam wszystkiego dopilnuję — oznajmił Guiamonie podczas przygotowań do uroczystości. — Ty będziesz podejmować damy.

— Jak to ty dopilnujesz? — próbowała oponować Guiamona, ale Grau zabrał się ochoczo do wydawania poleceń kucharce: tęgiej, niepozabawionej tupetu Mulatce, która słuchała gospodarza, zezując na swą panią.

A czego się spodziewałeś? — zżyła się w duchu Guiamona. — Przecież nie przemawiasz do

swego sekretarza, nie jesteśmy też w siedzibie cechu ani Rady Stu. Nie wierzysz, że potrafię obsłużyć twoich gości, boisz się, że nie stanę na wysokości zadania? O to ci chodzi?

Za plecami męża próbowała zaprowadzić porządek w szeregach służby i jak najlepiej przygotować bożonarodzeniowe przyjęcie. Jednak gdy nadszedł oczekiwany moment i wszystko było już gotowe — łącznie z wykwinutymi szklanicami dla gości — Guiamona musiała wycofać się na miejsce wyznaczone jej przez męża i uśmiechać się do zaproszonych dam, które spoglądały na nią z góry. Grau natomiast przypominał generała na polu bitwy: gawędził z gośćmi, pokazując jednocześnie niewolnikom, co mają robić i kogo obsłużyć. Jednak im żywiej gestykulował, tym większa panika ogarniała służbę. Na koniec wszyscy niewolnicy — z wyjątkiem kucharki, która przygotowywała kolację — chodzili krok w krok za gospodarzem w oczekiwaniu na rozkazy.

Margarida, Guiamon i Arnau, spuszczeni z oka przez kucharkę, która wraz z pomocnikami uwiłajała się przy garnkach, wymieszali pieczonego koguta z nugatem oraz wafelkami i rozpoczęli własną ucztę wigilijną, śmiejąc się i żartując. W pewnej chwili Margarida sięgnęła po dzban nierozwodnionego wina i wypila duży łyk. Krew uderzyła jej do twarzy, a policzki zapłonęły, ale dziewczynka zniosła tę próbę i nie wypłula trunku. Skłoniła brata i kuzyna, by wzięli z niej przykład. Arnau i Guiamon przekłnęli wino, robiąc dobrą minę do złej gry, ale łyż napłynęły im do oczu, zaczęły się krztusić i wyciągać ręce po wodę. Po chwili cała trójka zaczęła chichotać z byle powodu, patrząc po sobie, na dzbanek wina czy choćby na tyłek kucharki.

— Wynocha! — wrzasnęła Estranya, mając dość ich docinków. Dzieciarnia wypadła z kuchni z krzykiem i śmiechem.

— Psss! — zgañił ich przy schodach niewolnik — Pan nie chce was tu widzieć.

— Ale... — zaczęła Margarida.

— Żadnych „ale” — uciął mężczyzna.

Habiba zesła akurat po wino. Pan dopiero co spiorunował ją wzrokiem, widząc, jak jeden z gości sięga po pusty dzban.

— Pilnuj dzieci — rzuciła do niewolnika na schodach. — Polejcie wina! — zawołała, wchodząc do kuchni.

Gräu wybiegł za nią w obawie, że Arabka przyniesie zwykłe wino, a nie to trzymane na specjalne okazje.

Dzieci przestały się śmiać i obserwowały teraz nerwową krzątanicę, do której dołączył niespodziewanie sam pan domu.

— Co wy tu robicie? — zgañił malców. — A ty? — zwrócił się do niewolnika. — Co tak stoisz? Pędź powiedzieć Habibie, że ma zaczerpnąć wina ze starych naczyń. Tylko czegoś nie pokręć, bo obedrę cię żywcem ze skóry. Dzieci, do łózek!

Niewolnik pobiegł do kuchni. Dzieci spojrzały po sobie rozbawione, z oczami błyszczącymi od wina. Gdy Grau znowu wbiegł po schodach, wybuchły śmiechem. Do łózek? Margarida zerknęła na otwarte drzwi na podwórze, wykrzywiła wargi i uniosła brwi.

— A dzieci? — zapytała Habiba na widok wchodzącego niewolnika.

— Wino ze starych naczyń... — bełkotał niewolnik

— A dzieci?

— Ze starych... z tych starych...

— A dzieci? — nie ustępowała Habiba.

— U ciebie w łóżku. Pan powiedział: do łózek! Są razem z nim. Ze starych naczyń, słyszysz?

Bo obedrze nas ze skóry ...

W noc wigilijną Barcelona opustoszała. Wszyscy czekali na pasterkę, by zanieść do kościoła koguta zabitego specjalnie na tę okazję. Księżyc odbijał się w morzu, jakby ulica ciągnęła się aż po widnokrąg. Troje dzieci wpatrywało się w srebrzysty odbłask na wodzie.

— Na plaży nie ma na pewno żywego ducha — szepnęła Margarida.

— Nikt nie wypłył w morze w Wigilię — potwierdził Guiamon.

Odwrócili się w stronę Arnaua, który pokręcił głową.

— Nikt się nie dowie — przekonywała Margarida. — Pójdziemy na chwilkę i zaraz wrócimy.

Przecież to bliźniatko.

— Tchórz — zadrwił z żuzy na Guiamon.

Pobiegli do Framenors — położonego nad samym morzem klasztoru franciszkanów, przylegającego do najbardziej wysuniętej na wschód części murów miejskich. Stamtąd popatrzeli na plażę, która ciągnęła się po zachodnie krańce Barcelony, aż do klasztoru Świętej Klary.

— Ojejku! — wykrzyknął Guiamon. — Ile statków!

— Jeszcze nigdy nie widziałam tylu naraz — dodała Margarida.

Arnau, z oczami wielkimi jak spodki, tylko kiwał głową.

Cała plaża, od Framenors po klasztor klarysek, zapełniona była statkami wszelkich rozmiarów. Brak nabrzeżnych zabudowań ułatwiał podziwianie tego niecodziennego widoku. Kiedyś, gdy dzieci poszły z preceptorem popatrzeć na wyładunek jednego z ojcowskich statków, Grau opowiedział im, że prawie sto lat temu król Jakub Zdobywca zakazał wznoszenia budowli na plaży Barcelony. Ale dzieci nie bardzo rozumiały, co ojciec miał na myśli. Przecież to jasne, że statki stoją na plaży. To ich miejsce, zawsze tu stały. Grau i preceptor spojrzeli po sobie.

— W portach naszych nieprzyjaciół i rywali handlowych nikt nie wyciąga statków na brzeg — wyjaśnił preceptor.

Czworo dzieci Grau'a jak na komendę odwróciło się do nauczyciela. Nieprzyjaciele! To zaczęło brzmieć interesująco.

— Święta prawda — wtrącił się Grau, wzbudzając zainteresowanie dzieci, a preceptor się uśmiechnął. — Nasi wrogowie z Genui mają wspaniały, naturalnie osłonięty port i nie muszą wyciągać łodzi na plażę. Wenecja, nasz sprzymierzeniec, posiada lagunę, do której wpływa się przez sieć wąskich kanałów. Nie przedostają się tam wysokie fale i statki mogą bezpiecznie cumować nawet podczas największych sztormów. Port w Pizie łączy z morzem rzeka Arno i nawet w Marsylii jest naturalny port, który chroni ją przed kapryсами pogody.

— Już starożytni Grecy korzystali z portu w Marsylii — zaznaczył preceptor.

— Nasi nieprzyjaciele mają dogodniejsze porty? — zapytał Josep, najstarszy z rodzeństwa. — Ale przecież my jesteśmy od nich lepsi, panujemy na Morzu Śródziemnym! — powtórzył słowa zasłyszane od ojca. Jego rodzeństwo przytaknęło. — Jak to możliwe?

Grau spojrzął pytająco na preceptora.

— Barcelona zawsze miała najlepszych marynarzy. I choć nie mamy już portu...

— Jak to nie mamy portu? — wszedł mu w słowo Genis. — A to? — Wskazał plażę.

— To nie jest port. Port jest miejscem zacisznym, osłoniętym, a to... — Preceptor wyciągnął rękę ku otwartemu morzu, które obmywało plażę. — Coś wam powiem. Barcelona od zawsze była miastem żeglarzy. Kiedyś, wiele, wiele lat temu mieliśmy własny port, jak wszystkie miasta, o których wspomniał wasz ojciec. Za Rzymian statki cumowały u stóp góry Taber, mniej więcej

w tym miejscu. — Wskazał w głąb miasta. — Jednak ląd zaczął posuwać się w stronę morza i port znikł. Potem mieliśmy jeszcze port Comtal, również pochłonięty z czasem przez ląd, oraz port Jakuba Pierwszego w zatoczce u podnóża niewielkiej góry Puig de les Falsies. Wiecie, gdzie jest teraz Puig de les Falsies?

Dzieci spojrzały po sobie, a potem na ojca, który z figlarnym uśmieszkiem wskazał palcem pod nogi tak, by preceptor go nie zauważył.

— Tutaj? — zapytały chórem dzieci.

— Owszem — odparł wychowawca. — Właśnie tu, gdzie teraz stoimy. Dawna zatoczka również została pochłonięta przez ląd i Barcelona została bez portu. Ale przez ten czas zdążyliśmy się wyszkolić na doskonałych, najlepszych na świecie żeglarzy. Mimo że nie mamy portu...

— W takim razie, po co komu port? — zapytała Margarida.

— O tym opowie ci twój ojciec — powiedział preceptor, a Grau skinął głową.

— Port jest ważny, córeczko, bardzo ważny. Widzisz tamten okręt? — Wskazał galerę otoczoną przez małe łódki. — Gdybyśmy mieli port, wyładunek odbywałby się bezpośrednio przy brzegu, obeszłoby się bez przewoźników, którzy transportują ładunek na plażę. Poza tym, gdyby zerwał się teraz sztorm, okrętowi groziłoby wielkie niebezpieczeństwo, bo stoi zakotwiczony blisko plaży. Musiałby umyć kącik z Barcelony.

— Dlaczego? — dopytywała się dziewczynka.

— Bo na tak płytkich wodach nie mógłby walczyć ze sztormem i niechybnie zatonałby. Nawet Kodeks Morski Barcelony nakazuje, by okręty chroniły się przed burzą w porcie w Salou lub w Tarragonie.

— Nie mamy portu — westchnął Guiamon, jakby właśnie stracił coś bardzo cennego.

— Ano nie — roześmiał się Grau i przytulił syna. — Ale i tak jesteśmy doskonałymi marynarzami, Guiamonie. Panujemy na Morzu Śródziemnym! I mamy plażę, na której trzymamy statki po sezonie, gdzie budujemy nowe łodzie i reperujemy uszkodzone. Widzisz doki — tam, na plaży, naprzeciwko arkad?

— Możemy pobawić się na łodziach? — zapytał Guiamon.

— Nie — odparł z powagą ojciec. — Statek to rzecz święta, synu.

Arnau nigdy nie chodził na spacerzy z Grauem i małymi krewniakami, a tym bardziej z Guiamoną. Zostawał w domu pod opieką Habiby, ale kuzyni po powrocie opowiadali mu o tym, co widzieli i słyszeli. Powtórzyli mu też wykład ojca o portach i statkach.

A teraz, właśnie w noc wigilijną, Arnau zobaczył statki na własne oczy. Wszystkie, wszystkie! Małe: feluki, czółna i gondole, średnie: barki, tratwy, barkasy, karawele, brygi, galeasy i barquants, a nawet kilka większych: karaki, navetes, cocas i galery, którym król zakazywał żeglugi od października do kwietnia, mimo ich wielkich rozmiarów.

— Ojejku! — zawołał znowu Guiamon.

W dokach naprzeciwko Regomir płonęły ogniska, przy których grzali się strażnicy. Skłapane w blasku księżyca statki wypełniały pogrążoną w ciszy plażę od ulicy Regomir aż po klasztor Framenors.

— Za mną, marynarze! — rozkazała Margarida, unosząc prawą rękę.

Mimo sztormów, piratów, abordaży i morskich bitew kapitan Margarida prowadziła swój oddział od statku do statku, skacząc z pokładu na pokład, wychodząc obronną ręką ze starc z wojskami Genuńczyków i Maurów oraz zdobywając Sardynię pośród wiwatów na cześć króla Alfonsa.

— Stać! Kto idzie?

Troje dzieci przyłgnęło do pokładu jednej z feluk

— Kto idzie?

Margarida wyrzwała zza burty. Między łodziami zbliżyły się ku nim trzy pochodnie.

— Uciekajmy — szepnęła Guiamon, ciągnąc siostrę za sukienkę.

— Nie możemy — odparła Margarida. — Odcięli nam drogę...

— Może w stronę doków? — zaproponował Arnau. Margarida spojrzała ku Regomir. W ich kierunku sunęły kolejne dwie pochodnie.

— Nic z tego — wymamrotała.

Statek to rzecz święta! Dzieci przypominały sobie przestrogę Graua. Guiamon zaczął popłakiwać, ale Margarida go uciszyła. Księżyc skrył się za chmurami.

Do morza! — rzuciła pani kapitan.

Wyskoczyli przez burłę i weszli do wody. Margarida i Arnau skulili się, Guiamon stał wyprostowany. Cała trójka nie spuszczała z oka kluczących między łodziami świateł. Gdy wartownicy poszli do brzegu, dzieci cofnęły się głębiej w morze. Margarida zerknęła na księżyc, zaklinając go w duchu, by jak najdłużej pozostał za chmurami.

Wartownicy nieprędko dali za wygraną. Żaden z nich nie spojrział na morze, a nawet jeśli... Przecież to Boże Narodzenie i troje wystraszonych, przemoczonych do suchej nitki dzieciaków. Ziąb był nie do zniesienia.

Guiamon nie mógł wrócić do domu o własnych siłach. Szczękał zębami, kolana mu drżały, trząsł się jak galareta. Margarida i Arnau wzięli go pod pachy i nieśli. Na szczęście do domu było blisko.

Gdy dotarli na miejsce, goście już odjechali. Zauważono zniknięcie dzieci i Grau wraz z niewolnikami wybierał się właśnie na ich poszukiwanie.

— To przez Arnaua — Margarida zrzuciła winę na kuzyna. Guiamona i arabska niewolnica wsadziły jej młodszego brata do balii z gorącą wodą. — Namówił nas, byśmy szli na plażę. Ja nie chciałam... — Dziewczynka ubarwiła opowieść łzami, na których widok jej ojcu zawsze miętko serce.

Guiamonowi nie pomogła ani gorąca kąpiel, ani pledy i koce, ani nawet ciepłutki rosół. Gdy temperatura podskoczyła, Grau wezwał lekarza, ale i on był bezradny. Gorączka rosła z każdą chwilą, Guiamon zaczął kaszleć, a jego oddech przemienił się w żaloszny świst.

— Nie mogę mu pomóc — przyznał smutno trzeciego wieczoru lekarz, Sebastia Font.

Guiamona skryła bladą, postarzałą twarz w dłoniach i załkała.

— To nieprawda! — krzyknął Grau. — Musi być jakiś sposób.

— Może jest, ale... — Sebastia Font znał niechęć swego klienta do Żydów... Jednak sytuacja była naprawdę dramatyczna. — Radzę posłać po Jafida Bonseny ora.

Grau oniemiał.

— Wezwij go! — ponagliła męża Guiamona, zanosząc się płaczem.

Żyda?! — przemknęło przez głowę Grauowi. W młodości wpojono mu, że kto bije Żyda, bije wcielonego diabła. W dzieciństwie Grau ganiał z kolegami z warsztatu Żydówki, które chodziły po wodę do miejskich studni, i tułł im dzbany. Przestał prześladować starozakonnych, dopiero gdy na prośbę żydowskiej społeczności osiadłej w Barcelonie król zakazał tego rodzaju szykan. Jednak nadal ich nienawidził. Całe życie dręczył i pluł na przechodniów z żółto-czerwonym znakiem na

piersiach. Przecież to heretycy, ukrzyżowali Chrystusa... Jakże miał teraz wpuścić jednego z nich do domu?

— Wezwij go! — krzyknęła Guiamona, a jej krzyk poniósł się echem po okolicy.

Słyszac go, Bernat i pozostali robotnicy skulili się na siennikach. Bernat nie rozmawiał z Arnauem ani z Habibą od trzech dni, ale wiedział o wszystkim od podmajstrzego.

— Twojemu synowi nic się nie stało — szepnął Jaume, gdy nikt nie patrzył w ich stronę.

Jefuda Bonseny or zjawił się niezwłocznie. Miał na sobie zwykłą czarną szatę z kapturem i nieodzoną naszywką na piersi. Grau zaszył się w jadalni i tylko odprowadził wzrokiem zgarbionego starca z długą siwą brodą, który stojąc obok Guiamony, słuchał wyjaśnień Sebastia. „Ratuj mego syna, Żydzie!” — mruknął pod nosem, gdy ich spojrzenia się spotkały. Jefuda Bonseny or ukłonił mu się. Był mędrce, poświęcił całe życie studiowaniu świętych pism i zgłębianiu nauk filozoficznych. Napisał *Libre de paraules de savis yjilosofs*³, ale znał się również na medycynie, był najbardziej cenionym w Barcelonie lekarzem żydowskim. Teraz jednak spojrzał na Guiamona i pokręcił tylko smutno głową.

Usłyszawszy krzyk żony, Grau rzucił się biegiem ku schodom. Guiamona wyszła z sypialni dzieci w towarzystwie Sebastia. Za nim i podążał Jefuda.

— Ty Żydzie! — krzyknął Grau i splunął mu pod nogi.

Guiamon umarł dwa dni później.

Zaraz po powrocie z pogrzebu syna Grau przywołał podmajstrzego.

— Zabierz stąd Arnaua i dopilnuj, by nigdy więcej nie przekroczył progu tego domu.

Guiamona nie zareagowała na słowa męża.

Grau powtórzył żonie zapewnienia córki, że to właśnie Arnau zaciągnął ją oraz jej brata nad morze. Jego synkowi i małej dziewczynce nigdy nie przyszłoby to do głowy. Guiamona słuchała wyrzutów męża, że przyjęła pod dach brata i bratanka. I choć w głębi serca wiedziała, że wszystkiemu winna jest dziecięca lekkomyślność, która zaowocowała tragedią, śmierć najmłodszego dziecka pozbawiła ją sił i woli, by sprzeciwić się mężowi. Oskarżenie Margaridy sprawiło, że nie mogła się nawet do Arnaua odezwać. Był synem jej rodzonego brata, życzyła mu jak najlepiej, ale nie chciała go widzieć.

— Przywiąż Arabkę do belki — rzucił Grau do podmajstrzego idącego po Arnaua. — I zgromadź w warsztacie całą służbę, tego małego gagatka również.

Podczas uroczystości pogrzebowych Grau doszedł do wniosku, że główną winę za tragedię ponosi niańka, która nie dopilnowała dzieci. Podczas gdy Guiamona szlochała, a ksiądz odmawiał żalobne modlitwy, Grau przy mknął oczy i zaczął obmyślać zemstę. Prawo zabraniało mu zabić czy trwale okaleczyć niewolnika, ale nikt nic mu nie powie, jeśli Arabka umrze od ran. Grau nie miał jeszcze do czynienia z tak poważnym przewinieniem. Przypomniał sobie tortury, o jakich słyszał. Może powinien oblać niewolnicę wrzącym sadłem? (Ale czy Estranya znajdzie w kuchni dość sadła?). A może raczej zakuć ją w kajdany i wrzucić do lochu? (Nie, zbyt łagodne). Pobić? Zatruc w dyby? Wychłostać?

„Używaj go ostrożnie — ostrzegł go kapitan jednego z jego okrętów, wręczając mu bicz — jednym uderzeniem możesz zedrzeć z człowieka skórę”. Od tamtej pory prezent kapitana — piękny orientalny bicz z plecionych rzemieni, gruby, ale zgrabny i poręczny, zakończony frędzlami nabijanymi ostrymi kawałkami metalu — spoczywał na dnie kufra

Kapłan zamilkł i ministranci obeszlą katafalk, kołując kadzielnicą. Guiamona zakaszłała, Grau wziął głęboki oddech.

Arabka, przywiązana za nadgarstki do belki, dotykała klepiska tylko czubkami palców.

— Nie chcę, by mój syn na to patrzył — powiedział Bernat podmajstrzemu.

— To nie jest najlepszy moment, Bernacie — ostrzegł go Jaume. — Napytasz sobie biedy...

Bernat nie ustępował.

— Pracowałeś bardzo ciężko. Lepiej siedź cicho, zrób to dla syna.

Odziany w czerni Grau wyszedł na środek kręgu utworzonego wokół Habiby przez niewolników, terminatorów i czeladników.

— Rozbierz ją — rozkazał podmajstrzemu.

Czuając, jak Jaume zrywa z niej ubranie, Arabka próbowała podciągnąć wstydliwie nogi. Jej nagie, śniade, lśniące od potu ciało miało zostać wystawione na pastwę gapiów zgromadzonych tu wbrew ich woli, oraz... bicza leżącego na klepisku. Bernat ścisnął Arnaua za ramiona. Chłopiec wybuchnął płaczem.

Grau odrzucił rękę do tyłu i zamierzył się. Rzemienie uderzyły o plecy niewolnicy i nabijane metalem frędzle, oplótszy jej ciało, wbiły się w piersi. Cienka strużka krwi popłynęła po śniadych plecach, metal zrywał płyty skóry. Ból przeszył Habibę od stóp do głów. Uniosła głowę i krzyknęła rozdzierająco. Arnau zaczął się trząść, błagając Graua, by przestał.

Grau zamachnął się ponownie.

— Nie dopilnowałaś dzieci!

Przy kolejnym trzasku rzemienia Bernat odwrócił i przyciągnął do siebie syna. Niewolnica znówu zawyla. Ubranie Bernata zdusiło krzyki chłopca. Grau chłostał Arabkę, póki jej plecy, ramiona, piersi, pośladki i nogi nie zamieniły się w krwawą masę.

— Przekaż majstrowi, że odchodzę.

Jaume zagryzł wargi. Miał ochotę uściskać Bernata, ale w ich stronę zerkało kilku terminatorów.

Bernat odprowadził wzrokiem podmajstrzego, który skierował się do domu Puigów. Kilkakrotnie rozmawiał z siostrą, była jednak głucha na jego wyjaśnienia i prośby. Od jakiegoś czasu Arnau nie ruszał się z siennika, który dzielił teraz z ojcem. Wpatrywał się w posłanie, na którym położono jego dogory wającą niańkę.

Gdy Grau wyszedł z warsztatu, odwiązano ją, nie wiedziano jednak, jak jej pomóc. Kucharka Estranya przybiegła z olejami i maściami, ale spojrzawszy na krwawą masę, w jaką zamieniło się ciało Arabki, pokręciła tylko głową. Arnau śledził z boku, że łzami w oczach, rozpaczliwe wysiłki służby. Bernat namawiał go, by opuścił izbę, ale chłopiec nie posłuchał. Jeszcze tej samej nocy ustało kwilenie — podobne do płaczu noworodka — które przez cały dzień rozdzierało wszystkim serca. Habiba umarła.

Jaume przekazał Grauowi wiadomość od Bernata. Tego tylko brakowało: dwaj Estanyolowie ze znamieniem nad okiem szwendający się po Barcelonie w poszukiwaniu pracy, plotkujący z każdym, kto tylko zechce nastawić ucha. A chętnych nie zabraknie, bo Grau był już prawie u szczytu władzy. Poczł ucisk w żołądku i suchość w gardle. Grau Puig, patrycjusz, starszy cechu garncarzy, członek Rady Stu, udziela schronienia zbiegłym chłopom. Miał na pieńku z możnymi. Im bardziej Barcelona wspierała króla, tym mniej był on uzależniony od panów feudalnych, małały więc korzyści i przywileje, na które mogli liczyć. A kto najbardziej zabiegał o pomoc dla kró-

ła? On, Grau Puig. A komu najbardziej zaszkodzi ucieczka chłopów ze wsi? Możliwym ziemianom. Grau pokręcił głową i westchnął. Co też, u diabła, go podkusiło, żeby przyjąć tego wieśniaka pod swój dach!

— Wezwij Estany olà — rozkazał podmajstrzemu.

— Jaume powiadomił mnie, że zamierzasz nas opuścić — rzekł do szwagra.

Bernat potwierdził skinieniem głowy.

— I co zamierzasz robić?

— Poszukam pracy, by zarobić na utrzymanie syna.

— Nie znasz żadnego fachu. Barcelona pełna jest biedaków takich jak ty: chłopów, którzy porzucili rolę, którzy nie mają pracy i przymierają głodem. Poza tym — dodał Grau — spędziłeś już dość czasu w Barcelonie, ale nie postarałeś się nawet o glejt mieszkańca.

— Jaki glejt? — zdziwił się Bernat.

— Dokument potwierdzający, że mieszkasz w Barcelonie od ponad roku i jesteś zwolniony z obowiązków feudalnych.

— Gdzie można go dostać?

— Wystawiają go rajcy miejscy.

— Zdobędę ten glejt.

Grau spojrział na Bernata. Był brudny, miał na sobie znoszoną kamizelę i espadryle. Oczami wyobraźni zobaczył, jak staje przed rajcami, opowiedziawszy wszystkim pisarzom z magistratu, że jest szwagrem Graua Puiga, patrycjusza Barcelony, i przez lata ukrywał się wraz z synem w jego warsztacie. Wieść rozniosłaby się po mieście lotem błyskawicy. Grau nieraz Posłużył się podobnymi informacjami, by zniszczyć swych wrogów.

— Siadaj. — Wskazał szwagrowi krzesło. — Gdy tylko Jaume powiedział mi o twoich zamiarach, odbyłem rozmowę z Guiamoną. — Skłamał, by usprawiedliwić zmianę decyzji. — błagała, bym się nad tobą ulitował.

— Nie potrzebuję litości — przerwał mu Bernat, myśląc o synu siedzącym na posłaniu i patrzącym zagubionym wzrokiem. — Od wielu lat ciężko pracuję w zamian za...

— Bo taka była umowa — uciął Grau. — Przystałeś na moje warunki. Wtedy były ci na rękę.

— Być może. Ale nie sprzedałem się jak niewolnik i teraz nasza umowa już mnie nie interesuje.

— Dobrze, zapomnijmy o litości. Nie sądzę, by ktokolwiek w Barcelonie zechciał cię zatrudnić, jeśli nie potrafisz dowieść, że jesteś wolnym mieszkańcem. Bez glejtu czeka cię wyzysk. Wiesz, ilu chłopów pańszczyźnianych błąka się po mieście

I pracuje bez zapłaty, tylko i wyłącznie po to, by przemieszczać w Barcelonie rok i jeden dzień? Nie możesz z nimi konkurować. Umrzesz z głodu w oczekiwaniu na glejt, ty albo... twój syn. Mimo wszystko nie możemy pozwolić, by mały Arnau podzielił los naszego Guiamona. Jedna tragedia to i tak za dużo. Twoja siostra by tego nie przeżyła. — Bernat milczał, czekając, aż szwagier skończy wywód. — Jeśli chcesz, możesz nadal pracować u mnie na dotychczasowych warunkach, za pensję przy służącą niewykwalifikowanemu robotnikowi, z której odliczymy ci za posłanie i strawę, twoją i twego syna.

— A Arnau?

— Co masz na myśli?

— Obiecałeś, że będzie u ciebie terminował.

— I obietnicy dotrzymam, ale Arnau musi jeszcze podrosnąć.

— Chcę to na piśmie.

— Zgoda — przy stał Grau.

— A glejt?

Grau skinął głową. Zdobędzie stosowny dokument tak, by nikt się nie dowiedział.



7

Ustanawiamy wolnymi mieszkańcami Barcelony Bernata Estanyola i jego syna Arnaua... Nareszcie! Niepewne słowa mężczyzny, który odczytał głośno dokument, przyprawiły Bernata o dreszcz. Natknął się na niego w dokach, gdzie rozpytywał o kogoś, kto potrafi czytać. Zapłatą za przysługę miała być mała gliniana miska. Bernatowi, słuchającemu teraz treści drugiego dokumentu, towarzyszył hałas jak zwykle panujący w dokach, zapach dziegciu oraz morska bryza, która muskała mu twarz. Grau zobowiązywał się przyjąć jego syna na terminatora, gdy chłopiec skończy dziesięć lat, i nauczyć go sztuki garncarskiej. Arnau nie tylko jest wolnym człowiekiem, ale w przyszłości zostanie rzemieślnikiem i będzie mógł utrzymać się w Barcelonie.

Bernat uśmiechnął się, wręczył nieznanemu obiecaną miskę i ruszył w drogę powrotną do warsztatu. Skoro przyznano im glejt miejski, najwidoczniej Llorenc de Bellera nie ściga go za morderstwo. Czyżby młody czeladnik przeżył? A jeśli nawet... „Zatrzymaj sobie nasze ziemie, my wolimy wolność” — mruknął Bernat hardo, przemawiając w myślach do pana Navarcles. Niewolnicy Graua, a nawet sam Jaume przerwali pracę na widok promieniającego szczęściem Bernata. Na klepisku wciąż widać było krew Habiby, bo Grau nie pozwolił jej zmyć. Bernat spoważniał i ominął krwawe plamy.

— Arnau — szepnął w nocy do syna.

— Słucham, ojczu?

— Od dzisiaj jesteśmy wolnymi mieszkańcami Barcelony. Chłopiec nie odpowiedział. Bernat odnalazł w ciemności jego głowę i pogłaskał go. Wiedział, jak niewiele znaczy wolność dla dziecka, które utraciło radość życia. Nie przestając go do siebie tulić, wsłuchał się w oddechy śpiących niewolników. Jedna myśl nie dawała mu spokoju: czy Arnau kiedykolwiek zechce pracować dla Graua? Jeszcze długo nie mógł zasnąć.

Codziennie, gdy robotnicy ruszali skoro świt do pracy, Arnau opuszczał warsztat. Bernat próbował z nim rozmawiać i podnieść go na duchu. Powinieneś znaleźć sobie przyjaciół, miał mu kiedyś powiedzieć, ale nie zdążył, bo chłopiec odwrócił się na pięcie i powłókł ku wyjściu. Ciesz się

wolnością, synu, chciał dodać innym razem, a chłopiec, widząc, że ojciec chce mu coś powiedzieć, popatrzył na niego pytająco. Bernat już miał się odezwać, ale wtedy po policzku dziecka spłynęła łza. Bernat uklęknął i przytulił syna, a potem patrzył, jak idzie przez podwórze, powłóczęg nogami. Gdy po raz kolejny Arnau omijał krwawe plamy na klepisku, w głowie Bernata rozległ się trzask bicia Graua. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie ustąpi przed batem: zrobił to tylko raz, w ystarczy.

Bernat podbiegł do syna, który odwrócił się na odgłos jego kroków. Dogoniwszy go, począł ryć stopą ziemię przesiąkniętą krwią Habiby. Twarz Arnaua pojaśniała, więc Bernat kopał z jeszcze większym zapalem.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknął Jaume z drugiego końca podwórza.

Pytanie zmroziło Bernata. Znowu usłyszał trzask bicia...

— Ojciec...

Czubkiem espadryla Arnau wolno odgarniał poczerńiałą ziemię, dopiero co skopaną przez Bernata.

— Co robisz? — spytał ponownie Jaume.

Bernat nie odpowiedział. Jaume rozejrzał się i zobaczył, że niewolnicy tkwią bez ruchu wpa-trzeni w... niego.

— Przynieś wody, synu — rzucił Bernat do Arnaua, wykorzystując wahanie podmajstrze-go.

Chłopak wypadł z warsztatu jak strzała. Pierwszy raz od wielu miesięcy Bernat widział, jak biegnie. Jaume skinął przyzwalająco głową.

Na kolanach, ojciec i syn ryli ziemię, póki nie zmyli śladów niesprawiedliwości.

— Idź się bawić, synu — powiedział Bernat, gdy skończyli. Arnau spuścił wzrok. Miał ochotę spytać, z kim ma się bawić. Ojciec zmierzył mu czuprynę i popchnął ku wyjściu. Arnau jak co dzień obszedł dom i wdrapał się na rozłożyste drzewo rosnące przy ogrodowym murze. Z tej zielonej kryjówki podglądał kuzynów, którzy zwykle o tej porze wychodzili z Guiamoną do ogrodu.

— Dlaczego już mnie nie kochasz? — szepnęła na widok ciotki. — Przecież to nie moja wina...

Kuzyni wyglądali na szczęśliwych. Czas zacierzał powoli wspomnienie ich młodszego braciszka, tylko na twarzy matki wciąż malowało się cierpienie. Josep i Genis toczyli pojedynek na niby, Margarida przyglądała się braciom, siedząc obok matki, która nie odstępowała jej na krok. Ukrytemu w listowiu Arnauowi serce ścisnęło się na myśl o piśczętotach ciotki.

Arnau przychodził tu każdego ranka.

— Już cię nie kochają? — usłyszał pewnego razu. Przestraszył się nie na żarty, stracił równowagę i o mały włos nie spadł z drzewa. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł.

— Tutaj — usłyszał znowu.

Spojrzał w głąb drzewa, skąd dochodził głos, ale i tym razem niczego nie zobaczył. Wreszcie liście zaszeleściły i wyjrzał z nich mały chłopiec, który siedział okrakiem u nasady gałęzi i z poważną miną pozdrowił Arnaua ruchem ręki.

— Co tu robisz? Skąd się wzięłeś na moim drzewie? — zapytał oschle Arnau.

Umorusany dzieciak zachował stoicki spokój.

— To samo co ty — odparł — patrzę.

— Tobie nie wolno — stwierdził Arnau.

— Niby dlaczego? Od dawna tu przychodzę. Przedtem podglądałem również ciebie. — Mały brudas zamilkł na chwilę. — Już cię nie kochają? Dlatego tak często płaczesz?

Arnau poczuł, że ła spły wa mu po policzku, i rozłościł się. Ten mały go szpiegował!

— Złaż — rozkazał i sam zsunął się z drzewa. Chłopiec zeskoczył zwinnie i stanął przed Arnauem. Był od

niego niższy o głowę, ale nie wyglądał na wystraszonego.

— Szpiegowałeś! — oskarżył go Arnau.

— Podobnie jak ty — bronił się malec.

— Tak, ale to moi kuzyni, mnie wolno.

— W takim razie dlaczego już się z nimi nie bawisz? Arnau nie mógł zdusić szlochu, który nagle wyrwał mu się z piersi. Głos mu drżał, gdy próbował odpowiedzieć na pytanie.

— Nie wsty dź się. Ja też często płaczę — pocieszał go malec.

— Dlaczego? — wydusił Arnau przez łzy.

— Sam nie wiem... Czasem płaczę, gdy myślę o mamie.

— Masz mamę?

— Mam, ale...

— Więc co tu robisz? Czemu się z nią nie bawisz?

— Bo nie mogę.

— Dlaczego? Nie mieszka z tobą?

— Nie o to chodzi... — odparł niepewnie chłopiec. — Mieszkać, mieszka...

— W takim razie, dlaczego nie spędzasz z nią czasu? Mały brudas nie odpowiadał.

— Jest chora? Pokręcił głową.

— Nie — bąknął.

— W takim razie? — dopytywał się Arnau.

Maluch spojrział na niego żałośnie. Kilkakrotnie przy gryzł dolną wargę, w końcu rzucił:

— Chodź — pociągnął Arnaua za rękaw. — Coś ci pokażę.

Puścił się biegiem z szybkością zadziwiającą u takiego szkraba. Arnau pędził za nim, starając się nie stracić go z oczu. W z rzadka zabudowanej dzielnicy garncarzy nie było to trudne, ale sprawa zaczęła się komplikować, w miarę jak zapuszczali się w głąb Barcelony. Zatłoczone i zastawione kramami uliczki były tak wąskie, że ciężko się było przecisnąć.

Arnau nie wiedział, gdzie jest, ale było mu wszystko jedno. Martwił się tylko o to, by nie stracić z oczu zwinnej sylwetki nowego kolegi, który przepychał się między straganami, rozrącając przechodniów i wzbudzając ogólne oburzenie. Gniew tłumu, potraktowanego bez pardonu przez bezczelnego malca, skupił się na starszym chłopcu, mniej nawykłym do manewrowania w ciżbie. Posypały się na Arnaua przekleństwa i złorzeczenia. Oberwał nawet po głowie i próbowano go złapać za koszulę, na szczęście udało mu się wyrwać. Jednak nawał przeszkód sprawił, że stracił z oczu swego przewodnika, i raptem znalazł się sam na wielkim placu, wypełnionym ludźmi.

Wiedział, gdzie jest, był tu kiedyś z ojcem. „To plac Blat — powiedział mu wtedy Bernat. — Serce Barcelony. Widzisz ten kamień na środku?”. Arnau spojrział we wskazanym kierunku. „Dzieli on miasto na kwartały: Mar, Framenors, Pi oraz Salada, zwany również Sant Pere”. Arnau trafił na ten plac, biegnąc ulicą zamieszkaną przez handlarzy jedwabiu, i stanąwszy w bramie pałacu naczelnikowskiego, wypatrywał małego brudasza, jednak kłębiący się tłum zasłaniał mu widok. Zaraz przy bramie znajdowała się główna jatka miejska, po drugiej stronie stały kramy piekarzy. Arnau szukał kolegi pośród kamiennych ław po obu stronach placu, gdzie przelewał się teraz zbity tłum. „Tu handluje się pszenicą — wyjaśnił mu kiedyś ojciec. — Na tych ławach ubijają intere-

sy pośrednicy i kupcy miejsca, po drugiej stronie handlują wieśniacy, którzy przywożą do miasta plony”. Arnau nigdzie nie widział małego brudasa, który przyprowadził go aż tutaj: ani wśród kupców, ani wśród chłopów, ani wśród targujących się i robiących zakupy przechodniów.

Nagle, gdy stał w bramie, rozglądając się na wszystkie strony, porwał go tłum wlewający się na plac. Chcąc się odsunąć, podszedł do kramów z pieczywem, ale gdy tylko dotknął plecami jednego ze stołów, oberwał — i to porządnie — po karku.

— Zmykaj stąd, smarkaczu! — wrzasnął piekarz. Znowu porwał go tłum, znowu ogłuszył zgiełk i targowa wrzawa. Arnau nie wiedział, co robić. Znacznie od niego wyżsi, zgięci pod ciężarem worków zboża ludzie spychali go to na jeden, to na drugi koniec placu, nawet go nie dostrzegając.

Arnauowi zaczęła kręcić się w głowie. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nim mały szelma z umorusaną buzią, za którym gnał przez pół Barcelony.

— Co tak stoisz jak cielę?! — Malec próbował przekrzyć targowy gwar.

Arnau nie odpowiedział. Złapał się koszuli chłopca i dał mu się przeprowadzić przez plac i przez ulicę Bória. Zapuscili się w dzielnicę kotlarzy, w kręte uliczki, wibrujące w takt młotków klepiących miedź i żelazo. Już nie biegli, ledwo żywy ze zmęczenia Arnau uwiesił się rękawa towarzysza, zmuszając niecierpliwego i lekkomyślnego przewodnika do zwolnienia kroku.

— To mój dom — oznajmił wreszcie chłopiec, wskazując na mały jednopiętrowy budynek. Przy ustawionym przed wejściem stole, zawalonym miedzianymi kociołkami i saganami rozmaitych rozmiarów, pracował tęgi mężczyzna, który nawet na nich nie spojrział. — To mój ojciec — dodał malec, gdy minęli dom.

— Dlaczego nie... — zaczął pytać Arnau, oglądając się.

— Poczekaj — przerwał mu mały brudas.

Doszli do końca uliczki i zapuscili się w labirynt przydomowych ogródków. Gdy dotarli na tyły domu małego brudasa, ten wspiął się na mur otaczający ogród i dał znak Arnauowi, by zrobił to samo.

— Dlaczego...

— No, wchodź! — ponaglił go malec, siedząc okrakiem na murze.

Zeskoczyli do małego ogródka. Chłopiec zamarł, utkwivszy wzrok w przyklejonej do domu przybudówce — niewielkiej komórce z malutkim, wybitym dość wysoko i wychodzącym na ogród otworem w kształcie okna. Arnau odczekał kilka sekund, ale jego towarzysz ani drgnął.

— Co teraz? — zapytał w końcu. Malec odwrócił się.

— I co...?

Mały szelma nie zwracał na niego uwagi. Arnau stał bez ruchu i patrzył, jak ciągnie drewnianą skrzynekę, ustawia ją pod oknem i wdrapuje się na nią, nie odrywając oczu od okienka.

— Mamo — szepnęła, stanąwszy na skrzyni.

Przez otwór z trudem przecisnęła się błada kobieca ręka. Łokieć zatrzymał się na wysokości parapetu, dłoń szybko namacała głowę dziecka i zaczęła ją głaskać.

— Joanet. — Arnau usłyszał słodki głos dobiegający z okna. — Przyszedłeś wcześniej niż zwykle, jeszcze nie ma południa.

Joanet skinął tylko głową.

— Coś się stało? — pytał głos.

Joanet odczekał kilka sekund, po czym pociągnął nosem i powiedział:

— Przyprowadziłem kolegę.

— Cieszę się, że masz kolegów. Jak ma na imię?

— Arnau.

Skąd on wie? No, tak! Przecież mnie śledził, pomyślał Arnau.

— Przyszedł z tobą? — Tak, mam.

— Dzień dobry, Arnau.

Arnau zerknął na okno. Joanet odwrócił się do niego.

— Dzień dobry... psze pani — wybąkał, nie wiedząc, jak Zwracać się do głosu płynącego z okna.

— Ile masz lat? — zapytała kobieta.

— Osiem, psze pani.

— Jesteś dwa lata starszy od mojego Joaneta, ale mam nadzieję, że ładnie się razem bawicie i że będziecie dbali o waszą przyjaźń. Dobry przyjaciel to najważniejsza rzecz na świecie, nigdy o tym nie zapominajcie.

Głos zamilkł, ale ręka nie przestawała gładzić głowy Joaneta. Arnau patrzył, jak maluch, siedzący bez ruchu ze zwieszonymi nogami na drewnianej skrzyni opartej o ścianę, poddaje się matczynej pieczy.

— Idźcie się bawić — powiedziała nagle kobieta, cofając rękę. — Do widzenia, Arnau. Opiekuj się moim synkiem, jesteś od niego starszy. — Arnau chciał się pożegnać, ale słowa uwięzły mu w gardle. — Do widzenia, synku — dodał głos. — Przyjdziesz jeszcze?

— Oczywiście, mam.

— No, idźcie już.

Chłopcy znów zapuścili się w gwarne ulice Barcelony i poczęli przemierzać je bez celu. Arnau czekał na wyjaśnienia Joaneta, ale widząc, że jego kompan milczy jak zaklęty, zebrał się na odwołanie i zapytał:

— Dlaczego twoja mama nie wyszła do ogrodu?

— Bo jest zamknięta — odparł Joanet.

— Czemu?

— Nie wiem. Wiem, że jest zamknięta, i już.

— To dlaczego nie wejdiesz do niej przez okno?

— Nie mogę. Pone mi nie pozwala.

— Kto to jest Pone?

— Mój tata.

— Dlaczego ci nie pozwala?

— Nie wiem.

— A dlaczego nie nazywasz go tatą?

— Też mi nie pozwala.

Arnau zatrzymał się i szarpnął Joaneta tak, że ich twarze prawie się zetknęły.

— I też nie wiem dlaczego — młody zadał pytanie starszemu kolegi.

Wędrowali dalej ulicami Barcelony. Arnau próbował zrozumieć cały ten galimatias, a Joanet czekał na kolejne pytanie.

— Jak wygląda twoja mama? — zdecydował się w końcu odezwać Arnau.

— Nigdy jej nie widziałem — wyznał Joanet, siląc się na uśmiech. — Kiedyś, gdy Pone wyjechał, chciałem wejść przez okno, ale mi nie pozwoliła. Nie chce, żebym ją oglądał.

— Dlaczego się uśmiechasz?

Joanet przeszedł kilka kroków, nim zdecydował się na odpowiedź.

— Bo mama mi każe.

Przez resztę przedpołudnia Arnau włożył się po Barcelonie z pochyloną głową, w ślad za umorusanym chłopcem, który nigdy nie widział własnej matki.

— Mama głaszcze go przez okno komórki, w której ją zamknięto — zwierzył się Arnau ojcu jeszcze tej samej nocy, gdy leżeli obok siebie. — Joanet nigdy jej nie widział. Ojciec mu nie pozwalała, zresztą ona też nie chce, żeby ją oglądał.

Bernat głaszał syna po głowie, zupełnie jak mama jego nowego kolegi. Tylko chrapanie niewolników i terminatorów przerywało ciszę, która zapanowała nagle w izbie. Bernat zastanawiał się, czy m nieszczęsna kobieta zasłużyła sobie na tak straszny los.

„Cudzołóstwem!” odpowiedziały mu bez wahania kotlarz Pone. Mówił o tym każdemu, kto się tylko napatoczył.

— Nakryłem ją z kochankiem, młokosem w jej wieku. Zabawiali się, gdy ja pracowałem w kuźni. Poszedłem, rzecz Jasna, do naczelnika miasta, upomnieć się o przykłądną karę. — Następnie osiłowaty kotlarz rozpywał się w zachwytach nad Prawem, dzięki któremu sprawiedliwości stało się zadość: — Nasi książęta to ludzie uczeni, wiedzą, że kobiety są istotami do gruntu zepsutymi. Tylko niewiasty szlachetnie urodzone mogą uwolnić się poprzez przy sięgę od zarzutu cudzołóstwa, pozostałe, takie jak moja Joana, muszą zdać się na pojedynek i wyrok opatrności.

Świadkowie pamiętają, że Pone rozniósł na strzepy młodego kochanka Joany. Nawet opatrność nie mogła wybawić wåtłego młodzika, żyjącego tylko miłością, od śmierci z rąk kotlarza zahartowanego pracą w kuźni.

Wyrok królewski był zgodny z kodeksem Usatges: Jeśli pojedynek zostanie rozstrzygnięty na korzyść niewiasty, zachowa ona cześć i zostanie przy mężu, który pokryje koszty procesu i pojedynku, poniesione przez nią i jej stronników, oraz wynagrodzi szkody rywalowi. Jeśli kobieta nie obroni swego honoru w pojedynku, zdana będzie na łaskę męża, któremu przypadnie cały jej majątek. Pone nie potrafił czytać, ale recytował z pamięci orzeczenie trybunału, podsuwającwszy stkim pismo pod nos:

Zasądzamy, że kotlarz Pone poczynić musi, zanim wydana mu zostanie żona Joana, stosowną porękę tudzież gwarancję, że zapewni jej mieszkanie we własnym domu, w izbie mierzącej dwanaście piędzi długości, sześć szerokości i wysokiej na dwie kany⁴. Ponadto zapewni jej dostatecznie gruby siennik i derkę do spania, otwór do załatwiania naturalnych potrzeb, tudzież otwór okienny, przez który podawać jej będzie pożywienie. Tym samym kotlarz Pone zobowiązany jest dostarczać żonie codziennie osiemnaście uncji upieczonego chleba i wodę podług potrzeb, przy czym nie może jej podać ani polecić podać niczego, co przy spieszy jej zgon lub śmierć jej zada. Co do wszyskich niniejszych kwestii kotlarz Pone poczyni porękę i gwarancję, zanim przekazana mu zostanie rzeczona Joana.

Kotlarz Pone przedstawił porękę zasądzoną przez naczelnika, a ten wydał mu żonę. Zdradzony mąż wybudował w ogrodzie przybudówkę mierzącą dwa i pół metra na metr dwadzieścia, wykopał dziurę pełniącą rolę kloaki, wybił okno i zamurował żywcem swą młodą żonę. Właśnie przez otwór w ścianie Joana mogła głaszać syna, który przyszedł na świat dziewięć miesięcy po procesie i do którego kotlarz się nie przyznawał.

— Ojcie — szepnął Arnau — opowiedz mi o mamie. Dlaczego nigdy o niej nie wspominasz? Co mam ci powiedzieć? Że dziewictwo odebrał jej pijany możnowładca? Że skończyła jako ładaczniczka na zamku pana Navarcles? — pomyślał Bernat.

— Twoja mama... — zaczął — nie miała w życiu szczęścia. Dużo wycierpiała.

Arnau pociągnął nosem.

— A kochała mnie? — zapytał po chwili zmieniony m głosem.

— Nie zdążyła. Umarła przy porodzie.

— Habiba mnie kochała.

— Ja też cię kocham.

— Ale wy, ojczyste, nie jesteście moją matką. Nawet Joanet ma mamę, która głaszcze go po głowie.

— Nie wszystkie dzieci mają... — zaczął tłumaczyć Bernat. Matka wszystkich chrześcijan... Bernat przypomniał sobie ty lekroć słyszane słowa księży.

— Co mówiliście, ojczyste?

— Masz matkę. Oczywiście, że masz matkę. — Bernat poczuł, że Arnau nieruchomieje. — Wszystkim osieroconym dzieciom Pan Bóg zsyła inną, wspólną matkę, Matkę Boską.

— A gdzie jest ta Boska?

— Matka Boska — poprawił syna Bernat. — Czyli Madonna. Mieszka w niebie.

Arnau milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Na co komu matka, która mieszka w niebie? Taka matka nie może mnie przytulić ani pocałować, ani się ze mną bawić, ani...

— Oczywiście, że może. — Bernat pamiętał słowa swego ojca, gdy zadał mu kiedyś to samo pytanie. — Matka Boska rozmawia ze swymi dziećmi za pośrednictwem ptaków. Gdy zobaczysz ptaka, przekaz mu wiadomość dla Madonny, a on zanieś ją do nieba. Potem ptaki opowiedzą sobie o wszystkim i będą cię odwiedzać, pochwierkiwać i fruwać radośnie nad twoją głową.

— Ale ja nie rozumiem mowy ptaków.

— Nauczysz się.

— Nigdy nie zobaczę tej matki...

— Zobaczysz... Właśnie, że zobaczysz. Spotkasz ją w kościołach, będziesz mógł z nią nawet rozmawiać.

— W kościele?

— Tak synku, właśnie tam. Matka Boska mieszka w niebie oraz w niektórych świątyniach. Dlatego możesz z nią rozmawiać za pośrednictwem ptaków i w kościele. Odpowie ci ptasim głosem lub nocą, we śnie, a kochać cię będzie i hołubić bardziej niż jakakolwiek ziemską matką.

— Bardziej niż Habiba?

— Dużo bardziej.

— Tej nocy również? — zapytał Arnau. — Bo dzisiaj jeszcze z nią nie rozmawiałem.

— Nie martw się, zrobiłem to za ciebie. Zaśnij, a sam się przekonasz.



8

Dwaj przyjaciele widywali się codziennie, biegali razem na plażę oglądać statki, dokazywali na ulicach Barcelony lub po prostu wóczyli się po mieście. Gdy bawili się pod murem domu Puigów i z ogrodu dochodziły śmiechy Josepa, Genisa i Margaridy, Arnau spoglądał w niebo, jakby szukał czegoś w obłokach.

— Na co patrysz? — zapytał go kiedyś Joanet.

— Na nic — usłyszał w odpowiedzi.

Gdy odgłosy zza muru przybrały na sile, Arnau znowu spojrzął w niebo.

— Chcesz wejść na drzewo? — zapytał Joanet, myśląc, że przyjaciel przygląda się konarom nad ich głowami.

— Nie — odpowiedział Arnau, rozglądając się za ptakiem, który przekazałby wiadomość jego nowej matce.

— Dlaczego nie? Z góry byłoby widać...

Co ma powiedzieć Matce Boskiej? Co mówi się matce? Joanet prawie nie odzywał się do swojej mamy, po prostu słuchał i potakiwał lub... zaprzeczał. No tak, ale słyszał jej głos i czuł na głowie dotyk jej dłoni, pomyślał Arnau.

— To co, włączmy?

— Nie! — krzyknął Arnau, zdmuchując uśmiech z warg Przyjaciela. — Przecież masz mamę, która cię kocha, nie musisz podglądać innych.

— Ale ty nie masz — przypomniał Joanet. — Jeśli wejdziemy na drzewo...

Powie, że ją kocha! To właśnie mówili cioci Guiamonie jego kuzyni.

„Tak jej właśnie powiedz, ptaszku. — Arnau patrzył w ślad za ulatującym ku niebu ptakiem. — Powiedz, że ją Kocham”.

— No więc jak? Wchodzisz czy nie? — nalegał Joanet, huśtając się na najniższej gałęzi.

— Nie, już nie muszę... — Joanet zeskoczył z drzewa i wlepił z przyjaciela pytające spojrzenie. — Ja też mam mamę.

— Nową mamę? Arnau zawahał się.

— Sam nie wiem. Nazywa się Madonna.

— Madonna? Kto to taki?

— Można ją spotkać w niektórych kościołach. Oni — Arnau wskazał ogród za murem — chodzili do kościoła, ale nigdy nie brali mnie ze sobą.

— Znam kilka kościołów. — Arnau wytrzeszczył oczy na przyjaciela. — Mogę cię zaprowadzić. Pokażę ci największy kościół w Barcelonie!

Joanet ruszył pędem w głąb miasta, nie czekając nawet na odpowiedź, ale Arnau, nawykły do tego, że przyjaciel szybko biegnie, wnet go dogonił.

Przebiegli ulicę Boqueria i ulicę Bisbe, okalającą dzielnicę żydowską, i stanęli pod katedrą.

— Myślisz, że spotkam tu Madonnę? — zapytał Arnau, wskazując labirynt rusztowań oblepiających niedokończone mury. Zagapił się na wielki kamień, który poszybował w górę dzięki wysiłkowi kilku robotników ciągnących za linę.

— Pewnie — rzucił Joanet z przekonaniem. — Przecież to kościół.

— To nie kościół! — usłyszeli za plecami. Odwrócili się i zobaczyli zwalistego mężczyznę z młotkiem i dłutem w ręce. — Macie przed sobą katedrę — pouczył ich dumny pomocnik kamieniarza. — Nie mylcie jej z kościołem.

Arnau spiorunował przyjaciela wzrokiem.

— A gdzie jest jakiś kościół? — zapytał Joanet nieznanego, gdy ten już miał się oddalić.

— Choćby tam — odparł robotnik i ku zdumieniu chłopców wskazał dłutem ulicę, którą trafili pod katedrę. — Na placu Świętego Jakuba.

Arnau i Joanet popędzili z powrotem ulicą Bisbe i wbiegli na plac Świętego Jakuba. Ich uwagę zwrócił niewielki, różniący się od sąsiednich domów budynek z niezliczonymi figurami wykutymi nad wejściem, oddzielonym od ulicy kilkoma schodkami. Chłopcy bez chwili namysłu wbiegli do środka. Wewnątrz panował mrok i chłód. Zanim ich wzrok przyzwyczaił się do ciemności, mocne dłonie złapały dwóch ciekawskich za ramiona i wyrzuciły na zewnątrz, spychając ze schodów.

— Ile razy mam powtarzać, żebyście nie ganiłi po kościele Świętego Jakuba!

Arnau i Joanet spojrzeli po sobie, nie przejmując się siorzeczzeniami księdza. Kościół Świętego Jakuba! A więc to też nie jest dom Matki Boskiej, zdawał się mówić ich wzrok.

Gdy po odejściu księdza zbierali się z ziemi, otoczyło ich nagle sześciu wyrostków, bosych i brudnych obdartusów podobnych do Joaneta.

— Straszny z niego piekielnik — stwierdził jeden z nich, patrząc na znikającego w drzwiach kapłana.

— Możemy wam pokazać drugie wejście — zaproponował inny — ale w środku będziecie musieli radzić sobie sami. Jeśli was dopadnie...

— Nie, nie mamy tu czego szukać — odparł Arnau. — Może wiecie, gdzie jest jakiś inny kościół?

— Wiemy, ale tam też was nie wpuszczą — uprzedził ich trzeci członek bandy.

— To już nie wasza sprawa — uciął Joanet.

— Co ty powiesz, smarkaczu — zaśmiał się najstarszy chłopak, podchodząc do Joaneta. Był od niego dwa razy wyższy. Arnau pomyślał z niepokojem, że może się to źle skończyć dla jego przyjaciela. — Wszystko, co dzieje się na tym placu, to nasza sprawa, rozumiesz? — dodał, odpychając malca.

Joanet już, już miał się rzucić na dryblasza, gdy nagle coś przyciągnęło uwagę bandy.

— Żydiak! — krzyknął jeden z nich.

Popędzili co tchu na drugi koniec placu do chłopca z żółto-czerwoną naszywką na piersiach. Mały Żyd dał drapakę, gdy tylko zobaczył, co się święci. Zdążył ukryć się w dzielnicy żydowskiej. Jego prześladowcy wyhamowali tuż przed bramą prowadzącą do getta. Tylko najmłodszy członek szajki, mniejszy nawet od Joaneta, został pod kościołem i gapił się na chłopca, który nie przestraszył się herszta jego bandy.

— Tam, zaraz za Świątym Jakubem, jest jeszcze jeden kościół. Ale lepiej uciekajcie, bo Pau — skinął na swych kamratów, którzy już ku nim zmierzali — wróci wściekły i będzie próbował odbić sobie na was nieudany pościg. Zawsze wpada w złość, gdy wymknie mu się Żyd.

Arnau pociągnął Joaneta, który zrobił jednak groźną minę, gotowy zmierzyć się z Pauem. Jednak na widok pędzących na niego wyrostków poszedł po rozum do głowy i usłuchał przyjaciela.

Pobiegli w stronę morza i zwolnili dopiero, gdy przekonali się, że Pau i spółka już ich nie gonią. Ich nowi znajomi woleli najwyraźniej wrócić na plac, by dalej polować na Żydów.

Zaraz za placem Arnau i Joanet zobaczyli jeszcze jeden kościół. Stanęli przed nim i spojrzeli na siebie. Joanet wskazał głową na drzwi.

— Lepiej zaczekajmy — postanowił Arnau.

Jak na zawołanie, z kościoła wyłoniła się staruszka i zaczęła schodzić po schodach. Arnau nie zastanawiał się długo.

— Dobra kobieto — zagadnął ją, gdy babina zeszała na ulicę — jaki to kościół?

— Świętego Michała — odparła, nie zatrzymując się. Arnau westchnął. Masz babo placek! Najpierw święty Jakub, teraz święty Michał...

— A gdzie jest jakiś inny? — przejął inicjatywę Joanet, widząc nietęgą minę przyjaciela.

— Na końcu tej ulicy.

— A jaki? — dopytywał się młodek, wzbudzając podejrliwość staruszki.

— Świętych Justa i Pastora. Dlaczego pytasz? Chłopcy nie odpowiedzieli, spuścili głowy i ruszyli przed siebie. Staruszka odprowadziła ich wzrokiem.

— Sami mężczyźni! — mrknął Arnau. — Musimy znaleźć jakiś kobiecy kościół, daję głowę, że tam właśnie znajdziemy Matkę Boską.

Joanet popadł w zadumę.

— Znam takie miejsce... — powiedział w końcu. — Tam mieszkają same kobiety. Leży nad morzem, na końcu miejskich murów. Nazywa się... — Joanet wyteżył pamięć. — Nazywa się Święta Klara.

— A co ma święta Klara do Madonny?

— To też kobieta. Założą się, że twoja matka jest u niej. Przecież nie może być u mężczyzny innego niż twój ojciec.

Ulicą Ciutat doszli do bramy Mar, obok zamku Regomir, należącej do dawnych murów obronnych zbudowanych przez Rzymian. Stąd droga wiodła do klasztoru Świętej Klary, który, położony nad samym morzem, wieńczyłby od wschodu nowe mury obronne. Minęli zamek, odbili w lewo i doszli do ulicy Mar — ciągnącej się od placu Blat po kościół Santa Maria de la Mar — gdzie rozgałęziała się ona na sieć równoległych uliczek prowadzących na plażę. Stamtąd, minąwszy plac Born, dochodziło się ulicą Świętej Klary do klasztoru.

Choć mali poszukiwacze bardzo chcieli ujrzeć upragniony kościół, nie oparli się pokusie i przy-

stanęli przy kramach srebrników na ulicy Mar. Barcelona była opływającym w dostatki miastem, świadczyły o tym drogocenne cacka piętrzące się na straganach: srebrne naczynia stołowe, dzbany i kubki ze szlachetnych kruszców wysadzone drogimi kamieniami, naszyjniki, bransolety, pierścienie, klamry... Arnau i Joanet pochłaniali wzrokiem te wspaniałości mieniące się w letnim słońcu. Kramarze przeganiali ich krzykami lub szturchańcami.

Zmykając przed pomocnikiem jednego z rzemieślników, dwaj przyjaciele dotarli na plac Santa Maria. Po prawej stronie zobaczyli mały cmentarz, po lewej kościół.

— Klasztor Świętej Klary jest... — zaczęła tłumaczyć Joanet, lecz urwał w pół słowa. Coś... coś takiego! — pomyślał.

— Co to? — wybełkotał Arnau i rozdziwił buzię ze zdumienia.

Stali przed kolejnym kościołem: potężnym, dostojnym, posępnym i przyśadzistym, o wyjątkowo grubych murach bez okien. Ze świeżo uprzątniętego i wyrównanego terenu wokół świątyni wystawało mnóstwo powiązanych kolków, tworzących wokół budynku figury geometryczne.

Apsydę małego kościółka otaczało dziesięć wysmukłych, szesnastometrowych kolumn z kamienia, których biel prześwitywała przez deski rusztowań.

Drewniane rusztowania, oparte o tylną część kościoła, pięły się wysoko niczym schody do nieba. Choć Arnau stał w pewnej odległości od placu budowy, musiał zadrzeć głowę, by dojrzeć punkt, znacznie powyżej kolumn, w którym rusztowania się kończyły.

— No, chodź — ponaglił go Joanet. Malec dostał gęziej skórki na widok robotników uwijających się na podniebnej konstrukcji. — To na pewno kolejna katedra.

— To nie katedra — powiedział ktoś za ich plecami. Arnau i Joanet uśmiechnęli się do siebie. Obejrzel się i zobaczyli spoconego osiłka taszczącego wielki głaz. W takim razie co? — zdawał się pytać uśmiechnięty Joanet. — Katedry powstają z pieniędzy moźnych i rajców, a ten kościół, który niebawem będzie piękniejszy i wspanialszy od katedry, budują wszyscy mieszkańcy Barcelony.

Mężczyzna nawet nie przystanął, zdążył się tylko do malców uśmiechnąć. Ciężar zdawał się pchać go do przodu.

Chłopcy ruszyli za nim w stronę kościoła. Stanęli przy murze przylegającym do drugiego, mniejszego cmentarza.

— Pomóc wam, panie? — zapytał Arnau.

— Dziękuję, chłopcze, lepiej nie.

Schylił się i zrzucił ciężar z pleców. Chłopcy zerknęły na wielki kamień, Joanet spróbował go poruszyć. Głaz ani drgnął. Robotnik zarechotał, Joanet się uśmiechnął.

— Jeśli to nie katedra... — odezwał się Arnau, wskazując na wysokie ośmioboczne kolumny — to co?

— Nowy kościół budowany przez mieszkańców dzielnicy Ribera w podzięce i hołdzie Matce Boskiej...

Arnau aż podskoczył.

— Matce Boskiej? — zapytał, wytrzeszczając oczy.

— A owszem, mój chłopcze — odparł mężczyzna, mierzwiąc Arnauowi czuprynę. — To kościół Santa Maria de la Mar, poświęcony Matce Boskiej, patronce morza.

— Ale... gdzie jest Madonna? — spytał Arnau ze wzrokiem utkwionym w kościele.

— Na razie tam, w tym małym kościółku. Ale gdy skończymy budowę, będzie miała naj-

wspaniałą świątynię na świecie.

Tam w środku! Arnau nie słyszał dalszych wyjaśnień robotnika. Tam w środku mieszka Matka Boska! Usłyszał łopot skrzydeł i zadarł głowę: ze szczytu rusztowań poderwało się w niebo stado ptaków.



9

Ribera de Mar, dzielnica Barcelony, gdzie budowano teraz kościół Santa Maria de la Mar, w czasach karolińskich znajdowała się poza granicami miasta, szczerlnie otoczonego murami obronnymi wzniesionymi przez Rzymian. Z początku zamieszkiwali ją jedynie rybacy, tragarze portowi i prości ludzie trudniący się najpospolitszymi zajęciami. Już wtedy stał tam maleńki kościółek pod wezwaniem Matki Boskiej od Piasków — Santa Maria de las Arenas — zbudowany w miejscu, gdzie w 303 roku poniosła męczeńską śmierć święta Eulalia. Jednak nanoszone przez morze osady, te same, które niszczyły kolejne porty, oddzieliły kościół od piaszczystego wybrzeża i zadecydowały o zmianie nazwy świątyni. Patronkę kościółka przemianowano na Matkę Boską od Morza — Santa Maria de la Mar — bo choć świątynia leżała teraz znacznie dalej od wybrzeża, nadal odwiedzali ją ludzie morza.

Gdy czas oczyścił z piasku okolice skromnego kościółka i stworzył nową klasę społeczną — mieszczaństwo — Barcelona poczęła wylewać się poza swe nazbyt teraz ciasne granice wyznaczone jeszcze przez Rzymian. Zaczęto szukać nowych gruntów za murami miasta. Spośród trzech możliwych kierunków mieszczenie wybrali przedmieścia przylegające do wschodniego odcinka murów, łączące wybrzeże z centrum miasta. Tam właśnie, na ulicy Mar, osiedlili się srebrnicy, a tuż obok bankierzy, rzeźnicy, piekarze, winiarze i serowarzy, kapelusznicy, płatnerze oraz inni rzemieślnicy, którzy nadali nazwy nowym ulicom. Ponadto powstało tam miasteczko kupieckie, gdzie zatrzymywali się kupcy zagraniczni, a na tyłach kościoła Santa Maria zbudowano plac Born, na którym odbywały się turnieje rycerskie. Lecz nowa dzielnica Ribera przyciągnęła nie tylko bogatych rzemieślników. W ślad za seneszałem Guillemem Ramonem de Montcada, któremu hrabia Barcelony, Ramon Berenguer IV, przekazał grunty — nazwane później na cześć darczyńcy — zamieszkało tam również wielu możnych. Niebawem na ulicy Montcada, przechodzącej w plac Born, który przylegał do kościoła Santa Maria de la Mar, wyrosły wspaniałe pałace.

Z chwilą gdy Ribera de Mar przemieniła się w bogatą, doskonale prosperującą dzielnicę, stary kościółek romański, odwiedzany dotychczas przez rybaków i innych ludzi morza, okazał się zbyt

mały i zbyt ubogi dla tak wykwintnych i zamożnych parafian. Jednak władze kościelne i rodzina królewska kierowali całą swą uwagę i środki na rozbudowę katedry w Barcelonie.

Mieszkańców parafii Santa Maria de la Mar, bogatych i biednych, zjednoczonych miłością do swej patronki, brak wsparcia bynajmniej nie zniechęcił. Za pośrednictwem Bernata Llulla, świeżo nominowanego archidiacona, wystąpili do władz duchownych o zgodę na budowę nowego kościoła. Marzyli o wzniesieniu największej i najwspanialszej świątyni ku czci Marii. Zgodę otrzymali.

Kościół Santa Maria de la Mar był więc budowany i finansowany przez mieszkańców Barcelony, co uwieczniono na kamieniu węgielnym umieszczonym dokładnie pod głównym ołtarzem. W przeciwieństwie do budynków wznoszonych przez władze miejskie, na kamieniu wyryto tylko herb parafii. Oznaczało to, że kościół jest dziełem parafian: tych zamożnych, łączących na budowę, oraz biedniejszych, pracujących na niej. Od wmurowania kamienia węgielnego reprezentanci parafian i patrycjusz — występujący pod nazwą „Vigesimoquinta” — spotykali się co roku, by w obecności rejenta przekazać kierownikowi budowy klucze do świątyni.

Arnau przyjrzał się robotnikowi, który przydzwigał wielki glaz. Był zaspany i spocony, ale uśmiechał się, patrząc na powstający kościół.

— Można ją odwiedzić? — zapytał Arnau.

— Kogo? Matkę Boską? — Robotnik uśmiechnął się do chłopca.

A jeśli dzieci nie mogą wchodzić same do kościoła? — pomyślał Arnau. A jeśli wpuszczane są tylko z rodzicami? Czy nie to właśnie miał na myśli ksiądz z kościoła Świętego Jakuba?

— Oczywiście, że można. Madonna na pewno przyjmie was z radością.

Arnau zachichotał nerwowo i zerknął na Joaneta. — Idziemy — powiedział.

— Ej, ej! Chwileczkę! — odrzekł robotnik — Ja muszę wracać do pracy. — Spojrzał na rzemieślników obrabiających kamienne bloki. — Angel! — przywołał mniej więcej dwunastoletniego chłopca. — Zaprowadź ich do kościoła. Powiedz proboszczowi, że przyszedli do Madonny.

Robotnik jeszcze raz zmierzwił Arnauowi włosy i odszedł w stronę morza. Chłopcy zostali sami z Angelem. Gdy ten obrzucił ich spojrzeniem, spuścili wzrok.

— Chcecie zobaczyć Madonnę? — spytał serdecznie. Arnau przytaknął i zapytał:

— To ty ... ją znasz?

— Pewnie — zaśmiał się Angel. — To moja patronka. Mój ojciec jest przewoźnikiem portowym, pływa na łodzi! — dodał z dumą. — Chodźcie.

Podreptali za nim. Joanet rozglądał się szeroko rozwartymi oczami, Arnau szedł ze spuszczoną głową.

— Masz mamę? — zapytał ni z tego, ni z owego.

— Oczywiście — odparł Angel, nie odwracając się.

Arnau uśmiechnął się do Joaneta. Przystanęli w progu świątyni, czelając, aż ich wzrok przywyknie do mroku. Pachniało woskiem i kadzidłem. Arnau porównał długie, wysmukłe kolumny przed kościołem z tymi wewnątrz: niskimi, kwadratowymi, przysadzistymi. Młde światło sączyło się do środka przez wąskie, podłużne, zatopione w grubych murach okna, malując na posadzce żółte prostokąty. Wszędzie — pod sufitem, na ścianach — wisiały małe łódki. Niektóre wyglądały zupełnie zwyczajnie, inne były prawdziwymi dziełami sztuki.

— Chodźcie — szepnął Angel.

W drodze do ołtarza minęli wiele klęczących postaci. Zwrócili na nie uwagę dopiero teraz, gdy

usłyszeli szmer modlitw. Joanet szepnęła Arnauowi do ucha:

— Co oni robią?

— Modlą się.

Gdy ciotka Guiamona wracała z jego kuzynami z kościoła, kazała mu klękać pod krzyżem w sypialni i odmawiać pacierz.

Joanet ukrył się za Arnauem na widok chudego księdza zmierzającego ku nim od ołtarza.

— Co cię tu sprowadza? — zapytał kapłan Angela, zerkając na jego towarzyszy.

Angel schylił się do dłoni wyciągniętej przez kapłana.

— Ci dwaj, ojcie. Przyszli zobaczyć Madonnę.

Oczy księdza lśniły w półmroku, gdy wskazując ołtarz, powiedział:

— Oto ona.

Arnau podążył wzrokiem za jego dłonią i zobaczył skromną kamienną figurkę kobiety z dzieckiem na prawej ręce i drewnianym statkiem u stóp. Przymknął oczy. Ta kobieta o łagodnych rysach jest jego matką!

— Jak się nazywacie? — zagadnął kapłan.

— Arnau Estanyol.

— A ja Joan, ale wszyscy wołają na mnie Joanet.

— A na drugie?

Joanet przestał się uśmiechać. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie księdza. Jego matka nie chciała, by przedstawiał się j jako Joan Pone, bo to mogłoby rozżłościć kotlarza, nie pozwoliła mu jednak używać jej nazwiska. Nikt wcześniej go o to nie pytał. Dopiero ten ksiądz... Co go obchodzi jego nazwisko? Jednak duchowny najwyraźniej czekał na odpowiedź.

— Nazywam się tak jak on — rzucił w końcu Joanet. — Estanyol.

Arnau odwrócił się do przyjaciela i napotkał jego błagalny wzrok.

— A, jesteście braćmi.

— T... tak — bąknął Joanet wobec przyzwalającego milczenia Arnaua.

— Umiecie się modlić?

— Tak — odparł Arnau.

— Ja nie... Jeszcze nie — wyznał Joanet.

— Brat cię nauczy — powiedział ksiądz. — Pomódlcie się teraz do Matki Boskiej. Angel, chodź na chwilę. Przekaż ode mnie majstrowi, że te kamienie...

Głos księdza cichł, w miarę jak się oddalał. Chłopcy zostali sami przed ołtarzem.

— Powinniśmy uklęknąć? — szepnęła Joanet do Arnaua. Arnau zerknął na wskazane przez niego cienie. Powstrzymał przyjaciela, który już ruszył ku obitym czerwonym jedwabiem klęcznikom stojącym przed głównym ołtarzem.

— Wszyscy klęczą na posadzce — odpowiedział mu również szeptem i skinął na obecnych w kościele wiernych. — Poza tym oni się modlą.

— A ty niby co chcesz robić?

— Porozmawiać z nową matką. Przecież nie będę się do niej modlił. Ty nie klękasz przed swoją mamą, prawda?

Joanet spojrział na Arnaua. Nie, nie klękał.

— Ale ksiądz powiedział, że mamy się modlić, nie rozmawiać.

— Więc lepiej mu o niczym nie mów. Chyba nie chcesz, żeby się dowiedział, że go okłamałeś

i wcale nie jesteś moim bratem?

Joanet stanął obok Arnaua i zaczął się przyglądać łódkom zdobitym kościół. Bardzo chciał mieć którąś z nich. Był ciekaw, czy unoszą się na wodzie. Na pewno, bo po co by je rzeźbiono? Postawiłby jedną na brzegu morza i...

Arnau wpatrywał się w kamienną figurkę. Co ma powiedzieć Matce Boskiej? Czy ptaki przekażają jego wiadomość? Miały jej powiedzieć, że ją kocha, powtarzał im to wiele, wiele razy.

Tata twierdzi, że Habiba jest teraz z tobą. Mimo że była Arabką. Nie mogę tylko o tym nikomu mówić, bo wszyscy myślą, że Arabowie nie idą do nieba. Habiba była bardzo dobra. To nie ona zawiniła. To Margarida...

Arnau nie odrywał oczu od kamiennej figurki, otoczonej dziesiątkami płonących świec, które wprawiały w drżenie powietrze.

Czy Habiba naprawdę jest u ciebie? Jeśli tak, przekaż jej, że ją również kocham. Nie masz mi tego za złe, prawda? Nie masz mi za złe, że kocham Arabkę?

W mroku, wśród drgającego powietrza i migotania świec, kąciki warg Madonny zdawały się unosić w uśmiechu.

— Joanet! — szepnął Arnau.

— Co?

Wskazał na figurkę, ale jej wargi... Może Madonna uśmiecha się tylko do niego? Może to ich słodka tajemnica... — No, co? — dopytywał się Joanet.

— Nic, już nic...

— Pomodliliście się?

Nie zauważyli nadejścia księdza i Angela.

— Tak — odparł Arnau.

— Ja nie... — zaczął się usprawiedliwiać Joanet.

— Tak, wiem... — wszedł mu w słowo kapłan, głaszcząc go czule po głowie. — No, a ty, jaką modlitwę zmówiłeś? — zwrócił się do Arnaua.

— Ave Maria.

— Tak, to piękna modlitwa. Chodźmy już — rzucił ksiądz, prowadząc ich do wyjścia.

— Ojczcie — odezwał się Arnau, gdy znaleźli się przed kościołem — będziemy mogli tu jeszcze kiedyś przyjść?

Ksiądz się uśmiechnął.

— Oczywiście. Ale mam nadzieję, że przed następną wizytą nauczysz brata się modlić. — Poklepał Joaneta po j policzku. Chłopiec przyjął pieszczotę z pełną powagą. — i Przychodźcie, kiedy chcecie — dodał kapłan. — Jesteście tu mile widziani.

Angel skierował się ku górze kamieni. Arnau i Joanet ruszyli za nim.

— A wy dokąd? — zapytał młody robotnik. Chłopcy spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. — Nie możecie pętać się po budowie. Jeśli majster...

— Masz na myśli tego siłacza z kamieniem? — wszedł mu w słowo Arnau.

— Ależ skąd! — zaśmiał się Angel. — Tamten to *bastaix* i ma na imię Ramon. — Joanet i Arnau spojrzeli na niego pytająco. — *Bastaixos* to tragarze, tacy mulnicy, tyle że pracują w porcie. Przenoszą towary z plaży do składów kupieckich i z powrotem. Załadowują i rozładowują łódki przewoźników, którzy odbierają ładunek z okrętów i dostarczają go na brzeg.

— To oni nie pracują w kościele Santa Maria? — zapytał Arnau.

— Oj, pracują, pracują, i to ciężiej od nas wszystkich. — Angel roześmiał się na widok min chłopców. — To prości robotnicy, ale bardzo kochają swoją Madonnę. Są biedni i nie mogą łożyć na budowę kościoła, za to przynoszą nam za darmo kamienie. Taszczą je na plecach aż z kamieniołomu Montjuic. — Angel zapatrzył się w siną dal. — Pokonują całe mile, dźwigając głazy, których my nie możemy nawet ruszyć — Arnau przypomniał sobie głaz, dopiero co przyniesiony przez Ramona.

— Oj, pracują dla swojej Madonny, pracują — powtórzył Angel. — Ciężiej od nas wszystkich. No, idźcie już się bawić — dodał i ruszył do swoich zajęć.



10

— Dlaczego te rusztowania są takie wysokie?

Arnau wskazał na tyły romańskiego kościółka. Angel, który jadł właśnie chleb z serem, zadął głowę i coś wybełkotał. Joanet roześmiał się, Arnau mu zawtórował. Angel nie wytrzymał i również parsknął śmiechem, ale się zakrztusił i zaczął kaszleć.

Arnau i Joanet codziennie wstępowali do kościoła Santa Maria i klękali przed ołtarzem. Joanet, zachęcony przez matkę, postanowił nauczyć się modlić i na okrągło klepał pacierze, naśladowując Arnaua. Gdy się rozstawali, malec biegł do ogrodu i opowiadał matce o swych postępkach. Arnau nie modlił się, tylko rozmawiał ze swą nową matką. Jedyne gdy podchodził do nich ojciec Albert — bo tak nazywał się znajomy ksiądz — i przyłączał się do mamrotania przyjaciela.

Po wyjściu z kościoła przyglądali się z pewnej odległości postępowi robót oraz pracy cieśli, kamieniarzy i murarzy. Potem siadali na placu i czekali na Angela, który lubił jeść w ich towarzystwie drugie śniadanie. Zaskarbili sobie sympatię ojca Alberta, robotnicy uśmiechali się do nich, nawet *bastaixos*, zgięci pod ciężarem ogromnych kamieni, zerkali przyjaźnie na dwóch chłopców przesiadujących pod kościołem Santa Maria.

— Dlaczego rusztowania sięgają tak wysoko? — zapytał znów Arnau.

Wszyscy trzej spojrzeli na tyły kościoła, gdzie stało dziesięć kolumn: osiem w półkolu, dwie z boku. Za kolumnami zaczęto już budować przypory oraz mury przyszłej apsydy. Kolumny górowały nad kościółkiem, jednak rusztowania wznosiły się, nie wiadomo dlaczego, jeszcze wyżej. Można by pomyśleć, że robotnicy oszaleli i budują schody do nieba.

— Nie wiem — odparł Angel.

— Przecież te rusztowania niczego nie przytrzymują — zauważył Joanet.

— Ale będą przytrzymywać — rozległ się nagle stanowczy męski głos.

Trzej chłopcy spojrzeli za siebie. Chichocząc i kaszłąc, nawet nie zauważyli, że za ich plecami zebrała się grupka mężczyzn. Niektórzy byli wytwornie ubrani, inni nosili sutanny, na szyi złote, wysadzone drogimi kamieniami krzyże, a do tego wielkie pierścienie i pasy haftowane złotem

i srebrem.

Ojciec Albert dopiero co dostrzegł gości i pospieszył ich przywitać. Angel skoczył na równe nogi i znowu się zakrzuszył. Znał mężczyznę, który ich zagadnął, nieczęsto jednak widywał go w tak doborowym towarzystwie. Był to Berenguer de Montagut, mistrz budowlany kierujący robotami w kościele Santa Maria de la Mar.

Arnau i Joanet również wstali. Ojciec Albert dołączył do zebranych i zaczął całować biskupie pierścienie.

— A co będą przytrzymywać?

Pytanie Joaneta zaskoczyło ojca Alberta, pochylającego się właśnie nad dłonią kolejnego biskupa. Zgięty wpół spiorunował chłopca wzrokiem, jakby chciał mu powiedzieć: nie odzywaj się niepytany. Jeden z dostojników już zamierzał ruszyć w stronę kościoła, ale Berenguer de Montagut położył rękę na ramieniu dociekliwego malca i pochylił się nad nim.

— Dzieci często widzą to, czego nie dostrzegają dorośli — rzekł głośno do otaczających go osobistości. — Nie zdziwiłbym się, gdyby te pędraki zauważyły coś, co myśmy przeoczyli. Chcesz wiedzieć, dlaczego rusztowania sięgają tak wysoko? — Joanet skinął głową, zerknąwszy jednak uprzednio na ojca Alberta. — Widzisz, gdzie kończą się kolumny? No więc tam, na górze, ze szczytu tych kolumn odchodzić będzie sześć łuków, a na najważniejszy z nich spocznie apsyda nowego kościoła.

— Co to jest apsyda? — spytał Arnau.

Berenguer uśmiechnął się i zerknął za siebie. Niektórzy z towarzyszących mu dostojników słuchali go nie mniej uważnie niż dzieci.

— Apsyda to coś takiego — mistrz złączył końce dłoni i rozstawił palce. Dzieci z zapartym tchem obserwowały ten j magiczny pokaz. Kilka osób stojących za mistrzem, między innymi sam ojciec Albert, zerknęło mu z zaciekawieniem przez ramię. — No więc na samej górze — ciągnął Berenguer, odsuwając jedną rękę i dotykając koniuszka palca wskazującego — umieszcza się duży kamień, zwany kluczem sklepienia lub zwornikiem. Najpierw należy wciągnąć kamień na sam szczyt rusztowań. Właśnie tam, widzicie? — Wszyscy zadarli głowy. — Gdy kamień znajdzie się już na górze, będzie można rozpocząć budowę żeber sklepienia, które podtrzymają zwornik. Do tego właśnie potrzebne są tak wysokie rusztowania.

— Po co tyle zachodu? — wypalił Arnau. Ksiądz aż podskoczył, słysząc pytanie swego pupila, mimo że zaczynał się już przyzwyczajać do jego uwag. — Przecież od dołu nic nie będzie widać. Sklepienie kościoła wszystko zasłoni.

Berenguer roześmiał się podobnie jak kilku innych dostojników. Ojciec Albert odetchnął.

— Mylisz się, chłopcze. Sklepienie starej świątyni będzie rozbierane w miarę powstawania nowej konstrukcji. To tak jakby stary kościół przeistaczał się z wolna w nowy, większy, bardziej...

Smutek na twarzy Joaneta zaskoczył mistrza. Małec przyzwyczaił się do przytulnego małego kościółka, do jego zapachu, półmroku, atmosfery zaciszności, którą rozkoszował się podczas modlitwy.

— Kochasz Matkę Boską od Morza? — zapytał Berenguer. Joanet zerknął na Arnaua. Obaj przytaknęli.

— Matka Boska, którą tak kochacie, będzie miała w nowym kościele więcej światła niż jakkolwiek inna Madonna na świecie. Nie będzie już musiała stać w mroku, stworzymy dla niej najpiękniejszą świątynię, świątynię, o jakiej nikt nigdy nie marzył. Nie będzie już zamknięta w gru-

bych murach, podarujemy jej nowy dom: wysoki, wysmukły, strzelisty, z kolumnami i apsydami sięgającymi niebios.

Wszyscy znów zadarli głowy.

— Tak, tak — ciągnął Berenguer de Montagut — nowy kościół naszej Matki Boskiej sięgać będzie aż do nieba. — Ruszył w kierunku świątyni, za nim poszli towarzyszący mu dostojnicy. Trzej chłopcy i ojciec Albert pozostali na placu i odprowadzili ich wzrokiem.

— Ojczce, co stanie się z Matką Boską, gdy zacznie się rozbiórka starego kościoła, a nowy nie będzie jeszcze gotowy? — zapytał Arnau, upewniwszy się, że odchodzący już go nie usłyszą.

— Widzisz tamte przyory? — Książd skinął na podwójną konstrukcję, która przegrodzić miała ambit⁵ za głównym ołtarzem. — Tam właśnie stanie pierwsza kaplica nowej świątyni, kaplica Przenajświętszego Sakramentu, gdzie wraz z ciałem Chrystusa i relikwiarzem świętej Eulalii przeniesiona zostanie na czas budowy figurka Madonny.

— A kto będzie jej strzeżł?

— O to nie musisz się martwić — uspokoił chłopca duchowny, uśmiechając się od ucha do ucha. — Matka Boska będzie w dobrych rękach. Pieczę nad kaplicą Przenajświętszego Sakramentu sprawuje bractwo *bastaixos*. Powierzony im zostanie klucz do kraty kaplicy, by czuwali nad twoją Madonną.

Arnau i Joanet znali już imiona portowych tragarzy. Pewnego dnia Angel przedstawił im wszystkich *bastaixos* idących gęsiego, każdy z wielkim kamieniem na plecach. Był wśród nich Ramon, którego poznali pierwszego dnia na budowie; Guillem, nieprzenikniony niczym głązy, które dźwigał, ale dobry i serdeczny, ogorzały od słońca, z twarzą potwornie zniekształconą po nie szczęśliwym wypadku; drugi Ramon, nazywany „Mniejszym”, krępy i niższy od swego imiennika; żyłasty Miquel, który — wydawałoby się — nie może udźwignąć ciężaru, ale który napinał wszystkie mięśnie i ścięgna, jakby miał za chwilę pęknąć; Sebastia, najbardziej antypatyczny i posępny ze wszystkich, oraz jego syn Bastianet; Pere, Jaume i wielu, wielu innych tragarzy z dzielnicy Ribera, którzy zaoferowali się dostarczyć z królewskich kamieniołomów La Roca tyśiące bloków skalnych na budowę kościoła Santa Maria de la Mar.

Arnau pomyślał o nich: o spojrzeniu, jakim obrzucali kościół, gdy zgięci wpół wchodzili na plac, o uśmiechu rozjaśniającym ich twarze, kiedy pozbywali się ładunku, o ich żelaznych plecach. Wiedział, że pod ich opieką Matka Boska będzie bezpieczna.

Zapowiedź Berenguera de Montagut spełniła się siedem dni później.

— Jutro przyjdzie skoro świt — poradził im Angel. — Będziemy wciągali klucz sklepienia.

Nazajutrz chłopcy od samutkiego rana kręcili się w ponad-stuosobowym tłumie zgromadzonym pod rusztowaniami, w którym nie zabrakło tragarzy portowych, a nawet księży. Ojciec Albert tym razem razem zrezygnował z sutanny i wdział prosty strój robotnika, przewiązany w pasie grubym kawałkiem czerwonego sukna.

Arnau i Joanet lawirowali w tłumie, witając się ze znajomymi i uśmiechając się do wszystkich.

— Chłopcy — zwrócił się do nich jeden z majstrów murarskich — gdy zaczniemy wciągać zwornik, nie chcę was tu widzieć.

Skinęli głowami.

— A klucz sklepienia? — zapytał Joanet, zerkając na majstra.

Popędzili we wskazanym kierunku, pod pierwsze, najniższe rusztowanie.

— Wielkie nieba! — zakrzyknęli jak na komendę, stanąwszy przed okrągłym głazem.

Spora grupka robotników również się przyglądała kamieniowi, tyle że w milczeniu. Wszyscy czuli, że czeka ich doniosła chwila.

— Waży ponad sześć ton — rzucił ktoś.

Joanet wytrzeszczył oczy na stojącego tuż obok tragarza Raniona.

— Nie, nie — powiedział tragarz, odgadując myśli malca — to nie my go tu przytaszczyliśmy.

Kilka osób skwitowało jego słowa nerwowym chichotem, który bardzo szybko ucichł. Arnau i Joanet patrzyli, jak robotnicy zerkają na głaz, a potem przenoszą wzrok na szczyt rusztowania. Mieli wciągnąć na linach sześciotonowy głaz na wysokość trzydziestu metrów!

— Jeśli coś pójdzie nie tak... — powiedział ktoś, żegnając się.

— To nas zniadźdy — dokończył ktoś inny, wykrzywiając wargi.

Nikt nie stał w miejscu, nawet ojciec Albert w swym niecodziennym stroju kręcił się nerwo wśród zgromadzonych, dodając im otuchy, poklepując po plecach i zagadując. Ten i ów zerkał w stronę starego kościółka stojącego między robotnikami i rusztowaniami. Mieszkańcy Barcelony zaczęli gromadzić się w pewnej odległości od placu budowy.

W końcu zjawił się Berenguer de Montagut. Nie tracąc czasu na powitania i pogawędki, wstąpił na najniższe rusztowanie i przemówił do zebranych. Tymczasem kilku murarzy zaczęło przywiązywać do zwornika wielki blok podciągowy.

— Jak zauważyliście — wyjaśniał mistrz Berenguer — na szczycie rusztowania zamocowano liczne wielokrążki, które pomogą nam wciągać zwornik. Bloki, zarówno te na górze, jak i ten przywiązany właśnie do kłucza sklepienia, posiadają potrójny układ krążków, z których każdy składa się z trzech osobnych bloczków. Jak już zapewne wiecie, nie posłużymy się kołowrotami ani kołami, ponieważ będziemy przesuwali zwornik w poprzek. Przez bloki przerzucono trzy liny, które prowadzą w górę i w dół. — Sto głów poruszało się w ślad za palcem mistrza wskazującym powrozy. — Podzielcie się na trzy grupy.

Majstrowie zaczęli ustawiać robotników. Arnau i Joanet pobiegli na tyły kościoła i stamtąd, oparci o mur świątyni, śledzili przygotowania. Gdy trzy grupy były już wydzielone, Berenguer powiedział:

— Każda z drużyn będzie ciągnąć za jedną linę. Wy — zwrócił się do pierwszej grupy — jesteście drużyną Madonny. Powtórzcie ze mną: Ma-don-na! — Robotnicy powtórzyli okrzyk mistrza. — Wy, drużyną świętej Klary. — Druga grupa również wyskandowała swą nazwę. — Natomiast wy, drużyną świętej Eulalii. Będę się do was zwracał imionami waszych patronek. Gdy powiem: „Razem!”, będę miał na myśli wszystkie trzy grupy. Staniecie gęsiego i będziecie ciągnęli w linii prostej. Musicie mieć przed sobą plecy osoby przed wami i słuchać rozkazów majstra kierującego grupą. Pamiętajcie: musicie stać równo! Ustawcie się!

Każdej grupie przydzielono majstra murarskiego, który ustawił swych podkomendnych. Robotnicy chwycili liny. Berenguer de Montagut nie dał im czasu do namysłu.

— Razem! Na rozkaz „Już!” zaczynacie ciągnąć, z początku powoli, aż poczujecie, że liny się napinają. Już!

Szeregi zafalowały. Liny zaczęły się naprężać.

— Razem! Z całej siły!

Arnau i Joanet wstrzymali oddech. Robotnicy wbili pięty w ziemię i zaczęli ciągnąć, napinając mięśnie ramion i pleców, wykrzywiając twarze. Arnau i Joanet utkwili wzrok w wielkim kamieniu. Ani drgnął.

— Razem! Mocniej!

Rozkaz mistrza poniósł się po placu, a grymas na pobladyłych z wysiłku twarzach robotników stał się jeszcze bardziej wyrazisty. Drewniane rusztowania zatrzeszczały, zwornik uniósł się pięćdziesiąt centymetrów nad ziemię. Sześciotonowa skała!

— Mocniej! — ryknął Berenguer, nie odrywając wzroku od kamienia.

Dwie pięćdziesiąt centymetrów. Arnau i Joanet wstrzymali z wrażenia oddech.

— Madonna! Mocniej! Jeszcze mocniej!

Arnau i Joanet spojrzeli na drużynę Madonny. Należał do niej ojciec Albert, który zmrużył oczy i szarpnął za linę.

— Dobrze, właśnie tak! A teraz wszyscy razem! Mocniej!

Deski nadal trzeszczały. Arnau i Joanet popatrzyli na rusztowania, potem przenieśli wzrok na Berenguera de Montagut. Cała jego uwaga skupiona była na kamieniu, który unosił się powoli, bardzo powoli...

— Jeszcze! Mocniej! Jeszcze mocniej! Wszyscy razem! Z całej siły!

Gdy zwornik znalazł się na wysokości pierwszego rusztowania, Berenguer kazał przestać ciągnąć i utrzymać kamień w powietrzu.

— Madonna, Święta Eulalia, trzymajcie! — zawołał po chwili. — Święta Klara, ciągnijcie! — Kamień zawisł nad rusztowaniem, z którego Berenguer wydawał rozkazy. — A teraz razem! Opuszczajcie powoli.

Wszyscy, nawet osoby ciągnące za liny, wstrzymali oddech, Gdy głaz spoczął u stóp Berenguera.

— Powoli! — powtórzył mistrz budowy. Rusztowanie wygięło się pod ciężarem zwornika.

— A jeśli się zarwie? — szepnął Arnau do Joaneta.

Jeśli się zarwie, Berenguer...

Nie zarwało się. Jednak dolne rusztowanie nie utrzymałoby długo sześciotonowego zwornika. Trzeba było wciągnąć kamień na samą górę, gdzie wedle obliczeń Berenguera deski mogły wytrzymać większe obciążenie. Murarze przełożyli liny na wyższe bloki i robotnicy znów chwycili za liny. W ten sposób, z rusztowania na rusztowanie, sześciotonowy kamień zbliżał się do punktu, gdzie w przyszłości miał połączyć żebra sklepienia — ponad głowami robotników i gapiów, hen, wysoko, pod samym niebem.

Robotnicy byli mokrzy od potu, drętwiały im mięśnie. Czasami któryś osuwał się na ziemię, a wtedy majster kazał pospiesznie wyciągnąć go spod nóg towarzyszy. Silniejsi gapie rwali się do pomocy i majster pozwalał im zastępować zmęczonych robotników.

Berenguer kierował teraz akcją ze szczytu rusztowania, a stojący niżej majster powtarzał jego rozkazy. Gdy klucz sklepienia znalazł się na najwyższym poziomie, na zagryzionych wargach niektórych robotników pojawił się uśmiech. Jednak najtrudniejszy moment wciąż był przed nimi. Berenguer de Montagut starannie doliczył punkt, w którym zwornik znajdzie się dokładnie w środku łuków sklepienia. Przez wiele dni, za pomocą sznurków i kółków, dokonywał triangulacji pomiędzy dziesięcioma kolumnami, sprawdzał pion i kreślił niezliczone linie przebiegające od dolnych kółków po sam szczyt konstrukcji. Następnie przenosił obliczenia na pergamin, skreślał, wymazy-

wał, poprawiał szkie, rysował od nowa. Klucz sklepienia, umieszczony w niewłaściwym miejscu, nie wytrzymałby naporu łuków i apsyda by się zawaliła.

W końcu, po tysiącach obliczeń i szkiców, zazaczył na deskach górnego rusztowania punkt, w którym należało umieścić klucz sklepienia — dokładnie tu, ani piędzi w jedną czy drugą stronę. Robotnicy niecierpliwiili się, nie wiedząc, dlaczego nie mogą jeszcze opuścić kamienia na rusztowanie. Berenguer de Montagut zarządził:

— Madonna, jeszcze trochę. Nie! Święta Klara, ciągnijcie.

A teraz trzy majcie. Święta Eulalia! Święta Klara! Madonna! W dół! Do góry! Teraz! — krzyknęła nagle. — Wszyscy razem, trzy majcie! W dół! Powoli, powoli... Ostrożnie!

Nagle liny przestały ciążyć. Zapanowała cisza i wszyscy spojrzeli w górę. Berenguer de Montagut kucnął, by sprawdzić położenie zwornika. Okrążywszy dwumetrowej średnicy kamień, wstał i uniósł ręce, pozdrawiając zgromadzony na dole tłum.

Arnaua i Joaneta, opartych o mury starego kościoła, przeszły ciarki na odgłos pomruku wydobywającego się z gardeł robotników, którzy przez kilka godzin ciągnęli za liny. Wielu osunęło się na ziemię. Tylko kilku miało jeszcze siłę skakać z radości i padać sobie w ramiona. Setki śledzących całą operację gapiów wiwatowały i biły brawo. Arnau poczuł ucisk w gardle i dostał gęsiej skórki.

— Chciałbym już być duży — szepnął tej nocy do ojca, gdy leżeli razem na sienniku. Jak zwykle towarzyszyło im chrapanie i pokasywanie niewolników i terminatorów.

Bernat próbował odgadnąć, skąd u syna to osobliwe pragnienie. Kilka godzin wcześniej Arnau wpadł do warsztatu rozradowany i zaczął opowiadać, jak wciągano zwornik apsydy na wierzchołek kościoła Santa Maria. Nawet Jaume słuchał z zainteresowaniem.

— Dlaczego, synku?

Wszyscy coś robią. W Santa Maria dużo dzieci pomaga rodzicom lub majstrom na budowie, tymczasem ja i Joanet... Bernat przytulił syna do serca. Rzeczywiście, z wyjątkiem rzadkich zleceń i drobnych zajęć Arnau spędzał całe dnie, włócząc się po mieście. Co pożytecznego mógłby robić? — Lubisz *bastaixos*, prawda?

Bernat pamiętał ożywienie, z jakim Arnau opowiadał o tragarzach portowych znoszących kamienie na budowę. Chłopcy odprowadzali ich aż do bram miasta, gdzie czekali na ich powrót z kamieniołomu, a potem szli za nimi wzdłuż plaży, od klasztoru Framenors aż do kościoła Santa Maria.

— Bardzo lubię — przytaknął Arnau. Bernat wsunął wolną rękę pod siennik, próbując coś namacać.

— Proszę — powiedział w końcu, wręczając synowi stary buklak, który towarzyszył im podczas ucieczki z Navarcles. Arnau chwycił buklak po omacku. — Możesz częstować pracujących *bastaixos* świeżą wodą. Zobaczysz, nie tylko nie odmówią, ale będą ci bardzo wdzięczni.

Nazajutrz o świcie Joanet jak zwykle czekał na przyjaciela pod warszatem Graua. Arnau pokazał mu buklak, który zawiesił sobie na szyi, i pobiegli nad morze, do położonej obok targowiska Encantes studni Pod Aniołem, jedynej na szlaku *bastaixos*. Następna studnia była dopiero przy kościele Santa Maria.

Gdy chłopcy zobaczyli nadciągających z wolna tragarzy, zgiętych pod ciężarem kamieni, wskoczyli na jedną z łódek wyciągniętych na plażę. Arnau podsunął buklak pierwszemu z nich. *Bastaix* uśmiechnął się, przystanął obok łódki i pozwolił nalać sobie wody wprost do ust. Jego towarzysze czekali z tyłu na swoją kolej. W drodze powrotnej do kamieniołomu przystawali i dziękowali chłopcom za przysługę.

I tak Arnau i Joanet zostali oficjalnymi „poicielami” portowych tragarzy. Czekali na nich przy studni Pod Aniołem, a kiedy *bastaixos* nie nosili kamieni, tylko rozładowywali statki, szli za nimi przez miasto i wlewali im orzeźwiająca wodę wprost do ust, by nie musieli rzucać z pleców ciężkich pakunków.

Nie przestali zaglądać na plac budowy. Sprawdzali postęp prac, rozmawiali z ojcem Albertem lub po prostu siadali na ziemi i patrzyli na Angela pochłaniającego drugie śniadanie. Gdy zerkali na kościół, ich oczy lśniły inaczej niż dotychczas, go teraz oni również brali udział w budowie! Tak im powiedzieli tragarze oraz sam ojciec Albert.

Chłopcy mogli obserwować, jak z czubka ośmiu kolumn przyślej apsydy zaczynały wyrastać ku zwornikowi żebra nowego sklepienia. Murarze zbili z desek krążyny, na których opierali teraz kamienne bloki, wznoszące się łukiem aż do zwornika. Za ośmioma pierwszymi kolumnami powstały już mury ambitu wzmocnione wewnętrznymi przyporami. Między tymi przyporami, powiedział ojciec Albert, wskazując dwie z nich, powstanie doglądana przed *bastaixos* kaplica Przenajświętszego Sakramentu, do której przeniesiemy Matkę Boską.

W miarę budowy ambitu i dziewięciu kolebek sklepiennych, wspartych na żebdach odchodzących od kolumn, zaczęto bowiem rozbierać stary kościół.

— Apsyda — opowiadał ksiądz, a Angel kiwał głową — przykryta zostanie dachem. A wiecie, z czego będzie dach? — Chłopcy pokręcili głowami. — Z wybrukowanych naczyń glinianych zebranych na mieście. Najpierw powstanie sklepienie z kamienia, na nich ułożone zostaną w rzędach naczynia, a dopiero na końcu właściwe zadaszanie.

Arnau zwrócił już uwagę na górę glinianych naczyń zmagazynowanych na placu, obok kamieni. Nawet zapytał o nie ojca, ale Bernat nie potrafił zaspokoić jego ciekawości.

— Wiem tylko — powiedział — że polecono nam odkładać wszystkie wybrukowane naczynia, bo ktoś ma się po nie zgłosić. Nie miałem pojęcia, że trafią akurat do twojego kościoła.

Za apsydą starej świątyni — którą zaczęto rozbierać ostrożnie, by wykorzystać budulec — powstawał więc powoli nowy kościół. Mieszkańcy dzielnicy Ribera chcieli odwiedzić ulubione miejsce kultu nawet podczas budowy okazałej świątyni Maryjnej, dlatego nie odwołano nabożeństw, mimo trwających prac. Jednak wierni czuli się tu dziwnie. Arnau nadal wchodził, podobnie jak wszyscy, przez zwężający się romański portyk, ale mrok, który spowijał go dotąd podczas rozmowy z Madonną, rozpraszało teraz światło wlewające się przez okna nowej apsydy. Stary kościółek przypominał szkatułkę w szkatule, j skazaną na zniszczenie w miarę powstawania tej większej (i wspanialszej — szkatułkę, nad którą otwierała się niezwykle wysoka i zadaszona już apsyda.



11

Jednak życie Arnaua nie ograniczało się wyłącznie do wizyt w kościele Santa Maria i pojenia *bastaixos*. Aby zapracować na strawę i posłanie, musiał między innymi chodzić z kucharką na zakupy.

Co dwa, trzy dni Arnau opuszczał błądym świtem warsztat i ruszał do miasta z niewolnicą Estranyą, Mulatką, która dreptała niepewnie na szeroko rozstawionych nogach, a jej bujne ciało kołysało się niebezpiecznie. Gdy tylko Arnau stawał w drzwiach kuchni, niewolnica wręczała mu bez słowa pierwsze pakunki: dwa kosze z ciastem chlebowym, które mieli zanieść na ulicę Ollers Blancs, by tam upieczono chleb. Jeden kosz zawierał ciasto na chleb dla rodziny Graua, zaczynione z czystej pszennej mąki, mające się niebawem przemienić w pyszne białe bochenki. W drugim koszyku znajdowało się ciasto na chleb dla służby i robotników: z jęczmienia, prosa, czasem nawet z bobu lub grochu. Powstawał z niego ciemny, zbity i twardy chleb.

Przekazawszy piekarzowi ciasto, Estranya i Arnau opuszczali dzielnicę garncarzy i przez bramę w murach miejskich udawali się do centrum Barcelony. Z początku Arnau nadążał za niewolnicą bez kłopotu, naśmiewając się z jej kaczego chodu i falujących fałdów ciemnej skóry.

— Z czego rzyasz? — pytała go nieraz Mulatka.

Arnau zerkał na jej okrągłą, spłaszczoną twarz, próbując ukryć rozbawienie.

— Tak ci wesoło? Zobaczmy, czy teraz też ci będzie do śmiechu — oznajmiała kucharka na placu Błat, obarczając małego pomocnika worem pszenicy. — No co, dlaczego już się nie śmiesz? — pytała go na stromej uliczce La Llet, dodając do wora pszenicy mleko dla jego kuzynów. Powtarzała to samo pytanie na skwerze Les Cols, gdzie kupowali kapustę, jarzyny i warzywa strączkowe, oraz na placu L'Oli, gdy wręczała mu oliwę, dziczyznę i drób.

Ale to był dopiero początek. Potem Arnau ze spuszczoną głową przemierzał w ślad za Mulatką całą Barcelonę. W dni postne, przy padające na sto sześćdziesiąt — prawie połowę — dni w roku, ta tłusta kobieta zmierzała kaczym krokiem na wybrzeże, niedaleko kościoła Santa Maria, gdzie na jednym z dwóch miejskich targów rybnych — starym lub nowym — wyklócała się o najdodrod-

niejsze delfiny, tuńczyki, jesiotry, amie, graniki, scjeny lub drumy.

— A teraz idziemy po rybki dla ciebie — obwieszczała radośnie Arnauowi, gdy zdobyła już dla swoich państwa najdorodniejsze okazy.

Szli na tyły kramów, gdzie Mulatka kupowała rybie resztki. Również tam kłębił się tłum, ale Estranya a tym razem brała co popadnie, nie wybrzydzając.

Mimo wszystko Arnau wolał dni postne od tych, kiedy Estranya kupowała mięso, bo rybie odpadki czekały na nich na zapleczu, a po mięsne ochłapy musieli iść na drugi koniec Barcelony. W drodze powrotnej Arnau aż się ugiął pod ciężarem worów i pakunów.

W jatkach przylegających do miejskich rzeźni kupowali mięso dla Graua i jego rodziny — mięso najlepszego gatunku, jak każde sprzedawane w Barcelonie. Zwierzęta hodowlane przekraczały bramy miejskie o własnych siłach i prowadzone były wprost do rzeźni, prawo zabraniało bowiem wnoszenia do Barcelony mięsa.

Dlatego aby kupić ochłapy, którymi żywiono służbę i niewolników, należało udać się bramą Porta Ferrisa na podmiejski targ, gdzie trafiało mięso niewiadomego pochodzenia. Estranya uśmiechała się do Arnaua, kupując ochłapy i obładując go kolejnymi pakunami. Na koniec odbierali upieczone bochny i wracali do domu: Estranya a, kołyszając się jak zwykle, Arnau, powłócząc nogami.

Pewnego ranka, gdy Estranya i Arnau robili zakupy w głównej rzeźni miejskiej przy placu Błat, w kościele Świętego Jakuba zabiły dzwony, choć nie była to niedziela ani żadne święto. Zwalista Estranya zamarła w pociesnym rozroku. Ktoś krzyknął coś, czego Arnau nie zrozumiał. Wiele głosów podchwyciło ten okrzyk i ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Arnau spojrzał pytająco na Estranyę, nie mogąc wydusić słowa. Upuścił pakunki. Kupcy zbożowi pospiesznie zwiłjali kramy. Ludzie biegali po ulicach, pokrzykując, dzwony kościoła Świętego Jakuba nie przestawały bić. Arnau już chciał ruszyć na plac Świętego Jakuba, ale... Czyżby dzwono również u klarysek? Skierował ucho ku klasztornej wieży, a tu nagle odezwały się również dzwony u Świętego Piotra, u franciszkańców i u Świętego Justa. Bito we wszystkie dzwony w Barcelonie! Arnau, ogłuszony, zastygł z otwartymi ustami, wodząc wzrokiem za mijającymi go biegiem przechodniemi.

Nagle zobaczył przed sobą buzię Joaneta. Jego przyjacieli, rozemocjonowany, nie mógł ustać w miejscu.

— *¡Via fora! ¡Via fora!* — krzyczał.

— Co?

— *¡Via fora!* — wrzasnął mu do ucha Joanet. Co to znaczy?

Joanet uciszył go ruchem ręki i wskazał na dawną bramę miejską pod pałacem naczelnika.

Właśnie wyszedł z niej herold w stroju bojowym: srebrzystej i z wielkim mieczem u pasa. W prawej ręce trzymał złote drzewce z chorągwią świętego Jerzego, patrona Katalonii; czerwony krzyż na białym polu. Za nim kroczył drugi herold również w stroju bojowym, niosąc chorągiew miasta. Obaj skierowali się na środek placu, ku kamieniowi wyznaczającemu dzielnicę miasta. Stanąwszy przy nim, unieśli chorągwie i krzyknęły jednocześnie:

— *¡Via fora! ¡Via fora!*

Dzwony nie przestawały bić, a *Via fora!*, powtarzane przez setki ust, wypełniało ulice Barcelony.

Joanet, który dotąd z przejściem obserwował heroldów, zaczął krzyczeć bez opamiętania.

Estranya oprzytomniała i popchnęła Arnaua. Chłopiec ociągał się, nie mogąc oderwać oczu od heroldów w lśniących zbrojach, którzy przeżyli się na środku placu pod barwnymi chorągiewkami.

— Do domu — rozkazała Estranya.

— Nie — zbuntował się Arnau, podburzony przez Joaneta. Mulatka złapała go za ramię i potrząsnęła.

— Idziemy. Nas to nie dotyczy.

— Coś ty powiedziała, niewolnico? — rzuciła jedna z kobiet, które przyglądały się, oczarowane, wydarzeniom na placu i były świadkiem szarpaniny Arnaua i Mulatki. — Chłopiec jest niewolnikiem? — Estranya zaprzeczyła ruchem głowy. — Jest obywatelem Barcelony? — Arnau potwierdził. — W takim razie dlaczego mówisz, że *Via fora* go nie dotyczy? — Estranya zawahała się, a jej stopy poruszyły się jak u rozleniwionej kaczki.

— Jak śmiesz, niewolnico — dodała inna kobieta — odmawiać chłopcu zaszczytu obrony naszych praw, praw Barcelony?

Estranya spuściła głowę. Co powie jej pan, kiedy się dowie? Przecież tak zabiega o miejskie zaszczyty. Dzwony nie milkły. Joanet podszedł do grupki kobiet i próbował nakonić Arnaua, by zrobił to samo.

— Niewiasty nie biorą udziału w pospolitym ruszeniu — przypomniała kobieta, która pierwsza zbesztala Estranyę.

— Tym bardziej niewolnicy — dodała inna.

— Jak myślisz, Mulatko, kto pomagałby naszym mężom w wojaczce, jeśli nie tacy właśnie chłopcy?

Estranya bała się podnieść wzrok.

— Kto przyrządzałby im strawę, biegał na posyłki, rozzuwał, czyścił kusze?

— Wracaj do swych zajęć — rozkazały Mulatce. — To nie miejsce dla niewolników.

Estranya wzięła worki, które do tej pory dźwigał Arnau, i ruszyła przed siebie, kołysząc wielkim cielskiem. Joanet promieniał szczęściem i patrzył z wdzięcznością na grupkę kobiet. Arnau nie ruszał się z miejsca.

— No, idźcie już, chłopcy — ponagliły ich kobiety. — I opiekujcie się naszymi mężami.

— Powiedz ojcu! — zawołał Arnau do Estranyi, która oddaliła się zaledwie o trzy lub cztery kroki.

Joanet, widząc, że Arnau nie odrywa wzroku od człapiącej powoli niewolnicy, odgadł jego myśli.

— Sam słyshałeś — powiedział. — Musimy opiekować się żołnierzami Barcelony. Twój ojciec zrozumie.

Arnau przytaknął, najpierw bez przekonania, potem bardziej zdecydowanie. Oczywiście, że zrozumie! Przecież zabiegał o to, by zostali obywatelami Barcelony!

Zwróciwszy się znów w stronę placu, chłopcy spostrzegli trzecią chorągiew — kupiecką. Tym razem herold nie miał na sobie zbroi, jednak przez plecy przewiesił kuszę i przypiął do Pasa miecz. Po chwili pojawił się następny sztandar: srebrników. Stopniowo plac Błat poczęły zalewać

barwne chorągwie przeróżnych cechów: kuśnierzy, felczerów i cyrulików, cieśli, kotlarzy, garnarczy...

Pod sztandarami bractw cechowych zbierali się wolni obywatele Barcelony. Zgodnie z prawem wszyscy uzbrojeni byli w kuszę, kołczan z setką strzał i miecz lub włócznię. Niecałe 3 godziny później oddziały pospolitego ruszenia były gotowe walki w obronie przy wilejów Barcelony.

W ciągu tych dwóch godzin Arnau pojął sens całego zamieszania. Joanet nareszcie mu wszystko wyjaśnił:

— Barcelona może się nie tylko bronić — tłumaczył — ale również atakować tych, którzy jej szkodzą. — Molec mówił w przejęciem, wskazując żołnierzy i sztandary. Był wyraźnie dumny ze swego miasta i jego mieszkańców. — Czekaj nas wspaniała przygoda, zobaczysz. Przy odrobinie szczęścia spędzimy kilka dni poza domem. Gdy ktoś podniesie rękę na obywatela Barcelony albo pogwałci nasze przywileje, powiadamia się o tym... no, nie wiem kogo, chyba naczelnika lub Radę Stu. W każdym razie, jeśli władze miasta uznają, że pogwałcono prawo, zwołują pod sztandarem świętego Jerzego pospolite ruszenie, czyli *host* Barcelony. Widzisz chorągwie; świętego Jerzego? Tam, na samym środku, góruje nad innymi. No więc władze każą bić w dzwony i wzywają wszystkich mieszkańców do broni okrzykiem *¡Via fora!* Na ten znak cechmistrze wynoszą na plac chorągwie cechowe, a członkowie bractw gromadzą się wokół, by wspólnie ruszyć do walki.

Arnau chłonął szeroko otwartymi oczami wszystko, co działo się wokół. Przedzierał się za Joanetem przez ciżbę wypełniającą plac Błat.

— A co trzeba robić? Czy to niebezpieczne? — zapytał na widok kuszy, mieczy i włóczni.

— Na ogół nie — uśmiechnął się Joanet. — Pamiętaj, że naczelnik zwołuje pospolite ruszenie nie tylko w imieniu miasta, ale również samego króla, a nikt przy zdrowych zmysłach nie zadziera z monarchą. Zależy, kto jest sprawcą całego zamieszania, choć najczęściej pan feudalny na widok nadciągającego *host* poddaje się i przystaje na żądania miasta.

— Nie dochodzi do bitwy?

— To zależy od decyzji władz miejskich i zachowania winnego. Ostatnim razem szurmowaliśmy zamek i nie obyło się bez bitwy, ofiar, obłączenia i... O, patrz! Tam na pewno jest twój wuj — rzucił nagle Joanet, wskazując chorągwie garnarczy. — Chodźmy!

Pod sztandarem bractwa stał Grau Puig w wysokich butach, skórzanym kasaku sięgającym do pól łydki i z mieczem u pasa. Wokół niego oraz trzech pozostałych cechmistrzów zgromadzili się garnarce z całego miasta. Grau dostrzegł krewniaka w tłumie i skinął na Jaume, który natychmiast zagroził chłopcom drogę.

— Dokąd to? — zapytał.

Arnau spojrział błagalnie na Joaneta.

— Proponujemy majstrowi nasze usługi — oznajmiłolec. — Możemy nosić prowiant i... spełniać wszystkie rozkazy.

— Przykro mi, nie — uciął Jaume.

— I co teraz? — spytał Arnau, gdy podmajstrzy się odwrócił.

— Też mi coś! — rzucił Joanet. — Tu aż się roi od ludzi, którzy bardzo chętnie przyjmą nas na giermków. A twój wuj nawet nas nie zauważy w takim tłumie.

Chłopcy zaczęli brnąć przez ciżbę, przyglądając się mieczom, kuszom i włóczniom, zerkając z podziwem na żołnierzy w zbrojach i przy słuchując się ożywionym rozmowom.

— Co z tą wodą? — usłyszeli za plecami.

Odwrócili się. Buzie chłopców pojaśniały na widok uśmiechającego się do nich Ramona. Prócz niego patrzyło na nich ponad dwudziestu innych uzbrojonych i potężnych *bastaixos*.

Arnau sięgnął na plecy, a nie wymacawszy buklaka, zrobił tak żalostną minę, że kilku tragarzy podało mu ze śmiechem własne łgawie.

— Trzeba być zwartym i gotowym, gdy miasto wzywa — żartowali.

Oddziały *host* opuściły Barcelonę za sztandarem świętego Jerzego i skierowały się ku sąsiadującemu z Tarragoną grodowi Creixell, którego mieszkańcy zatrzymali stado z Barcelony.

To aż takie przestępstwo? — zagadnął Arnau Ramona, Którego giermkami postanowili zostać.

A pewnie. Bydło rzeźników z Barcelony przysługuje na terenie całej Katalonii prawo wolnego wypasu. Nikt, nawet sam król, nie może przetrzymywać naszych stad. Nasze dzieciaki muszą jeść najlepsze mięso — odparł Ramon, mierzwiąc włosy obu chłopcom. — Pan z Creixell zatrzymał stado i domaga się od pasterza zapłaty za wypas i przejście przez jego ziemie. Pomyślcie tylko, co by było, gdyby wszyscy feudalowie, od Tarragony po Barcelonę, domagali się opłat za wypas i przejście bydła. Musielibyśmy zamienić się w jaroszków!

Gdybyś wiedział, jakim mięsem karmi mnie Estranya, pomyślał Arnau. Joanet odgadł myśli przyjaciela i skrzywił się z obrzydzeniem. Arnau tylko jemu powiedział o wstrętnych ochłapach kupowanych przez kicharkę. Nieraz kusiło go, by uświadomić ojcu pochodzenie mięsa pływającego w zupie, ale widząc, że apetyt mu dopisuje — podobnie jak reszcie robotników i niewolnikom — robił dobrą minę do złej gry i jadł w milczeniu.

— Są jakieś inne powody zwolania *host* — zapytał Arnau, wciąż walcząc z obrzydzeniem.

— Oczywiście. Każdy atak na przywileje Barcelony lub jej mieszkańców może spowodować zbrojną wyprawę. Jeśli, damy na to, ktoś ośmieli się uprowadzić obywatela miasta, pospieszmy mu na ratunek.

Gawędząc, Arnau i Joanet przemierzali z oddziałami pospolitego ruszenia katalońskie wybrzeże — Sant Boi, Castelldefels i Garraf — obserwowani spod oka przez napotkanych po drodze wędrowców, którzy na ich widok milkli i ustępowali im z drogi. Nawet morze zdawało się czuć respekt przed *host* Barcelony, bo cichło, gdy setki uzbrojonych mężczyzn, maszerujących za białą chorągwią z czerwonym krzyżem, sunęły brzegiem. Słońce świeciło przez cały dzień, a gdy morze zaczęło powlekać się srebrem, zatrzymali się na noc w Sitges. Pan z Fonollar ugościł miejskich dygnitarzy w swym zamku, reszta wojsk rozbiła obóz za murami.

— Będzie wojna? — zapytał Arnau.

Wzrok wszystkich *bastaixos* spoczął na chłopcu. Ciszę zakłócał tylko syk płomieni. Joanet zasnął z głową na kolanach Ramona. Słyszac pytanie Arnaua, kilku tragarzy portowych spojrzalo po sobie. Będzie wojna?

— Nie — odpowiedział Ramon. — Pan z Creixell nie odważy się wystąpić przeciwko nam.

Arnau był wyraźnie zawiedziony.

— A może będzie — pocieszał go siedzący po drugiej stronie ogniska inny członek cechowej starszyny. — Wiele lat temu, gdy byłem jeszcze bardzo młody, mniej więcej w twoim wieku, *host* wyruszyło do Castellbisbal. — Arnau słuchał z takim przejęciem, że omal się nie poparzył. — Tamtejszy pan feudalny również zatrzymał stado bydła, zupełnie jak tym razem. Zamiast poddać się po dobroci, stanął do walki z naszymi wojskami. Pewnie myślał, że kupcy, rzemieślnicy i *bastaixos* nie znają się na wojaczce. Zdobylimy zamek i pojmalimy pana oraz jego wojsków. Z twierdzy nie pozostał kamień na kamieniu.

Arnau widział już oczami wyobraźni, jak wspina się z mieczem na drabinę przystawioną do murów i krzyczy zwycięsko z blanków zamku Creixell: „Kto śmie stawać do walki z *host* Barcelony?!”. *Bastaixos* rozśmieszyła mina chłopca, który przejęty, ze wzrokiem utkwionym w płomieniach, ścisnął kurczowo kijek, służący mu wcześniej do zabawy, i rozdmuchiwał ogień, drząc na całym cieple. „Ja, Arnau Estanyol...”. Śmiechy sprawiły, że Arnau ocknął się znów w obozowisku w Sitges.

— Idź spać — poradził mu Ramon, podnosząc Joaneta. Arnau zmarszczył czoło. — Może przyśni ci się bitwa — próbował go pocieszyć.

Noc była chłodna, więc ktoś otulił chłopców derką.

Nazajutrz o świcie ruszyli w dalszą drogę. Minęli osady Vilanova, Cubelles, Segur i Bara, z których każda Posiadała własny zamek. W Bara odbili w głąb lądu, kierując się ku Creixell, oddalonemu niecałą milę od morza. Gród znajdował się na wzniesieniu, na którego szczycie, na ośmiobocznej kamiennej skarpie stał zamek naszpikowany obronnymi basztami. Wokół zamku przykucnęły chałupy.

Do zmięzchu pozostało kilka godzin. Rajcy i naczelnik miasta wezwali cechmistrzów. Wojsko ustawiło się w szyku bojowym, z chorągwiami na czele. Arnau i Joanet krążyli na tyłach z bukłakami wody, ale *bastaixos*, wpatrzony w warownię, nie zwracał na nich uwagi. Nikt się nie odzywał, więc chłopcy również bali się przerwać ciszę. Starszyzna wróciła z narady i zajęła miejsca w szyku bojowym. Na oczach wojska trzej posłowie ruszyli w stronę zamku. Z przeciwka zmierzano ku nim poselstwo wroga. Do spotkania doszło w pół drogi.

Arnau i Joanet, podobnie jak wszyscy inni obywatele Barcelony, spoglądali w milczeniu na rozmawiających posłów.

Nie doszło do bitwy. Pan z Creixell zdążył umknąć przed nadciągającą armią, wykorzystując tajne przejście łączące zamek z morzem. Alkad grodu, na widok wojsk Barcelony gotowych do ataku, poddał się, przystając na wszystkie żądania. Creixell oddało przetrzymywane bydło, uwolniło pasterza i zgodziło się zapłacić duże odszkodowanie, przyrzekło szanować przywileje Barcelony oraz wydało dwóch domniemanych sprawców całego zdarzenia, którzy natychmiast zostali wzięci do niewoli.

— Creixell się poddało — obwieścili rajcy miejscy.

Po oddziałach *host* przeszedł pomruk Mieszczanie, tymczasowo przemienieni w wojaków, wsunęli miecze do pochwy, odłożyli kusze i włócznie, zrzucili broje oraz kasaki. W szeregach rozległy się śmiechy, krzyki i żarty.

— Dzieciaki, przy nieście wina! — ponaglił swych pupili *bastaix* Ramon. — Co wam tak miny zrzedły? — zapytał, bo chłopcy nie ruszali się z miejsca. — Ostrzyliście sobie zęby na bitwę, zgładłem?

Arnau i Joanet nie musieli odpowiadać. Ich twarze wyrażały wszystko.

— Ktoś z nas mógł zostać ranny, a nawet zginąć w walce. Chyba byście tego nie chcieli? — Arnau i Joanet skwapliwie pokręcili głowami. — Spójrzcie na to z drugiej strony: mieszkańcy w największym i najpotężniejszym mieście w Katalonii, wszyscy boją się stanąć z nami do walki. — Chłopcy słuchali Ramona z szeroko otwartymi oczami. — No, a teraz pędźcie po wino. Wam też należy się toast za nasze wspólne zwycięstwo. Sztandar świętego Jerzego powrócił z honorami do Barcelony, a wraz z nim dwaj chłopcy, dumni ze swego miasta, z jego obywateli i z siebie samych. Skuci łańcuchami jeńcy z Creixell zostali oprowadzeni po ulicach. Kobiety oraz

wszyscy, którzy wypatrywali powrotu *host*, wiwatowali na cześć swych obrońców i pluli na jeńców. Arnau i Joanet, dumni i wyniośli, towarzyszyli wojsku podczas jego przemarszu. Gdy jeńcy zostali wtrąceni do lochów pałacu naczelnikowskiego, chłopcy — nadal dumni i wyniośli — stawili się przed Bernatem. Ten, na widok syna, całego i zdrowego, zapomniał u burze, jaką mu obiecał, i z uśmiechem słuchał jego relacji z wyprawy.



12

Od wydarzeń w Creixell upłynęło kilka miesięcy, ale życie Arnaua niewiele się zmieniło. Nie skończył jeszcze dziesięciu lat, wieku, w którym miał rozpocząć naukę w warsztacie Graua, mógł więc nadal przemierzać z Joanetem Barcelonę, jak zwykle pełną atrakcji i niespodzianek, poić *bastaixos*, a przede wszystkim odwiedzać świątynię Santa Maria de la Mar, gdzie śledził postęp robót i rozmawiał z Matką Boską, otwierając przed nią serce, zachwycony uśmiechem, jaki dostrzegał na wargach kamiennej figurki.

Zgodnie z zapowiedzią ojca Alberta, po rozebraniu starego ołtarza Madonnę przeniesiono do niewielkiej kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, zbudowanej w ambicie na tyłach nowego ołtarza, między dwoma przyporami i masywną żelazną kratą. Kaplica Przenajświętszego Sakramentu nie była obłożona żadnym prawem do dochodów, z wyjątkiem czysto duchowego przywileju, jakim cieszyli się jej oficjalni opiekunowie, *bastaixos*, obowiązani czuwać nad nią i dbać, by zawsze płonęły w niej świece. Choć była to najważniejsza kaplica w kościele i w niej właśnie przechowywano ciało Chrystusa, parafia powierzyła opiekę nad nią skromnym tragarzom portowym. Wielu możnych i bogatych kupców zamierzało, z myślą o przyszłych zyskach, opłacić budowę trzydziestu trzech kaplic, które — jak wyjaśnił ojciec Albert — miały powstać w Santa Maria de la Mar między przyporami ambitu lub naw bocznych, ale akurat ta, kaplica Przenajświętszego Sakramentu, należała do *bastaixos*. Dlatego Arnau mógł bez przeszkód odwiedzać Matkę Boską.

Pewnego ranka Bernat robił porządki pod siennikiem, gdzie trzymał między innymi sakiewkę z monetami, które dziewięć lat temu zabrał z rodzinnego folwarku, oraz skromną sumkę wypłacaną mu przez szwagra. Oszczędności te miały się przydać, gdy Arnau zgłębi tajniki zawodu i będzie chciał się uniezależnić. Gdy Jaume stanął przed nim, Bernat spojrział na niego zdziwiony. Podmajstrzy nie zwykł przychodzić do izby niewolników.

— Co...?

Jaume nie dał mu dokończyć:

— Twoja siostra nie żyje.

Pod Bernatem ugięły się nogi. Z sakiewką w ręku opadł na posłanie.

— Jak... Jakto? Co się stało? — wyjąkał.

— Nie wiadomo. Rano znaleziono ją martwą w łóżku. Bernat upuścił monety i ukrył twarz w dłoniach. Gdy po chwili podniósł wzrok, podmajstrzego nie było już w izbie. Ze ściśniętym gardłem przypominał sobie dziewczynkę, która towarzyszyła jemu i ojcu w pracach polowych lub ze śpiewem na ustach krzątała się przy zwierzętach. Ojciec często przerywał zajęcia, oczarowany wesółym, beztroskim głosem córki, i przymykał oczy, by na chwilę o wszystkim zapomnieć. A teraz Guiamona...

Podczas obiadu Bernat przekazał wiadomość synowi, ale twarz chłopca nawet nie drgnęła.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — dopytywał się Bernat.

Arnau skinął głową. Od roku nie widywał Guiamony, z wyjątkiem odległych już dni, gdy z kryjówki na drzewie podglądał, Jak bawi się z jego kuzynami. Siedział na górze, patrzył na nich, poplakał, podczas gdy oni śmiali się, biegali i nikt... Miał ochotę powiedzieć ojcu, że nie obchodzi go jej śmierć, że Guiamona go nie kochała, jednak powstrzymał go jego smutny wzrok.

— Ojcz — rzekł, podchodząc do niego. Bernat objął syna.

— Nie płacz — szepnęła Arnau i oparł głowę na piersi ojca. Bernat przyciągnął go do siebie, a wtedy Arnau opasał go ramionami.

Jedli w ciszy, w towarzystwie niewolników i terminatorów, gdy nagle rozległ się pierwszy krzyk przeraźliwe zawodzenie, które zdawało się rozdzierać powietrze. Stołownicy zerknęli w stronę domu.

— To płaczk — wyjaśnił jeden z terminatorów. — Moja matka też tam jest. Być może to ona tak wyje. Jest najlepszą płaczką w mieście — dodał z dumą.

Arnau spojrział na ojca. Znowu rozległo się zawodzenie. Bernat zobaczył, że malec się kuli.

— To dopiero początek — ostrzegł go. — Słyszałem, że Grau zamówił dużo płaczek.

Bernat miał rację. Całe popołudnie i całą noc, gdy tłumy nawiedzały domostwo Puigów i składały Grauowi kondolencje, armia kobiet oplakiwała śmierć Guiamony. Ich zawodzenie nie pozwoliło Bernatowi ani jego synowi zmrużyć oka.

— Cała Barcelona wie — poinformował Joanet przyjaciela, który znalazł go rano wśród kłębiącej się przed bramą. Arnau wzruszył ramionami. — Wszyscy chcą wziąć udział w pogrzebie — dodał malec na widok reakcji swego przyjaciela.

— A to dlaczego?

— Bo Grau jest bogaty i rozdaje żalobnikom ubrania. — Joanet zademonstrował nową czarną kamizelę. — O, proszę. — Uśmiechnął się.

Późnym rankiem, gdy wszyscy otrzymali już ubrania, orszak żalobny ruszył w kierunku kościoła Nazaret, do tamtejszej kaplicy Świętego Hipolita, patrona ceramików. Płaczki szły przy trumnie, płacząc, zawodząc i rwąc włosy z głowy.

Kościół był pełen osobistości: na pogrzeb stawili się cech-mistrze bractw rzemieślniczych, rajcy miejscy i prawie cała Rada Stu. Nikt nie pamiętał o Estanyolach i Bernat, ciągnąc za sobą syna, ledwo zdołał przecisnąć się przez zwarty tłum, w którym zgrzebne koszule, rozdane przez Graua, mieszały się z jedwabiami i bissós — kosztowną lnianą materią czarnej barwy. Bernatowi nie pozwolono nawet pożegnać siostry.

Podczas nabożeństwa żalobnego Arnau dojrzał w oddali poblądle twarze kuzynów: Josep i Ge-

nis nie dawali się ponieść emocjom, Margarida stała wyprostowana, nie mogła jednak zapanować nad drżeniem dolnej wargi. Teraz i oni są sierotami. Wiedzą o Matce Boskiej? — zastanowił się i przeniósł wzrok na wuja, który z kamienną twarzą tkwił przy trumnie. Był pewien, że Grau Puig nie opowie dzieciom o Madonnie. Bogacze są inni, powtarzano mu zawsze. Może mają swoje sposoby na znalezienie nowej matki.

Owszem, mieli swoje sposoby. Zwłaszcza bogaty wdowiec o wybujałych ambicjach... Jeszcze przed końcem żałoby Grau zaczął otrzy mywać propozycje matrymonialne. I nie zawahał się przystąpić do pertraktacji. Wybranką, mającą zająć miejsce Guiamony, została ostatecznie Isabel, młoda, niegrzesząca urodą, ale za to szlachetnie urodzona panna. Grau rozważył wszystkie kandydaty i zdecydował się w końcu na jedyną arystokratkę. W posagu miała wnieść tytuł, pozbawiony co prawda dochodów, posiadłości czy majątku, ale stanowiący przepustkę do klasy społecznej, znajdującej się dotychczas poza zasięgiem Graua. Co go obchodzą duże posagi, którymi kusili go niektórzy kupcy, marzący o połączeniu swojej fortuny majątkiem wpływowego rzemieślnika? Barcelońskiej arystokracji nie interesował wdowiec ceramik, choćby najbogatszy, tylko ojciec Isabel, bez grosza przy duszy, wyczuł, że z ambicji Graua może narodzić się korzystny dla obu stron sojusz, i bynajmniej się nie pomylili.

— Chyba się zgodzisz — przekonywał przyszełego zięcia — że moja córka nie może mieszkać w warsztacie garncarskim. — Grau przytaknął. — I że nie przystoi jej wyjść za zwykłego ceramika. — Tym razem Grau próbował coś powiedzieć, ale teść machnął tylko ręką ze wzgardą. — Grau — dodał — my, arystokraci, nie paramy się rzemiosłem, rozumiesz? Może nie jesteśmy bogaci, ale to nie znaczy, że będziemy lepili garnki.

My, arystokraci... Grau nie dał po sobie poznać, jak słodko zrobiło mu się na duszy od tych słów. Jego teść miał rację: jaki arystokrata Barcelony zajmuje się rzemiosłem? A tym bardziej baron. Bo od tej pory podczas pertraktacji handlowych i w Radzie Stu miano go nazywać panem baronem... Pan baron! Kto słyisał, żeby kataloński baron prowadził warsztat garncarski?

Za wstawiennictwem Graua, ciągle jeszcze piastującego funkcję cechmistrza, Jaume bez trudu zdobył tytuł mistrzowski, po czym dobił szybko targu ze swym byłym majstrem. Grau chciał jak najszybciej przypieczętować swój związek z Isabel, obawiając się, że jego chimeryczny — jak na rasowego arystokratę przystało — teść zmieni zdanie. Przyszły baron nie miał czasu na targowanie się i rozpatrywanie ofert. Postanowiono, że Jaume zostanie majstrem, a Grau odsprzeda mu na raty warsztat i dom. Był tylko jeden szkopuł.

— Mam czterech synów — przypomniał Jaume. — Będę musiał wypruć z siebie żyły, żeby zapłacić wam cenę, jaką... — Grau dał znak, by przeszedł do sedna. — Nie mogę przejąć po was wszystkich zobowiązań: niewolników, czeladników, terminatorów... Nie zdołałbym ich nawet wyżywić! Będę musiał poprzestać na pomocy moich czterech synów.

Data ślubu była już wyznaczona. Za namową ojca Isabel Grau nabył pałac na ulicy Montcada, gdzie mieszkała arystokratyczna śmietanka Barcelony.

— Dopóki nie pozbędziesz się warsztatu — ostrzegł go teść na progu właśnie zakupionej posesji — nie ma mowy o ślubie.

Obeszli nową rezydencję od piwnic po strych. Baron kiwał pobłażliwie głową, a Grau liczył w myślach fortunę, jaką przyjdzie mu wydać na umeblowanie tak wielu komnat. Za bramą oddzielającą pałac od ulicy Montcada rozciągał się wybrukowany dziedziniec, a dalej stajnie, zajmujące większą część parteru, oraz pomieszczenia kuchenne i izby dla niewolników. Po prawej

stronie wielkie kamienne schody prowadziły na pierwsze piętro rezydencji, gdzie znajdowały się salony i komnaty gościnne. Wyżej, na drugim piętrze, urządzone były sypialnie. Pałacyk zbudowany był z kamienia, dwa górne piętra rezydencji miały rząd ostrołukowych okien wychodzących na patio.

— Niech ci będzie — rzekł Grau do człowieka, który przez lata był jego prawą ręką — przejmiesz interes bez zobowiązań.

Jeszcze tego samego dnia spisali umowę i Grau, nie posiadając się z radości, pokazał dokument teściowi.

— Sprzedałem warsztat — oznajmił.

— Gratuluję, panie baronie — odparł teść, podając mu rękę. I co teraz? — pomyślał Grau, gdy został sam. Niewolnicy to małe piwo, zatrzymam tych, którzy nadają się na służących, a reszta... trafi na targ. Co do czeladników i terminatorów...

Gräu porozmawiał z członkami cechu i za niewielką dopłatą przekazał im swych robotników. Nie wiedział tylko, co zrobić z Bernatem i Arnauem. Jego były szwagier nie miał żadnego tytułu rzemieślniczego, nie był nawet czeladnikiem. Nikt nie da mu pracy, zresztą byłoby to sprzeczne z prawem. Dzieciak nie zaczął jeszcze nauki, istniała jednak umowa... Przecież nie będzie nikogo prosił, żeby przyjął do warsztatu kogoś, kto nosi to samo nazwisko co Guiamona. Wszyscy zaraz by się dowiedli, że ci dwaj uciekinierzy to jego krewni. Wydałoby się, że ukrywał chłopów pańszczyźnianych, a teraz, gdy miał zostać gronem... Przecież to właśnie arystokracja ścigała zbiegłych chłopów, domagając się od króla, by uchylił prawo pozwalające porzucać ziemię. Co na to powie przyszły teść? Jeśli cała Barcelona zacznie plotkować o Estany olach, przyjdzie mu sil pożegnać z tytułem.

— Wy idźcie ze mną — oznajmił Bernatowi, który zamartwiał się od kilku dni.

Jaume, nowy właściciel warsztatu, porozmawiał z Bernatem, serdecznie, nie musząc już przejmować się rozkazami Graua. „Nic wam nie grozi z jego strony. Sam mi to powiedział. Boi się, że wyjdzie na jaw wasza przeszłość. Wytargowałem całkiem dobre warunki. Spieszmy mu się, chce załatwić wszystko przed ślubem. Masz podpisaną umowę dotyczącą Arnaua. Wykorzystaj to. Przybliż tego łajdaka. Zagroź, że poskarzysz się władzom. Jesteś szlachetnym człowiekiem. Chciałbym, żebyś zrozumiał, że wszystko, co wydarzyło się między nami...”

Bernat rozumiał. I za namową dawnego podmajstrzego zmierzył się ze szwagrem.

— Coś ty powiedział?! — wrzasnął Grau, usłyszawszy od Bernata zdawkowe „Dokąd i po co?”.

— Dokąd ja zechcę i po to, co ci rozkażę! — krzyczał rozjuszony, wymachując rękami.

— Nie jesteście moimi niewolnikami.

— Ale nie macie wyboru.

Bernat odchrząknął, nim poszedł za radą Jaumego.

— Mogę upomnieć się o moje prawa w sądzie. Wyprowadzony z równowagi, chudy i mały Grau zerwał się z krzesła, jednak Bernat ani drgnął, mimo że miał ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Groźba szwagra rozbrzmiewała w uszach wdowca.

Mieli doglądać koni, które Grau siłą rzeczy musiał kupić — „Chcesz mieć puste stajnie?” — zapytał go mimochodem teść, jakby przemawiał do dziecka. Grau rachował i rachował w myślach. „Moja Isabel zawsze jeździła konno”, obruszył się ojciec jego przyszłej małżonki.

Jednak Bernata najbardziej cieszyła przyzwoita pensja, jaką wywalczył dla siebie i dla Arnaua, który również miał rozpocząć pracę w stajni. Dzięki temu zamieszkają poza pałacem, we

własnej izbie, już nie będą sypiali z niewolnikami i terminatorami. Sami na siebie zarobią.

Za zgodą Bernata Grau unieważnił dokument dotyczący nauki Arnaua i sporządził nową umowę.

Odkąd został obywatelem Barcelony, Bernat rzadko wyprawiał się do miasta, a jeśli już, zawsze sam lub z Arnauem. Podczas każdej przechadzki tłumaczył sobie, że najwyraźniej nie ściga-no go za morderstwo, w przeciwnym razie dawno już zostałby pojmany, wszak jego nazwisko figurowało w miejskim rejestrze. Zwykle szedł nad morze, gdzie wtapiał się w tłum robotników. Spacerował, wpatrzony w muskany morską bryzą widnokrąg, wdychając unoszącą się nad plażą ciepłą woń statków i dziegiu.

Minęło już prawie dziesięć lat, odkąd uderzył chłopca z kuźni. Miał nadzieję, że go jednak nie zabił.

Arnau i Joanet szli obok niego, podskakując. Wybiegali do przodu, a potem wracali pędem z błyszczącymi oczami, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Nasz własny dom! — krzyczał Arnau. — Tato, proszę, zamieszkajmy w dzielnicy Ribera!

— Obawiam się, że nie dom, tylko licha izdebka — tłumaczył Bernat, ale chłopiec nadal uśmiechał się, jakby mieli się wprowadzić do najwspanialszego pałacu w Barcelonie.

— To niezły pomysł — skwitował Jaume pomysł Arnaua. — Na pewno znajdziesz tam coś dla siebie.

Cała trójka zmierzała teraz do nadmorskiej dzielnicy. Chłopcy biegali w tę i z powrotem, Bernat niósł cały swój dobytek. Mieszkali w Barcelonie prawie od dziesięciu lat.

Po drodze do kościoła Santa Maria Arnau i Joanet nie przestawali pozdrawiać przechodniów.

To mój tata! — zawołał Arnau do dźwigającego wór zboża tragarza portowego i wskazał Bernata, który szedł co i dwadzieścia metrów za nimi.

Zgięty pod ciężarem *bastaix* uśmiechnął się, nie przystając, Arnau odwrócił się i ruszył pędem do ojca, stanął jednak po kilku krokach, widząc, że Joanet nie biegnie za nim.

— No, chodź — przy naglił go, machając ręką. Joanet pokręcił głową.

— Co się stało? — spytał Arnau i stanął obok niego. Malec wbił wzrok w ziemię.

— To twój tata — wymamrotał. — Co teraz będzie ze mną? Joanet miał rację. Wszyscy uważali ich za braci. Arnau nie wziął tego pod uwagę.

— Chodź — pociągnął go za sobą.

Bernat dostrzegł ich z daleka. Arnau prowadził ociągającego się przyjaciela. „Gratuluję wspa-niałych synów”, zagadnął go po drodze *bastaix*. Bernat się uśmiechnął. Chłopcy przyjaźnili się już od ponad roku. A matka Joaneta? Bernat wyobraził sobie malca, jak siedzi na skrzynce i czeka na pieczętowaną kobietę, której twarzy nigdy nie widział. Poczuł ucisk w gardle.

— Ojciec... — zaczął Arnau, stanąwszy przed nim. Joanet schował się za przyjacielem.

— Chłopcy — przerwał synowi Bernat — myślę, że...

— Zostaniesz tatą Joaneta? — rzucił pospiesznie Arnau. I Bernat zobaczył, że malec zerka na niego zza pleców przyjaciela.

— Chodź no tu. Chcesz być moim synem? Twarz Joaneta rozpromieniła się.

— Mam to uznać za zgodę? — zapytał Bernat. Chłopiec wtulił się w jego nogi. Arnau uśmiech-nął się do ojca.

— No już, biegnijcie się bawić — rzucił Bernat zdławionym głosem.

Chłopcy zaprowadzili Bernata do ojca Alberta. — On na pewno nam pomoże — stwierdził Ar-

nau, a jego przyjaciel pokiwał głową.

— To nasz ojciec! — zawołał Joanet, wyprzedzając Arnaua.

To samo zdanie wykrzykiwał przez całą drogę, nawet do osób, które znał tylko z widzenia.

Ojciec Albert poprosił chłopców, by zostawili ich samych, poczęstował Bernata słodkim winem i wysłuchał jego opowieści.

— Znam takie miejsce — powiedział. — W domu dobrych ludzi. Ale chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Wystarasz się o posadę dla Arnaua, będzie przyzwoicie zarabiał, nauczy się zawodu, stajennemu pracy nigdy nie zabraknie. A co z twoim drugim synem? Myślałeś już o przyszłości Joaneta?

Bernat spoważniał i wyznał duchownemu prawdę.

Ojciec Albert zaprowadził ich do Perego i jego żony, starszków mieszkających samotnie w niewielkim dwupiętrowym domku nad brzegiem morza. Na parterze mieściła się kuchnia, na górze trzy pokoje, z których jeden był do wynajęcia.

Po drodze do domu starszków oraz potem, gdy przedstawiał gospodarzom znajomych i pa-trzył, jak Bernat wyluskuje z sakiewki oszczędności, ojciec Albert nie puszczał ramienia Joaneta. Jak mógł być tak ślepy? Dlaczego nie domyślił się, że to biedne dziecko przeżywa prawdziwe piekło. Tyle razy widział, jak smutnie i zamyśla się lub patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem!

Przytulił malca. Joanet spojrział na niego i się uśmiechnął.

Pokój był skromny, ale czysty, jedyne umeblowanie stanowiły dwa sienniki rozłożone na podłodze. Izdbkę wypełniał niecichnący szum morskich fal. Arnau wyłowił również odgłosy dobiegające z placu budowy kościoła Santa Maria, znajdującego się zaraz za domem. Na kolację zjedli tradycyjną potrawkę przyrządzoną przez gospodynię. Arnau zerknął na talerz i uśmiechnął się do ojca. Nareszcie koniec ze słoństwami gotowanymi przez Estranyę! Cała trójka zjadła ze smakiem pod bacznym okiem staruszki, gotowej w każdej chwili napęłnić im ponownie miski.

— A teraz do łóżek — oznajmił sytu Bernat. — Rano czeka nas praca.

Joanet zawahał się. Spojrzął na Bernata, a gdy wszyscy wstali od stołu, ruszył ku drzwiom wyjściowym.

— To nie pora na spacer, synu — powiedział Bernat tak, żeby słyszeli go gospodarze.



13

— To brat mojej matki i jego syn — wyjaśniła Margarida macosze, zdziwionej, że jej mąż zatrudnił dwie dodatkowe osoby do siedmiu koni.

Grau zapowiedział, że nie chce mieć nic wspólnego z końmi i rzeczywiście, nawet nie zajrzał do wspaniałych stajni mieszczących się na parterze rezydencji. Isabel wszystkiego dopilnowała: kupiła wierzchowce i sprowadziła maszalerza swego ojca, Jesusa, który z kolei polecił jej doświadczonemu stajennemu, Tomasowi.

Ale czterech służących do siedmiu koni to przesada nawet jak na baronową. Isabel nie omieszkała napomknąć o tym podczas pierwszej wizyty w stajni, zaraz po rozpoczęciu pracy przez Estanysola.

Macocha zachęciła Margaridę, by mówiła dalej.

— Pochodzą ze wsi, byli chłopami pańszczyźnianymi.

Podjęcie zakiełkowało w duszy Isabel, która nie zdradziła się jednak ani słowem.

Dziewczynka ciągnęła:

— Ten młodszy, Arnau, jest winien śmierci mojego braciszka Guiamona. Dlatego ich nienawidzę. Nie rozumiem, czemu ojciec dał im pracę.

— Dowiemy się — mruknęła baronowa, wpatrzona w plecy szcztokującego konia.

Lecz tego wieczoru Grau zlekceważył podchody małżonki.

— Bo uznałem to za stosowne — uciął, potwierdziwszy, dwaj nowi stajenni zbiegli przed laty ze wsi.

— Jeśli mój tata się dowie...

— Ale się nie dowie, prawda? — Grau przyjrzał się żonie wystrojonej do kolacji. Był to jeden z nowych zwyczajów, jaki Isabel zaszczerpiła Grauowi i pasierbom. Miała zaledwie dwadzieścia lat, była wyjątkowo chuda, podobnie jak Grau, niezbyt urodziwa i nie mogła się pochwalić zmysłowymi krągłościami, którymi Guiamona podbiła serce męża. Jednak pochodziła szlachetnego rodu, więc Grau uznał, że jej charakter również może być szlachetny. — Chyba nie chcesz, by

twój tatuś dowiedział się, że mieszkasz pod jednym dachem ze zbiegłymi chłopami?

Isabel spiorunowała go wzrokiem i wyszła z jadalni.

Mimo wrogości baronowej i jej pasierbów Bernat dobrze spisywał się jako stajenny. Znał się na koniach, potrafił je karmić, czyścić im kopyta i leczyć, jeśli zaszła taka potrzeba, czuł się wśród nich jak ryba w wodzie. Brakowało mu jedynie doświadczenia w zabiegach upiększających.

— Chcą mieć konie na najwyższy polysk — opowiadał Arnauowi w drodze do domu. — Bez najmniejszego pyłku kurzu. Najpierw muszę wyczesywać im zgrzeblę piasek z sierści, a potem szcزتkować, aż skóra zacznie lśnić.

— A co z grzywą i ogonem?

— Przycinam, plotę warkoczyki, przypinam wstążeczki...!

— Po co im te wszystkie ozdóbki?

Arnau nie dopuszczano do koni. Podziwiał je z daleka, patrzył, jak laszą się do jego ojca, lubił je głaskać, gdy zostawał z nim sam w stajni. Raz czy dwa razy, gdy nikt nie patrzył, Bernat posadził go na nieosiodlanego wierzchowca. Chłopiec spędzał całe dnie w siodłami. Czyścił uprzężę, smarował rzemienie sadłem i przecierał je gałgankiem, by tłuszcz wsiąkł w skórę, a rząd i wodze nabrały polysku. Szorował wędzidła i strzemiiona, szcزتkował derki i ozdoby, usuwając z nich końską sierść. Paznokciami, niczym prowizoryczną pesety musiał wyciągać niedostrzegalne igielki włosia wbite w tkaninę. Resztę dnia spędzał na pucowaniu karocy kupionej przez Graua, po kilku miesiącach nawet Jesus musiał uznać fachowość Bernata. Konie lgnęły do niego, a on poklepywał je, głaskał, uspokajał szeptem. Natomiast na widok Tomasa zwierzęta kładły uszy po sobie i uciekały w drugi koniec zagrody, jak najdalej od niego. Co się dzieje? Przecież Tomas był do tej pory znakomitym stajennym, zachodził w głowę Jesus na widok rozwrzeszczanego parobka.

Rano, gdy Bernat i Arnau szli do pracy, Joanet pomagał żonie Perego, Marionie. Zmywał, sprzątał, chodził po zakupy. Potem, kiedy staruszka zaczynała gotować obiad, biegł na plażę pomagać jej mężowi. Pere, były rybak, otrzymywał od czasu do czasu niewielkie wsparcie od bractwa rybackiego, poza tym dorabiał łataniem sieci. Joanet słuchał uważnie jego wyjaśnień i podawał mu narzędzia.

W wolnych chwilach wymyślał się do matki.

— Dzisiaj rano — powiedział jej pewnego razu — gdy Bernat chciał zapłacić naszemu gospodarzowi czynsz, Pere zwrócił mu część należności. Wyjaśnił, że malec, czyli ja... Bo wiesz, mamo, nazywają mnie malcem. No więc powiedział, że zarabiam na swoje utrzymanie, pomagając w domu i przy sieciach.

Więziarka gładziła chłopca po głowie. Jakże się wszystko zmieniło! Odkąd jej synek zamieszkał z Arnauem i jego ojcem, nie przesiadywał już pod oknem, poplakując, dopraszając się cichej pieczyoty, ciepłego słowa, jej ślepej miłości. Teraz gadał jak najęty, opowiadał jej rozmaite historie! Nawet się śmiał!

— Bernat mnie przytulił — ciągnął Joanet. — A Arnau pochwalił.

Kobieca dłoń zacisnęła się na włosach chłopca.

Joanet nie przestawał mówić. Opowiadał i opowiadał: o swoim przyjacielu, o Bernacie, o Marionie i jej mężu, o plaży, rybaku i naprawianiu sieci... A matka słuchała, szczęśliwa, że jej syn nareszcie wie, czym jest uścisk bliskiej osoby, że jest mu dobrze.

— Pędź do nich, synku — przerwała mu, próbując ukryć drżenie głosu. — Pewnie na ciebie czekają.

Z głębi celi słyszała, że malec zeskakuje ze skrzyni i odbiega. Wyobraziła sobie, jak przełazi przez mur, który tak bardzo chciała wymazać z pamięci.

Po co dalej żyć? Przetrzywała lata o chlebie i wodzie, zamknięta w izbie, której zakamarki przemierzyła palcami tysiące razy. Walczyła z samotnością i obłędem, zerkając w niebo przez maleńkie okienko, na które wspaniałomyślnie zezwolił król. Wielkoduszny monarcha! Zniosła gorączkę i chorobę, a wszystko dla synka, po to by głaskać go po głowie, podtrzymać na duchu, dać mu odczuć, że mimo wszystko nie jest sam na świecie.

Ale teraz nie był już sam. Bernat go przytula! Joana miała wrażenie, że zna tego człowieka od dawna. Rozmyślała o nim podczas trwających wiecznie godzin. „Opiekuj się moim synkiem”, przemawiała do niego w myślach. Joanet jest nareszcie szczęśliwy, śmieje się, biega i...

Joana osunęła się na podłogę i zamarła. Tego dnia nie tknęła chleba ani wody, nie czuła już głodu.

Joanet odwiedził ją nazajutrz i następnego dnia, i jeszcze następnego, a ona chłonęła jego śmiech, słuchała, jak opowiada z radością o otaczającym go świecie. Z okna dochodził już tylko przytłumiony głos: „Tak”, „Nie”, „Idź już”, „Biegnij, korzystaj z życia”.

— Ciesz się życiem, które ci zatrąłam — szepnęła resztką sił, gdy chłopiec przechodził przez mur.

Więzienie Joany zaczęło wypełniać chleb.

— Wiesz, co się stało, mamó? — Joanet podsunął skrzynkę pod ścianę i na niej usiadł. Stopami nie sięgał jeszcze ziemi. — I Nie, bo skąd miałabyś wiedzieć? — Przywarł plecami do ściany w miejscu, gdzie matczy na ręka mogła wymacać jego głowę. — Powiem ci. To bardzo zabawne. Wyobraź sobie, że wczoraj jeden z koni Graua...

Ale tym razem z otworu nie wysunęła się ręka.

— Mamó? No, posłuchaj. Mówię ci, to naprawdę śmieszne. Chodzi o jednego z koni...

Joanet zerknął w stronę okna.

— Mamó? Odczekał chwilę.

— Mamó?

Nasłuchiwał, ale zewsząd dobiegał tylko stukot kotlarskich młotków.

— Mamó! — krzyknął.

Ukląkł na skrzynce. Co robić? Matka zabroniła mu zaglądać przez okno.

— Mamó! — krzyknął znowu, podciągając się do otworu. Zawsze mu powtarzała, żeby nie zaglądał do izdebki i nie próbował jej zobaczyć. Ale przecież się nie odzywa! Joanet zerknął przez okno. W środku było ciemno.

Przełożył jedną nogę przez parapet. Okno było bardzo wąskie. Mógł przez nie przejść tylko bokiem.

— Mamó? — powtórzył.

Uczepił się górnej części okna, postawił na parapecie obie stopy i wcisnął się do izdebki.

— Mamó? — szeptał, oswajając oczy z mrokiem.

W końcu udało mu się wyłowić z ciemności zarys otworu, z którego wydobywał się potworny fetor. Za dziurą w podłodze, na lewo, pod ścianą, dojrzał postać zwiniętą na sienniku.

Postać się nie ruszała. Stukot młotków pozostał na zewnątrz.

— Chciałem ci opowiedzieć coś zabawnego — powiedział, Podchodząc, a po jego policzkach popłynęły łzy. — Na pewno byś się śmiała — wyszeptał, stając nad matką.

Usiadł przy zwłokach. Joana miała twarz skrytą w ramionach, Jakby przeczuwała, że malec wejdzie do celi, i zasłaniała się Przed nim nawet po śmierci.

— Mogę cię dotknąć?

Pogładził matkę po włosach: brudnych, skołtunionych, suchych, szorstkich.

— Dopiero teraz, gdy już cię nie ma, możemy być razem. I wybuchnął płaczem.

Wieczorem Bernat już w progu usłyszał od zaniepokojonych gospodarzy, że Joanel jeszcze nie wrócił. Staruszkowie nie pytali nigdy malca, gdzie się podziewa, gdy znik z domu. Myśleli, że chodzi na budowę, jednak tego popołudnia go tam nie widziano. Mariona podniosła rękę do ust.

— A jeśli coś mu się stało? — zaskąła.

— Znajdziemy go — uspokajał ją Bernat.

Joanel został przy matce. Najpierw gładził ją po głowie, potem wplótł palce w jej włosy i zaczął je rozczesywać. Nie próbował odsłonić jej twarzy. W końcu wstał i spojrzał w okno.

Na dworze było już ciemno.

— Joanel?

Znów spojrzał na otwór w murze.

— Joanel? — usłyszał ponownie.

— Arnau?

— Co się stało?

Z izby doszedł Arnaua głos przyjaciela:

— Umarła.

— Dlaczego nie...?

— Nie mogę. Tu nie ma skrzyni. Nie sięgam do okna.

„Tam bardzo śmierdzi”, dodał na koniec Arnau. Bernat znów zapukał do drzwi kotlarza Ponca. Co biedny malec robił tam przez cały dzień? Zastukał jeszcze raz, z całej siły. Dlaczego nikt nie otwiera? W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich olbrzym, który wypełnił niemal całą przestrzeń między framugami. Arnau się cofnął.

Czego?! — ryknął kotlarz. Był boso, miał na sobie tylko sięgającą do kolan koszulę.

Nazywam się Bernat Estanyol, a to mój syn — powiedział Bernat, chwytając Arnaua za ramię i popychając do przodu. — Przyjaźni się z waszym synem Joa...

— Ja nie mam syna — przerwał mu gospodarz i chciał zatrzaskać drzwi.

— Ale macie żonę — rzucił Bernat, przytrzymując drzwi ramieniem. Pone przestał się mocować. — To znaczy... — dodał, świdrując kotlarza wzrokiem — mieliście żonę. Umarła. Pone przyjął tę wiadomość zupełnie obojętnie.

— I co z tego? — zapytał, wruszając ramionami.

— Joanel jest teraz u niej. — Bernat spojrzał na kotlarza najsurowiej, jak tylko potrafił. — Nie może wyjść.

— Ten bękart powinien przesiedzieć tam całe życie. Bernat wpatrywał się w kotlarza, nie puszczać ramienia syna. Arnau miał ochotę się skulić, ale czując na sobie wzrok olbrzyma, wyprostował się.

— Co zamierzacie zrobić? — zapytał Bernat.

— Nic — odparł kotlarz. — Jutro zburzę komórkę i dzieciak wyjdzie.

— Nie możecie zostawić tam chłopca na całą noc...

— To mój dom i mogę w nim robić, co mi się żywnie podoba.

— Zawiadomię władze miejskie — zagroził Bernat, z góry wiedząc, że nie na wiele się to zda.

Pone zmrużył oczy i bez słowa zniknął w głębi domu, zostawiając ich w otwartych drzwiach. Po chwili wrócił z powozem, który wręczył Arnauowi.

Wyciągnij go stamtąd — rozkazał — i przekaż mu, Ze teraz, gdy jego matka nie żyje, nie chce go tu więcej widzieć.

— Jak... — zaczął Bernat.

Tak jak ten smarkacz zakradał się tu przez te wszystkie lata, — uprzedził jego pytanie Pone. — Przez płot. Do domu was nie wpuszczę.

— A co z matką? — zdążył jeszcze zapytać Bernat, kotlarz zatrzasnął im drzwi przed nosem.

— Król oddał mi ją pod warunkiem, że jej nie zabiję więc teraz, gdy sama umarła, zwrócę ją królowi — odpowiedział Pone pospiesznie. — Zapłaciłem za nią spory zastaw, i Bóg mi świadkiem, nie zamierzam tracić pieniędzy przez tę ladacznicę.

Tylko ojciec Albert, który znał historię Joaneta, oraz stary Pere i jego żona, którym Bernat musiał wszystko wyjaśnić, wiedzieli o nieszczęściu, jakie spotkało malca. Cała trójka starała się podnieść go na duchu, ale chłopiec milczał, a jego ruchy, wcześniej nerwowe i ożywione, spowolniały, jakby dźwigał na ramionach niewyobrażalny ciężar.

— Czas leczy rany — pocieszał Bernat Arnaua. — Musimy być cierpliwi i wspierać Joaneta naszą miłością i zrozumieniem.

Lecz Joanet za dnia milczał jak zaklęty, a nocami szlochał rozpaczliwie. Ojciec i syn, skuleni na posłaniu, przysłuchiwali się w ciszy łkaniu malca, czekając, aż zmorzy go wreszcie niespokojny sen.

— Joanet! — Bernat usłyszał pewnej nocy, jak Arnau woła przyjaciele. — Joanet.

Odpowiedziała mu cisza.

— Jeśli chcesz, poproszę Madonnę, by została również twoją matką.

Brawo, synu, pomyślał Bernat. Nie miał odwagi sam go o to prosić. Przecież to była jego Madonna, jego sekret. Zgodził się podzielić z Joanetem własnym ojcem, tym razem decyzja należała tylko do niego.

Arnau był gotowy dzielić z przyjacielem również matką, mimo to Joanet nie odpowiadał. W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał.

— Joanet? — nie poddawał się Arnau.

— Tak mówiła do mnie mama. — To były pierwsze słowa Joaneta od wielu dni. Bernat zamarł na posłaniu. — Ale jej już nie ma. Od tej pory mam na imię Joan.

— Jak chcesz, Joane... Joan — poprawił się Arnau. — Słyszałeś, co mówiłem?

— Ale twoja Madonna nie rozmawia z tobą tak jak moja matka.

— Powiedz mu o ptakach — podsunął Bernat.

— Za to ja ją widzę, a ty nie widziałeś swojej matki. Znowu zapadła cisza.

— A skąd wiesz, że ona cię w ogóle słyszy? — zapytał w końcu malec. — To tylko kamienna figurka, a kamienie są głuche.

Bernat wstrzymał oddech.

— Skoro jest głucha, to dlaczego wszyscy do niej przemawiają? — odciął się Arnau. — Nawet ojciec Albert. Przecież sam widziałeś. Myślisz, że ojciec Albert nie wie, co robi?

— Ale to nie jest jego matka — nie dawał za wygraną malec. — Ojciec Albert ma inną matkę, sam mi mówił. Skąd mam wiedzieć, czy Madonna chce być moją matką, skoro się nie odzy-

wa?

— Powie ci to nocą, we śnie lub za pośrednictwem ptaków.

— Ptaków?

— No, tak... — zająknął się Arnau. Na dobrą sprawę sam nie bardzo rozumiał, o co chodzi z tymi ptakami, ale bał się do tego przyznać. — To nieco skomplikowane. Wszystko wyjaśni Ci mój... nasz ojciec.

Wzruszenie ścisnęło Bernata za gardło. W izbie znowu zrobiło się cicho. W końcu Joan szepnęła: Arnau, pójdziesz ze mną porozmawiać z Madonną?

— Teraz?

Tak synu, teraz, właśnie teraz. To dla Joana bardzo ważne, pomyślał Bernat, proszę...

— Wiesz, że nie wolno wchodzić nocą do kościoła. Ojciec Albert...

— Będziemy cichutko. Nikt się nie dowie. Proszę...

W końcu Arnau dał się przekonać i chłopcy wymknęli się cichutko z domu i pobiegli do odległego o kilka kroków kościoła Santa Maria de la Mar.

Bernat wyciągnął się na posłaniu. Cóż może się im przydarzyć? Przecież są ulubieńcami całej dzielnicy.

Promienie księżycy igrały na rusztowaniach, między niedokończonymi murami, przyporami, lukami, apsydami...

Okolica tonęła w ciszy i tylko gdzieniegdzie pojedyncze ogniska zdradzały obecność wartowników. Arnau i Joanet okrążyli kościół i doszli do ulicy Born. Główne wejście było zamknięte, najpilniej strzeżono okolic cementarza Moreres, gdzie składowano większość materiałów budowlanych. Samotne ognisko oświetlało niedokończoną fasadę świątyni. Nietrudno było dostać się do kościoła: ściany i przypory absydy obniżały się ku ulicy Born, gdzie drewniany podest zastępował nieistniejące jeszcze schody. Chłopcy przeszli po rysunkach mistrza de Montagut, wyznaczających położenie drzwi i stopni, wślizgnęli się do kościoła i w milczeniu skierowali w stronę ambitu, ku kaplicy. Przenajświętszego Sakramentu, gdzie za masywnymi, pięknie wykończonymi kratami z żelaza, w blasku świec wymienianych regularnie przez *bastaxos*, czekała na nich Madonna.

Przeżegnali się. „Powinniście robić znak krzyża zawsze, gdy wchodzić do świątyni”, pouczał ich ojciec Albert. Chłopcy przypadli do krat kaplicy.

— Joan chciałby, byś została również jego matką — wyszeptał Arnau. — Jego mama umarła, a ja mogę się podzielić.

Joan, z dłońmi zaciśniętymi na kratkach, zerkał to na Madonnę, to na Arnaua.

— I co? — przerwał przyjacielowi.

— Cicho!

Ojciec mówi, że wiele wycierpiał. Wiesz, jego matkę zamurowano. Mogła tylko wysuwać rękę przez maleńkie okienko. Joan nigdy jej nie widział. Powiedział, że nawet gdyby umarła, nie odsłonił jej twarzy. Ona nie chciała, by ją oglądał.

Dym świec z czystego pszczelego wosku, stojących w lichtarzu dokładnie pod figurką, znów zamglił chłopcu wzrok i kamienne wargi podniosły się w uśmiechu.

— Zgadza się — oznajmił Arnau, spoglądając na Joana.

— Skąd wiesz, przecież mówiłeś, że odpowiada przez...

— Bo wiem i już — uciał Arnau.

— A gdyby m tak sam zapytał?

— Nie.

Joan wbił wzrok w kamienną figurkę. Chciał rozmawiać z nią tak jak jego brat. Dlaczego słucha Arnaua, a jego nie? No i skąd Arnau mógł wiedzieć... Gdy Joan obiecywał sobie właśnie, że kiedyś i on zasłuży na słowa Madonny, w świątyni rozległ się hałas.

— Pssss! — syknął Arnau, zerkając na drzwi od strony Moreres.

— Kto tam? — W otworze pojawiło się światło uniesionego kaganka.

Arnau ruszył ku ulicy Born, ale Joan zagapił się na kaganek, który zbliżał się już do ambitu.

— Chodźże! — Arnau pociągnął brata.

Gdy wychylnęli na ulicę, zobaczyli nadciągające ku nim światełka. Arnau zerknął przez ramię: również w kościele pojawiło się kilka kaganków.

Odcięto im drogę. Wartownicy rozmawiali i pokrzykiwali między sobą. Co robić? Drewniany podest! Arnau przypadł do ziemi, pociągając za sobą Joana. Malec był sparaliżowany strachem. Na bokach drewnianej konstrukcji nie było desek, Arnau znowu popchnął brata i razem wczółgali się pod podest, głęboko, aż do fundamentów kościoła. Joan przywarł do kamieni — światła były już nad nimi, na przykrywających ich deskach. Kroki wartowników rozbrzmiewały w uszach Arnaua zagłuszając bicie jego serca.

Siedzieli jak trusie, podczas gdy wartownicy przeszukiwali kościół. Trwało to całą wieczność! Arnau zerkał ku górze próbując dojrzeć, co się nad nimi dzieje, ale ilekroć światło przeświecało przez szpary w deskach, kulił się i wciskał jeszcze głębiej.

W końcu wartownicy dali za wygraną. Dwóch z nich stanęło na podeście, oświetlając przez chwilę okolicę. Jak to możliwe, że nie słyszą bicia mojego serca? I serca Joana. Strażnicy zeszli z podestu. Arnau spojrział w kąt, gdzie chował się malec. Jeden z wartowników zawiesił kaganek nad podestem, jego towarzysz oddalił się już na znaczną odległość. Joana nie było! Gdzie on się podział? Arnau podszedł do miejsca, w którym fundamenty kościoła łączyły się z podestem. Pomacał dłonią kamienie. Natrafił na szczelinę, niewielki tunel między fundamentami.

Joan, popychany przez Arnaua, wczółgał się pod podest, a nie napotkawszy żadnej przeszkody, przelaź przez szczelinę i czółgał się dalej korytarzem, który schodził łagodnie w kierunku głównego ołtarza. Arnau kazał mu się czółgać. „Cicho!”, upominał go co rusz. Szelest, jaki sam czynił, przeciskając się przez tunel, zagłuszał wszelkie inne odgłosy, ale był przekonany, że Arnau idzie za nim. Przecież wszedł rażeni z nim pod podest. Dopiero gdy wąski korytarz rozszerzył się i Joan mógł zerknąć do tyłu, a nawet uklęknąć, przekonał się, że jest sam. Gdzie doszedł? Wokół panowały nieprzeniknione ciemności.

— Arnau?! — zawołał.

Odpowiedziało mu tylko echo odbijające się od ścian. To jakaś... jakaś grota. W podziemiach kościoła!

Znowu zawołał przyjaciela. Najpierw cicho, potem na cały głos, ale przestraszył się echa. Może zawrócić, tylko... gdzie jest tunel? Joan wyciągnął ramiona, ale nie mógł wymacać wyjścia z korytarza. Przeczółgał się za daleko.

— Arnau! — krzyknął jeszcze raz.

Cisza. Joan wybuchnął płaczem. Co kryje się w tych ciemnościach? Może jakiś potwór? A jeśli zszedł do samego piekła? przecież to podziemia kościoła, a wszyscy mówią, że piekło jest na dole. A jeśli przyjdzie Lucyfer?

Arnau wczółgał się do tunelu. Joan musi być właśnie tu. Na pewno nie wyszedłby sam spod

desek Pokonawszy spory kawałek i upewniwszy się, że wartownicy go już nie usłyszą, zawołał przyjaciela. Ciszka. Czołgał się dalej.

— Joanel! — krzyknął. — Joan! — poprawił się.

— Tutaj! — usłyszał z oddali.

— To znaczy gdzie?

— Na końcu tunelu.

— Wszystko w porządku? Joan przestał się trząść.

— Tak

— No to wracaj.

— Nie mogę. — Arnau westchnął. — Trafiłem do jakiejś groty, czy czegoś w tym rodzaju, i nie mogę znaleźć wyjścia.

— Pomacaj ściany, aż natrą... Nie! — zreflektował się. — Lepiej nie, słyszysz, Joan? Mógłbyś znaleźć inny tunel, a wtedy byśmy się rozminęli... Widzisz tam coś, Joan?

— Nie, nic — odparł malec.

W gruncie rzeczy mógłby doczołgać się do Joana, ale... A jeśli tunel się rozgałęzi i zgubią się na dobre? No i skąd wzięła się tam, na dole, grota? Już wie, co robi. Wróci po światło. Oświetlą sobie drogę kaganekiem i będą uratowani.

Joan, czekaj na mnie! Słyszysz? Nigdzie się nie ruszaj, siedź i czekaj, aż wrócę. Słyszysz?

Słyszę. Co chcesz zrobić?

Idę po kaganek, zaraz wracam. Zaczekaj na mnie, nigdzie nie idź. Dobrze?

D... Dobrze... — wyjąkał Joan.

— Pomyśl, że dokładnie nad tobą znajduje się Madonna twoja matka. — Arnau nie usłyszał odpowiedzi. — Joan, rozumiesz?

A pewnie, pomyślał malec. Arnau powiedział: „twoja matka”. Ale on ją słyszy, a ja nie. Nie pozwolił mi z nią porozmawiać, A jeśli Arnau nie chce, żebyśmy mieli wspólną matkę, i dlatego uwieźł mnie tu, w piekło?

— Joan?! — nawoływał Arnau.

— Co?

— Czekaj na mnie, nigdzie się nie ruszaj.

Niełatwo było Arnauowi wyczolgać się tyłem z tunelu. W końcu jednak znalazł się pod ulicą Born, a wtedy, niewiele myśląc, złapał kaganek który wartownik zawiesił obok podestu, i znowu dał nura pod deski.

Joan dostrzegł zbliżające się światelko. Gdy ściany tunelu zaczęły się rozszerzać, Arnau zwiększył płomień. Zobaczył malca kłęczącego zaledwie dwa kroki od wylotu tunelu. Joan popatrzył na niego przerażony.

— Nie bój się — próbował go uspokoić Arnau. Jeszcze bardziej podkręcił płomień i unióśł kaganek Co to za miejsce? Cmentarz! Odkryli podziemny cmentarz. Znajdowali się w niewielkiej grocie, która z jakiegoś powodu zachowała się pod kościołem niby pęcherzyk powietrza. Strop był tak nisko, że nie mogli się nawet wyprostować. Arnau skierował światło na wielkie amfory, podobne do tych, jakie widział w warszacie Graua, tyle że bardziej prymitywne. Niektóre były rozbite i ze skorup wystawały kościotrupy, inne zachowały się w całości: wielkie naczynia ucięte w najszerszym miejscu, połączone ze sobą i zaklejone.

Joan dygotał, nie odrywając wzroku od jednego z nieboszczyków.

— Nie bój się — próbował go uspokoić Arnau. Joan odskoczył od niego jak oparzony.

— Co... — zaczął Arnau.

Uciekajmy — przerwał mu Joan błagalnym tonem, czekając na odpowiedź, wszedł do tunelu. Arnau pospieszył za nim. Gdy znaleźli się pod podestem, zdmuchnął płomień. Wokół nie było żywego ducha. Arnau odwiesił kaganek na miejsce, po czym ruszyli do domu.

— Nikomu ani słowa — powiedział Arnau po drodze. — Zgoda? Joan nie odpowiedział.



14

Odkąd Arnau zapewnił go, że Madonna zgodziła się zostać również jego matką, Joan w każdej wolnej chwili pędził do kościoła, wcisnął buzię między kraty kaplicy Najświętszego Sakramentu i zamierał, wpatrzony w kamienną figurkę z dzieckiem na ręku i statkiem u stóp.

— Zobaczysz, kiedyś utkniesz tu na dobre — ostrzegł go pewnego razu ojciec Albert.

Joan wyciągnął głowę spomiędzy prętów i uśmiechnął się. Ksiądz zmierzwił mu czuprynę i przykucnął.

— Kochasz ją? — zapytał, wskazując na Madonnę. Joan się zawahał.

— Teraz to moja matka — powiedział, choć przemawiało przez niego raczej pragnienie niż pewność.

Wzruszenie ścisnęło ojca Alberta za serce. Ileż rzeczy mógłby mu o niej opowiedzieć! Chciał się odezwać, ale głos uwiązł mu w gardle, więc tylko przytulił malca.

— Modlisz się do niej? — zapytał po chwili.

— Nie, rozmawiam z nią. — Ojciec Albert zerknął na chłopca pytająco. — No, opowiadam jej różne rzeczy.

Kapłan spojrział na Madonnę.

— Rozmawiaj, synku, rozmawiaj dalej — powiedział i zostawił Joana samego.

Sprawa okazała się dość prosta. Ojciec Albert rozważył trzy czy cztery kandydaty i wybrał w końcu bogatego srebrnika. Podczas ostatniej rocznej spowiedzi rzemieślnik był szczerze skruszony, ponieważ kilka razy cudzołożył.

— Skoro jesteś jego matką — wymamrotał ojciec Albert, wznosząc oczy do nieba — chyba nie będziesz miała mi za złe, że ucieknę się do małego podstępku. Prawda, Pani?

Srebrnik nie odważył się odmówić spowiednikowi.

— Chodzi o skromny datek na szkołę katedralną — usłyszał. — W ten sposób wspomozesz pewnego chłopca i Bóg... Bóg ci to wynagrodzi.

Należało jeszcze rozmówić się z Bernatem. Ojciec Albert nie zasypiał gruszek w popiele.

— Postarałem się o przyjęcie Joaneta do szkoły katedralnej — oznajmił mu podczas spaceru po plaży, niedaleko domu Perego.

Bernat odwrócił się do księdza.

— Nie stać mnie, ojczcze... — zaczął.

— Nie będzie cię to nic kosztować.

— Myślałem, że szkoły...

— Tak, ale tylko szkoły miejskie. W szkole katedralnej wystarczy... — Po co te wyjaśnienia? — No, najważniejsze, że wszystko jest już załatwione. Joan nauczy się czytać i pisać, najpierw z elementarza, potem z psalterza i modlitewników. — Dlaczego Bernat nic nie mówi? — Po skończeniu trzy nastu lat przejdzie do gimnazjum i rozpocznie naukę łaciny i siedmiu sztuk wyzwolonych: gramatyki, retoryki, dialektyki, arytmetyki, geometrii, muzyki i astronomii.

Ojczcze, Joanet pomaga w pracach domowych i zarabia w ten sposób na swoje utrzymanie. Jeśli rozpocznie naukę...

Będzie jadł w szkole. — Bernat spojrział na księdza i pokręcił głową, jakby się nad czymś zastanawiał. — Poza tym dodał kapłan — rozmawiałem z twoim gospodarzem. Pere zgodził się nie podnosić wam komornego.

Bardzo się poświęćcie dla Joana.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu? — Bernat zaprzeczył z uśmiechem. — Kto wie, może Joanet wstąpi z czasem na uniwersytet, na Studium Generale w Leridzie albo nawet na któryś z uniwersytetów zagranicznych, w Bolonii, w Paryżu...

Bernat parsknął śmiechem.

— Gdybym się sprzeciwił, byłby ojciec niepocieszony, prawda? — Ojciec Albert przytaknął. — Zresztą Joan nie jest moim synem — ciągnął Bernat. — Nigdy nie pozwoliłbym, by jeden chłopiec pracował na drugiego, ale skoro nic mnie to nie będzie kosztować, nie mam nic przeciwko temu. Joanet na to zasługuje. Być może pewnego dnia pojedzie do tych wszystkich miejsc, które wymieniliście.

— Wolałbym zajmować się końmi, tak jak ty — wyznał Joanet Arnauowi podczas spaceru po tej samej plaży, gdzie ojciec Albert i Bernat zdecydowali o jego przyszłości.

— To ciężka praca, Joanet... Joan. Nic tylko pucuję i czyścę, czyścę i pucuję, a gdy doprowadzę uprzęż i cały rząd do połytku, wyprowadzają konia i muszę zaczynać od początku. A i to jeśli wcześniej Tomas nie wpadnie z krzykiem, każąc doczyścić jakąś uzdę lub cugle. Za pierwszym razem nawet mnie uderzył, ale wtedy przybiegł ojciec i... Gdybyś to widział! Akurat miał przy sobie widły, więc przyparł go do ściany, aż Tomas zaczął się jękać i przeproszać.

— Właśnie dlatego chciałbym z wami pracować.

— Oj, nie wiesz, co mówisz! Co prawda od tamtej pory Tomas nie podniósł na mnie ręki, ale ciągle krytykuje moją pracę. Sam wszystko brudzi, żeby zrobić mi na złość. Raz przyłapałem go nawet na gorącym uczynku.

— To dlaczego nie powiecie Jesusowi?

— Ojciec odradza, mówi, że mi nie uwierzy, bo przyjaźni się z Tomaszem i trzyma jego stronę. I że baronowa wykorzysta każdą okazję, by nam zaszkodzić, bo nas nienawidzi. Tylko popatrz: ty uczysz się w szkole wielu ciekawych rzeczy, ja muszę sprzątać po innych, znosić krzyki i spełniać rozkazy. — Chłopcy nie odzywali się przez chwilę, brnąc w piasku ze wzrokiem utkwionym w falach. — Nie zmarnuj tej szansy, Joan, nie zmarnuj jej — powiedziała nagle Arnau, powtarzając

radę ojca.

Joan przykładał się do nauki, nie więc dziwnego, że nauczyciel pochwalił go przed całą klasą. Chłopiec poczuł przyjemne mrowienie, gdy koledzy patrzyli na niego z podziwem. Gdyby mama dożyła tej chwili! Pobiegłby co sił do ogrodu kotlarza, przysiadłby na skrzynce i opowiedział jej o wszystkim. Najlepszy z całej klasy, powiedział profesor, a oczy uczniów spoczęły właśnie na nim. Nigdy dotąd nie był w niczym najlepszy!

Wieczorem Joan wracał do domu jak na skrzydłach. Pere i Mariona wysłuchali go z uśmiechem, uszczęśliwieni, prosząc, by powtórzył spokojnie tę część opowieści, którą nadmiar emocji przeobraził w kaskadę gestów i krzyków. Gdy Arnau i Bernat stanęli w progu, starszuszkiwie i malec odwrócili się w ich stronę. Joan już miał pobiec w ich stronę, powstrzymała go jednak mina brata i ślady łez na jego twarzy. Bernat tulił do siebie syna.

— Co się... — Mariona podeszła, by objąć chłopca. Bernat machnął ręką, nie pozwalając jej dokończyć pytania.

— Musimy być silni — powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Joan poszukał wzroku brata, ale Arnau patrzył na Marionę. I byli silni. Stajenny Tomas bał się dokuczać Bernatowi, więc dręczył Arnaua.

— Szuka zaczepki, synu — tłumaczył Bernat, gdy Arnau miotał się i złościł. — Nie dajmy się sprowokować.

— Ale, ojczu, nie możemy znosić tego w nieskończoność — żalił się Arnau.

— Kto mówi o znoszeniu w nieskończoność? Jesus wiele razy upominał Tomasa, sam słyszałem. Nie pracuje jak należy. Jesus o tym wie. Przy nim konie robią się nerwowe: wierzgają i gryzą. Zobaczysz, synu, lada dzień Tomas straci pracę, lada dzień...

Bernat miał rację, na zmiany nie trzeba było długo czekać. Baronessa postanowiła nauczyć synów Graua jazdy konnej. Pogodziła się z tym, że jej mąż nie potrafi dosiąść konia, ale pasierbom nie zamierzała odpuścić, dlatego kilka razy w tygodniu, po lekcjach, wszyscy: chłopcy, preceptor oraz Tomas — z koniem na postronku — pieszo, a Isabel i Margarida w powozie kierowanym przez Jesusa, udawali się za miasto, na mały, położony za murami słałek terenu, gdzie synowie Graua pobierali od maszaltera lekcje jeździectwa.

Jesus stawał na środku, trzymając w prawej ręce długi, przymocowany do wędzidla powróż, którym zmuszał konia do chodzenia w kółko, natomiast w lewej ręce ścisnął bat do poganiania wierzchowca. Kandydaci najeźdźców robili kolejno rundki wokół maszaltera, słuchając jego poleceń i wskazówek.

Tego dnia Tomas, obserwujący z kozła przebieg lekcji, wpatrywał się uważnie w pysk konia. Wystarczyło jedno silniejsze szarpnięcie, tylko jedno... Wcześniej czy później zwierzę się spłoszy.

Na koniu siedział Genis Puig.

Stajenny spojrział na przerażoną buzię dziecka. Młodszy syn Graua panicznie bał się koni, dlatego siedział w siodle sztywno. Wcześniej czy później koń się spłoszy.

Jesus strzelił z bicia, żeby zmusić zwierzę do galopu. Koń potrząsnął łbem, szarpiąc powróż.

Tomas nie mógł powstrzymać uśmiechu, który natychmiast zniknął z jego warg, gdy lina wysunęła się z karabińczyka i koń znalazł się na wolności. Nietrudno było zakraść się do siodła i naciąć powróż, osłabiając w ten sposób jego wytrzymałość. Krzyk zamarł Isabeli i Margaridzie na ustach. Jesus rzucił bat i próbował schwytać konia. Na próżno.

Genis, zdany na siebie i na konia, przywarł do jego grzywy piszcząc przeraźliwie. Stopami i nogami uderzył niechcący w boki zwierzęcia, które skoczyło jak oparzone i pocwałowało ku bramom miasta. Przesadzając niewysoki pagórek, koń zrzucił jeźdźca. Genis przekościolkował po ziemi i wpadł w gęste chaszczki.

Z głębi stajni Bernat usłyszał tętent na pałacowym dziedzińcu, a zaraz potem krzyki baronessy. Konie, miast zajeżdżać jak zwykle równo i spokojnie, waliły kopytami o bruk. W drodze do drzwi Bernat napotkał Tomasa. Stajenny prowadził wystraszonego, mokrego od potu konia, którego chrapy drgały niespokojnie.

— Co się...? — zaczął Bernat.

— Baronessa wzywa twego syna! — krzyknął Tomas, okładając konia.

Wrzaski baronessy wypełniały już cały dziedziniec. Bernat jeszcze raz spojrzął na nieszczęsne zwierzę, które ryło kopytami ziemię.

— Pani chce cię natychmiast widzieć! — krzyknął Tomas na widok Arnaua wyłaniającego się z siodłami.

Chłopiec zerknął na ojca, który wzruszył ramionami.

Wyszli na dziedziniec. Rozsierdzona baronessa, potrząsając szpicrutą, z którą nie rozstawała się podczas konnych przejażdżek, pokrzykiwała na Jesusa, na preceptora i na usługujących jej niewolników. Margarida i Josep stali za Isabelą. Obok tkwił Genis: poobijany, zakrawawiony, w podartym ubraniu. Na widok Arnaua i Bernata baronessa ruszyła ku chłopcu i uderzyła go batem w twarz. Arnau podniósł dłonie do ust i policzka. Bernat chciał bronić syna, ale Jesus zagroził mu drogę.

— Ty lko popatrz! — ryknął masztalerz, podsuwając Bernatowi rozerwany powróż i karabińczyk — Oto, jak twój synalek przykłada się do pracy!

Bernat wziął domniemany dowód winy i przyjrzał mu się uważnie. Arnau, nie odrywając dłoni od twarzy, poszedł w jego ślady. Poprzedniego dnia dokładnie wszystko sprawdził. Podniósł oczy na ojca akurat w chwili, gdy ten zerkał na bramę, skąd Tomas obserwował całe zajście.

— Jeszcze wczoraj były w najlepszym porządku! — krzyknął Arnau, łapiąc powróż i karabińczyk i potrząsając nim przed Jesusem. Znowu spojrzął na bramę stajni. — W porządku! — powtórzył. Do oczu napłynęły mu łzy.

— Ale mazgaj! — rozległ się głos Margaridy, która pokazywała palcem Arnaua. — O mało cię zabił, a teraz beczy — dodała, zwracając się do młodszego brata. — Ty nie płakałeś, gdy przez niego spadłeś z konia — skłamała.

Josep i Genis nie od razu zareagowali, ale już po chwili i oni drwili z kuzy na:

— Popłacz sobie, beksalalo — powiedział jeden z nich.

— Płacz, płacz, ty mazgaju — zawtórował mu brat. Arnau widział, jak wytykają go palcami i dworują z niego, nie mógł się jednak opanować! Łzy płynęły mu po policzkach, a z piersi wyrывało się łkanie. Stał w miejscu, pokazując wszystkim, nawet niewolnikom, powróż i karabińczyk.

— Zamiast się mazać, powinieneś przeprosić za swe niechlujstwo — ofuknęła go baronessa, uśmiechając się bezczelnie do pasierbów.

Przeprosić? Arnau spojrział zdziwiony na ojca, a jego oczy zdawały się pytać: „Za co?”. Bernat patrzył przenikliwie na baronessę. Margarida wciąż wytykała palcem kuzy na, szepcząc coś braciom na ucho.

— Nie mam za co przeproszać — odrzekł Arnau. — Wczoraj sprawdziłem uprząż — dodał

i cisnął na ziemię powróż oraz karabińczyk

Baronessa zaczęła wymachiwać rękami, ale zamarła, gdy Bernat zrobił krok w jej kierunku. Jesus złapał go za ramię.

— To ary stokratka — syknął mu do ucha.

Arnau powiódł wzrokiem po twarzach obecnych i wybiegł za bramę pałacu.

— O, nie! — krzyknęła Isabel, gdy Grau, dowiedziawszy się o całym zdarzeniu, postanowił zwolnić ojca i syna. — Chcę, by Bernat Estanyol został w stajni i nadal pracował dla twoich dzieci. Chcę, by ani na chwilę nie zapomniał, że należą nam się przeprosiny. Chcę, by ten smarkacz błagał nas o wybaczenie! Jeśli ich zwolnisz, nie postawię na swoim. Każ powiedzieć stajennemu, że jego synalek nie będzie mógł wrócić do pracy, dopóki nie przeprosi... — Isabel krzyczała i wymachiwała rękami. — Tymczasem jego ojciec będzie otrzymywał połowę pensji, a jeśli spróbuje szukać innej posady, cała Barcelona dowie się o tym, co zaszło, i nikt nie przyjmie go do pracy. Chcę przeprosin! — zażądała rozhisteryzowana.

„Cała Barcelona się dowie...”. Grau zdrzął. Przez lata ukrywał szwagra, a teraz, dzięki jego żonie cała Barcelona dowie się prawdy!

— Błagam, bądź dyskretna — zdołał tylko wybąkać. Isabel wbiła w męża oczy nabiegłe krwią.

— Mają się przede mną ukorzyć!

Grau chciał coś powiedzieć, ale nagle zamilkł i zagryzł wargi.

— Na Boga, bądź dyskretna — rzucił tylko.

Grau przystał ostatecznie na żądania małżonki. Guiamony nie było już na świecie, a ich dzieci nie odziedziczyły na szczęście znamienia nad okiem. Kiedy Grau opuścił stajnię, Bernat, mrużąc oczy, wysłuchiwał maszalterza, który poinformował go o nowych warunkach pracy.

— Tato, ja naprawdę wszystko sprawdziłem — tłumaczył Arnau późnym wieczorem, gdy kładli się spać w małej izdebce. — Przysięgam! — krzyknął, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

Ale nie masz dowodów — wtrącił Joan, który znał już szczegóły całego zajścia.

Wierzę ci, nie musisz przysięgać, pomyślał Bernat. Jak mam jednak powiedzieć, że... zdrzął, wspominając zachowanie w stajni: „Nie zawiniłem, więc nie będę nikogo przeproszał”.

— Ojczce, przysięgam, że mówię prawdę — powtórzy } Arnau.

— Ale... — zaczął Joan, lecz Bernat go uciszył.

— Wierzę ci, synu, śpijmy.

— Ale... — Arnau nie dawał za wygraną.

— Śpijmy!

Arnau i Joan zgasili kaganek, ale upłynęło jeszcze sporo czasu, nim Bernat usłyszał rytmiczny oddech śpiących chłopców. Jak ma powiedzieć synowi, że baronessa domaga się przeprosin?

— Synu... — głos Bernata zdrzął, gdy Arnau przestał się ubierać i popatrzył na niego. — Grau... Grau żąda przeprosin, w przeciwnym razie...

Arnau spojrział na niego pytająco.

— W przeciwnym razie nie możesz wrócić do pracy...

Już po pierwszych słowach twarz chłopca spoważniała i pojawił się na niej nieznanemu jego ojcu wyraz Bernat zerknął na Joana i zobaczył, że malec, nie do końca ubrany, również zamarł z otwartą buzią. Chciał mówić dalej, ale głos uwiązł mu w gardle.

— I co teraz? — zapytał Joan, przerywając milczenie.

— Myślicie, że powinienem przeprosić?

— Synu, poświęciłem wszystko, żebyś był wolnym człowiekiem. Porzuciłem ziemię należącą od wieków do naszej rodziny, bo nie chciałem, by pomiatano tobą, tak jak pomiatano mną, moim ojcem i ojcem mojego ojca... A teraz znów znaleźliśmy się na łasce i niełasce ludzi, którzy mienią się szlachetnie urodzonymi. Jednak tym razem mamy wybór i możemy się sprzeciwić. Synu, naucz się korzystać z wolności, której zdobyć przyszło nam z takim trudem. Decyzja należy tylko do ciebie.

— Ale co mi radzicie, ojczcze?

Po chwili namysłu Bernat powiedział:

— Ja na twoim miejscu nie ustąpiłbym.

Joan próbował włączyć się do rozmowy:

— Przecież to tylko baronessa! Przebaczenie... przebaczenie dostaje się od Boga.

— Ale z czego będziemy żyli? — zapytał Arnau.

— Nie martw się, synu. Mamy trochę oszczędności, więc możemy się na razie utrzymać.

Poszukamy pracy gdzie indziej, przecież nie tylko Grau Puig ma konie.

Bernat nie zasypiał gruszek w popiele: jeszcze tego samego wieczoru, po pracy, zaczął szukać nowej posady dla siebie i syna. Znalazł inną arystokratyczną rezydencję ze stajniami i został dobrze przyjęty przez zarządcę. W Barcelonie zazdrośczonej Grauowi Puigowi zadbanych koni i kiedy okazało się, że jest to głównie zasługa Bernata, zgodzono się go zatrudnić. Jednak nazajutrz, gdy Bernat, uczciwszy z synami dobrą wiadomość, stawiał się w nowym miejscu pracy, by dopełnić formalności, nie chciano nawet z nim rozmawiać. „Marnie płacili”, skłamał wieczorem przy kolacji. Próbował szczęścia w innych pałacach, ale choć najpierw patrzono na niego przychylnie, nazajutrz zamknięto mu drzwi przed nosem.

— Marnujesz tylko czas — ulitował się w końcu jeden ze stajennych na widok zrozpaczonej miny Bernata, który, po raz kolejny odprawiony z kwitkiem, wbił wzrok w kamienną posadzkę stajni. — Baronessa uwzięła się na ciebie — wyjaśnił. — Wczoraj, zaraz po twoim wyjściu, przyśłała gońca z prośbą, by nie przyjmowano cię do pracy. Przykro mi.

— Ty gnido! — syknął mu do ucha, cicho, ale dobitnie, przeciągając samogłoski. Tomas skończył jak oparzony i chciał uciekać, jednak Bernat złapał go za szyję i dusił, póki stajenny nie zaczął się ślaniać. Dopiero wtedy Bernat pozwolił mu czerpnąć powietrza. Skoro baronessa wysłała posłańców wszędzie tam, gdzie pytam o pracę, pomyślał, ani chybi ktoś mnie śledzi. „Wypuść mnie tylnym wyjściem”, poprosił zarządcę, który dopiero co otworzył mu oczy. Tomas, stojący na rogu, naprzeciwko głównej bramy pałacu, nie zauważył Bernata, który podkrał się do niego od tyłu. — To ty sprawiłeś, że zerwał się powrót, prawda? Czego jeszcze chcesz? — Bernat znowu przy dusił stajennego.

— Co...? Co za różnica? — bełkotał Tomas, łapiąc rozpaczliwie powietrze.

— Co masz na myśli? — Bernat nie przestawał zaciskać palców na jego szyi. Stajenny szamotał się na próżno. Gdy Bernat poczuł, że Tomas zaczyna omdlewać, przestał go dusić i odwrócił w swoją stronę. — O czym ty mówisz? — dopytywał się.

Tomas, zanim zaczął odpowiadać, wziął kilka głębokich oddechów. Gdy jego twarz odzyskiwała z wolna normalną barwę, na wargach pojawił się ironiczny uśmiešek

— Możesz mnie zabić — powiedział zasapany — ale wiesz doskonale, że powrót to tylko pretekst, bo baronessa się na ciebie uwzięła. Nienawidzi cię, zawsze będzie cię nienawidziła. Jesteś tylko zbiegłym chłopem pańszczyźnianym, a twój chłopak to syn zbiegłego chłopca pańszczyźnia-

nego. Nie znajdziesz pracy w Barcelonie, bo ona tak postanowiła. Jeśli mnie zabijesz, każe cię śle-
dzić komu innemu.

Bernat splunął stajennemu w twarz. Tomas ani drgnął, tylko uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Nie masz wyjścia, Estanyol. Twój synalek będzie musiał błagać o przebaczenie.

— Przepraszę — poddał się Arnau, wysłuchawszy z zaciśniętymi pięściami i łzami w oczach
opowieści ojca. — Nie możemy walczyć przeciwko całej arystokracji Barcelony. Nie możemy
też żyć bez pracy. Świnie, świnie, jeszcze raz świnie!

Bernat spojrzął na Arnaua. „Tu będziemy wolni”, przypomniał sobie obietnicę złożoną kilku-
miesięcznemu synowi, gdy po raz pierwszy ujrzeni Barcelonę. Tyle wycierpieli, tak zawalczyli
o swoje prawa, a teraz... Nie, synu, zaczęłaj. Poszukamy innej... — Oni mają władzę, ojczce.
Możni rządzą na wsi, rządzą na waszych ziemiach, rządzą i w Barcelonie.

Joanet patrzył na nich w milczeniu. „Książętom należy się szacunek i ślepe posłuszeństwo —
uczono go w szkole. — Wolność czeka nas w Królestwie Bożym, nie na ziemi”.

— Nie mogą rządzić w całej Barcelonie. Tylko możnych stać na konie, to prawda, ale nauczy-
my się innego fachu. Poradzimy sobie, synu.

Bernat dostrzegł błysk nadziei w oczach chłopca, które rozszerzyły się, jakby chciały pochwy-
cić otuchę płynącą z jego słów. Przyrzekłem, że będziesz wolny, i obietnicy dotrzymam. Nie wy-
rzekaj się tak łatwo wolności, synu.

Przez następne dni Bernat przemierzył Barcelonę w pogoni za wolnością. Z początku Tomas łą-
ził z nim krok w krok nawet się nie kryjąc, ale zostawił go w spokoju, gdy baronessa zrozumiała,
że nie wpłynie na rzemieślników, drobnych kupców i murarzy.

— I tak niewiele zdziała — pocieszał Grau rozhisteryzowaną żonę, która poskarżyła mu się na
bezczelność chłopca.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała.

— Że nie znajdzie pracy. Barcelona cierpi właśnie z braku przezorności. — Isabela, licząca się
ze zdaniem męża, zachęciła go do mówienia. — Od kilku lat Katalonia przeżywa klęskę nieurodza-
ju — tłumaczył Grau. — Wieś jest zbyt ludna, niewielkie zbiory zjadane są przez samych chłop-
pów i żywność nie dociera do miast.

Ale przecież Katalonia jest bardzo duża. Mylisz się, moja droga. Może i Katalonia jest duża,
ale katalońscy chłopci wiele lat temu zarzucili uprawę zboża, będącego podstawą wyżywienia. Te-
raz uprawiają len, winorośl i orzechy, ale nie zboże. Zmiana opłaciła się panom, przyniosła korzy-
ści również nam, kupcom, ale sytuacja zaczyna się komplikować. Do tej pory jedliśmy zboże
z Sycylii i Sardynii, lecz wojna z Genuą odcięła dostawy, Bernat nie znajdzie pracy, ale kryzys
odbije się na innych mieszkańcach Katalonii, również na nas. A wszystko z winy kilku tępych ary-
stokratów...

— Jak możesz?! — przerwała mu urażona baronessa.

— Zrozumi, moja droga — tłumaczył Grau z powagą — my, kupcy, zajmujemy się handlem
i zbijamy fortuny, nie zapominamy jednak o inwestowaniu części zarobków w rozwój interesu.
Dzisiaj nie pływamy na tych samych statkach co przed dziesięcioma laty i dlatego nasze docho-
dy są pewne. Ale panowie feudalni nie chcą zainwestować ani solda w grunty ani w unowocze-
śnienie metod pracy. Pomyśl tylko, katalońscy chłopci używają tych samych narzędzi i technik co
Rzymianie. Rzymianie! Ich pola co dwa lub trzy lata muszą leżeć odlogiem, podczas gdy przy
odpowiedniej uprawie i nawożeniu mogłyby pozostać żywe dwa, a nawet trzy razy dłużej. Tych

panów, których tak bronisz, guzik obchodzi przyszłość Katalonii, chcą się tylko szybko i łatwo wzbogacić. Nawet jeśli miałyby to doprowadzić do ruiny całe państwo.

— E tam, przesadzasz. — Baronessa nie dowierzała mężowi.

— Wiesz, ile kosztuje pszenica? — Grau, nie doczekawszy się odpowiedzi, pokręcił głową, i ciągnął: — Prawie sto soldów za korczyk. A wiesz, ile kosztowała do niedawna? — Tym razem nie zawiesił nawet głosu: — Niemielona dziesięć soldów, mielona szesnaście. Podrożała dziesięciokrotnie!

— Ale głód nam nie grozi? — spytała baronessa, wyraźnie zaniepokojona.

— Nie rozumiesz sedna problemu, moja droga. Stać nas na pszenicę... jeśli będzie w ogóle dostępna. Bo pewnego dnia może po prostu zniknąć z rynku... Kto wie, czy już nie znikła? Sęk w tym, że choć pszenica zdrożała dziesięciokrotnie, chłopci otrzymują dokładnie tyle samo...

— A więc pszenicy nam nie zabraknie? — weszła i w słowo żona.

— Nie, ale...

— A Bernat nie znajdzie pracy?

— Nie sądzę, ale...

— To dobrze, bo tylko to mnie interesuje — rzuciła baronessa, znudzona wywodami męża, i odwróciła się na pięcie.

— ...ale Katalonia jest na skraju katastrofy — dokończył Grau. Lecz baronessa już go nie usłyszała.

Zły rok Bernat miał powyżej uszu tej samej wymówki, pojawiającej się za każdym razem, gdy prosił o pracę. „Musiałem zwolnić połowę terminatorów, jakże mam przyjąć ciebie?”, usłyszał w jednym z warsztatów. „Mamy zły rok, nie mogę wyżywić nawet własnych dzieci”, powiedziano mu w następnym. „Czyżbyś nie wiedział — dorzucił ktoś inny — że mamy zły rok? Połowę zarobków wydałem na jedzenie dla rodziny, a dotychczas wystarczała mi tylko dwudziesta część dochodów”. Trudno nie wiedzieć, pomyślał Bernat. Ale się nie poddawał i szukał dalej, aż w końcu nadeszła zima, a wraz z nią chłody. Wtedy w niektórych miejscach nie śmiał nawet pytać. Dzieci chodziły głodne, rodzice odejowali sobie od ust, by je nakarmić, a ospa, tyfus i dyfteryt zaczęły zbierać śmiertelne żniwo.

Pod nieobecność ojca Arnau przeliczał kurczące się oszczędności. Z początku robił to co tydzień, potem dzień w dzień, a nawet kilka razy dziennie, widząc, że jego duma jest coraz bardziej zagrożona.

— Ile kosztuje wolność? — zapytał pewnego razu Joana, gdy modlili się do Madonny.

— Święty Grzegorz naucza, że z początku wszyscy ludzie rodzili się wolni i byli sobie równi. — Joan mówił spokojnie, bezzamiętnie, jakby powtarzał wyuczoną lekcję. — I właśnie wolni ludzie dla własnego dobra podporządkowali się panu w zamian za opiekę. Utracili wolność, ale zyskali bezpieczeństwo i troskliwego pana.

Arnau chłonał słowa brata wpatrzony w Madonnę. Dlaczego się do mnie nie uśmiechasz? Święty Grzegorz... Czy święty Grzegorz miał kiedyś pustą sakiewkę, jak mój ojciec?

— Joan?

— Co?

— Co powinienem zrobić?

— Sam musisz zdecydować.

— A co ty myślisz?

— Już ci powiedziałem. Wolni ludzie z własnej woli oddali się pod opiekę panów.

Jeszcze tego samego dnia Arnau, bez wiedzy ojca, stawił się w domu Graua Puiga. Nie chcąc, by dostrzeżono go ze tajni, wszedł do pałacu od kuchni, gdzie natknął się na Estranyę, tłustą jak zwykle — najwyraźniej panujący w Barcelonie głód ją omijał — tkwiącą przed kociołkiem.

— Przekaż państwu, że przyszedłem — powiedział Arnau, gdy zmierzyła go wzrokiem.

Na jej wargach rozlał się głupi uśmiech. Estranya a zawałała ochmistra, który powiadamiał pana domu o przybyciu chłopca. Kazano mu czekać na stojąco wiele godzin. W tym czasie przez kuchnię przewinęła się cała służba, wszyscy chcieli zobaczyć pokonanego buntownika. Niektórzy uśmiechali się złośliwie, inni — nieliczni — przyjęli jego kapitulację ze smutkiem. Arnau patrzył wszystkim prosto w oczy i odpowiadał wyniośle na drwiące uśmieszki, ale nie zmasał kpinę z wielu twarzy.

Brakowało tylko Bernata, choć Tomas nie omieszczał go poinformować, że jego synalek przyszedł błagać o wybaczenie. „Przykro mi, synku, bardzo mi przykro”, mamrotał Bernat, szcztukując konia.

Po wielogodzinnym oczekiwaniu, gdy chłopiec nie czuł już nóg — Estranya nie pozwoliła mu usiąść — poprowadzono go do głównego salonu. Arnau nie zwrócił nawet uwagi na bogaty wystrój rezydencji. Gdy tylko przestąpił próg komnaty, wbił wzrok w pięć postaci czekających w głębi: baron i baronowa siedzieli, jego trzech kuzyni stali obok Mężczyźni odziani byli w jedwabne rajtuzy w jaskrawych kolorach i ściągnięte złotymi pasami kaftany do kolan; Isabel i Margarida miały na sobie suknie wyszywane perłami i szlachetnymi kamieniami.

Ochmistrz zaprowadził Arnaua na środek komnaty, kilka kroków od państwa, po czym zawrócił do drzwi. Grau rozkazał mu tam czekać.

— Co cię do nas sprowadza? — spytał Grau, jak zwykle z kamienną twarzą.

— Przyszedłem prosić o wybaczenie.

— Więc proś.

Arnau już chciał przemówić, ale baronessa mu przerwała.

— Coś takiego! Chyba nie zamierzasz prosić o wybaczenie na stojąco?

Arnau zawahał się, ale zgiął jedno kolano, wbijając je w posadzkę. Komnatę wypełnił głupawy chichot Margaridy.

— Proszę wszystkich o wybaczenie — wyrecytował Arnau, patrząc Isabel prosto w oczy.

Kobieta świdrowała go spojrzeniem. Wiedz kokoto, że robię to wyłącznie dla ojca — zdawał się mówić wzrok Arnaua.

— Po nogach! — krzyknęła baronessa. — Całuj nas po nogach! — Arnau chciał wstać, ale kobieta znowu go powstrzymała. — Na kolanach! — wrzasnęła na cały salon.

Arnau posłusznie przyczołgał się do nich na kolanach. Robię to dla ojca. Dla ojca. Tylko dla ojca... Isabel podsunęła mu stopy w jedwabnych trzewikach, Arnau ucałował najpierw lewy, potem prawy. Nie podnosząc oczu, przesunął się do wuja, który na widok kłęczącego i wpatrzonego w jego nogi chłopca, zawahał się. Żona zgromiła go jednak wzrokiem i Grau uniósł kolejno stopy. Dzieci zrobiły to samo. Gdy wargi Arnaua miały musnąć bucik Margaridy, dziewczynka schowała stopę i znowu zachichotała. Arnau schylił się ponownie, ale kuzynka po raz kolejny z niego zadrwiła. W końcu zaczęła, aż sama dotknie Jego ust stopami: jedną i... drugą.



15

*Barcelona,
15 kwietnia 1334 roku*

Bernat przeliczył denary wypłacone mu przez Graua i wsypał je do sakiewki, mamrocząc pod nosem. Wystarczyłoby, gdyby ... Przekłęci Genuieńscy! Czy nigdy nie skończą blokady? Przecież Barcelona przymiera głodem.

Bernat przytroczył sakiewkę do pasa i poszedł po Arnaua. Chłopiec był niedożywiony. Ojciec przyjrzał mu się z niepokojem. Mieli za sobą ciężką zimę. Ale, Bogu dzięki, doczekali wiosny. Wiele osób nie miało tyle szczęścia. Bernat zagryzł wargi, zmierzwił synowi włosy i położył mu rękę na ramieniu. Iluż mieszkańców Barcelony zmarło tej zimy z głodu, chorób i zimna? Iluż ojców nigdy już nie przytulił syna? Przynajmniej żyjesz, pomyślał.

Tego dnia do miasta przybił statek ze zbożem, jeden z nielicznych, który zdołał przedrzeć się przez blokadę. Władze zakupiły zboże po astronomicznych cenach, by rozprowadzić je wśród mieszkańców po przystępnych cenach. W ten piątek na targowisku Błat nareszcie pojawiła się pszenica, więc od wczesnych godzin rannych ludzie ściągali na plac i rozpychali się łokciami, by zobaczyć, jak mierniczy przygotowują ziarno.

Od kilku miesięcy pewien karmelita grzniał na moźnych mimo wysiłków rajców, próbujących przywołać go do porządku, obarczył ary stokrację winą za głód, twierdząc, że chowają pszenicę przed mieszkańcami. Filipiki mnicha zapadły głęboko w serca wiernych i w mieście zawrzało. Dlatego w piątek gęstniejący z każdą chwilą tłum falował niespokojnie po placu Błat, a gapie wszczynali kłótnie, próbując dopchać się do kramów, przy których urzędnicy miejscy odważali zboże.

Władze wyliczyły miarę przypadającą na każdego mieszkańca. Oficjalny inspektor targowiska Błat, sukiennik Pere Juyol, miał wszystko nadzorować.

— On nie ma rodziny! — wrzasnął chwilę po rozpoczęciu sprzedaży pewien nędzarz, któremu

towarzy szył o dziane w lachmany pacholę, i wskazał kupującego właśnie mężczyznę. — Wszy-
scy mu pomarli tej zimy — dodał.

Mierniczy odebrali ziarno domnieranemu oszustowi, ale krzyki nie ustawały: tego syn stoi
w kolejce do kramu obok, tamten już raz kupił, ten nie ma rodziny, a stojący obok niego pętał nie
jest jego synem; cwaniak przy prowadził go, by wyłudzić większy przydział...

Na placu zawrzało. Ludzie porzucili kolejki, wybuchły kłótnie, posypały się obelgi. Ktoś zażę-
dał, by władze wystawiły na sprzedaż ukrywane przed mieszkańcami zboże, a rozwścieczony
tłum mu przyklasnął. Mierniczy nie mogli powstrzymać wygłodniałej cizby napierającej na kra-
my, przybyła straż królewska i tylko dzięki przytomności umysłu Perego Juy ola udało się uspokoić
ludzi. Ziarno odniesiono do pałacu naczelnika, stojącego na wschodniej ścianie placu, a sprzedaż
przełożono na popołudnie.

Bernat i Arnau wrócili do pałacu Graua rozczarowani, bo nie udało im się nabyć upragnionego
ziarna. Jeszcze na dziedzińcu przed stajniami opowiedzieli maszalerzowi i wszystkim obecnym
o zamieszaniu na placu. Nie żalowali przy tym obelg pod adresem władz miejskich, skarżąc się na
doskwierający im głód. Okna wychodzącego na dziedziniec, zaalarmowana krzykami baronessa,
z lubością przysłuchiwała się żalosej opowieści zbiegłego chłopca i jego bezczelnego synka.
Przewrotny uśmiech wykrzywił jej usta na wspomnienie polecenia, jakie otrzymała od wypra-
wiającego się w podróż Graua. Tak, tak, kazał jej dopilnować, by jego dłużnicy mieli co jeść.

Sięgnęła po sakiewkę z pieniędzmi na wyżywienie więźniów, których jej mąż polecił areszto-
wać za długi, i przywoławszy ochmistrza, poleciła mu wysłać do więzienia Bernata Estanyola.
Chłopu towarzyszyć powinien — na wszelki wypadek — Arnau.

— Nie omieszkać im powiedzieć — przypomniała uśmiechającemu się do niej perfidnie słu-
dze — że to pieniądze na zakup pszenicy dla dłużników.

Ochmistrz wykonał rozkaz. Z zadowoleniem śledził niedowierzanie na twarzach ojca i syna,
kóre wzrosło, gdy Bernat wziął sakiewkę do ręki.

— Dla więźniów? — zapytał Arnau, kiedy wyszli z pałacu Puigów.

— Tak

— Ale dlaczego, ojczu?

— Bo wtrącono ich do lochu za niepłacenie długów i wierzyciel, w tym wypadku Grau, ma
obowiązekłożyć na ich utrzymanie.

— A gdyby nie łożył? Szli w stronę wybrzeża.

— Wypuszczono by ich na wolność, a Grau sobie tego nie życzy. Oplaca cła królewskie, na-
czelnika więzienia i wikt dla aresztowanych. Prawo jest po jego stronie.

— Ale...

— Daj spokój synu, daj spokój. Zbliżali się w milczeniu do domu.

Po południu Arnau i Bernat poszli do więzienia wypełnić osobliwe polecenie baronessy. Od Jo-
ana, który w drodze ze szkoły katedralnej musiał przejść przez plac Błat, wiedzieli, że sytuacja na-
dał jest napięta. Rzeczywiście, już na ulicy de la Mar wiodącej od kościoła Santa Maria do placu
Błat, słycać było w tłum kłębił się pod pałacem naczelnikowskim, gdzie przetrzymywano nie tyl-
ko niesprzedane rano ziarno, ale również dłużników Graua.

Mieszkańcy domagali się pszenicy, ale władze Barcelony nie dysponowały odpowiednią liczbą
strażników, by zapewnić porządek w czasie wydawania zboża. Pięciu rajców namawiało się z na-
czelnikiem miasta, próbując zaradzić trudnej sytuacji.

— Niech każdy złoży przysięgę — zaproponował jeden z rajców. — Niech przysięgnie, że zboże, które kupuje, jest niezbędne do wyżywienia jego rodziny i że nie bierze nic ponad przydział.

— Czy to aby wystarczy? — zastanawiał się inny rajca.

— Przysięga to rzecz święta! — dowodził jego oponent. — Pozwala zawierać umowy, dowodzić niewinności, gwarantuje dotrzymanie zobowiązań. Przecież właśnie przysięga złożona przed ołtarzem świętego Feliksa uwierzytelnia *testamentos sacramentales!*⁶

Postanowienie rajców zostało ogłoszone z pałacowego balkonu. Lud przekazywał je z ust do ust, aż obiegło cały plac oraz sąsiednie ulice, i bogobojni chrześcijanie, stłoczeni pod pałacem w oczekiwaniu na upragnione zboże, ruszyli składać przysięgę... nie pierwszą i nie ostatnią w życiu.

Pszenvica znowu pojawiła się na placu, gdzie głód nadal doskwierał. Jedni przysięgali, inni wątpili w szczerść przysięgi. Powtórzyły się oskarżenia i krzyki, znowu wybuchły awantury. Tłum przypomniał sobie nagle o ziarnie, które zdaniem mnicha karmelity zostało ukryte przez władze miasta, i uniósł się świętym gniewem.

Arnau i Bernat nadal stali u wylotu ulicy Mar, po przeciwległej stronie pałacu naczelnika, gdzie rozpoczęto już sprzedaż pszenicy. Wokół nich rozbrzmiewały krzyki rozsierdzonej cizby.

— Ojcz, wystarczy dla nas? — zapytał Arnau.

— Mam nadzieję. — Bernat uciekł wzrokiem przed spojrzaniem syna. Jak ma wystarczyć? Ta ilość zboża nie zaspokoi potrzeb nawet jednej czwartej zgromadzonych na placu ludzi.

— Ojcz, dlaczego więźniowie mają pszenicę, a my głodujemy? — dopytywał się chłopak.

Bernat udał, że panujący na placu gwar zagłuszył pytanie, nie mógł jednak oderwać wzroku od syna. Chłopiec był wychudzony, ramiona i nogi miał jak patyki, a na wy mizerowanej twarzy błyszczały wielkie oczy, które jeszcze niedawno bez troski się uśmiechały.

— Ojcz, słyszeliście, co powiedziałem?

Słyszałem, synu, słyszałem, pomyślał Bernat. Ale co mam ci odpowiedzieć? Że my, biedacy, skazani jesteśmy na głodowanie? Że tylko bogacze mogą najadać się do syta i opłacać więzienny wikt swoim dłużnikom? Że my, biedacy, nic ich nie obchodzimy? Że nasze dzieci znaczą dla nich mniej niż którykolwiek z więźniów przetrzymywanych w pałacu naczelnika? Bernat nie odpowiedział synowi.

— W pałacu jest pszenica! — krzyknęła, przyłączając się do wrzeszczącego tłumu. — W pałacu jest pszenica! — zawolał jeszcze głośniej, gdy otaczający go ludzie zamilkli i zmięrzyli go wzrokiem. Z każdą chwilą coraz więcej osób odwracało się w stronę Bernata zapewniającego, że w pałacu jest więcej zboża. — Władze karmią nią więźniów! — Potrząsnęła sakiewką Isabel. — Panowie i bogacze opłacają wikt dłużników przetrzymywanych w pałacu! A skąd władze więzienia biorą pszenicę? Czy ktoś widział, by stali w kolejkach tak jak my?

Tłum rozstępował się przed Bernatem, który szedł jak w transie. Arnau biegł za nim, próbując go powstrzymać.

— Ojcz, co wy?

— Widzieliście, by zmuszano ich do składania przysięgi?

— Co wam się stało, ojcz?

— Skąd dozorczy biorą pszenicę dla zatrzymanych? Dlaczego nasze dzieci głodują, a więźnio-

wie najadają się do syta?

Słowa Bernata podziały na zgromadzonych jak płachta na byka. Tym razem mierniczy nie zdążyli ukryć pszenicy i tłum rzucił się na stragany. Pere Juyol i naczelnik miasta omal nie zostali zlincowani. Zawdzięczali życie tylko strażnikom, którzy stanęli w ich obronie i odprowadzili, całych i zdrowych, do pałacu.

Tylko nieliczni zdobyli trochę pszenicy, bo nacierający tłum wyrzucił kramy, rozsypując i depcząc zboże. Niektórzy, trатовani przez towarzyszy niedoli, na próżno starali się zebrać ziarno z ziemi.

Ktoś krzyknął, że winę za wszystko ponoszą rajcy, i tłum ruszył do miasta w poszukiwaniu kryjących się po domach patrycjuszy.

Bernat, zarażony zbiorowym szaleństwem, krzyżąc, dał się ponieść rozjuszonej cizbie.

— Tato, tato! Bernat się obejrzał.

— Co ty tu jeszcze robisz? — zapytał, nie przystając. Raz po raz wznosił groźne okrzyki.

— Ja... Co wam się...

— Zmykaj stąd. To nie miejsce dla dzieci.

— Dokąd mam...?

— Weź to — Bernat wręczył synowi dwie sakiewki: własną oraz baronessy.

— Co mam z tym zrobić? — zapytał Arnau.

— Uciekaj już, synu, uciekaj.

Arnau odprowadził wzrokiem znikającą w tłumie sylwetkę ojca. Dojrzał w jego oczach błysk nienawiści.

Ojczy, dokąd idziecie? — krzyknął, gdy stracił Bernata z oczu.

Szukać wolności — odpowiedziała mu niewiasta, która również obserwowała tłum rozlewający się po ulicach. — Ale my jesteśmy wolni — odważył się odezwać Arnau. — Człowiek głodny nie wie, co to wolność — zawyrokowała kobieta.

Arnau rozpląkał się i ruszył biegiem pod prąd, przeciskając się przez nacierającą cizbę.

Rozruchy trwały dwa dni. Domy rajców i pałace zostały splądrowane, a lud, oszalały i rozwścieczony, przewalał się przez miasto, z początku szukając zboża, a potem... zemsty.

Przez dwa dni w Barcelonie panował chaos. Władze były bezsilne i nie potrafiły zapanować nad sytuacją. Dopiero królewskiemu wysłannikowi, który przybył do miasta z licznymi posiłkami, udało się zdławić zamieszki. Zatrzymano sto osób, wiele innych ukarano grzywną. Ze stu zatrzymanych dziesięciu osądzono w trybie doraźnym i powieszono. Spośród osób wezwanych na świadków prawie nikt nie rozpoznał w Bernacie Estanyol, mężczyźnie ze znamieniem nad prawym okiem, jednego z głównych podżegaczy z placu Blat.



16

Arnau przebiegł całą ulicą de la Mar aż do domu Perego, nie zerknąwszy nawet w stronę kościoła Santa Maria. Wciąż miał przed oczami wzrok ojca, a w uszach rozbrzmiewały mu jego okrzyki. Jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Co wam się stało, ojczu? Czyżby tamta kumoszka miała rację, mówiąc, że nie jesteśmy wolni mi ludźmi?

Chłopak wpadł do domu i bez słowa zaszył się w izbie. Joan zastał go tonącego we łzach.

— Barcelona oszalała... — rzucił od progu. — Ale... co ci jest?

Arnau nie odpowiadał. Malec rozejrzył się po pokoju.

— A ojciec? — Arnau pociągnął nosem i wskazał ręką w kierunku miasta. — Jest z... nimi? — zgał Joan.

— Właśnie — wydusił Arnau.

Joan przypomniał sobie burdy uliczne, jakie widział w drodze powrotnej z pałacu biskupiego. Żołnierze zaryglowali i zabezpieczyli bramy getta przed wściekłą hałastrą, która zaczęła płądrować domy chrześcijan. Jak Bernat może brać w tym udział? Stała mu przed oczami ciżba wdzierająca się do domów przykładnych obywateli, by rabować i niszczyć ich dobytek. Nie, to niemożliwe.

— To nieprawda. — Joan ubrał swe myśli w słowa. Arnau zerknął na niego z siennika, na którym siedział. — Bernat nie jest taki... Jak to możliwe?

— Nie wiem... Tam było bardzo dużo ludzi. Wszyscy krzyczeli...

— Ale... Bernat? Przecież to do niego niepodobne, może tylko... czyja wiem... Może tylko szukał kogoś w tłumie!

Arnau spojrział na brata. Jak mam ci powiedzieć, że on też krzyczał, krzyczał najgłośniej ze wszystkich, że to właśnie on podburzył tłum? Jak mam ci to opowiedzieć, skoro nie wierzyłem własnym oczom?

— Nie wiem, Joan. Było bardzo dużo ludzi.

— Ale oni rabują! Napadają na patrycjuszy. Spojrzenie brata musiało wystarczyć Joanowi za

odpowieź.

Chłopcy na próżno czekali na ojca całą noc. Nazajutrz Joan zaczął zbierać się do szkoły.

— Nie powinienes wychodzić — poradził mu Arnau. Tym razem Joan odpowiedział mu spojrzaniem.

— Wojska króla Alfonsa zdławiły rebelię — oznajmił Joan po powrocie z lekcji.

Bernat również tej nocy nie wrócił do domu. Rankiem udający się do szkoły Joan zagadnął brata:

— Powinienes wyjść się przewietrzyć.

— A jeśli akurat wróci? Może przyjsz tylko tu — tłumaczył Arnau zdławionym głosem.

Bracia uściśli się. Tato, gdzie jesteś? Pere, owszem, wyszedł zasięgnąć języka. Łatwiej było mu jednak zdobyć informacje, niż przekazać je domownikom.

— Chłopcze, bardzo mi przykro — powiedział Arnauowi. — Twój ojciec został aresztowany.

— Gdzie go trzymają?

— W pałacu naczelnika, ale...

Arnau nie słuchał, tylko pędem wypadł z domu. Pere zerknął na żonę i pokręcił głową. Staruszka ukryła twarz w dłoniach.

— Proces odbył się w trybie doraźnym — wyjaśnił Pere.

Liczni świadkowie rozpoznali w Bernacie, mężczyźnie ze znamieniem nad okiem, głównego wicherzyciela, który wyprowadził tłumy na ulice. Dlaczego to zrobił? Wydawał się taki...

— Bo ma na utrzymaniu dwoje dzieci — przerwała mu żona ze łzami w oczach.

— Miał... — poprawił ją Pere zrezygnowanym tonem. — Powieszono go na placu Błat razem z dziewięcioma innymi prowokatorami.

Mariona znowu zakryła twarz, ale tylko na chwilę.

— Arnau...! — krzyknęła, rzucając się do drzwi, ale słowa męża zatrzymały ją w pół kroku:

— To wszystko na nic. Od dzisiaj Arnau nie jest już dzieckiem. Mariona przytaknęła. Pere ją objął.

Na rozkaz króla egzekucję wykonano natychmiast po ogłoszeniu wyroku. Nie zdążono nawet zbić szafotu i skazańców stracono na zwykłych wozach.

Arnau wbiegł na plac Błat i stanął jak wryty. Dyszał ciężko. Na placu, wypełnionym po brzegi ludźmi, panowała cisza, wszyscy tkwili bez ruchu, plecami do Arnaua, ze wzrokiem wbitym w... Przed pałacem naczelnikowskim wisiało dziesięć nieruchomych ciał.

Nie...! Tato! — krzyknął rozpaczliwie chłopak. Zgromadzeni spojrzeli za siebie i zaczęli się przed nim rozstępować, a on szedł powoli w stronę pałacu. Arnau szukał wśród wisielców...

Pozwól mi chociaż zawiadomić ojca Alberta — poprosiła męża. Już to zrobiłem. Pewnie jest teraz na placu.

Na widok martwego ojca Arnau zymiotował. Ludzie odsunęli się od niego z obrzydzeniem. Znowu spojrzął na wykrzywioną twarz, tak siną, że aż poczerniała, prawie nierozpoznawalną, na wytrzeszczone — już na zawsze — oczy, na język zwisający z kącika ust. Za drugim i trzecim razem Arnau wymiotował już tylko żółcią.

Nagle poczuł na ramieniu uścisk dłoni.

— Chodźmy, synu — usłyszał głos ojca Alberta. Kapłan próbował zaprowadzić go do kościoła Santa Maria, ale Arnau stał jak wrośnięty w ziemię. Znowu spojrzął na ojca i przytknął oczy. Już nie będzie cierpieł głodu. Chłopcem wstrząsnął spazm. Ojciec Albert znowu go pociągnął, nie

chcąc, by dłużej na to patrzył.

— Zostawcie mnie, ojcze, proszę.

Na oczach kapłana i wszystkich obecnych Arnau pokonał chwiejnym krokiem niewielką odległość dzielącą go od zaimprovizowanego szafotu. Trzymał się za brzuch, drżał na całym ciełe. Staławszy pod zwłokami Bernata, zagadnął żołnierza, trzymającego straż przy wisielcach:

— Mogę go zdjąć?

Żołnierz zawahał się na widok chłopca stojącego pod szubienicą własnego ojca. Co zrobiłyby w takiej sytuacji jego dzieci?

— Nie — był zmuszony odpowiedzieć. Bardzo chciałby być teraz daleko stąd: zmagać się z hordą Maurów lub wrócić do domu, do dzieci... Czy ten mężczyzna zasłużył sobie na śmierć? Przecież chciał tylko nakarmić swoją rodzinę, to dziecko, które wpatrywało się teraz w niego pytająco, podobnie jak wszyscy ludzie zgromadzeni na placu. Gdzie jest naczelnik miasta? Dlaczego go tu nie ma? — Ciała pozostaną na placu trzy dni. To rozkaz naczelnika.

— Zaczekam.

— Potem zostaną wywieszane na bramach miasta, by ludzie wchodzący do miasta poznali tujejsze prawo. Tak robi się wszystkim skazańcom straconym w Barcelonie.

Żołnierz odwrócił się i zaczął okrzykami wozy udające szubienice.

— Był głodny — usłyszał za plecami. — Był tylko głodny.

Gdy żołnierz zakończył swój bezsensowny obchód i znowu stanął przy Bernacie, Arnau siedział na ziemi, pod ciałem ojcem, i płakał z głową ukrytą w dłoniach. Wartownik nie miał odwagi na niego spojrzeć.

— Chodźmy, synku. — Kapłan znowu podszedł do chłopca.

Arnau pokręcił głową. Ojciec Albert chciał coś powiedzieć, ale nagle rozległ się krzyk. To nadchodziły rodziny pozostałych skazańców: matki, żony, dzieci, rodzeństwo. Zbierały się pod szubienicami w pełnym rozpaczliwym milczeniu, rozdieranym niekiedy przez krzyk bólu. Żołnierz nadal robił rundy wokół szubienic, próbując przypomnieć sobie okrzyki bojowe niewiernych. Joan, przechodzący przez plac w drodze powrotnej ze szkoły, zemdlał na widok tego potwornego widowiska. Nie zauważył nawet brata, który wciąż siedział w tym samym miejscu i kołysał się w przód i w tył, w tył i w przód... Koledzy podnieśli Joana i odprowadzili do pałacu biskupa. Arnau również nie widział brata.

Mijały godziny, a Arnau nie ruszał się z miejsca, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy ściągali na plac Błat powodowani współczuciem, ciekawością lub żądzą mocnych wrażeń. Jedynie buty żołnierza, migające mu raz po raz przed oczami, wyrywały go z zamyślenia.

„Synu, poświęciłem wszystko, żebyś był wolnym człowiekiem — usłyszał niedawno od ojca. — Porzuciłem ziemię, bieżące od wieków do naszej rodziny, bo nie chciałem, by pomiatano tobą, jak pomiatano mną, moim ojcem i ojcem mojego ojca... A teraz znaleźliśmy się w tej samej sytuacji, na łasce i niełasce ludzi, którzy mienią się szlachetnie urodzonymi. Jednak tym razem mamy wybór, możemy im się sprzeciwić, nauczyć się korzystać z wolności, której zdobycie przyszło nam z takim trudem. Decyzja należy tylko do ciebie”.

„Czy aby na pewno możemy się sprzeciwić, ojcze? — Buty znowu przemazzerowały przed jego oczami. — Człowiek głodny nie wie, co to wolność. Głód wam już nie grozi, ojcze. Ale co z wolnością?”

— Przyjrzyjcie im się dobrze, dzieci. Ten głos...

— To bandyci. Przyjrzyjcie im się dobrze. — Arnau po raz pierwszy spojrział na tłum cisnący się przed wisielcami. Baronessa z trojgiem pasierbów gapili się na wykrzywioną twarz Bernata Estanyola. Arnau wbił wzrok w stopy Margaridy, po czym spojrział jej w twarz. Jego kuzyni zbledli, ale Isabel uśmiechała się i patrzyła na niego, wprost na niego. Arnau wstał, dygocząc. — Nie zasłużyli na miano obywateli Barcelony — słyszał, jak mówi. Zbladł, poczuł, że wbija sobie paznokcie w dłonie, że drży mu dolna warga. Baronessa nie przestawała się uśmiechać. — Ale czegoż można oczekiwać po zbiegłym chłopcu?

Arnau chciał się na nią rzucić, lecz żołnierz zastąpił mu drogę.

— Co ci jest, chłopcze? — Żołnierz powędrował wzrokiem za spojrzeniem chłopca. — Na twoim miejscu był tego nie robił — poradził. Arnau próbował ominąć przeszkodę, jednak mężczyzna chwycił go za ramię. Isabel przestała się uśmiechać. Teraz patrzyła na chłopca hardo i wyniośle. — To nie jest najlepszy pomysł, ściągniesz na siebie zgubę — dodał. Arnau spojrział na żołnierza. — On jest już martwy — tłumaczył strażnik — ale ty masz przed sobą całe życie. Usiądź, chłopcze. — Żołnierz poczuł, że Arnau daje za wygraną. — No, usiądź — powtórzył.

Arnau uspokoił się, ale żołnierz nadal przy nim stał.

— Przyjrzyjcie im się dobrze, dzieci. — Uśmiech powrócił na wargi baronessy. — Jutro znowu przyjdziemy na nich popatrzeć, bo będą tu wisieli, aż zgniją. Taki jest los zbiegłych bandytów.

Arnau wciąż nie mógł opanować drżenia dolnej wargi. Wpatrywał się w krewnych, dopóki baronowa nie odwróciła się do niego plecami.

Pewnego dnia... pewnego dnia ujrzę cię martwą... Wszyscy będziecie martwi, obiecał sobie. Odprowadził ich nienawistnym spojrzeniem na drugi koniec placu Błat. Isabel powiedziała, że wróci nazajutrz. Arnau podniósł wzrok na ojca.

Kłnę się na rany Chrystusa, że nie pozwolę im z ciebie kpić. Ty lko jak? Przed oczyma mignęły mu buty żołnierza. Ojczce, obiecuję, że was tu nie zostawię.

Przez następne godziny chłopak zastanawiał się, jak wykraść ciało, ale każdy pomysł przekreślały buty pojawiające się przed nim raz po raz. Nie ma co teraz marzyć o zdjęciu ojca z szubienicy, a nocą zapłoną pochodnie... zapłoną pochodnie... zapłoną pochodnie... W tej samej chwili na plac wszedł, powłócząc nogami, Joan. Miał błądą, prawie białą twarz i zapuchnięte, nabiegłe kwią oczy. Arnau wstał. Joan rzucił się bratu w ramiona.

— Arnau... ja... — szlochał.

— Słuchaj uważnie — przerwał mu Arnau, przyciskając go do siebie. — Nie przestawaj płakać. — Nie mógłbym, pomyślał Joan zaskoczony tonem brata. — Dzisiaj o dziesiątej ukryj się na rogu ulicy Mar i czekaj tam na mnie. Pamiętaj, nikt nie może cię widzieć. Przynieś... przynieś koc, największy, jaki znajdziesz. A teraz już idź.

— Ale...

— No, idź, Joan. Nie chcę, żeby żołnierze zwrócili na ciebie uwagę.

Musiał odepchnąć malca, by wyrwać się z jego uścisku. Oczy Joana spoczęły najpierw na twarzy brata, potem znów na ciele Bernata. Zadrżał.

— Idź już! — syknął Arnau.

Gdy zapadła noc, plac Błat opustoszał i na miejscu egzekucji pozostały tylko rodziny skazańców. Po zmianie warty nowi żołnierze przestali krążyć wokół wisielców i zasiedli przy ognisku rozpalonym za wozami. Panował spokój, ochłodziło się. Arnau wstał i przeszedł obok żołnierzy, próbując ukryć twarz.

— Idę po koc — rzucił w ich stronę.

Jeden z wartowników spojrział na niego kątem oka.

Arnau doszedł do ulicy Mar i zaczął się rozglądać za Joanem. Umówiona godzina wybiła, powinien już być. Arnau zagwizdał. Odpowiedziała mu cisza.

— Joan! — odważył się zawołać.

Od bramy jednego z domów odkleił się cień.

— Arnau?

— Oczywiście, że to ja. — Westchnienie ulgi Joana słuchać było w promieniu wielu metrów.

— Myślałeś, że kto? Dlaczego nie wyszedłeś wcześniej?

— Jest bardzo ciemno — jęknął Joan.

— Przytniesz, o co prosilem? — Cień uniósł spore zawiniątko. — Znakomicie, właśnie im powiedziałem, że idę po koc. Okryj się nim i zajmij moje miejsce na placu. Idź na palcach, żeby się wydawało, że jesteś wyższy.

— Co chcesz zrobić?

— Spalę ojca — odparł Arnau, gdy Joan był już obok niego. — Zajmiesz moje miejsce, żołnierze muszą wziąć cię za mnie. Po prostu usiądź pod... usiądź na moim miejscu i nie ruszaj się. Przykryj się kocem, twarz również. I ani drgnij. Nie rób nic, bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, co zobaczysz. Zrozumiano? — Arnau nie czekał na odpowiedź. — Od tej pory jesteś mną, nazywasz się Arnau Estany ol i jesteś jedy nakiem. Rozumiesz? Jeśli żołnierze cię spytają...

— Arnau...

— Co?

— Nie mogę.

— Jak... jak to?

— Nie mogę. Boję się. Wszystko się wyda. Wystarczy, że spojrzę na niego i...

— Chcesz patrzeć, jak ciało naszego ojca gnije na stryczku? Chcesz, żeby wisiało na murach miasta, wydane na żer krukowi i robakom?

Arnau zaczekał, aż brat wyobrazi sobie ten potworny widok

— Chcesz, żeby Isabel kpiła z naszego ojca... nawet po jego śmierci?

— Ale czy to nie grzech? — zapytał niespodziewanie Joan.

Arnau próbował przyjrzeć się bratu w ciemnościach, ale zobaczył tylko mroczny cień.

— On był tylko głodny! Pojęcia nie mam, czy to grzech, niewiele mnie to obchodzi. Nie pozwolę, by ciało naszego ojca gniło na szubienicy. Wiem, co powinienem robić. Jeśli chcesz mi pomóc, przykryj się kocem i już, o nic więcej nie proszę. Jeśli nie chcesz...

Arnau ruszył przed siebie ulicą Mar. Joan zarzucił koc na głowę i wszedł na plac, wpatrzony w jedno z dziesięciu widm wiszących nad wozami, łagodnie oświetlonych blaskiem ogniska, przy którym zasiadali żołnierze. Joan wolał nie patrzeć w tamtą stronę, na zsiniały język ojca, ale oczy go zdradziły i szedł przed siebie ze wzrokiem utkwnionym w Bernacie. Żołnierze dostrzegli zmierzającego ku nim chłopca.

Tymczasem Arnau popędził do domu, wziął bukłak i wylawszy z niego wodę, napełnił go oliwą do kaganków. Pere i jego żona przyglądali mu się, siedząc przed paleniskiem.

— Ja już nie istnieję — powiedział Arnau słabym głosem, kłękając i ściskając rękę staruszki, patrzącej na niego czule. — Joan będzie mną. Ojciec miał tylko jednego syna... W razie czego

zaopiekujcie się Joanem.

— Ale, Arnau... — odezwał się Pere. — Ciiii — szepnęła Arnau.

Co chcesz zrobić, chłopcze? — dopytywał się starzec. Muszę to zrobić — odparł Arnau, wstając.

Istnieję. Jestem Arnau Estanyol. Żołnierze odprowadzali go wzrokiem. Palenie zwłok to grzech, na pewno, myślał Joan. On na mnie patrzy! Przystanął kilka metrów od wisielca. O tak wpatruje się we mnie! To wszystko pomyślał Arnau.

— Coś nie tak, chłopcze? — Jeden z żołnierzy wykonał ruch, jakby chciał się podnieść.

— Nie... nic — odparł Joan i ruszył ku świdrującym go martwym oczom.

Arnau złapał kaganek i wybiegł z domu. Wymazał twarz błotem. Ileż razy ojciec opowiadał mu o dniu, gdy po raz pierwszy wszedł przez bramę miasta, które go zabiło. Ulicami Llet i Corretgeria Arnau okrążył plac Błat i dotarł do ulicy Tapineria, blisko wozów, na których powieszono skazańców. Joan siedział pod szubienicą ojca, trzęsąc się jak galareta. Jego dziwne zachowanie mogło w każdej chwili zwrócić uwagę strażników.

Arnau ukrył kaganek w ulicznym zakamarku, przewiesił sobie bukłak przez plecy i zaczął się czołgać ku wozom. Na czwartym z nich wisiał Bernat. Żołnierze gawędzili w najlepsze przy ognisku płonącym za ostatnim wozem. Gdy Arnau znalazł się na tyłach szubienic, dostrzegła go kobieta o opuchniętych od płaczu oczach, nieodstępująca drugiego wozu. Chłopiec zamarł, ale kobieta pogrążyła się na powrót w bólu, udając, że go nie widzi. Arnau bez przeszkód wdrapał się na wóz, na którym wisiał jego ojciec. Joan usłyszał za sobą dziwne odgłosy i się odwrócił.

— Nie odwracaj się! — Joan natychmiast przestał wpatrywać się w mrok — I nie trzęś się tak — dobiegł go szepł brata.

Arnau wstał, by dosięgnąć ciała Bernata, ale wóz zaskrzypiał i chłopiec odruchowo przypadł do desek. Odczekał kilka sekund i powtórzył próbę; skrzypienie i tym razem przejęło go dreszczem, jednak wytrzymał na stojąco. Żołnierze nie przerywali pogawędki. Arnau podniósł bukłak i zaczął polewać oliwą ciało ojca. Głowa znajdowała się dość wysoko, więc chłopiec wspiął się na palce, po czym z całej siły ścisnął bukłak, by oliwa trysnęła jak najdalej. Strużki lepkiego płynu spływały po włosach Bernata. Opróżniwszy bukłak, Arnau wycofał się na ulicę Tapineria.

Miał tylko jedną szansę. Ukrył kaganek za plecami, zapałając sobą słaby płomyk. Muszę dobrze wycelować i trafić za pierwszym razem. Zerknął na wartowników. Teraz to on dygotał. Wziął głęboki oddech i zdecydowanie wkroczył na plac. Dziesięć kroków przed Bernatem i Joanem zwiększył płomień zwracając na siebie uwagę strażników. Blask kaganka zalewający plac Błat przypominał światło jutrzenki — zapowiedź bezchmurnego dnia. Żołnierze spojrzeli na niego. Już, już miał poderwać się do biegu, ale zmienił zdanie, widząc, że wartownicy nie ruszają się z miejsc. Bo i dlaczego mieliby wstawać? Przecież nie wiedzą, że idę spalić ojca. Spalić ojca! Kaganek zachytał się w jego dłoni. Podszedł do Joana, odprowadzany spojrzeniami żołnierzy. Nikt nie próbował go zatrzymać. Stał przed ojcem, żeby popatrzeć na niego po raz ostatni. Światło zaczęło pełgać po twarzy wisielca, skrywając małujące się na nim przerażenie i ból.

Cisnął kaganek w ojca i ciało natychmiast stanęło w płomieniach. Żołnierze zerwali się na równe nogi i ruszyli w stronę Arnaua. Rozbity kaganek wpadł do kałuży, utworzonej przez skapującą oliwę, i wóz również zaczął płonąć.

— Ej! — krzyčeli żołnierze do podpalacza.

Gdy Arnau już miał rzucić się do ucieczki, spostrzegł, że Joan, spalizowany strachem, wciąż

siedzi na ziemi, szczerlnie okryty kocem. Rodziny skazańców obserwowały płomienie w milczeniu, pogrążone w rozpacz.

— Stać! Stać w imieniu króla!

— Joan, uciekaj! — Arnau obejrzał się na żołnierzy, którzy byli tuż-tuż. — Rusz się! Bo spłonie!

Nie może zostawić brata. Rozlana na ziemi strużka oliwy zbliżała się do dygoczącej sylwetki malca. Arnau już miał zawrócić, ale kobieta, która wcześniej zauważyła go przy wozach, zagrodziła mu drogę. Uciekaj — ponagliła go.

Arnau wyrwał się żołnierzowi, który właśnie złapał go za rękę i puścił się biegiem ulicą Bória w kierunku bramy Nou słysząc za sobą pokrzykiwania żołnierzy. Im dłużej będą go ścigali, tym później wrócą na plac, by ugasić ogień, myślał. Starsi od niego żołnierze w pełnym rynsztunku nigdy nie dogonią młodzika pędzącego jak na skrzydłach.

— W imieniu króla! — usłyszał za plecami.

Coś musnęło z gwizdem jego prawe ucho. Strzała uderzyła z trzaskiem o ziemię, kilka kroków przed nim. Przeciął plac Liana w deszczu strzał, minął kaplicę Bernata Marcusa i znalazł się na ulicy Carders. Nawoływania żołnierzy zaczęły cichnąć. Nie może biec do bramy Nou, tam z pewnością już na niego czekają. Jeśli skieruje się ku morzu, trafi do kościoła Santa Maria. Biegnąc w drugą stronę, ku góróm, dotrze do klasztoru Sant Pere de les Puelles, ale potem drogę znowu zagrodzą mu mury.

Wybrał pierwszą możliwość i ruszył w stronę morza. Minął klasztor Świętego Augustyna i zanurzył się w labiryncie uliczek za dzielnicą Mercadal: przesadzał płoty, tratował warzywniki, szukał jak najmroczniej szych zaułków. Zwolnił dopiero, gdy przekonał się, że goni go już tylko echo jego własnych kroków. Podążając wzdłuż kanału Rec Comtal, dotarł do Pla d'en Llull, zaraz obok klasztoru klarysek, stamtąd trafił bez przeszkód na plac i ulicę Born, do swej kryjówki — kościoła Santa Maria. Gdy już miał się wczołgać pod drewniane schody przy wejściu do świątyni, zauważył leżący na ulicy kaganek którego dogasający płomyk migotał chybliwie. Rozejrzał się i dostrzegł w półmroku leżącego wartownika. Mężczyzna nie ruszał się, z kącika jego ust spływała strużka krwi.

Serce Arnaua zaczęło walić jak młot. Co to ma znaczyć? Wartownik strzegł kościoła Santa Maria. Po cóż ktoś miałby — Madonna! Kaplica Przenajświętszego Sakramentu! Skarbonka *bastaixos!*

Chłopak nie zastanawiał się ani chwili. Dopiero co stracił ojca, nie dopuści, by skrzywdzono również jego matkę. Wślizgnął się po cichu do kościoła i ruszył w stronę ambitu. Na lewo, między dwoma przyporami, znajdowała się kaplica Przenajświętszego Sakramentu. Przeszedł przez kościół i skrył się za jedną z kolumn w głównym ołtarzu. Z daleka słyszał odgłosy dobiegające z kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, która znajdowała się jeszcze poza zasięgiem jego wzroku. Dopiero przy padłszy do sąsiedniej kolumny, ujrzał kaplicę skąpaną jak zwykle w blasku świateł.

W ich świetle Arnau dostrzegł mężczyznę wdrapującego się od wewnątrz na kratę. Spojrzał na Madonnę. Stała na swoim miejscu. Szybko obiegił wzrokiem kaplicę. Zamek skarbonki *bastaixos* był wyłamany. Gdy złodziej wspinał się po kracie, Arnauowi wydało się, że słyszy pobrzękiwanie monet, które tragarze portowi odkładali dla sierot i wdów swych zmarłych towarzyszy.

— Ty złodzieju! — krzyknął Arnau, wyskakując zza kolumny.

Jednym susem wspiął się na kratę i uderzył rabusia w pierś. Zaskoczony mężczyzna spadł

z hukiem na ziemię. Zanim Arnau zdążył ochłonąć, złodziej zerwał się na równe nogi i wymierzył mu pięścią potężny cios w twarz. Arnau runął na kościelną posadzkę.



17

— Pewnie spadł, gdy uciekał z zawartością skarbonki — stwierdził jeden z królewskich oficerów, stojący nad ciągle nieprzytomnym Arnauem. Ojciec Albert pokręcił głową. Arnau nie popełniłby podobnego okropieństwa, za nic w świecie nie obrabowałby skarbonki *bastaixos* w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, obok jego ukochanej Madonny! Żołnierze powiadomili go o zdarzeniu dwie godziny przed świtem.

— To niemożliwe — wyszeptał.

— Wszystko świadczy przeciwko niemu, ojczu — przekonywał oficer. — Miał przy sobie dowód rzeczowy — stwierdził, pokazując sakiewkę Graua z monetami dla naczelnika więzienia i jego podopiecznych. — Skąd taki smarkacz wziąłby tyle pieniędzy?

— No i jego wygląd — wtrącił inny żołnierz. — Po cóż brudziłby sobie twarz błotem, jeśli nie po to, by zakraść się tu niezauważony?

Ojciec Albert znów pokręcił głową, wpatrując się w sakiewkę trzymaną przez oficera. Czego Arnau szukał w środku nocy w kościele? Skąd wziął sakiewkę?

— Co robicie? — spytał żołnierzy, którzy zaczęli podnosić Arnaua.

— Zabieramy go do więzienia.

— Mowy nie ma — zabrzmiał mu w uszach jego własny głos.

Może... może da się to jakoś wytłumaczyć. Niemożliwe, by Arnau obrabował skarbonkę *bastaixos*. Wszyscy tylko nie Arnau.

— To złodziej, ojczu.

— O tym zadecyduje sąd.

— Święta racja — przyznał oficer, gdy jego ludzie brali Arnaua pod pachy. — W każdym razie chłopak poczeka na wyrok w lochu.

— Jeśli już to w więzieniu biskupim — powiedział ksiądz. — Przestępstwa dokonano w miejscu świętym i podejrzany podlega jurysdykcji kościelnej, nie świeckiej.

Oficer, zrezygnowany, zerknął na Arnaua i na żołnierzy, po czym kazał im puścić chłopaka. Je-

go ludzie wykonali rozkaz bardzo skwapliwie — gdy głowa chłopca uderzyła o posadzkę, na ich ustach pojawił się szyderczy uśmiešek.

Ojciec Albert rzucił im gniewne spojrzenie.

— Ocućcie go — powiedział i wyjął klucze, by otworzyć kratę i wejść do środka. — Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia.

Kaplan podszedł do skarboxki, której potrójny zamek został wylamany, i przekonał się, że skrzyńka jest pusta. Z kaplicy nie zniknęło nic prócz pieniędzy, nie było też widać żadnych zniszczeń. Co się stało, o Pani? — spytał w myślach Madonny. Dlaczego pozwoliłaś Arnauowi tak bardzo zgrzeszyć? Usłyszał chluśnięcie wody, którą żołnierze cucili chłopca. Gdy opuszczał kaplicę, do świątyni wchodzili pierwsi *bastaixos*, powiadomieni o rabunku.

Lodowata woda natychmiast przywróciła Arnauowi przytomność. Zobaczył otaczających go żołnierzy. Przypomniał sobie świst strzały na ulicy Bória. Przecież ich wyprzedził. Jak zdołali go dopaść? Czyżby upadł? Twarze żołnierzy pochyliły się nad nim. Ojciec! Płomienie! Musi uciekać! Poderwał się i odepchnął żołnierzy, którzy jednak bez trudu go obezwładnili.

Ojciec Albert, strapiiony, patrzył, jak chłopiec szarpie się i próbuje wyrwać.

— Jeszcze chcecie go słuchać, ojczy? — zapytał z ironią oficer. — Jego zachowanie świadczy chyba samo za siebie — dodał, wskazując na miotającego się Arnaua.

Ojciec Albert uniósł ręce do twarzy i westchnął. Następnie zwrócił się, zrezygnowany, do Arnaua, przytrzymywanego przez żołnierzy.

— Jak mogłeś? Przecież wiesz, że to skarboxka twoich przyjaciół *bastaixos*, że dzięki tym pieniądzom wspierają w potrzebie wdowy i sieroty, grzebią swych zmarłych, pomagają potrzebującym, ustrajają Madonnę, twoją matkę, i pilnują, by nigdy nie zabrakło przed nią zapalonych świec. Dlaczego to zrobiłeś?

Arnau uspokoił się na widok kapłana. Dobrze, ale co tu robi ojciec Albert? Skarboxka *bastaixos*! Złodziej! Uderzył go, ale... Co stało się potem? Zaczął się rozglądać, szeroko otwierając oczy. Zza pleców żołnierzy wpatrywały się w niego znajome twarze, czekając niecierpliwie na odpowiedź. Był tam jego przyjaciel Ramon i Ramon Mniejszy, Pere i Jaume, a także *bastaix* Joan, który stał na palcach, próbując cokolwiek dojrzeć, Sebastia, jego syn Bastianet i wielu innych *bastaixos*, którym niejednokrotnie pomagał ugasić pragnienie i u boku których przeżył niezapomniane chwile podczas wyprawy barcelońskiej *host* do zamku Creixell. Podejrzewają go o kradzież! O to im chodzi!

— Ja nie... — wyjąkał.

Oficer podetknął mu pod nos sakiewkę. Arnau sięgnął do miejsca, gdzie trzymał mieszek z pieniędzmi Graua. Nie zostawił go pod siennikiem w obawie, że baronessa na nich doniesie i oskarża Joana, a teraz... Przeklęty Grau! Przekłeta sakiewka!

— Tego szukasz? — rzucił oficer.

Po zgromadzonych *bastaixos* przeszedł pomruk oburzenia.

— To nie ja, ojczy — bronił się Arnau.

Oficer zarechotał, po chwili zawtórowali mu żołnierze.

— Ramon, to nie ja, przy sięgam — powtórzył Arnau, patrząc na zaprzyjaźnionego tragarza.

— W takim razie, czego szukałeś w środku nocy w kościele?

Skąd wzięłeś sakiewkę pełną pieniędzy? Dlaczego chciałeś uciec? Po co ubrudziłeś się błotem? Arnau przeciągnął ręką po twarzy. Błoto zdążyło już zaschnąć.

Sakiewka! Oficer nie przestawał wy machiwać mu nią przed nosem. Do kościoła ścigali kolejni *bastaixos*. Ich towarzysze opowiadali im o całym zajściu. Arnau wodził oczami za sakiewką. Przekłęty mieszek! Po chwili zwrócił się wprost do ojca Alberta:

— Zobaczyłem złodzieja. Chciałem go złapać, ale mi się wymknął. Był bardzo silny.

Ambit znowu wypełnił pełen niedowierzania rechot oficera.

— Arnau — ponaglił chłopca ojciec Albert — odpowiedz na pytania oficera.

— Nie... nie mogę — wyjąkał chłopak. Jego słowa oburzyły oficerów i żołnierzy, wywołały też poruszenie wśród *bastaixos*.

Kapłan milczał, przy patrząc się Arnauowi. Ile razy słyszał już podobną odpowiedź? Ilu parafian wzbriało się przed wyznaniem grzechów? „Nie mogę — mówili z zaleknioną miną — gdyby się wydało...”. A już ci, myślał wtedy ksiądz, gdyby wydała się ich kradzież, cudzołóstwo lub bluźnierstwo, Pewnikiem skończyliby w więzieniu, ale... Musiał ich zapewniać o tajemnicy spowiedzi i namawiać do otwarcia serca na Boga i boskie przebaczenie.

— Powiesz mi prawdę na osobności? — zapytał Arnau. Chłopiec przytaknął, a wtedy kapłan skierował się z nim ku kaplicy Najświętszego Sakramentu.

Zaczekajcie tu na nas — powiedział ksiądz Albert. Chodzi o skarbonkę *bastaixos* — zatrzymał ich głos dochodzący zza pleców żołnierzy. — Dlatego powinien być tym również jeden z nas.

Ojciec Albert skinął głową na znak zgody i zerknął na Arnaua

— Ramon? — zaproponował.

Chłopiec ponownie skinął głową i wszyscy trzej weszli do kaplicy. Arnau mógł nareszcie wyznać prawdę i zrzucić ciężar z serca. Opowiedział o stajennym Tomasie, o ojcu, sakiewce Graua, zleceniu Isabel, zamieszłach w mieście i egzekucji o ogniu... o pogoni, rabusiu i nieudanej próbie powstrzymania go. Wyznał, że boi się, iż zostanie wtrącony do więzienia, bo zatrzymał sakiewkę Graua i podpalił zwłoki ojca.

Arnau nie potrafił opisać mężczyzny, który go ogłuszył. W kościele panował mrok, skwitował pytania księdza i Ramona, wiedział jedynie, że ma do czynienia z mężczyzną potężnym i silnym. W końcu ksiądz i *bastaix* wymienili spojrzenia. Wierzył chłopcu, ale... Jak udowodnić ludziom, których zniecierpliwione pomruki dobiegały z głębi kościoła, że Arnau nie ma nic wspólnego z kradzieżą? Ksiądz zerknął na Madonnę i na wyłamane zamki skarbonki, po czym wyszedł z kaplicy.

— Chłopiec mówi prawdę — ogłosił zgromadzonym w ambicje. — Uważam, że nie tylko nie okradł skarbonki, ale nawet próbował złapać złodzieja.

Ramon, który wyszedł z kaplicy zaraz za księdzem, potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

— W takim razie, dlaczego nie chce odpowiedzieć na moje pytania? — dopytywał się oficer.

— Ma powody. — Ramon nadal potakiwał. — I mogę was zapewnić, że nie są one blahe. Czy ktoś mi nie wierzy? — Nikt się nie odezwał. — A więc dobrze, mogę poprosić do siebie cechmistrzów? — Trzej mężczyźni wystąpili z tłumy i podeszli do ojca Alberta. — Każdy z was ma jeden z trzech kluczy do skarbonki, nieprawdaż? — Trzej *bastaixos* przytaknęli. Przyśięgacie, że została ona otwarta tylko przez was trzech jednocześnie w obecności dziesięciu członków bractwa, jak nakazuje wasz statut? — Zapytani przy sięgli głośno uroczystym tonem, jakim zwracał się do nich kapłan. — Przyśięgacie również, że ostatni zapis w księdze rachunkowej bractwa odpowiada sumie znajdującej się wówczas w skarbonce? — Ochmistrzowie ponowili przyśięgę. — A wy, oficerze, przyśięgacie, że tę właśnie sakiewkę miał przy sobie podejrany? — Oficer poszedł za

przykładem swych poprzedników. — I przysięgacie, że jej zawartość nie uległa zmianie od chwili pojmiania chłopca? — Wasze słowa są zniewagą dla oficera króla Alfonsa!

— Przysięgacie, czy nie?! — krzyknął ksiądz.

Kilku *bastaixos* podeszło do oficera, spojrzeniem domagając się od niego odpowiedzi.

— Przysięgam.

— Doskonale — ciągnął ojciec Albert. — Przyniosę księgę rachunkową. Jeśli chłopiec okradł skarbonkę, zawartość sakiewki powinna być równa ostatniej sumie odnotowanej w księdze lub ją przekraczać. Jeśli okaże się, że jest mniejsza, będzie to dowodziło jego niewinności.

Portowi tragarze odpowiedzieli na propozycję księdza pomrukiem zadowolenia. Większość z nich spojrzała na Arnaua — dobrze pamiętali orzeźwiający smak wody z jego bukłaka.

Ojciec Albert wręczył Ramonowi klucz, prosząc, by zamknął kaplicę, a sam udał się po księgę, w której odnotowywano zmiany zawartości skarbonki. Zgodnie ze statutem *bastaixos* musiała być ona przechowywana przez osobę niezwiązaną z bractwem. Jeśli pamięć go nie myli, zawartość skarbonki nie tylko nie zgadzała się z sumą wypłacaną przez Graua Puiga naczelnikowi więzienia na wyżywienie dłużników, ale znacznie je przekraczała. To będzie niepodważalny dowód, myślał, uśmiechając się pod nosem.

Gdy ojciec Albert udał się po księgę, Ramon zamknął kratę na klucz. Nagle jego uwagę zwrócił błysk dochodzący z wnętrza. Wszedł z powrotem do kaplicy i przyjrzał się połyskującemu przedmiotowi, nie dotykając go. Bez słowa zamknął kratę i skierował się do towarzyszy, którzy obścąpili Arnaua karabinierzy, czekając na powrót kapłana.

Ramon szepnął coś na ucho trzem kompanom i wszyscy czterej wymknęli się niezauważeni z kościoła.

— Wedle ostatniego zapisu — oznajmił po powrocie ojciec Albert, podsuwając księgę cechmistrzom — w skarbonce były siedemdziesiąt cztery denary i pięć soldów. Przeliczcie zawartość sakiewki — zwrócił się do oficera.

Ten, jeszcze przed wysypaniem monet, pokręcił głową. Po ciężarze sakiewki poznał, że nie może zawierać siedemdziesięciu czterech denarów.

— Trzy naście denarów — oznajmił po przeliczeniu monet. — Ale to jeszcze o niczym nie świadczy! Chłopak mógł mieć współnika, któremu udało się wymknąć z pieniędzmi.

— Dlaczego miałby zostawić Arnauowi trzy naście denarów? — zapytał jeden z tragarzy.

Pozostali *bastaixos* poparli argument swego towarzysza.

Oficer spojrział na tragarzy. Z powodu zwykłego niedopatrzania — miał ochotę odpowiedzieć. — Bo się spieszył, bo był bardzo zdenerwowany... Ale jakie to miało znaczenie? Kilku tragarzy podeszło już do Arnaua, poklepywało go po plecach i mierzwiło mu włosy.

— No dobrze, ale jeśli nie on, to kto? — zapytał.

— Chyba wiem, czyja to sprawka — odpowiedział Ramon, zbliżając się od strony głównego ołtarza.

Za Ramonem szli dwaj inni *bastaixos*, wlokąc zażywnego mężczyznę.

— Że też od razu się nie domyśliliśmy — rzucił któryś z *bastaixos*.

— To on! — krzyknął Arnau.

Bastaix, znany wszystkim jako Majorkańczyk zawsze był czarną owcą bractwa. Starszyzna zdecydowała się go wydrzeć, gdy wyszło na jaw, że ma kochankę. Członkom bractwa nie wolno było utrzymywać nieślubnych związków. Ani im, ani ich żonom. *Bastaix*, który sprzeniewierzał

się tej zasadzie, zostawał usunięty z bractwa.

— Co ten dzieciak plecie? — krzyknął Majorkańczyk, gdy oprowadzono go do ambitu.

— Oskarża cię o obrabowanie skarbonki *bastaixos* — oznajmił ojciec Albert.

— Łże!

Kapłan poszukał wzrokiem Raniona. *Bastaix* skinął lekko głową.

— Ja również cię oskarżam! — krzyknął, wskazując palcem podejrzanego.

— Ojciec też kłamie.

— Będziesz miał okazję tego dowieść w kotle klasztoru Santes Creus.

Przestępstwa dokonano w kościele i według praw porządku publicznego — zebranych w kodeksie *Constituciones de Pazy Tregua* — oskarżony, który chciał dowieść swej niewinności, poddawany był próbie wrzątku.

Majorkańczyk zbladł. Dwaj oficerowie i żołnierze spojrzeli zdumieni na kapłana, który dał im znak, by milczeli. Próba wrzątku została już wycofana, choć duchowni lubili straszyć nią podejrzanych, by wymóc na nich zeznania.

Ojciec Albert zmrużył oczy i spojrzał na Majorkańczyka.

— Jeśli chłopak i ja kłamiemy, na pewno zanurzysz ręce i nogi we wrzątku, dowodząc swej niewinności.

— Bo jestem niewinny — wymamrotał nieszczęśnik

— Doskonale. Jak ci już wspomniałem, będziesz miał okazję tego dowieść — powtórzył ksiądz.

— Jeśli jesteś niewinny — wtrącił Ramon — może nam wyjaśnisz, skąd wziął się w kaplicy twój sztylet. Majorkańczyk odwrócił się do Ramona.

To pułapka! — odpowiedział natychmiast. — Ktoś go tu podrzucił, żeby zwalić na mnie winę. Ten smarkacz! To na Pewno on!

Ojciec Albert wszedł ponownie do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. Po chwili wyłonił się z dowodem rzeczowym w ręce.

— Czy to twoja zguba? — zapytał, podsuwając Majorkańczykowi sztylet pod nos.

— Nie... nie.

Cechmistrzowie oraz kilku *bastaixos* podeszli do księdza, by rzucić okiem na znaleziony w kaplicy przedmiot.

— Tak to jego — oświadczył członek starszy zny, biorąc sztylet do ręki.

Sześć lat temu, w związku z licznymi awanturami wybuchającymi w porcie, król Alfons zabronił noszenia pałaszów i podobnej broni tragarzom oraz wszystkim innym wolnym pracownikom portowym. Jedyłą dozwoloną bronią stały się stępione na czubku sztylety. Majorkańczyk nie chciał poddać się królewskiemu rozkazowi, dumny ze swego pięknego, ostro zakończonożego noża, którym chwalił się wszystkim, jakby usprawiedliwiając w ten sposób nieposłuszeństwo wobec króla. Dopiero gdy zagrożono mu wydaleniem z bractwa, zaniósł sztylet do kowala, by ten spiliwał jego czubek.

— Łgarz — parsknął jeden z *bastaixos*.

— Złodziej — dodał inny.

— Ktoś ukradł sztylet, by zrzucić na mnie winę! — protestował Majorkańczyk, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku swych byłych towarzyszy.

Wtedy zjawił się trzeci *bastaix*, który opuściwszy kościół razem z Ramonem, udał się do domu podejrzanego w poszukiwaniu złodziejskiego łupu.

— Proszę! — wykrzyknął, unosząc sakiewkę i wręczając ją. księdzu, który podał ją z kolei oficerowi.

— Siedemdziesiąt cztery denary i pięć soldów — oznajmił oficer, przeliczywszy zawartość sakiewki.

Podczas gdy oficer liczył monety, *bastaixos* zaczęli coraz ciasniej otaczać Majorkańczyka. Żaden z nich nie mógł nawet marzyć o takiej fortunie! Kiedy pieniądze zostały przeliczone, rzucili się na złodzieja. Nie obeszło się bez obelg, kopniaków i plucia, poszły w ruch pięści. Żołnierze ani myśleli stawać w obronie rabusia, oficer wzruszył tylko ramionami i zerknął na ojca Alberta.

— Jesteście w Domu Bożym! — krzyknął kapłan, próbując powstrzymać tragarzy. — Jesteście w Domu Bożym! — powtarzał, póki nie przedarł się do złodzieja, leżącego na kościelnej posadzce. — Choć człowiek ten jest łajdakiem, do tego tchórzem, ma prawo do procesu. Nie zniżajcie się do jego poziomu i nie zachowujcie jak uliczni przestępcy. Zaprowadźcie go do biskupa — przykazał oficerowi.

Gdy tylko ksiądz odwrócił się do oficera, ktoś skorzystał z okazji i wymierzył rabusiuowi ostatniego kopniaka. *Bastaixos* pluli na Majorkańczyka, kiedy żołnierze podnosili go z ziemi i wyprowadzali ze świątyni.

Kiedy żołnierze i Majorkańczyk opuścili kościół, *bastaixos* otoczyli Arnaua, uśmiechając się do niego i prosząc o przebaczenie. Następnie zaczęli rozchodzić się do domów. Po jakimś czasie przed otwartą kaplicą Przenajświętszego Sakramentu został już tylko ojciec Albert, Arnau, trzech cechmistrzowie oraz dziesięciu świadków, bo tak nakazywały przepisy dotyczące skarbonki *bastaixos*.

Ksiądz wyspał z powrotem monety do skrzynki i opisał w księdze nocne zdarzenie. A że nastął już świt, posłano po ślusarza, który miał naprawić trzy wyważone zamki. Zebrani musieli zacząć, aż skarbonka zostanie na powrót zamknięta.

Ojciec Albert położył rękę na ramieniu Arnaua. Dopiero teraz przypomniał sobie o biednym chłopcu siedzącym pod szubienicą ojca. Zapomniał o ogniu. To przecież tylko dziecko!

Spojrzał na Madonnę. I tak zawisłby na bramie miasta, tłumaczył sobie w myślach. Co za różnica! To tylko dziecko, które zostało zupełnie samo: bez ojca, bez pracy, bez środków do życia...

Uważam, że powinniście przyjąć Arnaua Estanyola do siebie — oznajmił.

Ramon się uśmiechnął. On również, gdy tylko sytuacja nieco się uspokoiła, zaczął zastanawiać się nad przyszłością chłopca i doszedł do tego samego wniosku. Jednak wszyscy pozostali łącznie z samym Arnauem, spojrzeli osłupiali na ojca Alberta

— Przecież to jeszcze dziecko — zauważył jeden z cechmistrzów.

— Nie ma dość siły. Jak takie chuchro będzie dźwigało ciężkie ładunki i kamienie? — dodał drugi.

— Jest jeszcze bardzo mały — przyznał trzeci. Arnau patrzył na wszystkich szeroko otwartymi oczami.

— Trudno nie przyznać wam racji — odparł ksiądz. — Jednak mimo młodego wieku, niewielkiego wzrostu i wątłych sił nie zawahał się walczyć o wasze denary. Gdyby nie on, skarbonka byłaby teraz pusta.

Bastaixos przez chwilę mierzyli chłopca wzrokiem.

— Myślę, że powinniśmy spróbować — przerwał milczenie Ramon. — Jeśli się nie sprawdzi...

Inny *bastaix* poparł jego propozycję.

— Zgoda — powiedział w końcu jeden z cechmistrzów, spoglądając na swych dwóch towarzyszy, z których żaden nie zaprotestował. — Przyjmijmy go na próbę. Jeśli przez pierwsze trzy miesiące udowodni, że nadaje się na tragarza portowego, zostanie pełnoprawnym członkiem gremium. Jego zarobki będą proporcjonalne do wykonanej pracy. To dla ciebie — dodał, wręczając Arnauowi sztyl Majorkańczyka. — Jest twój. Ojczy, odnotujcie to w naszej księdze, by oszczędzić chłopcu ewentualnych nieprzyjemności.

Arnau poczuł, że ksiądz ściska go za ramię. Uśmiechał się od ucha do ucha, nie wiedząc, jak dziękować tragarzom. Został jednym z nich, jednym z *bastaixos*! Gdybyż jego ojciec dożył tej chwili!



18

— Kto to? Znasz go, chłopcze?

Na placu nie ustała jeszcze bieganina i nawoływania żołnierzy ścigających Arnaua. Jednak Joan niczego nie słyszał — wciąż miał w uszach skwierczenie płonącego ciała.

Dowódca nocnej warty, który został pod szubienicą, potrząsnął chłopcem i zapytał po raz kolejny:

— Znasz go?

Joan jednak nie odwracał wzroku od ludzkiej pochodni — od człowieka, który zastąpił mu ojca.

Oficer nie przestawał go szarpać, aż w końcu malec odwrócił się w jego stronę. Miał błędny wzrok i szczykał zębami.

— Kto to był? Dlaczego spalił twojego ojca? Joan nie słyszał pytania. Zaczął się trząść.

Dziecko odjęło mowę — wtrąciła kobieta, która namówiła Arnaua do ucieczki, odciągnęła spalizowanego strachem Joana od płonącego wozu i rozpoznała w podpalaczu chłopca czuwającego przez całe popołudnie i wieczór przy zwłokach. Gdybym miała tyle odwagi co on, pomyślała, nie pozwoliłabym, by wydano mojego męża ptakom na żer. Tak ten chłopiec zrobił to, co każdy z żałobników tkwiących pod szubienicami chciał zrobić, a oficer... Oficer był dowódcą nocnej warty i nie znał Arnaua. Był przekonany, że synem płonącego wisielca jest chłopiec stojący teraz pod szubienicą. Kobieta objęła Joana i przytuliła do serca.

— Muszę się dowiedzieć, kto podpalił ciało — tłumaczył oficer.

Wokół stali gapie przyglądający się płonącemu wisielcowi.

— Co za różnica? — mruknęła kobieta, czując dygotanie Joana. — To dziecko jest ledwie żywe ze strachu i z głodu.

Żołnierz przyknął oczy, a potem wolno, bardzo wolno pokiwał głową. Głód! On sam stracił małego synka: dziecko poczęło chudnąć w oczach, aż w końcu zabiła je gorączka. Jego żona przytulała je wtedy tak samo, jak teraz nieznamoma tuliła to dygotające pacholę. A on patrzył na nich oboje: na tonącą w łzach żonę i na dziecko szukające ratunku przy piersi matki, tak samo o jak...

— Odprowadź go do domu — powiedział do nieznamomej. — Głód — mruknął, zerkając znowu na płonące zwłoki. — Przekłęci Genuńczycy!

W Barcelonie wstawał dzień.

— Joan! — wrzasnęła od drzwi Arnau.

Siedzący przy palenisku Pere i Mariona uciszyli go ruchem ręki.

— Śpi — szepnęła Mariona.

Nieznamoma, która przyproceedziła Joana, opowiedziała im o wydarzeniach na placu Blat. Staruszkowie doglądali malca, póki nie zasnął. Następnie usiedli w kuchni, by się ogrzać.

— Co teraz będzie z chłopcami? — spytała Mariona męża. — Teraz, gdy Bernat nie żyje, Arnau ani chybi straci posadę u Puiga.

Nie możemy wziąć ich na utrzymanie, pomyślał Pere. Nie mogą odstąpić im za darmo izby, nie mogą ich wyżywić. Gospodarza zdziwił osobliwy błysk w oczach Arnaua. Przecież właśnie stracił ojca! Od nieznamomej dowiedzieli się, że spalił jego zwłoki. Skąd więc ten błysk?

Zostałem przyjęty do gremium *bastaijos*! — oznajmił, rzucając się na zimne resztki z kolacji. Staruszkowie spojrzeli po sobie, potem przenieśli wzrok na chłopca, który, odwrócony do nich plecami, skrobał warząchwią dno garnka. Był chudy jak szczapa! Brak zboża odbił się na wyglądzie jego i innych mieszkańców Barcelony. Jak taki chudzielec może cokolwiek udźwignąć? Mariona pokręciła głową, zerkając na męża.

— Wszystko w rękach Boga — szepnął Pere.

— Proszę? — spytał Arnau z pełnymi ustami, odwracając się.

— Nic, synku, nic takiego.

— Czas na mnie — powiedział Arnau, sięgając po pajdę czerstwego chleba i wbijając w nią zęby. Nie mógł się zdecydować, czy wypytać o wydarzenia na placu, czy biec do swoich nowych towarzyszy. W końcu dokonał wyboru: — Kiedy Joan się obudzi, opowiedzcie mu o wszystkim.

W kwietniu wznowiono zawieszoną od października żeglugę. Dni się wydłużały, wielkie okręty zaczęły zawijać do miasta i wypływać na szerokie morze, ale nikt, ani właściciele statków, ani armatorzy, ani kapitanowie nie chcieli przebywać dłużej niż to konieczne w niebezpiecznym porcie Barcelony.

Przed dołączeniem do gromadzących się na plaży *bastaijos* Arnau ogarnął wzrokiem morze. Zawsze tu było, na wyciągnięcie ręki, ale podczas spacerów z ojcem już po kilku krokach Przestawał się nim interesować. Teraz patrzył na nie zupełnie inaczej, od tej pory miało zapewnić mu utrzymanie. Niedaleko od brzegu, wśród niezliczonych łódek i pomniejszych jednostek, stały na kotwicy dwa wielkie, dopiero co przybyłe do portu okręty oraz sześć ogromnych galer wojennych, z których każda wyposażona była w dwieście sześćdziesiąt szalup i dwadzieścia sześć rzędów wiosłarzy.

Słyszał już o tej eskadrze. Wyekwipowało ją miasto, by wesprzeć króla w wojnie z Genuą, a dowodził nią czwarty rajca Barcelony, Galcera Marquet. Szczodrość miasta wobec króla Alfonsa nie była bynajmniej bezinteresowna: tylko zwycięstwo nad Genuńczykami mogło odblokujeć szlaki handlowe i przywrócić stolicy księstwa główne źródło utrzymania.

— Mam nadzieję, że się nie rozmyśliłeś? — rozległ się głos za plecami Arnaua. Chłopiec odwrócił się i zobaczył jednego z cechmistrzów. — No, chodźmy — ponaglił go, nie przystając.

Arnau ruszył za nim. Tragarze z uśmiechem powitali nowego towarzysza.

— Będziesz teraz nosił ładunki ciut cięższe niż bukłak z wodą — zażartował ktoś, rozśmieszając wszystkich.

— To dla ciebie. — Ramon wręczył mu poduszkę capcana. — Najmniejsza jaką znaleźliśmy. Arnau ostrożnie wziął ją do ręki.

— Nie bój się, niełatwo ją popsuć! — roześmiał się jeden z *bastaixos*, widząc, że Arnau obchodzi się z poduszką jak z jajkiem.

Pewnie, że nie! — pomyślał Arnau z uśmiechem, bo niby jak miałyby się zepsuć? Umieścił poduszczykę na karku, na czoło naciągnął przytroczony do niej rzemień i znowu się rozpromienił.

Ramon sprawdził, czy capcana znajduje się we właściwym miejscu.

— Świetnie — stwierdził, poklepując swego ulubieńca. — Do kompletu brakuje ci już tylko nagniotka.

— Jakiego znowu... — chciał zapytać Arnau, ale uwagę wszystkich przyciągnęło nadejście cechmistrzów.

— Nie mogą dojść do porozumienia — wyjaśnił jeden z przybyłych. Wszyscy *bastabcos*, z Arnauem włącznie, spojrzeli na rozprawiającą z oży wieniem grupkę mężczyzn w wykwintnych szatach. — Galcera Marquet chce, by w pierwszej kolejności załadowano galery, kupcy — by przedtem rozładowano okręty, które niedawno zawinęły do portu. Przyjdzie nam zacząć — skwitował.

Tragarze zaczęli się złościć. Większość z nich usiadła na piasku. Arnau zajął miejsce obok Ramona, ciągle z poduszką na karku i rzemieniem na czole.

— Zepsuć się nie zepsuje — powiedział mu Ramon, wskazując na jego nowe narzędzie pracy — ale jeśli ubrudzisz ją piaskiem, będzie cię potem uwierać przy noszeniu ładunku.

Chłopiec ostrożnie zdjął poduszkę i schował ją za pazuchę.

— O co im chodzi? — spytał Ramona. — Przecież można obsłużyć statki po kolei.

— Nikt nie chce stać w porcie Barcelony dłużej niż to konieczne. Okręty nie mają tu żadnej osłony i jeśli zerwie się sztorm, będą w tarapatach.

Arnau obiegł wzrokiem wybrzeże, od Puig de les Falsies po klasztor klarysek, następnie spojrział na spierających się możnych.

— Liczy się zdanie rajcy miejskiego, nieprawdaż? Ramon zaśmiał się i przejechał dłonią po włosach chłopca.

— W Barcelonie liczą się kupcy. To z ich pieniędzy wyekwipowano królewskie galery.

Ostatecznie spór zakończył się ugodą: gdy *bastaixos* udadzą się do miasta po ekwipunek galer, przewoźnicy zaczną rozładowywać statki handlowe. *Bastaixos* powinni wrócić, zanim przewoźnicy przybiją do plaży z ładunkiem, który złożony zostanie tymczasowo w bezpiecznym miejscu, a dopiero później rozdzieli się go między poszczególne składy. Następnie *bastaixos* udadzą się po resztę wojennego ekwipunku, podczas gdy przewoźnicy przeniosą jego pierwszą część na galery. Stamtąd popłyną na okręty handlowe po następną porcję ładunku. I tak kilka razy, dopóki galery nie zostaną wyekwipowane, a statki handlowe rozładowane. *Bastaixos* dostarczą towar na koniec do składów kupieckich. Jeśli pogoda pozwoli, zdążą jeszcze ponownie załadować statki handlowe.

Gdy tylko dygnitarze doszli do porozumienia, robotnicy portowi wzięli się do pracy. *Bastaixos* podzielili się na grupy i ruszyli ku składom w centrum miasta, skąd odebrać mieli ekwipunek całej załogi galer, również wiosłarzy. Przewoźnicy podплыli do właśnie przybyłych do portu okrętów handlowych, które z braku nabrzeża przeładunkowego musiały zostać rozładowane na morzu przez

specjalnie w tym celu stworzone i nieodzwonne w Barcelonie służby.

Żałoga każdej barki, feluki, barkasu czy przybrzeżnej tratwy składała się z trzech lub czterech mężczyzn: przewoźnika oraz — w zależności od bractwa — niewolników lub robotników najemnych. Członkom najstarszego i najbogatszego bractwa, Sant Pere, pomagali niewolnicy — regulamin ograniczał ich liczbę do dwóch na łódź — przewoźnikom nowszego, mniej zamożnego bractwa Santa Maria towarzyszyli najemnicy. Tak czy inaczej załadunek i wyładunek towarów z okrętów handlowych na mniejsze jednostki był operacją delikatną i czasochłonną nawet na spokojnym morzu. Nic dziwnego, skoro przewoźnicy odpowiadali przed właścicielem ładunku za ewentualne uszkodzenia i straty, a jeśli nie mogli wypłacić kupcom należnych odszkodowań, groziło im nawet więzienie.

Gdy sztorm nawiedzał wybrzeże Barcelony, sytuacja komplikowała się jeszcze bardziej, i to nie tylko dla przewoźników, ale również dla wszystkich innych uczestników morskiego transportu. Po pierwsze dlatego, że przewoźnicy mogli odmówić rozładowania towarów przy sztormowej pogodzie — czego nie wolno im było robić podczas ciszy na morzu — lub wynegocjować z właścicielem ładunku specjalną cenę. Jednak skutki sztormu najdotkliwiej odczuwał właściciel, kapitan, a nawet załoga statku. Pod groźbą surowych kar nie mogli oni opuścić nierozładowanego okrętu, a właściciel lub pisarz pokładowy — jedyni członkowie załogi, którym pozwalano zejść na ląd — musieli jak najszybciej wracać na pokład.

Tak więc, podczas gdy przewoźnicy zabrali się do rozładowywania pierwszego okrętu, *bastaixos*, podzieleni na grupy z rozlicznych magazynów miejskich poczęli znosić na plażę wyposażenie galer. Cechmistrz spojrział wymownie na Ramona przydzielając Arnau do jego grupy.

Grupa ta udała się brzegiem morza ku bramie Forment, do spichlerza miejskiego pilnie strzeżonego po ostatnich zamieszkach przez oddziały królewskie. Arnau próbował skryć się za plecami Ramona, ale żołnierze od razu zwrócili uwagę na młodego chudzielca towarzyszącego osiłkom.

— Co ma niby nosić ten pędrak? — zapytał jeden z żołnierzy, rechocząc i wytykając go palcem.

Gdy Arnau poczuł na sobie wzrok strażników, zołądek podskoczył mu do gardła. Próbował wcisnąć się jeszcze głębiej za Ramona, ale ten chwycił go za ramię, naciągnął mu na czoło rzemień nakarczніка i odpowiedział, naśladowując ton żołnierza:

— Najwyższa pora, by wziął się do pracy! Ma już czternaście lat i rodzina musi mieć z niego pożytek.

Żołnierze przytaknęli i ustąpili im z drogi. Arnau przeszedł obok nich z opuszczoną głową i rzemieniem na czole. Gdy wszedł do bramy, uderzyła go w nozdrza silna woń zboża. Wpadające przez okno światło ujawniało wirujący w powietrzu pył: drobne cząstki, od których Arnau i wielu *bastaixos* zaczęło prychać i kaszleć.

— Przed wojną z Genuńczykami — powiedział Ramon, zataczając ręką łuk, jakby próbował przygarnąć do siebie całą izbę — spichlerz był pełen ziarna, ale teraz...

Arnau wypatrzył piętrzące się tuż obok wielkie amfory Graua.

— No, do roboty! — krzyknął cechmistrz.

Naczelnik magazynu z pergaminem w dłoni wskazywał im amfory. Jakże wyniesiemy stąd te olbrzymie, wypełnione po brzegi naczynia? — zastanawiał się Arnau. Jedna osoba никак nie udźwignie takiego ciężaru. *Bastaixos* ustawili się w pary, obwiązali każdą amforę powrozem, powiesili na solidnym kij, który zarzucili sobie na ramiona. W ten właśnie sposób, amforę między

sobą, ruszyli parami ku wybrzeżu. Wiszący w powietrzu kurz zgęstniał i zawirował. Arnau znowu kaszlał. Gdy nadeszła jego kolej, usłyszał głos Ramona: — Chłopcu daj mniejsze naczynie, choćby to z solą. Zarządca zerknął na Arnaua i pokręcił głową.

— Sól jest droga — tłumaczył. — Jeśli chłopak upuści...

— Daj mu sól!

Amfory z ziarnem miały blisko metr wysokości, natomiast naczynie z solą było o połowę mniejsze, mimo to, gdy Arnau z pomocą Ramona zarzucił je sobie na plecy, ugięły się pod nim kolana.

Ramon przytrzymał go od tyłu za ramiona.

— Nadeszła chwila próby. Musisz udowodnić, że jesteś jednym z nas — szepnął mu do ucha.

Chłopak ruszył przygarbiony, zaciskając z całej siły ręce na uchach naczyń, prąc z głową do przodu i czując wpijający się w czoło ramię.

Ramon patrzył, jak wychodzi chwiejnym krokiem z magazynu, stąpając ostrożnie, powoli. Zarządca spichlerza znowu pokręcił głową. Żołnierze zamilkli, gdy chłopiec przechodził obok nich.

— To dla was, ojczy! — wymamrotał Arnau przez zaciśnięte zęby, gdy poczuł na twarzy ciepło słonecznych promieni. Miał wrażenie, że lada chwila złamie się pod ciężarem! — Widzicie, ojczy? Nie jestem już dzieckiem.

Ramon oraz *bastair*, z którym niósł przywiązaną do drąga amforę z ziarnem, szli zaraz za Arnauem, bacznie obserwując jego stopy. Nagle chłopiec potknął się i zachwiał. Ramon zamknął oczy. Jesteście jeszcze na placu? — pomyślał Arnau, przypominając sobie wiszące na szubienicy ciało ojca. Teraz już nikt nie będzie z was drwił! Nawet ta wiedźma Isabel i jej pasierbowie. Odzyskał równowagę i ruszył przed siebie.

Gdy wchodził na plażę, Ramon uśmiechał się za jego plecami. Wszyscy zamilkli. Przewoźnicy nie czekali, aż chłopiec dotrze do brzegu, tylko podeszli, by odebrać sól. Arnau nie od razu zdołał się wyprostować. Patrzyłeś na mnie, tato, tam, z góry? — wyszeptał, podnosząc wzrok ku niebu.

Ramon, również uwolniwszy się od ciężaru, poklepał Arnaua po plecach.

— Jeszcze jedna? — zapytał chłopiec z poważną miną?

— Jeszcze dwie. Do Arnaua wnoszącego na plażę trzecie naczynie podszedł cechmistrz Josep.

— Na dzisiaj wystarczy, chłopcze — powiedział.

— Mogę jeszcze — zapewnił Arnau, starając się nie pokazać, że jest ledwie żywy.

— Nie, nie możesz. Zresztą nie pozwolę, żebyś chodził po Barcelonie, krwawiąc jak ranny zwierz — powiedział ojcowskim tonem, wskazując czerwone strużki spływające Arnauowi po bokach. Chłopiec dotknął pleców i zerknął na rękę. — Nie jesteśmy niewolnikami, lecz wolnymi ludźmi, wolnymi robotnikami, i tak właśnie powinno się nas traktować. Nie przejmuj się — dodał, widząc jego nietęgą minę. — Każdy z nas kiedyś zaczynał i zawsze ktoś nas powstrzymał. Za kilka dni rana na karku i plecach zablizni się i powstanie nagniotek. To tylko parę dni, potem, możesz mi wierzyć, będziesz odpoczywał dokładnie tak długo, jak twoi towarzysze, ani chwili dłużej. — Josep podał Arnauowi małą fiolkę. — Oczyszczyć dokładnie ranę i smaruj ją tą maścią osuszającą.

Arnau się odprężył. Na dzisiaj koniec dźwigania. Jednak pojawił się ból, zmęczenie, dawała o sobie znać nieprzespana noc. Chłopiec ślaniał się na nogach. Mruknął coś na pożegnanie i powlókł się do domu. Joan czekał na niego w progu. Od dawna tak stoi?

— Wiesz, że jestem tragarzem portowym? — zapytał Arnau, Podchodząc do brata.

Joan przytaknął. Wiedział. Przyglądał mu się podczas dwóch ostatnich transportów, widział, jak zaciska zęby i dłonie przy każdym chwijnym kroku, zbliżającym go do celu. Modlił się, by nie upadł, płakał, patrząc na jego pobladłą twarz. Joan otarł łzy i otworzył ramiona. Arnau osunął się w jego objęcia.

I Musisz smarować mi plecy tą maścią — zdążył jeszcze powiedzieć, gdy Joan prowadził go na piętro.

Nic więcej nie zdołał wydusić. Runął jak długi na posłanie rozrzuconymi na boki rękami zapadł w krzepiący sen. Ostrożnie, by nie obudzić brata, Joan obmył mu plecy ciepłą wodą, przy niesioną przez Marionę, która znalazła się na rzeczy. Następnie posmarował rany maścią o ostrym, cierpkawym zapachu, która najwyraźniej zaczęła działać natychmiast, bo Arnau drgnął niespokojnie, choć się nie obudził.

Tej nocy to Joan nie zmrzył oka. Siedział na podłodze wsłuchany w oddech brata. Gdy Arnau oddychał równo i spokojnie, Joanowi opadały powieki, budził się jednak natychmiast przy najmniejszym ruchu Arnaua. Od czasu do czasu nachodziła go myśl: Co teraz z nami będzie? Rozmawiał z gospodarzami i wiedział, że zarobki Arnaua jako początkującego *bastaix* nie wystarczą na utrzymanie dwóch osób.

— Do szkoły! — rozkazał mu następnego ranka Arnau, gdy Joan pomagał Marionie w kuchni.

Poprzedniego dnia zdecydował, że wszystko pozostanie tak jak dawniej, za życia ojca.

Mariona, pochylona nad kuchnią, zerknęła na męża. Joan chciał coś powiedzieć, ale Pere go uprzedził:

— Słuchaj starszego brata.

Staruszka uśmiechnęła się, ale starzec nie rozchmurzył surowego oblicza. Jak zdołają utrzymać się we czwórce? Na widok rozpromienionej żony Pere pokręcił głową, jakby próbował odegnać gromadzące się nad ich głowami czarne chmury, o których tyle rozmawiali poprzedniej nocy.

Gdy tylko Joan wybiegł z domu, Arnau spróbował się przeciągnąć. Nie mógł napiąć żadnego mięśnia, był cały zdrętwiały, na dodatek od szyi po stopy czuł bolesne skurcze. Jednak młode ciało z wolna dochodziło do siebie i po skromnym śniadaniu Arnau wyszedł na słońce i uśmiechnął się do plaży, do morza oraz do sześciu galer, nadal stojących u wybrzeży Barcelony.

Ramon i Josep przyjrzeni się jego plecami. — Jedna rundka — powiedział cechmistrz — A potem do kaplicy.

Obciągnął koszulę i zerknął na Raniona. — Sam słyszałeś — powiedział jego przyjaciel.

— Ale...

— Żadnego ale Josep wie, co robi.

Wiedział. Po kilku krokach rana się otworzyła i po plecach chłopaka znowu popłynęła krew.

— Wczoraj też krwawiłem — tłumaczył Arnau Ramonowi po powrocie na plażę. — Nic mi się nie stanie, jeśli obróć jeszcze kilka razy.

— Nagniotek, Arnau, musi powstać nagniotek. Niewiele wskórasz, zdzierając sobie skórę do kości. A teraz marsz do domu. Przemyj ranę, posmaruj ją maścią i idź do kaplicy Przenajświętszego... — Arnau zaczął protestować. — To nasza kaplica, teraz również twoja, mamy obowiązek o nią dbać.

— Chłopcze — dodał *bastaix* towarzyszący Ramonowi — ta kaplica bardzo wiele dla nas znaczy. Jesteśmy prostymi tragarzami, mimo to powierzono nam coś, czego nie ma żaden arystokratyczny ród, żadne zamożne bractwo cechowe: kaplicę Przenajświętszego Sakramentu oraz klucze

do kościoła naszej Madonny, Madonny od Morza. Rozumiesz? — Arnau skinął głową w zamyśleniu. — Tylko nam przysługuje przywilej opieki nad kaplicą. To dla nas największy honor. Jeszcze się nanosisz ciężarów, niech cię o to głowa nie boli.

Mariona opatrzyła mu rany i Arnau udał się do kościoła Santa Maria. Ojciec Albert, do którego zgłosił się po klucze do kaplicy, zaprowadził go na cmentarz naprzeciwko bramy Moreres.

Dziś rano pochowałem twego ojca — powiedział, wskazując groby. Arnau spojrzął na niego zdziwiony. — Nic ci nie łowiłem na wypadek, gdyby przypałał się jakiś żołnierz. Naczelnik miasta rozkazał usunąć zwęglone zwłoki z placu, nie chciał ich też wywieszać na murach miasta, bojąc się, że ktoś weźmie z ciebie przykład. Dlatego nietrudno było mi zdobyć zezwolenie na pochówek

Szli przez chwilę w milczeniu.

— Chcesz pobyć chwilę sam? — zapytał kapłan.

— Muszę posprzątać kaplicę — odparł Arnau, ocierając łzy. Jeszcze przez kilka dni chłopak robił tylko jedną rundkę po czym biegł do kaplicy. Galery odpłynęły i *bastaixos* nosili towary bardziej odpowiadające kupieckim tradycjom miasta: sukno, korał, przyprawy, miedź, wosk... Aż w końcu rana na jego plecach przestała krwawić. Po oględzinach Josepa Arnau mógł już nosić do woli wielkie bele sukna uśmiechając się do wszystkich mijanych po drodze *bastaixos*.

W tym czasie otrzymał pierwszą pensję. niewiele więcej niż zarabiał u Graua. Oddał wszystko gospodarzowi, dodając kilka monet z sakiewki Bernata. To za mało, pomyślał, odliczając pieniądze. Bernat płacił znacznie więcej. Zajrzał do sakiewki. Nie na długo tego wystarczy, stwierdził, szacując uszczuplone oszczędności ojca. Z ręką w sakiewce spojrzął na starca. Pere zagryzł wargi.

— Gdy podrosnę, uniosę znacznie więcej i będę lepiej zarabiał — przekonywał Arnau.

— Ale to nie stanie się od razu, synku. Do tego czasu po oszczędnościach twego ojca nie będzie śladu. Przecież wiesz, że dom nie należy do mnie... Nie, nie należy — wyjaśnił, widząc zdumienie na twarzy chłopca. — Większość domów w Barcelonie stanowi własność Kościoła, biskupa lub któregoś z zakonów, a mieszkańcy użytkują je tylko na zasadzie effiteuzy, płacąc roczny czynsz, czyli canon. Jak sam wiesz, niewiele mogą już zarobić, dlatego tylko wynajem waszej izby pozwala nam płacić czynsz. Jeśli nie masz wystarczającej sumy... Chyba rozumiesz?

— Co więc obywatelom Barcelony po wolności, skoro są przywiązani do domów niczym chłop pańszczyźniany do ziemi? — zapytał Arnau, kręcąc głową.

— Nie jesteśmy przywiązani — odparł Pere.

— Ale przecież domy przechodzą z ojca na syna, słyszałem. Można je nawet sprzedać! Jak to możliwe, jeżeli mieszkańcy nie są ich właścicielami ani nie są do nich przypisani? — To proste. Kościół posiada wielki majątek złożony z ziem i nieruchomości, ale prawo kościelne zabrania ich sprzedaży — Arnau chciał coś wtrącić, ale Pere dał mu znak, by mu nie przerywał. — Problem w tym, że biskupów, opatów i innych dostojników kościelnych król mianuje po znajomości. Papież przymyka na to oko, a wszyscy królewscy zausznicy ostrzą sobie zęby na dochody z dóbr, które przypadną im w udziale wraz z tytułem. A ponieważ nie mogą ich sprzedać, wymyślili emfiteuzę, która pozwala ominąć zakaz sprzedaży.

— Jakbyśmy byli najemcami — zauważył Arnau.

— Niezupełnie. Najemcą w każdej chwili można wyrzucić na bruk, dzierżawcy wyrzucić nie można, póki... płaci czynsz.

— A mógłbyś sprzedać ten dom?

— Mógłbym. Byłaby to tak zwana *emfiteusis*. Biskup otrzymałby wtedy *laudemium*, czyli część zysków ze sprzedaży, a nowy dzierżawca miałby dokładnie takie same prawa i obowiązki jak ja. Istnieje tylko jeden zakaz. — Arnau spojrzął na starca z zaciekawieniem. — Nie wolno sprzedać własności osobie wyższego stanu. Nie mógłbym więc odstąpić tego domu żadnemu baronowi... choć wątpię, by jakiś baron polakomił się na naszą chałupę. Jak my ślisz? — zaśmiał się Pere. Jednak Arnau nie był w nastroju do żartów, więc Pere również spoważniał. Obaj milczeli dłuższą chwilę. — Wszystko rozbija się więc o to — ciągnął starzec — że musimy płacić canon, a z tego, co ty przynosisz do domu, a ja dorobię na łataniu sieci...

I co teraz z nami będzie? — pomyślał Arnau. Jego nędzne zarobki nie wystarczały na nic, nawet na strawę dla dwóch osób, nie chciał jednak stać się ciężarem dla gospodarzy, którzy byli dla nich tacy dobrzy.

— Nie martw się — bąknął — wyniesiemy się, żebyś mógł...

— Mariona i ja doszliśmy do wniosku — przerwał mu Pele że może macie ochotę spać tutaj, w kuchni. — Arnau wytrzeszczył na niego oczy. — W ten... w ten sposób wynajmiemy wasz pokój i opłacimy czynsz. Będziecie tylko musieli sprawić sobie nowe sienniki. Co wy na to? Twarz chłopca pojaśniała. Wargi mu zdrzały. — Czy mam rozumieć, że się zgadzasz? — pomógł mu Pere, Arnau zacisnął wargi i zaczął energicznie kiwać głową.

— Idziemy pracować dla Madonny! — zakrzyknął jeden z cechmistrzów.

Arnau poczuł gęsią skórę na nogach i ramionach.

Tego dnia nie było pracy przy statkach, ponieważ u brzegów Barcelony kręciły się tylko małe łódki rybackie. Tragarze jak zwykle spotkali się na plaży o wschodzie słońca, które zapowiadało pogodny wiosenny dzień.

Odkąd Arnau wstąpił na początku sezonu żeglugi do gremium, tragarze portowi nie mieli ani jednego wolnego dnia na pracę przy budowie tak drogiej ich sercu świątyni.

— Idziemy pracować dla Madonny! — powtarzano raz za razem.

Arnau przyjrzał się swym towarzyszom: ich zaspiane twarze nagle ożywił uśmiech. Niektórzy poruszali energicznie ramionami, rozgrzewając się i przygotowując ciało do nowego wyzwania. Arnau przypomniał sobie czasy, gdy ich poił, a oni przechodzili obok niego zgięci w pół, z zacisniętymi zębami i wielkimi głazami na plecach. Czy podola zadaniu? Lęk obezwładnił go niczym skurcz, więc postanowił wziąć przykład z kompanów i zaczął rozciągać mięśnie, kręcąc młynki ramionami.

— To twój pierwszy raz — powinszował mu Ramon. Aniau nie odpowiedział, tylko opuścił ręce wzdłuż tułowia. Ramon zmrzył oczy. — Nie martw się, chłopie — dodał, obejmując go ramieniem i popychając w ślad za towarzyszami, którzy ruszyli już w drogę. — Pamiętaj, że część ciężaru niesie za nas Madonna.

Arnau podniósł wzrok na Ramona.

— To prawda — zapewnił go *bastaix* z uśmiechem. — Zaraz sam się przekonasz.

Wyruszyli ze wschodniego krańca miasta, spod klasztoru Świętej Klary, przemierzali całą Barcelonę, wyszli za mury, skierowali się ku królewskim kamieniołomom La Roca na górze Montjuic. Arnau szedł w milczeniu, od czasu do czasu czując na sobie wzrok towarzyszy. Minęli dzielnicę Ribera, giełdę i bramę Forment. Przechodząc obok studni Pod Aniołem, Arnau zerknął na kobiety z dzbanami. Gdy przychodził tu z Joaniem napełnić bukłak, przepuszczały go bez kolejki, przechod-

nie pozdrawiali ich, dzieciarnia obskakiwała i biegła za nimi, szepcząc coś i zerkając z podziwem na Arnaua. Pozostawiwszy za sobą bramy stoczni, dotarli do klasztoru Framenors, na zachodnim krańcu Barcelony, gdzie kończyły się mury miejskie. Za nimi rozciągał się budowany właśnie królewski arsenał morski — Atarazanas Reales — a potem już tylko pola i sady: Sant Nicolau, Sant Bertran i Sant Pau del Camp, skąd pięła się droga do kamieniołomów.

Ale przedtem *bastaixos* musieli przejść przez Cagalell. Jeszcze zanim tam dotarli, zemdlił ich fetor miejskich ścieków.

— Chyba spuszczają wodę ze stawu — zauważył jeden z nich, zatykając nos.

Większość *bastaixos* przytaknęła.

— W przeciwnym razie by tak nie śmierdziało — dodał inny. Cagalell to zbiornik powstały u ujścia rzeczki Rambla, tuż przy murach Barcelony, do którego spływały miejskie odpady i ścieki. Ze względu na pofałdowanie terenu woda nigdy nie trafiała od razu do morza, ale gniła w zakolach dopóty, dopóki robotnik magistracki nie przekopał odpływu i nie zepchnął ścieków ku plaży. Właśnie wtedy Cagalell cuchnęło najbardziej

Bastaixos okrążyli go w poszukiwaniu brodu i pokonawszy zbiornik, ruszyli dalej polami ku podnóżom góry Mont.

— A którędy się wraca? — spytał Arnau, wskazując wodę, i pokręcił głową.

— Jeszcze nie spotkałem takiego, który przeskoczyłby strumienie ze skałą na grzbiecie — odpowiedział.

Idąc pod górę, Arnau spojrział na miasto. Zostało daleko w tyle, bardzo daleko. Jak zdoła przebyć tę drogę z kamieniem na plecach? Poczul, że kolana zaczynają mu drżeć, więc przyspieszył, by dogonić towarzyszy, którzy gawędzili i śmiali się w najlepsze.

Za kolejnym zakrętem ich oczom ukazał się królewski kamieniołom La Roca. Arnau aż jęknął z wrażenia. To był prawdziwy plac targowy, prawie jak Błat, tyle że bez kobiet! Na wielkiej esplanadzie urzędnicy królewscy przyjmowali interesantów przybyłych po materiał budowlany. Wozy i zaprzęgi mułów stały pod jedną ścianą, w którą nie zaczęły się jeszcze wgrzać młoty i kilofy. Na wszystkich pozostałych, ostro ściętych bokach placu pobły skiwała naga skała. Mrowie kamieniarzy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, odrywało wielkie bloki skalne, które były następnie dzielone i ociosy wane na placu.

Bastaixos zostali serdecznie przyjęci przez zgromadzonych i podczas gdy cechmistrzowie poszli się zameldować u urzędników, tragarze wmieszali się w tłum. Uściskom, żartom i śmiechom nie było końca, dzbany z wodą i winem wędrowały ponad głowami z rąk do rąk.

Arnau nie mógł oderwać wzroku od kamieniarzy i robotników, którzy ładowali bloki na wozy i na muły pod czujnym okiem wszystko skwapliwie odnotowujących urzędników. Interesanci rozprawiali z ożywieniem lub niecierpliwie czekali na swoją kolej. W kamieniołomie panowała atmosfera jak na targu.

— Tego się nie spodziewałeś, co?

Arnau odwrócił się akurat w chwili, gdy Ramon oddawał komuś dzban. Zaprzeczył ruchem głowy.

— Na co idzie ty le kamienia?

— Ho, ho! — odparł Ramon i zaczął wymieniać: na katedrę, na kościół Santa Maria del Pi i kościół Świętej Anny, na klasztor Pedralbes, na arsenał morski, na klasztor klarysek, na mury miejskie... Cała Barcelona jest w budowie lub w przebudowie, że nie wspomnę o nowych rezyden-

cjach patrycjuszy i arystokracji. Nikt już nie chce drewna ani suszonej na słońcu cegły. Teraz buduje się wszystko z kamienia, tylko z kamienia.

— I król oddaje tyle kamienia za darmo? Ramon parsknął śmiechem.

— Za darmo oddaje kamień na kościół Santa Maria de la Mar... No, może jeszcze na klasztor Pedralbes, ufundowany przez królową. W pozostałych przy padkach każe sobie słono płacić.

— A co z nową stocznia, czyli z królewskim arsenałem? — zapytał Arnau. — Skoro jest królewski...

Ramon znowu się uśmiechnął.

— Może i jest królewski — wszedł chłopcu w słowo — ale na pewno nie powstaje z pieniędzy króla.

— A z czyich? Miasta?

— Też nie.

— Kupców?

— Pudło.

— Więc czyich? — dopytywał się Arnau, spoglądając na Przyjaciela.

— Wyobraź sobie, że Atarazanas Reales powstają z pieniędzy...

— Grzeszników! — dokończył mulnik pracujący przy budowie katedry, któremu Ramon dopiero co oddał dzban.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem na widok osłupiałej miny Arnaua.

— Grzeszników?

Ano tak — ciągnął Ramon. — Nowy arsenał morski powstaje z denarów grzesznych kupców. Sprawa jest prosta, raz ci wszystko wytłumaczę. No więc po wyprawach krzyżowych... Wiesz, o czym mowa? — Chłopak skinął głową. Jak tu nie wiedzieć, czym były wyprawy krzyżowe? — Znakomicie. No więc po ostatecznej utracie Jerozolimy przez chrześcijan Kościół zakazał wymiany handlowej z sultanem Egiptu. Tyle że właśnie z Egiptu nasi kupcy sprowadzają najlepsze i najbardziej poszukiwane towary, więc ani myślą zrywać kontakty handlowe z sultanem. Udają się przeto zawsze do konsulatu morskiego i grzecznie płacą grzywnę za grzech który zamierzają popełnić. Dzięki temu otrzymują z wyprzedzeniem rozgrzeszenie i mają święty spokój. Właśnie z denarów grzesznych kupców król Alfons rozkazał wybudować nowy arsenał morski.

Arnau chciał coś powiedzieć, ale Ramon go powstrzymał. Starszy zna zwoływała właśnie tragarzy i Ramon poprowadził Arnaua za sobą.

— Mamy pierwszeństwo? — zapytał Arnau, wskazując stojących w kolejce mulników, którzy zostali w tyle.

— Oczywiście — odparł Ramon, nie zatrzymując się. — Nas nie obowiązują kontrole, bo dostajemy towar za darmo, a i rachunek jest prosty: jeden *bastaix* jeden kamień.

— Jeden *bastaix*, jeden kamień — powtórzył pod nosem Arnau, gdy mijal go pierwszy tragarz z kamieniem. Dotarli do miejsca, gdzie rzemieślnicy obrabiali potężne bloki. Spojrzał na skupioną, napiętą twarz kamieniarza i uśmiechnął się, ale Ramon nie odpowiedział mu uśmiechem. Koniec żartów, nikt już się nie śmiał, nikt nikogo nie zagadywał, wszyscy, z rzemieniem nakarcznika nasuniętym na czoło, spoglądali na górę kamieni. Capcana! Arnau również ułożył poduszkę na karku. Zaczęli przechodzić obok niego kolejni *bastaixos*, jeden po drugim, gęsiego, w milczeniu, nie oglądając się na towarzyszy. W miarę jak go mijali, kurczyła się grupka otaczająca górę kamieni. Arnau spojrzal na skalne bloki. Nagle zaschło mu w gardle, poczuł ucisk w żołądku. Kolejny *bastaix*

nadstawił kark, na którym dwaj robotnicy zaraz ułożyli kamień. Arnau widział, jak ugina się pod ciężarem, jak drżą mu kolana. Tragarz odczekał kilka sekund, po czym wyprostował się, przeszedł obok Arnaua i skierował się do kościoła Santa Maria. O Boże, ten *bastaix* był trzy razy potężniejszy niż on, a jednak ugięły się pod nim kolana! Jakże on, Arnau, zdoła...

— Kolej na ciebie — skinęli na niego cechmistrzowie, którzy zawsze ostatni opuszczali kamieniołom.

Zostało jeszcze kilku *bastaixos*. Ramon popchnął Arnaua do przodu.

— Odwagi — rzucił.

Trzej członkowie starszyny rozprawiali z kamieniarzem, który tylko kręcił głową. Przeszukiwali górę kamieni, wskazywali to tu, to tam, po czym wszyscy czterej kręcili głowami. Arnau zbliżył się do nich. Spróbował przelknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Drżał na całym ciele. Nie powinien drżeć! Poruszył dłońmi, a potem ramionami, do tyłu, do przodu. Nikt nie może zobaczyć, że się trzęsie!

Cechmistrz Josep wskazał jeden ze skalnych bloków. Kamieniarz wzruszył ramionami, zerknął na Arnaua i kiwając z rezygnacją głową, dał znak wyrobnikom, by unieśli kamień. Ile razy ma powtarzać, że wszystkie są tak samo ciężkie?

Arnau podszedł do robotników unoszących kamień. Pochylił się i napiął wszystkie mięśnie. Wokół zapanowała cisza. Robotnicy delikatnie opuścili kamień i pomogli Arnauowi przytrzymać go rękami. Chłopiec zgarbił się pod ciężarem, nogi się pod nim ugięły. Zaciśnął zęby i przytknął oczy. „Do góry!” — zdało mu się, że słyszy. Nikt się nie odezwał, ale wszyscy pomyśleli to samo, widząc uginające się nogi chłopca. Do góry! Do góry! Arnau się wyprostował. Wielu odetchnęło z ulgą. Zdoła ruszyć z miejsca? Odczekał z zamkniętymi oczami. Zdołam ruszyć?

Wysunął jedną stopę. Ciężar kamienia zmusił go do postawienia drugiej... wysunięcia pierwszej... i dostawienia drugiej. Gdyby stanął... Gdyby stanął, ciężar powaliliby go na ziemię.

Ramon pociągnął nosem i zakrył oczy. — Odwagi, chłopcze! — dodawali Arnauowi otuchy czelamy w kolejce mulnicy. Dalej, zuchu!

— Dasz radę!

— To przecież dla Madonny!

Pokrzykiwania odbijały się echem od ścian kamieniołomu towarzysząc Arnauowi w samotnej drodze powrotnej do miasta.

A jednak nie szedł zupełnie sam. Niebawem zaczęli go doganiać *bastaixos*, których zostawił w kamieniołomie. Każdy zwalniał, przez chwilę dopasowywał krok do kroku Arnaua i podnosił go na duchu, a potem ustępował miejsca idącemu za nim towarzyszowi.

Ale Arnau nie słyszał, co do niego mówiono. Nawet nie myślał. Skoncentrował całą uwagę na swojej stopie, która miała lada moment wysunąć się do przodu, a widząc, jak przesuwa się pod nim, zaczął od razu wypatrywać drugiej, i tak krok za krokiem, krok za krokiem... Starał się nie zwracać uwagi na ból.

Jednak przy sadach Sant Bertran stopy kazały na siebie czekać w nieskończoność. Szedł na samym końcu, wszyscy *bastaixos* zdążyli go wyprzedzić. Arnau przypomniał sobie, jak poił z Jo-anem tragarzy, którzy opierali ciężar o burtę napotkanej po drodze łodzi. I on zaczął się rozglądać za odpowiednim oparciem i po chwili wypatrzył drzewo oliwne. Oparł kamień o niższy konar. Gdyby położył go na ziemi, nie zdołałby go potem unieść. Nogi przebiegł mu skurcz.

— Kiedy przystajesz — pouczał go Ramon — nie pozwól, by nogi ci się zastały. W przeciw-

nym razie ciężko będzie ci się ruszyć.

Arnau, przeniósłszy część ciężaru na konar, nadal przebierał nogami. Odsapnął raz, drugi, nie- skończoną ilość razy. Część ciężaru poniesie za ciebie Madonna, powiedział mu Ramon. Wielki Boże! W takim razie ile waży ten kamień? Arnau nie śmiał wyprostować pleców. Kręgosłup bolał go, potwornie go bolał. Odpoczywał długą chwilę. Czy zdoła się ruszyć? Rozejrzał się. Był zupeł- nie sam. Opuścili go nawet mulnicy, którzy wchodzili do miasta przez bramę Trentaclaus.

Zdoła ruszyć? Spojrzał w niebo. Jednym szarpnięciem podniósł kamień. Znow zmusił stopy do wysiłku: raz, dwa, raz, dwa. W Cagalell, gdzie zrobił kolejny przy stanek, oparł kamień na skalnym występie. Tam napotkał pierwszy ch *bastaixos* wracających do kamieniołomu. Nie powiedzieli ani słowa. Wy mienili tylko spojrzenia. Arnau znowu zacisnął zęby i podniósł kamień. Niektórzy *bastai- xos* kiwnęli głową, jednak żaden nie przy stanął. „To jego walka”, powiedział jeden z nich, patrząc za oddalającym się wolno Arnauem, który nie mógł go usłyszeć. „Musi ją stoczyć sam” — dodał inny.

Minąwszy zachodnie skrzydło murów i klasztor Framenors, Arnau natknął się na pierwszych przechodniów. Wciąż nie odrywał wzroku od swoich stóp. Był już w mieście! Wszyscy — żeglar- ze, rybacy, kobiety i dzieci, robotnicy i stoczniowi cieśle — w ciszy obserwowali zlanego potem chłopca o twarzy nabiegłej krwią, uginającego się pod ciężarem skalnego bloku. Wszyscy zerkali na jego stopy — które on sam śledził w zapamiętaniu, obojętny na wszystko, co dzieje się wokół — i w milczeniu nakłaniali je do wysiłku: raz, dwa, raz, dwa...

Niektórzy zaczęli iść za nim w ciszy, dopasowując kroki do tempa młodego tragarza. W ten sposób, po ponaddwugodzinnej mordędze, Arnau dotarł do kościoła Santa Maria, prowadząc za sobą niewielki, milczący tłumek. Praca na placu ustała. Murarze wychyliłi się z rusztowań, narzę- dzia znieruchomiały w dłoniach cieśli i kamieniarzy. Ojciec Albert, Pere i Mariona czekali już na Arnaua. Angel, syn przewoźnika, mianowany niedawno czeladnikiem, zbliżył się do niego.

No, jeszcze trochę! — krzyknął. — Jesteś na miejscu! Już po wszystkim! Jeszcze tylko kilka kroków!

Angelowi zawtórowali z rusztowań robotnicy. Ludzie, którzy Przyszli za Arnauem, zaczęli wi- watawać. Na placu zawrzało.

Nawet ojciec Albert dał się ponieść emocjom. Jednak Arnau nie odrywał wzroku od swych stóp — raz, dwa, raz, dwa — póki nie dotarł do miejsca, gdzie składowano kamienie. Terminato- ry i czeladnicy obścąpili go i zdjęli ciężar z jego barków.

Dopiero wtedy Arnau, ciągle przygarbiony i drżący, podniósł wzrok i się uśmiechnął. Otoczyli go ludzie, by mu pogratulować. Nie znał ich, z morza obcych twarzy wyłowił jedynie oblicze oj- ca Alberta. Gdy kapłan powędrował wzrokiem ku cmentarzowi Moreres, Arnau poszedł za jego przykładem.

— To dla ciebie, ojcie — szepnęła.

Kiedy emocje opadły i tłum się rozszedł, Arnau chciał wracać do kamieniołomu w ślad za to- warzyszami, z których niektórzy zdążyli już obrócić trzykrotnie. Lecz ojciec Albert otrzymał wskazówki od cechmistrza Josepa i przy wołał chłopca do siebie.

— Mam dla ciebie zadanie — powiedział. Arnau zamarł i spojrzał na księdza zdziwiony. — Trzeba zająć się kaplicą Przenajświętszego Sakramentu, przy ciąć knoty w świecach, posprzątać.

— Ale... — zaprotestował Arnau, wskazując kamienie.

— Żadnych ale.



19

To był ciężki dzień. Dopiero co minęło letnie przesilenie, więc noc zapadała późno, a *bastaixos* pracowali od wschodu do zachodu słońca, ładując i rozładowując okręty zawijające do portu, poganiani przez kupców i kapitanów, którzy chcieli jak najszybciej opuścić Barcelonę.

Gdy Arnau, powlócząc nogami, wszedł do domu z nakarcznikiem w rękę, spojrzęło na niego osiem par oczu. Pere i Marioną siedzieli przy stole obok nieznamym parą. Z podłogi zerkali na niego, oparci plecami o ścianę, Joan oraz chłopiec i dwie dziewczynki. Wszyscy jedli kolację.

— Arnau — odezwał się Pere — poznaj naszych nowych lokatorów: Gastó Segura, garbarz. — Przedstawiony skinął głową w stronę nowo przybyłego, nie przerywając jedzenia. — jego żona Eulalia. — Kobieta, w przeciwieństwie do męża, uśmiechnęła się. — I dzieci: Simó, Aledis i Alesta.

Arnau, ledwo żywy ze zmęczenia, skinął ręką w kierunku Juana i jego towarzyszy, po czym sięgnął po miskę podaną mu Przez Marionę. Coś jednak kazało mu znowu spojrzeć na troje dopiero co poznanych dzieci. Co...? Oczy dziewczynki! Świdrowały go dwie pary oczu... wielkich, kasztanowych, bystrych.

Dziewczynki uśmiechnęły się do niego jednocześnie.

— Jedz, chłopcze!

Uśmiech zniknął z dziewczęcych warg. Alesta i Aledis zatopiły wzrok w misce, a Arnau odwrócił się do garbarza. Mężczyzna przerwał jedzenie i wskazywał głową Marionę która stała przy palenisku, wyciągając ku niemu miskę.

Mariona ustąpiła mu miejsca przy stole i Arnau zabrał się do jedzenia. Siedzący naprzeciwko Gastó Segura siorbał i przeżuwał wieszczę z otwartymi ustami. Ilekroć Arnau podnosił wzrok nad miski, napotykał jego oczy.

Po chwili Simó wstał i podał Marionie puste naczynia: swoje i sióstr.

— A teraz marsz do łózek — rozkazał Gastó, przerywając ciszę.

Po tych słowach garbarz zmrużył oczy i spojrzęł na Arnaua tak, że chłopak poczuł się nieswojo

i znów zatopił wzrok w misce. Tylko po odgłosach domyślił się, że dziewczęta wstały. Usłyszał ich nieśmiało pożegnanie. Gdy kroki ucichły, Arnau podniósł oczy. Zainteresowanie garbarza jego osobą wyraźnie znalazło.

— Jakie one są? — zapytał tej nocy Joana, gdy po raz pierwszy spali w kuchni, po obu stronach paleniska, na siennikach ułożonych na podłodze.

— Kto? — Joan odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Córkę garbarza.

— Jakie? Zwyczajne — mruknął Joan, wzruszając ramionami, choć Arnau nie dostrzegł w mroku jego gestu. — Zupełnie zwyczajne. Tak mi się przy najmniej wydaje — poprawił się. — Pewności nie mam żadnej, bo nie mogłem zamienić z nimi słowa. Ich brat nie pozwolił mi nawet podać im ręki. Ucisnął moją, po czym odciągnął mnie od sióstr.

Arnau już go nie słuchał. Zwyczajne? Dziewczęta o takich oczach nie mogą być zwyczajne. Uśmiechnęły się do niego. Obie.

Błądym świtem Pere i Mariona zeszli do kuchni. Arnau i Joan zdążyli już złożyć posłania. Chwilę potem zjawił się garbarz i jego syn. Kobiety jeszcze nie zeszły, ponieważ kazał im pozostać w izbie aż do wyjścia obu wyrostków. Arnau poszedł do pracy, nie przestając ani na chwilę myśleć o wielkich kasztanowych oczach.

— Dzisiaj zajmiesz się kaplicą — powiedział mu na plaży jeden z cechmistrzów, który poprzedniego dnia zauważył, że Arnau ślaniał się na nogach przy zrzucaniu ostatniego ładunku.

Arnau nie protestował. Nie miał nic przeciwko pracy w kaplicy. Dowiedział wszystkim, że zasługuje na miano tragarza portowego i został oficjalnie przyjęty do bractwa. I choć nie mógł jeszcze udźwignąć tyle co Ramon lub większość towarzyszy, całym sercem oddawał się zajęciu, które naprawdę lubił. Zresztą i tak nie mógłby się skupić na pracy. A wszystko przez te kasztanowe oczy... Poza tym nie czuł się najlepiej, pierwsza noc przy kuchennym palenisku nie wyszła mu na zdrowie.

Wszedł do kościoła przez główną bramę starej świątyni, która nie została jeszcze wyburzona. Gastó Segura nie pozwolił mu na nie nawet spojrzeć. Dlaczego nie może patrzeć na dwie zupełnie zwyczajne dziewczynki? A dziś rano to pewnie on zabronił im... Arnau zahaczył nogą o rozpięty na ziemi sznurek i o mało się nie przewrócił. Zatoczył się i potknął jeszcze o kilka sznurków. Ktoś go w końcu przytrzymał, ale i tak chłopak zdążył wykręcić sobie nogę w kostce. Zawył z bólu.

— Ej! — krzyknął mężczyzna, który uratował go przed upadkiem. — Uważaj, jak chodzisz. Zobacz, coś narobił!

Arnau natychmiast zapomniał o kasztanowych oczach i bólu nogi i spojrzął nad ziemię. Pozrywał sznurki i kółki, którymi Berenguer de Montagut znaczył... Ale... ale czy on śni! Arnau odwrócił się powoli do mężczyzny, który złapał go za ramię. To niemożliwe, mistrz we własnej osobie! Arnau oblał się rumieńcem, stanął bowiem twarzą w twarz z samym Berenguerem de Montagut. Zerknął na robotników, którzy przerwali pracę i spoglądali w ich stronę.

— Ja... — wyjąkał. — Jeśli chcecie, panie... — dodał wskazując na sznurki oplątujące mu stopy — pomogę... ja przepraszam, mistrzu.

Nagle oblicze Berenguera de Montagut złagodniało. Wciąż trzymał Arnaua za ramię.

— Ty jesteś tym tragarzem? — zapytał z uśmiechem. Arnau przytaknął. — Nieraz widziałem cię przy pracy.

Berenguer uśmiechnął się jeszcze szerzej, a robotnicy odetchnęli z ulgą. Arnau znowu zerknął

na sznurki splątane między jego stopami.

— Naprawdę przepraszam — powtórzył.

— Co się stało, to się nie odstanie. — Mistrz skinął na czeladników. — Zajmijcie się tym — rozkazał. — Chodź no tu, usiądź. Bardzo cię boli? — zwrócił się znowu do Arnaua.

— Nie chcę przeszkadzać — wybąkał chłopak. Próbował ukucnąć, by wyswobodzić się ze sznurków, ale ból wykrzywił mu twarz.

— Zaczekaj.

Berenguer de Montagut kazał mu wstać, a potem przykłęknął i własnoręcznie zaczął wypłatywać młodego tragarza ze sznurków. Arnau, nie mając odwagi na niego spojrzeć, zerknął na czeladników, którzy przyglądali się w osłupieniu całej scenie. Nie wierzyli własnym oczom: mistrz kłęczy przed prostym tragarzem!

— Musimy dbać o *bastairos* — krzyknął Berenguer de Montagut, oswobodziwszy Arnaua. — Gdyby nie oni, nie mielibyśmy z czego budować kościoła. Chodź no tu. Usiądź. Boli? — Arnau zaprzeczył ruchem głowy, choć wyraźnie utykał. Próbował jednak nie opierać się na mistrzu. Berenguer de Montagut przytrzymał go mocno za ramię i poprowadził ku leżącym na ziemi i gotowym do ustawienia kolumnom. Zdradzę ci tajemnicę — powiedział, gdy usiedli na kolumnach. Arnau spojrział na niego. Sam mistrz chce mu zdradzić tajemnicę! Co jeszcze przydarzy mu się tego ranka? — Niedawno próbowałem usieść jeden z przyniesionych przez ciebie kamieni i nie przyszło mi to łatwo. Zdołałem przejść z nim tylko kilka kroków. Ta świątynia należy do was. — Omiótl wzrokiem powstającą budowlę. Arnaua przeszył dreszcz. — W przyszłości w czasach naszych wnuków, prawnuków lub praprawnuków ktoś, kto spojrzy na tę świątynię, pomyśli nie o Berenguerze de Montagut, ale o tobie, chłopcze.

Wzruszenie ścisnęło Arnaua za gardło. Chyba się przesłyszał. Jak prosty *bastai* może być ważniejszy od sławnego budowniczego kościoła Santa Maria i katedry w Manresie. Przecież Berenguer de Montagut jest najważniejszy!

— Boli? — dopytywał się mistrz.

— Nie... troszkę. To tylko zwichnięcie.

— Mam nadzieję. — Berenguer poklepał Arnaua po plecach. — Potrzebujemy ciebie i twoich kamieni. Przed nami jeszcze sporo pracy.

Arnau podążył za spojrzeniem mistrza, który wciąż przyglądał się powstającej budowli.

— Podoba ci się? — zapytał nagle.

Czy podoba mu się kościół? Chłopak nigdy się nad tym nie zastanawiał. Patrzył, jak rośnie, jak powstającego mury, apsydy, wspaniałe, wysmukłe kolumny, przypory, ale... Czy mu się podoba?

— Podobno będzie to najwspanialszy kościół maryjny na świecie — odważył się powiedzieć.

Berenguer spojrział na niego z uśmiechem. Jakże ma wyjaśnić młodemu tragarzowi swą wizję świątyni, skoro nawet biskupi i moiżni nie potrafią jej zrozumieć? Jak ci na imię? Arnau.

Powiem ci jedno, Arnau. Nie wiem, czy będzie to najwspanialsza świątynia. — Chłopak zapomniał o bolącej stopie wtopił wzrok w mistrza. — Ale mogę cię zapewnić, że będzie na niepowtarzalna. A słowo „niepowtarzalna” nie oznaczacale lepsza czy gorsza, oznacza po prostu, że będzie to budowla niepowtarzalna.

Berenguer de Montagut, nie przestając wodzić nieobecny wzrokiem po powstającej budowli, ciągnął:

— Słyszałeś o Francji, Lombardii, Genui, Pizie lub Florencji? — Arnau przytaknął. Trudno, że-

by nie sły­szął o wro­gach ojczy­zny. — We wszy­stkich tych miej­scach bu­du­je się ko­ścioły, ws­pa­nia­łe, ma­je­sta­ty­czne, bo­ga­to zdo­bio­ne. Tam­tejsi ksią­żka chcą, by by­ły naj­więk­sze i naj­pięk­niejsze ze wszy­stkich świa­tyń na świcie.

— A my? Czy nam nie cho­dzi o to sa­mo?

— I tak i nie. — Arnau pokrę­cił gło­wą. Berenguer zer­k­nął na nie­go i się uśmie­chnął. — Pos­tu­chaj mnie uwa­ż­nie. Wszem­my rów­nie­ż pra­gniemy stwo­rzyć naj­ws­pa­niałszą świa­ty­nię wszech­czasów, ale wed­ług nie­co in­nych kry­te­riów. Chcemy, by dom pa­tronki morza był do­mem wszy­stkich Kato­łań­czy­ków, po­dob­nie jak do­my, w któ­rych miesz­ka­ją jej wy­zna­wcy. Chcemy, by świa­ty­nię oży­wia­ł ten sam duch, który okre­śla na­szą toż­sa­mość, by zło­ży­ły się na nią dwa rdzen­nie ka­to­łańskie ele­men­ty: morze oraz świa­tko. Rozu­miesz?

Arnau za­sta­nowił się chwi­lę, ale w koń­cu za­prze­czył ru­chem gło­wy.

— Przy­naj­mniej je­steś szcze­ry — ro­ze­śmiał się mistrz. — Ksią­żka bu­du­ją ko­ścioły dla wła­st­nej chwa­ły, mu bu­du­jemy tę świa­ty­nię z myślą o nas wszy­stkich. Wid­zia­łem, że nie­raz, za­miast dź­wi­gać ładunek na plecach, przy­wią­zu­jecie go do d­ra­ga i nie­sie­cie we dwo­ch.

— Tak, kie­dy jest zby­tko ciężki lub nie­po­ręczny.

— Co by się sta­ło, gdy­by­ście pod­woi­li d­łu­gość d­ra­ga?

— Zła­mał­by się.

— Dokład­nie to sa­mo dzie­je się z ko­ściołami ksią­żąt... Nie, nie łamią się — za­zna­czył mistrz, zau­wa­żywszy nie­do­wie­rza­nie na twar­zy chłopca. — Cho­dzi o to, że ksią­żka chcą, by by­ły ogromne, wy­so­kie i d­łu­gie, dla­te­go ich kon­struk­cje są bar­dzo wąskie. Wy­so­kie, d­łu­gie i wąskie. Rozu­miesz? — Tym ra­zem Arnau po­ki­wał gło­wą. — Na­sz ko­ściół bę­dzie dokład­nym prze­ciwień­stwem tam­tych bu­dowli. Nie dorów­na im d­łu­go­ścią i wy­so­ko­ścią, ale bę­dzie na tyle szeroki, by po­mie­ścić tu Ma­donny wszy­stkich Kato­łań­czy­ków. Pew­nego dnia sam się o tym prze­ko­nasz, bo w­nę­trze ko­ścioła udo­stęp­nio­ne za­sta­nie wszy­stkim wi­ernym, ni­k­to nie bę­dzie uprzy­wilejo­wany a je­dy­ny ele­ment de­koracy­jny sta­nowić bę­dzie świa­tko, na­sze śró­dziem­no­morskie świa­tko. — Berenguer ws­ka­zał na apsy­dę, po czym opu­ścił po­wo­li d­łoń aż do sa­mej po­sadzki. Arnau śle­dził jej ru­ch. — Ko­ściół ten pow­sta­je dla lu­du, nie na chwa­łę żad­nego księ­cia.

— Mistrzu... — zwró­cił się do maj­stra czelad­nik, gdy kółki i szurki wró­ciły już na swe miej­scę.

— Teraz rozu­miesz? Dla lu­du!

— Tak, mistrzu.

— Pa­mię­taj, że two­je ka­mie­nie są dla na­szej świa­ty­ni na wa­gę z­ła­ta — do­dał Berenguer, ws­ta­jąc. — Boli cię je­sz­cze?

Arnau, który za­p­eł­nie za­p­o­m­niał o zwich­nię­tej ko­stce, pokrę­cił gło­wą.

Tego przed­po­łu­dnia Arnau, zwol­nio­ny z pra­cy przy no­sze­niu to­warów, wró­cił wcze­ś­niej do do­mu. Raz­dwa pos­pra­żał w ka­p­licy, pod­ciał k­no­ty, za­sta­pił wy­pa­lone świece nowymi i po krótkiej modlitwie po­żę­gnął się z Ma­don­ną. Na oczach ojca Al­ber­ta wy­biegł jak burza z ko­ścioła, a chwi­lę po­tem, rów­nie­ż jak burza, w­pa­dł do kuchen­nej iz­by.

— Co się sta­ło? — za­py­tała Ma­ri­ona. — Czemu wraca­sz tak wcze­ś­nie?

Arnau ro­ze­jrzał się po iz­bie. Na­po­tkął wzrok nowych lo­ka­to­rów: matki i dwo­ch có­rek, szy­ją­cych przy sto­le.

— Arnau! Sta­ło się coś? — do­py­ty­wa­ła się Ma­ri­ona. Chłopak poczuł, że ob­le­wa się rumień­

cem.

— Nie... — Nie przygotował żadnej wymówki! Zachował się jak ostatni głupiec. A one, proszę, patrzą na niego. Patrzą jak sterczy zziąjany w drzwiach. — Nie... — powtórzył — po prostu dzisiaj... dzisiaj wcześniej skończyłem.

Mariona uśmiechnęła się i zerknęła na dziewczynki. Eulalia ich matka, również nie mogła ukryć rozbawienia.

— Świetnie się składa — powiedziała Mariona, wyrywając Arnaua z zamyślenia. — Przy niesiesz wodę.

Znowu na mnie spojrzała, pomyślał chłopiec, idąc z wiadrem do studni Pod Aniołem. Chciała mi coś powiedzieć? Arnau zamachnął się wiadrem. Na pewno.

Jednak nie dane mu było potwierdzić swych przypuszczeń. Przeszkodziła mu w tym Eulalia oraz Gastó, którego zepsute zęby, a raczej ich resztki, pojawiały się przed nim przy każdej próbie zagadnięcia dziewczynek. Pod nieobecność rodziców dostępu do nich bronił Simó. Przez wiele dni Arnau musiał się zadowalać ukradkowymi spojrzeniami. Czasami udawało mu się przez kilka sekund wodzić wzrokiem po ich subtelnych twarzach. Wpatrywał się w wyraźnie zarysowany podbródek, wystające policzki, prosty i zgrabny italski nos, ładne, białe zęby, no i te cudne kasztanowe oczy. Innym razem, gdy do kuchennej izby wpadało słońce, mógł prawie dotknąć niebieskawego połysku ich długich, jedwabistych, czarnych jak heban włosów. Bardzo rzadko, gdy był pewny, że nikt nie patrzy, pozwalał sobie powędrować wzrokiem niżej, tam gdzie piersi starszej z sióstr, Aledis, zarysowywały się pod zgrzebną koszulą. Wówczas przebiegał go dziwny dreszcz. A jeśli wciąż nikt nie zwracał na niego uwagi, przesuwał spojrzenie jeszcze niżej, by sycić zmysły krągłościami dziewczęcia.

W latach głodu Gastó Segura stracił cały majątek i jego charakter, już wcześniej dość nieprzyjemny, stał się wyjątkowo szorstki. Simó pracował razem z nim w garbarni jako terminator, natomiast sen z powiek spędzała ojcu przyszłość dwóch córek którym nie mógł zapewnić posagu, a tym samym bogatego zięcia. Jednak uroda dziewczynek dawała pewne nadzieje i Gastó wierzył, że znajdzie im dobrą partię i nareszcie będzie miał dwie gęby mniej do wyżywienia.

By wszystko poszło dobrze, myślał Gastó, dziewczynki muszą pozostać czyste jak łąka, nie może ich splamić choćby najmniejszy cień podejrzania. Tylko w ten sposób, powtarzał bez końca żonie i synowi, Alesta i Aledis mają szansę dobrze wyjść za mąż. Więc cała trójka — ojciec, matka i brat — czuwała nad cnotą dziewczynek i choć Gastó i Eulalia wierzyli, że nie przyjdzie im to z trudem, Simó miał co do tego pewne wątpliwości. Zwłaszcza odkąd zamieszkali pod jednym dachem z Arnauem i Joanem.

Joan był w szkole katedralnej prymusem. Bardzo szybko nauczył się łaciny, a nauczyciele szczerze pokochali tego spokojnego, rozsądnego, skłonnego do refleksji, a przede wszystkim głęboko wierzącego chłopca. Dzięki jego wielkim przymiotom nikt nie wątpił, że malca czeka świetlana przyszłość na łonie Kościoła. Joan zjednał sobie również Gastó i Eulalię, którzy wraz z gospodarzami często słuchali, oczarowani, opowieści malca o świętych pismach. Tylko kapłani potrafili odczytać te księgi, spisane po łacinie. Dzięki Joanowi w ubogiej kuchni na skraju morza rozbrzmiewały święte słowa, starotestamentowe historie i orędzia Pana, które do tej pory domownicy słyszeli tylko z ambony.

Również Arnau, podobnie jak Joan, zjednał sobie sympatię nowych lokatorów. Nawet Simó spoglądał na niego z podziwem, myśląc: prawdziwy *bastaix*. Niemal wszyscy mieszkańcy dziel-

nicy Ribera znali wyrostka, który z takim poświęceniem dźwigał kamienie na budowę kościoła dla Madonny. „Sam Berenguer de Montagut uklęknął, by mu pomóc”, opowiadał Simó kolegom garbarni, pokrzykując i wymachując rękami. Wyobraził sobie sławnego mistrza, poważanego przez możnych i biskupów, łączącego przed Arnauem. Gdy Berenguer przemawiał, wszyscy, nawet jego ojciec, milkli, a gdy krzyczał... gdy krzyczał, drżeli ze strachu. Simó przyglądał się Arnauowi, wracającemu wieczorem z pracy. Zawsze zjawiał się ostatni. Był zmęczony zły potem, trzymał w ręku nalakarcznik, a mimo to... Uśmiechał się! Czy on, Simó, uśmiecha się kiedykolwiek, gdy wraca z pracy? Nieraz spotykał Arnaua dźwigającego kamienie do kościoła Santa Maria: jego nogi, ramiona, tors, całe jego ciało było jak z żelaza. Simó zerkał na kamień, potem na narzniętą z wysiłku twarz chłopca. A jednak Arnau wracał do domu z uśmiechem na ustach!

Arnau i Joan, młodszy od Simó, oneśmielali młodego garbarza, nic więc dziwnego, że Aledis i Alesta cieszyły się pod opieką brata swobodą, o jakiej w obecności rodziców nie mogły marzyć.

— Chodźmy na spacer po plaży! — zaproponowała pewnego dnia Alesta.

Simó już miał zaprotestować. Spacer po plaży! Jeśli ojciec się dowie...

— Zgoda — rzekł Arnau.

— Świeże powietrze dobrze nam zrobi — dodał Joan.

Simó milczał. Cała piątka wybiegła na słońce. Aledis szła z Arnauem, Alesta z Joaniem, Simó włókł się na końcu. Dziewczęta pozwalały, by morska bryza bawiła się ich włosami i zalotnie przyklejała im luźne koszulki do ciała, obrysowując piersi, brzuch, łono...

Spacerowali w milczeniu, zerkając na morze i brnąc w piasku. Po drodze natknęli się na grupkę odpoczywających *bastaixos*. Arnau skinął im ręką na powitanie.

— Chcesz poznać moich towarzyszy? — zapytał Aledis. Dziewczyna spojrzała na tragarzy. Pożerali ją wzrokiem. Na co się tak gapią? Wiatr sprawił, że koszula przylgnęła do jej ciała, podkreślając kształt piersi i sutków... O, Boże! Aledis czuła, że rozbierają ją wzrokiem. Arnau siedział już w ich stronę. Aledis pokręciła głową, oblała się rumieńcem i odwróciła tyłem. Arnau przystanął w połowie drogi.

— Biegnij za nią, Arnau! — krzyknął jeden z *bastaixos*.

— Nie daj jej uciec! — doradził mu inny.

— Jest bardzo ładna! — dodał trzeci.

Arnau przy spieszył kroku i dogonił dziewczynę.

— Co się stało?

Dziewczyna milczała. Spuściła głowę i skrzyżowała ręce na piersiach, ale nie chciała wracać do domu.

Spacerowali, słuchając szumu fal — tylko one dotrzyzymały im towarzystwa.



20

Wieczorem, podczas kolacji, Aledis obdarzyła Arnaua spojrzeniem o sekundę dłuższym, niż nakazuje przyzwoitość, sekundę, podczas której spoczęły na nim jej wielkie kasztanowe oczy.

Sekunda ta pozwoliła Arnauowi znowu usłyszeć szum morza i poczuć pod stopami syplki piasek. Zerknął dookoła, chcąc się przekonać, czy ktoś zauważył śmiałość dziewczyny. Gastó gawędził w najlepsze z Perem. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Nikt inny nie słyszał szumu fal.

Gdy Arnau znowu zebrał się na odwagę i spojrział na Aledis, dziewczyna siedziała ze spuszczoną głową, od niechcienia grzebiąc łyżką w misce.

— Jedźże! — huknął na nią Gastó, widząc, że córka nie podnosi łyżki do ust. — Kto to widział bawić się jedzeniem?

Te słowa wyrwały Arnaua ze snu na jawie. Do końca kolacji Aledis ani razu na niego nie spojrziała, a nawet omijała go wzrokiem.

Przez następne dni, podczas przypadkowych spotkań, pragnął znowu poczuć na sobie spojrzenie jej kasztanowych oczu, lecz dziewczyna unikała go i na jego widok natychmiast spuszczała wzrok. Dopiero kilka dni później zagadnęła go tym samym cichym tonem, którym zwracała się do niego owego wieczoru po powrocie z plaży.

— Do widzenia, Aledis — rzucił jej w roztargnieniu pewnego ranka, wychodząc do pracy.

Byli sami. Arnau miał już zamknąć za sobą drzwi, ale coś kazało mu się obejrzeć. Stała tam, tuż przy palenisku, wyprostowana, piękna, nęcąc go cudnymi kasztanowymi oczami.

Nareszcie! Nareszcie. Zarumienił się i spuścił wzrok. Zmieszany, sięgnął do rygła, ale coś znowu skłoniło go do zerknięcia za siebie. Aledis nie ruszała się z miejsca, uśmiechając się i przyzywając go wielkimi kasztanowymi oczami. Tak uśmiechała się do niego!

Jego dłoń ześlizgnęła się z rygła, zachwiał się i o mało nie upadł. Nie mając odwagi obejrzeć się ponownie, wybiegł z domu i pognął ku plaży. Zapomniał zamknąć za sobą drzwi.

— Wstydzi się mnie — szepnęła Aledis do siostry wieczorem, gdy leżały na sienniku. Rodzice i brat zostali w kuchni.

— Dlaczego miałby się ciebie wstydzić? — zdziwiła się Alesta. — Przecież to *bastaix*. Pracuje na wybrzeżu, nosi kamienie dla Madonny. To prawdziwy mężczyzna — dodała z podziwem w głosie. — A ty jesteś jeszcze dzieckiem.

— Sama jesteś dzieckiem — odburknęła Aledis.

— Proszę, proszę, kobieta się znalazła! — mruknęła Alesta, odwracając się do siostry plecami. To właśnie mówiła im matka, gdy domagały się czegoś, na co były jeszcze za małe.

— Dobra, dobra — prychnęła Aledis.

Kobieta się znalazła. A co, może nie jestem kobietą? — Aledis pomyślała o matce, o jej przyjaciółkach, o ojcu. A jeśli... jeśli Alesta ma rację? Dlaczego Arnau, *bastaix* podziwiany w całej Barcelonie za swe oddanie Madonnie, patronce morza, ma się wstydzić, gdy patrzy na niego dziewczynka taka jak ona?

„Wstydzi się. Słowo daję, że się wstydzi”. — Następnej nocy Aledis wróciła do tematu.

— Ależ ty jesteś nudna! Niby dlaczego Arnau miałby się ciebie wstydzić?

— Nie wiem. Ale się wstydzi. Wstydzi się, gdy na mnie patrzy. Wstydzi się, gdy ja na niego patrzę. Peszy się, rumieni unika mnie...

— Jesteś szalona!

— Może, ale... — Aledis wiedziała, co mówi. Poprzedniego wieczoru siostra zasiała w niej zwątpienie, ale tym razem nie da się przekonać. Była pewna swego. Śledziła Arnaua, wybrała właściwy moment, gdy w pobliżu nie było nikogo, podeszła do niego tak blisko, że aż poczuła zapach jego skóry i szepnęła: „Witaj, Arnau”. To było zwykłe pozdrowienie, powitanie okraszone czułym spojrzeniem — stała tak blisko, że prawie go musnęła... Znowu się zarumienił, spuścił wzrok, uciekł przed nią. Patrząc za nim, dziewczyna uśmiechnęła się, dumna z władzy, z której dotychczas nie zdawała sobie sprawy.

— Jutro ci to udowodnię — obiecała siostrze. Towarzystwo Alesty podkusiło ją, by posunąć się w swych zalotach jeszcze dalej. Tym razem musi się udać. Z samego rana, gdy Arnau wychodził do pracy, Aledis zastąpiła mu drogę, opierając się o drzwi. W nocy, kiedy jej siostra spała w najlepsze, Aledis wszystko zaplanowała i przećwiczyła.

— Dlaczego mnie unikasz? — przemówiła słodko, patrząc mu w oczy.

Zdumiała ją własna odwaga. Przez pół nocy powtarzała w myślach to zdanie, niepewna, czy zdoła wypowiedzieć je bez zająknięcia. Gdyby Arnau odpowiedział, byłaby bezbronna. Na szczęście wszystko poszło po jej myśli. Chłopak świadom obecności Alesty, odwrócił się instynktownie ku jej siostrze, jak zwykle obłany rumieńcem. Nie mógł wyjść, nie miał też odwagi spojrzeć na Alestę.

— Nie, ja... ja...

— Tak ty, ty — przerwała mu Aledis, czując się panią sytuacji. — Unikasz mnie. Przedtem rozmawialiśmy i śmialiśmy się, a teraz ilekroć cię zagadnę...

Wyprostowała się, a jej młode piersi wyprężyły się pod koszulą. Sutki, choć przykryte zgrzebną tkaniną, przypominały groty strzał. Arnau nie zamieniłby takiego widoku na żadne skały z królewskiego kamieniołomu. Pochłaniał wzrokiem to, co Aledis miała mu do ofiarowania. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Dziewczyнки!

Głos schodzącej ze schodów Eulalii przywrócił do rzeczy wistości całą trójkę. Aledis otworzyła drzwi i wybiegła, zanim matka znalazła się w kuchni. Arnau spojrział na Alestę, która stała onie-

miała, z otwartymi ustami, i również wyszedł z domu. Nigdzie nie dostrzegł Aledis.

Tego wieczoru siostry szeptały między sobą, szukając odpowiedzi na pytania zrodzone po nowym doświadczeniu. Choć Aledis nie wiedziała, jak to siostrze wyjaśnić, była pewna, że jej ciało ma nad Arnauem osobliwą władzę. Doznanie to sprawiło jej przyjemność, dawało uczucie spełnienia. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni reagują podobnie, jednak za nic nie odważyłaby się zachować tak przy kimś innym niż Arnau — ani przy Joanie, ani przy którymkolwiek z młodych garbarzy zaprzyjaźnionych z jej bratem. Na samą myśl o tym... To Arnau sprawiał, że coś w nią wstępowało...

Co się dzieje z tym chłopakiem? — zagadnął Ramona cechmistrz bractwa. — Pojęcia nie mam — odpowiedział szczerze zapytany. Spojrzeli ku brzegowi, gdzie Arnau, wymachując rękami, domagał się od przewoźników jak największych ciężarów. W końcu dopiął swego i Josep, Ramon oraz pozostali *bastaixos* Patrzyli, jak rusza do miasta chwiejnym krokiem, zagryzając wargi i wykrzywiając twarz z wysiłku. — Długo tak nie pociągnie — zawyrokował Josep.

Jest młody — próbował go bronić Ramon. — Nie wytrzyma.

Wszyscy to zauważyli. Arnau upominał się o najcięższe ładunki oraz o największe kamienie i niósł je tak jakby od tego zależało jego życie. Wracał prawie biegiem i znowu chciał brać na plecy ciężary większe, niż mógł unieść. Po całym dniu pracy włókł się do domu jak z krzyża zdjęty.

— Coś nie tak, chłopcze? — spytał nazajutrz Ramon, gdy nosili toboły do miejskich magazynów.

Arnau nic nie odrzekł. Ramon nie wiedział, jak rozumieć to milczenie: chłopak nie chce czy raczej nie może rozmawiać? Znowu siedł objuczony do granic możliwości, z twarzą nabrzmiałą z wysiłku.

— Jeśli coś cię gryzie, może mógłbym...

Nie, nie — wybąkał tylko Arnau. Jak ma powiedzieć Ramonowi, że jego ciało płonie z pożądania? Jak ma wyznać, że dźwiganie ciężarów — wielkich, coraz większych — jest dla niego ukojeniem, bo wtedy jego umysł koncentruje się na dotarciu do celu i pozwala na chwilę zapomnieć o oczach, o uśmiechu, o piersiach, o ciele Aledis? Jak ma wyznać, że gdy Aledis go zagaduje, nie potrafi zapanować nad wyobraźnią i widzi, jak leży obok niego naga, obsypując go pieśczętami? Wtedy przypominał sobie słowa kapłana, piętnującego nieczyste związki. „Grzech! Grzech!” — grzmiał na parafian. Jak ma wyznać Ramonowi, że chce wracać do domu wyczerpany, by zwalić się na posłanie i zasnąć, mimo bliskości Aledis? — Nie, nie — powtórzył. — W każdym razie dziękuję.

— Nie wytrzyma — skwitował Josep pod koniec dnia. Tym razem Ramon nie odważył się zaprzeczyć.

— Czy nie posuwasz się aby za daleko? — spytała Alesta siostrę pewnego wieczoru.

— A to dlaczego? — zdziwiła się Aledis.

— Jeśli ojciec się dowie...

— Niby o czym?

— Że kochasz Arnaua.

— Wcale go nie kocham. Po prostu... po prostu... Jest mi z tym dobrze, Alesto. Lubię to uczucie. Gdy Arnau na mnie patrzy.

— Kochasz go — upierała się siostra.

— Nie. Spróbuję ci to wytłumaczyć... Kiedy Arnau na mnie patrzy, gdy rumieni się na mój widok, czuję, jakby ktoś muskał mnie piórkiem po całym ciele.

— Ty go kochasz.

— Wcale nie. Zresztą, co ty możesz wiedzieć o tych sprawach? Lepiej śpij. No, śpij już.

— Kochasz go, kochasz go, kochasz go...

Aledis wolała zbyć siostrę milczeniem. Czy rzeczywiście kocha Arnaua? Było jej przyjemnie, gdy pożerał ją wzrokiem, gdy czuła, że jej pragnie. Schlebiała jej świadomość, że nie może odebrać oczu od jej ciała, że smutnieje, kiedy przestaje zwracać na niego uwagę. Czy to właśnie miłość? Próbowwała odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale po chwili znów zaczęła rozkoszować się wspomnieniem tych cudownych uczuć i zapadała w sen.

Pewnego ranka Ramon dojrzał z plaży wychodzącego z domu Joana i ruszył w jego stronę.

— Co się dzieje z twoim bratem? — zapytał, nie tracąc czasu na powitania.

Joan zastanawiał się przez chwilę.

Coś mi się zdaje, że zakochał się w córce garbarza. Ramon parsknął śmiechem.

— A więc to miłość odjęła mu rozum! Jeśli się nie uspokoi, zaharuje się na śmierć. Nie można pracować tak ciężko. Nie dorósł jeszcze do dźwignia takich ciężarów. Niejeden *bastaix* skłębcił w ten sposób kark. Twój brat jest za młody, by zostać kaleką. Zrób coś, Joan.

Jeszcze tego samego wieczoru Joan próbował porozmawiać z Arnauem.

— Co cię gryzie? — spytał.

Z siennika po drugiej stronie paleniska odpowiedziała mu cisza.

— Możesz mi wszystko wyznać. Jestem twoim bratem i chcę... pragnę ci pomóc. Ty zawsze mnie wspierałeś, teraz kolej na mnie. Podziel się ze mną swoimi zmartwieniami.

Joan pozwolił bratu przemysleć te słowa.

— To... chodzi o Aledis — wyznał w końcu Arnau. — Nie wiem, co się ze mną dzieje. Od tamtego spaceru po plaży... coś się między nami zmieniło. Aledis przygląda mi się, jakby chciała... sam nie wiem. Poza tym...

— Poza tym co? — zapytał Joan, bo jego brat urwał w pół zdania.

Powiem mu tylko o spojrzeniach, o niczym więcej, zdecydował Arnau, wciąż mając przed oczami piersi Aledis.

— Nic.

— W takim razie w czym problem?

— Ano w tym, że mam nieczyste myśli, widzę ją nagą. To znaczy, chciałbym ją widzieć nagą. Chciałbym...

Joan poprosił nauczycieli, by wyjaśnili mu dogłębnie interesujące go zagadnienie, a ci, nie przypuszczając, że chodzi o brata ich beniaminka, i bojąc się, by chłopiec nie uległ pokusom doczesnego świata, nie zszedł z drogi cnoty, zaczęli się rozwodzić nad charakterem i przewrotną naturą kobiet.

— To nie twoja wina — zawyrokował Joan.

— Nie?

— Bynajmniej. Przewrotność — zaczął szeptem wyjaśniać bratu leżącemu po drugiej stronie paleniska — to jedna z czterech naturalnych chorób człowieka, które za sprawą grzechu pierwotnego towarzyszą nam od chwili narodzin, a kobieca przewrotność jest najgorsza ze wszystkich. — Joan powtarzał wywód nauczycieli.

— A jak nazywają się pozostałe trzy choroby?

— Skąpstwo, ciemnota i obojętność, czyli niezdolność do czynienia dobra.

— Ale co ma wspólnego przewrotność z Aledis? — Kobiety to istoty z natury przewrotne, lubią się w sprowadzaniu mężczyzn na złą drogę. — wyrecytował Joan. — Dlaczego?

— Ano dlatego, że, primo, są niczym powiew wiatru, są w ciągłym ruchu, zupełnie jak powietrze. — Joan przypomni sobie duchownego, który nader obrazowo zilustrował mu to porównanie, rozkładając ramiona i machając nimi wokół głowy, podczas gdy jego rozczapierzone palce wibrowały. — Secundo, ponieważ kobietom z natury brakuje zdrowego rozsądku i tym samym ich wrodzona przewrotność jest niepohamowana.

Joan przeczytał to wszystko — a nawet znacznie więcej — z uczonych ksiąg, choć nie potrafił przedstawić tych teorii własnymi słowami. Mędrzy twierdzili, że kobiety są — również z natury — ozięble i gnuśne, a jak wiadomo, zimne przedmioty, gdy się już zajmą, płoną gwałtownie. Według znawców tematu kobieta jest antytezą mężczyzny, a co za tym idzie, istotą niedorzeczną i niespójną. Dowodem jest chociażby fakt, że kobiece ciało — wąskie na górze, rozszerzające się ku dołowi — stanowi całkowite przeciwieństwo zwężającego się od torsu w dół ciała prawidłowo zbudowanego mężczyzny, którego charakteryzuje krótka, gruba szyja, szerokie bary i duża głowa. Pierwszą literą wymawianą przez nowo narodzoną kobietę jest głoska „e”, wyrażająca złość, natomiast mężczyzna zaraz po narodzeniu wymawia „a”, czyli samogłoskę otwierającą alfabet i przeciwstawianą samogłosce „e”.

— To niemożliwe. Aledis taka nie jest — zaprotestował w końcu Arnau.

— Nie oszukaj się. Z wyjątkiem Najświętszej Panienki, która poczęła bez grzechu Pana naszego, Jezusa, wszystkie kobiety są takie same. Wspomina o tym nawet statut twojego bractwa! Nie bez powodu zabrania on związków cudzołożnych, że bez powodu również nakazuje usunąć z bractwa mężczyznę, który ma nałożnicę lub wiarołomną żonę.

Wobec takiego argumentu Arnau czuł się zmuszony skapitulować. Nie znalazł się na wywodach uczonych i filozofów, mógł, by więc puścić mimo uszu wyjaśnienia Joana, jednak za nic w świecie nie zlekceważyłby regulaminu bractwa. Zapoznali go z nim cechmistrzowie, ostrzegając, że każde nieposłuszeństwo grozi wydaleniem. Co jak co, ale bractwo mylić się nie może!

Arnau poczuł się zupełnie zagubiony.

— W takim razie, co należy czytać? Bo skoro każda kobieta jest z natury zła...

— Przede wszystkim należy wziąć ślub — przerwał mu Joan — a następnie postępować zgodnie z nauką Kościoła.

Ślub, ślub... Nie przyszło mu to do głowy... Ale jeśli to jedyne wyjście...

— A co się robi po ślubie? — zapytał i głos mu zdrzął na myśl o spędzeniu z Aledis reszty życia.

Joan nadal naśladował retorykę wykładowców szkoły katedralnej:

— Dobry mąż powinien okiełznać naturalną przewrotność żony, przestrzegając nauk zawartych w świętych pismach. Po pierwsze musi podporządkować sobie kobietę, która winna się poddać jego woli: *Sub potestate viri eris*, jak uczy Księga Rodzaju. Po drugie, napisano w Księdze Koheleta: *Mulier si primatum haber...* — Joan się zająknął. — *Mulier si primatum habuerit, contraria est viro suo*, co znaczy, że kobieta rządząca w domu jest obelgą dla męża. Kolejną wskazówkę odnajdujemy w Księdze Przysłów: *Qui delicate nutrii servum suum, inveniet contumacem*, czyli: kto okazuje płażenie sługom, do których zalicza się również żona, sieje bunt tam, gdzie

rozkwitać powinna pokora, uległość i posłuszeństwo. Jeśli nawet te nauki nie pomogą mężowi zdusić wrodzonej kobiecie przewrotności, winien karać żonę groźbami, aby sprowadzić ją na drogę cnoty póki jest jeszcze młoda, i nie czekać, aż się zestarzeje.

Arnau słuchał słów brata w milczeniu.

— Jak myślisz — powiedział, gdy Joan zakończył wykład — mógłbym poślubić Aledis?

— Jasne! Powinieneś jednak zaczekać, aż będziesz więcej zarabiał i zdołasz ją utrzymać. Tak czy inaczej radzę ci rozmówić się z garbarzem, nim znajdzie jej innego kandydata na męża, bo wtedy będzie za późno.

Postać Gastó Segury, zwłaszcza jego nieliczne, spróchniałe zęby, od razu pozbawiły Arnaua animusza, jawiąc mu się jako przeszkoda nie do pokonania. Joan odgadł obawy brata.

— Musisz się przemóc — namawiał go.

— Pomożesz mi?

— No pewnie!

Nad dwoma okalającymi palenisko siennikami zapadła cisza, przzerwana po chwili przez Arnaua:

— Joan...

— Co?

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Bracia na próżno starali się zasnąć. Arnau był zbyt rozgorączkowany myślą o ożenku z upragnioną Aledis, Joan zaś pogrążył się we wspomnieniach o matce. Czyżby kotlarz Pone miał rację? Przewrotność to druga natura kobiety? Żona winna podporządkować się woli męża. Obowiązkiem mężczyzny jest karać kobietę. Czyżby kotlarz miał rację? Czy udzielając podobnych rad, nie zdradza wspomnienia swej matki? Joan Przypomnił sobie rękę wysuwającą się z okienka, by pogłaskać go po głowie. Przypomnił sobie, jak bardzo nienawidził — i nienawidzi — Ponca... Czyżby kotlarz miał rację?

Dni mijaly, a Joan i Arnau nie mieli odwagi zagadnąć gderliwego Gastó. Mogli się z nim rozmówić jedynie w domu, a to miejsce to pogłębiało jeszcze wisielczy nastrój garbarza, przypominając mu o jego biedzie i utraconym dachu nad głową. Jego powarkiwania i zręczliwe, a nawet grubiańskie uwagi skutecznie zniechęcały chłopców, tymczasem Arnau świata nie widział poza Aledis: chodził jak w transie i żył tylko dla niej. Obserwował ją, ścigał wzrokiem i wyobraźnią, jego myśli błądziły dniem i nocą wokół jej osoby. Oczywiście dopóki nie pojawił się na horyzoncie garbarz, bo wtedy chłopak miał ochotę schować się w mysiej dziurze.

Wbrew ostrzeżeniom duchownych i starszych bractwa nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyny, gdy ta, znalazłszy się sam na sam ze swą ofiarą, wszelkimi i możliwymi sposobami próbowała podkreślić swe kobiecie atrybuty i sprawić, by luźna wyblakła koszula opięła jej ciało. Wtedy Arnau zapominał o bożym świecie: piersi, sutki... całe ciało Aledis oszalałamiło go. Ożenię się z tobą, będziesz moja, myślał, podniecony. Kiedy rozbierał ją oczami, jego umysł przemierzał zakazane, nieznanne mu rejony, bo z wyjątkiem ciała zakatowanej Habiby Arnau nigdy nie widział nagiej kobiety.

Czasami Aledis, czując na sobie jego wzrok, miast przykucnąć, schylała się i wypinała pośladki i krągłe biodra. Przy pierwszej lepszej okazji unosiła kamizelę nad kolana, pokazując mu uda, innym razem, pod pozorem nagłego bólu, łapała się za krzyż i wyginała jak najbardziej do tyłu,

by pochwalić się płaskim, twardym brzuchem. Zaraz potem uśmiechała się lub udawała zmięszanie, jakby dopiero co dostrzegła Arnaua. Gdy wychodziła, chłopiec starał się rozpaczliwie zapomnieć o tym, co zobaczył.

Zawsze po takich spotkaniach Arnau starał się porozmawiać z Gastó.

— Co, u diaska, tak stoicie! — zgañił ich pewnego razu, gdy przyszli prosić go naiwnie o rękę córki.

Uśmiech, którym Joan zamierzał zmiękczyć serce garbarza, zniknął z jego ust, bo Gastó odepchnął ich bez pardonu.

— Zagadnij go — szepnął innym razem Arnau do brata. Garbarz siedział akurat przy kuchennym stole. Joan usiadł naprzeciwko, odchrząknął, a gdy już miał przemówić, garbarz podniósł wzrok znad kawałka skóry, której się właśnie oglądał.

— Gastó... — wybąkał Joan.

— Nogi z dupy powyrywam! Leb ukręczę! — ryknął garbarz, plując na wszystkie strony przez szpary w spróchniałych zębach. — Simoooó! — Joan posłał zrezygowane spojrzenie Arnauowi, zaszytemu w kącie izby. Po chwili nadbiegł Simó. — Co to za partactwo?! — wrzasnął Gastó, podsuwając synowi skórę pod nos.

Joan wstał od stołu, nie chcąc się mieszać do rodzinnej awantury.

Mimo to chłopcy nie poddawali się.

— Gastó — raz jeszcze próbował szczęścia Joan. Tego dnia garbarzowi, o dziwo, dopisywał humor, więc wybrał się po kolacji na przechadzkę po plaży. Joan i Arnau ruszyli za nim.

— Czego chcesz? — warknął Gastó, nie przy stając. Przynajmniej pozwala nam mówić, pomysleli chłopcy.

— Chciałbym... pomówić z tobą o Aledis...

Na wzmiankę o córce Gastó stanął jak wryty, a następnie podszedł do Joana tak blisko, że jego smrodliwy oddech podziałał na chłopca jak błysk pioruna.

— Co zrobiła? — Garbarz szanował Joana, miał go za statecznego młodzieńca. Wrodzony brak zaufania podpowiadał mu, że Joan chce się poskarżyć na Aledis, a przecież Gastó nie mógł dopuścić do skazy na honorze córki.

— Nic nie zrobiła — uspokoił go Joan.

Jak to nic? — pytał rozgorączkowany Gastó, nie odsuwając się od chłopca ani na milimetr. — W takim razie dlaczego chcesz o niej mówić? Mów no szybko, co zrobiła? Nic nie zrobiła, naprawdę. Nic? A ty? — teraz zaatakował Arnaua. — Może ty mi powiesz, o co chodzi? Mów, co wiesz o Aledis? — Ja — nic... — zmieszanie Arnaua podsycało tylko chorobliwą podejrzliwość Gastó. — Gadaj, o co chodzi! — O nic... nie...

— Eulalia! — Gastó stracił cierpliwość i zawrócił do domu wykrzykując jak furiat imię żony.

Tej nocy chłopcy, dręczeni wyrzutami sumienia, słuchali krzyków Bogu ducha winnej Eulalii, którą Gastó biciem chciał zmusić do wyznań.

Próbowali jeszcze dwa razy, ale garbarz nie dopuścił ich do słowa. Po kilku tygodniach nieudanych podchodów zrezygowani chłopcy opowiedzieli o wszystkim ojcu Albertowi. Ksiądz uśmiechnął się i obiecał porozmawiać z Gastó.

— Przykro mi, Arnau — rzekł tydzień później, spotkawszy się z chłopcami na plaży. — Gastó Segura nie zgadza się na twoje małżeństwo z Aledis.

— Dlaczego? — zapytał Joan. — Przecież Arnau jest prawym człowiekiem.

— Mam wydać córkę za niewolnika portowego? — odpowiedział księdzu garbarz. — Za niewolnika, który śpi w kuchni, bo nie stać go na wynajęcie izby?

Ojciec Albert próbował przemówić mu do rozsądku:

— W porcie nie pracują już niewolnicy, tak było kiedyś. Wiesz dobrze, że prawo zabrania, by niewolnicy...

— Tak czy inaczej to zawód niewolnika.

— To było kiedyś — nie ustępował ojciec Albert. — Poza tym — dodał — wystarałem się o przyzwoity posąg dla twojej córki. — Gastó Segura, który uznał rozmowę za zakończoną, spiorunował kapłana wzrokiem. — Wystarczy na kupno domu.

Gastó znowu wszedł mu w słowo:

— Moja córka nie potrzebuje jałmużny. Niech ksiądz uszczęśliwia innych miłosiernymi uczynkami.

Arnau popatrzył na morze. Księżycowa poświata „migota” na wodzie od widnokregu aż po plażę i ginęła w pianie i rozbijających się o brzeg.

Kapłan odczekał, aż otuli ich szum morza. A jeśli Arnau będzie się dopytywał o powody odmowy? Co mu powie?

— Dlaczego? — wyszeptał Arnau, nie odrywając wzroku od linii horyzontu.

— Gastó Segura to... to dziwak — Kapłan wołał nie pogłębiać rozpaczki młodzieńca. — Ubzdurał sobie, że wyda córkę za arystokratę. On, zwykły czeladnik garbarski... W głowie mu się chyba przewróciło...

Że wyda córkę za arystokratę. Czy Arnau mu uwierzył? Przegrana z arystokratą nie byłaby dla niego ujmą. Nawet szum fal, cierpliwy, niezmienny, zdawał się czekać na odpowiedź chłopaka.

Po plaży poniósł się szloch.

Kapłan otoczył Arnaua ramieniem. Poczul spazmy wstrząsające jego ciałem. Drugim ramieniem przygarnął Joana. Przez jakiś czas stali wpatrzni w morze.

— Znajdziesz sobie jeszcze dobrą żonę — odezwał się w końcu ojciec Albert.

Na pewno nie taką jak Aledis, pomyślał Arnau.

CZEŚĆ TRZECIA



SŁUDZYNAMIĘTNOŚCI



21

*Kościół Santa Maria de la Mar,
Barcelona,
druga niedziela lipca 1339 roku*

Odkąd Gastó Segura odrzucił oświadczyzny Arnaua, upłynęły cztery lata. Kilka miesięcy potem wydał Aledis za owdowiałego mistrza garbarstwa, starego lubieżnika, który bynajmniej nie szukał posagu. Aż do dnia ślubu Eulalia ani na chwilę nie odstępowała córki.

Arnau dojrzał i zmienił się w silnego, wysokiego i przystojnego osiemnastolatka. Przez cztery ostatnie lata żył tylko wyłącznie dla *bastaixos*, kościoła Santa Maria de la Mar Joana. Był zawsze pierwszy do pracy i noszenia kamieni dla Madonny, regularnie zasilął skarbonkę bractwa i uczestniczył w uroczystościach religijnych, nie miał jednak żony, co wyraźnie niepokoiło cechmistrzów. Gdyby — jak wielu rówieśników — uległ cielesnym pokusom, musiano by go usunąć z bractwa. Jednak Arnau nie chciał nawet słyszeć o płci pięknej. Gdy ksiądz powiedział mu, że Gastó odrzucił jego propozycję, przypomniał sobie, że wzrokiem utkwionym w morze, kobiety, które przewinięły się przez jego życie. Nie dane mu było poznać własnej matki, Guiamona przyjęła go serdecznie, by następnie się go wyrzec, Habiba odeszła w bólu i krwi — nieraz śnił mu się bicz Graua tnący jej nagie ciało — Estranya traktowała go jak niewolnika, Margarida szydziła z niego w chwili największego ponizenia, a Aledis... Cóż powiedzieć o Aledis? Pomogła mu odkryć w sobie mężczyźnę, a potem go porzuciła.

— Muszę opiekować się Joanem — tłumaczył cechmistrzom, gdy napomykali mu o ożenku. — Przecież wiecie, że poświęcił się służbie Bogu i Kościołowi — dodawał, podczas gdy oni rozmyślali nad jego słowami. — Trudno o lepszy cel w życiu.

Cechmistrze milki.

Tak właśnie przeżył Arnau owe cztery lata: w spokoju, oddany pracy, świątyni Santa Maria, a przede wszystkim Joanowi.

Druga niedziela lipca 1339 roku była dla miasta dniem szczególnym. W styczniu 1336 roku zmarł w Barcelonie król Alfons Dobrotliwy, a po świętach Wielkiej Nocy koronowany został w Saragossie jego syn Piotr, nazywany w Katalonii Piotrem III, w Aragonii Piotrem IV, a w Walencji Piotrem II.

Przez prawie cztery lata, od roku 1336 do 1339, nowy monarcha nie odwiedził stolicy Katalonii i tamtejszą arystokrację oraz kupców niepokoił fakt, że król odkłada w nieskończoność hołd, który winien był najważniejszemu miastu swego królestwa. Niechęć nowego władcy do katalońskich możnowładców nie była dla nikogo tajemnicą. Matka Piotra III — pierwsza żona króla Alfonsa, Teresa Entenza, hrabina Urgelu i wicehrabina Ageru — obumarała go jeszcze przed koronacją jego ojca. Po jej śmierci król poślubił Eleonorę Kastylijską niewiastę ambitną i okrutną, która urodziła mu dwóch synów.

Alfons Dobrotliwy, zdobywca Sardynii, miał słaby charakter i łatwo ulegał wpływowi. Nic więc dziwnego, że królowa wnet wystarała się dla swych synów o ważne nadania w postaci ziemi i tytułów. Eleonora nienawdziła swych pasierbów, potomkom Teresy Entenzy, i dawała im to odczuć. Przez osiem lat panowania męża, za wiedzą i przyzwoleniem monarchy oraz katalońskiego dworu, dręczyła małoletniego królewicza Piotra oraz jego brata Jakuba, hrabiego Urgelu. Tylko dwaj katalońscy możni: Ot de Montcada, ojciec chrzestny Piotra, oraz Vidal de Vilanova, komandor zakonu Montalban, opowiedzieli się po stronie potomków Teresy Entenzy i wysłali ich do Aragonii, ratując przed otruciem. Królewicze Piotr i Jakub z początku ukrywali się w górskich okolicach miasta Jaca, po czym, zjednawszy sobie aragońskich możnych, schronili się w Saraepssie u arcybiskupa Pedra de Luna.

Koronacja Piotra stanowiła wyłom w tradycji przestrzeganej od zjednoczenia królestwa Aragonii i księstwa Katalonii. Podczas uroczystości koronacyjnych w Saragossie królów mianowano jedynie władcami Aragonii; władzę nad Katalonią — przysługującą im wraz z tytułem hrabiego Barcelony — otrzymywali oni podczas osobnej uroczystości, organizowanej zawsze na terenie księstwa, podczas której składali przysięgę na wierność katalońskim statutom i przywilejom. Poprzednicy Piotra III dopiero po złożeniu przysięgi w Barcelonie udawali się na koronację do Saragossy.

Hrabia Barcelony — i książę Katalonii w jednej osobie — był wobec arystokracji katalońskiej jedynie primus inter pares, o czym przypominała treść hołdu składanego królowi: My, którzy jesteśmy wam równi, ślubujemy Waszej Wielmożności, w niczym nas nieprzewyższającej, iż przyjmujemy go na króla i suwerena naszego, tylko jeśli Wasza Wielmożność uszanuje nasze prawa i przywileje. W przeciwnym wypadku odmawiamy. Dlatego podczas przygotowań do koronacji arystokracja katalońska udała się do Saragossy z żądaniem, by monarcha, za przykładem swych poprzedników, złożył uprzednio przysięgę w Barcelonie. Król odprawił posłańców z kwitkiem, a ci na znak protestu nie stawili się na uroczystości koronacyjnej. Tak czy inaczej Piotr Ceremonialny musiał jednak odebrać od Katalończyków ślubowanie wierności, dlatego w czerwcu 1336 roku na złość możnym i władzom Barcelony — udał się do Léridy i tam, zaprzyśiągłszy statuty i przywileje katalońskie, hołd od arystokracji.

W drugą niedzielę lipca 1339 roku król Piotr po raz pierwszy gościł w znieważonym przez siebie mieście. Sprowadzały go tu trzy kwestie. Pierwszą był hołd lenny, który złożyć mu miał jako wasal Korony Aragonii jego szwagier, Jakub III, król Majorki, hrabia Roussillonu i Cerdagne oraz pan Montpellier. Drugim powodem królewskiej wizyty był synod biskupów prowincji Tarragona,

kórej podlegało duchowieństwo Barcelony, a trzecim — przeniesienie relikwii świętej Eulalii z kościoła Santa Maria de la Mar do katedry.

W dwóch pierwszych uroczystościach nie uczestniczyli mieszkańcy Barcelony. Zgodnie z życzeniem Jakuba III złożył on hold lenny w zaciszu pałacowej kaplicy, w obecności niewielkiej grupki możnych.

Trzecia z kolei ceremonia przemieniła się w nie lada widowisko. Cała Barcelona wyległa na ulice, by przyglądać się lub — w przypadku nielicznych uprzywilejowanych — towarzyszyć orszakowi królewskiemu, który po mszy w katedrze udał się w procesji po relikwie świętej męczennicy.

Całą trasę pochodu, od katedry aż do kościoła Santa Maria de la Mar, wypełniał zbity tłum wiwatujący na cześć władcy. Apsyda kościoła została już zamknięta od góry, trwały prace przy żebach drugiego sklepienia i uchwalała się jeszcze niewielka część budowli romańskiej.

Święta Eulalia poniosła męczeńską śmierć w roku 303 w czasach panowania Rzymian. Pochowano ją na rzymskim cmentarzu, a następnie, po edyktie cesarza Konstantyna zapewniającym chrześcijanom swobodę wyznania, przeniesiono jej relikwie do kościoła Santa Maria de las Arenas, wzniesionego na miejscu dawnej nekropolii. Za panowania Maurów opiekunowie kościółka ukryli relikwie świętej. W roku 801, po wyzwoleniu miasta przez króla Franków, Ludwika Pobożnego, ówczesny biskup Barcelony, Frodoi, odszukał szczątki świętej, przełożył je do relikwiarza i ponownie umieścił w kościele Santa Maria, gdzie spoczywały aż do tej pory.

Mimo ruszowań oraz piętujących się wokół kamieni i materiałów budowlanych świątynia prezentowała się znakomicie. Jej archidiakon, Bernat Rosell, wraz z członkami rady budowlanej, wielmożami, beneficjentami i pozostałymi duchownymi oczekiwali w odświętnych szatach przybycia królewskiego orszaku. Barwność ich strojów była oszałamiająca. Lipcowe słońce wlewało się strumieniami do świątyni przez otwory okienne i niedokończone sklepienia, wydobywając blaski ze złota i innych drogocennych kruszców ozdabiających ubiór dostojników, którzy czekali na monarchę wewnątrz świątyni.

Słoneczne promienie odbijały się również od tępo zakończonego sztyletu Arnaua. Do osób uprzywilejowanych, witających króla w kościele, należeli także skromni *bastaixos*. Część z nich — wśród nich Arnau — stała przed kaplicą Przenajświętszego Sakramentu, kaplicą *bastaixos*, reszta, zgodnie z tradycją, trzymała straż przy głównym, starym wejściu.

Dawnym niewolnikom portowym, *bastaixos*, przysługiwały w kościele Santa Maria de la Mar niezliczone przywileje, o czym Arnau przekonał się w ciągu ostatnich czterech lat. Prócz opieki nad najważniejszą kaplicą i pełnienia straży przy głównej bramie świątyni, *bastaixos* nieśli w procesji w święto Bożego Ciała Madonnę oraz — nieco niżej od niej — figury świętej Tekli, świętej Katarzyny oraz świętego Macia. Ponadto klucz do Grobu Pańskiego powierzano najważniejszemu cechmistrzowi, msze w intencji *bastaixos* odprawiane były przy głównym ołtarzu, a kapłan z wiatykiem dla umierającego członka bractwa wychodził zawsze, bez względu na porę dnia i nocy, pod baldachimem i przez główną bramę świątyni.

Tego ranka żołnierze pilnujący ulic, którymi kroczyć miał orszak królewski, rozstąpili się przed *bastaixos*. Arnau poczuł a sobie zazdrosne spojrzenia mieszkańców Barcelony, którzy obiegal kościół, wypatrując króla. On, skromny tragarz portowy wszedł do świątyni Santa Maria ramie w ramie z arystokracją i najzamożniejszymi kupcami, niczym jeden z nich. Na wewnątrz, po drodze do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu natknął się na Graua Puiga i jego rodzinę. Stali

dumni, odziani w jedwabne szaty lśniące złotem.

Arnau zawahał się. Spojrzeli na niego, a on, przechodząc obok nich, spuścił wzrok

— Arnau! — usłyszał w chwili, gdy mijał Margaridę. Nie dość im, że zrujnowali życie jego ojcu? Chcą go znowu poniżyć i to właśnie teraz, przed towarzyszami z bractwa, w jego kościele? — Arnau! — powtórzył ten sam głos.

Podniósł wzrok i zobaczył Berenguera de Montagut. Od Puigów dzielił go zaledwie krok

— Ekszelencjo — mistrz zwrócił się do archidiakona świątyni — pozwólcie, że przedstawię wam Arnaua. Arnaua... — „Estanyola” wymamrotał Arnau. — To *bastaix*, o którym tyle ekszelencji opowiadałem. Od dziecka dźwiga kamienie dla Madonny.

Prątał skinał głowę i podał chłopcu dłoń. Arnau schylił się, by pocałować pierścień. Berenguer de Montagut poklepał go po plecach. Arnau widział, jak Grau i jego rodzina kłaniają się duchownemu i mistrzowi, a ci mijają ich obojętnie, kierując się ku pozostałym dostojnikom. Wyprostował się. Pewnym krokiem, ze wzrokiem utkwionym w ambicie świątyni, oddalił się od Puigów i skierował do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, gdzie zajął miejsce obok towarzyszy.

Wrzawa na zewnątrz obwieściła przybycie monarchy i jego świty. Ulicą Mar nadchodzili w procesji: Piotr III i królowa Maria; królowa Elisenda, wdowa po królu Jakubie, dziadku obecnego monarchy; wujowie Piotra III: Piotr i Rajmund de Berenguer; brat króla, Jakub, oraz ich siostra, towarzysząca mężowi, królowi Majorki. Ponadto w procesji szli: legat papieski kardynał Rodes, arcybiskup Tarragony oraz biskupi, prałaci, możnowładcy i rycerze. Nigdy jeszcze Barcelona nie widziała tylu osobistości naraz, takiego pychy i bogactwa.

Piotr III Ceremonialny chciał oczarować poddanych, którym kazał na siebie czekać ponad trzy lata, i w pełni mu się to udało. Obaj królowie, kardynał oraz arcybiskup kroczyli pod baldachimem niesionym przez biskupów i wielmożów. Przed niedokończonym ołtarzem archidiakon na oczach zgromadzonych i przejętego Arnaua wręczył przybyłym szkatułę z relikwiami męczennicy. Król osobiście zaniósł relikwiarz do katedry, gdzie szczątki świętej spoczęły w specjalnie w tym celu wybudowanej krypcie pod głównym ołtarzem.



Gdy relikwie świętej Eulalii spoczęły w katedrze, król wyprawił w swym pałacu ucztę. Oprócz Piotra III, jego małżonki i królowej matki, przy królewskim stole zasiedli pozostali członkowie rodziny królewskiej, kardynał, król i królowa Majorcki oraz liczni dygnitarze kościelni — w sumie dwadzieścia pięć osób. Przy innych stołach biesiadowali możni oraz — po raz pierwszy w dziejach uczt królewskich — liczne grono rycerzy. Jednak świętowano nie tylko w pałacu królewskim, przez osiem dni bawiła się cała Barcelona.

Codziennie rano po mszy zakończonej uroczystą procesją, która przemierzała miasto przy dźwiękach dzwonów, Arnau i Joan ginęli w tłumie wypełniającym ulice Barcelony. Obserwowali turnieje organizowane w dzielnicy Born, gdzie możni i rycerze prezentowali swe umiejętności pieszo — w walce na potężne miecze — lub konno, cwałując z wycelowaną w przeciwnika kopią. Oczarowani chłopcy nie mogli się też napatrzeć na pokazy bitew morskich. „Na łądzie wydają się znacznie większe”, zauważył Arnau, wskazując ciągnięte na wozach galeasy i galery, na których demonstrowano abordaże i morskie potyczki. Joan ganił wzrokiem brata, grającego na pieniądze w karty i w kości, natomiast ochoczo przyłączał się do gry w kręgle i do innych zabaw zręcznościowych, w których okazał się prawdziwym asem.

Jednak najchętniej przy słuchiwał się licznym trubadurów, którzy zjechali do Barcelony na gościnne występy i opiewali bohaterskie czyny Katalończyków. „To kroniki króla Jakuba pierwszego”, poinformował kiedyś Arnau, wysłuchawszy pieśni o podboju Walencji. „A to kroniki Bernata Desclota”, oznajmił innym razem, gdy trubadur opowiadał o wojennych dokonaniach Piotra Wielkiego podczas podboju Sycylii i wyprawy krzyżowej Francuzów przeciwko Katalonii.

— Musimy dzisiaj zajrzeć na Pla d'en Llull — oznajmił pewnego ranka po procesji.

— Po co?

— Podobno pewien trubadur z Walencji opowiada tam kroniki Ramona Muntanera. — Arnau spojrział na brata pytająco. — Ramon Muntaner to nasz sławny kronikarz, członek Wielkiej Kompanii Katalońskiej, który brał udział w podboju Księstwa Aten i Neopatrii. Siedem lat temu spisał

historię tych wypraw i ręczę, że warto jej posłuchać, tym bardziej że to opowieść z pierwszej ręki.

Pla d'en Llull — niezabudowany plac rozciągający się między kościołem Santa Maria i klasztorem klarysek — pękał w szwach. Ludzie siedzieli na ziemi i gawędzili, co chwila zerkając na miejsce, skąd miał się wyłonić Walencjanin. Jego sława zwabiła na plac nawet arystokratów, którym towarzyszył zastęp niewolników objuczonych stolkami. „Nie, nie ma ich”, uspokoił Joan brata, który zaczął się nerwowo rozglądać. Arnau opowiedział mu o spotkaniu z Puigami w kościele Santa Maria.

Chłopcy zajęli dobre miejsca obok grupki *bastaixos*, którzy od dawna czekali na rozpoczęcie widowiska. Arnau, zanim usiadł, jeszcze raz powiódł wzrokiem po wyróżniających się w tłumie grupkach moźnych.

— Powinieneś im przebaczyć — szepnął Joan. W odpowiedzi Arnau rzucił bratu srogie spojrzenie. — Dobry chrześcijanin...

— W zyciu! — wszedł mu w słowo Arnau. — Nigdy nie zapomną, co ta jęzda zrobiła ojcu.

W tej właśnie chwili pojawił się trubadur. Powitano go burzą oklasków. Marti de Xativa, wysoki, szczupły mężczyzna, poruszający się lekko i z gracją, gestem ręki poprosił o ciszę.

— Opowiem wam o sześciotyśięcnej armii Katalończyków, która podbiła Wschód, pokonując Turków, Bizantyjczyków, Alanów i wszelkie inne wojownicze ludy, które stanęły im na drodze.

Na Pla d'en Llull znów rozległy się okłaski, do których przyłączyli się Arnau i Joan.

— Opowiem wam również, jak cesarz Bizancjum zamordował naszego admirała Rogera de Flor oraz licznych Katalończyków, których zaprosił na ucztę... — Ktoś krzyknął: „Zdrajca!” i ze wszystkich stron posypały się obelgi. — Na koniec dowiedcie się, jak Katalończycy pomścili śmierć wodza, siejąc mord i zniszczenie na całym Wschodzie. Oto historia Wielkiej Kompanii Katalońskiej, która w roku 1305 wypłynęła pod dowództwem admirała Rogera de Flor...

Walencjanin potrafił oczarować słuchaczy: żywo gestykułował i wcielał się w bohaterów, a jego dwaj pomocnicy odgrywali w głębi sceny wydarzenia, o których właśnie opowiadał. Trubadur zapraszał również do udziału publiczność.

— Teraz znów opowiem wam o Rogerze de Flor — oznajmił, dochodząc do okoliczności towarzyszących śmierci wodza — który wraz z trzystoma jeźdźcami i tysiącem piechurów zjawił się w Adrianopolu, zaproszony przez syna cesarza, Michała, na ucztę wydaną na jego cześć. — Trubadur poprosił jednego z najwykwintniej ubranych widzów, by wyszedł na scenę i odegrał rolę Rogera de Flor. „Jeśli wciągniesz do przedstawienia publiczność — powiedział mu kiedyś jego nauczyciel i mistrz — zwłaszcza panów, zostaniesz sówiciej wynagrodzony”. Pomocnicy pokazywali widzom, jak schlebiano Rogerowi de Flor przez sześć dni, które wódz Katalończyków spędził w Adrianopolu. Siódmego dnia jego gospodarz, Miquel, wezwał girgana, wodza Alanów, oraz Melika, dowódcę turkopolu, z ośmiotyśięcznym zastępem jeźdźców.

Walencjanin kręcił się po scenie jak fryga. Widzowie znów zaczęli krzyczeć, niektórzy zerwali się z miejsc i gdyby nie interwencja sąsiadów, ruszyliby na pomoc Rogerowi de Flor, którego trubadur osobiście zamordował. Moźny, grający rolę katalońskiego admirała, osunął się na ziemię. Publiczność zaczęła domagać się zemsty za tak podłą zdradę. Joan zerknął na Arnaua — jego brat wpatrywał się spokojnie w leżącego na scenie moźnego. Ośmiotyśięcna armia Alanów i turkopolu zamordowała tyśię trzy stu Katalończyków, towarzyszących Rogerowi de Flor. Na scenie pomocnicy trubadura udawali, że zabijają się nawzajem.

— Tylko trzech uszło z życiem — ciągnął Walencjanin podniesionym głosem. — Ramon de Arquer, kawaler z Castelló d'Empúries i Ramon de Tous...

Następnie zaczął opowiadać o zemście Katalończyków i zniszczeniu Tracji, Chalkidiki, Macedonii i Tesalii. Barcelończycy wiwatami przyjmowali nazwę każdej wymienionej przez trubadura krainy. „Niech dosięgnie cię katalońska zemsta!”, wykrzykiwano raz po raz. Potem słuchano z zapartym tchem o kolejnych podbojach swych ziomków. W Księstwie Aten również odnieśli zwycięstwo — ciągnął trubadur — zgładziwszy ponad dwadzieścia tysięcy nieprzyjaciół i okrzyknąwszy kapitanem Rogera Deslaura, który poślubił żonę pana La Sola i przejął jego zamek. Walencjanin upatrzył sobie następnego możnego i zaprosił go na scenę, po czym na chybił trafił wybrał tłum kobietę i poprowadził ją do nowego kapitana.

— Tak właśnie — obwieścił, stając obok trzy mającej się za w pary — rycerze podzielili między siebie podług zasług Teby oraz wszystkie inne miasta i zamki, a także wzięli za żony tamtejsze kobiety.

Podczas gdy trubadur śpiewał stosowne fragmenty Kroniki Muntanera, jego pomocnicy wybierali spośród publiczności mężczyzn i kobiety, ustawiając ich w dwóch równoległych rzędach, twarzami do siebie. Wielu wrywało się na scenę — sercem byli teraz w Księstwie Aten i dopiero co pomścili śmierć Rogera de Flor. Pomocnicy trubadura zwrócili uwagę na grupkę *bastaixos*. Arnau był jedynym kawalerem w ich gronie i jego towarzysze wskazali go jako ochotnika. Pomocnicy wybrali go ku radości *bastaixos*, którzy zaczęli bić mu brawo. Arnau wszedł na scenę.

Gdy stanął w szeregu, udając członka Wielkiej Kompanii Katalońskiej, z tłumy widzów podniosła się dziewczyna, która wbiła w niego olbrzymie kasztanowe oczy. Pomocnicy trubadura nie mogli jej nie zauważyć: była piękna, młoda i aż się prosiła, by ją wybrano. Kiedy ruszyli ku niej, jakiś rozżłoszczony starzec złapał ją za rękę i próbował posadzić, rozśmieszając tym publiczność. Dziewczyna wrywała się starcowi. Pomocnicy zerknęli na trubadura, a ten skinął na nich ponaglająco. Nie wahaj się upokorzyć kogoś z widzów, nauczone go, byle tylko zjednać sobie publiczność. A publiczność rechotała teraz ze starucha, który szamotał się z dziewczyną.

— To moja żona — oburzał się, szarpiąc z pomocnikiem trubadura.

— Pokonani nie mają żon — odciął się trubadur. — Wszystkie kobiety Księstwa Aten należą do Katalończyków.

Starzec zawahał się, z czego skrętnie skorzytali pomocnicy pieśniarza, odbierając mu dziewczynę, która na oczach wiwatującej publiczności dołączyła do kobiet na scenie.

Gdy trubadur kontynuował przedstawienie, przekazując Atenki Katalończykom, a publiczność kwitowała radosnymi okrzykami każde nowe zaślubiny, Arnau i Aledis nie odrywali o siebie wzroku.

Ile to już czasu? — pytały Arnau kasztanowe oczy. Cztery lata? Arnau zerknął na *bastaixos*, którzy dopingowali go uśmiechami, wołał jednak nie patrzeć na Joana. „Spójrz na mnie”, choć usta Aledis nie drgnęły, jej prośba wyraźnie zabrzmiała w uszach chłopaka. Utonął w jej oczach. Trubadur wziął Aledis za rękę i pomógł jej pokonać odległość między szeregami. Następnie podniósł rękę Arnaua, składając na niej dłoń dziewczyny.

Znowu podniosła się wrzawa. Pary ustawiły się w szeregu, jedna za drugą, twarzą do publiczności. Arnau i Aledis stali na samym przodzie. Dziewczyna na zdrząła i ścisnęła lekko dłoń Arnaua, obserwującego kątem oka starca, który stał w tłumie i przesywał go wzrokiem.

— I tak właśnie kończy się historia Wielkiej Kompanii Katalońskiej — śpiewał trubadur, wska-

zując pary. — Jej uczestnicy osiedlili się w dalekim Księstwie Aten, gdzie do dzisiaj wiodą żywot na chwałę Katalonii.

Publiczność na Pla d'en Llull poderwała się, bijąc brawo. Aledis uściśnęła dłoń Arnaua, by zwrócić jego uwagę. Popatrzyli na siebie. Weź mnie, błagały kasztanowe oczy. Chwilę potem dłoń Arnaua była już pusta, Aledis zniknęła ze sceny. Staruch włókł ją za włosy ku kościołowi Santa Maria pośród kpin tłumy.

— Kilka monet, panie — poprosił trubadur, zbliżając się do niego. Starzec splunął, nie przystając i nie puszczając żony.

— Ty zdziro! Dlaczego to zrobiłaś?

Choć stary, mistrz garbarski nadal miał silną rękę, Aledis nawet nie poczuła uderzenia.

Nie... nie wiem. Tam było tyle ludzi, no i te krzyki... Nagle poczułam, że jestem w Księstwie Aten. Nie mogłam Pozwolić, by oddano go innej!

— W Księstwie Aten? Ty dziwko!

Gdy garbarz sięgnął po rzemień, Arnau natychmiast wywietrzył jej z głowy. Proszę, Pau. Błagam. Sama nie wiem, co mnie podkusiło. Przysięgam. Przepraszam. Wybacz mi, proszę. — Aledis padła na kolana i spuściła głowę. Skórzany pas zadrżał w dłoni starca.

— Będziesz siedziała w domu. Nigdzie się stąd nie ruszysz dopóki nie cofnę zakazu — ustąpił.

Aledis milczała. Tkwiła bez ruchu, póki nie usłyszała trząśnięcia frontowych drzwi.

Od ich ślubu upłynęły cztery lata. Bezdzienny wdowiec stary majster garbarstwa, był najlepszą partią, jaką Gastó Segura znalazł dla córki bez posagu. „Kiedyś odziedziczysz po nim wszystko”, to było jego jedyne wyjaśnienie. Nie dodał najważniejszego: że wtedy przejmie jego warsztat. Zdaniem Gastó Segury córki nie musiały znać wszystkich szczegółów.

W dniu ślubu starzec zaciągnął pannę młodą do sypialni jeszcze w trakcie uczy weselnej. Aledis pozwoliła, by rozebrał ją drżącymi rękami, by jego zaślinione usta błędziły po jej piersiach. Gdy poczuła dotyk jego szorstkich, pełnych odcisków dłoni, wzdrygnęła się. Pau zawlekl ją do łóżka i położył się na niej w ubraniu, śliniąc się, trzęsąc i sapiąc. Zaczął ją obmacywać i gryźć jej sutki. Wcisnął jej ręką między uda i leżąc na niej, ciągle w ubraniu, zaczął coraz szybciej dyszeć i poruszać się, aż w końcu westchnął głęboko, zamarł i zasnął.

Następnego ranka pozbawiło ją dziewictwa starcze ciało i zwiotczały członek, który wbijał się w nią lubieżnie i nieczule. Zdążyła jedynie pomyśleć, czy już zawsze takim chwilom towarzyszyć będzie obrzydzenie?

Heleń Aledis schodziła do warsztatu, przyglądała się młodym terminatorom. Dlaczego na nią nie patrz? Ona nie mogła oderwać od nich oczu. Wodziła wzrokiem po ich sprężystych ciałach, wpatrywała się z rozkoszą w pot, perlący się na ich czołach, spływający po twarzy, po szyi i skapujący na silny, szeroki tors. Trawiące Aledis pożądanie tańczyło w rytm wybijany przez nieustanny ruch ich ramion garbujących skóry raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... Ale mistrz rozmówił się z nimi bez ogródek „Dziesięć batów dla każdego, kto odważy się choć raz spojrzeć na moją żonę, dwadzieścia, jeśli ktoś zapomni się po raz drugi. Recydywistów czeka głodówka”. Dlatego Aledis mogła tylko marzyć noc w noc o rozkoszy, o której tyle się nasłuchiwała, której domagało się jej młode ciało, a której nie potrafił jej zapewnić zniedołężniały starzec.

W niektóre noce leciwy majster kaleczył ją chropowatymi dłońmi, innym razem zmuszał, by go pieściła, kiedy indziej rzucał się na nią i wchodził w nią pospiesznie, chcąc uprzedzić własną niemoc. Potem natychmiast zasypiał. Właśnie takiej nocy Aledis wstała cichutko, by go nie obu-

dzić, ale staruch nawet nie drgnął.

Zeszła do warsztatu. Jej uwagę zwróciły majaczące w mroku stoły, więc przeszła między nimi, muskając palcami gładkie blaty. Pomyślała o terminatorach i zaczęła głaskać się po piersiach i biodrach. Nie pożądacie mnie? Nie podobam się wam? Nagle dostrzegła białe światło sączące się z kąta izby. Okazało się, że z deski tworzącej przepierzenie między warszatem a sypialnią terminatorów wypadł sęk. Aledis przytknęła oko do otworu i odskoczyła jak oparzona. Przeszły ją ciarki. Znowu popatrzyła. By li nadzy! Przestraszyła się, że usłyszą jej oddech. Jeden z chłopaków pieścił się na sienniku!

— O kim my ślisz? — zapytał ktoś spod ściany, za którą stała Aledis. — O żonce majstra?

Zagadnięty nie odpowiedział. Nadal przesuwał ręką po członku: w górę, w dół, w górę, w dół... Aledis zaczęła się pocić. Bezwiednie wsunęła dłoń między uda i podglądając darzącego o niej terminatora, sama znalazła drogę do rozkoszy, kończyła szybciej od niego. Wstrząsnął nią spazm i osunęła się na ziemię, przywierając plecami do ściany.

Następnego ranka przeszła przez warsztat. Emanowała niej zmysłowość. Nieświadomie przystanąła przy stole terminatora. Młodzieniec na chwilę podniósł na nią wzrok, wystarczyło, by zrozumiała, że w nocy myślał właśnie o niej. — Uśmiechnęła się.

Po południu wezwano ją do warsztatu. Majster stał za jej ulubieńcem, czekał na nią.

— Moja droga — powiedział, gdy podeszła — dobrze wiesz że nie lubię, gdy ktokolwiek odrywa moich uczniów od pracy

Aledis spojrzała na plecy chłopca. Przecinało je dziesięć krwawych pręg. Nie odezwała się. Tamtej nocy nie zeszła do warsztatu. Ani następnej, ani kolejnej. Ale potem wróciła i od tej pory zakradała się tam co noc, by pieścić się rękami Arnaua. Arnau nie ma nikogo. Wyczytała to z jego oczu. Będzie należeć do niej! Musi!



23

Barcelona nadal świętowała.

Gospodarstwo Bartolome, jak wszystkie gospodarstwa *bastaixos*, było skromne, mimo że należało do cechmistrza bractwa. Dom, podobnie jak większość chałup portowych tragarzy, stał wciśnięty w wąskie uliczki łączące Santa Maria, Born lub Pla d'en Llull z morzem. Parter z izbą kuchenną i paleniskiem zbudowany był z wypalanej na słońcu cegły, dobudowane później górne piętro — z drewna.

Arnauowi ciekła ślinka na widok przysmaków przygotowywanych przez żonę Bartolome: białego pszennego chleba, wołowiny z warzywami i boczkiem (doprawionej pieprzem, cynamonem i szafranem!), duszącej się na oczach stołowników w wielkiej patelni ustawionej na palenisku, oraz wina z miodem, serów i racuchów.

Cóż to dzisiaj świętujemy? — zapytał. Naprzeciwko niego przy stole siedział Joan, po lewej stronie Bartolome, a po Prawej ojciec Albert.

Dowiesz się niebawem — odparł ksiądz, spojrzął na Joana, ten jednak milczał.

— Dowiesz się niebawem — powtórzył za kapłanem Bartolome. — Na razie jedz.

Arnau wrzucił ramionami. Najstarsza córka cechmistrza podała mu misę pełną mięsiva i pół bochenka chleba.

— To moja córka Maria — przedstawił dziewczynę Bartolome.

Arnau skinął głową, nie odrywając wzroku od miski.

Kiedy czterej mężczyźni zostali obsłużeni, a kapłan po błogosławił stół, zabrano się w milczeniu do jedzenia. Żona cechmistrza, jego córka i czworo mniejszych dzieci rozsiadli się na podłodze, ale jedli tylko tradycyjną potrawkę.

Arnau skosztował mięsa z warzywami. Co za dziwny smak! Pieprz, cynamon i szafran — przyprawy wielmożów i bogatych kupców. „Wyładowując takie frykasy — opowiadali mu przełożnicy — kpiemy modlitwy, bo gdyby wpadły do wody lub się rozspalyły, nie moglibyśmy zapłacić za straty. No i więzienie murowane”. Arnau ułamał kawałek chleba i podniósł go do ust,

następnie sięgnął po kubek z winem doprawionym miodem... Dlaczego mu się tak przyglądają? Jego trzej współbiadnicy obserwowali go, był tego pewien, choć próbowali to ukryć. Zauważył, że Joan wbił wzrok w miskę. Arnau jak gdyby nigdy nic zabrał się do mięsiwa — jeden kęs, drugi, trzeci... — i rozejrzał się znieczeka. Joan i ojciec Albert dawali sobie jakieś znaki.

— No dobrze, o co chodzi? — odłożył łyżkę. Bartolome ściągnął brwi. „Kości zostały rzucone”, zdawał się mówić towarzyszom.

— Twój brat postanowił złożyć śluby zakonne i wstąpić do klasztoru franciszkanów — powiedział w końcu ojciec Albert.

— A więc o to chodzi? — Arnau uniósł kubek i odwrócił się do Joana z uśmiechem. — Moje gratulacje!

Joan jednak nie przyłączył się do toastu. Ani on, ani Bartolome, ani ojciec Albert. Arnau zamarł z kubkiem w powietrzu. Co się dzieje? Z wyjątkiem czworga zjadających w najlepsze małców, wzrok wszystkich obecnych spoczął na nim.

Arnau odstawił kubek.

— I? — zapytał brata wprost.

Nie mogę tego zrobić — wyjąkał Joan, a Arnau spochmurniał. — Nie zostawię cię samego. Nie złożę ślubów, póki nie znajdziesz sobie... dobrej żony, matki twoich dzieci.

Przy tych słowach Joan spojrział ukradkiem na córkę Bartolome, która odwróciła twarz.

Arnau westchnął.

— Powinieneś się ożenić i założyć rodzinę — zabrał głos ojciec Albert.

— Nie zostawię cię samego — powtórzył Joan.

— Będę zaszczycony, jeśli zechcesz poślubić moją córkę Marię — oznajmił Bartolome, spoglądając na dziewczynę, która schowała się za matką. — Jesteś prawym człowiekiem, silnym, pracowitym i pobożnym. Oddaję ci kobietę cnotliwą, którą odpowiednio wyposażę, żebyście mogli zamieszkać we własnym domu. Poza tym, jak wiesz, bractwo płaci więcej żonatyim członkom.

Arnau nie miał odwagi podążyć za wzrokiem Bartolome.

— Po długich naradach doszliśmy do wniosku, że trudno o lepszą kandydatkę — dodał kapłan.

Arnau spojrział na księdza.

— Każdy dobry chrześcijanin powinien się ożenić i mieć dzieci — pouczył go Joan.

Arnau zerknął na brata, ale zanim ten skończył mówić, głos z lewej strony odwrócił uwagę młodego tragarza.

— Nie ma się co zastanawiać, synu — radził Bartolome.

— Nie wstąpię do zakonu, póki się nie ożenisz — powtórzył Joan.

Uszczęśliwisz nas wszystkich, porzucając stan kawalerii — rzekł ksiądz.

Bractwo przyjmie z niezadowolaniem fakt, że wzbraniaasz przed małżeństwem, uniemożliwiając Joanowi pójście za głosem powołania.

Napadła cisza. Arnau zagryzł wargi. Bractwo! Nie ma wyjścia.

A więc? — zapytał Joan.

Chłopak podniósł wzrok. Zobaczył przed sobą zupełnie inną nieznaną mu osobę: dorosłego mężczyznę, który patrzył na niego badawczo, z powagą. Dlaczego wcześniej nie dostrzegł tej przemiany? Cały czas miał przed oczami jego niewinny uśmiech, widział w nim dziecko, które pokazało mu kiedyś miasto, a które nie dostawało nogami do ziemi, gdy siedząc na skrzyni, dopraszało się matczynych pieścizot. Jakże niewiele rozmawiali przez te cztery lata! Arnau pracował bez

wychnienia, całymi dniami rozładowywał statki i wracał do domu o zmroku, slaniając się, ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku, ale bez ochoty na rozmowę. Nie, to już nie jest ten sam mały Joanet.

— Poświęciłbyś dla mnie życie zakonne? Arnau miał wrażenie, że zostali sami w izbie.

— Tak

Sami, ty lko on i Joan.

— Kosztowało nas to wiele wysiłku.

— Tak

Arnau podrapał się po brodzie i zamyślił. Bractwo. Bartolome jest cechmistrzem. Co powiedzą inni *bastaixos*? Nie może zawieść Joana, nie po tym, co razem przeszli. A jeśli zostanie sam, bez Joana? Co wtedy zrobi? Zerknął na córkę gospodarza.

Na znak ojca Maria podeszła nieśmiało do stołu.

Arnau ujrzał prostą dziewczynę o kręconych włosach i dobrotliwym spojrzeniu.

— Ma piętnaście lat — powiedział Bartolome, gdy stanęła przed nimi. Czując na sobie wzrok czterech mężczyzn, złożyła ręce na podolku i spuściła głowę. — Mario! — zawołał jej ojciec.

Dziewczyna spojrzała na Arnaua, rumieniąc się, i zacisnęła dłonie.

Tym razem to Arnau spuścił oczy. Bartolome zaniepokoił się, widząc, że chłopak odwraca wzrok. Dziewczyna westchnęła. Czyżby płakała? Nie chciał jej urazić.

— Zgoda — powiedział w końcu młodzieniec.

Joan uniósł kubek, Bartolome i kapłan poszli jego śladem. Arnau przyłączył się do nich.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę — powiedział bratu Joan.

— Za młodą parę! — zakrzyknął Bartolome.

Sto sześćdziesiąt dni w roku! Kościół nakazywał wiernym pościć przez sto sześćdziesiąt dni w roku. W każdy postny dzień Aledis, podobnie jak wszystkie mieszkanke Barcelony, udawała się na plażę, w okolicy kościoła Santa Maria, na jeden z dwóch miejskich targów rybnych: stary lub nowy.

Gdzie jesteś? Na widok każdego okrętu Aledis zerknęła ku brzegowi, gdzie przewoźnicy odbierali lub wyładowywali towar. Arnau, gdzie jesteś? Niekiedy udawała się jej wypatrzeć go w tłumie, widziała jego mięśnie, prężące się pod skórą, jakby lada moment miały ją rozerwać. Wielki Boże! Przechodziły ją wtedy ciarki i odliczała godziny do zmroku, gdy jej mąż zaśnie i będzie mogła zejść do warsztatu na spotkanie z Arnauem, a raczej z jego wspomnieniem. Mnogość dni postnych pozwoliła Aledis zapoznać się z trybem pracy i zwyczajami *bastaixos*. Wiedziała, że gdy nie ma statków, noszą kamienie na budowę swego kościoła i że po pierwszej kolejce idą każdy własnym rytmem, nie czekając na towarzyszy.

Pewnego letniego ranka Arnau wracał po kolejny kamień. Szedł sam, wymachując nakarcznikiem. Był nagi od pasa w górę! Aledis widziała, jak przechodzi obok kramu z rybami. Słońce migotało w kroplach potu zraszających jego skórę, a on szedł wesoło, uśmiechając się do wszystkich. Aledis wyszła z kolejki. Arnau! Krzyk wydierał się jej z gardła. Arnau! Musiała się jednak opamiętać. Kobiety przy kramie przyglądały się. Stojąca za nią staruszka wskazała odstęp, jaki dzielił ją od następnej klientki. Aledis ją przepuściła. Jak odwrócić uwagę tych wścibskich kumoszek? Udała, że zbiera się jej na wymioty.

Ktoś chciał jej pomóc, lecz Aledis pokręciła głową uspokajająco. Jej towarzyszkę uśmiechnęły się pobłaźliwie. Powtórzyła sztuczkę i wybiegła z kolejki, podczas gdy kilka ciężarnych kobiet ki-

wało ze zrozumieniem głowami.

Arnau szedł wybrzeżem do królewskiego kamieniołomu na górze Montjuic. Jak go dogonić? Aledis popędziła ulicą Mar do placu Blat, skręciła na lewo w bramę rzymskich murów miejskich, obok pałacu naczelnika, a potem biegła cały czas prosto aż do ulicy Boqueria i bramy o tej samej nazwie. Musi go dogonić. Przechodnie oglądali się za nią. Rozpoznali ją? Pal licha! Najważniejsze, że Arnau idzie sam. Wypadła przez bramę Boqueria i pomknęła jak na skrzydłach ku Montjuic. Musi tu gdzieś być...

— Arnau! — Tym razem krzyknęła na głos.

Arnau zatrzymał się w połowie podejścia i obejrzał na biegnącą za nim kobietę.

— Aledis! Co ty tu robisz? Łapała oddech. Co mu powie?

— Coś się stało, Aledis? Co ma mu powiedzieć?

Zgięła się wpół, chwyciła za brzuch i znowu udała atak torsji. Czemu nie? Arnau podszedł do niej i wziął ją za ramiona. Jego dotyknęła przysiadła ją o gęsią skórę.

— Co ci jest?

Te dłonie! Chwyciły ją mocno, objęły całe jej ramię. Aledis uniosła głowę, napotykając pierś Arnaua, wciąż zroszoną potem. Wdychała woń jego spoczonej skóry.

— Co ci jest? — powtórzył, pomagając jej się wyprostować. Wykorzystała ten moment, by go objąć.

— Wielki Boże! — wyszeptała.

Wtulila twarz w szyję Arnaua i zaczęła okrywać ją pocałunkami, zlizując z niej pot.

— Co ty wyprawiasz?

Arnau chciał się wyrwać, lecz Aledis mocno do niego przywarła.

Przeraziły go głosy dobiegające zza rogu. *Bastaixos!* Jak to wytłumaczy? A jeśli to sam Bartolome? Jeśli go zobaczą z Aledis uwieszoną u jego szyi, całującą go... Wyrzucą go z bractwa! Złapał ją w pasie i wskoczył w pobliskie zarośla. Zakrył jej ręką usta.

Głosy zbliżyły się, a potem zaczęły oddalać, ale Arnau nie zwracał już na nie uwagi. Siedział na ziemi z Aledis na kolanach, jedną ręką przytrzymał ją w pasie, drugą zasłaniał jej usta. Dziewczyna wpatrywała się w niego. Ach, te kasztanowe oczy! Nagle uprzytomnił sobie, że ją obejmuje. Przyciskał dłoń do jej brzucha, a jej piersi... jej piersi ocierały się o niego, unosząc się i opadając. Tyle nocy marzył, by trzymać ją w objęciach... Tyle nocy odkrywał w wyobraźni zakamarki jej ciała... Aledis nie wyrywała się. Po prostu przeszły ją wielkimi kasztanowymi oczami.

Odjął dłoń od jej ust.

— Pragnę cię — dobiegł go jej jęk.

Chwilę potem jej usta — słodkie, miękkie, złaknione — przywarły do jego warg.

Co za smak! Arnaua przeszły ciarki.

Aledis drżała.

Ten smak, to ciało... to pożądanie.

Nic więcej nie powiedzieli.

Tamtej nocy Aledis nie zeszła do warsztatu, by podglądać terminatorów.



Upłynęły ponad dwa miesiące, odkąd ojciec Albert udzielił ślubu Marii i Arnauowi w kościele Santa Maria, w obecności wszystkich *bastaixos*, Perego, Mariony i Joana, który stawił się na uroczystość z tonsurą i w habitie franciszkanina. Dzięki wyższej pensji przy służącej Arnauowi po ślubie nowożeńcy mogli się wprowadzić do własnego domku przy plaży, umebłowanego z pomocą rodziny Marii oraz licznych znajomych, którzy chętnie wsparli młodą parę. Arnau nie musiał kiwnąć palcem podczas przeprowadzki i przy urządzaniu gospodarstwa. Dom, meble, zastawa stołowa, ubrania, jedzenie — jego żona i teściowa wzięły wszystko na siebie, a jemu kazały odpoczywać. W noc poślubną Maria oddała się mężowi bez namiętności, ale i bez oporów. Następnego dnia o świcie na Arnaua czekało śniadanie: jajka, mleko, peklowane mięso, chleb. To samo powtórzyło się w porze obiadu i kolacji tego dnia, nazajutrz i przez wszystkie następne dni — na Arnaua zawsze czekał nakryty stół. Maria zdejmowała mu buty, myła go, troskliwie opatrywała rany i otarcia. W łóżu małżeńskim spełniała wszystkie jego zachcianki. Arnau miał w domu to, o czym marzy każdy mężczyzna: gotowe jedzenie, porządek, posłuch, oddali i ciało młodej, pięknej kobiety. Dobrze, Arnau. Jak sobie życzy sz, Arnau. Maria nigdy nie sprzeciwiała się mężowi.

Gdy potrzebował świeczki, rzucała wszystko i biegła po świeczkę. Kiedy się złościł, nadskakiwała mu. Była gotowa przychylić mu nieba.

Lalo jak z cebra. Nagle pociemniało i błyskawice z wściekłością, poczęły siec czarne chmury, oświetlając morze. Arnau i Bartolome, przemoczeni do suchej nitki, stali na plaży. Wszystkie statki uciekły z niebezpiecznych wybrzeży Barcelony, szukając schronienia w porcie w Salou. Zamknięto również kamieniołom. Tego dnia *bastaixos* nie mieli pracy.

— Jak się sprawy mają, synu? — zagadnął zięcia Bartolome.

— Dobrze. Bardzo dobrze... ale...

— Coś nie tak?

— Chodzi o to, że... Maria jest dla mnie zbyt dobra. Nie przywykłem do takiego traktowania.

— Tak ją wychowaliśmy — wyjaśnił Bartolome, nie kryjąc zadowolenia.

— Ale to naprawdę za dużo.

— A nie mówiłem, że nie pożałujesz? — Teś zerknął na Arnaua. — Przyzwyczaisz się. A tymczasem ciesz się żoną.

Dotarli do ulicy Dames, wąskiego zaułka wychodzącego bezpośrednio na plażę, po którym spacerowało w deszczu około dwudziestu kobiet: młodych i starych, urodziwych i brzydkich, zdrowych i schorowanych.

— Widzisz je? — Bartolome wskazał babiniec. — Wiesz, co tu robią? — Arnau zaprzeczył ruchem głowy. — W burzowe dni takie jak dzisiaj, kutry rybackie są w wielkim niebezpieczeństwie i kapitan ratuje statek, jak tylko może, polecając się swym patronom i wszystkim świętym. Jeśli mimo to przegrywa walkę ze sztormem, pozostaje mu tylko jedno wyjście, Którym nie omieszcza mu zresztą przypomnieć załoga. Kapitan przysięga przed Bogiem i w obecności swych ludzi, że jeśli kuter oraz cała załoga zwiną bezpiecznie do portu, pojmie za żonę pierwszą napotkaną na lądzie kobietę. Rozumiesz?

Arnau przyjrzał się ponownie grupce kobiet, które przechadzały się nerwowo po ulicy, w tę i z powrotem, wpatrzone w horyzont. — Kobiety rodzą się po to, by wyjść za i służyć mężczyźnie. Tak właśnie wychowaliśmy Marię i po to dałem ci ją za żonę.

Mijały dni. Maria nadal świata nie widziała poza Arnauem ale on myślał tylko o Aledis.

— Ach, te kamienie! Zniszczą ci plecy — zrywała się Maria, masując mężowi kark i nacierając leczniczą maścią ranę w okolicach łopatek.

Arnau nie odpowiedział.

— Dziś wieczorem przyjrę się uważnie twojemu nakarcznikowi. Coś jest z nim nie tak, kamienie nie powinny zostawiać ci takich zadrapań.

Arnau milczał. Wrócił do domu po zmroku. Maria zdjęła mu buty, podała wino, kazała usiąść i zaczęła masować mu plecy, bo tak właśnie jej matka przyjmowała wracającego z pracy męża. Arnau jak zwykle poddawał się tym zabiegom. Słuchał żony w milczeniu. Jego rany na plecach nie miały nic wspólnego z nakarcznikiem ani z kamieniami dla Madonny. Maria obmywała i opatrzyła wałą piętno grzechu, zadrapania będące dziełem kobiety, której Arnau nie potrafił się oprzeć.

— Te kamienie zniszczą wam plecy — powtórzyła. Arnau pił wino, podczas gdy dłonie Marii delikatnie błędziły po jego karku.

Odkąd garbarz wezwał ją do warsztatu, by pokazać jej pręgi na plecach terminatora, który odważył się na nią spojrzeć, Aledis przyglądała się pracownikom męża tylko z ukrycia. Zauważyła, że nocą zakradają się do ogrodu na schadzki z kobietami, które przechodziły przez mur. Terminatorzy, dysponujący surowcem, narzędziami oraz umiejętnościami wyrabiali z cieniutkiej skórki kapturki, które po natuszczeniu wsuwali tuż przed stosunkiem na członkę chroniąc swe partnerki przed hańbą. A to, w połączeniu z atrakcyjnością młodych kochanków oraz ciemnościami nocy, stanowiło nieodpartą pokusę dla wielu kobiet, marzących o miłosnej przygodzie. Aledis bez trudu wślizgnęła się do izby terminatorów i ukradła jeden z ich zmysłnych wynalazków. Nie musiała się obawiać ciąży, co dodało jej skrzydeł podczas schadzek z Arnauem.

Arnau patrzył, jak Aledis nakłada mu kapturek, dzięki któremu, jak zapewniała, nie będą mieli dzieci. Czy to ten tłuszcz, który pozostawał mu na członku? A może raczej kara boska za sprzeniewierzenie się jego prawom? Tak czy owak Maria nie zachodziła w ciążę. Była zdrowa i silna. Cóż więc, jeśli nie grzechy Arnaua, mogło zawnić? Z jakiego innego powodu Pan odmawiałby im upragnionego dziecka? Bartolome chciał mieć wnuka. Ojciec Albert i Joan bez końca pytali, kiedy

Arnau zostanie ojcem. Całe bractwo czekało niecierpliwie na wiadomość, towarzysze zaczęli Arnaua, ich żony odwiedzały Marię, udzielając jej rad i rozwodząc się nad urokami macierzyństwa.

Arnau również pragnął dziecka.

— Nie zakładaj mi tego — sprzeciwił się pewnego razu, gdy Aledis dogoniła go po drodze do kamieniolomu.

Aledis zlekceważyła jego słowa.

— Nie chcę cię stracić — powiedziała. — Wolałabym raczej uciec od starego i upomnieć się o ciebie. Wtedy wszyscy dowiedzieliby się o naszej miłości, popadłbyś w niełaskę i wydalono by cię z bractwa, z miasta zapewne również. Ja jedna bym cię wtedy nie opuściła i towarzyszyła ci na wygnaniu. Bez ciebie wszystko traci sens, bo jestem skazana na starego impotentą i zboczeńca. Chcesz mi zniszczyć życie? Dlaczego? Bo wiem, że w głębi duszy mnie kochasz — odparła stanowczo Aledis. — W ten sposób pomogłabym ci zrobić krok, który przejmuje cię lękiem.

Pod osłoną zarośli porastających zbocza Montjuic Aledis wsunęła kapturek na czołonek kochanka. Arnau poddał się jej się. Czy to prawda? Czy w głębi duszy marzy o ucieczce i o porzuceniu żony i wszystkiego, czego się dorobił?

Gdyby chociaż jego ciało nie było takie skóre... Co ma w sobie ta kobieta, że potrafi owinąć go sobie wokół palca? Arnau chciał jej opowiedzieć o matce Joana, uświadomić, że jeśli świat się o nich dowie, być może jej stary mąż upomni się o swe prawa, a wtedy ona dokona żywota zamurowana w czterech ścianach. Ale miast tego posiada ją... po raz kolejny Aledis jęczała pod natarciami Arnaua, ale on słyszał tylko własne lęki: Maria, praca, bractwo, Joan, hańba, Maria, Madonna, Maria, Madonna...



25

Siedzący na tronie król Piotr uniósł dłoń. Po jego prawicy stali wuj i brat: książę Piotr oraz książę Jakub, po lewicy: hrabia Terranova i ojciec Ot de Montcada. Monarcha odczekał, aż pozostali członkowie rady zamilkną. Znajdowali się w Walencji, w pałacu królewskim, gdzie przyjęli Perego Ramona de Codoler, ochmistrza i posła króla Majorki. Według pana Codoler król Majorki, Jakub III, hrabia Roussillonu i Cerdagne, i pan Montpellier, postanowili wypowiedzieć wojnę Francji z racji ciągłych wypadów wojsk francuskich w głąb jego terytorium. W związku z tym żądał, by dnia 21 kwietnia 1341 roku król Piotr stawiał się na czele armii Katalonii w Perpignan i wsparł wasalą w wojnie z Francuzami.

Przez całe przedpołudnie król Piotr debatował z doradcami i nad prośbą Jakuba III. Jeśli odmówi pomocy królowi Majorki, ten będzie miał prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo i uwolnić się od obowiązków lennych. Jednak w przeciwnym razie — co do tego wszyscy byli zgodni — Katalonia wpadnie w pułapkę, bo kiedy tylko jej wojska wkroczą do Perpignan, jego szwagier sprzymierzy się z królem Francji i wystąpi przeciwko Piotrowi III.

Kiedy w komnacie zapanowała cisza, król przemówił: Obradujemy tu, jak bez szkody dla nas odrzucić prośbę króla Majorki. I chyba znaleźliśmy rozwiązanie: jedźmy do Barcelony zwołać kortezy i powiadommy Jakuba III, że ma się stawić dwudziestego piątego marca. Co zrobi król Majorki? Albo przybędzie, albo nie. Jeśli tak, spełni swą powinność a wtedy i my spełnimy jego prośbę... — Niektórzy doradcy zaczęli kręcić się niespokojnie. Uczestnictwo króla Majorki w korszach będzie oznaczać wojnę z Francją. Jakby nie mieli już dość wojny z Genuą! Ktoś nawet odważył się głośno zaprotestować, ale monarcha uciszył go ruchem ręki, uśmiechnął się, po czym ciągnął donośnym głosem: — I poprosimy o radę naszych wasalów, którzy najlepiej będą wiedzieli, co winniśmy czynić. — Niektórzy uśmiechnęli się za przykładem króla, inni skinęli głową. Kortezy mogą decydować o polityce zagranicznej Katalonii, a więc również o wypowiedzeniu wojny i to nie monarcha, ale korszki Katalonii odmówiłyby pomocy Jakubowi. — A jeśli się nie stawi — mówił dalej król — sprzeniewierzy się umowie lennej i nie będziemy musieli mu poma-

gać ani mieszać się do wojny z Francją.

Barcelona 1341

Trzy człony składające się na kortezy — możnowładcy, duchowieństwo oraz przedstawiciele wolnych miast Księstwa Katalonii — zjechały do Barcelony, wypełniając ulice miasta tęczą barw oraz jedwabiami z Almerii, Barbarii, Aleksandrii i Damaszku, wełnianym suknem z Anglii, Brukseli, Flandrii, Mechelen i Orlandii oraz wspaniałymi strojami z czarnego lnu z Bisso. Szaty wszystkich dostojników uszyte też byty z pięknych wzorzystych brokatów przetykanych złotą i srebrną nitką.

Król Majorki jeszcze się nie stawił. Od kilku dni *bastaixos*, przewoźnicy oraz pozostali robotnicy portowi, powiadomieni przez naczelnika miasta, byli w pogotowiu na wypadek przybycia oczekiwanego gościa. Port w Barcelonie nie był najlepszym miejscem do przyjmowania wielkich osobistości, nie wypadało bowiem wynosić ich na rękach ze skromnych łódek przewoźników, jak czyniono w przypadku kupców, którzy nie chcieli zamoczyć szat. Dlatego gdy do Barcelony przyplwał jakiś wyjątkowy gość, łączono łódki burtami, ustawiano je w linii prostej sięgającej w głąb morza, i budowano na nich most, by królowie i księżęta mogli zejść na ląd suchą nogą. Arnau wraz z innymi *bastaixos* zniósł na plażę deski do budowy mostu, a teraz, podobnie jak wielu mieszkańców Barcelony i dostojników uczestniczących w kortezach, zaglądał na plażę i wypatrywał na horyzoncie majorkańskich galer. Kortezy były głównym tematem rozmów w Barcelonie, wszyscy rozprawiali o żądaniach władcy Majorki i o fortelu Piotra III.

— Chyba niepotrzebnie czekamy na króla Jakuba — zastanawiał się Arnau, podcinając wraz z ojcem Albertem knoty w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. — Łatwo się domyślić, że jeśli całe miasto zna plan naszego króla, wie o nim również władca Majorki.

— I dlatego nie przyjedzie — odparł ksiądz, nie przerywając krzątanimy.

— W takim razie?

Arnau popatrzył na zatroskaną twarz ojca Alberta. — Obawiam się, że czeka nas wojna z Majorką.

— Kolejna wojna?

— Niestety. Wiadomo, że król Piotr marzy o scaleniu dawnych posiadłości katalońskich, które Jakub Pierwszy Zdobycą podzielił między swych spadkobierców. Od tamtej pory królowie Majorki raz po raz zdradzają Katalończyków. Nie upłynęło nawet pół wieku, odkąd Piotr Wielki rozprawił się z Francuzami i Majorkańczykami w wozwie Panissars. Następnie podbił Majorkę, Roussillon i Cerdagne, ale papież nakazał mu oddać zdobyte terytoria królowi Jakubowi Drugiemu. — Kapłan zwrócił się do Arauna. — Szykuje się wojna, synu. Nie wiem dlaczego ani kiedy, ale będziemy mieli wojnę.

Król Majorki nie stawił się na obradach kortezów. Piotr III dał mu dodatkowe trzy dni, lecz i w tym czasie majorkańskie galery nie zawinęły do portu w Barcelonie.

— Oto dlaczego — rzekł ojciec Albert do Arauna. — Powód już mamy, pozostaje tylko pytanie kiedy.

Po zakończeniu obrad kortezów Piotr III nakazał wszcząć przeciwko swemu wasalowi proces o nieposłuszeństwo, zarzucając mu dodatkowo, że w hrabstwach Roussillonu i Cerdagne bito mo-

netę katalońską, choć pozwolenie na to miały wyłącznie królewskie mennice w Barcelonie.

Choć król Majorki zlekceważył całą sprawę, naczelnik Barcelony, Arnau d'Erill, z pomocą Felipa de Montroig oraz wicekanclerza królewskiego Arnaua Camorery wytoczył mu zaoczny proces. Jakub III zaczął się niepokoić, dopiero gdy jego doradcy donieśli, że grozi mu utrata posiadłości. Wówczas Jakub złożył hołd królowi Francji, licząc na jego pomoc, i poprosił papieża, by wstał się za nim u Piotra III.

Głowa Kościoła, obrońca interesów władcy Majorki, wymógł na Piotrze glejt dla krnąbrnego wasala, by ten, nie wystawiając na niebezpieczeństwo siebie i swych bliskich, mógł stawić się w Barcelonie i wytłumaczyć z przedstawianych mu zarzutów. Król Piotr, nie mogąc odmówić papieżowi, wydał stosowny glejt, poprosiwszy jednak Walencję o przysłanie do Barcelony czterech galer pod dowództwem Mateua Mercera, które pilnować miały okrętów Jakuba III.

Kiedy żagle majorkańskich galer zamajaczyły na horyzoncie, cała Barcelona ściągnęła do portu. Uzbrojona flota pod dowództwem Mateua Mercera czekała już na gościa, również płynącego w pełnym rynsztunku. Naczelnik Barcelony, Arnau d'Erill rozkazał przystąpić do budowy mostu. Przewoźnicy ustawili łodzie w poprzek, a robotnicy portowi zaczęli mocować na nich deski.

Gdy galery zarzuciły kotwice, pozostali przewoźnicy podплыli do królewskiego okrętu.

— Co się dzieje? — zapytał jeden z *bastaixos*, widząc, że chorągiew króla Majorki wciąż powiewa na maszcie, a na łódź schodzi tylko jedna osoba.

Arnau i jego towarzysze byli przemoczeni do suchej nitki. Wszyscy patrzyli na naczelnika miasta, który śledził wzrokiem odbijającą od królewskiej galery barkę.

Na most wszedł tylko jeden człowiek. Wicehrabia Evol, uzbrojony i bogato odziany wielmoża z Roussillonu, zatrzymał się przy końcu drewnianego mostu, nie schodząc na ląd.

Naczelnik pospieszył mu na spotkanie i wysłuchał, stojąc na plaży, wyjaśnień posła, który na przemian wskazywał to klasztor franciszkanów, to majorkańskie okręty. Po skończonej rozmowie wicehrabia wrócił na pokład galery, a naczelnik udał się do miasta po rozkazy od Piotra III.

— Król Majorki — obwieścił wszem wobec po powrocie — oraz królowa Konstancja, siostra miłościwie nam panującego władcy, zatrzymają się w klasztorze Framenors. Postawimy osadzony na dnie drewniany most, zadaszony i obudowany z obu stron, przez który Jakub III przejdzie bezpośrednio z pokładu do komnat królewskich w klasztorze.

Po plaży poniósł się szmer, ale surowe spojrzenie naczelnika uciszyło zgromadzonych. Większość robotników zerknęła na górujący nad linią wybrzeża klasztor Framenors.

— Czyste szaleństwo — dobiegł Arnaua sprzeciw jednego z towarzyszy.

— Jeśli zerwie się sztorm — zauważył ktoś inny — most nie wytrzyma.

Po co królowi Majorki zadaszony i obudowany most?!

Arnau zerknął na naczelnika akurat w chwili, gdy na plaży zjawił się Berenguer de Montagut. Arnau d'Erill wskazał mistrzowi klasztor franciszkanów, po czym prawą ręką zakreślił linię wiodącą w głąb morza.

Bastaixos, przewoźnicy, cieśle, rzemieślnicy wyrabiający wiosła, kowale oraz powoźnicy czekali w milczeniu, aż naczelnik skończy mówić. Mistrz zamyślił się.

Na rozkaz króla wstrzymano roboty w katedrze i w kościele Santa Maria. Wszyscy robotnicy skierowani zostali do budowy mostu. Pod czujnym okiem Berenguera rozebrano część rusztowań ze świątyni maryjnej i jeszcze tego samego ranka *bastaixos* zaczęli przenosić materiał budowla-

ny do klasztoru Framenors.

— Szczyt głupoty! — rzucił Arnau do Ramona, gdy nieśli razem ciężki pień. — Najpierw nadwyżamy sobie karki nosząc kamienie na budowę kościoła, a teraz go rozbieramy dla kaprysu...

— Milcz! — syknął Ramon. — Wykonujemy rozkaz króla. On wie, co robi.

Galery Jakuba III, obserwowane z bliska przez flotę z Walencji, ustawiły się naprzeciwko Framenors, zarzucając kotwice w znacznej odległości od klasztoru. Murarze i cieśle zaczęli stawiać rusztowanie przy ścianie klasztoru graniczącej z morzem. Była to potężna drewniana konstrukcja schodząca do wody. W tym samym czasie *bastaixos* oraz wszyscy robotnicy, którym nie przydzielono innego zadania, krążyli między plażą i kościołem Santa Maria, nosząc bale i deski.

O zmroku przerwano prace. Arnau wrócił do domu zły jak osa.

— Nasz król nigdy nie ma podobnych fanaberii, wystarczy mu zwykły pomost na łodziach. Po co, u licha, zaspokajają zachcianki zdrajcy?

Jednak jego słowa traciły na sile, a myśli kierowały się na inne tory, w miarę jak Maria masowała mu ramiona.

— Zdrapania nareszcie zaczynają się goić — stwierdziła. — Niektórzy używają bodziszka z dodatkiem malin, choć w naszej rodzinie wolimy stosować rojnik. Moja babka leczyła nimi dziadka, a matka ojca...

Arnau przy mknął oczy. Rojnik? Od kilku dni nie widzie Aledis. Nic dziwnego, że jego plecy mają się lepiej!

— Nie napinaj mięśni — upomniała go Maria, wrywając zamyślenia. — Rozluźnij się, powinieś się rozluźnić, żebyś mogła — Arnau wołał jej nie słuchać. Bo i po co? Ma się rozluźnić, by mogła opatrzeć rany zadane przez kobietę, z którą ją zdradza? Gdyby chociaż się na niego pogniwiała...

Ale miast go przeklinać, Maria tej nocy obsypała go pieszczotami i przylgnęła do niego czule. Aledis nie wiedziała, co to czułość. Spółkowali jak zwierzęta! Arnau przyjął zaproszenie żony z zamkniętymi oczami. Jakże miał spojrzeć jej w oczy? Maria pieściła jego ciało i... duszę, dając rozkosz. Rozkosz, która bolała go tym bardziej, im była większa.

Arnau wstał skoro świt, by ruszyć do pracy. Maria krzątała się już w kuchni, przygotowując mu śniadanie.

Budowa pomostu trwała trzy dni. Przez ten czas żaden członek świty królewskiej z Majorki nie zszedł na ląd, pokładu nie opuszczała również załoga walencjskich galer. Gdy przylegająca do klasztornej muru konstrukcja sięgnęła morza, przewoźnicy połączyli łodzie, by ułatwić transport materiałów. Arnau pracował bez wytchnienia, bo tylko zmęczenie pozwalało mu zapomnieć o delikatnych dłoniach Marii pieszczących jego ciało, pogryzione i podrapane przez Aledis. Stojący na barkach robotnicy wbijali bale w dno pod czujnym okiem Berenguera de Montagut, który nadzorował budowę z dziobu barkasu. Podpływał to tu, to tam i dopiero zbadawszy osobiście wytrzymałość filarów, zezwalał na kontynuowanie robót.

Trzy dni później ponad pięćdziesięciometrowy drewniany pomost przecinał otwartą do tej pory przestrzeń nadbrzeżną Barcelony. Królewska galera podpłynęła do konstrukcji, a chwilę potem Arnau i pozostali robotnicy usłyszeli dudniące na deskach kroki króla i jego świty. Wielu podniosło głowy.

Framenors Jakub III zawiadomił króla Piotra, że on i królowa zaniemogli z powodu trudów morskiej wyprawy i że jego siostra błaga go o odwiedzinę. Gdy król wybierał się właśnie do

klasztoru, jego wuj, księżę Piotr, stawił się przed nim w towarzystwie młodego franciszkanina.

— Mów, mnichu — rozkazał monarcha, wyraźnie poirytowany faktem, że będzie musiał odłożyć wizytę u siostry.

Joan się skulił. Nikt nie zgadłby, że przerasta króla o głowę. „Jest bardzo niski — opowiadano Joanowi — dlatego nigdy nie przyjmuje dworzan na stojąco”. Jednak tym razem król stał przed nim i patrzył mu prosto w oczy, jakby chciał przejrzeć go na wylot.

Joan wyjął coś niezrozumiałego.

— No, mów, co wiesz — ponaglił go księżę Jakub. Joana oblał zimny pot. Nowy, sztywny jeszcze habit lepił mu się do ciała. A jeśli to nieprawda? Dopiero teraz pomyślał o takiej ewentualności. Gdy dowiedział się o wszystkim od starego mnicha, który przyплыł na majorkańskich gale-
rach, przybiegł co sił w nogach do królewskiego pałacu, pokłócił się ze strażnikami, zdecydowany osobiście przekazać wiadomość królowi, aż w końcu zgodził się wyznać wszystko księciu Piotrowi, ale teraz... A jeśli to kłamstwo? Jeśli dał się nabrać na jeszcze jeden podstęp króla Majorki...

— Mów, na Boga! — krzyknął w końcu król. Joan wyrzucił niemal jednym tchem:

— Miłościwie nam panujący panie, nie idźcie do waszej siostry, królowej Konstancji. To pułapka. Król Jakub, tłumacząc się jej niedomaganiem, rozkazał wpuścić do jej komnaty tylko waszą wysokość oraz jego wysokość księcia Piotra i księcia Jakuba. Nikogo więcej. W środku rzuci się na was tuzin uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy was pojmagają, wprowadzą po pomoście na galery, wywiozą na Majorkę i będą więzili w zamku Alaró dopóty, dopóki nie zwolnicie króla Jakuba z przysięgi lennej i nie oddacie mu nowych posiadłości w Katalonii.

Wreszcie zrzucił z serca ten ciężar! Król zmrużył oczy i zapytał:

— Jak taki młody franciszkanin dowiedział się o wszystkim?

— Od brata Berenguera, krewnego waszej wysokości.

— Od brata Berenguera?

Księżę Piotr skinął głową, a wtedy król najwyraźniej przy pomniął sobie, o kim mowa.

— Bratu Berengerowi — ciągnął Joan — opowiedział o wszystkim skruszony zdrajca, który poprosił o ostrzeżenie waszej wysokości. Jednak sędziwy wiek mego współbrata skłonił go do powierzenia tej misji właśnie mnie.

— No i wiemy już, dlaczego królowi Majorki zależało na osłoniętym pomoście — mruknął księżę Jakub. — Chciał nas uprowadzić, nie budząc niczyich podejrzeń.

— Wszystko się zgadza — dodał księżę Piotr, kiwając głową.

— Sami rozumiecie — król zwrócił się do wuja oraz brata — że muszę odwiedzić siostrę, która zaniemogła podczas wizyty w moim królestwie. — Joan słuchał, nie mając odwagi podnieść wzroku. Król zamilkł na chwilę. — Odwołam dzisiejsze spotkanie, trzeba jednak... Słuchasz mnie, mnichu? — Joan drgnął. — Trzeba przekonać tego skruszonego penitenta, by pozwolił nam ujawnić zdradę. Póki nad sprawą ciąży tajemnica spowiedzi, wizyta u królowej mnie nie ominie. Idź już — rozkazał.

Joan pobiegł do klasztoru, by opowiedzieć o wszystkim bratu Berengerowi. Piotr III nie stawiał się na spotkanie z siostrą, tym bardziej że i jego stan zapalny w okolicy oka, wymagający upuszczenia krwi — uznany przez króla za znak boskiej opatrności — przykuł na kilka dni do łóża. W tym czasie brat Berenger otrzymał pozwolenie, na którym tak zależało królowi Piotrowi III.

Tym razem Joan nie wątpił w prawdziwość przekazywanej przez siebie wiadomości.

Penitentem brata Berenguera — oznajmił, stając przed monarchą — jest nie kto inny, tylko

wasza siostra, królowa Konstancja, która prosi, byście sprowadzili ją do pałacu choćby tu, pod waszą opieką i z dala od władzy męża, opowie nam o szczegółach planowanej zdrady.

Brat króla udał się wraz z oddziałem żołnierzy po królową Konstancję. Zakonnicy z klasztoru Framenors wpuścili ich do środka i książe Jakub stanął przed królem Majorki. Protesty nie na wiele się zdały — Konstancja została zabrana do królewskiego pałacu.

Na nic zdała się również królowi Majorki wizyta, którą zaraz potem złożył szwagrowi.

— Uszanuję wasz glejt — oznajmił mu Piotr Ceremonialny — tylko ze względu na słowo dane papieżowi. Jednak Konstancja pozostanie w Barcelonie, pod moją opieką. Rozkazuję wam natychmiast opuścić moje królestwo.

Gdy tylko cztery majorkańskie galery odplynęły, król rozkazał Arnauowi d'Erill sformułowanie oskarżenia przeciwko szwagrowi. Niedługo potem naczelnik Barcelony ogłosił wyrok, na mocy którego posiadłości niewiernego wasala, skazanego zaocznie, miały przejść na własność Piotra III. Król Katalonii miał już pretekst do wszczęcia wojny z Majorką.

Piotr Ceremonialny, zadowolony z nadarżającej się okazji zjednoczenia królestwa podzielonego przed laty przez jego przodka Jakuba Zdobywcę, wezwał młodego zakonnika, który pomógł w wykryciu spisku.

— Służyłeś nam wiernie i ofiarnie — oznajmił król, tym razem z wysokości tronu. — Proś więc, o co chcesz.

Joan dowiedział się o zamiarze króla od posłańców, miał więc dość czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią. I przemyślał ją dogłębnie. Za radą nauczycieli wstąpił do zakonu franciszkanów, jednak w klasztorze Framenors doznał zawodu. Gdzie podziały się jego ukochane księgi? A okazja do pogłębiania wiedzy? Co z wymarzoną nauką i studiami? Udał się do przeora, który ze świętą cierpliwością przypomniał regułę zakonu założonego przez Franciszka z Asyżu:

— Skrajna prostota, całkowite ubóstwo i pokora. Oto trzy cechy dobrego franciszkanina.

Ale Joan pragnął pogłębiać wiedzę, kontynuować studia, czytać, uczyć się. Przecież jego nauczyciele zapewniali, że każda z nich jest jedną z dróg prowadzących do Pana. Dlatego zerkał z zazdrością dominikanów. Zakon ten, zajmujący się głównie studiowaniem filozofii i teologii, założył i prowadził liczne uniwersytety. Toan marzył o zostaniu dominikaninem i kontynuowaniu nauki na sławnym uniwersytecie w Bolonii.

— Niech tak będzie — rzekł król, wysłuchawszy prośby Joana. Młodego zakonnika przesłży ciarki. — Wierzymy, że zdobyta wiedza przemieni was w autorytet moralny i z czasem wrócicie do ojczyzny, by służyć waszemu królowi i jego poddany m.



26

*Kościół Santa Maria de la Mar,
Barcelona,
maj 1343 roku*

Od wydania przez naczelnika Barcelony wyroku przeciwko Jakubowi III upłynęły dwa lata. Arnau stał wewnątrz niedokończonego kościoła Santa Maria, przysłuchując się ze ściśniętym sercem dzwonom rozbrzmiewającym w całym mieście. Król ruszał na wojnę przeciwko Majorce i w Barcelonie zaroilo się od wielmożów i rycerzy. Arnau, trzymający wartę przed kaplicą Przenajświętszego Sakramentu, obserwował ich w tłumie wypełniającym kościół i plac na zewnątrz. We wszystkich świątyniach odprawiano msze w intencji wojsk katalońskich.

Arnau był zmęczony. Król zgromadził w Barcelonie całą flotę wojenną i od wielu dni *bastaxos* pracowali bez wytchnienia. Sto siedemnaście okrętów! Nigdy nie widziano tu tylu statków naraz. Morze roilo się od masztów, a u brzegów Barcelony stały dwadzieścia dwie olbrzymie galery gotowe o wyruszenia na wojnę, siedem brzuchatych karak do transportu koni, osiem wielkich dwu- i trzy pokładowych okrętów do przewozu żołnierzy oraz całe mnóstwo średnich i małych łodzi.

Z pewnością na jednej z tych galer, teraz uzbrojonych, ponad rok temu odpłynął do Bolonii Joan w habicie dominikanina.

Arnau odprowadził go na sam brzeg. Brat wskoczył na łódkę i usiadłszy plecami do morza, uśmiechnął się do niego. Arnau patrzył, jak wchodzi na pokład galery. Na widok poruszających je wiosł poczuł ucisk w żołądka, a po jego policzkach popłynęły łzy. Został sam.

Rozejrzał się dookoła. Nie przestawano bić we wszystkie dzwony w mieście. Moźni, duchowieństwo, żołnierze, kupcy, rzemieślnicy oraz prosty lud wypełniali kościół Santa Maria. Towarzyście Arnaua stali na baczność tuż przy nim. Mimo to czuł się taki samotny! Jego nadzieje i całe jego życie legły z gruzach, podobnie jak stary kościółek, na miejscu którego powstała nowa świą-

tnia. Stara budowla przestała istnieć. Nie pozostał po niej nawet ślad. Przed Arnauem otwierała się teraz olbrzymia szeroka nawa główna, okolona ośmiokątnymi kolumnami podpierającymi sklepienie. Po bokach, po zewnętrznej stronie kolumn, mury kościoła wciąż powoli pięły się ku niebu, kamień po kamieniu.

Arnau zadarł głowę. Po umieszczeniu w drugim sklepieniu zwornika, przedstawiającego scenę narodzenia Pana, prace przeniosły się do naw bocznych. Zamknięto od góry prezbiterium, ale następne w kolejności sklepienie — pierwsze wchodzące w skład prostokątnej nawy głównej — w dalszym ciągu przypominało pajęczynę: niebo przecinały cztery żebra rozpięte niczym delikatna sieć i połączone zwornikiem, który wyglądał jak pająk czyhający na ofiarę. Arnau utkwil wzrok w cienkich żebrawach sklepienia. Dobrze wiedział, co czuje ofiara złapana w pajęczynę! Ale dis była coraz bardziej natarczywa. „Powiem o wszystkim twoim cechmistrzom”, groziła, gdy Arnau próbował się od niej opędzać. A wtedy on grzeszył znowu, i znowu, i jeszcze raz... Zerknął na swych towarzyszy... jak się dowiedzą... Spojrzał na Bartolome, swego teścia Cechmistrza, oraz na Ramona, przyjaciela i opiekuna. Jak zareagują? a Joan jest tak daleko...

Zdawało się, że nawet jego ukochany kościół się go wyrzekł, gdy tylko ukończono część sklepienia i wzniesiono przypory podtrzymujące łuki naw bocznych, arystokracja i bogaci kupcy zaczęli urządzać kościelne kaplice, by uwiecznić swój ród w herbach, figurach, sarkofagach i innych znakach wyrytych w kamieniu.

Arnau miał wrażenie, że skradziono mu jego kościół. Gdy odwiedzał Madonnę, wypatrując u niej pociechy, coraz częściej napotykał kupców i wielmożów kręcących się między rusztowaniami. Pojawili się ni z tego, ni z owego, a teraz z dumą przystawali przed pierwszymi jedenastoma kaplicami — z trzydziestu czterech zaplanowanych — powstającymi w ambicje. W kaplicy Wszystkich Świętych widniały już ptaki — herb rodziny Busquets. W kaplicy Świętego Jakuba herb rodu Junyent: ręka i lew. Tuż obok — trzy gruszki rodu Boronat de Pera, wyrzeźbione na kluczu sklepienia gotyckiej kaplicy Świętego Pawła, na której marmurach wyryto również podkową i pasy — herb rodu Pau Ferran. Natomiast w kaplicy Świętej Małgorzaty widniały herby rodzin Dufort i Dusay oraz zdroj symbolizujący ród Font. Nie pozostawiono w spokoju nawet kaplice Przenajświętszego Sakramentu! Tak w bliskiej sercu Arnaua kaplicy *bastaixos* pojawił się sarkofag Bernata Lulla — archidiacona, który rozpoczął budowę świątyni — oraz herb rodziny Ferrer.

Arnau przechodził ze spuszczoną głową obok wielmożów i kupców. On tylko nosił kamienie i kłękał przed Madonną, błagając, by uwolniła go od czatującej na niego pajęczycy.

Gdy uroczystości religijne dobiegły końca, cała Barcelona udała się do portu. Stawił się tam również Piotr III w zbroi oraz jego doradcy. Tylko książę Jakub, hrabia Urgelu, miał zostać w Katalonii, by bronić Ampurdan, Besalu i Camprodón — terenów graniczących z posiadłościami Jakuba III. Wszyscy pozostali możnowładcy ruszali wraz z królem na podbój Majorcki: seneszał Katalonii książę Piotr, głównodowodzący floty wojennej Pere de Montcada, Pedro de Eixerica i Blasco Alagó, Gonzalo Diez de Arenós i Felipe de Castro, ojciec Jode Arborea, Alfonso de Llória, Galvany de Anglesola, Acardic de Mur, Arnau d'Erill, ojciec Gonzalo Garcia, Joan Ximenez de oraz wielu innych przedstawicieli arystokracji i rycerstwa, którym towarzyszyło ich wojsko i wasale.

Maria, która spotkała się z Arnauem przed kościołem, wskazała na nich palcem i pociągnęła męża w ich kierunku.

— Król! Spójrz tylko na naszego monarchę. Co za prezencja!

A widziałeś jego miecz? Toż to cudo, nie miecz! A tamten moźny? Kto to taki, Arnau? Znasz go? Jakie piękne zbroje, tarcze, chorągwie...

Zaciągnęła Arnaua na drugi koniec plaży, pod sam klasztor franciszkanów. Wielu mężczyzn, trzymających się z dala od moźnych i żołnierzy, wsiadało właśnie na łodzie, które miały ich zawieźć na okręty. Byli brudni i obszarpani, nie mieli tarcz, zbroi ani mieczy, a ich jedyny ubiór stanowiła długa, zniszczona tunika, wysokie buty i skórzana czapka.

Uzbrojeni byli tylko na nóż i włócznię!

— Czy to Kompania Katalońska? — zapytała Maria.

— Tak, to właśnie oni — potwierdził Arnau. Przyłączyli się do pełnego szacunku milczenia, w jakim mieszkańcy Barcelony obserwowali najemnych wojowników, zdobywców Bizancjum! Nawet dzieci i kobiety, które, podobnie jak Maria, dopiero co zachwycaly się mieczami i zbroją moźnych, spoglądały na nich z dumą. Walczyli pieszo, bez żadnej osłony, zdani wyłącznie na swą zręczność i siłę. Któż kpiłby więc z ich stroju, zniszczonych tunik i lichej broni?

Arnau słyszał, że znaleźli się tacy śmiałkowie. Ponoć Sycylijczycy wyśmiali ich kiedyś na polu bitwy. Co taka banda obszarpańców może zrobić rycerzom na koniach? A jednak Katalończycy rozprawili się z nimi i podbili Sycylię. Podobnie rzecz miała się z Francuzami. Ta historia, przekazywana z ust do ust, obiegła całą Katalonię. Arnau słyszał ją wiele razy. — Wieść niesie — szepnął Marii do ucha — że francuscy żołnierze pojмали kiedyś jednego z tych najemników i zaprowadzili przed oblicze księcia Karola z Salerno, który zwy myślał mu od obdartusów, nędzarzy i dzikusów, naśmiewając się z wojsk katalońskich. — Arnau i Maria przyglądali się almogawarom, wchodzącym na łodzie. — Wtedy jeniec w obecności księcia i rycerzy wyzwiał na pojedynek najdzielniejszego z jego wojów. Chciał walczyć pieszo, uzbrojony jedynie we włócznię, podczas gdy Francuz miał stanąć do pojedynku na koniu i w pełnym rynsztunku. — Gdy Arnau przerwał na chwilę, Maria odwróciła się do niego, ciekawa końca historii. — Francuzi wyśmiali jeńca, przyjęli jednak wyzwanie. Wyjechali na otwarty teren przed obozowiskiem Francuzów, a tam Katalończyk zabił konia, po czym bez trudu pokonał przeciwnika nieprzyzwyczajonego do walki wręcz. Gdy już, już miał poderznąć gardło Francuzowi, książe Karol ofiarował mu wolność w zamian za życie swego rycerza.

— To wszystko prawda — rzucił ktoś za ich plecami. — Oni walczą jak wcielone diabły.

Arnau poczuł, że Maria tuli się do niego i mocno ściska mu ramię, wpatrując się w almogawarów. Czego ode mnie oczekujesz, kobieto? Opieki? Gdybyś wiedziała! Nie potrafię zapanować nawet nad własną żądzą. Naprawdę myślisz, że oni skrzywdziliby cię bardziej niż ja? Walczą jak diabły. Arnau przyjrzał się najemnikom: porzucili swe rodziny, idą na wojnę weseli, szczęśliwi. Dlaczego... dlaczego nie mogę iść z nimi?

Okrętowanie wojsk ciągnęło się godzinami. Maria wróciła do domu, Arnau błąkał się po plaży, wśród gapiów. Spotkał kilku towarzyszy z gremium.

— Dlaczego tak się spieszą? — zapytał Raniona, wskazując barki, które kursowały bez przerwy w tę i z powrotem, wypełnione po brzegi żołnierzami. — Przecież pogoda dopisuje i nie zanosi się na sztorm.

— Zaraz zrozumiesz dlaczego — odparł Ramon.

W tym właśnie momencie zarżał pierwszy koń. Po chwili zawtórowały mu setki innych, czekających pod murami na swoją kolej. Z siedmiu karak przeznaczonych do przewozu koni niektóre — te, które towarzyszyły walenckim moźnym lub przyplłynęły z portów w Salou, Tarragonie

i z północy Barcelony — były już pełne.

— Lepiej uciekajmy — ponaglił Arnaua Ramon. — Lada chwila to miejsce zamieni się w pole bitwy.

Po drodze minęli pierwsze prowadzone przez stajennych wierzchowce — wielkie rumaki bojowe, które wierzgały, waliły kopytami w ziemię i kasały, wyrywając się swym opiekunom.

— Wiedzą, że idą na wojnę — stwierdził Ramon, gdy zaszyli się między barkami.

— Wiedzą?

— Pewnie. Dla nich wyprawa statkiem zawsze oznacza wojnę. Popatrz tylko. — Arnau zerknął na morze. Cztery brzuchate karaki o niewielkim zanurzeniu podplynęły jak najbliżej brzegu. Klapy umieszczone na rufie opadły z głośnieym pluskiem na wodę, odsłaniając wnętrze ładowni. — A tym, które nie wiedzą — ciągnął Ramon — udziela się podniecenie innych wierzchowców.

Niebawem plaża zaroila się od koni: setek roslých, silnych, potężnych rumaków przyzwyczajonych do walki. Chłopcy stajenni i giermkowie biegali między nimi, trzymając się jak najdalej od ich kopyt i zębów. Mimo to ten i ów na oczach Arnaua został stratowany lub wyrzucony w górę przez wierzgające zwierzę. Wszędzie panował zamęt i ogłuszająca wrzawa.

— Na co jeszcze czekają?! — Arnau próbował przekrzywić głęki.

Ramon znów wskazał morze. Giermkowie, brodząc po pachy w wodzie, prowadzili w stronę okrętów kilka wierzchowców.

— To przywódcy stada. Za nimi pójdą pozostałe.

Rzeczywiście. Gdy tylko pierwsze zwierzęta wdrapały się na Pochylnię ładowni, odwrócono je łbem do plaży i zaczęły rzeć Jakoszalałe.

Na ten właśnie znak czekały pozostałe konie.

Stado wbiegło do wody, wzbijając pianę, która na kilka chwil przestoniła cały widok. Po bokach szli, trzaskając z batów, oświadczeni maszalerze, którzy mieli za zadanie utrzymać zwierzęta w stadzie i zagonić je prosto na okręty. Konie wyrywały się opiekunom i większość z nich gnała teraz samopas, potrącając się nawzajem. Na chwilę zapanował chaos, krzyki stajennych i trzask batów mieszały się z rżeniem koni chcących wejść na statek, i nawoływaniem z plaży. Gdy wszyscy konie trafiły pod pokład, zamknięto włazy. Karaki były gotowe do podniesienia kotwicy. W porcie zapanował spokój.

W ślad za galerą admirała Perego de Montcada sto siedemdziesiąt okrętów wypłynęło na pełne morze. Arnau i Ramon znów podeszli do brzegu.

— Proszę, wyruszyli na podbój Majorki — skwitował starszy *bastaix*.

Arnau skinął głową w milczeniu. Tak, wyruszyli. Sami, porzucając troski i niedolę. Żegnano ich jak bohaterów, a oni myśleli już tylko o wojnie, wyłącznie o wojnie. Dalby wiele, by płynąć teraz na jednej z tych galer!

Dwudziestego pierwszego czerwca Piotr III uczestniczył w majorkańskiej katedrze we mszy in sede majestatis, odbierając należne mu honory, przyobleczony w odświętne szaty i koronę króla Majorki. Jakub III zbiegł do swych posiadłości w Roussillonie.

Wiadomość dotarła do Barcelony, a potem rozeszła się po całym Półwyspie Iberyjskim. Król zrobił pierwszy krok, by wywiązać się z obietnicy i scalić ziemie podzielone przez Jakuba I. Musiał jeszcze odzyskać hrabstwo Cerdagne i terytorium katalońskie położone po drugiej stronie Pirenejów — Roussillon.

Przez cały dłużący się miesiąc — bo tyle czasu zajęło Katalończykom zdobycie Majorki —

Arnau nie mógł zapomnieć widoku królewskiej floty opuszczającej Barcelonę. Gdy okręty były już daleko, ludzie zaczęli rozchodzić się do domów. On nie miał po co wracać. Nie chciał znów przyjmować miłości i czułości, na które nie zasługiwał. Dlatego usiadł na piasku i siedział jeszcze długo po zniknięciu z horyzontu ostatniego żagla

— Im to dobrze, pozostawili zmartwienia na lądzie, powtarzał bez końca. Cały miesiąc — ilekroć Aledis dopadała go na zboczach Montjuic lub Maria zawstydziała swym oddaniem — rozbrzmiewały mu w uszach krzyki i śmiechy algomawarów, a przed oczami stawały odpływające okręty. Wcześniej czy później wszystko się wyda. Niedawno, gdy Aledis jęczała, siedząc na nim okrakiem, usłyszeli czyjś krzyk Zamarli na chwilę, ale potem Aledis zachichotała i znowu się na niego rzuciła. Jeśli się wyda... Spadnie na niego hańba, zostanie usunięty z bractwa. Co z nim wtedy będzie? Jak zarobi na chleb?

Kiedy 29 czerwca 1343 roku cała Barcelona wyległa witać królewską flotę u ujścia rzeki Llobregat, Arnau wiedział już, co robić. Król, zgodnie ze swą obietnicą, ruszy na podbój Roussillonu i Cerdagne, a on, Arnau Estanyol, będzie mu towarzyszył. Musi uciec od Aledis! Być może podczas nieobecności zapomni o nim, a po powrocie... Arnau wzdrygnął się: idzie na wojnę, a na wojnie giną ludzie. A może po powrocie rozpocznie nowe życie u boku Marii — już bez Aledis?

Piotr III rozkazał okrętom wpływać do portu w określonym porządku: najpierw galera królewska, potem okręt księcia Piotra, ojca Perego de Montcada, Pedra de Eixerica i tak dalej.

Podczas gdy reszta floty czekała, królewska galera wpłynęła do portu i wykonała rundę honorową na oczach wiwatujących, pełnych podziwu poddanych zgromadzonych na plaży.

Okręt przepłynął przed Arnauem, witany entuzjastycznymi okrzykami. *Bastaixos* i przewoźnicy stali na plaży, tuż przy brzegu, gotowi do budowy mostu, po którym monarcha mógłby zejść na ląd. Tuż obok, również wyczekujących pozach, stali patrycjusze — Francesc Grony, Bernat Santcliment i Galcerà Carbó — w otoczeniu cechmistrzów. Przewoźnicy zaczęli ustawiać w poprzek swe łodzie, ale dostojnicy ich powstrzymali.

Co się dzieje? Arnau zerknął na pozostałych *bastaixos*. Jak Monarcha zejdzie na ląd bez pomostu?

— Król powinien pozostać na pokładzie — usłyszał, jak Francesc Grony tłumaczy panu Santcliment. — Wojska muszą wyruszyć na Roussillon, zanim król Jakub ściągnie posiłki i sprzymierzy się z Francuzami.

Wszyscy obecni przytaknęli. Arnau pobiegł wzrokiem ku królewskiej galerze, która kontynuowała rundę honorową wzdłuż wybrzeża. Jeśli król nie zejdzie na ląd, jeśli flota wyruszy do Roussillonu, nie zatrzymując się w mieście... Nogi się pod nim ugięły. Król musi zejść na ląd!

Nawet doradca królewski, hrabia Terranova, który zatrzymał się w Barcelonie pod nieobecność monarchy, był przeciwko niemu. Arnau rzucił mu gniewne spojrzenie.

Trzej patrycjusze, hrabia Terranova oraz kilku innych przedstawicieli władz miejskich wsiadło do łodzi, która zawiozła ich na królewską galere. Arnau przekonał się, że nawet jego towarzysze popierają plan miejskich dygnitarzy: „Nie można dopuścić, by król Majorcki przegrupował wojska”, mówili, kiwając głowami.

Rozmowy trwały wiele godzin. Mieszkańcy nie opuszczali plaży, czekając na decyzję króla.

Ostatecznie nie zbudowano pomostu, ale nie wyruszono też od razu na podbój Roussillonu i Cerdagne. Król uznał, że w obecnej sytuacji nie można kontynuować kampanii: brakowało pieniędzy na wojnę, podczas morskiej przeprawy większość rycerzy straciła konie, więc i tak musia-

laby opuścić okręt. Poza tym trzeba było uzupełnić zapasy żywności przed wyruszeniem na podbój nowych terytoriów. Władze miejskie chciały uczcić zdobycie Majorki, jednak król sprzeciwił się temu pomysłowi i kazał odłożyć świętowanie na później, gdy całe dawne królestwo zostanie na powrót scalone. Dlatego też 29 czerwca 1343 roku Piotr III zszedł na ląd jak zwykły żeglarz, skacząc z łodzi do wody.

Jak powiedzieć Marii, że chce zaciągnąć się do armii? Reakcja Aledis go nie obchodziła, nic nie zyska, wydając go, Arnau ruszał na wojnę, po cóż więc miałyby szkodzić? Pomyślał o matce Joana — jeśli cudzołóstwo wyjdzie a jaw, Aledis spotkać może ten sam los, i ona o tym wie. Ale Maria. Jak powiedzieć Marii?

Spróbował. Spróbował się z nią pożegnać, gdy masowała mu plecy. „Idę na wojnę”, chciał jej oznajmić. Tak po prostu: „Idę na wojnę”. Na pewno zaleje się łzami. A przecież to nie jej wina. Spróbował, gdy podawała mu kolację, ale jej słodkie spojrzenie odebrało mu głos. „Coś ci dolega?”, zapytała. Próbował nawet w łóżku, gdy skończyli się kochać, ale wtedy Maria go głaskała.

Tymczasem w mieście wrzało. Wbrew oczekiwaniom poddanych, król zwał na wyruszenie na podbój Cerdagne i Roussillonu. Rycerze domagali się żołdu i odszkodowań za utracone konie i broń, ale królewski skarbiec świecił pustkami. Dlatego wielu rycerzy — między innymi Ramon de Anglesola, Joan de Arborea, Alfonso de Llória i Gonzalo Diez de Aronós — wróciło do swych posiadłości.

Król zdecydował, że tym razem poprowadzi do boju prosty lud, i zwołał *host*, pospolite ruszenie całej Katalonii. Kazał bić we wszystkie dzwony w księstwie i wygłaszać z ambon żarliwe kazania, by skłonić wolnych obywateli do ruszenia na wojnę. Moźni występowali z armii! Ojciec Albert przemawiał płomiennie, jego słowa brzmiały głośno i dobitnie, gestykulował z ożywieniem. Jakże król Piotr ma bronić Katalonii? A jeśli władca Majorki, zachęcony postawą wielmożów, sprzymierzy się z Francuzami i zaatakuje Katalonię? Nie byłby to zresztą pierwszy raz! Głos ojca Alberta poruszał wiernych. Czy już zapomnieliście? Przecież słyszeliście o francuskiej wyprawie Nyżowej przeciwko Katalonii. Wtedy stawiliśmy opór. A teraz? Czy i tym razem szczęście nam dopisze, jeśli pozwolimy Jakubowi III otrząsnąć się po klęsce?

Arnau wpatrywał się w kamienną figurkę Madonny z Dzieckiem. Gdyby chociaż mieli dziecko. Wtedy sprawy na pewno nie posunęłyby się tak daleko. Aledis nie byłaby dla niego taka okrutna. Gdyby mieli dziecko...

— Złożyłem śluby — szepnęła nagle do Marii, gdy kapral nadal werbował żołnierzy. — Pójdę na wojnę. Może gdy Wrócę Madonna pobłogosławi nas potomstwem.

Maria odwróciła się, chwyciła dłoń męża i ucisnęła ją mocno. Potem ona również spojrzała na Madonnę.

— Nie możesz mi tego zrobić! — krzyknęła Aledis, gdy Arnau powiedział jej o swoim postanowieniu. Arnau próbował uciszyć ją gestem ręki, ale ona wciąż krzyczała: — Nie możesz mnie tak zostawić! Powiem wszystko...

— I co ci to da? — przerwał jej Arnau. — Ja będę już wtedy na wojnie. Zgubisz samą siebie.

Spojrzeli sobie w oczy. Jak zwykle siedzieli w zaroślach. Dolna warga Aledis drżała. Jakaż ona piękna! Arnau chciał dotknąć jej policzka, po którym zaczęły płynąć łzy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

— Żegnaj, Aledis.

— Nie możesz mnie zostawić — łkała.

Osunęła się na kolana, z głową w ramionach. Cisza sprawiła, że podniosła na niego wzrok

— Dlaczego mi to robisz? — szlochała.

Arnau patrzył na łzy spływające po jej twarzy, na ciało wstrząsane spazmami. Zagryzł wargi i uciekł wzrokiem ku szczytowi góry Montjuïc, skąd znosił kamienie. Po co krzywdzić ją jeszcze bardziej? Rozwarł ramiona.

— Muszę, zrozum.

Aledis podczołgała się do niego na kłęczkach i dotknęła jego nóg.

— Muszę! — powtórzył Arnau, odsuwając się. A potem ruszył w dół ku miastu.



To były prostytutki, zdradzały je barwne stroje. Aledis nie wiedziała, czy powinna do nich podejść, nie mogła się jednak oprzeć woni przygotowywanej przez nie zupy. Umierała z głodu. Bardzo zmizerniała. Młode dziewczyny, jej rówieśniczki, krzątały się przy ognisku, gawędząc wesoło. Dostrzegły ją przy obozowych namiotach i zaprosiły do siebie, ale... to przecież nierządnice. Aledis spojrzała na siebie: miała na sobie brudne, cuchnące łachmany. prostytutki skinęły na nią ponownie, a ona zapatrzyła się na ich jedwabne, pobłyskujące w słońcu ubrania. Nikt nie chciał jej pomóc. A przecież prosiła o coś do jedzenia we wszystkich namiotach, szopach, przy ogniskach. Czy ktokolwiek się nad nią ulitował? Potraktowano ją jak zwykłą żebraczkę. Prosiła o jałmużnę — o kromkę chleba, ochłap mięsa lub choćby kawałek jarzyny — ale napluto na jej wyciągniętą rękę. A. potem wyśmiano. Te kobiety są ladacnicami, ale przynajmniej zaprosiły ją na zupę.

Król zwołał wojsko do Figueras, miasta na północy Katalonii. Stawili się tam żołnierze, którzy nie opuścili monarchy, oraz pospolite ruszenie, również oddziały z Barcelony. Był wśród nich Arnau Estanyol, nareszcie spokojny, pełen optymizmu, zbrojony w odziedziczoną po ojcu kuszę oraz sztylset o stępionym czubku.

Jednak król Piotr zgromadził w Figueras nie tylko tysiąc dwustu jeźdźców i cztery tysiące piechurów. Wraz z nim ściągnęła tu innego rodzaju armia, złożona z rodzin żołnierzy — głównie almogawarów, którzy prowadzili koczowniczy tryb życia i wędrowali z całym dobytkiem — kupców, ostrzących sobie zęby na skarby złupione przez wojsko, oraz z handlarzy niewolników, klechów, szulerów, złodziejaszków, prostytutki, żebraków i wszelkiego rodzaju nędzarzy, którzy Ignęli do padliny niczym sępy. Była to potężna tylna straż, wędrująca w ślad za wojskiem i rządząca się własnymi prawami, niezadko okrutniejszymi niż prawa wojny, na której pasożytowała.

Wśród tej niejednorodnej ciżby znalazła się również Aledis. Pożegnalne słowa Arnaua rozbrzmiewały jej w uszach, gdy po raz kolejny poczuła, jak chropowate i pomarszczone ręce sięgają do najbardziej intymnych zakątków jej ciała. Rzęzenie starego garbarza złało się z jej wspo-

mnieniami. Starzec uszczyptał ją w srom. Aledis ani drgnęła. Staruch uszczyptał ją znowu, tym razem znacznie mocniej, domagając się gotowości, jaką zawsze udawała przed nim jego młoda żona. Jednak kobieta zacisnęła uda. Dlaczego mnie porzuciłeś, Arnau? — pomyślała, czując, że Pau włączył na nią i rękami próbuje utorować sobie drogę do jej wnętrza. Ustąpiła i rozłożyła nogi, a gorycz podchodziła jej do gardła. Nie dała po sobie poznać, że zbiera jej się na wymioty. Staruch wił się na niej niczym gad. Przekęciła głowę i zwymiotowała na łóżko. Nawet tego nie zauważył. Nadal nacierał na nią niedołążnie, podtrzymując rękami swą obwisłą męskość. Trzymał głowę na jej piersiach i gryzł miękkie z obrzydzenia sutki. Gdy skończył, osunął się na sienniki i zasnął. Nazajutrz Aledis spakowała do tobołka swój lichego dobytek, trochę jedzenia oraz kilka monet skradzionych mężowi i jak gdyby nigdy nic wyszła z domu.

Minęła klasztor Sant Pere de les Puelles i znalazła się murami Barcelony, na wiekowym rzymskim trakcie, który ją zaprowadził do Figueras. Przeszła przez bramę miasta ze spuszczoną głową, nie patrząc na żołnierzy, choć miała ochotę rzucić się do ucieczki. Potem spojrzała na jasne, błękitne niebo i ruszyła na spotkanie przyszłości, uśmiechając się do licznych wędrowców, którzy zmierzali do wielkiego miasta. Arnau również porzucił żonę. Pewnie poszedł na wojnę tylko po to, by się od niej uwolnić! Niemożliwe, by kochał Marię. Ona, Aledis, czuła to, gdy byli razem. Gdy w nią wchodził! Znała jego myśli, wiedziała, że kocha tylko ją. A już niebawem, gdy ją ujrzy... Aledis wyobraziła sobie, jak biegnie ku niej z otwartymi ramionami. Uciekną! Tak, uciekną i już zawsze będą razem.

Przez pierwsze godziny szła z grupką wieśniaków, którzy wracali do domu, sprzedawszy w mieście plony. Wyjaśniła im, że spodziewa się dziecka i idzie powiedzieć o tym mężowi. Dowiedziała się od nich, że od Figueras dzieli ją pięć lub sześć dni marszu i że nie powinna zbacać z traktu aż do Gerony. Miała również okazję wysłuchać rad dwóch bezzębnych i bosych babin, które zdawały się łamać pod ciężarem pustych koszy, mimo to pruły przed siebie z energią nijak niepasującą do ich stareńkich i zasuszonych ciał.

— Kobieta nie powinna samotnie zapuszczać się na te szlaki — rzuciła jedna z nich, kręcąc głową.

— Oj nie, nie — zawtórowała jej towarzyszka.

Minęło kilka sekund, tyle, ile zajęło starowinom zaczerpnięcie oddechu.

— Zwłaszcza gdy jest młoda i piękna — dodała ta druga.

— Święta prawda — potwierdziła pierwsza.

— Cóż złego może mi się przytrafić? — zapytała naiwnie Aledis. — Przecież trakt jest pełen ludzi, dobrych ludzi, takich jak wy.

Znowu musiała zaczekać na odpowiedź. Babiny słyły przez chwilę w milczeniu, tym razem nieco szybciej, by nadążyć za grupką wieśniaków.

— Owszem, nie brak tu wędrowców. Barcelona otoczona jest wioskami, które, podobnie jak my, zawdzięczają byt sąsiedztwu wielkiego miasta. Ale nieco dalej — dodała staruszka, patrząc cały czas pod nogi — wsie są coraz rzadsze, w pobliżu nie ma żadnych grodów, a drogi pustoszeją i stają się niebezpieczne.

Tym razem druga kobiecina nie powiedziała słowa. Jednak po obowiązkowej przerwie zwróciła się do Aledis:

— Kiedy zostaniesz sama, lepiej nie zwracaj na siebie uwagi. Chowaj się, gdy tylko usłyszysz, że ktoś nadchodzi. Unikaj towarzystwa.

— Nawet rycerzy? — zdziwiła się Aledis.

— Zwłaszcza rycerzy! — wykrzyknęła jedna z babin.

— Na odgłos końskich kopyt kryj się, gdzie popadnie, i klep zdrowaśki! — poradziła druga.

Obie, wyraźnie poruszone, odpowiedziały tym razem jednocześnie, zapominając o przerwie na zaczerpnięcie powietrza. Nawet przystały, przez co zostały daleko w tyle za resztą chłopów. Niedowierzenie na twarzy Aledis było tak wyraźne, że babuleńki, ruszywszy znowu żwawym krokiem, wróciły do tematu:

— Posłuchaj, dziecko — zaczęła jedna, a druga kiwała głową, jeszcze zanim tamta przeszła do sedna — na twoim miejscu wróciłabym do Barcelony i poczekała na męża w domu. Na gościach aż roi się od niebezpieczeństw, zwłaszcza teraz, gdy żołnierze i straż królewska są na wojnie. Rzezimieszki rozmaitej maści czują się bezkarni i wszędzie szerzy się zło i bezprawie, bo nikt nie pilnuje porządku, a król ma ważniejsze sprawy na głowie niż ochrona dróg.

Aledis szła zamyślona obok staruszek. Ma się chować przed rycerzami? Dlaczego? Wszyscy rycerze odwiedzający warsztat garbarski traktowali ją z szacunkiem. Nigdy nie słyszała, by liczni kupcy, zaopatrujący jej męża w surowce, wspominali o rozbojach i gwałtach na katalońskich gościach. Natomiast doskonale pamiętała mrożące krew w żyłach opowieści o niebezpieczeństwach czyhających na uczestników morskich podróży oraz kupców przemierzających ziemie Maurów lub te odleglejsze, należące do sułtana Egiptu. Mąż wspominał, że od ponad dwustu lat katalońskie drogi znajdują się pod szczególną opieką prawa i króla, a złoczyńców trudniących się rozbojem na królewskich gościach czekają wyjątkowo surowe kary. Bezpieczeństwo na traktach jest w handlu ogromnie ważne — mówił — „Jakżeby inaczej nasze produkty docierały do najdalszych zakątków Katalonii?”. Następnie opowiedział jej, jak opowiada się dziecku, że już dwieście lat temu Kościół próbował zaprowadzić porządek na gościach. Wtedy właśnie synody ogłosiły stosowny edykt znany jako *Constituciones de Paz y Tregua*. Jeśli ktoś go pogwałcił, natychmiast zostawał obłożony klątwą. Biskupi zabronili mieszkańcom swych hrabstw i biskupstw napadać na wrogów od hora nona w sobotę, do hora prima w poniedziałek oraz podczas świąt kościelnych. Edykt chronił w sposób szczególny duchownych, świąty nie tudzież wiernych idących na mszę lub wracających z kościoła. *Constituciones*, jak dowiedziała się Aledis, zostały z czasem poszerzone i brały w obronę coraz więcej osób i dobytku, a mianowicie kupców, zwierzęta gospodarcze i juczne, narzędzia rolnicze, gospodarstwa chłopskie, mieszczan, niewiasty, płody rolne, gaje oliwne, wino... Ostatecznie król Alfons I objął tymi przywilejami wszystkie drogi i gościeńce publiczne, oświadczając, że każdy, kto je pogwałci, dopuści się obrazy majestatu. Aledis zerknęła na obładowane tobołkami staruszki, które szły w milczeniu, powłócząc bosymi nogami. Kto odważyłby się dopuścić obrazy majestatu? Jaki chrześcijanin narażałby się na ekskomunikę i napadał na wędrowców na katalońskich gościach? O tym właśnie rozmyślała Aledis, gdy towarzysząca jej grupka chłopów skręciła w stronę San Andres. — Do widzenia, córeczko — pożegnały ją staruszki. Nie lekceważ naszych przestróg — dodała jedna. — Jeśli wszystko nie zawrócisz z drogi, bądź ostrożna. Lepiej nie zachodź do wsi ani do miasteczek. Ktoś mógłby zwrócić na ciebie uwagę i pójść za tobą. Zatrzymuj się wyłącznie w folwarkach, ale tylko tam, gdzie zobaczysz kobiety i dzieci. Aledis odprowadziła wzrokiem chłopów oraz bosonogie żony, starające się za nimi nadążyć. Została sama. Do tej pory szła w towarzystwie wieśniaków, gawędząc z nimi i pozwalając myślom oraz wyobraźni szybować swobodnie i bez troski. Marzyła o spotkaniu z Arnauem, podkescytowana przygodą w którą rzuciła się pod wpływem impulsu, jednak gdy głosy i kroki wie-

śniaków ucichły w oddali, samotność zaczęła jej ciążyć. Czekala ją daleka droga i Aledis — chcąc sprawdzić jak daleka — osłoniła ręką oczy, by chronić je przed słońcem stojącym wysoko na błękitnym niebie. Ani jedna chmurka nie plamiła nieboskłonu, zlewającego się na horyzoncie z niezmiernymi i żywymi ziemiami Katalonii.

Gdy wieśniacy poszli w swoją stronę, Aledis zaczęła doskwierać nie tylko samotność. Czuła się nieswojo w obcym miejscu, nigdy nie miała bowiem do czynienia z tak rozległy mi, otwartymi przestrzeniami, gdzie mogła ogarnąć jednym spojrzeniem nieboskłon i widnokrąg. Rezejrzała się. Popatrzyła przed siebie, tam, gdzie podobno znajdowało się Figueras. Nogi się pod nią ugięły. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Nic, pustka. Barcelona pozostała daleko w tyle, a otaczające Aledis ziemie były zupełnie obce. Poszukiwała wzrokiem dachów, które do tej pory zawsze zasłaniały jej nieznaną cud natury — ogrom nieba. Wciągnęła powietrze, chcąc wyłować swoje zapachy, woń garbowanej skóry... Nastawiła ucha, by usłyszeć nawoływania przechodniów, zgiełk tętniącego życiem miasta. Wszystko na nic, była zupełnie sama. Nagle przypomniała sobie przestrogi staruszek. Obejrzała się i spróbowała wypatrzeć w oddali Barcelonę. Ma przed sobą pięć lub sześć dni drogi! Gdzie będzie spała? Czym się pożywi? Zważyła w rękę węzełek z całym swym dobytkiem. A jeśli staruszki miały rację? Jak sobie poradzi? Co zrobi, jeśli zaczepi ją jakiś rycerz lub opryszek? Słońce stało już wysoko na niebie. Wzrok Aledis znów powędrował za widnokrąg, gdzie czekało na nią Figueras i... Arnau.

Zdwoiła czujność. Miała teraz oczy i uszy szeroko otwarte, nasłuchiwała najłżejszego odgłosu, który zakłóciłby panujący na drodze spokój. W samo południe dotarła w okolice Montcady, gdzie zamek na wzgórzu, dzielącym nazwę z grodem, bronił dostępu do równiny otaczającej Barcelonę. Gościniec znów zapelniał się chłopami i kupcami. Aledis przyłączyła się do nich, jakby i ona zmierzała do grodu, ale na przedmieściach, przypomniawszy sobie przestrogi staruszek, zoczyła z drogi i obesła miasto szerokim łukiem.

Z radością zauważyła, że boi się mniej niż na początku samotnej podróży. Na północ od Montcady nadal napotykała chłopów i kupców. Większość szła pieszo, tylko niektórzy jechali na wozach, mułach lub osłach. Wszyscy pozdrawiali się uprzejmie i Aledis bardzo podobała się ta serdeczna atmosfera. Znowu przyłączyła się do grupki wędrowców, tym razem kupców podążających do Ripollet. Z ich pomocą przeprawiła się przez rzekę Besós, ale wkrótce potem ich szlaki się rozeszły i kupcy skręcili na lewo. Aledis obesła Val Romanas, ale zaraz za grodem drogę przecięła jej główna odnoga rzeki Besós. O tej porze roku była jeszcze tak rwąca, że o samodzielnej przeprawie nie mogło być mowy.

Aledis zerknęła na rzekę i na ospałego przewoźnika czekającego na brzegu. Mężczyzna uśmiechnął się do niej z niezrozumiałą pobłażliwością, ukazując czarne zęby. Aby kontynuować podróż, Aledis, chcąc nie chcąc, musiała skorzystać z jego usług. Sięgnęła do wszytych w bluzkę tasemek by jak najszczelniej zasłonić dekolt, ale węzełek, który niosła, utrudniał jej ruchy. Zwolniła kroku. Zawsze podziwiano jej zgrabne ruchy, a ona starała się podkreślić swój wdzięk, ilekroć czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Zepsute zęby to nic w porównaniu z resztą! Chłop był dosłownie porośnięty brudem. Może lepiej upuścić węzełek? Nie, zauważy. Ale czego się tu bać? Koszula przewoźnika była sztywna od pyłu. A stopy? Wielki Boże! Pod brunatną skorupą prawie nie było widać palców. Powoli. Spokojnie — Chryste Panie, co za obleśny typ, pomyślała Aledis.

— Chcę dostać się na drugi brzeg — rzekła.

Przewoźnik przeniósł wzrok z jej piersi na wielkie, kaszkowe oczy.

— Aha — rzucił tylko, po czym zaczął znowu się bezwstydnie jej piersiom.

— Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Aha — powtórzył przewoźnik, tym razem nie podnosząc nawet wzroku.

Przez długą chwilę słychać było tylko szum rzeki. Aledis czuła, że mężczyzna rozbiera ją wzrokiem. Zaczęła szybciej oddychać, co jeszcze uwidatniło jej kobiece kształty, a wtedy nabiegle krwią żrenice przewoźnika zaczęły błędzić po jej ciele.

Aledis była sama samiuotka gdzieś w sercu Katalonii, na brzegu rzeki, o której nigdy w życiu nie słyzała, a przez którą już raz się przepawiła, i w towarzystwie zerkającego na nią obleśnie osiłka. Rozejrzała się. Nigdzie nie było żywej duszy. Kilka metrów na lewo, z dala od rzeki, stała szopa sklecona z niechlujnie poukładanych bali, tak samo cuchnąca i zapuszczona jak gospodarz. Przed wejściem, wśród odpadków i śmieci paliło się ognisko, nad nim, na żelaznym trójnogu wisiał kociołek, z którego unosił się zapach tak odrażający, że Aledis wołała nawet nie myśleć, co jest w środku.

— Muszę dogonić armię — powiedziała niepewnie.

— Aha.

— Mój mąż służy w wojsku naszego króla — skłamała, podnosząc głos. — Idę go powiadomić, że oczekuję dziecka. Muszę zdążyć, zanim zostanie wysłany na pole bitwy.

— Aha. — Mężczyzna pokazał czarne zęby, a z kącików jego ust pociekła ślina.

Otarł wargi rękawem.

— Nie potrafisz powiedzieć nic innego?

— A owszem — odparł, mrużąc oczy. — Żołnierze królewscy padają w bitwach jak muchy.

Znienacka uderzył ją na odlew w twarz. Odwróciła się a zaraz potem runęła pod nieludzko brudne stopy napastnika.

Osiłek schylił się, złapał ją za włosy i powłókł do szopy. Aledis zatopiła paznokcie w jego dłoni, mimo to jej nie puścił. Próbowwała wstać, ale potknęła się i znowu upadła. Szybko oprzytomniała i rzuciła się na czworakach na nogi napastnika, w go powalić, lecz on wyrwał się i kopnął ją z całej siły w brzuch.

Już w szopie, gdy rozpaczliwie próbowała złapać oddech, poczuła, jak błoto i ziemia kaleczą jej ciało w rytm ruchów mężczyzny.

W oczekiwaniu na rycerstwo i ścigające z całej Katalonii oddziały pospolitego ruszenia tudziez prowizje król Piotr zatrzymał się w oberży w Figueras, mieście położonym niedaleko granic Roussillonu i mającym przedstawicieli w kortalach. Książę Piotr i jego rycerze rozbili obóz w Pereladzie, a książę Jakub i pozostali możnowładcy — między innymi pan Eixerica, hrabia de Luna, Blasco de Alagó, Juan Ximenez de Urrea, Felipe de Castro i Juan Ferrandez de Luna — rozłożyli się wraz ze swymi oddziałami na przedmieściach Figueras.

Arnaua Estanyola wcielono do wojsk królewskich. Miał dwadzieścia dwa lata i wszystko było dla niego nowe. Obozowisko skupiające ponad dwa tysiące mężczyzn — rozsadzanych euforią z powodu zwycięstwa na Majorce, żądnych wojennych wrażeń, krwi i łupów, czelających bezczynnie, aż król wyda rozkaz do ataku na Roussillon — było zaprzeczeniem ładu panującego w Barcelonie. Z wyjątkiem musztry i ćwiczeń strzeleckich obozowe życie sprowadzało się do hazardu, straszliwych historii wojennych, opowiadanych przez starych wyjadaczy, przechwalających się przed niezaprawionymi w bojach towarzyszami oraz — bo jakżeby inaczej — do rabunków i burd.

Arnau lubił spacerować po obozowisku w towarzystwie trzech rówieśników z Barcelony, równie niedoświadczonych w wojennym rzemiośle jak on. Podziwiał wierzchowce i zbroje, które giermkowie polerowali całymi dniami, a potem wystawiali przed namiot, jakby brali udział w konkursie na najbardziej lśniący bojowy ekwipunek. Z jednej strony olśniewały go końskie rzędy i różnorodność wszelakiej broni, z drugiej o młodości przyprowadził fetor, brud i chmary owadów unoszące się nad śmieciami i odchodami tysięcy ludzi i zwierząt. Straż królewska poleciła wykopac z dala od obozowiska latryny — długie głębokie rowy obok strumyka, który miał odprowadzać nieczystości. Jednak strumień był prawie suchy i nagromadzone odchody rozkładały się, wydzielając nieznośny, lepki fetor.

Pewnego ranka czterem nowym znajomym przechadzającym się wśród namiotów drogę przecięł wracający z ćwiczeń rycerz Koń, który nie mógł się już doczekać zasłużonego obroku i zrzucenia z piersi i boków ciężkiej zbroi, bił kopytami o ziemię, podczas gdy jeździec starał się dotrzeć bezpiecznie do namiotu, lawirując między żołnierzami i dobytkiem nagromadzonym na obozowych uliczkach. Wielki, skoczny rumak, któremu wbijające się brutalnie w pysk wędzidło nie pozwalało pognać rąco do stajni, przebierał nogami w niezwyklej tańcu, tocząc białą pianę.

Arnau i jego kompani ustąpili miejsca rycerzowi, jednak pech chciał, że koń gwałtownie zarzucił zadem na Jaumego, najmniejszego z czwórki, który stracił równowagę i upadł. Jeździec nawet się nie obejrzał i odjechał do pobliskiego namiotu, a drobny Jaume również wyszedłby z całego zdarzenia bez szwanku, gdyby nie zwałił się na grupkę starych rębajłów grających w kości. A że jeden z nich stracił właśnie fortunę, jakiej nie pokryłby żołd ze wszystkich przysyłanych wojen króla Piotra, awantura była nieunikniona. Pechowy gracz rzucił się na Jaumego, by dać upust wściekłości, której wołał nie wyładowywać na swych rosyłych towarzyszach. Był to zwalisty, brodaty mężczyzna o długiej, brudnej czuprynie i minie — świadectwie wielu przegranych partii — która przeraziłaby nawet najmężniejszego wroga.

Stary wojak uniósł intruza jak kukielkę. Jaume nie wiedział, co się dzieje. Właśnie oberwał od konia i stracił równowagę, a teraz jakiś furiat potrząsał nim, wrzeszcząc jak opętany, i okładał go po twarzy tak zawzięcie, że z kącików ust popłynęła mu krew.

Arnau patrzył, jak chłopak przebiera nogami w powietrzu.

— Puść go, ty wieprzu! — wrzasnął, zdumiewając nawet samego siebie.

Świadkowie odsunęli się. Jaume przestał przebierać nogami. Chwilę potem wyładował na ziemi, bo napastnik puścił go, by rozprawić się z żołnierzem, który miał czelność nazwać go wieprzem. Otoczył ich krąg gapiów, którzy zacierali już ręce, ciesząc się, że zaraz będzie widowisko. On, Arnau, przeciw wściektemu żołdakowi. Gdyby go chociaż nie obraził. Co go podkusiło, by nazwać tego osiłka wieprzem?

— To nie jego wina... — wyjąkał, wskazując na Jaumego który rozglądał się nieprzytomnie.

Żołnierz nie odpowiedział, tylko ruszył na Arnaua niczym rozjuszony byk uderzył go głową w pierś i odrzucił na kilka metrów, zmuszając gapiów do rozstąpienia się. Arnau poczuł, że ból rozrywa mu klatkę piersiową. Nagle zabrakło mu cuchnącego powietrza, do którego wdychania zdążył się już przyzwyczać. Zaczął poruszać rozpaczliwie ustami, żeby się nie udusić. Próbował wstać, ale napastnik kopnął go w twarz, posyłając z powrotem na ziemię. Mimo przejmującego bólu głowy wciąż starał się zaczerpnąć powietrza i gdy już, już miał wziąć oddech, otrzymał kolejny kopniak, tym razem w nerki. Pod gradem ciosów zwinął się w kłębek i zacisnął z całej siły powieki.

Kiedy żołdak przestał się nad nim znęcać, Arnau pomyślał, że ma pogruchotane wszystkie kości. Wydało mu się, że przez zasłonę bólu dociera do niego jakiś odgłos.

Nastawił ucha.

Usłyszał raz, a potem jeszcze raz, i znowu, i znowu. Otworzył oczy i powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach, którzy nie przestawali się śmiać: wytykali go palcem i rechotali. W jego obolałych uszach zabrzmiały słowa ojca: „Poświęciłem wszystko, żebyś był wolny”. W jego otępiełym umyśle obrazy i wspomnienia zlały się ze sobą: zobaczył ojca wiszącego na placu Blat... Wstał z twarzą zalaną krwią. Przy pomniął sobie pierwszy kamień, jaki zaniósł Madonnie... Żoldak stał do niego tyłem. Wysilek, jakiego wymagało przy dźwiganie tamtego skalnego bloku... ból, cierpienie i przepelniająca go duma, gdy składał kamień na placu przed kościołem...

— Ty wieprzu!

Brodacz odwrócił się na pięcie. Szelest jego ubrania poniósł się po całym obozowisku.

— Głupi wieśniaku! — wrzasnął, znowu ruszając na Arnaua. Żaden kamień nie był tak ciężki jak ten wieprz. Żaden kamień... Arnau rzucił się na żołnierza i wczepił w niego, uniemożliwiając mu zadanie ciosu. Poturlali się po piachu. Arnau zerwał się pierwszy, ale miał uderzyć napastnika, złapał go za włosy i za skórzany pas, uniósł nad głową jak kukłę i cisnął na gapiów.

Brodacz wpadł z hukiem w otaczających ich żołnierzy.

Jednak ta nauczka nie ostudziła jego zapędów. Zahartowany w walce, po kilku sekundach stanął znów przed Arnauem, który już na niego czekał. Tym razem nie rzucił się na niego, lecz zamachnął, jednak i tym razem młodzieniec okazał się szybszy: odparował cios, chwytając przeciwnika za przedramię, obracając go i wyrzucając wysoko w powietrze. Jednak nie wyrzadzał większej krzywdy wojakowi, który raz po raz wznawiał atak.

W końcu, gdy żołnierz oczekiwał, że przeciwnik znowu ciśnie nim o ziemię, Arnau uderzył go pięścią w twarz, wkładając w ten cios całą buzującą w nim wściekłość.

Widzowie umilkli. Brodacz zwałił się nieprzytomny nogi Arnaua, który najchętniej zaczęłby rozcierać obolałe kostki. Opanował się jednak i powiódł wzrokiem, nie opuszczając pięści, jakby gotował się do zadania nowego ciosu. Nie wstawaj — szepnął w duchu, zerkając na żołnierza. — Błagam, nie wstawaj.

Żoldak zaczął zbierać się niezdarnie. Ani się ważył! postawił prawą stopę na twarzy przeciwnika i przycisnął go do ziemi. — Nie wstawaj, psu bracie. Nie wstał. Kompani odciągnęli Arnaua na bok.

— Chłopcze! — rozległ się władczy głos. Arnau odwrócił się i zobaczył rycerza, którego zachowanie spowodowało bójkę, nadal był w zbroi. — Zbliź się.

Arnau wykonał rozkaz, masując ukradkiem dłoń.

— Ja, Eiximen d'Esparca, rycerz jego wysokości króla Piotra Trzeciego, chcę, byś służył pod moimi rozkazami. Zgłoś się do moich żołnierzy.



Trzy dziewczyny umilkły i spojrzały po sobie, bo Aledis rzuciła się na jedzenie jak wygłodzone zwierzę, rękami wylawiając z zupy mięso i jarzyny. Jednak ani na chwilę nie przestawała zerkać znad miski na swoje dobrodziejki. Najmłodsza z nich, blondynka z kaskadą kręconych włosów opadających na błękitną suknię, zacisnęła wargi i zerknęła na towarzyszki. Która z nas przez to nie przechodziła? — zdawała się mówić. Tamte przytaknęły wzrokiem, a potem wszystkie trzy odsunęły się o kilka kroków.

Wówczas wzrok blondynki o kręconych włosach powędrował do wnętrza namiotu, skąd — z dala od prażącego niemilosiernie lipcowego słońca — cztery inne dziewczyny, nieco starsze, oraz ich opiekunka, siedząca na taborecie, uważnie obserwowały nieznaną. Kiedy tylko Aledis zaczęła krążyć wokół namiotu, kobieta na taborecie dała znak dziewczynom na zewnątrz, by ją nakarmiły. Odtąd nie przestawała badawczo się jej przyglądać. Nieznajoma, brudna i w lachmanach, była mimo wszystko piękna i... młoda. Skąd się tu wzięła? Nie jest włóczęgą, nie żebrała. Nie jest również dziewczką uliczną, bo na widok prostyutek instynktownie się cofnęła. Może i jest brudna. Może i ma skołtunione tłuste włosy i podarte ubranie, jednak jej zęby są białe jak śnieg. Ta dziewczyna nie zaznała głodu ani chorób, od których psują się zęby. Co tu robi? Pewnikiem ucieka. Ale od czego? Opiekunka przywołała jedną z siedzących w namiocie kobiet.

— Umyjcie ją i doprowadźcie do porządku — szepnęła jej do ucha.

Kobieta spojrzała na Aledis, uśmiechnęła się i skinęła głową.

Aledis nie wierzyła własnym uszom. „Kąpiel dobrze ci zrobi”, usłyszała, gdy skończyła jeść, od innej prostytutki, która wyszła z namiotu. Kąpiel! Od tylu dni się nie myła! W namiocie naszykowano miednicę z przyjemnie chłodną wodą i Aledis usiadła w niej z podkurczonymi nogami. Trzy dziewczyny, które poczęstowały ją zupą, zakrzętnęły się koło niej i zaczęły ją myć. Cóż szkodzi, że da się trochę porozpieszczać? Nie może przecież stanąć przed Arnauem czarna od brudu. Oddziały króla stacjonowały tuż obok. Tam zapewne go znajdzie. Udało się, dotarła do Figueras! Cóż w tym złego, że pozwoli się umyć? Pozwoliła się również ubrać. Dostała najmniej wy-

zywający strój, ale jednak... „Kobiety lekkich obyczajów muszą nosić kolorowe ubrania”, wytłumaczyła jej kiedyś matka, gdy jako mała dziewczynka pomyliła prostytutkę z możną panią i zeszła jej z drogi. „Więc jak je odróżnić?”, zapytała Aledis. „Z nakazu króla muszą ubierać się kolorowo, nie mogą jednak nosić pelerynki ani żadnego innego okrycia, nawet zimą. Kobiety lekkich obyczajów poznaasz po nagich ramionach”.

Aledis znowu spojrzała na siebie. Kobiety takie jak ona, żony rzemieślników, nigdy nie ubierały się kolorowo, bo nie pozwalał im na to król. A przecież barwne materie są takie piękne! Jednak nie może pokazać się tak Arnauowi. Żołnierze mogliby wziąć ją za... Uniosła rękę, by obejrzeć się z boku.

— I co, podoba ci się?

Odwróciła się i zobaczyła madame. Na znak wchodzącej, Antonia, kędzierzawa blondynka, która pomagała Aledis się ubrać, wyszła z namiotu, zostawiając je same.

— Tak... nie... — Aledis jeszcze raz spojrzała na siebie. Suknia była jasnozielona. Czy znajdzie tu jakieś okrycie na ramiona, by nikt nie wziął jej za kobietę lekkich obyczajów?

Madame zmierzyła ją od stóp do głów. Nie pomyliła się. Te rozkoszne krągłości uszczęśliwiły nawet najbardziej kapryśnego wojaka. A oczy? Ich spojrzenia się spotkały. Olbrzymie. Kasztanowe. Wydają się smutne.

— Co cię tu przywiodło, dziecko?

— Mój mąż. Poszedł na wojnę, nie wiedząc, że zostanie ojcem. Chcę mu powiedzieć, zanim ruszy do walki.

Wyrecytowała to jednym tchem, podobnie jak kupcom, którzy przyszli jej z pomocą w Besós, gdy przewoźnik, zgwałciwszy ją, próbował utopić w rzece. Jednak na widok nadchodzących ludzi rzucił się do ucieczki. Aledis nie zdołała się wyrwać czarnożębnemu mężczyźnie. Łkała, leżąc w błocie, podczas gdy ją gwałcił, a potem włókł do rzeki. Świat przestał dla niej istnieć, słońce zgasło, a sapanie wciskającego się w nią osilka ginęło w jej wnętrzu, zlewając się ze wspomnieniami i bezsilnością. Kupcy ulitowali się nad zhańbioną dziewczyną.

— Musisz powiadomić o wszystkim naczelnika — powiedzieli.

Ale co ma powiedzieć królewskiemu przedstawicielowi? A jeśli jej mąż wysłał za nią pogoń? A jeśli wszystko się wyda? Wszczęto by dochodzenie, a przecież nie może...

— Nie. Muszę dotrzeć do obozu, zanim król ruszy do Roussillonu — powiedziała, wyjaśnwszy, że jest przy nadziei, ale jej mąż jeszcze o tym nie wie. — Gdy opowiem o wszystkim mężowi, on zdecyduje, co robić.

Kupcy towarzyszyli jej aż do Gerony. Rozstali się koło kościoła Świętego Feliksa, pod murami miasta. Najstarszy z kupców pokręcił głową, widząc, że zostaje sama w tak oplakany stan. Aledis przy pomniała sobie, że znajome starszki radziły jej omijać miasta, dlatego nie weszła do sześciotysięcznej Gerony. Z daleka przyjrzała się dachowi kościoła poświęconego Marii i budowanej właśnie katedrze, placowi biskupiemu i wysokiej, masywnej wieży Gironella, Równemu punktowi obronnemu miasta. Jeszcze przez chwilę spoglądała na Geronę, po czym ruszyła ku Figueras.

Madame obserwowała Aledis zatopioną we wspomnieniach. Zauważyła, że drży.

W ślad za wojskiem do Figueras ściągali setki ludzi. Aledis, osłabiona głodem, dołączyła do nich. Nie pamiętała nawet ich twarzy. Poczęstowali ją chlebem i świeżą wodą, dostała też od kogoś trochę jarzyn. Zatrzymali się na nocleg na północnym brzegu rzeki Fluvia, u stóp zamku Pon-

tons, który strzegł grodu Bascara w połowie drogi między Geroną i Figueras. Wtedy właśnie jej dwaj towarzysze podróży odebrali w naturze zapłatę za poczęstunek i zgwałcili ją brutalnie pod osłoną nocy. Jednak Aledis było już wszystko jedno. Przywołała twarz ukochanego, szukając w tym wspomnieniu ukojenia. Nazajutrz powlokła się kilka metrów za swymi prześladowcami niczym pies, jednak tym razem nie dali jej jeść, nawet się do niej nie odezwali. W końcu dotarła do obozowiska.

A teraz... Dlaczego ta kobieta tak się jej przygląda? Nie odrywa oczu od jej... łona! Aledis poczuła, jak sukienka opina płaski, twardy brzuch. Drgnęła i spuściła wzrok.

Madame uśmiechnęła się pod nosem, choć Aledis tego nie dostrzegła. Ileż razy słyszała już takie ciche wyznania? Wy myślane historyjki dziewcząt, które pierwsze badawcze spojrzenie zbijało z tropu. Zdradzało je zdenerwowanie i spuszczały wzrok, zupełnie jak ta nieznajoma. Z iloma ciążami miała już do czynienia? Z tuzinami? Setkami? Nigdy nie widziała kobiety w ciąży z tak płaskim, sprężystym brzuchem. Krwawienie się opóźnia? Być może, ale każda kobieta wolałaby się najpierw upewnić, zamiast od razu gnać taki kawał za mężem, który wyruszył na wojnę.

— W takim stroju nie wejdiesz do obozu. — Na te słowa Aledis podniosła wzrok i znowu spojrziała na siebie. — Nie mamy tam wstępu. Jeśli chcesz, popytam o twojego męża.

— Pani! Zrobilibyście to dla mnie? Dlaczego chcecie mi pomóc?

— Chyba już ci pomogłam. Nakarmiłam cię, umyłam i ubrałam. Czy ktoś inny cokolwiek dla ciebie zrobił w tym obozie wariatów? — Aledis pokręciła głową. Kiedy przypomniła sobie, jak ją potraktowano, ciarki przeszły jej po plecach. — Więc dlaczego tak się dziwisz? — ciągnęła kobieta. Aledis nie wiedziała, co odpowiedzieć. — Jesteśmy kobietami lekkich obyczajów, ale serca mamy miękkie. Gdyby mi ktoś pomógł wiele lat temu... — Popatrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, a jej słowa zawisły pod sufitem namiotu. — No, ale teraz to już bez znaczenia. Pomogę ci. Mam znajomości w obozie i jeśli chcesz, sprowadzę tu twojego męża.

Aledis zastanowiła się. Czemu nie? Madame cieszyła się już na myśl o nowym nabytku. Nietrudno będzie pozbyć się męża, wielu żołnierzy winnych jej jest przysługę. Mała bójka w obozie i po krzyku... A wtedy do kogo zwróci się ta mała? Zostanie zupełnie sama. Będzie jej jadła z ręki. Jeśli rzeczywiście jest w ciąży, kilka monet wszystko załatwi. W końcu to jej chleb powszedni.

— Będę wam bardzo wdzięczna — odezwała się Aledis. Proszę. Już zaczy na być posłuszna.

— Jak się nazywa twój mąż i w jakim oddziale służy?

— Należy do pospolitego ruszenia z Barcelony, a nazywa się Arnau. Arnau Estanyol. — Madame zadrżała. — Słabo pani? — zapytała Aledis.

Kobieta osunęła się na taboret. Oblał ją zimny pot.

— Nie, nic mi nie jest — wysapała. — To przez ten przekłety upał. Podaj mi wachlarz.

To niemożliwe, pomyślała, gdy Aledis sięgała po wachlarz. Pulsowało jej w skroniach. Arnau Estanyol! To niemożliwe!

— Jak on wygląda? — zapytała, wachlując się.

— Och! Nietrudno będzie go odnaleźć. Pracuje jako *bastaix* w porcie. Jest młody, silny, wysoki i przy stojny, koło prawego oka ma znamię.

Madame milczała, nie przestając się wachlować. Myślami bardzo daleko: widziała teraz Narvacles, przyjęcie weselne, siennik, zamek.. Llorenca de Bellera, swą hańbę, głód i cierpienie... Ile to już lat? Dwadzieścia? Tak, dwadzieścia, może trochę więcej. A teraz...

Aledis przerwała jej rozmyślania:

— Znać go? — Nie... nie.

Czy go zna? Prawie go nie pamięta. Była wtedy dzieckiem!

— Pomożecie mi go odnaleźć?

A kto pomoże mnie, gdy go odnajdę? Wołała zostać sama.

— Zgoda — powiedziała i wyprosiła Aledis ruchem ręki. Zostawszy sama, Francesca ukryła twarz w dłoniach. Arnau!

Udało jej się zapomnieć, zmusiła się do tego, a teraz, po dwudziestu latach... Jeśli dziewczyna ma mówić prawdę, nosi w łonie... jej wnuka! A ona chciała go zabić. Dwadzieścia lat! Jak wygląda teraz Arnau? Aledis powiedziała, że jest wysoki, silny i przystojny. Nie potrafiła go sobie przypomnieć, nawet jako noworodka. Wystarała się dla niego o ciepły kąt w kuźni, ale nie mogła go odwiedzić. Banda łajdaków! Byłam jeszcze dzieckiem, a oni gwałcili mnie raz po raz! Po jej policzku spływała łza. Kiedy ostatni raz płakała? Wtedy, przed dwudziestoma laty nie uroniła ani jednej łzy. Dziecku będzie lepiej z Bernatem, tłumaczyła sobie. Dowiedziawszy się o wszystkim, donia Caterina spoliczkowała ją i wydała na łaskę żołdaków. A potem, gdy nawet oni się jej brzydzili, trafiła pod mury zamku. Wraz z mnóstwem podobnych do niej nieszczęśliwych brodziła w odpadkach i śmieciach, bijąc się z nimi o zapleśniałe kawałki chleba nadjedzone przez robaki. Tam spotkała dziewczynkę, która też rozgrzebywała śmieci. Była chuda, ale ładna. I nikogo nie obchodził jej los. A jeśli... Poczęstowała ją resztkami, które odłożyła dla siebie. Dziewczynka uśmiechnęła się, oczy jej rozbłyły. Zapewne nie znała innego życia. Francesca umyła ją w rzecze. Nacierала jej skórę piaskiem, póki nie zaczęła wyć z bólu i zimna. Potem zaprowadziła ją do jednego z żołnierzy pana Navarcles. Tak się wszystko zaczęło. Tak, synu, życie mnie znieczuliło, zamieniło moje serce w kamień. Co powiedział ci o mnie ojciec? Że cię porzuciłam skazałam na pewną śmierć?

Jeszcze tej nocy Francesca wypytała o Arnaua oficerów i żołnierzy najemnych, którym poszczęściło się w grze w karty lub kości i przyszli świętować zwycięstwo z jej dziewczętami.

— *Bastaix?* — powiedział jeden z nich. — Znam go, a jakże. Wszyscy go znają. — Francesca przechyliła głowę. — Podobno zadał bobu staremu wydze, przed którym w wszyscy trzęśli portkami i Eiximen d'Esparca, adiutant samego króla, przyjął go do swej straży przybocznej. Ma znamie koło oka. Wyćwiczył się we władaniu sztyltem i od tej pory stoczył wiele walk i żadnej nie przegrał. Warto obstawiać go w zakładach. — Oficer się uśmiechnął. — Ale, ale... Dlaczego pytasz? — Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Niby czemu nie rozpalic jego wyuzdanej wyobraźni? — pomyślała Francesca. Zresztą i tak nie mogłaby powiedzieć mu prawdy. Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Jesteś za stara dla tego byczka — zaśmiał się żołnierz. Francesca zbyła milczeniem jego słowa.

— Podeślij mi go, a nie pożałujesz.

— Gdzie? Tutaj?

A jeśli Aledis kłamie? Instynkt nigdy jej jeszcze nie zawiodł.

— Nie, tutaj nie.

Aledis odeszła kilka kroków od namiotu Franceski. Była piękna, ciepła i gwiazdzista noc, a księżyc barwił mrok na żółto. Spoglądała to na niebo, to na mężczyzn, którzy wchodzili do namiotu, a zaraz potem wyłaniali się w towarzystwie jednej z dziewcząt. Znikali w małych szalaszach, z których wychodzili jakiś czas potem roześmiani lub milczący. I tak w kółko. Za każdym razem

dziewczyny podchodzą do miednicy, w której niedawno kąpały Aledis, i podmywały się, patrząc na nią bez wstydu. Tak samo patrzyła tamta kobieta, której matka Aledis zabroniła ustępować z drogi. — Dlaczego nie wsadzą jej do więzienia? — zapytała wtedy matkę.

Eulalia zerknęła na córkę, zastanawiając się, czy dorosła już do takich rozmów.

— Nie można jej aresztować. Zarówno król jak i Kościół pozwalają jej uprawiać nierząd. — Dziewczynka spojrzała na matkę z niedowierzaniem. — Tak, córuś, taka jest prawda. Kościół twierdzi, że kobiety wszeteczne podlegają prawu boskiemu, nie ziemskiemu. — Jakże ma powiedzieć dziecku, że Kościół chce z ich pomocą zapobiegać cudzołóstwu i związkom przeciwnym naturze? Eulalia znowu przyjrzała się córce. Nie, jest jeszcze za mała, by mówić jej o związkach przeciwnych naturze.

Antónia uśmiechnęła się do niej, podszedłszy do miednicy. Aledis też wykrzywiła usta, próbując się uśmiechnąć.

Co jeszcze mówiła jej matka? — próbowała sobie przypomnieć. Że nie wolno im mieszkać w obrębie murów miasta ani nigdzie, gdzie żyją ludzie przyzwoici, a te z nich, które nie zastosują się do zakazu, mogą zostać — na żądanie sąsiadów — wypędzone z własnego domu. Że musiały słuchać kazań, mających je nawrócić na drogę cnoty. Że mogły korzystać z łaźni publicznych tylko w poniedziałki i piątki, czyli w dni zarezerwowane dla Żydów i Saracenów. I że z zarobionych pieniędzy mogły dawać jałmużnę, nie wolno im było jednak dawać ofiar na tacę ani na mszę.

Antónia stała w miednicy, jedną ręką się podmywała, drugą trzymała podkasaną spódnicę. Nie przestawała się uśmiechać! Ilekroć prostowała się po nabraniu wody i podnosiła dłoń do sromu, zerkała z uśmiechem na Aledis, która próbowała omijać wzrokiem jej odsłonięte i skłapanie w księżycowej poświacie łono.

Dlaczego się uśmiecha? To jeszcze dziewczynka, a już jest potępiona. Przed kilkoma laty, niedługo po tym, jak ojciec Aledis odrzucił oświadczenia Arnaua, matka zaprowadziła ją i Alestę do klasztoru Świętego Piotra w Barcelonie. „Niech to zobaczą!”, przykazał garbarz żonie. Klasztorny przedsiownik wypełniały wyrwane z zawiasów drzwi, które stały oparte o arkady lub leżały na dziedzińcu. Król Piotr pozwolił przeoryszy wyganiać ze swej parafii — wedle własnego uznania i bez niczyjego pośrednictwa — niemoralne kobiety i wystawiać w klasztorze drzwi wyrwane z ich domów. Przeorysza z zapalem zabrała się do dzieła. A zapal ten był zaiste wielki!

— Tyle rodzin wyrzucono? — zapytała Alesta. Pamiętała, jak ich wyrzucono z domu za nieplacenie czynszu: wtedy też wyrwano im drzwi. Kilka dni później zamieszkali u Perego i Mariony.

— Nie, dziecko — odparła Eulalia. — To drzwi kobiet, które nie potrafiły upilnować swego dziewictwa.

Aledis przypomniała sobie tamtą scenę: mówiąc te słowa, matka wpatrywała się w nią, mrużąc oczy.

Aledis potrząsnęła głową, by odgonić nieprzyjemne wspomnienie, a wtedy jej wzrok znowu padł na Antónię i na jej łono porośnięte, podobnie jak głowa, jasnymi kędziorami. Co zrobiłaby z Antónią przeorysza klasztoru Świętego Piotra?

Francesca wyszła z namiotu i przywołała Antónię. „Chodź no tu!” krzyknęła. Aledis patrzyła, jak dziewczyna wyskakuje z miednicy, wkłada buty i wbiega do namiotu. Potem oczy Aledis natopkały badawcze spojrzenie Franceski. Przez kilka sekund madame mierzyła ją wzrokiem, zanim wróciła do swych zajęć. Co to spojrzenie mogło oznaczać?

Eiximen d'Esparca, adiutant jego wysokości Piotra III, był ważną osobistością, choć raczej ze względu na swe stanowisko niż posturę, bo gdy zsiadł z olbrzymiego rumaka i zdjął zbroję, okazał się człowiekiem niskim i chudym. Słabeusz, uznał Arnau i przestraszył się, że Eiximen odgadnie jego myśli.

Eiximen d'Esparca dowodził kompanią almogawarów, których opłacał z własnej kiesy. Gdy przyglądał się swoim ludziom, zawsze opadały go wątpliwości. Co gwarantuje ich lojalność? Żołd, tylko i wyłącznie żołd. Dlatego królewski adiutant otaczał się strażą przyboczną. Pojedynek stoczony przez Arnaua wywarł na nim duże wrażenie.

— Jaką bronią władasz? — zapytał Arnaua oficer Eiximena d'Esparca. *Bastaix* pokazał mu kuszę ojca. — Wszyscy Katalończycy potrafią strzelać z kuszy, to nasz obowiązek. A poza tym? Arnau pokręcił głową.

— A to? — Oficer wskazał sztylet, który młodzieniec nosił u pasa, po czym, odrzucając do tyłu głowę, ryknął tubalnym śmiechem na widok tępego czubka. — Czymś takim — zarechotał — nie mógłbyś nawet zadrasnąć panience cnoty. Będziesz się wprawiał w walce, ale bronią z prawdziwego zdarzenia.

Oficer poszperał w kufrze i wyjął znacznie dłuższy i większy sztylet. Arnau przejechał palcem po ostrzu. Od tej pory, wraz z innymi członkami straży przybocznej Eiximena d'Esparca, codziennie ćwiczył walkę wręcz. Dostał barwny mundur, kolczugę i hełm, który polerował do połysku, oraz solidne, skórzane buty związane na łydkach krzyżującymi się rzemieniami. Wyczerpujące ćwiczenia uzupełniane były pojedynkami bez broni, toczonymi przez żołnierzy różnych moźnych stacjonujących w obozie. Arnau szybko awansował na pierwszego zawodnika Eiximena d'Esparca i przynajmniej raz dziennie staczał pojedynki na oczach tłumu żołnierzy, którzy dopingowali i obstawiali walczących.

Wkrótce wieść o jego zręczności i sile rozeszła się po obozie. Kiedy w nielicznych wolnych chwilach spacerował między namiotami, czuł na sobie wzrok żołnierzy, którzy na jego widok milki i szturchali się porozumiewawczo!

Oficer Eiximena d'Esparca uśmiechnął się, słysząc prośbę towarzysza.

— Czy i ja będę mógł zabawić się z którąś z dziewcząt? — chciał wiedzieć.

— A jakże. Stara ma wielką chrapkę na twojego żołnierzyka Pojęcia nie masz, jak jej się świeciły oczy.

Wybuchnęli śmiechem.

— Dokąd mam go zaprowadzić?

Francesca umówiła się z nimi w oberży za miastem.

— Nie zadawaj pytań, tylko słuchaj — usłyszał Arnau. — Ktoś chce się z tobą widzieć.

Dwaj oficerowie zaprowadzili go do oberży, a następnie do licej izby, w której czekała Francesca. Gdy wszedł do środka, zatrzasnęli za nim drzwi i zaryglowali je od zewnątrz. Młodzieniec odwrócił się, i widząc, że nie może wyjść, zaczął walić w drzwi.

— Co się dzieje?! — krzyknął. — Co to ma znaczyć?! Odpowiedział mu rechot oficerów.

Arnau nasłuchiwał przez chwilę. Co to wszystko znaczy? Nagle poczuł, że nie jest w izbie sam. Odwrócił się. Francesca stała pod oknem, oświetlona bladym światłem świecy umieszczonej w świeczniku na ścianie i przyglądała mu się. Jej suknia połyskiwała, mimo panującego w izbie półmroku. Prostytutka! Tytu historii o tych kobietach nasłuchiwał się przy obozowym ognisku, tytu towarzyszy przechwalało się, że przepuściło żołd z uliczną dziewczką, zawsze i niezmiennie lepszą,

piękniejszą i bardziej rozpustną niż towarzysza kompana. W takich chwilach Arnau milkł i spuszczał wzrok. Bo on uciekł przed kobietami! Może... może to milczenie i pozorny brak zainteresowania piękną skłoniły jego towarzyszy do zrobienia mu głupiego kawału... Już nieraz docinali mu z tego powodu.

— Co to za żart? — zapytał. — Czego ode mnie chcesz? Wciąż nie widziała jego twarzy. Świeca dawała zbyt słabe światło, ale ten głos... Arnau miał już głos dorosłego mężczyzny i był rzeczywiście potężny i wysoki, Aledis nie kłamała. Francesca poczuła, że drżą jej kolana. Jej syn! Odchrząknęła i powiedziała:

— Nie musisz się obawiać. Nie będę nastawała na twój honor — Poza tym — dodała — jesteśmy sami. Cóż może wskórać słaba kobieta przeciwko młodemu i silnemu mężczyźnie?

— W takim razie dlaczego tamci się śmieją? — spytał Arnau, nie odchodząc od drzwi.

— Niech się śmieją. Męski umysł jest perfidny, wyciąga zawsze najbardziej bezecne wnioski. Być może gdybym powiedziała im prawdę i zdradziła, dlaczego chciałam się z tobą spotkać, nie przystaliby tak chętnie na moją prośbę. Pozwoliłam więc, by wyuzdane myśli pobudziły ich wyobraźnię.

— A cóż innego mieliby myśleć o dziwce, która zamyka się z mężczyzną w izbie oberży? Czego w ogóle można się spodziewać po dziwce?

Jego ton był surowy, agresywny, jednak Francesca zachowała spokój.

— Nawet my, dziwki, jesteśmy istotami ludzkimi — powiedziała podniesionym głosem. — Święty Augustyn uczy, że sądzić nas będzie Bóg, a nie ludzie.

— Zwabiłaś mnie tu, by mówić o Bogu?

— Bynajmniej. — Francesca zrobiła krok naprzód. Musiała zobaczyć jego twarz. — Zwabiłam cię tu, by mówić o twojej żonie.

Arnau zawahał się. Rzeczywiście jest przystojny.

— Co się stało? Jak to możliwe, że...

— Jest w ciąży. — Maria?

— Aledis... — poprawiła go Francesca. Ale, ale, czyżby Powiedział „Maria”?

— Aledis?

Dostrzegła, że Arnau drży. Co to wszystko znaczy?

Tylko papłacie i papłacie! — Usłyszeli walenie w drzwi, i rechot. — Cóż to, madame, ten byczek dla ciebie za jurny?

Wymienili spojrzenia. Na znak Franceski Arnau odsunął się od drzwi. Zaczęli mówić ciszej.

— Mówiłeś coś o jakiejś Marii... — podjęła Francesca, gdy stanęli pod oknem, w drugim końcu izby.

— Moja żona ma na imię Maria.

— Kim w takim razie jest Aledis? Twierdzi...

Arnau pokręcił głową. Posmutniał, czy tylko mi się zdaje? — zastanawiała się Francesca. Młodzieniec skulił się, jego ramiona opadły bezsilnie wzdłuż tułowia, a szyja, przedtem dumnie wyprostowana, zdawała się chylić pod ciężarem głowy. Jednak milczał. Serce Franceski zakolało boleśnie. Co ci jest synku?

— Kim jest Aledis? — powtórzyła.

Arnau znowu pokręcił głową. Porzucił wszystko — Marię, pracę, Madonnę... — byle się od niej uwolnić, ale znowu go dopadła! Na domiar złego jest w ciąży! Wszystko się wyda. Jak wróci

teraz do Barcelony, do pracy, do domu?

Francesca spojrzała w okno. Na dworze panował mrok. Co za dziwny ból chwyta ją za serce? Widziała w życiu tylu upodlonych mężczyzn, tyle zaszczutych kobiet pozbawionych nadziei, była świadkiem śmierci, nędzy, choroby i agonii wielu, wielu ludzi, jednak nigdy aż tak nie poruszyło jej czyjeś cierpienie.

— Chyba kłamie — wydusiła przez ściśnięte gardło, nie odrywając oczu od okna. Poczula, że Arnau drgnął.

— Co masz na myśli?

— Nie sądzę, by była w ciąży. Kłamie.

— To bez znaczenia... — doszły Arnaua jego własne słowa. Znalazła go, to wystarczy. Trafiła za nim aż tu, teraz znowu zacznie go szantażować. Wszystkie jego wysiłki poszły na marne.

— Pomogę ci.

— Niby dlaczego?

Francesca odwróciła się do Arnaua. Ich ubrania prawie się stykały. Mogła go dotknąć. Czula zapach jego skóry. Bo jesteś moim synem! — miała ochotę powiedzieć, trudno o lepszy moment. Ale co powiedział mu o niej Bernat? Po co mu wiedzieć, że jego matka jest dziwką? Wyciągnęła do niego drżącą rękę. Nie odsunął się. Po cóż mu wiedzieć... Cofnęła rękę. Minęło ponad dwadzieścia lat. Przecież jest zwykłą prostytutką.

— Bo mnie oszukała — rzuciła. — Przy garnęłam ją, nakarmiłam, ubrałam. Nie lubię, gdy ktoś próbuje wystrychnąć mnie na dudka. Wyglądasz na chłopca szlachetnego i coś mi się wydaje, że ona próbuje oszukać również ciebie.

Arnau spojrział jej w oczy. I tak wszystko stracone! Z dała od męża i Barcelony nic już Aledis nie powstrzyma. Rozpowie wszystkim o ich związku. Poza tym ta kobieta... Działa na niego kojąco.

Arnau spuścił głowę i zaczął opowiadać.



29

Dwudziestego ósmego lipca 1343 roku Piotr III Ceremonialny, po sześciu dniach spędzonych w Figueras, rozkazał armii zwinąć obóz i ruszać na Roussillon.

— Będziesz musiała zacząć — oznajmiła Francesca, gdy dziewczęta składały namiot, by udać się w ślad za wojskiem. — Gdy król nakazuje wymarsz, żołnierzom nie wolno opuszczać obozu. Może na następnym postoju...

Aledis spojrzała na nią pytająco.

— Przekazałam wiadomość — powiedziała Francesca i dodała jakby od niechcenia: — Idziesz z nami?

Aledis skinęła głową.

— To do roboty.

Tysiąc dwustu jeźdźców i ponad cztery tysiące piechurów w pełnym rynsztunku, z zapasami żywności na osiem dni, wyruszyło do La Junquera, oddalonego nieco ponad pół dnia drogi od Figueras. Za wojskiem ciągnął sznur wozów, mułów i rzesze ludzi. W La Junquera król zarządził popas, gdy z listem od króla Majorki przybył kolejny poseł papieski, tym razem mnich augustinianin. Odkąd po ucieczce z wyspy Jakub II zwrócił się o pomoc do papieża, mnisi, biskupi i kardynałowie nie przestali wstawiać się za nim u Piotra III — jak dotąd bezskutecznie.

Również tym razem król odesłał wysłannika papieskiego z kwitkiem. Wojsko zatrzymało się na noc w La Junquera. Czy nadszedł już właściwy moment? — zastanawiała się Francesca, obserwując Aledis przygotowującą wraz z innymi dziewczętami wieczerzę. Jeszcze nie, uznała. Im dalej od Barcelony i od poprzedniego wcielenia dziewczyny, tym pewniejsze zwycięstwo. „Musimy uzbroić się w cierpliwość”, odparła, gdy Aledis zapytała ją o Arnaua.

Następnego ranka król kazał zwijać obóz.

— Do Panissars! W szyku bojowym! W czterech kolumnach gotowych do walki!

Rozkaz szybko rozniósł się po szeregach. Dotarł również do Arnaua, który wraz z pozostałymi żołnierzami przybocznej straży Eiximena d'Esparc czekał na hasło do wymarszu. Niektórzy prze-

kazy wali sobie rozkaz krzykiem, inni szeptem, jednak we wszystkich głosach pobrzmiwały duma i szacunek. Wąwóz Panissars! Górski przesmyk w Pirenejach, łączący Katalonię z hrabstwem Roussillon. Tej nocy przy wszystkich obozowych ogniskach, rozpalonych zaledwie pół mili od La Junquera, słychać było opowieści o bohaterach z wąwozu Panissars.

To właśnie oni, Katalończycy — ojcowie i dziadowie siedzących teraz przy ogniu żołnierzy — rozprawili się tam z Francuzami. Sami, bez niczyjej pomocy! Przed laty, gdy Piotr Wielki obłożony został przez papieża klątwą za podbicie bez jego zgody Sycylii, król Francji, Filip Śmiały, wypowiedział — w imię chrześcijaństwa! — wojnę odszczepieńcowi i wojska francuskie, z pomocą kilku zdrajców, przekroczyły Pireneje na Przełęczy Macana.

Piotr Wielki musiał dokonać odwrotu, na domiar złego aragońscy możni i rycerze opuścili go i rozjechali się do swych zamków.

— Zostaliśmy tylko my! — krzyknął ktoś w środku nocy, Zagłuszając trzaskający ogień.

I Roger de Lluria! — rozległo się w odpowiedzi.

Król i jego zdziesiątkowane wojska mogli się tylko przyglądać, jak Francuzi wkraczają do Katalonii, i czekać na posilaj z Sycylii, nadpływające pod wodzą admirała Rogera de Lluria. Piotr Wielki rozkazał wicehrabiemu Ramonowi Folchowi z Cardony, dowodzącemu obroną Gerony, wytrzymać oblężenie do przybycia Rogera de Lluria. Wicehrabia z Cardony rozkaz wykonał i bohatercko bronił miasta, póki król nie pozwolił mu skapitulować przed najeżdżcą.

Roger de Lluria pokonał flotę francuską na morzu, z kolei na lądzie wojska francuskie zdziesiątkowała epidemia.

— Po zdobyciu miasta Francuzi sprofanowali grób świętego Narcyza — wtrącił któryś z żołnierzy.

Podobno z otwartego grobowca wyleciały chmury much, tak przynajmniej twierdzą najstarsi mieszkańcy Gerony. Owady sprowadziły na wojska francuskie zarazę. Na widok swych ludzi pokonanych na morzu i chorych na lądzie Filip Śmiały poprosił o rozejm, by uniknąć rzezi podczas odwrotu. Piotr Wielki okazał się wspaniałomyślny, zaznaczył jednak, że może ręczyć wyłącznie za siebie, za swoich rycerzy oraz za możnych.

Arnau słuchał krzyków almogawarów wkraczających do wąwozu Panissars. Oslaniając oczy przed słońcem, zadarł głowę i spojrzął na okalające przesmyk szczyty, od których odbijały się echem wrzaski najemników. Właśnie tutaj ich przodkowie, obserwowani z góry przez Piotra Wielkiego i jego świtę, pod wodzą Rogera de Lluria wycięli w pień wielotysięczną armię francuską. Nazajutrz Filip Śmiały skonał w Perpignan. Tak właśnie zakończyła się jego wyprawa krzyżowa przeciwko Katalonii.

Almogawarzy pokrzykiwali podczas przeprawy przez wąwóz, rzucając wyzwanie niewidzialnemu przeciwnikowi. Wspominał być może opowieści swych ojców i dziadów o wydarzeniach, które miały tu miejsce przed pięćdziesięcioma laty.

Ci obszarpańcy, którzy albo walczyli jako najemnicy, albo powali się po górach i lasach, by łupić i pustoszyć terytoria saraceńskie — lekceważąc sobie pakt o nieagresji zawierane przez władców chrześcijańskich z hersztami Maurów — robili, co im się żywnie podobało. Arnau miał okazję przekonać się o tym już w drodze z Figueras do La Junquera, a teraz z czterech kolumn, na które król podzielił wojsko, tylko trzy maszerowały w zwartym szyku pod chorągwiami. Almogawarzy szli jak zwykle w rozsypce, pokrzykując, śmiejąc się, a nawet strojąc sobie żarty i drwiąc z wroga, który się nie pojawiał oraz z tego, któremu swego czasu przetrzepali skórę.

— Nie mają dowódców? — zapytał Arnau, gdy Eiximen d'Esparca rozkazał swym oddziałom się zatrzymać, a almogawarzy, głusi na jego rozkaz, kroczyli bezładną hałastrą.

— Patrząc na to, co się tu wyprawia, rzec by można, że nie — odparł doświadczony żołnierz stojący na baczność, podobnie jak wszyscy inni członkowie przybocznej straży królewskiego giermka.

— Ano właśnie.

— A jednak mają dowódców i są im ślepo posłuszni. Ich wodzowie w niczym nie przypominają tych — wojak spoglądając na Eiximena d'Esparca, udał, że łapie muchę i potrząsa nią w powietrzu. Arnau roześmiał się, zawtórowało mu kilku kompanów. — Almogawarzy mają prawdziwych wodzów — ciągnął stary wiarus, poważniejąc — nie takich, którym rangę zapewnia pochodzenie, nazwisko lub protekcja tego czy innego hrabiego. Ich wodzowie nazywają się adalils. — Arnau zaczął przyglądać mijającym go almogawarom. — Nie, szkoda wysiłku — usłyszał — niczym nie odróżniają się od innych. Ale almogawarzy dobrze wiedzą, kto im przewodzi. Przyszły adalil musi się wykazać czterema zaletami: umiejętnością zawiadywania zbrojnymi hufcami, walecznością i zdolnością zaszczepienia tejeż swym podwładnym, wrodzonym kentem przywódczym, a przede wszystkim lojalnością.

— Podobno cechy te nie są obce i jemu — wtrącił u i wskazał królewskiego adiutanta, palcami prawej ręki powtarzając gest żołnierza.

— Tak, ale on nie musi nic nikomu udowadniać. Natomiast adalil zostaje wodzem, tylko jeśli dwunastu innych adalils przyśięgnie na własne głowy, że kandydat spełni pokładane w nim nadzieje. Nie chybi ostalibyśmy się bez moźnych, gdyby musieli oni ręczyć w ten sposób za cnoty swych kompanów zwłaszcza za jeśli chodzi o... lojalność.

Żołnierze przysłuchujący się rozmowie z uśmiechem kiwali głowami. Arnau znowu spojrzął na almogawarów. Jak to możliwe, że potrafią zabić konia zwykłą włócznią, i to podczas szturmów?

— Wodzom adalils — ciągnął wojak — podlegają bezpośrednio almogatens. Wymaga się od nich znajomości taktyki wojennej, waleczności i lojalności, a wybierani są w taki sam sposób: dwunastu innych almogatens składa przy sięgę, ręcząc za kandydata.

— Głową? — upewnił się Arnau.

— Głową — potwierdził wiarus.

Jednak młodzieniec nie podejrzewał, że almogawarzy mogą się posunąć w swym zuchwałstwie do zlekceważenia rozkazów samego króla. Piotr III wyraźnie zazaczył, że po przejściu Pannissars wojska mają się udać do Perpignan, stolicy Roussillonu. Jednak almogawarzy odłączyli się od armii i pognali w kierunku zamku Bellaguarda, wzniesionego nad wąwozem na górze o tej samej nazwie.

Arnau i żołnierze Eiximena d'Esparca patrzyli, jak pędzą z krzykiem pod górę, zupełnie jak przed chwilą w wąwozie. Królewski adiutant zerknął na monarchę.

Piotr III nie kiwnął palcem. Jak niby ma powstrzymać tych najemników? Spiał konia i jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie. Dawał tym samym znak swemu adiutantowi, że zezwala na zdobycie zamku, ale Eiximen d'Esparca płaci żołąd almogawarom, więc nie powinno go zabraknąć tam, gdzie jest łup. Tak więc, podczas gdy większość armii podążała w zwartym szyku w kierunku stolicy Roussillonu, królewski adiutant i jego ludzie zoczyli z drogi w ślad za almogawarami.

Otoczyli zamek i przez resztę dnia oraz całą noc najemnicy ścinałi drzewa potrzebne do budowy maszyn oblężniczych oraz wielkiego tarana na kołach — pokrytego skórą dla wygody ob-

sługujących go wojowników — przywiązanego sznurami do umieszczonego wyżej bala.

Arnau stał na warcie naprzeciwko murów Bellaguardy. Jak się szturmuje zamek? Będą biegli pod górę, widoczni jak na dłoni, w gradzie strzał obrońców skrytych na blankach? Tak, już czekają na nich tam na górze. Arnau widział postacie wyglądające zza występów. Niekiedy wydawało mu się, że patrzy wprost na niego. Wyglądali na spokojnych, natomiast on drżał, czując na sobie ich wzrok.

— Zdają się bardzo pewni siebie — powiedział do jednego z doświadczonych żołnierzy stojących obok.

— To tylko pozory — usłyszał w odpowiedzi. — Jest im zdecydowanie mniej do śmiechu niż nam. Tym bardziej że dostrzegli już almogawarów.

Almogawarzy, znowu ci almogawarzy. Arnau odwrócił się w ich stronę. Pracowali bez wytchnienia, teraz karni i zorganizowani. Nikt się nie śmiał ani nie kłócił, wszyscy się uwijali.

— Dlaczego mają się ich bać, skoro chronią ich grube mury? — zapytał.

Wiarus się roześmiał.

— Nigdy nie widziałeś almogawarów w boju, prawda? — Arnau pokręcił głową. — Poczekaj, a sam się przekonasz.

Więc czekał, drżąc na gołej ziemi. Noc była niespokojna, najemnicy nadal budowali maszyny oblężnicze przy świetle pochodni obnoszonych po obozowisku.

O świcie, gdy słońce zaczęło się wyłaniać zza horyzontu, Eximen d'Esparca rozkazał wojskom stanąć w szyku bojowym.

Blade światło poranka ledwie rozświetlało mroki nocy. Arnau poszukał wzrokiem najemników. Tym razem wykonali rozkaz i ustawili się na wprost zamku. Powędrował wzrokiem ponad ich głowami i spojrzął na fortecę. Na murach pogasły światła ale obrońcy nie opuścili swych posterunków, przez całą noc przygotowywali się do odparcia szturmu. Arnaua przeszły ciarki. Co ja tu robię? Ranek był chłodny, mimo to jego dłonie zaciśnięte na kuszy nie przestawały się pocić. Wokół panowała cisza. Przecież mogą zginąć. W ciągu dnia obrońcy niejednokrotnie zerkali w jego kierunku: patrzyli na niego, na prostego tragarza portowego. Twarze tych ludzi, dotychczas zamazane w oddali, stanęły mu teraz przed oczyma. Tak czekają na niego! Zadrżał. Kolana mu się trzęsły, rozpaczliwie starał się zapanować nad szcękającymi zębami. Przy cisnął kuszę do piersi, by nikt nie zauważył, jak bardzo drżą mu ręce. Oficer powiedział, że gdy padnie rozkaz do ataku, ma biec w stronę murów, przypaść do skał i ostrzeliwać zza nich zamek. Sęk w tym, że musi skryć się za skałami, zanim go zabiją. Uda mu się? Nie odrywał oczu od kamieni: ma tam dobiec, schować się za nimi, strzelić, znowu się schować, znowu strzelić...

Nagle ciszę przeciął krzyk.

Rozkaz! Skały! Arnau skoczył do przodu, ale oficer złapał go za ramię.

— Jeszcze nie — syknął.

— Ale...

— Jeszcze nie — powtórzył. — Patrz. Wskazał na almogawarów.

W ich szeregach znowu rozległ się krzyk.

— Budź się, żelazo!

Arnau patrzył na nich osłupiały. Po chwili wszyscy krzyczeli chórem:

— Budź się, żelazo! Budź się, żelazo!

Zaczęli trącać się włóczniami i nożami, aż w końcu szczęk broni zagłuszył nawet ich krzyki.

— Budź się, żelazo!

Metal zaczął się budzić: broń uderzała o siebie lub o kamienie, sypał się deszcz iskier. Arnaua znów przeszły ciarki. Z czasem setki, tysiące iskier rozjaśniły mrok, otaczając almogawarów powiatą. Arnau zdumiał się, czując, że i on wymachuje swoją kuszą.

— Budź się, żelazo — krzyczał. Przestał się pocić, już nie dygotał. — Budź się, żelazo!

Powiódł wzrokiem po murach zamku, które wyglądały, jakby miały się zaraz rozsypać od krzyków almogawarów. Ziemia trzęsła się pod nogami, iskry tworzyły coraz jaśniejszą lunę. Nagle rozległ się głos trąbki i wrzask przerodził się w przeraźliwe wycie:

— Święty Jerzy! Święty Jerzy!

— Teraz! — krzyknął oficer, popychając Arnaua w ślad za dwiema setkami żołnierzy pędzących zaciekle do ataku. Arnau dopadł skał i ukrył się za nimi wraz z oficerem i z oddziałem kuszników. Skoncentrowawszy się na jednej z drabin przystawionych do murów, wziął na cel postacie strącające nacierających almogawarów, którzy wciąż wyli jak opętani. Udało się. Trafił dwóch obrońców w miejsca, gdzie nie chroniła ich kolczuga, i widział, jak osuwają się za blanki.

Gdy jedna z atakujących grup wdarła się na mury, oficer trącił go w ramię i kazał przerwać ostrzał. Taran okazał się niepotrzebny. Kiedy almogawarzy przedostali się na blanki, rozwarły się bramy zamku, przez które wypadli cwałem rycerze umykający przed niewolą. Dwóch dosięgły nieprzyjacielskie strzały, reszcie udało się ująć z życiem. Mieszkańcy fortecy, opuszczeni przez dowódców, zaczęli składać broń. Eiximen d'Esparca oraz jego rycerze wpadli na zamek na rumakach i zabili tych, którzy stawiali jeszcze opór. Za nimi podążyli piechurzy.

Arnau zatrzymał się zaraz za bramą z kuszą przewieszoną przez plecy i sztylblem w dłoni. Nie miał tu już nic do roboty, dziedziniec usiany był trupami. Żywi kłęczeli rozbrojeni i błagali o litość rycerzy, którzy przechadzali się między nimi z długimi obnażonymi mieczami. Almogawarzy płądrowali zamek część z nich wdarła się na wieżę, inni okradali trupy.

Arnau odwrócił się z niesmakiem na widok ich pazerności. Jeden z almogawarów podsunął mu pęk strzał; niektóre spadły na dziedziniec, nie dosięgnąwszy celu, inne ubrudzone były krwią, z jeszcze innych zwiślały strzępy mięsa. Arnau zawahał się. Stary almogawar, nie mniej chudy niż jego strzały, zdumiał się, po czym rozdziwił usta w bezzębnym uśmiechu i oddał strzały innemu kusznikowi.

— Co ty wyrabiasz? — zwrócił się obdarowany do Arnaua. — Chyba nie myślisz, że Eiximen da ci nowe strzały? Nie kręć nosem, tylko je czyść — dodał, rzucając mu strzały pod nogi.

Kilka godzin później dokończono dzieła zniszczenia. Zebrano wszystkich żywych obrońców i związano im ręce. Jeszcze tej samej nocy mieli zostać sprzedani handlarzom niewolników, którzy ciągnęli za armią. Oddziały Eiximena d'Esparca ruszyły w ślad za królem, prowadząc i niosąc rannych. Zostawiali za sobą siedemnaście martwych towarzyszy oraz płonącą fortecę — bezużyteczną dla stronników Jakuba III.



30

Eiximen d'Esparca i jego ludzie dogonili królewskie wojska zaledwie dwie mile przed Perpignan, niedaleko grodu Elne, gdzie król postanowił zatrzymać się na noc i gdzie przyjął kolejnego biskupa, który wstawiał się, jak zwykle bezskutecznie, za królem Majorki.

Choć monarcha pozwolił Eiximenowi d'Esparca i jego almogawarom zdobyć zamek Bellaguarda, próbował nie dopuścić do spłądrowania baszty Nidoleres, leżącej po drodze do Elne. Jednak zanim dotarł na miejsce, inna grupka rycerzy zdążyła już zdobyć twierdzę i puścić ją z dymem, wymordowawszy całą załogę.

Natomiast nikt nie ważył się ruszyć na Elne ani zaczepiać jego mieszkańców.

Zgromadzona wokół ognisk armia spoglądała na płonące w oddali światła. Bramy miasta były prowokacyjnie otwarte na oścież.

— Dłaczego... — już miał zapytać Arnau siedzący przy ognisku.

— Elne? — odgadł jego myśli jeden z najbardziej doświadczonych żołnierzy.

— No właśnie. Dłaczego nikt nie próbuje wziąć go szturmem? Dłaczego mieszkańcy nie zamykają bram?

Wiarus popatrzył w stronę miasta, a dopiero potem odpowiedział:

— Elne ciąży nam na sumieniu... Cięży na sumieniu Katalończyków. Tuby lcy dobrze wiedzą, że z naszej strony nic im nie grozi. — Zamilkł. Arnau nauczył się szanować żołnierskie zwyczaje. Rozumiał, że jeśli zacznie ponaglać rozmówcę, ten spojrzy na niego pogardliwie i więcej się nie odezwie. Wszyscy starzy żołnierze rozkoszowali się swymi wspomnieniami i opowieściami, czasem wyolbrzymionymi, innym razem nie, prawdziwymi lub zmyślnymi. Lubili igrać z emocjami słuchacza. W końcu wiarus podjął przerwana opowieść: — Podczas wojny z Francuzami, gdy Elne należało jeszcze do Katalonii, Piotr Wielki obiecał bronić grodu i przyśleł tu katalońskich rycerzy. Ci jednak zdradzili, uciekli pod osłoną nocy, wydając gród na pastwę nieprzyjaciela. — Żołnierz splunął w ogień. — Francuzi zbezczeszcili kościoły, wymordowali dzieci, ciskając nimi o mury, zhańbili kobiety i zabili wszystkich mężczyzn... z wyjątkiem jednego. Rzeź w Elne ciąży

na katalońskim sumieniu. Dlatego nikt z nas nie podniesie ręki na ten gród.

Arnau ponownie spojrzął na otwarte bramy, następnie powiódł wzrokiem po grupkach żołnierzy siedzących przy ogniskach. Co rusz ktoś zerkał w milczeniu na miasto.

— Komu Francuzi darowali życie? — zapytał, tym razem wbrew swym własnym zasadom.

Weteran przyjrzał mu się badawczo z drugiej strony ogniska.

— Niejakimiu Bękartowi z Roussillonu. — Arnau znowu odczekał, aż rozmówca podejmie wątek — Po latach człowiek ten wprowadził wojska francuskie przez przełęcz Macana do Katalonii.

Wojsko spędziło noc w cieniu Elne.

Setki podążających za armią ludzi rozbiły się nieco dalej. Francesca spojrzała na Aledis. Czy nadszedł już właściwy moment? Gdy wieść o tym, co spotkało przed laty Elfle rozniosła się po namiotach i szałasach, w obozie zapanowała dziwna cisza. Nawet Francesca spojrzała kilkakrotnie na otwarte na oścież bramy miasta. Tak znajdowali się na obcej ziemi, żaden Katalończyk nie jest mile widziany w Elne ani w okolicach. Aledis jest tak daleko od domu. Teraz musi poczuć, że jest zupełnie sama.

— Twój Arnau nie żyje — rzuciła madame, przywoławszy ją do siebie.

Aledis skuliła się jak od uderzenia. Zielona sukienka wydała się nagle na nią za duża. Ukryła twarz w dłoniach, a po chwili osobliwą ciszę panującą w obozowisku zakłócił jej szloch.

— Jak .. jakto się stało? — wyjąkała.

— Okłamałaś mnie — rzekła zimno Francesca.

Aledis, łkając i dygocząc, podniosła oczy pełne łez, po czym znowu spuściła wzrok.

— Okłamałaś mnie — powtórzyła Francesca. Dziewczyna na milczała. — Chcesz wiedzieć, jak to się stało? Zabił go twój mąż, twój prawdziwy mąż, garbarz.

Pau? To niemożliwe. Aledis uniosła głowę. Niemożliwe, żeby taki starzec...

— Pojawił się w obozie i oskarżył Arnaua Estanyola o porwanie jego żony — ciągnęła Francesca, wrywając Aledis z zamyślenia. Chciała się przekonać, jaka będzie jej reakcja. Arnau powiedział, że Arnau bardzo boi się męża. — Chłopak zaprzeczył, a wtedy twój mąż wyzwał go na pojedynek — Aledis próbowała jej przerwać. Jak Pau mógł się z kimkolwiek pojedynkować? — Twój mąż zapłacił pewnemu oficerowi, by bił się w jego imieniu. Nie wiedziałaś, że jeśli ktoś jest za stary, by walczyć, może opłacić zastępcę? Twój Arnau zginął w obronie swego honoru.

Aledis była zrozpaczona. Francesca patrzyła, jak drży. Nogi pod nią ugięły i osunęła się na kolana. Jednak Francesca ani myślała się litować.

Podobno mąż cię szuka.

Znowu ukryła twarz w dłoniach.

— Będziesz musiała nas opuścić. Antónia odda ci twoje stare ubranie.

Na to właśnie spojrzenie czekała Francesca! Na ten lęk! I na to przerażenie!

W głowie Aledis roilo się od pytań. Co teraz pocznie? Gdzie się podzieje? Barcelona była na drugim końcu świata, a zresztą nie miała po co tam wracać. Arnau nie żyje! Przed oczami stała jej nagle wędrówka z Barcelony do Figueras, a wtedy wstrząsnęło nią przerażenie, upokorzenie, wstyd... I ból. I ból. Na domiar złego Pau jej szuka!

— Nie... — szlochała. — Nie mogę!

— Nie zamierzam napytać sobie przez ciebie biedy — odparła Francesca surowo.

— Przygarnijcie mnie! — błagała Aledis. — Nie mam się gdzie podziąć. Nie mam się do kogo zwrócić o pomoc.

Kłaka. Kłęczą przed Francescą, nie mając odwagi na nią spojrzeć.

— Nie mogę, przecież jesteś w ciąży.

— To też kłamstwo! — krzyknęła Aledis. Doczołgała się na kolanach aż do jej stóp. Francesca ani drgnęła.

— Co jesteś gotowa zrobić?

— Wszystko! — krzyknęła Aledis. Francesca uśmiechnęła się lekko. O to jej właśnie chodziło. Na ilu dziewczętach wymogła już podobną obietnicę? — Wszystko! — powtórzyła Aledis. — Przegarnijcie mnie, ukryjcie przed mężem, a zrobię, co każecie.

— Przecież wiesz, czym się paramy.

I co z tego? Arnau nie żyje. Zgasła ostatnia isierka nadziei. Nie ma już nic... prócz męża, który niechybnie ją ukamieniuje.

— Ukryjcie mnie. Błagam. Zrobię, co tylko zechcecie — powtórzyła.

Francesca kazała Aledis trzymać się z dala od żołnierzy — Arnau był zbyt dobrze znany.

— Będiesz pracowała z dala od ludzi — powiedziała jej nazajutrz podczas zwijania obozu. — Chyba nie chcesz, by twój mąż. — Aledis przytaknęła, jeszcze zanim madame dokończyła zdanie. — Nie powinnaś pokazywać się nikomu na oczy aż do zakończenia wojny. — Aledis i tym razem skinęła głową.

Jeszcze tej nocy Francesca posłała do Arnaua posłańca z wiadomością: „Wszystko załatwione. Nie będzie ci się naprzykrzała”.

Następnego dnia, miast ruszyć na Perpignan, gdzie schronił się król Majorcki, Piotr III skierował się do nadmorskiego grodu Canet. Tamtejszy wicehrabia Ramon miał go ugościć w swym zamku, złożył mu bowiem hołd lenny podczas wyprawy króla na Majorckę, gdy po ucieczce Jakuba III monarcha kataloński puścił go wolno, zdobywszy zamek Bellver.

Wicehrabia spełnił swój lenny obowiązek. Król Piotr zajął zamek, a jego armia mogła odpocząć i najeść się do syta dzięki szczodrości mieszkańców, którzy liczyli, że Katalończycy nie zabawią u nich długo i wnet ruszą na Perpignan. Ponadto monarcha skwapliwie wykorzystał okazję i ustanowił przyczółdek dla swej floty wojennej.

Rozgościwszy się w Canet, Piotr III przyjął nowego rozjemcę, tym razem kardynała — już drugiego — który wstawiał się za królem Majorcki. Jednak monarcha również odprawił go z niczym, po czym zasiadł z doradcami do opracowywania planu ataku na Perpignan. Podczas gdy król czekał na zaopatrzenie z morza, a potem magazynował zapasy w zamku Canet, wojska Katalońskie, stacjonujące przez sześć dni w grodzie, przystąpiły do zdobywania fortec i warowni położonych między Canet i Perpignan.

Oddziały pospolitego ruszenia z Manresy zajęły w imieniu Piotra III zamek Santa Maria de la Mar, inne oddziały wzięły szturmem Castellarnau Sobirà, a Eiximen d'Esparca wraz z almogawarami i resztą swych ludzi obiegli Castell-Rosselló.

Castell-Rosselló nie był, w przeciwieństwie do zamku Bellaguarda, zwykłą placówką pograniczną, ale wysuniętym stanowiskiem obronnym stolicy hrabstwa. Tym razem również zabrzmiały bojowe okrzyki i szcęk włóczyń almogawarów, którym towarzyszyło wycie kilkuset żołnierzy spragnionych wrażeń. Forteca nie poddała się tak łatwo jak Bellaguarda: walka na murach była zażarta i dopiero tarany umożliwiły wdarcie się do jej wnętrza.

Kuszownicy jako ostatni przekroczyli wyważone bramy. To, co czekało na nich w środku, w ni-

czym nie przypominało doświadczeń z Bellaguarda. Żołnierze i cywile, łącznie z kobietami i dziećmi, własną piersią bronili zamku. Arnau znalazł się wirze walki.

Odłożył kuszę i sięgnął po sztylet. Wokół niego walczyły setki ludzi. Świst miecza był dla niego zaproszeniem do walki. Odsunął się instynktownie i ostrze musnęło mu bok. Arnau złapał jedną ręką wywijający mieczem nadgarstek i pchnął na oślep sztyletem. Zrobił to odruchowo, tak jak uczył go podczas niezliczonych ćwiczeń oficer Eiximena d'Esparca. Pokazano mu, jak walczyć, jak zabijać, nie jak zanurzyć nóż w ludzkich trzewiach. Kolczuga osłabiła cios i przeciwnik, choć trzymany za nadgarstek, zdołał zamachnąć się mieczem i zranił Arnaua w ramię.

W ciągu kilku sekund Arnau rozumiał, że toczy walkę na śmierć i życie.

Z furii zacisnął dłoń na sztylecie. Ostrze przebiło kolczugę i zanurzyło się w brzuchu wroga. Miecz poruszał się teraz wolniej, nadal jednak stanowił zagrożenie. Arnau pchnął sztylet ku górze. Poczul na dłoni gorące wnętrzości. Wróg uniósł się na piętach, a gdy sztylet rozpruł mu podbrzusze, wypuścił miecz z omdlełej ręki i osunął się na swego kata. Wargi umierającego poruszały się tuż przy jego twarzy. Próbuje mi coś powiedzieć? Mimo bitewnego zgielku Arnau słyszał, jak krzyczy. O czym myśli? Czy widzi śmierć?

Dojrzał ostrzeżenie w wytrzeszczonych oczach konającego i odwrócił się akurat w chwili, gdy inny obrońca Castell Rosselló zaatakował go od tyłu.

Tym razem się nie wahał. Sztylet przeciął powietrze i szyję. Arnau przestał myśleć. Teraz sam szukał ofiar. Walczył i krzyczał. Bił się i raz po raz zatapiał ostrze w ciałach wrogów, nie zwracając uwagi na ich twarze i cierpienie.

Zabijał.

Gdy walka dobiegła końca i zamek się poddał, Arnau zobaczył, że spływa krwią i drży ze zmęczenia.

Rozejrzął się. Na widok otaczających go trupów znów przypomniał sobie bitewny zamęt. Nie zdążył nawet przyjrzeć się swym ofiarom. Nie widział, jak umierają, nie pomodlił się za ich dusze. Dopiero teraz twarze, których nie dojrzał zza krwawej zasłony, stały mu przed oczami, upominając się o swe prawa, o szacunek należny pokonanym. Arnau jeszcze długo miał przed oczami twarze ludzi, którzy zginęli od jego sztyletu.

W połowie sierpnia armia znów stacjonowała między zamkiem Canet i wybrzeżem. Castell-Roselló zdobyto 4 sierpnia. Dwa dni później król nakazał swym wojskom wymarsz, a ponieważ Perpignan wzbierało się przed złożeniem hołdu Piotrowi III, wojska katalońskie przez tydzień pustoszyły grody i wsie wokół stolicy: Bosoles, Vernet, Soles, Sant Esteve... Na rozkaz króla karczowano winnice, gaje oliwne i wycinano wszystkie drzewa, jakie armia napotkała na swej drodze, z wyjątkiem... figowców. Piotr Ceremonialny miał kaprysy... Żołnierze puszczały z dymem młyny i spichlerze, równali z ziemią grody i osady, niszczyli pola uprawne, nie pozwolono im jednak oblegać Perpignan, gdzie skrył się król Majorki.

Uroczysta msza polowa, 15 sierpnia 1343 roku

Cała armia katalońska zgromadziła się na plaży, by oddać cześć Madonnie od Morza. Piotr III ustąpił pod naciskami papieża i zawarł rozejm z królem Majorki. W szeregach wrzało. Arnau, po-

dobnie jak większość jego towarzyszy, nie słuchał kazania. Na twarzy żołnierzy malowało się rozżalenie. Nawet Madonna nie mogła pocieszyć Arnaua. Zabijał. Wycinał drzewa na oczach przerażonych chłopów i dzieci niszczył winnice i pola uprawne. Puszczal z dymem całe grody, a wraz z nimi domy Bogu ducha winnych ludzi. Król Jakub postawił na swoim, Piotr III przystał na rozjem. Arnau przypomniał sobie kazania, których słuchał w kościele Santa Maria de la Mar: „Katalonia was potrzebuje! Król was potrzebuje! Ruszajcie na wojnę!”. Na jaką wojnę? Przecież to była zwykła rzeź i bezsensowne potyczki, w jakich przegrywali wyłącznie prości ludzie, wierni żołnierze... i dzieci, które być może nie przetrwają zimy, bo zniszczono uprawy. Na jaką wojnę? Tę rozpętaną przez biskupów i kardynałów, intrygantów na usługach przewrotnych królów? Kapłan przemawiał dalej, ale Arnau go nie słuchał. Dlaczego kazano mu zabijać? W imię czego splamił sobie ręce krwią?

Msza dobiegła końca. Żołnierze rozchodzili się małymi grupkami.

— A co z obiecany mi łupami?

— Perpignan jest bogate, bardzo bogate — usłyszał Arnau.

— Skąd król weźmie pieniądze na nasz żołd, skoro już wcześniej był niewypłacalny?

Arnau błąkał się między rozprawiającymi żołnierzami. Co go obchodzi łupy? Ciągłe czuł na sobie wzrok wystraszonych dzieci, tamtego malca, który, uczepiony kurczowo siostry, patrzył, jak Arnau i jego towarzysze depczą im ogródki i niszczą zboże, które miało ich wykarmić przez zimę. Dlaczego? — pytały niewinne oczy dziecka. Czym zawiniłiśmy? Dzieci opiekowały się zapewne ogródkiem, a teraz stały przed nim i z twarzami zalany mi łzami patrzyły na sławną armię katalońską, która obracała w perzynę ich lichy dobytek. Dokończywszy dzieła zniszczenia, Arnau nie miał nawet odwagi spojrzeć im w oczy.

A teraz sławna armia katalońska wracała do domu. Kolumny przemierzały drogi księstwa, a za nimi ciągnął sznur prostytutek, szulerów i rozczarowanych kupców, którym zyski przeszły koło nosa.

Barcelona była coraz bliżej. Niektóre oddziały pospolitego ruszenia dotarły już do swych miast i osad, inne — te, które przybyły na pomoc królowi z drugiego końca Katalonii — miały jeszcze przed sobą długą drogę. Arnau stwierdził, że zarówno on, jak i jego towarzysze przyśpieszają kroku. Na niektórych twarzach pojawił się uśmiech. Wracali do domu. Podczas wędrówki Arnauowi nieraz stawała przed oczami Maria. „Wszystko załatwione — doniesiono mu. — Nie będzie ci się naprzykrzała”. Przecież o to mu właśnie chodziło, tylko dlatego wyruszył na tę wojnę.

Maria się do niego uśmiechała.



31

Barcelona, ostatnie dni marca 1348 roku

Świtało. Arnau i jego towarzysze czekali na rozładunek majorkańskiej galery, która przybiła nocą do portu. Cechmistrzowie rozdzielali zadania. Na morzu panował spokój, fale delikatnie muskały piasek budząc mieszkańców Barcelony. W oddali ranne słońce zabawiało się już z falami, przyprószając je iskrami barw. *Bastaixos* czekali na powrót przewoźników, rozkoszując się urokiem chwili, ich wzrok błędził po widnokręgu, dusza falowała wraz z morzem.

— Dziwne, że nie rozpoczęto jeszcze wyładunku — zauważył ktoś.

Wszyscy utkwili wzrok w galerze. Przewoźnicy, którzy podплыli do okrętu, wracali teraz pustymi łodziami lub rozmawiali z marynarzami wychylającymi się zza burty. Niektórzy z przyjezdnych skakali do wody i wdrapywali się na barki. Nikt nie wyładował towaru.

— Zaraza! — krzyki pierwszych przewoźników dotarły na plażę wcześniej niż ich łódki. — Zaraza na Majorce!

Arnau wzdygnął się. Jak to możliwe, że to piękne morze przyniosło tak straszną nowinę? W burry, sztormowy dzień to jeszcze... Ale przecież tego ranka świat zdawał się bajką. Przez płatnie miesiące w Barcelonie o niczym innym nie mówiono: zaraza szalała na Wschodzie i posuwała się na zachód, wyłudając całe kraje.

— Miejmy nadzieję, że morowe powietrze nie dotrze do Barcelony — pocieszano się. — Dzieli nas od niego całe tworne Śródziemne.

— Morze nas uchroni — mówiono.

Od miesięcy wmawiano sobie, że zaraza nie dotrze do miasta. Jest już na Majorce, pomyślał Arnau. Na Majorce. Jednak przebyła Morze Śródziemne.

— Zaraza! — krzyczeli przewoźnicy, wyskakując na ląd. *Bastaixos* otoczyli ich, wy pytując o szczegóły. W jednej z łódek przyplął kapitan galery.

— Prowadźcie mnie do naczelnika i rajców — rozkazał, zeskoczywszy na plażę. — Szybko!

Cechmistrzowie odprowadzili go do miasta, reszta otoczyła nowo przybyłych. „Ludzie umierają setkami — opowiadano. — Okropność. Nikt nie może temu zaradzić. Mężczyźni, kobiety i dzieci, bogacze i nędzarze, moiżni i prości ludzie... nawet zwierzęta padają od morowego powietrza. Trupy piętrzą się i gniją na ulicach, władze są bezradne. Chorzy umierają w ciągu dwóch dni w potwornych męczarniach”. Kilku *bastaixos* popędziło z krzykiem do miasta, wymachując rękami. Arnau słuchał struchlały. Podobno na szyi, pod pachami i w pachwinach zarażonych pojawiają się wielkie ropiejące wrzody, które rosną, a w końcu pękają.

Wieść wnet rozeszła się po mieście. Ludzie biegli na plażę, by dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki, a potem pędzili do domu.

W Barcelonie wrzało od plotek i domysłów. „Z pękających wrzodów wyłażą biesy. Chorzy tracą rozum, zaczynają kąsać, zarażając w ten sposób wszystkich wokół. Choroba rozsada oczy i genitalia. Można się zarazić od patrzenia na wrzody. Zarażonych trzeba spalić żywcem, by choroba się nie rozniosła. Byłem świadkiem zarazy!”. Taka opowieść, wyolbrzymiona przez strach i imaginację, krążyła z ust do ust po mieście które nie wiedziało, co je czeka. Jako środek zaradczy władze zaleciły dbanie o higienę, więc mieszkańcy ruszyli do łaźni i... do kościołów. Msze, nabożeństwa błagalne, procesje — wszelkimi sposobami starano się zażegnać niebezpieczeństwo. Jednak po miesiącu strachu dżuma dotarła do Barcelony.

Pierwszy padł jej ofiarą robotnik portowy uszczelniający statki. Medycy, którzy pospieszyli mu na ratunek, mogli jedynie potwierdzić objawy znane im z ksiąg medycznych.

— Są wielkości małych mandarynek — zauważył jeden z nich, wskazując wrzody na szyi chorego.

— Są czarne, twarde i gorące — dodał inny, obmacawszy je.

— Trzeba mu robić zimne okłady na zbiecie gorączki.

— Trzeba upuścić krew, żeby znikły wybroczyny przy wrzodach.

— Trzeba wrzody naciąć — zawyrokował trzeci medyk. Pozostali przestali się interesować chorym i spojrzeli na mówiącego.

— Księgi odradzają nacinanie — zauważył jeden z nich.

— W końcu to tylko robotnik — powiedział ktoś inny. — Zbadajmy lepiej pachy i pachwiny.

Również tam natrafiono na duże, czarne, twarde i gorące wrzody. Krzyżącemu z bólu choremu upuszczono krew, a wraz z krwią uszła z niego reszka życia, jaka się w nim jeszcze tliła.

Tego samego dnia pojawiły się kolejne dwa przypadki. Nazajutrz było ich więcej, a następnego dnia jeszcze więcej. Barcelończycy pozaszysali się po domach, wielu umierało w strasznych męczarniach. Innych wyrzucano na ulice ze strachu przed zarażeniem i tam dopadała ich śmierć. Władze nakazały malować wapnem krzyże na drzwiach domów, w których ktoś zachorował. Przypominały o higienie, radziły unikać kontaktu z zarażonymi i zarządziły palenie trupów na wielkich stosach.

Mieszkańcy szorowali skórę do krwi i kto mógł, trzymał się z daleka od chorych. A że nikt nie kazał im trzymać się również z dala od pcheł, ku zdumieniu lekarzy i władz miejskich zaraza szerzyła się w zastraszającym tempie.

Mijały tygodnie, a Arnau i Maria wraz z innymi mieszkańcami Barcelony dzień w dzień odwiedzali kościół Santa Maria i zanosili modlitwy, których niebo nie chciało wysłuchać. Dżuma zabrała ich bliskich przyjaciół: poczciwego ojca Alberta oraz starszków Perego i Marionę, którzy

umarli na początku epidemii. Biskup zorganizował procesję błagalną — z katedry ulicą Mar do kościoła Santa Maria, gdzie dołączyłaby do niej figurka Matki Boskiej od Morza niesiona pod baldachimem.

Madonna czekała przed kościołem w otoczeniu *bastaixos*, którzy mieli ją nieść. Tragarze spoglądali po sobie, pytając wzrokiem o nieobecnych. Nikt się nie odzywał. Wszyscy zagryzali wargi i spuszczały wzrok Arnau wspomniawszy uroczyste procesje, kiedy *bastaixos* niemal wyrwali sobie figurkę z rąk, bo każdy chciał nieść ją choć przez chwilę. Cechmistrzowie musieli wyznaczać zmiany, by ich pogodzić, a teraz... teraz nie starczyłoby ich nawet na jedną zmianę. Aż tytu z nas umarło? Jak długo to jeszcze potrwa, o Pani? Modlitewny szmer napływał już ulicą Mar. Arnau spojrzął na czoło procesji: ludzie szli przygarbieni, powłócząc nogami. Gdzie podzieli się moźni, którzy zawsze z taką pompą towarzyszyli biskupowi? Czterech z pięciu rajców miejskich nie żyło, podobnie jak trzy czwarte Rady Stu. Reszta uciekła z miasta. *Bastaixos* unieśli w milczeniu swą patronkę, położyli na ramionach i przepuściwszy biskupa, dołączyli do procesji i do modlitw. Z kościoła Santa Maria Procesja skierowała się do klasztoru klarysek, mijając plac Sorn. Kiedy w okolicach klasztoru zemdlili wiernych — mimo kadzideł niesionych przez kapłanów — swąd palonych ciał, wielu przerwało modlitwy i zaniósł się płaczem. Na wysokości bramy Świętego Daniela procesja skręciła w lewo, ku bramie Nou i klasztorowi Sant Pere de les Puelles. Wierni ominęli kilka trupów i odwrócili wzrok od chorych, czekających na śmierć na rogach ulic lub pod oznakowanymi białym krzyżem drzwiami, które nigdy więcej miały się przed nimi nie otworzyć. O, Pani — myślał Arnau, niosąc Madonnę — dlaczego tak nas doświadcza? Z Sant Pere rozmodlona procesja przeszła do bramy Świętej Anny, gdzie znów skręciła na lewo ku morzu, przeszła przez dzielnicę Forn dels Arcs i wróciła do katedry.

Jednak mieszkańcy Barcelony zaczęli wątpić w Kościół i jego dostojników, bo mimo iż modlili się bez wytchnienia epidemia nadal zbierała śmiertelne żniwo.

— Podobno nadszedł koniec świata — westchnął smutno Arnau po powrocie do domu. — Ludzie oszaleli. Wszędzie roi się od biczowników, a przy najmniej tak każą sobie nazywać. — Maria stała do niego tyłem. Arnau usiadł, czekając, aż żona zdejmie mu buty, i mówił dalej: — Setkami przemierzają miasto rozebrani do pasa, krzyczą, że nadszedł koniec świata, wyznają swe grzechy i okładają się biczami. Niektórzy mają całe plecy we krwi, ale nie przerywają... — Arnau poglądził po głowie kłęczącą przed nim Marię. Była rozpalona. — Co...

Sięgnął do jej podbródka. Nie, to niemożliwe. Tylko nie ona! Podniosła na niego szkliste oczy. Była złana potem i bardzo blada. Arnau próbował unieść jej głowę, by zobaczyć szyję, ale Maria wykrzywiła się z bólu.

— Tylko nie ty! — krzyknął.

Maria, nie wstając z kłęczek z rękami na espadrylach męża, wbiła w niego wzrok. Po jej policzkach płynęły łzy.

— Boże mój jedyny, tylko nie ty, nie ty! — Arnau ukłękł przy żonie.

— Uciekaj — wyszeptła Maria. — Zostaw mnie i uciekaj. Arnau chciał przytulić żonę, ale gdy ją objął, znowu się skrzywiła.

— Chodź — powiedział, podnosząc ją najdelikatniej, jak tylko potrafił. Maria szlochala i prosiła, by uciekał. — Jakże mógłbym cię zostawić? Przecież mam tylko ciebie... Jesteś dla mnie wszystkim! Co ja bez ciebie zrobię? Niektórzy z tego wychodzą. Ty wyzdrowiejesz. Zobaczysz, wyzdrowiejesz. — Pocieszając żonę, zaniósł ją do alkowy i położył na łóżku, dopiero teraz mógł

się przyjrzeć jej pięknej kiedyś szyi, która zaczęła czernieć. — Lekarza! — krzyknął, otwierając okno i wychylając się przez balkon.

Wydawało się, że nikt go nie słyszy, jednak jeszcze tej samej nocy, gdy wrzody pokryły już całą szyję Marii, ktoś wymalował wapnem krzyż na drzwiach ich domu.

Maria dygotała w łóżku, a Arnau mógł jedynie robić jej zimne okłady na czoło. Każdy ruch sprawiał chorej potworny ból, na odgłos jej głuchych jęków Arnau dostawał gęsiej skórki. Maria patrzyła tępo w sufit. Arnau widział, jak powiększają się wrzody na jej szyi i czernieje skóra. „Kocham cię. Tyle razy chciałem ci to wyznać...”. Ujął dłoń żony i osunął się na kolana. Tak spędził całą noc, ściskając jej rękę, dygotając wraz z nią, oblewając się zimnym potem i zaklinając niebiosa przy każdym spazmie wstrząsającym jej ciałem.

Owinął zwłoki żony najlepszym prześcieradłem i zaczął na wóz zbierający trupy. Nie porzucił Marii na ulicy. Sam przekazał ją grabarzom. Na smętny odgłos końskich podków wyniósł zwłoki przed dom.

— Żegnaj — powiedział, całując żonę w czoło.

Dwaj grabarze w rękawiczkach, z twarzami okutany mi grubym suknem, patrzyli z niedowierzaniem, jak Arnau odsłania i całuje zmarłą. Wszyscy trzymali się z daleka od zakazanych, nawet najbliższych, chorych i zmarłych porzucano na ulicy, co najwyżej wzywano grabarzy, by zabrali ich z posłań, na których dopadła ich czarna śmierć. Arnau oddał żonę grabarzom, którzy ułożyli ją ostrożnie na stosie trupów.

Ze łzami w oczach patrzył na oddalający się wóz, który niebawem zniknął za rogiem. Teraz jego kolej: wszedł do domu, usiadł i zaczął czekać na śmierć, pragnąc jak najszybciej dołączyć do Marii. Przez trzy dni obmacywał szyję, na próżno szukając opuchlizny. Wrzody się nie pojawiły i Arnau uznał w końcu, że jego godzina jeszcze nie wybiła.

Błąkał się po plaży, deptając fale obmywające przekłete miasto. Włóczył się po mieście, ślepy i głuchy na nędzę, na zadżumionych, na dochodzący z okien płacz. Coś złowrogo przywiodło go do kościoła Santa Maria. Przerwano roboty, rusztowania były puste, bloki skalne leżały na ziemi, czekając, aż ktoś je ociosa. Jednak mieszkańcy Barcelony nie przestali odwiedzać świątyni. Arnau wszedł do środka. Wierni gromadzili się przed niedokończonym ołtarzem głównym, modląc się na stojąco lub na kłęczkach. Mimo że przez sklepienia apsydy wciąż prześwitywało niebo, w kościele duszno było od kadzideł, które zdławić miały wszechobecny swąd śmierci. Gdy Arnau zmierzał ku Madonnie, usłyszał głos duchownego przemawiającego do wiernych z głównego ołtarza:

— Powinniście wiedzieć, że Ojciec Święty, papież Klemens Szósty, wydał bullę, w której przeczy pogłoskom, jakoby morowe powietrze sprowadzili na świat Żydzi. Zaraza jest zwykłą epidemią, którą Bóg doświadcza swój lud. — Po zebranych przeszedł szmer niezadowolenia. — Módlcie się! — wzywał duchowny. — Polecajcie się boskiej opiece...

Wielu wyszło z kościoła, rozprawiając na cały głos.

Arnau puścił mimo uszu słowa księdza i skierował się do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. Żydzi? Co Żydzi mają wspólnego z zarazą? Malutka Madonna czekała na niego tam gdzie zawsze. Nawet teraz płonęły wokół niej świece. Kto je zapala? Arnau ledwie mógł dostrzec swą matkę zza spowijającego ją gęstego obłoku wonnego dymu. Nie uśmiechała się. Próbował się pomodlić — na próżno. Dlaczego pozwoliłaś jej umrzeć, matko? Lzy znowu popłynęły mu po twarzy na wspomnienie Marii, jej cierpień, jej udręczonego, pokrytego wrzodami ciała. To on, nie ona, zasłużył na karę, bo zgrzeszył z Aledis.

I wtedy, przed swą Madonną, Arnau przyśiągł, że nigdy więcej nie da się ponieść żądz. Był to winien Marii. Nigdy więcej, cokolwiek się wydarzy.

— Co ci jest, synu? — usłyszał za sobą. Odwrócił się i zobaczył duchownego, który chwilę wcześniej przemawiał do wiernych. — Witaj, mój drogi — pozdrowił Arnaua, rozpoznając w nim tragarza portowego, który najczęściej odwiedzał Madonnę. — Co ci jest?

— Maria...

Kapłan pokiwał głową.

— Pomódlmy się za nią — zaproponował.

— Nie, ojczu, jeszcze nie.

— Tylko w Bogu znajdziesz pociechę.

Pociechę? Jak miał znaleźć w czymkolwiek pociechę? Spojrzał na Madonnę, którą wciąż przesłaniał dym.

— Pomódlmy się... — nalegał kapłan.

— O co chodzi z tymi Żydami? — przerwał mu Arnau, chcąc zmienić temat.

— Cała Europa obwinia ich o zarazę. — Arnau spojrzał na kapłana pytająco. — Podobno w Genewie, na zamku Chillon, kilku Żydów zeznało, że czarną śmierć sprowadził na świat pewien starozakonnny z Sabaudii, który zatrul studnie miksturą spreparowaną przez rabinów.

— Czy to prawda?

— Nie. Ojciec Święty uniewinnił Żydów, lecz lud szuka kozła ofiarnego. No, a teraz się pomódlmy.

— Pomódlcie się, ojczu, w moim imieniu.

Arnau wyszedł z kościoła. Na placu obstała go dwudziestoosobowa grupa biczowników. „Nawracajcie się!”, wrzeszczeli, chłoscząc się bezlitośnie. „Nadchodzi koniec świata!”, krzyczeli, plując Arnauowi w twarz słowami.

Popatrzył na krew płynącą po ich plecach, zamienionych w otwartą ranę, oraz po nagich nogach i biodrach przewiązanych pokutnym pasem. Przyjrzał się ich twarzom i świdrującym go wytrzeszczonym oczom. Zaczął biec i wpadł na ulicę Montcada zostawiając za sobą oszalałe krzyki biczowników. Tu panowała cisza... jednak zobaczył coś dziwnego. Drzwi! Tylko na nielicznych pałacowych bramach widniał biały krzyż, który znaczył niczym piętno większość domów w Barcelonie. Arnau przystanął przed pałacem Puigów. Tu również nie namalowano krzyża. Okna były pozamykane, a budynek wyglądał na opustoszały. Oby zaraza dopadła was tam, gdzie się zaszyliście, obyście cierpieli tak jak Maria pomyślał, uciekając stamtąd jeszcze szybciej niż przed biczownikami.

Na skrzyżowaniu ulic Montcada i Carders natknął się na wzbudzony tłum, uzbrojony w kije, miecze i kusze. Czy wszyscy w tym mieście stracili rozum? — zastanawiał się. Na niewiele zdały się kazania wygłaszane we wszystkich kościołach. Bulla Klemensa VI nie uspokoiła ludu, który musiał wyładować na kimś swą złość. „Na Żydów! — doszły Arnaua krzyki. — Heretycy! Mordercy! Nawracajcie się!”. W tłumie kroczyli również biczownicy, którzy nadal bili się po plecach, rozpalając nastroje i obryzgując krwią wszystkich wokół.

Arnau ruszył za motłochem wraz z idącymi na samym końcu ludźmi, wśród których dostrzegł kilku zadumionych. Cała Barcelona zgromadziła się pod dzielnicą żydowską, okrążając ją z czterech stron. Część stanęła od północy, przy pałacu biskupim, inni od zachodu, naprzeciwko rzymskich murów obronnych, jeszcze inni zebrali się na ulicy Bisbe, graniczącej z gettem od wschodu.

Większość, między innymi grupka, za którą przyszedł tu Arnau, ustawiła się od południa, na ulicy Boqueria i naprzeciwko Castell Nou, przy bramie prowadzącej do dzielnicy żydowskiej. Wokół panował ogłuszający zgłok. Lud pragnął zemsty, choć teraz pokrzykiwał tylko pod bramą, wymachując kijami i kuszami.

Arnau przepchnął się na zatłoczone schody kościoła Świętego Jakuba, skąd przed wielu, wielu laty przeprowadzono jego oraz Joaneta, gdy szukał Madonny, która miała mu zastąpić matkę. Kościół stał dokładnie naprzeciwko południowego muru dzielący żydowskiej, więc Arnau mógł śledzić z góry, ponad głowami tłumy, przebieg wydarzeń. Garnizon żołnierzy królewskich pod dowództwem naczelnika miasta przygotowywał się do obrony. Przed przystąpieniem do ataku grupka mieszkańców podeszła do uchylonej bramy i rozpoczęła pertraktacje z naczelnikiem, żądając, by wycofał swych ludzi. Biczownicy wrzeszczeli i skakali wokół negocjujących, a tłum wygrażał Żydom, których nigdzie nie było widać.

— Nie wycofają się — zapewniała kobieta stojąca obok Arnaua.

— Żydzi są własnością króla, zależą bezpośrednio od niego — dodał ktoś inny. — Jeśli ich zabijemy, król nie będzie już mógł nakładać na nich słonych podatków...

— Ani zaciągać od tych lichwiarzy pożyczek

— To jeszcze małe piwo — wtrącił ktoś trzeci. — Jeśli ich stąd wykurzymy, król straci nawet meble, które Żydzi pożyczają jego świecie na czas wizyty w Barcelonie.

— Możliwi będą spali na gołej ziemi — zarechotano. Arnau nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Naczelnik będzie bronił interesów króla — skwitowała jego sąsiadka.

Miała rację. Naczelnik nie ustąpił i zerwawszy negocjacje, zabarykadował się czym prędzej w dzielnicy żydowskiej. Tłum tylko na to czekał: zanim brama zatrzasnęła się na dobre, ludzie z pierwszych szeregów zaczęli wdrypywać się na mury pod gradem kijów, strzał i kamieni, które posypały się na getto. Rozpoczął się atak.

Arnau patrzył na zaślepiiony nienawiścią motłoch, który szturmował mury i bramy dzielnicy żydowskiej. Nikt nim nie dowodził, może tylko biczownicy, którzy nadal się chłotali. Wyjąc przeraźliwie i nawołując do zdobywania murów i mordowania heretyków. Atakujący, którzy zdolali wspiąć się na mury ginęli od mieczy żołnierzy, ale dzielnica żydowska była oblegana ze wszystkich stron i wielu innym udało się zwieść obronę i stanąć oko w oko z Żydami.

Arnau spędził na schodach przed kościołem Świętego Jakuba dwie godziny. Krzyki przypominały mu jego żołnierską przeszłość: oblężenie zamków Bellaguarda i Castell-Rosselló. Twarze ginących teraz na jego oczach myliły się z twarzami ludzi, których kiedyś zabił, zapach krwi sprawił, że znów znalazł się w Roussillonie i pomyślał o kłamstwie które zagnało go wtedy na wojnę, o Aledis, o Marii... W końcu opuścił punkt obserwacyjny, z którego patrzył na masakrę.

Szedł w kierunku morza, rozmyślając o Marii i o tym, co kazało mu kiedyś uciec na wojnę. Nagle coś wyrwało go z zadumy. Gdy przechodził obok Castell de Regomir, baszty obronnej należącej do dawnych murów rzymskich, głośnie krzyki przywróciły go do rzeczy wistoci.

— Heretycy!

— Mordercy!

Zaraz potem zobaczył dwudziestoosobową, uzbrojoną w kije i noże bandę, która zagroziła ulicę i pokrzykiwała na kogoś, kto najwyraźniej skrył się w bramie jednego z domów. Dlaczego nie zajmą się oplakiwaniem zmarłych? Nie zatrzymując się, wszedł w tłum awanturników, by przedostać się na drugą stronę. Gdy roztrzącał ich łokciami, zerknął w bok, tam gdzie skierowana była

uwaga krzykaczy: w bramie domu arabski niewolnik, zalany krwią, oślaniał własnym ciałem troje dzieci ubranych na czarno z żółtym kółkiem na piersi. Ni z tego, ni z owego Arnau znalazł się między Maurem a napastnikami. Zapadła cisza. Zza pleców niewolnika wysunęły się przerażone dziecięce buzie. Arnau popatrzył na nie. Tak bardzo ubolewał, że nie dał Marii potomstwa. Musnął go kamień ciśnięty ku jednej z główek. Maur zasłonił dzieci własnym ciałem i trafiony w brzuch, zgiął się współ. Mała twarzyczka spojrzała prosto na Arnaua. Maria uwielbiała wszystkie dzieci: czy to arabskie, czy żydowskie lub chrześcijańskie. Nie mogła oderwać od nich oczu podczas spacerów po plaży, na ulicach... Przyglądała im się, a potem przenosiła wzrok na niego...

— Odsuń się! Uciekaj stąd! — rozległy się krzyki za jego plecami.

Zerknął na przerażone buzie.

— Co chcecie od tych dzieci? — zapytał.

Kilku mężczyzn uzbrojonych w noże ruszyło na niego.

— To Żydzi — odpowiedzieli chórem.

— I tylko dlatego chcecie je zabić? Nie wystarczy wam ich rodzice?

— Zatruli studnie — rzucił jeden. — Zamordowali Chrystusa. Zabijają chrześcijańskie dzieci do swych heretyckich rytuałów. Tak tak, wryr wają im serca... Kradną święte hostie. — Ale Arnau nie słuchał. Wciąż wydawało mu się, że czuje zapach krwi płynący z getta, krwi z... Castell-Rosselló. Złapał za ramię najbliższej stojącej mężczyznę i uderzył go w twarz, odbierając mu nóż, który wymierzył w jego kompanów.

— Nie pozwolę skrzywdzić tych dzieci!

Napastnicy widzieli, jak pewnie ścisła sztylet, jak nim wywija, jak na nich patrzy.

— Nie pozwolę skrzywdzić dzieci — powtórzył. — Idźcie do dzielnicy żydowskiej, tam będziecie mogli zmierzyć się z żołnierzami, z mężczyznami.

— Zabiją was — ostrzegł go Maur, stojący teraz za jego plecami.

— Heretyk! — krzyczeli napastnicy.

— Żyd!

Wpójono mu, że musi atakować pierwszy, brać nieprzyjaciela z zaskoczenia, zastraszyć go i nie dopuścić, by poczuł się Pewnie. Zamachnął się nożem i z okrzykiem „Święty Jerzy!” ruszył na najbliższych mężczyzn. Wbił ostrze w brzuch pierwszego i odwrócił się na pięcie, zmuszając napastników do cofnięcia się. Nóż rozharatał pierś kilku z nich. Jeden z powalonych wbił Arnauowi sztylet w tyłek. Arnau spojrział na niego, złapał go za włosy i odchyliwszy mu głowę do tyłu, poderżnął gardło. Chlusnęła krew. Trzech mężczyzn leżało na ziemi, reszta zaczęła się wycofywać. „Uciekaj, gdy mają nad tobą przewagę liczebną”, nauczono go. Gdy udał, że znowu rusza do ataku, przeciwnicy odskoczyli, potykając się. Nie oglądając się, lewą ręką przywołał do siebie Maura i dzieci a gdy poczuł przy nogach drżenie malców, zaczął wycofywać się tyłem ku morzu, nie spuszczając z oka napastników.

— Czekają na was w dzielnicy żydowskiej! — krzyknął popychając przed sobą dzieci.

Gdy dotarli do starej bramy Castell de Regomir, zaczęli biec. Arnau, nie tracąc czasu na wyjaśnienia, powstrzymał dzieci przed powrotem do dzielnicy żydowskiej.

Gdzie można ukryć troje malców? Poprowadził ich w stronę kościoła Santa Maria i stanął przed głównym wejściem. Przez rusztowania widać było wnętrze świątyni.

— Chyba... chyba nie zamierzacie ukryć dzieci w kościele? — zapytał zdyszany niewolnik

— W kościele nie, ale ciepło, ciepło...

— Dlaczego nie pozwalacie nam wrócić do domu? — zapytała dziewczynka, najstarsza z całej trójki i najbardziej przytomna.

Arnau pomacał się po łydce. Rana obficie broczyła krwią.

— Bo chrześcijanie płądrują teraz wasze domy. Obwiniają was o zarazę. Twierdzą, że zatruliście studnie. — Wszyscy milczeli. — Przykro mi — dodał.

Niewolnik odezwał się pierwszy:

— Nie możemy tak tu stać — powiedział, przerywając Arnauowi oględziny łydki. — Róbcie, co uważacie za stosowne, ale ukryjcie dzieci.

— A ty? — zapytał Arnau.

— Muszę sprawdzić, co się stało z ich rodzinami. Jak was odnajdę?

— Nie odnajdziesz — odparł Arnau, który nie mógł mu pokazać na poczekaniu drogi do rzymskiego cmentarzyska. — To ja cię znajdę. Czekał na mnie o północy na plaży, naprzeciwko nowego kramu rybnego. — Niewolnik skinął głową. Gdy mieli się już rozstać, Arnau dorzucił: — Jeśli nie zjawił się przez trzy noce z rzędu, uznam, że nie żyjesz. Maur znowu skinął głową i wbił w Arnaua wielkie czarne oczy. — Dziękuję — szepnął, a potem puścił się pędem ku dzielnicy żydowskiej.

Najmniejszy chłopiec chciał za nim biec, lecz Arnau złapał go za ramiona.

Pierwszej nocy Maur nie przyszedł na spotkanie. Arnau czekał ponad godzinę, słuchając odgłosów zamieszek nadbiegających z getta, wpatrzony w czerwony od łuny pożarów mrok Nareszcie miał czas przemyśleć ten bogaty w wydarzenia dzień. Ukrył troje żydowskich dzieci na rzymskim cmentarzysku w podziemiach kościoła Santa Maria, pod swoją Madonną. Wejście do nekropolii, które odkrył przed laty z Joanetem, wyglądało tak jak kiedyś. Nie zbudowano jeszcze schodów od placu Born, więc drewniany podest i tym razem ułatwił im zadanie. Jednak strażnicy pilnujący kościoła prawie godzinę przechadzali się przed samym ich nosem, dlatego musieli przyćmupnąć i czekać na odpowiedni moment, by wślizgnąć się pod podest.

Dzieci zcołgały się za Arnauem posłusznie. Dopiero po drugiej stronie tunelu, w mrocznych podziemiach, gdy powiedział im, gdzie są, i doradził, by nie dotykali niczego, jeśli chcą uniknąć przykrych niespodzianek, cała trójka wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Arnau poczuł się zupełnie bezradny, Maria na pewno wiedziałaby, co robić.

To tylko zmarli — tłumaczył. — Nawet nie ofiary zarazy. Wolicie siedzieć tu ze zmarłymi i żyć czy wyjść i zginąć? — Szlochy ucichły. — A teraz pójde po świecę, wodę, trochę jedzenia, dobrze? Dobrze? — powtórzył, bo dzieci milczały jak zakłète.

— Dobrze — dobiegł go w końcu głos dziewczynki.

— Postawmy sprawę jasno. Ryzykowałem dla was życie a i będę miał kłopoty, jeśli wyjdzie na jaw, że ukryłem troje żydowskich dzieci w podziemiach kościoła. Jeśli zamierzacie wykorzystać moją nieobecność, by dać drapaka, uprzedźcie mnie i oszczędźcie mi, z łaski swojej, zachodu. Co wy na to? Zaczekacie, czy ciągnie was na górę?

— Zaczekamy — odparła dziewczynka stanowczo.

W domu Arnau umył się i opatrzył ranę w nodze. Napełnił wodą stary bukłak i kuśtykając, ruszył z powrotem do kościoła z kagankiem, zapasem oleju, bochnem czerstwego chleba i solonym mięsem.

Podczas jego nieobecności dzieci nie ruszyły się sprzed wylotu tunelu. W świetle kaganka Arnau zobaczył, jak kulą się niczym wystraszone sarenki, nie reagując na jego uspokajający

uśmiech. Dziewczynka tuliła do siebie dwóch chłopców. Cała trójka miała ciemne, długie, lśniące włosy i śnieżnobiałe zęby, dzieci były zdrowe i ładne, szczególnie dziewczynka.

— Jesteście rodzeństwem? — zapytał Arnau.

— Tylko my — odpowiedziała jak zwykle dziewczynka, wskazując na mniejszego z chłopców.
— A to nasz sąsiad.

— Cóż, myślę, że skoro tyle już razem przeszliśmy i wobec tego, co nas jeszcze czeka, powinniśmy się poznać. Ja mam na imię Arnau.

Dziewczynka przedstawiła całą trójkę: ona nazywała się Raquel, jej brat Jucef, a ich sąsiad Saul. Podczas rozmowy przy świetle kaganka dzieci nie przestawały zerkać trwoźnie w głąb podziemnej grotty. Miały trzynaście, sześć i jedenaście lat. Urodziły się w Barcelonie i mieszały z rodzicami w dzielnicy żydowskiej. Tam właśnie zdążyły, gdy napadły ich zbiry, z których łap wybawił ich Arnau. Niewolnik, na którego wszyscy wołali Sahat, należał do rodziców Raquel i jest wiernym sługą, dlatego na pewno dotrzyma słowa i się na plaży.

— Doskonale — powiedział Arnau. — Myślę, że teraz powinniśmy rozejrzeć się po tym cmentarzyku. Od dawna tu nie zaglądałem, chyba odkąd byłem w waszym wieku, ale nie sądzą, by nasi gospodarze wprowadzili wiele zmian. — Tylko Arnau zaśmiał się z żartu, po czym przeczołgał się na kolanach w głąb grotty, oświetlając jej wnętrze. Dzieci, skulone, tkwiły bez ruchu, zerkając trwoźnie na otwarte groby i wystające z nich szkielety. — To doskonała kryjówka, nikt nie będzie nas tu szukać — przekonywał na widok przerażonych min dzieci. — Poczekamy, aż wszystko się uspokoi...

— A jeśli nasi rodzice umrą? — przerwała mu Raquel.

— Bądźmy dobrej myśli. Na pewno nic im się nie stanie. Proszę, proszę, podejdźcie tu. Znalazłam zakątek bez grobów, na tyle duży, że pomieścimy się w nim wszyscy. No, chodźcie! — ponaglił ich ruchem ręki.

W końcu dzieci posłuchały i umościły się w przestronnym miejscu, z dala od kościotrupów. Prastary rzymski cmentarz wyglądał dokładnie tak jak podczas pierwszej wizyty Arnaua: wszędzie pełno było wielkich amfor ze szkieletami i dziwnych grobów w kształcie podłużnych piramid. Postawivszy kaganek na jednej z amfor, Arnau poczęstował dzieci wodą, chlebem i solonym mięsem. Piły zachłannie, ale nie jadły nic prócz chleba.

— To niekoszerne — wyjaśniła Raquel, wskazując mięso.

— Niekoszerne?

Dziewczynka wyjaśniła Arnauowi, co oznacza słowo „koszerny” i jak przyrządzają mięso członkowie żydowskiej społeczności. Gdy tak gawędzili, dwaj chłopcy zasnęli na kolanach dziewczynki, która zapytała szeptem, by ich nie budzić:

Nie wierzysz w to, co się o nas mówi?

— W co?

— Że zatruliśmy studnie.

Arnau kilka sekund zwlekał z odpowiedzią.

— Czy są wśród Żydów ofiary morowego powietrza?

— Niejedna.

— W takim razie nie wierzę.

Gdy Raquel również zasnęła, Arnau wyczołgał się spod kościoła i ruszył na plażę.

Zamieszki w getcie trwały dwa dni. W tym czasie niewielkie oddziały królewskie z pomocą sa-

mych Żydów starały się bronić dzielnicy przed nieslabnącymi atakami oszalałej i zaślepionej tłuszczy, która w imię wiary dopuszczała się rozbojów i gwałtów. W końcu król przysłał posiłki i sytuacja została opanowana, Trzeciej nocy Sahat, walczący u boku swego pana, wymknął się na plażę, na umówione spotkanie naprzeciwko targu rybnego.

— Sahat! — posływał w mroku.

— Co ty tu robisz? — zapytał niewolnik na widok małej Raquel, która rzuciła mu się w objęcia.

— Chrześcijanin jest bardzo chory.

— Czy to...

— Nie — przerwała dziewczynka — to nie mór. Nie ma wrzodów. Rana w nodze źle się goi i biedaka trawi gorączka. Nie może chodzić.

— Co z chłopcami?

— Mają się dobrze. A...

— Cali i zdrowi. Bardzo za wami tęsknią.

Raquel zaprowadziła Maura pod kościelną bramę od strony ulicy Born.

— Tu? — zapytał niewolnik, gdy dziewczynka wślizgnęła się pod podest.

— Ciiii — szepnęła. — Chodź.

Przezołgali się tunelem aż do rzymskiego cmentarzyska. Wspólnymi siłami zdołali wyciągnąć Arnaua z podziemnej grotty: Sahat pełzł do tyłu, ciągnąc go za ramiona, a dzieci pchały z drugiej strony. Arnau był nieprzytomny. Cała piątka — niewolnik z chorym na plecach i dzieci przebrane w chrześcijańskie ubrania przyniesione przez Sahata — przemknęła pod osłoną nocy przez miasto. Gdy dotarli do bram dzielnicy żydowskiej, strzeżonych przez oddział żołnierzy, Sahat wyjawił oficerowi prawdziwą tożsamość dzieci i wytłumaczył, dlaczego nie mają złotego znaku na piersiach. Wyjaśnił też, że Arnau jest chrześcijaninem, ma gorączkę i potrzebuje opieki lekarskiej, co oficer skrzętnie sprawdził, po czym odsunął się przezornie na wypadek, gdyby miał do czynienia z ofiarą morowego powietrza. W końcu, dzięki ciężkiej sakiewce, którą niewolnik wsunął oficerowi do ręki, bramy getta otworzyły się przed nimi.



32

Nie pozwolę skrzywdzić dzieci. Ojczy, gdzie jeste? Dlaczego, ojczy? W pałacu jest zboże. Kocham cię, Mario...

Kiedy Arnau majaczył, Sahat wyganiał dzieci z izby i wzywał ojca Raquel i Jucefa, Hasdaia. Razem przytrzymywali chorego, żeby nie ruszył do walki z żołnierzami z Roussillonu i by nie otworzyła się rana na jego nodze. Razem czuwali przy chorym, podczas gdy niewolnica kładła mu na czoło zimne okłady. Od tygodnia Arnau był w rękach najlepszych żydowskich medyków oraz pod troskliwą opieką rodziny Crescas i niewolników, zwłaszcza Sahata, który ani na chwilę nie odstępował jego łóżka.

— Rana jest niegroźna — orzekli lekarze — ale zakażenie objęło już cały organizm.

— Wyzdrowieje? — zapytał Hasdai.

— Jest silny — powiedzieli tylko medycy, opuszczając dom.

— W pałacu jest zboże! — wrzasnął kilka minut później Arnau, rozpalony gorączką i mokry od potu.

— Gdyby nie on, już byśmy nie żyli — powiedział Sahat.

— Wiem — odparł stojący obok Hasdai.

— Dlaczego nas bronisz? Przecież jest chrześcijaninem.

— Bo to dobry człowiek.

Nocą, gdy Arnau zasypiał i dom pogrążał się w ciszy, Saha klękał zwrócony w kierunku Mekki i modlił się za chrześcijanina. W ciągu dnia poił go cierpliwie i zmuszał do przelitywania mikstur przygotowanych przez medyków. Raquel i Jucef często odwiedzali chorego i Sahat wpuszczał ich do izby, jeśli tylko Arnau nie majaczył.

— To prawdziwy wojownik — szepnął pewnego razu Jucef z oczami wielkimi jak spodki.

— O tak, na pewno był wojownikiem — potwierdził Sahat.

— Przecież mówił, że jest tragarzem portowym.

— W podziemiach kościoła przedstawił nam się jako wojownik. Może to *bastaix* i wojownik

w jednej osobie.

— Powiedział to na odczepnego, żebyś nie zamęczał go pytaniami.

— Coś mi się zdaje, że to jednak *bastaix* — zawyrokował Hasdai. — Tak przy najmniej wynika z tego, co mówi, majacząc.

— A właśnie, że wojownik — upierał się malec.

— Nie wiadomo, Jucefie. — Niewolnik przejechał ręką po czarnej czuprynie chłopca. — Zaczekajmy, aż wyzdrowieje, i wtedy sam nam wszystko wyjaśni.

— A wyzdrowieje?

— Na pewno. Słyszałeś kiedyś, żeby wojownik umarł od zwykłej rany w nodze?

Pod nieobecność malców Sahat pochylał się nad Arnauem i dotykał jego rozpalonego czoła. Nie tylko dzieci zawdzięczają ci życie, chrześcijaninie. Dlaczego nas uratowałeś? Czemu ryzykowałeś życie dla niewolnika i trojga żydowskich dzieci? Wyzdrowiej. Musisz żyć. Chcę z tobą porozmawiać i podziękować ci. Hasdai jest bardzo bogaty, na pewno sownie cię wynagrodzi.

Kilka dni później Arnau poczuł się nieco lepiej. Pewnego ranka Sahat stwierdził, że gorączka nieco spadła.

— Allah jest wielki, wysłuchał mych prośb.

Hasdai uśmiechnął się, przekonawszy się, że chory czuje się lepiej.

— Wyzdrowieje — przekazał dzieciom dobrą nowinę. — Opowie mi o swych walecznych czynach?

— Synku, nie sądzę...

Ale Jucef zaczął już naśladować Arnaua i wymachiwać sztyltem przed niewidzialną bandą napastników. Kiedy właśnie miał poderznąć gardło powalonemu przeciwnikowi, siostra złapała go za rękę.

— Jucef!

Gdy się odwrócili, napotkali wpatrzone w niego oczy Arnaua. Speszył się.

— Jak się czujesz? — zapytał chorego Hasdai.

Arnau próbował coś powiedzieć, ale zaschło mu w gardle. Sahat podał mu kubek wody.

— Dobrze — zdołał wydusić Arnau, napiwszy się. — A dzieci?

Jucef i Raquel podeszli do wezglowia łóżka, popychani przez ojca. Arnau uśmiechnął się do nich.

— Witajcie — powiedział.

— Witaj — odpowiedziały dzieci.

— A Saul?

— Cały i zdrowy — odparł Hasdai. — Ale teraz powinieneś wypoczywać. Dzieci, idziemy.

— Gdy poczujesz się lepiej, opowiesz mi o bitwach, w których brałeś udział? — zdążył jeszcze zapytać Jucef, nim ojciec i siostra wypchnęli go z pokoju.

Arnau skinął głową, siłąc się na uśmiech.

W ciągu następnego tygodnia gorączka ustąpiła i rana zaczęła się nareszcie goić. Kiedy tylko Arnau czuł się nieco lepiej, ucinał sobie pogawędkę z Sahatem.

— Dziękuję. — Tak brzmiało pierwsze słowo, jakie skierował do niewolnika.

— Już mi dziękowałeś, nie pamiętasz? Dlaczego... dlaczego nam pomogłeś?

— Spojrzenie chłopca... Moja żona nigdy by nie dopuściła...

— Maria? — zapytał Sahat, przy pominięciu sobie imię, które Arnau wykrzykiwał w malignie.

— Tak, Maria.

Chcesz, żebyśmy przekazali jej wiadomość od ciebie? — A zacisnął wargi i zaprzeczył ruchem głowy. — Chcesz, byśmy kogokolwiek zawiadomili? — Sahat nie nalegał, widząc, że twarz młodzieńca pochmurnieje.

— Jak zakończył się atak na dzielnicę żydowską? — zapytał innym razem Arnau.

— Zamordowano dwieście osób, kobiet i mężczyzn. Spłądowano i spalono wiele domów.

— Potworność!

— Mogło być gorzej — westchnął Sahat. Arnau spojrział na niego ze zdumieniem. — Ludzie z tutejszego getta mieli i tak sporo szczęścia. W wielu innych miastach, od Orientu po Kastylię, doszło do znacznie krwawszych pogromów. Ponad trzy sta wspólnot żydowskich przestało istnieć. W Królestwie Niemieckim sam cesarz Karol Czwarty obiecał niewinność każdemu, kto zabije choćby jednego Żyda lub weźmie udział w niszczeniu żydowskiego dobytku. Pomyśl tylko, co by się stało w Barcelonie, gdyby wasz król, miast bronić Żydów, zagwarantował nietykalność ich katom. — Arnau przymknął oczy i pokręcił z niedowierzaniem głową. — Tylko w Moguncji sześć tysięcy Żydów zginęło w płomieniach, a w Strasburgu spalono dwa tysiące członków tamtejszej wspólnoty starozakonnej, nie wyłączając kobiet i dzieci. Spłonęli na wielkim stosie rozpalonym na cmentarzu żydowskim. Dwa tysiące jednocześnie...

Dzieci odwiedzały Arnaua tylko w obecności Hasdaia, który pilnował, by nie naprzykrzały się choremu. Pewnego dnia, gdy Arnau odzyskał siły na tyle, by wstawać z łóżka i spacerować po izbie, Hasdai złożył mu wizytę bez towarzysztwa. Wysoki, szczupły Żyd o długich, czarnych i prostych fochach, przenikliwym spojrzeniu i orlim nosie usiadł naprzeciwko Arnaua.

— Powinieneś wiedzieć... — zaczął poważnym głosem. — Jak zapewne wiesz — poprawił się — twoi kapłani zabraniają chrześcijanom przebywać wśród Żydów.

— Nie martw się. Gdy tylko odzyskam siły...

— Nie — przerwał mu Żyd. — Nie wyrzucam cię, źle mnie zrozumiałeś. Narażając życie, uratowałeś moje dzieci od niechybnej śmierci, dlatego mam wobec ciebie dług wdzięczności którego nigdy nie zdolam spłacić. Wszystko co mam, należy również do ciebie i możesz z nami zostać, jak długo zechcesz. Ja i cała moja rodzina będziemy uszczęśliwieni, jeśli zaszczycisz nas swym towarzystwem. Chciałem cię tylko ostrzec, że powinniśmy być bardzo ostrożni, zwłaszcza jeśli zdecydujesz się z nami mieszkać. Nikt z moich bliskich, a mam na myśli całą żydowską wspólnotę, cię nie wyda, co do tego możesz być spokojny. Decyzja należy więc wyłącznie do ciebie. Powtarzam, będziemy szanować i bardzo szczęśliwi, jeśli pozostaniesz z nami. Co ty na to?

— Gdybym odszedł, któż opowiadałby twemu synowi bitewne historie?

Hasdai uśmiechnął się i wyciągnął do Arnaua rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

Warownia Castell-Rosselló przyprawiała o zawrót głowy... Siedząc po turecku w ogrodzie rozciągającym się na tyłach domu, mały Jucef z szeroko otwartymi oczami chłonął opowieści Arnaua, uważnie słuchał relacji z oblężenia, wiercił się nerwowo, kiedy dochodziło do walki wręcz, i uśmiechał, gdy *bastaix* i jego towarzysze odnosili zwycięstwo.

— Załoga zamku broniła się dzielnie — ciągnął Arnau — ale my, żołnierze króla Piotra, byliśmy waleczniejsi...

Arnau nie skończył jednej opowieści, a Jucef już domagał się następnej, mimo że znał je wszystkie na pamięć. Młodzieniec opowiadał mu historie prawdziwe i zmyślane. „Brałem udział

w obłędzeniu tylko dwóch zamków — chciał mu niejednokrotnie wyznać — przez resztę czasu lupiliśmy i równaliśmy z ziemią chłopskie gospodarstwa i uprawy, oszczędzaliśmy tylko drzewa figowe...”.

— Lubisz figi? — zagadnął pewnego razu chłopca, wspominając powykręcane pnie sterczące na środku pobojuwiska.

— Na dzisiaj wystarczy — upomniał malca ojciec, który zajął właśnie do ogrodu i usłyszał, że chłopiec domaga się następnej historii. — Czas spać. — Jucef posłusznie pożegnał się z ojcem i Arnauem. — Dlaczego pytałeś małego o figi?

— To długa historia.

Hasdai bez słowa usiadł przed Arnauem. „Chętnie posłucham”, zdawały się mówić jego oczy.

— Niszczymy wszystko... — wyznał Arnau — z wyjątkiem drzew figowych. Brzmii niedorzecznie, prawda? Puszczaliśmy z dymem pola i uprawy, a samotne figowce, które jako jedyne uchowały się pośród zgliszczy, spoglądały na nas z wyrzutem.

Arnau pogrążył się we wspomnieniach. Hasdai nie śmiał mu przerywać.

— To była bezsensowna wojna — podsumował *bastaiix*.

— Przecież rok później Piotr Trzeci odzyskał Roussillon. Król Jakub poddał się, kłękając przed nim z odsłoniętą głową. Być może gdyby nie tamta wyprawa wojenna...

— Wielu chłopów, dzieci i biedaków przetrwałoby zimę — wszedł mu w słowo Arnau. — Owszem, pozbawiliśmy armię nieprzyjaciela zapasów, ale jednocześnie skazał na śmierć rzesze Bogu ducha winnych ludzi. Jesteśmy zabawką w rękach możnych, którzy w trosce o własne interesy ściągają zgubę i cierpienie na maluczkich.

Hasdai westchnął.

Gdybyś wiedział... My, Żydzi, jesteśmy własnością króla, należy nam do niego...

— Wyruszyłem na wojnę, by walczyć, ale miałem bić się ze zbrojnymi oddziałami, puszczałem z dymem plony biedaków. Obaj mężczyźni na dłuższą chwilę popadli w zadumę.

— No i proszę! — wykrzyknął Arnau, przerywając ciszę. — Teraz już wiesz, dlaczego spytałem Jucefa o figi.

Hasdai wstał i poklepał Arnaua po ramieniu. Następnie wskazał na dom i zaprosił go do środka.

— Ochłodziło się — powiedział, spoglądając na niebo.

Pod nieobecność Jucefa Arnau i Raquel lubili gawędzić w ogrodzie rodziny Crescas. Nie rozmawiali o wojnie. Arnau opowiadał dziewczynce o swoim życiu tragarza portowego i o kościele Santa Maria.

— My nie wierzymy, że wasz Jezus jest mesjaszem. Lud żydowski wciąż oczekuje przyjścia prawdziwego Mesjasza — powiedziała mu kiedyś Raquel.

— Podobno Żydzi zamordowali Chrystusa.

— Nieprawda! — oburzyła się dziewczynka. — To nas zawsze mordowano i przeganiano z miejsca na miejsce!

— Podobno w święto Paschy składacie w ofierze chrześcijańskie dziecko i zjadacie podczas rytualnej ceremonii jego serce i kończyły — Arnau obstawał przy swoim.

Raquel pokręciła głową.

— Bzdury! Przecież wiesz, że jemy tylko koszerne mięso, a nasza religia zabrania nam spożywania krwi. Co mielibyśmy więc robić z sercem, rękami i nóżkami domniemanej ofiary? Znasz dobrze mojego tatę i tatę Saula. Myślisz, że mogliby zamordować i zjeść dziecko?

Arnau przywołał przed oczy twarz Hasdaia, usłyszał jego przesycone mądrością słowa, wspominał jego roztropność i czułość, z jaką patrzył na swe pociechy. Nie, Hasdai nie jest dzieciożercą.

— A hostie? — zapytał. — Podobno wykradacie je z kościołów i znęcacie się nad nimi, by rozkoszować się cierpieniami! jakie zadaliście Chrystusowi.

Raquel zaczęła żywo gestykulować.

— My, Żydzi, nie wierzymy w transsub... — zmarszczyła czoło zirytowana. Zawsze zaczynała się na tym słowie, gdy rozmawiała z ojcem! — W transsubstancjację — wyrzuciła jednym tchem.

— W co?

— W transsubs... tancjację. Dla chrześcijan słowo to oznacza, że hostia zamieniła się w ciało Jezusa. My w to nie wierzymy. Dla nas, Żydów, hostia to po prostu kawałek chleba. Musielibyśmy postradać rozum, by znęcać się nad chlebem.

— A więc wszystko, o co się was oskarża, to nieprawda?

— Wszystko.

Arnau chciał wierzyć Raquel. Dziewczynka wpatrywała się w niego wielkimi oczami, błagając go wzrokiem, by pozbył się uprzedzeń, jakie chrześcijanie żywią do członków jej wspólnoty i do jej wiary.

— Ale jesteście lichwiarzami. Temu chyba nie zaprzeczysz. Raquel miała już odpowiedzieć, ale uprzedził ją ojciec:

— Nie, nie jesteśmy lichwiarzami — rzucił Hasdai Crescas, podchodząc do nich i siadając obok córki. — A już na pewno nie w sposób, w jaki zwykle się to przedstawiać. — Arnau milczał, czekając na wyjaśnienia. — Weź proszę, pod uwagę, że jeszcze nieco ponad sto lat temu również chrześcijanie pożyczali pieniądze na procent. Żydzi i chrześcijanie parali się wspólnie lichwą aż do tysiąc dwieście trzydziestego roku, bo wtedy właśnie wasz papież Grzegorz Dziewiąty zabronił chrześcijanom udzielania oprocentowanych pożyczek. Od tamtej pory tylko my, Żydzi, oraz kilka innych społeczności, chociażby Lombardzycy, prowadzimy tego rodzaju działalność. Przez tysiąc dwieście lat również chrześcijanie pożyczali pieniądze na procent, przestaliście się tym parać, przynajmniej oficjalnie — Hasdai położył nacisk na ostatnie słowo — dopiero sto lat temu, mimo to zdążyliście już okrzyknąć nas lichwiarzami.

— Oficjalnie?

Tak oficjalnie. Nie brakuje chrześcijan, którzy za naszym pośrednictwem pożyczają pieniądze na procent. Tak czy owak powinnięś wiedzieć, dlaczego się tym zajmujemy. Na przestrzeni dziejów, jak świat długi i szeroki, Żydzi zależeli bezpośrednio od królów. W ciągu wieków wypędzano nas z wielu krajów: najpierw z naszej ojczyzny, potem z Egiptu, nieco później, w roku tysiąc sto osiemdziesiątym trzecim, z Francji niedługo potem, bo w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym z Anglii. Żydzi musieli porzucać swoje domy i majątek, tulać się z kraju do kraju, i błagać władców krain, do których zawijali o zgodę na osiedlenie się na ich ziemiach. W rezultacie królowie całkowicie podporządkowali sobie wspólnotę żydowską i ściągają z nas słone podatki na swoje wojny i wszelkiego rodzaju wydatki osobiste. Gdybyśmy nie zarabiali na obrocie pieniędzmi, nie moglibyśmy zaspokoić wygórowanych żądań waszych władców i znowu czekałoby nas wygnanie.

— Ale przecież udzielacie pożyczek nie tylko królom — nie poddał się Arnau.

— Owszem. A wiesz dlaczego? — *Bastaix* zaprzeczył ruchem głowy. — Bo królowie rzadko oddają nam pożyczone pieniądze, wręcz przeciwnie, domagają się coraz większych sum. Przecież musimy skądś brać pieniądze na pożyczki dla króla, a raczej na daninę, bo trudno to nazwać pożyczką.

— Nie możecie po prostu odmówić?

— Przyplacilibyśmy to kolejnym wygnaniem... lub, co gorsza, król nie chciałby już nas bronić przed atakami chrześcijan, chociażby tym, którego doświadczyliśmy niedawno. Czekalaby nas niechybna śmierć. — *Arnau* przytaknął bez słowa, podczas gdy *Raquel* z zadowoleniem patrzyła, jak *bastaix* ustępuje przed argumentami jej ojca. Przecież na własne oczy widział rozwścieconą tłuszcę wygrażającą Żydom. — Tak czy owak powinieneś wiedzieć, że wolno nam pożyczać pieniądze tylko kupcom i obywatelom parającym się handlem. Prawie sto lat temu wasz król *Jakub Pierwszy Zdobywca* wydał edykt, na mocy którego wszelkie kwity zabezpieczające lub depozytowe wystawiane przez bankierów żydowskich osobom niezajmującym się kupiectwem są uznawane za nieważne lub sfalszowane. W rezultacie nie możemy ubiegać się o zwrot należności od ludzi, którzy nie są kupcami. Aby ustrzec się przed przykrymi niespodziankami, udzielamy pożyczek tylko osobom związanym z handlem.

— A co to za różnica?

— Duża, bardzo duża. Wy, chrześcijanie, szcycicie się faktem, że zgodnie z nauką waszego Kościoła nie czerpicie zysków z obrotu pieniędzmi, ale to nie do końca prawda. Pożyczacie bowiem pieniądze jak przed laty, zmieniliście jedynie nazwę całej operacji. Zaraz ci to wyjaśnię. Nim Kościół zabronił wam udzielania oprocentowanych pożyczek, sprawy wyglądały dokładnie tak jak teraz między Żydami i kupcami: bogaci chrześcijanie pożyczali pieniądze chrześcijanom zajmującym się handlem, a ci zwracali im pożyczkę z procentem.

— Co się stało, gdy Kościół zakazał wiernym udzielania oprocentowanych pożyczek?

— Jak łatwo sobie wyobrazić, znaleźliście sposób na obejście zakazu. Od razu było wiadomo, że mimo zachęty Kościoła zamożni chrześcijanie, miast dawać nieoprocentowane pożyczki, będąc woleli trzymać pieniądze w sakwie, nie ryzykując ich utraty. Dlatego wymyśliście nowy rodzaj obrotu kapitałem, tak zwaną dyspozycję. Obiło ci się o uszy to słowo?

— A jakże. W porcie często mówiono o dyspozycjach, gdy przybijał statek z towarem, choć nie bardzo rozumiałem, o co chodzi.

— Sprawa jest prosta. Dyspozycja to oprocentowana pożyczka, tyle że... zawołowana. Handlarz, najczęściej bankier, wręcza kupcowi pieniądze na zakup lub sprzedaż jakiegoś towaru. Gdy kupiec dobije targu, musi zwrócić bankierowi tę samą sumę oraz część zysków. Mamy więc do czynienia z rodzajem oprocentowanej pożyczki. Tak czy inaczej chrześcijanin, który pożycza pieniądze, otrzymuje je z procentami. Przecież właśnie ten proceder — czerpanie zysków z obrotu pieniędzmi, a nie z pracy rąk — piętnuje wasz Kościół. Robicie więc to samo co przed stu laty, zanim zabroniono wam pożyczania pieniędzy na procent, zmieniliście jedynie nazwę całej operacji. Sam więc widzisz: Żyd pożyczający pieniądze na procent jest dla was lichwiarzem, podczas gdy ta sama działalność prowadzona przez chrześcijanina to już nie lichwa, ale dyspozycja.

— Naprawdę nie ma żadnej różnicy między oprocentowaną pożyczką a dyspozycją?

— Tylko jedna. W przypadku dyspozycji osoba wykładająca pieniądze ryzykuje na równi z klientem: jeśli kupiec nie wróci z wyprawy lub towar przepadnie, dajmy na to w wyniku napaści piratów, również bankier traci swój wkład. Inaczej wygląda sytuacja w przypadku tradycyj-

nej pożyczki: kupiec musi ją spłacić bez względu na powodzenie operacji. Jednak różnica jest czysto teoretyczna, bo w praktyce kupiec, który stracił towar, i tak nie oddaje nam długu, a my, chcąc nie chcąc, musimy podporządkować się wymogom rynku. Kupcy wolą dyspozycje, bo chcą jak najmniej ryzykować, a my idziemy im na rękę, ponieważ bez nich nie zdołalibyśmy zgromadzić środków na zaspokojenie żądań waszych królów. Rozumiesz już, w czym problem?

— Chrześcijanie nie pożyczają pieniędzy na procent, ale udzielają dyspozycji, a więc robią to samo, tylko pod inną nazwą — tłumaczył sobie Arnau pod nosem.

— No właśnie. Wasz Kościół sprzeciwia się nie tyle samemu oprocentowaniu, ile czerpaniu zysków z obrotu pieniędzmi, a nie z pracy. Nie dotyczy to jednak tak zwanych tanich pożyczek, udzielanych królom, wielmożom i rycerzom, im bowiem wolno pożyczać pieniądze na procent. Kościół uznaje to za pożyczkę na cele wojenne i w tym przypadku uważa oprocentowanie za słuszne.

— Ale zajmują się tym wyłącznie bankierzy — przekonywa Arnau. — Trudno sądzić wszystkich chrześcijan podług tego, co robią...

— Nie oszukuj się. — Hasdai uśmiechnął się i zaczął żywo gestykulować. — Bankierzy obracają pieniędzmi chrześcijan i z ich kieszeni wypłacają dyspozycje i dzielą się zyskami z współwyznawcami, którzy powierzyli im swe oszczędności, owszem, to oni wykonują brudną robotę, ale utrzymują ich chrześcijanie odwiedzający ich kantory. Coś ci powiem, Arnau. Na tym świecie jedno pozostanie bez zmian: ludzie zawsze będą chcieli się bogacić. Nikt nigdy nie rozdawał pieniędzy i rozdawać nie będzie. Skoro nie robią tego wasi biskupi, dlaczego mieliby to robić zwykli chrześcijanie? Niech to sobie będzie pożyczka, dyspozycja czy cokolwiek innego, ale fakt pozostaje faktem: nie dostaniesz nic za darmo. A jednak proszę, tylko nas, Żydów, nazywa się lichwiarzami.

Noc zastała ich na pogawędce — rozgwieżdżona, pogodna, śródziemnomorska noc. Przez chwilę wszyscy troje siedzieli w milczeniu, rozkoszując się ciszą i spokojem, które spowijały mały ogród na tyłach domu Hasdaia Crescasa. Gdy niedługo potem zasiedli do kolacji, Arnau po raz pierwszy zobaczył w swych gospodarzach ludzi sobie równych, wyznających inną wiarę, ale prawych, dobrych, wielkiego serca, w niczym nie ustępujących gorliwym chrześcijanom. Owego wieczoru bez żadnych skrępowań rozkoszował się w towarzystwie Hasdaia przy smakami żydowskiej kuchni, obsługiwany przez kobiety.



Sytuacja stawała się dla wszystkich coraz bardziej krępująca. Wieści dochodzące zza murów getta napawały otuchą: nowe przypadki zachorowań były coraz radsze. Arnau postanowił wrócić do domu. W wieczór poprzedzający pożegnanie Arnau i Hasdai spotkali się w ogrodzie. Próbowali gawędzić po przyjacielsku o blahostkach, ale w powietrzu wyczuwało się już nieuchronne rozstanie i rozmawiający omijali się wzrokiem.

— Sahat jest twój — oznajmił znięcała Hasdai, wręczając Arnauowi stosowne dokumenty.

— A na cóż mi niewolnik? Póki nie zostanie wznowiony handel morski, nie będę mógł zarobić nawet na własne utrzymanie, nie mówiąc o wyżywieniu sługi. Moje bractwo nie przyjmuje do pracy niewolników. Nie potrzebuję Sahata.

— Owszem, potrzebujesz — odparł Hasdai z uśmiechem. — Zasłużyłeś na niego. Sahat opiekuje się Raquel i Jucefem od kołyski i wierz mi, kocha ich jak rodzone dzieci. Ani on, ani ja nigdy nie zdołamy odwdziżyć ci się za to, co dla nich zrobiłeś. Ale możemy przynajmniej ułatwić ci życie. Do tego właśnie potrzebny ci jest Sahat, który zresztą w pełni się ze mną zgadza.

— Ułatwić mi życie?

— Pomożemy ci się wzbogacić.

Arnau odwdzajemnił uśmiech gospodarza.

— Jestem zwykłym tragarzem portowym. Bogactwa są dobre dla wielmożów i kupców.

— Niebawem staną się również twoim udziałem, moja w tym głowa. Postępując rozważnie i zgodnie ze wskazówkami Sahata, szybko się wzbogacisz, zapewniam cię. — Arnau podniósł wzrok na Żyda, czekając na dalsze wyjaśnienia. — Jak już wiesz — ciągnął Hasdai — zaraza ustępuje i coraz rzadziej dochodzi do nowych zachorowań. Jednak skutki epidemii są przerażające. Nikt nie potrafi oszacować, ilu mieszkańców Barcelony zginęło, wiadomo natomiast, że miasto straciło czterech z pięciu rajców. A to wróży wszystko co najgorsze. No, ale do rzeczy. Morowe powietrze zabrało wielu bankierów działających w Barcelonie. Wiem, bo byli wśród nich moi długoletni współpracownicy. Dlatego sądzę, że jeśli ty tylko masz ochotę, mógłbyś zająć się bankier-

stwem...

— Nie mam zielonego pojęcia o tych sprawach — przerwał mu Arnau. — Poza tym musiałbym zdać egzamin mistrzowski, a ja się na tym zupełnie nie znam.

— Bankierów to jeszcze nie dotyczy — odparł Hasdai. — Podobno skierowano do króla prośbę o stosowny edykt, ale decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła. Tak więc zawód bankiera wciąż jest wolny, musisz po prostu zabezpieczyć swój kantor i... do dzieła. A jeśli chodzi o resztę, zdaj się na Sahata. On wie o kantorach dosłownie wszystko. Od wielu lat pomaga mi w interesach. Zresztą kupiłem go ze względu na jego wiedzę dotyczącą tego typu operacji. Daj mu wolną rękę, a dużo cię nauczy i uczyni człowiekiem bogatym. Choć jest niewolnikiem, możesz mu w pełni zaufać, poza tym do końca życia będzie ci wdzięczny za to, co zrobiłeś dla moich dzieci. Kocha je jak własne i uważa za swą rodzinę. — Hasdai świdrował Arnaua małymi oczkami. — Co ty na to?

— Czy ja wiem... — wahał się Arnau.

Możesz liczyć na moje wsparcie oraz pomoc wszystkich, którzy cię znają. My, starozakonni, nie zapominamy o wyświadczonych nam przysługach. Sahat zna moich agentów działających na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w Euronje a nawet jeszcze dalej na wschód, na ziemiach sułtana Egiptu. Będziesz miał znakomite zaplecze, wymarzone do rozpoczęcia działalności handlowej, a my ci w tym pomożemy. Wierz mi Arnau, to naprawdę doskonała okazja. Zobaczysz, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Za dość sceptycznym przyzwoleniem Arnaua Hasdai zaczął realizację przygotowanego wczasu planu. Zasada numer jeden: nikt, dosłownie nikt, nie powinien wiedzieć, że Arnau ma poparcie Żydów, bo mogłoby mu to tylko zaszkodzić. Hasdai wystała się o dokument zaświadczający, że pieniądze, którymi obraca Arnau, pochodzą od pewnej wdowy z Perpignan, chrześcijanki, i z formalnego punktu widzenia tak właśnie było.

— Jeśli ktoś spyta cię o szczegóły — radził mu Hasdai — nie odpowiadaj, a jeśli nie będziesz miał innego wyjścia, powiedz, że dostałeś spadek. Potrzeba ci sporo pieniędzy na początek — ciągnął. — Najpierw ubezpieczysz kantor w magistraturze, wpłacając kaucję w wysokości tysiąca srebrnych marek. Następnie kupisz dom lub prawa do domu w dzielnicy bankierów, na ulicy Canvis Vells lub Canvis Nous, po czym odpowiednio go urządzisz i otworzysz tam kantor. Poza tym będziesz musiał mieć większą sumę na rozpoczęcie działalności.

Bankier! Czemu nie? Cóż pozostało z jego przeszłości? Jego najbliższych i przyjaciół zabrała czarna śmierć. Hasdai zapewniał, że dzięki Sahatowi interes będzie prosperował. Arnau nie bardzo wiedział, jak wygląda życie bankiera. Będzie bogaty, zapewnił go Hasdai. Co robią bogacze? Arnau przypomniał sobie nagle wujka Graua, jedyne bogacza, którego znał osobiście, i poczuł ucisk w żołądku. Nie, za nic w świecie nie upodobni się do niego.

Ubezpieczył kantor na tysiąc srebrnych marek, które dostał od Hasdaia, i złożył przysięgę w magistraturze, że doniesie władzom o każdej fałszywej monecie i zniszczy ją specjalnymi nożycami do metalu, stanowiący mi obowiązkowe wyposażenie bankiera. Nie omieszkał zapytać się w duchu, jak u diaska, rozpozna fałszywą monetę, jeśli nie będzie miał przy sobie Sahata. Urzędnik magistratury uwierzył telnii swym podpisem księgi rachunkowe, w których właściciele kantorów zapisywali wszystkie operacje handlowe, i Arnau, otrzymawszy pozwolenie na działalność bankierską, ustalił godziny przyjęć interesantów w Barcelonie pogrążonej w chaosie wywołanym niedawną epidemią dżumy.

Druga zasada, której przestrzeżenie Hasdai doradził Arnauowi, dotyczyła Sahata:

— Nikt nie powinien wiedzieć, że go ci podarowałem. Sahat jest dobrze znany w gronie bankierów i jeśli ktoś dowie się prawdy, napytasz sobie biedy. Jako chrześcijaninowi wolno ci robić z nami interesy, nie dopuść jednak, by uznano cię za przyjaciela Żydów. Z Sahatem wiąże się jeszcze jeden problem, o którym powinieneś wiedzieć: moi koledzy po fachu nie uwierzą, że go sprzedałem. Wielu z nich chciało go ode mnie kupić, proponowano mi za niego niebotycznie sumy, jednak wszystkich odprawiałem z kwitkiem ze względu na dryg Sahata do interesów i jego przywiązanie do Raquel i Jucefa. Podejrzliwie przyjęto by tak nagłą zmianę zdania. Dlatego uznaliśmy, że Sahat powinien się nawrócić na chrześcijaństwo...

— Nawrócić się?

— Tak Żydzi nie mogą posiadać chrześcijańskich niewolników. Jeśli któryś z naszych sług się nawraca, musimy ich uwolnić lub sprzedać chrześcijanom.

— Czy bankierzy uwierzą w tak nagłe nawrócenie?

Wszyscy wiedzą, że epidemia moru potrafi podkopać nawet najsilniejszą wiarę.

Sahat jest gotowy na takie poświęcenie? Owszem.

Rozmawiali o tym nie jak pan i niewolnik, ale jak dwaj przyjaciele, w których zamieniły ich wspólnie przeżyte lata. — Zrobisz to? — zapytał Hasdai. — Zrobię — odparł Sahat. — Allah jest wielki, zrozumie.

Jak wiesz, nie możemy praktykować naszej religii na ziemiach chrześcijan, więc modlimy się w tajemnicy, w sercu to się nie zmienia, choćby wylano mi na głowę kubel święconej wody.

— Arnau jest żarliwym chrześcijaninem — nie ustępował Hasdai. — Jeśli się dowie...

— Nie dowie się. My, niewolnicy, jesteśmy mistrzami w sztuce hipokryzji. Nie, nie bierz tego do siebie, po prostu służyłem w niejednym domu. Często od tego właśnie zależy nasze życie.

Trzecia zasada pozostała tajemnicą i wiedzieli o niej tylko Hasdai i Sahat.

— Nie muszę ci chyba mówić — powiedział Żyd do swego byłego niewolnika — jak bardzo jestem ci wdzięczny, że podjąłeś się tego zadania. Moje dzieci i ja nigdy ci tego nie zapomnimy.

— To ja winien wam jestem wdzięczność.

— Wiesz, na czym powinieneś się teraz skupić...

— Tak sądzę.

— Zapomnij o przyprawach, o suknie, olejkach i wosku — radził Hasdai, a Sahat potakiwał, słuchając wskazówek, które nie były mu zresztą potrzebne. — Póki sytuacja nie wróci do normy, rynek kataloński nie będzie mógł wchłonąć tego rodzaju produktów. Przerzucić się na niewolników, właśnie, na niewolników. Zdzięsiatkowana epidemia Katalonia potrzebuje siły roboczej. Do tej pory nie trudniliśmy się handlem niewolnikami, wiedz jednak, że znajdziesz ich w Bizancjum, Palestynie, na wyspie Rodos i na Cyprze. Oczywiście również na rynku sycyjlijskim. Tak słyszałem, że sprzedaje się tam sporo Turków i Tatarów. Ale opowiadałbym się raczej za nabywaniem niewolników w ich ojczyźnie, tym bardziej że we wszystkich tych miejscach mamy ludzi, którzy ułatwią ci zadanie. Twój nowy pan szybko zbije spory majątek.

— A jeśli nie zechce pośredniczyć w handlu ludźmi? Wygląda na osobę...

— Szlachetną — przerwał Hasdai, potwierdzając obawy swego rozmówcy — prawą, skromną i wielkoduszną. I ja nie zdziwiłbym się, gdyby nie chciał handlować niewolnikami, dlatego nie przywoź ich do Barcelony. Lepiej, by Arnau ich nie widział. Wysyłaj towar bezpośrednio do Perpignan, do Tarragony i do Salou lub po prostu sprzedawaj go na Majorce, gdzie jest jeden z największych nad Morzem Śródziemnym targ niewolników. Niech inni sprowadzają ich potem do

Barcelony lub dokąd tylko zechcą. Również w Kastylii istnieje duże zapotrzebowanie na niewolników. Tak czy owak Arnau nie od razu nauczy się nowego fachu, więc jeszcze przez jakiś czas będziesz miał wolną rękę. Moim zdaniem, które przekażę mu zresztą osobiście, na początek powinien nauczyć się rozróżniać monety i ich kurs, poznać rozmieszczenie rozmaitych rynków i szlaków handlowych oraz podstawowe towary importowe i eksportowe. W tym czasie ty zadbasz o jego interesy i zrobisz, co do ciebie należy. Weź pod uwagę, że wiele osób wpadnie na ten sam pomysł, i każdy kupiec z odrobiną grosza będzie sprowadzał niewolników. Czeła nas okres bardzo dochodowy, ale krótkotrwały. Korzystaj z okazji, póki rynek się nie nasyci, a to tylko kwestia czasu.

— Mogę liczyć na twoją pomoc?

— Jak najbardziej. Dam ci listy polecające do wszystkich moich agentów. Zresztą już ich znasz. Udzielą ci potrzebnego kredytu.

— A księgi rachunkowe? Trzeba będzie wpisywać w nie sprzedanych i kupionych niewolników, więc Arnau może się orientować...

Hasdai uśmiechnął się do Sahata porozumiewawczo.

— Jestem pewien, że coś wymyślisz.



34

— Ten! — Arnau wskazał niewielki dwupiętrowy, zamknięty na głucho dom z białym krzyżem na drzwiach. Towarzyszący mu Sahat, który na chrzcie otrzymał imię Guillem, przytaknął. — Zgoda? — zapytał Arnau.

Guillem ponownie przytaknął, a na jego wargach zaigrał uśmiech.

Arnau pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeszcze nie wskazał na budynek, Guillem już przy stał na jego kupno. Nigdy dotąd jego życzenia nie spełniały się równie szybko. Czy tak będzie zawsze? Znowu pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Coś nie tak, panie? — Arnau spiorunował Guillemu wzrokiem. Ile razy ma mu powtarzać, by go tak nie nazywał. Ale Maur obstawał przy swoim, tłumacząc, że trzeba zachować pozory. Guillem wytrzymał jego spojrzenie. — Już ci się nie podoba, panie?

— Podoba... Oczywiście, że mi się podoba. Nada się?

— A jakże. Doskonały wybór. Patrz. — Guillem wskazał na dom — stoi dokładnie na rogu dwóch ulic bankierów: Canvis Nous i Canvis Vells. Trudno o lepsze miejsce.

Arnau spojrział w kierunku wskazanym przez niewolnika. Na lewo Canvis Vells dochodziła do morza, a dokładnie przed nimi otwierała się Canvis Nous. Jednak Arnau bynajmniej nie dlatego zwrócił uwagę na ten dom, zresztą dopiero teraz zauważył, że stoi na rogu ulic bankierów, mimo że przechodził tędy setki razy. Domek stał tuż przy placu Santa Maria, dokładnie naprzeciwko mającego dopiero powstać głównego wejścia do świątyni.

— Dobry znak — mruknął do siebie Arnau.

— Co mówisz, panie?

Arnau odwrócił się gwałtownie. Nie znosił, gdy Guillem zwracał się do niego w ten sposób.

— Czy nawet teraz musimy zachowywać pozory? — warknął. — Przecież nikt nas nie słyszy. Nikt na nas nie patrzy.

— Nie zapominaj, że odkąd zostałeś bankierem, więcej osób, niż przypuszczasz, słucha cię i obserwuje. Będziesz musiał się do tego przyzwyczaić.

Jeszcze tego ranka, gdy Arnau przechadzał się po plaży wśród statków, wpatrzonego w morze, Guillem wypytał o właścicieli upatrzonego domku, który, jak można było oczekiwać, należał do Kościoła. Dotychczasowi dzierżawcy zmarli podczas epidemii i Guillem nie musiał się długo targować, wszak trudno o lepszego dzierżawcę od bankiera.

Wprowadzili się tego samego popołudnia. Na piętrze mieściły się trzy pokoje, z których umeblowali dwa: jeden dla Arnaua, drugi dla Guillem'a. Parter składał się z kuchni, wychodzącej na zaniedbany ogródek warzywny, oraz z oddzielonej od niej przepierzeniem dużej izby z oknami od ulicy. W ciągu najbliższych dni Guillem wyposażył pokój na parterze w szafę, kilka lamp oliwnych oraz długi stół ze szlachetnego drewna, przy którym ustawił dwa krzesła z jednej strony i kolejne cztery z drugiej.

— Czegoś tu brakuje — mruknął pewnego dnia Guillem i wyszedł.

Arnau został sam w nowym kantorze. Długi drewniany stół, wypucowany starannie przez świeżo upieczonego bankiera, Połyskiwał. Arnau przejechał palcem po oparciu krzesła.

— Gdzie chcesz siedzieć? — zapytał go na samym początku

Gdy Arnau wybrał miejsce po prawej, na lewo od przyszłych klientów, Guillem przestawił krzesła: ustawił fotel z poręczami; obity czerwonym jedwabiem, a sobie zostawił proste, pozbawione ozdób krzesło. Arnau siadł na fotelu i powiódł wzrokiem po pustej izbie. Co za dziwne uczucie! Zaledwie kilka miesięcy temu rozładowywał statki, a teraz... Jeszcze nigdy nie siedział na takim krześle! Na jednym końcu stołu leżały w nieładzie księgi rachunkowe. Z nierozdartego pergaminu, wyjaśnił Guillem podczas zakupów. Prócz ksiąg nabyli pióra, kałamarze, wagę, kilka skrzyń na pieniądze i wielkie nożyce do przycinania fałszywych monet.

Guillem wydobyl z sakiewki zawrotną sumę, jakiej Arnau nigdy wcześniej nie widział na oczy.

— Kto za to wszystko płaci? — zapytał w pewnej chwili. — Ty.

Arnau uniósł brwi i zerknął na sakiewkę przytroczoną do pasa niewolnika.

— Chcesz? — Guillem wskazał mieszek

— Nie.

Do zakupionego wyposażenia Guillem dodał swoje piękne liczydło w drewnianej ramie z gałkami z kości słoniowej — podarunek od Hasdaia. Arnau wziął je i przerzucił gałki. Przypomniał sobie lekcję Guillem'a. Niewolnik najpierw przesuwiał gałki z zawrotną szybkością, licząc pod nosem, aż Arnau poprosił go, by nieco zwolnił. Posłuszny Maur cierpliwie tłumaczył mu działanie liczydła, ale... Jakto, u licha, było?

Arnau odłożył liczydło i zabrał się do porządkowania stołu. Księgi rachunkowe będą leżeć przed nim. Nie... może lepiej przed Guillemem. Niech on zajmie się wpisami. Kufry mogą stać przy moim fotelu, nożyce do metalu nieco z boku, a pióra i kałamarze obok ksiąg i... liczydło. Ni by kto, jeśli nie Guillem, ma go używać?

Gdy Arnau krzątał się po izbie, wrócił Guillem.

— Co ty na to? — zapytał go z uśmiechem były *bastaix*, wskazując ręką stół.

— Doskonale. — Guillem odpowiedział mu uśmiechem. — a je to nie wystarczy, by przyciągnąć klientów, a tym bardziej nakłonić ich do powierzenia ci pieniędzy. — Uśmiech zamarł Arnauowi na wargach. — Nie martw się, brakuje tylko jednej rzeczy i właśnie ją kupilem.

Arnau ostrożnie rozwinął wręczony mu kawałek sukna. Była to wykończona złotymi chwostami serweta z cennego, czerwonego jedwabiu.

— Tego właśnie — oznajmił Guillem — brakowało w naszym kantorze. Serweta jest znakiem,

że spełniłeś wszystkie oficjalne wymagania stawiane bankierom i wpłaciłeś w magistraturze tyśiąc srebrnych marek kaucji. Nikt, kto nie posiada zezwolenia władz miejskich i nie chce narazić się na surowe kary, nie może położyć takiej serwety ani podobnego dywanika na stole czy przed stołem kantoru. Bez tego drobiazgu nijak nie moglibyśmy skłonić nikogo do powierzenia nam pieniędzy.

Począwszy od owego dnia, Arnau i Guillem poświęcili się całkowicie kantorowi. Za radą Hasdaia Crescasa były bastaba zabrał się ochoczo do zgłębiania podstaw nowej profesji.

— Do najważniejszych zadań bankiera — wyjaśnił Guillem, gdy siedzieli za stołem i kątem oka obserwowali drzwi w oczekiwaniu na klientów — należy wymiana waluty.

Wstał, obszedł stół i położył przed Arnauem sakiewkę.

— A teraz uważaj — powiedział, wyjmując z sakiewki monetę i kładąc ją na stole. — Wiesz, co tu mamy? — Arnau skinął głową. — To kataloński srebrny *croat* bity w Barcelonie, zresztą kilka kroków stąd...

— Nie miewałem ich sporo w kieszeni — przerwał mu Arnau — ale na plecach i owszem. Ponoć z rozkazu króla tylko *bastaixos* mogą je transportować.

Guillem uśmiechnął się i kiwnął głową, po czym znowu sięgnął do sakiewki.

— A to — ciągnął, wyjmując kolejną monetę i kładąc ją obok *croata* — złoty floren aragoński.

— Takich nigdy nie miałem — stwierdził Arnau, biorąc florena do ręki.

— Nie martw się, będziesz miał ich bez liku. — Arnau spojrział Guillemowi w oczy, a wtedy Maur spoważniał i skinął głową na potwierdzenie swych słów. — To z kolei dawny obiegowy denar barceloński. — Guillem położył monetę na stole i zanim Arnau zdążył coś powiedzieć, znów sięgnął do sakiewki. — Jednak kupcy posługują się przeróżnymi i monetami — powiedział — i musisz znać je wszystkie. Tutaj mamy monety muzułmańskie: bezanty, mazmudiny, *rexedi* i złote bezanty. — Guillem układał monety przed Arnauem. — A to grosze turońskie bite we Francji, złote dobre kastylijskie, złote floreny z Florencji, grosze z Genui, weneckie dukaty, monety bite w Marsylii. Istnieją jeszcze inne monety katalońskie: real walenccki lub majorkański, grosz z Montpellier, melguriensy pochodzące ze wschodniej części Pirenejów i jaquesy, bite w Jace, a używane głównie w Leridzie.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Arnau, gdy Maur zamilkł.

— Musisz nauczyć się je rozróżniać — powiedział Guillem z naciskiem.

Arnau kilkakrotnie przebiegł wzrokiem monety rozłożone na stole i westchnął.

— To już wszystkie? — zapytał, spoglądając na Guillema.

— Skądże, jest ich znacznie więcej. Ale tych używa się najczęściej.

— I jak sieje przelicza?

Tym razem westchnienie wyrwało się Maurowi.

— To znacznie bardziej skomplikowana sprawa. — Arnau dał mu znak, by mówił dalej. — Do wymiany walut stosuje się jednostki przeliczeniowe, w dużych transakcjach funty i marki, a na co dzień denary i soldy. — Arnau pokiwał głową. On zawsze posługiwał się soldami i denarami, bez względu na używaną walutę, która zresztą rzadko się zmieniała. — W wymianie należy przełożyć na jednostkę przeliczeniową wartość waluty wyjściowej, a następnie tej, na którą ma ona zostać wymieniona. Arnau słuchał uważnie wyjaśnień niewolnika.

— A skąd wiadomo, jaka to wartość?

— Ustala się ją regularnie na tutejszej giełdzie w Konsulacie górskim. Trzeba się tam udać i sprawdzić oficjalny kurs.

— To kurs ulega zmianie? — Młodzieniec pokręcił głową. Nie potrafi odróżniać walut, nie wie, jak się je wymienia, a teraz na domiar złego okazuje się... że ich kurs jest zmienny!

— Nieustannie. I trzeba go znać, bo właśnie zmiany kursu zapewniają bankierom największe zyski. Sam się o tym przekonasz. Trudno o lepszy interes niż kupno i sprzedaż pieniędzy...

— To pieniądza można kupować?

— Kupować i... sprzedawać. Wykorzystując różnorodność monet, można kupować srebro za złoto lub złoto za srebro tu, w Barcelonie, lub za granicą, w zależności od aktualnego kursu.

Arnau załamał ręce w geście bezsilności.

— W rzeczy wistoci to wcale nie takie trudne — próbował go pocieszyć Guillem. — Zaraz ci wszystko wyjaśnię. W Katalonii stosunek złotego florena do srebrnego croata narzuca król. Ustalił on w tym przypadku parytet jeden do trzynastu, to znaczy za jednego złotego florena można dostać trzynaście srebrnych croatów. Ale we Florencji, w Wenecji czy w Aleksandrii król Katalonii ma niewiele do powiedzenia, dlatego złoto z jednego florena jest warte mniej niż srebro zawarte w trzynastu croatach. W Katalonii przy ustalaniu parytetu król kieruje się racjami politycznymi, za granicą natomiast wazy się złoto i srebro zawarte w obu monetach, orzekając na tej podstawie ich wartość. Czyli sprzedając srebrne croaty za granicą, otrzymasz więcej złota. A po przywiezieniu tego złota do Katalonii znów dostaniesz trzy naście croatów za każdego złotego florena.

Ale przecież każdy może tak kupować i sprzedawać — powiedział Arnau.

— Owszem, jeśli tylko mu się to opłaca... A opłaca się to nie temu, kto ma dziesięć czy sto croatów, ale komuś, to przekona wielu posiadaczy dziesięciu lub stu croatów, by powierzyli mu swoje oszczędności. — Arnau i Guillem spojrzeli na siebie. — I tu właśnie wkraczamy my — zakończył wykład Maur, rozkładając ręce.

Z czasem, gdy Arnau nauczył się rozróżniać monety i przeliczać ich kurs, Guillem zaczął mu opowiadać o szlakach handlowych i towarach.

— Obecnie główny szlak prowadzi z Candii na Cypr, stamtąd do Bejrutu i dalej do Damaszku lub Aleksandrii, mimo że papież... zakazał handlu z Aleksandrią.

— W takim razie jak to możliwe? — zapytał Arnau, bawiąc się liczydłem.

— Dzięki pieniądзом, ma się rozumieć. Można przecież kupić przebaczenie.

Arnau przypomniał sobie usłyszaną kiedyś w królewskim kamieniołomie opowieść o funduszach na budowę arsenału morskiego.

— I prowadzimy handel tylko na Morzu Śródziemnym?

— Nie, handlujemy z całym światem, chociażby z Kastylią, Francją i Flandrią, ale korzystamy głównie ze szlaków śródziemnomorskich. Różnica polega na rodzaju ładunku: we Francji, Flandrii i w Anglii kupujemy tkaniny, zwłaszcza te najbardziej wyrafinowane: sukno z Tuluzy, Brugii, Mechelen, Diestu lub z Vilages. W zamian sprzedajemy tam len kataloński. Sprowadzamy stamtąd również wyroby miedziane i mosiężne. W Oriencie natomiast, w Syrii i w Egipcie, kupujemy przyprawę...

— Pieprz — wtrącił Arnau.

— Tak pieprz. Nie zapominaj jednak, że kupiec zalicza do przypraw także wosk, cukier, a nawet kły słoniowe. Dopiero jeśli zaznaczy, że ma na myśli pospolite przyprawy, będzie mu chodziło o cynamon, goździki, pieprz, gałkę muszkatołową...

— Wspomniałeś o wosku. Sprowadzamy wosk? Jak to możliwe, skoro niedawno mówiłeś, że sprzedajemy miód?

— Wszystko się zgadza. Sprzedajemy miód, ale kupujemy wosk. Mamy w Katalonii nadwyżki miodu, ale kościoły zużywają bardzo dużo wosku. — Arnau pomyślał o *bastaixos*, którzy dbali, by przed Madonną od Morza nigdy nie zabrakło zapalonych świec. — Wosk trafia do nas z Dacji przez Bizancjum. Innym ważnym przedmiotem handlu — ciągnął Guillem — jest żywność. Przed laty eksportowaliśmy pszenicę, teraz musimy sprowadzać z zagranicy różne odmiany zboża: pszenicę, ryż, proso i jęczmień. Sprzedajemy natomiast oliwę, wino, orzechy i suszone owoce, szafran, słoninę i miód. Handlujemy również peklowanym mięsem.

Arnau i Guillem musieli przerwać pogawędkę, bo do kantoru wszedł klient. Mężczyzna siadł przed bankierami i po wymianie grzeczności wręczył im pokaźną sumę. Guillem sobie powinszował. Nie znał tego człowieka, co było bardzo dobrą wróżbą: nie zależeli już wyłącznie od klientów podsyłanych im przez Hasdaia. Arnau obsłużył klienta z należytą powagą — przeliczył monety i sprawdził ich autentyczność, po czym na wszelki wypadek podsunął je Guillemowi. Niewolnik zerkał, jak Arnau odnotowuje w księgach rachunkowych powierzoną im sumę. Poczył wyraźne postępy i pisanie szło mu coraz lepiej. Preceptor Puigów nauczył go pisać, jednak Arnau przez lata nie korzy stał z tej umiejętności.

W oczekiwaniu na wznowienie żeglugi Arnau i Guillem Przygotowywali dyspozycje. Kupowali towary na eksport, na spółkę z innymi bankierami frachtowali okręty lub najmowali kupców i uzgadniali, jakie produkty powinni przywieźć w drodze powrotnej.

— Ile zarabiają kupcy, których najmujemy? — chciał wieniec Arnau.

— Zależy od zlecenia. W przypadku zwykłych ładunków dostają czwartą część zysków. Przy obrocie monetami, złotem i srebrem sprawa wygląda nieco inaczej. My wyznaczamy kurs wymiany, a oni zatrzymują dla siebie różnicę naszą ceną a tym, co utargują.

— Jak radzą sobie z dala od ojczyzny? — zastanawiał się Arnau, próbując sobie wyobrazić zamorskie krainy. — Przecie? to obce ziemie, ludzie mówią tam innymi językami... Na pewno wszystko jest zupełnie inne.

— To prawda — przyznał Guillem. — Nie zapominaj jednak że na całym świecie istnieją katalońskie faktorie. Przypominają one nasz Konsulat Morski. W każdym porcie urzęduje mianowany przez władze Barcelony konsul, który rozstrzyga kwestie handlowe i rozsądza spory między katalońskimi kupcami a miejscową ludnością lub władzami. Na terenie faktorii znajduje się miasteczko kupieckie: ogrodzone skupisko budynków, gdzie zatrzymują się katalońscy kupcy i gdzie składowane są towary przywiezione na sprzedaż lub gotowe do załadowania na statek wyruszający w drogę powrotną. Miasteczko kupieckie to skrawek Katalonii na obczyźnie. Stanowi teren eksterytorialny, który podlega naszemu konsulowi, a nie miejscowym władzom.

— Jak to możliwe?

— Wszystkim władcom zależy na wymianie handlowej z innymi krajami, bo oznacza ona wpływy z podatków, a zatem pełny skarbiec. Handel rządzi się własnymi prawami. Na przykład Katalonia, mimo że prowadzi wojnę z Saracenami, już od zeszłego wieku utrzymuje faktorie w Tunisie czy w Bougie i wierz mi, żaden wódz arabski nie przypuścił szturmowi na katalońskie miasteczko kupieckie.

Kantor Arnaua Estanyola prosperował doskonale. Morowe powietrze zdziesiątkowało katalońskich bankierów, Guillem był najlepszą gwarancją dla inwestorów, a w miarę ustępowania epide-

mii mieszkańcy Barcelony wy doby wali zachomikowane po domach oszczędności. Mimo to Guillem nie mógł spać spokojnie. „Sprzedaj towar na Majorce”, powiedział mu zdawkowo Hasdai, nie chcąc, by Arnau domyślił się, że rozmawiają o niewolnikach. Guillem poszedł za jego radą. W złą godzinę — zaklął, przewracając się na posłaniu. Posłużył się jednym z ostatnich okrętów wypływających z Barcelony u progu października, tuż przed zakończeniu sezonu żeglugowego. Bizancjum, Palestyna, Rodos i Cypr — tam znajdowały się porty docelowe czterech kupców, którzy wyruszyli w podróż na zlecenie bankiera z Barcelony, Arnaua Estanyola. Wszyscy czterej otrzymali weksle, które Guillem podsunął Arnauowi, a ten podpisał bez czytania. Kupcy mieli na być niewolników i dostarczyć ich na Majorkę. Guillem przewrócił się na drugi bok.

Sytuacja polityczna nie była sprzyjająca. Mimo zabiegów papieża, Piotr III rok po pierwszej wyprawie — odczekawszy, aż wygaśnie odroczenie, które przyznał wówczas królowi Majorce, podbił ostatecznie Cerdagne i Roussillon. 15 lipca 1344 roku, po kapitulacji większości tamtejszych miast, Jakub III padł na kolana przed swym szwagrem i błagając go z odkrytą głową o litość, przekazał mu swe włości. Piotr III podarował mu Montpellier oraz wicehrabstwa Omelades i Carlades, zatrzymał jednak ziemie swych przodków: Majorkę, Roussillon i Cerdagne.

Niedługo po kapitulacji Jakub III, zgromadziwszy niewielką armię złożoną z sześćdziesięciu rycerzy i trzystu piechurów, wkroczył do Cerdagne, występując ponownie przeciwko swemu szwagrowi. Piotr Ceremonialny nie stawiał się nawet na placu boju, wysyłając w zastępstwie swych wasali. Pokonany, zrezygnowany i poniżony król Jakub schronił się pod opiekuńczy mi skrzydłami sprzyjającego mu w dalszym ciągu papieża Klemensa VI. Właśnie tam, w łonie Kościoła, uknuto kolejny plan: Jakub III sprzedał francuskiemu królowi Filipowi VI Montpellier za dwanaście tysięcy eskudów w złocie i za tę sumę, dopełnioną papieską pożyczką, uzbroił flotyllę — podarowaną mu przez królową Neapolu Joannę — i w roku 1349 wylądował ponownie na Majorce. Niewolnicy mieli przybyć na pokładzie pierwszych okrętów, które wypłynęły wiosną 1349 roku. W grę wchodziły wielkie pieniądze i gdyby operacja się nie powiodła, reputacja Arnaua — mimo poparcia Hasdaia — ucierpiałaby w oczach agentów, z którymi miał w przyszłości współpracować. Na wekslach widniał jego podpis i nawet jeśli Hasdai spłaciłby je jako poręczyciel, Estanyola byłby skompromitowany. Kontakty z zamorskimi agentami opierały się na zaufaniu, na ślepy m zaufaniu. Któż chciałby pracować z bankierem, który zawodzi już przy pierwszej transakcji?

— Nawet Arnau ostrzegał, byśmy omijali Majorkę — zwierzył się Guillem Hasdaiowi, jedynej osobie, której mógł się wyzalić.

Siedzieli w ogrodzie żydowskiego bankiera. Choć nie patrzyli na siebie, wiedzieli, że dręczy ich ta sama myśl. Cztery okręty z niewolnikami! Taka wpadka może zrujnować nawet samego Hasdaia.

— Skoro król Jakub ważył się złamać słowo dane w dniu kapitulacji — powiedział Guillem, podnosząc oczy na swego byłego pana — co stanie się z katalońskimi statkami, z naszym towarem?

Hasdai milczał. Cóż miał odpowiedzieć?

— Może kupcy skierują się do innego portu? — rzucił w końcu.

— Do Barcelony? — Guillem pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Nikt nie mógł tego przewidzieć — próbował go pocieszyć Żyd.

Odkąd Arnau uratował jego dzieci od pewnej śmierci, Hasda nauczył się traktować swą pracę z dystansem.

Król Piotr wyprowadził flotę katalońską na Majorcę w maju 1349 roku, w okresie wzmożonej żeglugi, w środku sezonu handlowego.

— Dobrze, że nie posłaliśmy żadnego statku na Majorcę, zauważył pewnego razu Arnau.

Guillem zmuszony był przytaknąć.

— Co by się stało — odezwał się znowu Arnau — gdybyśmy to jednak uczynili?

— Co masz na myśli?

— Przyjmujemy wkłady od klientów i inwestujemy je w handel morski. Jeśli wysłalibyśmy jakiś okręt na Majorcę, a król Jakub by go zarekwirował, zostalibyśmy bez pieniędzy i bez towaru, nie mielibyśmy z czego zwrócić powierzonych nam wkładów. W przypadku dyspozycji ponosimy ryzyko na równi z kupcami. Co czekałoby nas w takiej sytuacji?

— Abatut — odparł Guillem półgębkiem.

— Abatut?

— Kiedy bankier nie może oddać klientom pieniędzy, urzędnik nadzorujący działanie kantorów przyznaje mu sześć miesięcy na wywiązanie się z zobowiązań. Jeśli po upływie terminu dług nie zostanie spłacony, urzędnik ogłasza, że bankier jest abatut, czyli bankrutem, zamyka go w lochu o chlebie i wodzie i wyprzedaje jego majątek by spłacić wierzycieli...

— Ja nie mam majątku.

— Jeśli majątek nie wystarcza na spłacenie długów — recytował Guillem bez zająknięcia — bankrutowi ucina się głowę na progu jego kantoru, ku przestrodze innym bankierom.

Arnau milczał.

Guillem nie miał odwagi na niego spojrzeć. Przecież Arnau nic nie zawinił.

— Nie przejmuj się — próbował go uspokoić — tobie to nie grozi.



Wojna na Majorce trwała w najlepsze, ale Arnau był szczęśliwy. Gdy nie miał nic do roboty, wychodził przed kantor i opierał się o framugę drzwi. Epidemia minęła i kościół Santa Maria de la Mar ożył. Małeńka świątynia, którą Arnau pamiętał z zabaw z Joanetem, znikła bez śladu, a roboty posuwały się już w kierunku głównego ołtarza. Arnau mógł całe mi godzinami przyglądać się murarzom układającym kamienie i wspominać, jak nosił je na własnych plecach. Z tym kościołem związane było całe jego życie: Madonna, przyjęcie do bractwa *bastaixos*... Tu także znalazły schronienie żydowskie dzieci. Rzadkie listy od Joana potęgowały jeszcze radość Arnaua. Jego brat pisał lakonicznie: donosił jedynie, że cieszy się dobrym zdrowiem i poświęcił się studiom bez reszty.

W oddali pojawił się *bastaix* z kamieniem na plecach. Niewielu tragarzy portowych przeżyło epidemię. Jego teść, Ramon i wielu, wielu innych umarło. Arnau oplakiwał ich na plaży wraz z dawnymi towarzyszami.

— Sebastia — wymamrotał, rozpoznawszy tragarza.

— Co takiego? — dobiegł go zza pleców głos Guillega. Nie odwrócił się.

— Sebastia — powtórzył. — *Bastaix*, ten, który niesie kamień, ma na imię Sebastia.

Kiedy przechodził obok kantoru, pozdrowił Arnaua, nie odwracając głowy, patrząc przed siebie i zagryzając wargi.

— Przez wiele lat robiłem to samo — ciągnął Arnau urywany głosem. Guillem milczał. — Miałem zaledwie czternaście lat, gdy przytaszczyłem Madonnie pierwszy kamień. — Pojawił się drugi *bastaix*. Arnau pozdrowił i jego. — Myślałem, że złamię się pod ciężarem, że padnę i już nie wstanę, jednak radość, jaką poczułem u celu... Mój Boże!

— Wasza Madonna musi mieć w sobie coś szczególnego, skoro gotowi dla niej jesteście do takich poświęceń — usłyszał głos Maura.

Arnau i Guillem w milczeniu obserwowali mijających ich tragarzy.

Właśnie *bastaixos* zgłosili się do Arnaua pierwsi.

— Potrzebujemy pieniędzy — powiedział bez ogródek Sebastia, nowy cechmistrz bractwa. — Nasza skarbonka świeci pustkami, potrzeby są wielkie, a pracy nie ma lub jest źle płatna. Czarna śmierć pozbawiła nas środków do życia i nie mogą zmuszać braci do składania datków, póki sytuacja się nie polepszy.

Arnau zerknął na Guilleva siedzącego razem z nim za stołem, na którym połykiwał czerwony, jedwabny obrus. Twarz niewolnika była nieodgadniona.

— Jest aż tak źle? — zapytał Arnau.

— Nawet gorzej — odrzekł cechmistrz. — Ceny żywności wzrosły tak bardzo, że zarobki nie starczą na wykarmienie rodziny. A przecież nie możemy zapomnieć o żonach i dzieciach zmarłych towarzyszy. Musimy im pomagać. Potrzebujemy pieniędzy, Arnau. Oddamy ci wszystko co do grosza.

— Wiem.

Znów zerknął na Guilleva, szukając jego aprobaty.

Cóż ja wiem o pożyczkach? Do tej pory tylko przyjmował pieniądze, jeszcze nigdy ich nie pożyczął. Guillem ukrył twarz w dłoniach i westchnął.

— Jeśli to niemożliwe... — zaczął Sebastia.

— Możliwe — wszedł mu w słowo Guillem. Wojna ciągnęła się już drugi miesiąc i nadal nie miał żadnych wieści o niewolnikach. Cóż więc znaczy kilka denarów lub więcej. Przecież tak czy owak ruina grozi Hasdaiowi. Arnau mógł sobie pozwolić na udzielenie pożyczki. — Jeśli memu panu wystarcza wasze słowo...

— Wystarcza — zapewnił Arnau.

Odczywszy sumę potrzebną bractwu, Arnau uroczyście wręczył pieniądze cechmistrzowi. Guillem patrzył, jak podają sobie ręce nad stołem: stali w milczeniu, nie mogąc ukryć emocji przelanych w uścisk, który trwał całą wieczność.

W trzecim miesiącu wojny, gdy Guillem już tracił nadzieję, przybyli do Barcelony oczekiwani kupcy, wszyscy cztery jednocześnie. Pierwszy z nich, zawiąwszy do portu na Sycylii, dowiedział się o wojnie na Majorce i zaczął na statki katalońskie, wśród których znajdowały się trzy pozostałe galery z niewolnikami Arnaua Estanyola. Kapitanowie i kupcy postanowili ominąć Majorce i czterech handlarze, najęci przez Guilleva, sprzedali towar w Perpignan, drugim co do wielkości mieście Katalonii. Zgodnie z umową spotkali się z Maurem poza kantorem Arnaua, w miasteczku kupieckim na ulicy Carders. Tam, po odliczeniu przypadającej im czwartej części zysków, przekazali Guillemowi weksle oraz trzy czwarte zysków należne Arnauowi. To była prawdziwa fortuna! Katalonia potrzebowała rąk do pracy i niewolnicy byli w cenie.

Odprawivszy kupców i upewnivszy się, że nikt na niego nie patrzy, Guillem zaczął obsypywać weksle pocałunkami.

Ruszył z powrotem do kantoru, jednak przy placu Biat zmienił zdanie i skręcił w kierunku dzielnicy żydowskiej. Dopiero gdy przekazał radosną nowinę Hasdaiowi, udał się w stronę kościoła Santa Maria, rozdając uśmiechy na prawo i lewo. W kantorze zastał Arnaua w towarzystwie Sebastia i księdza.

— Guillem — powitał go jego pan. — Przedstawiam ci księdza Juli Andreu, następcę ojca Alberta.

Guillem uklonił się niezdarnie. Oho, następna pożyczka, pomyślał.

— To nie to, co myślisz — zapewnił Arnau. Guillem pomacał ukryte za pazuchą weksle

i uśmiechnął się. A jeśli nawet? Od dziś Arnau jest bogaty. Uśmiechnął się ponownie, ale Arnau źle rozumiał jego radość. — Jest gorzej, niż myślisz — stwierdził z powagą. Czy może być coś gorszego od pożyczki udzielonej Kościołowi? — miał ochotę zapytać Maur, witając się z cechmistrzem *bastaixos*. — Mamy kłopot — sprecyzował Arnau.

Przez chwilę trzech mężczyzn mierzyli Maura wzrokiem. „Tyłko jeśli Guillem się zgodzi”, postawił warunek Arnau, puszczając mimo uszu uwagę księdza, że chodzi o zwykłego niewolnika.

— Wspominałem ci kiedyś o Ramonie? — Guillem zaprzeczył. — To dla mnie ktoś bardzo ważny. Pomógł mi... Bardzo mi pomógł. — Guillem słuchał, stojąc, jak przy stało na niewolnika. — Ramon i jego żona umarli podczas epidemii, osierocając córkę. Bractwo nie może dłużej łożyć na jej utrzymanie. Mówiliśmy właśnie... Sebastia i ojciec namawiają mnie...

— Panie, dlaczego pytasz mnie o zdanie?

Ojciec Juli Andreu odwrócił się do Arnaua pełen nadziei.

— Ochronki i dobroczyńcy nie nadążają z niesieniem pomocy potrzebującym — ciągnął Arnau. — Nie mogą nawet zapewnić wszystkim dziennej racji chleba, wina i zupy. Czarna śmierć poczynała straszne spustoszenia.

— Do czego zmierzasz, panie?

— Poproszono, bym przy garnął córkę Ramona. Guillem znów dotknął weksli. Mógłbyś przygarnąć całą armię sierot! — pomyślał.

— Jeśli taka jest twoja wola...

— Nie znam się na dzieciach — odrzekł Arnau.

— Potrzebują tylko dachu nad głową i odrobiny serca — wtrącił Sebastia. — Dach nad głową masz, a coś mi mówi, że i serca ci nie brakuje.

— Pomożesz mi? — zapytał Arnau niewolnika, nie zwracając uwagi na słowa tragarza.

— Będę ci posłuszny.

— Nie chcę posłuszeństwa. Chcę... proszę o pomoc.

— Twe słowa mi schlebiają, panie. Pomogę ci bardzo chętnie — obiecał Guillem. — W czym ty tylko zapragniesz.

Córka Ramona miała sześć lat, a na imię Mar, jak ukochana Madonna Arnaua. Po trzech miesiącach otrząsnęła się po tragicznym doświadczeniu, jaką była dla niej epidemia dżumy i utrata rodziców. Od tej pory dziecięcy śmiech i biegania wypełniały dom, zagłuszając pobrzękiwanie monet i zgrzyt pióra o stronicę ksiąg rachunkowych. Kiedy dziewczynka, wykorzystując chwilę nieuwagi opiekującej się nią niewolnicy, zaglądała do kantoru, Arnau i Guillem besztali ją zza stołu, a zaraz potem zerkali na siebie z uśmiechem.

Donaha została źle przyjęta przez Arnaua.

— Nie chcę więcej niewolników! — krzyknął, przerywając wywód Guillega.

Wychudzona, brudna i odziana w łachmany dziewczyna wybuchnęła płaczem.

— Gdzie jej będzie lepiej niż u nas? — przekonywał Maur. — Jeśli ją uwolnisz, natychmiast sprzeda się komuś innemu. Musi jeść, a my... musimy mieć opiekunkę do dziecka. — Niewolnica ukłękła przed Arnauem, który próbował wyrwać się z jej objęć. — Wiesz, ile ona przeszła? — Guillem zmrużył oczy. — Jeśli ją zwrócę...

Arnau, chcąc nie chcąc, przyznał Guillemowi rację. Maur nie tylko przekonał swego pana, by kupił Donahę, znalazł również sposób na przekazanie mu pieniędzy ze sprzedaży niewolników. Wyplaciwszy Hasdaiowi część należną mu jako barcelońskiemu agentowi sprzedawców, wręczył

fortunę zarobioną na transakcji znajomemu Żydowi przebywającemu akurat przejazdem w Barcelonie, zaufanemu współpracownikowi Hasdaia.

Abraham Levi zjawił się pewnego ranka w kantorze Arnaua Estany ola. Był wysokim, chudym mężczyzną o białej, rzadkiej brodzie, odzianym w czarną pelerynę, na której odcinała się żółta naszywka. Przywitał się z Guillemem, ten z kolei przedstawił go Arnauowi. Żyd siadł przy stole i wręczył Arnauowi weksel.

— Chcę zdeponować to w waszym kantorze, panie Estany ol — oświadczył.

Arnau wytrzeszczył oczy na widok sumy widniejącej na dokumencie, po czym podsunął go pospiesznie Guillemowi, nerwowo nakłaniając niewolnika do przeczytania weksla.

— Ależ... — bąknął, gdy Maur udał zdziwienie — to prawdziwa fortuna. Dlaczego chcecie ją zdeponować u mnie, a nie u jednego z waszych...

— Braci w wierze? — dokończył za niego Żyd. — Bo nigdy nie zawiodłem się na Sahacie i nie sądzę, by zmiana imienia — ciągnął, zerkając na Maura — przytępiła jego dryg do interesów. Wybieram się w podróż, bardzo długą podróż, i pragnę, byście właśnie wy, panie, i Sahat, obracali moim majątkiem.

— Za tak duże sumy zdeponowane w naszym kantorze przysługuje czwarta część zysków. Dobrze mówię, Guillem?

— Maur przytaknął. — Jak będziemy wam przekazywali pieniądze podczas waszej nieobecności? Jak was znajdziemy?

Po co tyle pytań? — pomyślał Guillem. Abraham nie został przygotowany na takie przesłuchanie, jednak zdołał wybrnąć z opresji.

Zainwestujcie je — odparł. — O mnie się nie martwcie, mam dzieci ani rodziny, a tam, dokąd jadę, pieniądze nie mi potrzebne. Kiedyś, w dalekiej przyszłości, zgłoszę się po nie lub przyślę kogoś w moim imieniu. Tymczasem nie zaprzątajcie sobie mną głowy. Sam się z wami skontaktuję. Chyba nie macie nic przeciwko?

— Skądże — odparł Arnau. Guillem odetchnął. — Wasze życzenie jest dla nas rozkazem.

Po dopełnieniu formalności Abraham Levi wstał.

— A teraz pójdę pożegnać się ze znajomymi z getta — oznajmił, ukłoniwszy się Arnauowi.

— Odprowadzę was — zaproponował Guillem, spoglądając pytająco na swego pana. Arnau skinął głową.

Wprost z kantoru Żyd i Maur udali się do rejenta, w którego obecności Abraham Levi podpisał pokwitowanie depozytu złożonego w kantorze Arnaua Estany ola, zrzekając się na korzyść bankiera całej zdeponowanej sumy oraz wynikających z niej odsetek. Guillem wracał do kantoru z dokumentem za pazuchą. Teraz pozostaje tylko czekać, rozmyślał, spacerując po ulicach Barcelony. Formalnie pieniądze należą do Abrahama Leviego, tak przynajmniej wynika z ksiąg rachunkowych, jednak nikt nigdy nie będzie mógł się o nie upomnieć, ponieważ Żyd wypisał weksel na bankiera. Tymczasem przypadające na Arnaua trzy czwarte zysku z obrotu powierzoną mu fortuną znakomicie wystarczą do pomnożenia jego majątku.

Tej nocy, gdy Arnau spał, Guillem zszedł do kantoru. Zawczasu upatrzył sobie obłuzowany kamień w ścianie. Owinąwszy dokument kawałkiem grubego sukna, ukrył go w zagłębieniu, które następnie starannie zasłonił kamieniem. Przy najbliższej okazji poprosi kóregoś z murarzy pracujących w kościele Santa Maria, by go lepiej przyrocowali. Fortuna Arnaua przeleży tu do czasu, aż będzie mógł wyjawić mu jej pochodzenie. Pozostawało tylko czekać.

Długo czekać, zrozumiał Guillem pewnego dnia, spacerując ze swym panem po plaży w drodze powrotnej z Konsulatu Morskiego, gdzie załatwiali pewne formalności. Do Barcelony wciąż przybijały statki z ludzkim towarem — niewolnikami, których przewoźnicy przewozili teraz na brzeg stłoczonych na łodziach. Statki z mężczyznami i kobietami zdolnymi do pracy?

Ale również z kobietami i dziećmi, których płacz zmusił spacerowiczów do odwrócenia wzroku.

— Posłuchaj, Guillem — odezwał się Arnau — nigdy, choćbyśmy byli na skraju bankructwa, choćbyśmy rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy, nie podejmiemy się handlu niewolnikami. Wolę, żeby kat skrócił mnie o głowę.

Po chwili zobaczyli, że galera, wprawiana w ruch przez rzędy wiosł, opuszcza port.

— Już odpływa? — zdziwił się Arnau. — Nie bierze ładunku na drogę powrotną?

Guillem spojrzał na niego, kręcąc niezauważalnie głową.

— Wróci — zapewnił. — Ale wcześniej musi wypłynąć na pełne morze i... dokończyć wyładunek — dodał łamiącym się głosem.

Arnau milczał przez chwilę, odprowadzając wzrokiem galere.

— Wielu umiera? — spytał w końcu.

— Zbyt wielu — odparł Maur, przywołując w pamięci bardzo podobny statek.

— Nigdy, Guillem! Pamiętaj, nigdy.



36

*Plac Santa Maria de la Mar,
Barcelona,
1 stycznia 1354 roku*

Gdzieżby, jeśli nie tu? — pomyślał Arnau, obserwując z okna swego domu mieszkańców Barcelony tłoczących się przed kościołem Santa Maria, na pobliskich ulicach, na rusztowaniach, a nawet wewnątrz świątyni. Wzrok wszystkich skierowany był na podest, wzniesiony z rozkazu króla. Piotr III nie wybrał placu Błat ani placu przed katedrą, giełdą czy imponującym arsenałem morskim, powstającym na jego polecenie. Nie. Wybrał kościół Santa Maria, świątynię ludu, wznoszoną wspólnymi siłami i wysiłkiem wszystkich obywateli.

— W całej Katalonii trudno o miejsce, które lepiej uosabiałyby ducha mieszkańców Barcelony — powiedział tego ranka Arnau, przyglądając się wraz z Guillemem robotnikom ustawiającym podest. — Król o tym wie i dlatego wybrał ten właśnie plac.

Arnauowi ciarki przeszły po plecach. Całe jego dotychczasowe życie było związane z kościołem Santa Maria!

— Znowu przyjdzie nam płacić — zrywał się Maur. Arnau odwrócił się, by zaprotestować, jednak widząc, że niewolnik nie odrywa wzroku od podestu, wołał nic nie mówić.

Od otwarcia kantoru upłynęło pięć lat. Arnau miał trzydzieści trzy lata, był szczęśliwy i bogaty... Bardzo bogaty. Wiódł skromne życie, choć z ksiąg rachunkowych wynikało, że zgromadził niemałą fortunę.

— Chodźmy na śniadanie — zaproponował, kładąc rękę na ramieniu Maura. Na dole czekały już Donaha i Mar, która pomagała opiekunce nakryć do stołu. Niewolnica krzątała się przy kuchni, a dziewczynka podbiegła do nich.

— Wszyscy mówią o wizycie króla! — zawołała. — Będziemy mogli zobaczyć go z bliska? Przybędą również rycerze?

Guillem usiadł przy stole i westchnął.

— Król przyjeżdża po nasze pieniądze — wyjaśnił.

— Guillem! — zgromił go Arnau, widząc zmieszanie na twarzy dziewczynki.

— Przecież to prawda — bronił się Maur.

— Nie. To nieprawda, Mar — uciął Arnau. Dziewczynka nagrodziła go uśmiechem. — Król przybywa prosić o pomoc w podboju Sardynii.

— I o pieniądze? — zapytała dziewczynka, puszczając oko do Guillega.

Arnau zerknął najpierw na nią, potem na Guillega: oboje uśmiechali się do niego przekornie. Ależ ta mała urosła! Była już prawdziwą pannicą: piękną, inteligentną, pełną wdzięku. Mogła podbić serce każdego.

— I o pieniądze? — powtórzyła prawdziwa pannica, wyrywając Arnaua z zamyślenia.

— Wszystkie wojny kosztują! — był zmuszony przyznać. No proszę, a jednak! — Guillem rozłożył ręce.

Donaha podała kolację.

— Dlaczego nie powiesz Mar — zagadnął Arnau, odczekawszy, aż Donaha skończy ich obsługiwac — że w rzeczy wistości wojna nie tylko nic nas nie kosztuje, ale nawet na niej zarabiamy.

Mar wytrzeszczyła oczy na Guillega.

Maur się zawahał.

— Od trzech lat płacimy podatki nadzwyczajne — rzucił wzbraniając się przed przyznaniem racji Arnauowi. — Od trzech lat mieszkańcy Barcelony ponoszą koszty wojny.

Mar uśmiechnęła się i odwróciła do Arnaua.

— To prawda — przyznał. — Dokładnie trzy lata temu Katalonia, sprzymierzywszy się z Wenecją i Bizancjum, wypowiedziała wojnę Genui. Chodziło o odebranie Korsyki i Sardynii, które w myśl układu zawartego w Agnani były lennem katalońskim, a mimo to znajdowały się pod władzą Genuńczyków. Sześćdziesiąt osiem uzbrojonych galer! — Arnau podniósł głos. — Sześćdziesiąt osiem uzbrojonych galer, dwadzieścia trzy katalońskie, a reszta pod banderą Wenecji i Grecji, zmierzyło się w cieśninie Bosfor z sześćdziesięcioma pięcioma galerami genueńskimi.

— I? — zapytała Mar, gdy Arnau zawiesił nagle głos.

— Bitwa nie została rozstrzygnięta. Zginął w niej nasz admirał Pone de Santa Pau, a do Katalonii wróciło tylko dziesięć z dwudziestu trzech galer. I co się wtedy stało, Guillem? — Niewolnik pokręcił głową. — No, powiedz, co się stało — nalegał Arnau.

Guillem westchnął.

— Bizantyńczycy nas zdradzili i w zamian za pokój przyznali Genui wyłączność na handel — wyrecytował.

— I co jeszcze się wtedy wydarzyło? — nie ustępował Arnau.

— Utraciliśmy jeden z najważniejszych śródziemnomorskich szlaków handlowych.

— Straciliśmy pieniądze?

— Tak

Mar słuchała, zerkając to na Arnaua, to na Guillega. Nawet krzątająca się przy palenisku Donaha starała się nie uronić ani słowa.

— Dużo pieniędzy?

— Dużo.

— Więcej, niż przekazaliśmy potem królowi?

— Więcej.

— Tylko panowanie na Morzu Śródziemnym pozwoli nam handlować w spokoju — zawyrokował Arnau.

— A Bizantyjczycy? — spytała Mar.

— Rok później król uzbroidł flotę złożoną z pięćdziesięciu galer, która pod wodzą Bernata de Cabrera pokonała Genuńczyków u brzegów Sardynii. Nasz admirał zdobył na nieprzyjacielu trzydzieści trzy galery i zatopił pięć innych. Osiem tysięcy Genuńczyków poległo, trzy tysiące dwieście dostało się do niewoli. W naszych szeregach było zaledwie czterdzieści ofiar! Bizantyjczycy — ciągnął Arnau, patrząc w blyszczące z ciekawości oczy Mar — zrozumieli, że popełnili błąd i otworzyli nam swe porty.

— Trzy lata podatków nadzwyczajnych, które płacimy do dzisiaj — wtrącił Guillem.

— Ale skoro król zdobył Sycylię i przywrócił handel z Bizancjum, po co teraz przyjechał? — chciała wiedzieć dziewczyna.

— Sardyńscy możni pod dowództwem niejakiego pana de Arborea powstali przeciwko Katalonii i Piotr Trzeci musi zdławić bunt.

— Król — wtrącił Guillem — powinien zadowolić się przejezdnymi szlakami handlowymi i podatkami. Sardynia jest wyspą surową i niegościnną. Nigdy jej sobie nie podporządkujemy.

Król postanowił oczarować swych poddanych przepychem i elegancją. Podest doskonale mąskował jego niski wzrost. Monarcha odziany był we wspaniałe szkarłatne szaty, skrzące w zimowym słońcu nie mniej niż drogie kamienie, którymi obsyte. Na tę szczególną okazję nie zapominał włożyć korony ze szczerzego złota, u pasa miał sztylet, z którym nigdy się nie rozstawał. Towarzący mu możni i dworzanie najwyraźniej nie chcieli być gorsi od władcy, i również mieli na sobie najwykwintniejsze tkaniny i klejnoty.

Król zwrócił się do poddanych i zdobył ich serca. Czy monarcha przemawiał kiedykolwiek do prostego ludu, wyjaśniając swe zamiary? Mówił o Katalonii, o jej posiadłościach i interesach. Gdy wspominał o zdradzie sardyńskiego możnego de Arborea, ludzie zaczęli wygrażać niewidzialnemu wrogowi nawołując do zemsty. Król, zwrócony twarzą do kościoła Santa Maria, jeszcze przez jakiś czas podyszał w poddanych dobrą wolę, a następnie poprosił ich o pieniądze na wojnę. W takiej chwili rozemocjonowany tłum oddałby mu nawet własne dzieci.

Wszyscy mieszkańcy Barcelony odpowiedzieli na apel monarchy. Arnau uiścił należność, jaką przyszło zapłacić bankierom, i król odplynął na Sycylię na czele floty złożonej ze stu okrętów.

Gdy wojska opuściły Barcelonę i wszystko wróciło do normy, Arnau znów zajął się kantorem, małą Mar, kościołem Santa Maria i wszystkimi, którzy zgłaszali się do niego po pożyczkę.

Guillem musiał się pogodzić z tym dziwnym zwyczajem swego pana, jakże innym od zachowania znanych mu bankierów i kupców, w Hasdaiem Crescasem włącznie. Z początku opierał się i zrywał, ilekroć musiał sięgać do sakiewki, by wesprzeć kolejnego robotnika.

— Przecież płacą regularnie. Oddają dług co do grosza — bronił się Arnau.

— To pożyczki nieoprocentowane — tłumaczył Guillem. — Moglibyśmy zarabiać na tych pieniądzech...

— Przecież sam powtarzasz, że powinniśmy kupić pałac i żyć w przepychu. Ile by nas to kosztowało, Guillem? Chyba nie zaprzeczysz, że nieskończenie więcej niż wszystkie pożyczki, których udzielamy potrzebującym.

Guillem musiał ugryźć się w język. Jego pan miał rację. Wiódł skromne życie w domku na ro-

gu Canvis Nous i Canvi Vells. Nie szczędził jedynie wydatków na wykształcenie Mar bo dziewczynka pobierała nauki w domu zaprzyjaźnionej kupca, u preceptorów jego dzieci. I oczywiście na swój ukochany kościół. Nie upłynęło dużo czasu, a parafialna rada nadzorująca budowę zgłosiła się do Arnaua po wsparcie.

— Mam już kaplicę — odpowiedział Arnau, gdy namawiano go by uwiecznić swe imię dla potomności, fundując kaplicę. — A jakże — dodał, widząc zdziwione miny członków rady — kaplicę *bastaixos*, czyli Przenajświętszego Sakramentu, która na zawsze pozostanie również moją kaplicą. Tak czy owak... — Sięgnął do szkatuły. — Ile wam potrzeba?

Ile wam potrzeba? Ile chcesz? Jaką sumą się zadowolisz? Tyle ci wystarczy? Guillem zdążył oswoić się z tymi pytaniami, aż w końcu zaczął ustępować, gdy podczas spacerów po plaży lub po dzielnicy Ribera nieznajomi pozdrawiali go serdecznie i dziękowali z uśmiechem. A może Arnau ma rację? — zastanawiał się. Poświęca się dla innych, ale zrobił to również dla niego i dla trojga nieznajomych żydowskich dzieci, którym groziła śmierć pod gradem kamieni. Najprawdopodobniej właśnie tej cesze jego charakteru on sam, Raquel i Jucef zawdzięczają życie. Dlaczego miałby się zmieniać tylko dlatego, że fortuna mu sprzyja? I, biorąc przykład z Arnaua, zaczął uśmiechać się do przechodniów i pozdrawiać nieznajomych, którzy kłaniali mu się z szacunkiem.

Jednak ten sposób bycia Arnaua nie miał nic wspólnego z jego niektórymi decyzjami podejmowanymi przez lata. Można było zrozumieć fakt, że nie chce mieć nic wspólnego z handlem niewolnikami. Dlaczego jednak, zastanawiał się Guillem, odmawia udziału w niektórych interesach zupełnie niezwiązanych z żywym towarem?

Z początku Arnau nie tłumaczył się ze swych decyzji, tylko ucinał:

— Brzmi mało przekonująco. Nie podoba mi się. Wygląda podejrzanie.

Pewnego razu Maur stracił cierpliwość. To była doskonała okazja, Arnau — powiedział, gdy jego pan znowu odprawił kupców z kwitkiem. — O co chodzi?

Czasem odrzucasz bardzo opłacalne transakcje. Nic z tego nie rozumiem. Wiem, że nie mam prawa...

— Masz prawo — przerwał Arnau, nie patrząc na niego Siedzieli za stołem w kantorze. — Przepraszam. Chodzi o to że... — Guillem nie ponaglał go. — Nie wezmę udziału w żadnej operacji, w której uczestniczy Grau Puig. Nie chcę, by moje imię było z nim kojarzone.

Arnau patrzył przed siebie, gdzieś daleko poza ściany izby.

— Wy tłumaczysz mi kiedyś dlaczego?

— Czemu nie? — Arnau odwrócił się do Guillema. A potem opowiedział mu swą historię.

Guillem znał Graua Puiga, ponieważ współpracował on przed laty z Hasdaiem Crescasem. Zastanawiał się jednak, dlaczego, choć Arnau nie chce mieć z nim nic wspólnego, baron nie ma takich oporów w stosunku do Arnaua. Przecież z opowieści Arnaua wynikało, że ich niechęć jest wzajemna.

— Dlaczego? — zapytał Hasdaia Crescasy, któremu streścił historię swego pana, prosząc o dyskrecję.

— Bo kupcy i bankierzy odsuwają się od Graua Puiga. Ja sam od dawna z nim nie współpracuję, podobnie zresztą jak wielu moich znajomych. To człowiek opętany żądzą zdobycia tego, co nie należy mu się z urodzenia. Póki był zwykłym rzemieślnikiem, można mu było ufać, ale potem... potem woda sodowa uderzyła mu do głowy. Nie wiedział, w co się pakuje żeniąc się z arystokratką. — Hasdai pokręcił głową. — Aby być jaśniepanem, trzeba się jaśnie panem urodzić,

wysać jaśniepaństwo z mlekiem matki. Nie uważam, że to sprawiedliwe i bynajmniej tego nie bronię, ale fakt pozostaje faktem tylko wielmoże z dziada pradziada potrafią żyć jak wielmoża i udźwignąć związane z tym ryzyko. Bo kóż odważy się sprzeciwić katalońskiemu baronowi, nawet takiemu bez grosza przy duszy? Wielmoże są dumni, arogancy, stworzeni do rozkazywania i wywyższania się, nawet gdy ruina zagłada im w oczy. Grau Puig jest jaśniepanem tylko dzięki pieniądзом, dał fortunę na posag dla córki Margaridy, przez co o mały nie zbankrutował. Wie o tym cała Barcelona! Im częściej są wyśmiewani, tym bardziej szastają pieniędzmi, chcąc udowodnić swą potęgę. Kim byłby Grau Puig bez majątku?

— Chcesz powiedzieć...

— Nic nie chcę powiedzieć. Po prostu nie radzę robić z nim interesów. W tym przypadku twój pan trafił w dziesiątkę, choć powodują nim zupełnie inne racje.

Od tej pory Guillem nastawiał ucha na wzmianki o Puigach. A na giełdzie, w Konsulacie Morskim, podczas zawierania transakcji, w czasie kupowania i sprzedawania towarów, w komentarzach dotyczących sytuacji handlowej nazwisko barona pojawiała się często. Za często.

— Syn Graua, Genis Puig... — powiedział Arnauowi pewnego razu po wyjściu z giełdy, gdy razem spoglądali na ciche, spokojne jak nigdy morze. Arnau odwrócił się do niego już na dźwięk pierwszych słów. — Genis Puig zaciągnął tanią pożyczkę, by ruszyć za królem na Majorkę. — Czy oczy jego pana rozbłyły, czy tylko mu się zdawało? Guillem wytrzymał jego spojrzenie. Arnau nie odzywał się, ale... — Mam mówić dalej?

Arnau nadal milczał, dopiero po chwili skinął głową. Zmrużył oczy i zagryzł lekko wargi. Potem jeszcze przez jakiś czas kiwał głową.

— Pozwalasz mi zadziałać w tej sprawie? — zapytał na koniec Guillem.

— Nie tylko ci pozwalam, ale cię o to proszę. Proszę, byś zrobił, co trzeba.

Guillem zaczął dyskretnie pociągać za sznurki, wykorzystując swoją wiedzę tudzież liczne znajomości, które zawdzięczał wieloletniemu doświadczeniu handlowemu. Fakt, że syn Graua Guiga, ryccer don Genis, poprosił o specjalną pożyczkę dla możnych, był sygnałem, iż ojciec nie może już żyć na jego wojenne wydatki. Tanie pożyczki, jedyny dozwolone przez Kościół między chrześcijanami, są bardzo wysoko oprocentowane, pomyślał Guillem. Dlaczego ojciec miałby pozwalać synowi płacić słone odsetki, gdyby mógł pokryć jego wydatki z własnej kieszeni? A wielka pani Isabel? Ta jęzda, która zgubiła ojca Arnaua, a jemu kazała czołgać się przed sobą na kolanach? Czemu na to pozwala?

Guillem dobrze wykorzystał swoje znajomości. Przez kilka miesięcy wypytywał przyjaciół i osoby, które winne mu były przysługę, oraz słał do zagranicznych agentów handlowych listy z pytaniami: Jak wygląda sytuacja katalońskiego barona i kupca, Graua Puiga? Co wiadomo o nim, o jego interesach, o stanie jego majątku? Czy jest wypłacalny?

Gdy sezon żeglugowy miał się ku końcowi, do Barcelony zaczęły napływać okręty, a wraz z nimi odpowiedzi na listy Guillega. Były pełne bezcennych informacji! Pewnego wieczoru, po wyjściu ostatniego klienta, Guillem nie kwapił się z opuszczeniem kantoru.

— Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia — powiedział Arnauowi.

— Jakich spraw?

— Jutro się wszystkie dowiesz.

Nazajutrz, jeszcze przed śniadaniem, Guillem usiadł z Arnauem przy stole i przedstawił mu sytuację.

— Grau Puig jest na skraju bankructwa. — Czyżby oczy Arnaua znowu rozbły sły? — Wszyscy bankierzy i kupcy, których pytałem, twierdzą zgodnie, że jego fortuna wyparowała...

— Może to tylko złośliwe plotki? — przerwał mu Arnau.

— Sam się przekonaj. — Guillem wręczył mu listy od agentów. — Tu masz dowody. Grau Puig jest w rękach Lombardczyków.

Arnau popadł w zadumę. Lombardczycy trudnili się handlem i bankierstwem, byli również agentami wielkich rodów kupieckich z Florencji i Pizy. Stanowili hermetyczną, dbającą wyłącznie o własne interesy grupę, której członkowie współpracowali tylko między sobą i z macierzystymi domami kupieckimi we Włoszech. Zmonopolizowali handel szlachetnymi tkaninami: jedwabiami i brokatami, florencką taftą, woalem z Pizy, owczą wełną i wieloma innymi artykułami. Nigdy nikomu nie pomagali, a jeśli robili ustępstwa na rzecz innych kupców i bankierów, to tylko w obawie przed wygnaniem z Katalonii. Nie było nic gorszego niż zadłużyć się u Lombardczyków. Arnau przekartkował listy i odłożył je na stół.

— Co proponujesz?

— A czego pragniesz?

— Wiesz przecież. Ich ruiny!

— Podobno Grau jest już niedołężnym starcem, a rodzinnych interesów dogląda teraz jego żona i synowie. Pomyśl tylko! Ich los wisi na włosku: jedna nieudana transakcja może ściągnąć na nich klęskę, bo nie zdołają spłacić zobowiązań. Stracą wszystko.

— Wykup ich długi — powiedział zimno Arnau. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. — Zrób to dyskretnie, nie powinni się dowiedzieć, kto za tym stoi. Następnie dopilnuj, by jedna z ich transakcji zakończyła się fiaskiem... Nie, nie jedna — poprawił się. — Wszystkie! — krzyknęła, uderzając ręką w stół, aż podskoczyły księgi rachunkowe. — Im więcej, tym lepiej — dodał, zniżając głos. — Nie mogą mi się wymknąć.

Port w Barcelonie, 20 września 1355 roku

Słumiejszy bunt na Sardynii, zwycięski król Piotr III przybył do Barcelony na czele floty. Całe miasto wyległo go powitać. Na oczach wiwatującego ludu monarcha zszedł na ląd po drewnianym pomoście skleconym naprzeciwko klasztoru Franors. Za nim szli moiżni i żołnierze. Barcelona rzuciła się w wir hucznych zabaw, uradowana zwycięstwem nad Sardynią.

Arnau i Guillem zamknęli kantor i także wyszli powitań flotę. Później razem z Mar przyłączyli się do obchodów królewskiego triumfu. Śmiali się, śpiewali, tańczyli, słuchali wojennych opowieści, skosztowali rozmaitych słodyczy, a gdy słońce zaczęło chować się za horyzontem i powiało nocnym chłodem wrócili do domu.

— Donaha! — krzyknęła od drzwi Mar. Rozbawiona dziewczynka wpadła do domu, przywołując opiekunkę. Nagle stanęła jak wryta na progu kuchni. Arnau i Guillem spojrzeli po sobie. Co się stało? Czy coś nie tak z Donahą?

Rzucili się do kuchni.

— Co...? — zaczął mówić Arnau, spoglądając zza ramienia Mar.

— Nie wydaje mi się, Arnau, by te wrzaski były godnym powitaniem krewnego, który po la-

tach zawitał pod twój dach — odezwał się mężczyzna, niezupełnie obcy gospodarzowi głosem.

Arnau już miał odsunąć dziewczynkę od drzwi, gdy nagle zamarł z dłonią na jej ramieniu.

— Joan! — zdołał wydusić dopiero po kilku sekundach. Mar patrzyła, jak Arnau, mamrocząc coś niezrozumiale, podchodzi z otwartymi ramionami do spowitej w czerń postaci, której przed chwilą się zlekka. Guillem objął Mar.

— To jego brat — szepnął jej na ucho. Donaha stała w kącie izby.

— Boże! — krzyknął Arnau, biorąc gościa w objęcia. — Boże! Mój Boże! Wielki Boże! — powtarzał, za każdym razem unosząc Joana.

Roześmiany gość zdołał w końcu wyrwać się z uścisku brata.

— Udusisz mnie... Arnau nie słuchał.

— Dlaczego nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz? — zapytał tym razem łapiąc go za ramiona. — Niech ci się przyjrzy. Zmieniłeś się! — Minęło trzynaście lat, chciał mu powiedzieć Joan, lecz Arnau nie dopuszczał go do głosu. — Od kiedy jesteś w Barcelonie?

— Przypłynąłem...

— Czemu mnie nie uprzedziłeś?

Przy każdym pytaniu Arnau potrząsał bratem.

— Wróciłeś już na dobre? Powiedz, że tak. Proszę!

Guillem i Mar nie mogli powstrzymać uśmiechu, co nie uszło uwagi zakonnika.

— Dość! — krzyknął, odsuwając się od Arnaua. — Dość tego. Chcesz mnie zamęczyć?

Arnau mógł teraz przyjrzeć się bratu. Tylko żywe, błyszczące oczy przypominały młodego mnicha, który przed laty opuścił Barcelonę. Joan był teraz chudy, prawie zupełnie łysy i wymierzony. Posępnego obrazu dopełniał wiszący na nim czarny habit. Choć Joan miał trzy lata mniej niż Arnau, wyglądał znacznie starszej.

— Nie dojadłeś? Jeśli pieniądze, które ci wysyłałem, nie starczyły na życie...

— Wystarczyły — przerwał mu Joan. — Wystarczyły aż nadto. Za twoje pieniądze kupowałem pokarm... duchowy. Książki są bardzo drogie.

— Dlaczego nic nie mówisz? Przysyłałbym więcej.

Joan machnął ręką i usiadł przy stole naprzeciwko Guillemu i Mar.

— No, a teraz przedstawię ci swą wychowankę. Widzę, że bardzo wydorosła od twego ostatniego listu.

Na znak Arnaua Mar podeszła do Joana. Zmieszana, spuściła wzrok, czując na sobie surowe spojrzenie duchownego. Gdy mnich zakończył oględziny, Arnau przedstawił mu Maura.

— A to Guillem. Dużo ci o nim pisałem.

— Owszem. — Widząc, że Joan siedzi bez ruchu, Guillem cofnął rękę, którą wyciągnął do gościa. — Wypełniasz swe chrześcijańskie obowiązki? — zapytał.

— Tak.

— Tak, bracie Joanie — poprawił go mnich.

— Tak, bracie Joanie — powtórzył Guillem.

— A to jest Donaha — wtrącił pospiesznie Arnau. Joan skinął głową, nie patrząc na niewolnicę.

— Doskonale — powiedział, odwracając się do Mar i wskazując jej miejsce przy stole. — A więc jesteś córką Ramona? Twój ojciec był wielkim człowiekiem, pracowitym i bogobojnym, jak wszyscy *bastaijos*. — Joan zerknął na Arnaua.

Dużo się za niego modliłem, od kiedy dowiedziałem się o jego śmierci. Ile masz lat, dziecko?

Arnau również zajął miejsce przy stole, po czym dał znak niewolnicy, że może podać kolację. Dopiero wtedy zauważył, że Guillem nadal stoi w pewnej odległości od nich, jakby bał się usiąść w obecności gościa.

— Siadaj, Guillem — zaprosił go. — Jesteś u siebie w domu. Joan ani drgnął.

Zjedli kolację w ciszy. Nawet Mar milczała, co było do niej zupełnie niepodobne. Wydawało się, że Joan zdusił całą jej spontanizność. Mnich prawie nie tknął jedzenia.

— No, opowiadaj — poprosił Arnau brata, gdy kolacja dobiegła końca. — Co się z tobą działo? Kiedy wróciłeś?

— Razem z flotą królewską. Gdy tylko dowiedziałem się o zwycięstwie naszych wojsk, wsiałem na statek płynący na Sardynię, a tam przesiadłem się na jedną z naszych galer.

— Widziałeś się z królem?

— Nie przyjął mnie.

Mar zapytała, czy może wstać od stołu, Guillem poszedł w jej ślady. Oboje pożegnali się z Joanem. Przy butelce słodkiego wina bracia gawędzili aż do białego świtu, nadrabiając stracony czas.



37

Żeby nie krępować domowników, Joan postanowił zamieszkać w klasztorze Świętej Katarzyny.

— Tam jest moje miejsce — powiedział bratu. — Obiecuję, że będę was codziennie odwiedzał.

Arnau, który zauważył, że jego wychowanka i Guillem nie czuli się swobodnie podczas wspólnej kolacji, odwoził go od tego pomysłu, bo tak nakazywała grzeczność, lecz nie czynił tego zbyt żarliwie.

— Wiesz, o co zapytał? — szepnął nazajutrz Guillemowi, gdy skończyli obiad. Niewolnik nastawił ucha. — Jakie poczyniliśmy kroki, by wydać Mar za mąż.

Guillem, wciąż pochylony nad Arnauem, zerknęła na dziewczynkę, która pomagała niewolnicy zbierać naczynia ze stołu. Wydać Mar za mąż? Przecież to tylko... Kobieta! Guillem i Arnau spojrzeli po sobie. Jeszcze nigdy nie patrzyli na Mar tak jak teraz.

— Gdzie się podziała nasza maleńka? — szepnął Arnau do Przyjaciela. Znow podnieśli wzrok na swą wychowankę. Była powabna, piękna, pogodna i pewna siebie. Mar również zerknęła na nich znad sterty talerzy.

Jej sylwetka zdradzała już kobiecą zmysłowość, kształty rysowały się wyraźnie, a piersi sterczały pod bluzką. Ma czternaście lat.

Gdy znow na nich spojrzała, zauważyła, że wpatrują się w nią jak zaczarowani. Tym razem się nie uśmiechnęła, a jej zakopotanie trwało tylko krótką chwilę.

— Co się tak gagicie? — zbeształa ich. — Nie macie nic lepszego do roboty? — dodała, stając przed nimi ze srogą miną.

Obaj skinęli głowami. Nie ma wątpliwości: Mar jest już kobietą.

— Dostanie posag godny księżniczki — powiedział nieco później Arnau w kantorze. — Pieniądze, suknie, dom... Nie, nie dom, pałac! — Odwrócił się gwałtownie do przyjaciela. — Masz jakieś wieści w sprawie Puigów?

— Opuści nas — westchnęła niewolnik, puszczając mimo uszu pytanie Arnaua.

Obaj milczeli przez chwilę.

— Ale da nam wnuki — skwitował w końcu Arnau.

— Nie oszukaj się. Da dzieci swemu mężowi. Poza tym niewolnicy nie mają dzieci, a co dopiero mówić o wnukach.

— Przecież już tyle razy proponowałem ci wolność...

— Cóż ja pocznę jako wolny człowiek? Dobrze jest tak, jak jest. Ale Mar... Mar mężatką! Wiesz, już zaczyna nam nienawidzić jej przysłego męża, kimkolwiek będzie.

— Podobnie jak ja — mruknął Arnau.

Spojrzeni po sobie, uśmiechnęli się, a potem wybuchnęli serdecznym śmiechem.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — powiedział Arnau, gdy się uspokoiłi. — Masz jakieś wieści o Puigach? Chciałbym podarować Mar ich pałac.

— Wysłałem instrukcje do Pizy, do Filipa Teścia. Jeśli któkolwiek na świecie może nam pomóc w realizacji naszego planu, to właśnie on.

— Co mu napisałeś?

— Żeby wynajął piratów, wykradł lub puścił z dymem ładunek Puigów. Wszystko jedno, byle tylko nigdy nie dotarł do celu.

— Otrzymałeś odpowiedź?

— Od Filipa? On nigdy nie odpowiada. Ani na piśmie, ani przez najbardziej zaufanego posłańca. Gdyby ktoś się dowiedział... Musimy zaczekać, do końca sezonu został jeszcze niecały miesiąc. Jeśli w tym czasie ładunek nie dotrze do celu, Puigowie nie zdołają spłacić swych zobowiązań. Będą zrujnowani.

— Wykupiliśmy ich długi?

— Jesteś największym wierzyicielem Graua Puiga.

— Na pewno pocą się teraz z nerwów — mruknął pod nosem Arnau.

— Nie widziałeś ich? — Na pytanie Guillem Arnau odwrócił się gwałtownie. — Od jakiegoś czasu spędzają całe dnie na plaży. Do tej pory przesiadywała tam tylko Isabel i jeden z jej synów, teraz towarzyszy im również Genis, który wrócił z Sardynii. Wpatrują się godzinami w horyzont, czekając na pojawienie się jakiegoś żagla, a gdy odkrywają, że do portu wpływa nie ich statek, Isabel przeklina fale. Myślałem, że wiesz...

— Nie, nie wiedziałem. — Arnau milczał przez chwilę. — Zawiadom mnie, gdy wróci któryś z naszych okrętów.

— Nadpływa kilka statków naraz — rzucił Guillem pewnego ranka po powrocie z konsulatu.

— Są?

— A pewnie. Baronessa stoi tak blisko wody, że fale liżą jej buciki... — Guillem urwał nagle.

— Przepraszam... nie chciałem...

Arnau się uśmiechnął.

— Nie szkodzi.

Poszedł do swojej izby i począł wolno ubierać się w odświętne szaty. Po długich namowach Guillem skłonił go do ich kupna.

Osoba tak poważana jak ty — powiedział mu pewnego razu — nie może chodzić na giełdę czy do konsulatu w byle czym. Zresztą król tego zabrania. Nawet wasi święci, na przykład święty Wincenty...

Arnau kazał mu zamilknąć, ale w końcu ustąpił. Teraz włożył białą tunikę na skórzanej pod-

szewce, bez rękawów uszytą z tkaniny z Mechelen, kaftan do kolan z czerwonego wzorzystego jedwabiu, czarne rajtuzy i jedwabne buty w tym samym kolorze. Kaftan ścisnął nad biodrami szerokim pasem wyszywany złotą nitką i perłami, na ramiona zarzucił wspaniałą, czarną płaszcz podbity gronostajami, haftowany złotem i drogimi kamieniami, a sprowadzony przez Guillem'a aż z Dacji.

Gdy Arnau przeszedł przez kantor, Guillem pokiwał głową z aprobatą. Mar chciała coś powiedzieć, jednak w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Kiedy wyszedł, podbiegła do drzwi. Stojąc na progu, patrzyła, jak zmierza ku plaży w blasku szlachetnych kamieni, a jego płaszcz faluje w podmuchach morskiej bryzy, która docierała aż do kościoła Santa Maria.

— Dokąd idzie Arnau? — zapytała, wchodząc do kantoru i siadając przed Guillem'em na jednym z krzeseł dla klientów.

— Odebrać dług.

— To musi być ważny dług.

— Bardzo ważny, Mar. — Guillem zacisnął usta. — Ale to dopiero pierwsza rata.

Mar zaczęła bawić się liczydłem z kości słoniowej. Wiele razy przyglądała się ukradkiem, jak Arnau się nim posługuje. Był wtedy poważny, skupiony, przesuwając palce po gąłkach, a następnie notował coś w księgach rachunkowych. Ciarki przeszły jej po plecach. Wzdrygnęła się.

— Coś nie tak? — zapytał Guillem.

— Nie... Wszystko w porządku.

A może powiedzieć Guillemowi? On na pewno zrozumie pomyślała. Z wyjątkiem Donahy, która uśmiechała się pod nosem, ilekroć Mar wślizgiwała się do kuchni, by podglądać Arnaua, nikt nie znał jej sekretu. Wszystkie dziewczęta poznane w domu kupca Escalesa mówiły tylko o jednym. Niektóre z nich były już zaręczone i wychwalały pod niebiosa przyszłych mężów. Mar słuchała, ale wymigiwała się od odpowiedzi na pytania. Bo jak miała mówić o nim? A jeśli się dowie? Przecież Arnau ma trzydzieści pięć lat, a ona tylko czternaście. Choć jedna ze znajomych dziewcząt była zaręczona z mężczyzną starszym od Arnaua! Mar pragnęła zdradzić komuś swą słodką tajemnicę. Jej przyjaciółki mogą paplać o fortunie, urodzie, powabie, męskości i wielkośności swych wybranków, Arnau

I tak bije wszystkich na głowę! Przecież sami *bastaixos*, których Mar widywała na plaży, opowiadali, że był jednym z najodważniejszych żołnierzy króla Piotra. Wyszperała na dnie kufra dawną broń opiekuna — kuszę i szylet — a kiedy nikt nie patrzył, głaskała ją, wyobrażając sobie Arnaua stojącego oko w oko z nieprzyjacielem, walczącego żąłczenie, niczym w opowieściach *bastaixos*.

Guillem przyjrzał się dziewczynie. Opuszką palca gładziła gąłki liczydła. Siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Co do pieniędzy, Arnau ma ich krocie. Wie o tym cała Barcelona. A jeśli chodzi o dobre serce...

— Na pewno nic ci nie jest? — zapytał znowu Guillem, wyrywając ją z zamyślenia.

Mar oblała się rumieńcem. Donaha twierdziła, że można czytać w jej myślach, że nosi imię Arnaua wypisane na ustach, w oczach, na twarzy. A jeśli Guillem się domyślił?

— Nie... — powtórzyła. — Na pewno.

Gdy Guillem przesunął gąłki liczydła, Mar się uśmiechnęła. Ze smutkiem? Co dzieje się w tej kochanej główce? A jeśli brat Joan ma rację? Mar jest już panną na wydaniu, kobietą, która mieszka pod jednym dachem z dwoma mężczyznami...

Dziewczy na oderwała palec od liczydła.

— Guillem... Słucham?

— Nic, nic takiego — szepnęła, wstając i wychodząc z kantoru.

Guillem odprowadził ją wzrokiem. Tak, mnich ma zapewne rację. Choć niełatwo się z tym pogodzić.

Arnau szedł ku brzegowi, patrząc na wpływające do portu trzy galery i statek wielorybiczny, który był jego własnością. Isabel, ubrana na czarno, jedną ręką przytrzymała kapelusz obok niej stali Josep i Genis. Wszyscy troje, odwróceny do Arnaua tyłem, przyglądali się nadpływającym statkom. Nie, to nie jest wasze wybawienie, pomyślał.

Bastaixos, przewoźnicy i kupcy umilkli na widok odświętnie ubranego Arnaua.

Odwróć się, jędo! — Arnau zatrzymał się kilka kroków od brzegu. Spójrz na mnie! Ostatnim razem, gdy na mnie patrzyłaś... Baronessa odwróciła się wolno, po chwili jej pasierbowie zrobili to samo. Arnau wziął głęboki oddech. Ostatnim razem, gdy na mnie patrzyłaś, stałem pod szubienicą ojca.

Bastaixos i przewoźnicy zaczęli szeptać między sobą.

— Możemy coś dla ciebie zrobić? — zapytał Arnaua jeden z cechmistrzów.

Arnau pokręcił głową, świdrując wzrokiem Isabel.

Tłum się rozstąpił. Arnau znalazł się na wprost baronessy i jej pasierbów.

Znów wziął głęboki oddech. Jeszcze przez chwilę patrzył w oczy Isabel, po czym przeniósł wzrok na kuzynów, a potem na statki. Uśmiechnął się.

Baronessa zacisnęła wargi, odwróciła się i spojrzała na morze, dokładnie tam, gdzie patrzył Arnau. Gdy znów się obejrzała, zobaczyła jego plecy. Odchodził, a drogie kamienie migotały na jego płaszczu.

Joan upierał się, że trzeba wydać Mar za mąż, zaproponował nawet kilku kandydatów. Nie musiał ich długo szukać, tylko napomknął o posagu panny, zaczęli się zgłaszać i kupcy, ale... Jak powiedzieć o tym Mar? Joan chciał wziąć wszystko na siebie, ale Guillem zaprotestował stanowczo.

— To ty powinieś z nią porozmawiać — oświadczył Arnauowi — a nie prawie zupełnie jej obcy zakonnik.

Od tej pory Arnau nie przestawał wodzić wzrokiem za dziewczyną. Czy ją w ogóle zna? Od lat mieszkają razem, ale to Guillem ją wychował. On po prostu cieszył się jej obecnością, jej śmiechem i figlami. Nigdy nie przeprowadził z nią poważnej rozmowy. A teraz, ilekroć myślał o zagadnięciu jej i zaproszeniu na spacer po plaży lub — czemu nie? — do kościoła Santa Maria, ilekroć miał jej powiedzieć, że muszą porozmawiać, spoglądał na tę nieznaną kobietę i... opadały go wątpliwości. A wtedy Mar, czując na sobie jego wzrok, uśmiechała się. Gdzie się podziała ta smarkuła, która jeszcze niedawno wieszala mu się na szyi?

W końcu zwrócił się o pomoc do Guillem:

— Lepiej powiedzmy jej o tym razem.

— Nie chcę żadnego z nich — ucięła Mar.

Arnau i Guillem popatrzyli na siebie. Znajdowali się w kantorze, Mar siedziała naprzeciwko nich, jakby przysłała przeprowadzić jakąś transakcję handlową. Jej oczy rozbłyły na wzmiankę o zamążpójściu, jednak usłyszawszy nazwiska pięciu kandydatów, wybranych przez brata Joana, pokręciła głową.

— Ależ, dziecko — tłumaczył Guillem — musisz się na któregoś zdecydować. Każda panna

by laby dumna z takich pretendentów do ręki.

Mar znowu pokręciła głową.

— Każda, ale nie ja.

Trzeba będzie coś z tym fantem zrobić — zwrócił się do Arnaua.

Spojrzała na Mar. Zbierało jej się na płacz. Pochyliła się, zdradzało ją jednak drżenie dolnej wargi i przyspieszony oddech. Co skłania do płaczu pannę, której przedstawiono tak znamienitych kandydatów na męża? Cisza się przeciągała. W końcu dziewczyna na posłała Arnauowi ukradkowe spojrzenie — prawie niezauważalne drgnienie powiek. Dlaczego ja dręczą?

— Poszukamy kandydata, który przypadnie jej do gustu — powiedział Guillemowi. — Zgadzasz się, Mar?

Dziewczyna przytaknęła bez słowa, wstała i wyszła, zostawiając ich samych. Arnau westchnął.

— A ja, naiwny, myślałem, że najtrudniejsza będzie rozmowa! Guillem nie odpowiedział. Nie odrywał oczu od kuchennych drzwi, za którymi znikła Mar. O co chodzi? Co gryzie jego dziewczynkę? Uśmiechnęła się na wzmiankę o małżeństwie, spojrzała na niego rozpromieniona, a potem...

— Aż się boję myśleć, jak przyjmie Joan — westchnął Arnau.

Guillem odwrócił się do niego gwałtownie, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język. Co ich obchodzi zdanie mnicha?

— Masz rację. Będziemy szukali dalej.

Arnau spojrzał na Joana.

— Proszę, to naprawdę nie jest najlepszy moment... Wstąpił do kościoła, żeby zebrać myśli. Dostał złe wieści, ale przy Madonnie, pośród niestrudzonego stukotu narzędzi i uśmiechów pozdrawiających go robotników, znalazł ukojenie. Jednak Joan dopadł go nawet tu i nie przestawał dręczyć. Mar to, Mar tamto, Mar siamto. Przecież to nie jego sprawa!

— Dlaczego nie chce wyjść za mąż? — dopytywał się.

— Joan, to naprawdę nie jest najlepszy moment... — Powtórzył Arnau.

— A to czemu?

— Bo mamy nową wojnę. — Zakonnik oniemiał. — Nie wiedziałeś? Król Kastylii, Piotr Okrutny, właśnie wypowiedział nam wojnę.

— Dlaczego? Arnau pokręcił głową.

— Bo od dawna miał na to ochotę — prychnął. — Za pretekst posłużył mu fakt, że nasz admirał, Francesc de Perellós, przejął u wybrzeży Sanliicar dwa genueńskie okręty wiozące oliwę. Król Kastylii zażądał ich oddania, admirał go nie posłuchał i Piotr Okrutny wypowiedział nam wojnę. To niebezpieczny człowiek — dodał. — Słyszałem, że w pełni zasługuje na swój przydomek: jest zawzięty i mściwy. Wiesz, co to oznacza? Że od tej pory będziemy prowadzili dwie wojny jednocześnie: z Genuą i z Kastylią. Naprawdę uważasz, że to właściwy moment, by rozmawiać o zamążpójściu Mar? — Joan zawahał się. Stali pod zwornikiem trzeciego sklepienia nawy głównej, pod drewnianą strukturą, z której niebawem miały się wyłonić żebra. — Pamiętasz? — spytał Arnau, wskazując kamienny zwornik. Joan spojrzał w górę i skinął głową. Byli jeszcze dziećmi, gdy na ich oczach wciągnięto pierwszy klucz sklepienia! Po chwili Arnau podjął: — Katalonii nie stać na nową wojnę. Spłacamy jeszcze wyprawę króla na Sycylię, a teraz jeszcze to...

— Myślałem, że wam, kupcom, zależy na podboju nowych terytoriów.

— Kastylia nie ma nam do zaoferowania nowych szlaków handlowych. Sytuacja jest krytyczna. Guillem miał rację. — Zakonnik skrzywił się na wzmiankę o Maurze. — Ledwie daliśmy nauczkę Sardyńczykom, zbuntowali się Korsykanie, tylko czekali, aż król opuści wyspę. Będziemy teraz prowadzić wojnę przeciwko dwóm mocarstwom, a skarbiec jest pusty. Zresztą rajcy miejscy też poszaleli!

Skierowali się w stronę głównego ołtarza.

— Co masz na myśli?

— Nie możemy pokryć tylu wydatków naraz. Król upiera się przy swoich wielkich budowach: arsenał morski, mury miejskie...

— Bo są potrzebne — Joan wszedł bratu w słowo. — Arsenał może i tak, ale po epidemii czarnej śmierci budowa nowych murów nie ma sensu. Barcelona nie musi poszerzać swych granic.

— I?

— Król sam już nie wie, skąd czerpać środki na coraz większe wydatki. Zmusił okoliczne grody i osady do dofinansowania nowych murów, tłumacząc, że może przyjdzie im się kiedyś za nimi schronić. Ponadto ustanowił nowy podatek na ten cel: czterdziesta część wszystkich spadków. Jeśli chodzi o arsenał morski, na tę inwestycję przeznaczają się wszystkie grzywny napływające z faktur. A teraz jeszcze nowa wojna.

— Barcelona jest bogata.

— Już nie. W tym cały szkopuł. Król przyznał miastu wiele przywilejów w zamian za wsparcie finansowe i rajcy rozpoczęli inwestycje, których nie mogą sfinansować. Podnieśli podatki na mięso i wino. Wiesz, na jaką część miejskiego budżetu wystarczały do tej pory te podatki? — Joan zaprzeczył. — Na pięćdziesiąt procent! Barcelona mogła pokryć tylko połowę swych wydatków, a teraz mają one jeszcze wzrosnąć. Długi zgubią miasto. Miasto i nas wszystkich.

Przez jakiś czas stali, pogrążeni w myślach, przed głównym ołtarzem.

— A co z Mar? — zapytał znów Joan, gdy kierowali się do wyjścia.

— Zrobi, co zechce.

— Ale...

— Żadnych ale. Tak postanowiłem i basta.

— Pułaj — rzucił Arnau.

Guillem uderzył kolatką w drewnianą bramę. Stukot poniósł się echem po pustej ulicy. Nikt nie otworzył.

— Jeszcze raz.

Guillem zaczął walić w drzwi: raz drugi... siódmy, ósmy. Za dziewiątym otworzyło się okienko w bramie.

— O co chodzi? — zapytał właściciel oczu, które się w szparze. — Co to za rwetes? Kim jesteście?

Uczepiona ramienia opiekuna Mar poczuła, że Arnau tężeje.

— Otwieraj! — wrzasnął.

— Z czyjego rozkazu?

— Arnaua Estanyola — oznajmił doniosłym głosem Guillem. — Właściciela tego pałacu i wszystkich, co się w nim znajduje, łącznie z tobą, jeśli jesteś niewolnikiem.

„Arnau Estanyol, właściciel tego pałacu...”. Słowa Guillega rozbrzmiewały mu w uszach. Ile

lat minęło? Dwadzieścia? Dwadzieścia dwa? W oczach wyzierających z okienka widać było wahanie.

— Otwieraj! — krzyknął Guillem. Arnau spojrział w niebo i pomyślał o ojcu.

— Co...? — zaczęła pytać Mar.

— Nic, nic. — Arnau uśmiechnął się do niej akurat w chwili, gdy uchylały się drzwiczki w jednym ze skrzydeł bramy.

Guillem chciał puścić Arnaua przodem.

— Brama, Guillem, każ im otworzyć bramę, oba skrzydła. Guillem wszedł do środka. Arnau i Mar słyszeli, jak wydaje polecenia.

Patrzysz na mnie teraz, ojczy? Pamiętasz? To tutaj wręczono ci sakiewkę, która cię zgubiła. Przypomniał sobie zamieszki na placu Blat — wrzeszczący tłum, krzyk ojca: „Oddajcie zboże!”. Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Gdy brama pałacowa otworzyła się na oścież, Arnau wszedł do środka.

Na dziedzińcu stało wielu niewolników. Na prawo odchodziły schody do pałacowych komnat. Arnau nie spojrział w górę, ale Mar podniosła wzrok i dostrzegła cienie poruszające się w oknach. Na wprost były stajnie, na których próg wylegli masztalerze i stajenni. Mój Boże! Arnau zdrzął i wsparł się na Mar. Dziewczyzna nie patrzyła już w okna.

Nie wyciągnął ręki po dokument. Wiedział, co zawiera, odkąd Guillem mu go wczoraj wręczył, zdążył nauczyć się go na pamięć. Był to spis dobytku Graua Puiga, przekazanego Arnauowi Estanyolowi przez naczelnika Barcelony jako spleta długów barona. Na liście figurował pałac, niewolnicy — Arnau na próżno szukał wśród nich kucharki Estranyi — kilka posiadłości poza Barceloną (między innymi niewielkie gospodarstwo w Navarcles, które postanowił zostawić bankrutom, by mieli się gdzie podziąć), trochę klejnotów, dwie pary koni z rzędem karoca, męska garderoba i suknie, garnki i zastawa stołowa dywany i meble... Na tym zwitku pergaminu, po którym Arnau wodził oczami przez całą noc, spisano całe wyposażenie pałacu. Znowu spojrzął na wejście do stajni, a potem powiódł wzrokiem po wybrukowanym dziedzińcu i... wbił oczy w pierwsze stopnie schodów.

— Wchodzimy? — zapytał Guillem.

— Wchodzimy. Prowadź mnie do państwa... do Graua Puiga — poprawił się Arnau, przywołując jednego z niewolników.

Przeszli przez wszystkie komnaty. Mar i Guillem zerkali ciekawie na boki, Arnau patrzył przed siebie. Niewolnik zaprowadził ich do salonu.

— Zapowiedz mnie — polecił Arnau Guillemowi.

— Arnau Estanyol! — krzyknął Maur, otwierając drzwi. Arnau nie pamiętał tego pomieszczenia. Nie rozglądał się, gdy jako dziecko przemierzył je na... kolanach. Nie rozglądał się i teraz. Isabel siedziała w fotelu przy oknie w towarzystwie Josepa i Genisa. Starszy z nich zawarł związek małżeński, podobnie jak jego siostra Margarida. Genis nadal był kawalerem. Arnau poszukiwał wzrokiem rodziny Josepa. Nie było jej w salonie. W innym fotelu zobaczył starego, śliniącego się Graua Puiga.

Oczy Isabel ciskały gromy.

Arnau stanął na środku salonu przy stole jadalnym ze szlachetnego drewna, dwa razy dłuższym niż jego kantor. Mar została z tyłu razem z Guillemem. Niewolnicy tłoczyli się na progu.

Arnau przemówił tak głośno, że jego głos poniósł się echem po sali:

— Guillem, te buty należą do mnie — wskazał stopy Isabel. — Każ ją rozzuć.

— Tak panie.

Mar spojrzała zdumiona na Maura. Panie? Wiedziała, że jest niewolnikiem, jednak nigdy nie zwracał się do w ten sposób.

Guillem przywołał skinieniem ręki dwóch stojących na progu niewolników i razem z nimi ruszył w stronę Isabel. Baronessa ani drgnęła, wyniosłe patrząc Arnauowi w oczy.

Jeden z niewolników ukląkł przed nią, ale ona go uprzedziła i sama zsunęła trzewiki z nóg. Ani na chwilę nie przestała patrzeć na Arnaua.

— Pozbieraj wszystkie buty z pałacu i spal je na dziedzińcu — polecił Arnau.

— Tak panie — odpowiedział Guillem. Isabel nadal spoglądała hardo na gościa.

— Fotele. — Arnau wskazał na krzesła zajmowane przez Puigów. — Usuń je.

— Tak panie.

Synowie wzięli Graua na ręce. Baronowa wstała, nim niewolnicy zabrali jej fotel i zanieśli wraz z pozostałymi do kąta komnaty.

Wciąż nie spuszczała wzroku z Arnaua.

— Ta suknia należy do mnie. Czyżby zdrząła?

— Chyba nie zamierzasz... — odezwał się Genis Puig, trzymając ojca w ramionach.

— Ta suknia należy do mnie — powtórzył Arnau, nie odwracając wzroku od Isabel.

Drży?

— Matko — szepnął Josep — idź się przebrać. Tak, drży.

— Guillem! — krzyknął Arnau. — Matko, proszę.

Guillem podszedł do baronessy. Drży!

— Matko!

— W co niby mam się przebrać?! — krzyknęła Isabel odwracając się do pasierba.

Znów przeniosła wzrok na Arnaua. Była roztrzęsiona. Guillem również na niego zerknął. Naprawdę chcesz, bym zdarł z niej ubranie? — zdawał się pytać.

Arnau zmarszczył brwi, a wtedy Isabel powoli, bardzo powoli, opuściła głowę i rozplakała się ze złości.

Arnau dał znak Guillemowi i odczekał kilka sekund. Szloch Isabel wypełnił komnatę.

— Daj im czas do wieczora — powiedział w końcu do Guillem. — Mają opuścić pałac. Powiedz, że mogą wrócić do Navarcles, gdzie ich miejsce. — Josep i Genis spojrzeli na niego, Isabel nie przestawała łkać. — Nie interesują mnie tamte włości. Daj im ubrania niewolników, z wyjątkiem obuwia. Buty spal. Sprzedaj wszystko, a potem zamknij pałac.

Odróciwszy się, Arnau stanął twarzą w twarz z Mar. Zupełnie o niej zapomniał. Dziewczyna była biała. Wziął ją pod rękę i wyprowadził z komnaty.

— Możesz już zamknąć bramę — powiedział starcowi, który wpuścił ich do pałacu.

Wrócili w milczeniu do kantoru. Arnau zatrzymał się na progu.

— Masz ochotę na spacer po plaży? Mar przytaknęła.

— Odebrałeś już cały dług? — spytała, gdy zobaczyli morze. Szli w milczeniu.

— Nigdy nie zdołam odebrać go w całości — usłyszała dopiero po chwili jego szept. — Nigdy.



38

*Barcelona,
9 czerwca 1359 roku*

Arnau miał pełne ramię roboty. Był środek sezonu żeglugowego. Interesy szły znakomicie i stał się jednym z najzamożniejszych obywateli Barcelony. Nadal mieszkał w domku na rogu Canvis Vells i Canvis Nous razem z Guillemem, Mar i Donahą. Arnau nie dał się namówić Maurowi na przeprowadzkę do pałacu Puigów, który od czterech lat stał pusty. Mar okazała się równie uparta i nie chciała wyjść za mąż.

— Dlaczego próbujesz się mnie pozbyć? — zapytała pewnego razu Arnaua ze łzami w oczach.

— Ja... — zająknął się. — Wcale nie próbuję się ciebie pozbyć!

Mar przytuliła się do niego, pochlipując.

— Nie martw się — powiedział, głaszcząc ją po głowie. — Nie będę cię do niczego zmuszał.

I Mar nadal mieszkała z nim i z Guillemem.

Nagle, 9 czerwca odezwał się dzwon. Arnau przerwał pracę, pierwszemu dzwonowi zawtórował następny i jeszcze jeden — po chwili dzwoniło już w wielu punktach miasta.

— *Via fora* — mruknął do siebie Arnau.

Wyszedł z kantoru. Robotnicy z kościoła Santa Maria schodzili pospiesznie z rusztowań, murarze i kamieniarze wybiegli przez główną bramę świątyni, ludzie pędzili ulicami z okrzykiem *¡Via fora!*

Nadbiegł zdenerwowany Guillem.

— Wojna! — krzyknął.

— Władze wzywają mieszkańców do broni — powiedział Arnau.

— Nie... nie. — Guillem próbował złapać oddech. — To nie pospolite ruszenie z Barcelony. Nie tylko z Barcelony. Do walki wzywani są również mieszkańcy osad i grodów w promieniu dwóch mil.

Pod broń zostały postawione, oprócz stolicy, Sant Boi i Badalona, Sant Andreu i Sarria, Proven-

cana, Sant Feliu, Sant Genis, Cornella, Sant Just Desvern, Sant Joan Despi, Sants, Santa Coloma, Esplugues, Vallvidrera, Sant Marti, Sant Adria, Sant Gervasi, Sant Joan d'Horta... Ogluszające bicie dzwonów napływało do Barcelony z odległości dwóch mil.

— Król powołał się na *usatge princeps namque*⁷ — tłumaczył Guillem. — Nie miasto, ale sam król! Wojna! Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Król Kastylii atakuje...

— Barcelonę? — przerwał Arnau.

— Tak, Barcelonę. Wpadli do domu.

Arnau chwycił broń z czasów Eiximena d'Esparca i razem z Guillemem ruszył ulicą Mar na plac Blat. Jednak tłum krzyczący *¡Via fora!* biegł w przeciwnym kierunku.

— Co... — zaczął pytać Arnau, łapiąc za ramię jednego z uzbrojonych mężczyzn.

— Na plażę! — wrzasnął zapytany, wyrывая się. — Na plażę!

— Od morza? — zapytali jednocześnie Arnau i Guillem spojrzeli po sobie.

Zawrócili i przyłączyli się do tłumy pędzącego ku wybrzeżu.

Gdy dotarli na miejsce, pół Barcelony kręciło się już po plaży ze wzrokiem utkwionym w horyzont, w kuszami w rękach i biciem dzwonów w uszach. Okrzyki *¡Via fora!* były coraz rzadsze, po chwili na plaży zapanowała cisza.

Guillem osłonił oczy przed silnym czerwcowym słońcem i zaczął liczyć okręty: raz, dwa, trzy, cztery...

Morze było spokojne.

— Rozniosą nas — usłyszał Arnau za plecami.

— Splądrują miasto.

— Jak stawimy czoło całej armii?

Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem... Guillem nie przerywał liczenia.

Rozniosą nas, powtórzył Arnau w myślach. Tyle razy rozmawiał o tym z kupcami i bankierami. Barcelona jest zupełnie bezbronna od strony wybrzeża. Od klasztoru klarysek aż po Framenors graniczy z morzem, jednak... nie ma tam murów, żadnego systemu obronnego! Jeśli obca flota wojenna zdoła wpłynąć do portu...

— Trzydzieści dziewięć, czterdzieści. Czterdzieści okrętów! — krzyknął Guillem.

To była flota Piotra Okrutnego: trzydzieści galer i dziesięć nieco mniejszych statków. Czterdzieści okrętów wojennych pełnych doświadczonych, zaprawionych w bojach żołnierzy przeciwko pospolitemu ruszeniu. Jeśli te wojska zdołają wylądować, walka rozgorzeje tu, na plaży, i na ulicach miasta. Arnaua przeszły ciarki na myśl o kobietach, dzieciach, o... Mar. Kastylijczycy ich rozgromią! Splądrują miasto. Będą gwałcili kobiety. Mar! Arnau musiał się przytrzymać Guillem. Mar jest młoda i piękna. Oczami wyobraźni ujrzał ją w objęciach Kastylijczyków: krzyczy, wzywa pomocy... Gdzie on wtedy będzie?

Na plażę zbiegało się coraz więcej ludzi. Zjawił się sam król i zaczął wydawać rozkazy swym żołnierzom.

— Król! — krzyknął ktoś w tłumie.

Co tu pomoże król? — miał ochotę zapytać Arnau.

Monarcha od trzech miesięcy przebywał w Barcelonie zbierając flotę, którą chciał wysłać na Majorkę, zagrożoną atakiem Piotra Okrutnego. W porcie znajdowało się tylko dziesięć galer, reszta była dopiero w drodze. Na dodatek przyjdzie im walczyć w samym porcie!

Arnau pokręcił głową, patrząc na zbliżające się żagle. Król Kastylii wyprowadził ich w pole. Trwająca od trzech lat wojna była przeplatanką bitew i rozejmów. Piotr Okrutny zaatakował najpierw Walencję, a potem Aragonię, gdzie zajął Tarazonę, zagrażając bezpośrednio Saragossie. Dzięki interwencji kościelnej Tarazonę przekazano kardynałowi Pedrowi de la Jugie i to on miał zdecydować, komu z królów przypadnie ona w udziale. Podpisano również roczne zawieszenie broni, które nie dotyczyło jednak Królestwa Murcji ani Walencji.

Podczas rozejmu Piotr Ceremonialny zdołał nakłonić swego przyrodniego brata Ferrana, sprzymierzeńca króla Kastylii, do zdrady sojusznika. Książę Ferran najechał i splądrował Królestwo Murcji, zapuszczając się aż do Kartageny.

Na rozkaz króla zaczęto przygotowywać galery do bitwy morskiej. Mieli na nie wsiąść obywałe Barcelony i mieszkańcy sąsiadujących z nią grodów, który już poczuli ściągać z okolicy, oraz nieliczne wojska królewskie. Wszystkie łodzie — małe i duże, handlowe i rybackie — miały wypłynąć na spotkanie flocie kastylijskiej.

— To szaleństwo — stwierdził Guillem, patrząc, jak tłum rzuca się do wody. — Kastylijskie galery staranują i rozłupią nasze łódki. Dojdzie do masakry.

Flota kastylijska znajdowała się jeszcze dość daleko od portu.

— Będzie bezlitosny — usłyszał Arnau za plecami. — Zetrze nas w pył.

Tak będzie bezlitosny. Zła sława króla Kastylii była wszystkim znana. Zglądził swych przyrodniczych braci z nieprawego łoża: Fryderyka w Sewilli, a Jana w Bilbao, rok później uśmiercił swą ciotkę Eleonorę, przetrzymawszy ją przez cały ten czas w lochu.

Jak można oczekiwać litości od króla, który morduje własną rodzinę? Piotr Ceremonialny nie zabił Jakuba z Majorki mimo jego ciągłych zdrad i wojen, które musiał z nim stoczyć.

— Lepiej bronić się z łądu! — krzyknął Arnauowi do ucha Guillem. — Na morzu nie mamy żadnych szans. Gdy tylko Kastylijczycy przedrą się przez tasques, rozniosą nas.

Arnau przytaknął. Dlaczego król uparł się, by bronić Barcelony z morza? Guillem ma rację, gdy tylko przedrą się przez tasques...

— Tasques! — krzyknął nagle. — Jaki mamy statek w porcie?

— O czym myślisz?

— Tasques! Nie rozumiesz, Guillem? Jakim statkiem dysponujemy?

— Wielorybniczym — odparł Guillem, wskazując ciężki, brzuchaty okręt.

— Chodźmy. Nie ma czasu do stracenia.

Arnau ruszył ku morzu, mieszając się z tłumem, który posłusznie wypełniał rozkaz króla. Odwrócił się, by ponaglić Przyjaciela.

Plaża zamieniła się w kłębowisko żołnierzy i cywilów brodzących w wodzie po pas. Jedni próbowali wdrapać się na barki rybackie już wypływające w morze, inni czekali na przewoźników, którzy mieli ich zawieźć na któryś z wielkich okrętów wojennych lub handlowych zakotwiczonych w porcie.

Jeden z przewoźników przyплыł właśnie po pasażerów.

— Idziemy! — krzyknął Arnau do Guillega, rzucając się do wody i próbując wyprzedzić innych chętnych.

Gdy dopchali się do łodzi, była już pełna, ale przewoźnik rozpoznał Arnaua i zrobił miejsce dla niego i jego towarzysza.

— Zawieź mnie na statek wielorybniczy — powiedział Arnau, gdy przewoźnik już miał odply-

wać.

— Najpierw galery. To rozkaz króla...

— Zawieź mnie na statek wielorybiczny! — powtórzył Arnau. Przewoźnik przekrzywił głowę. Pasażerowie zaczęli protestować. — Cisz! — krzyknął Arnau. — Przecież mnie znasz. Muszę dostać się na statek wielorybiczny. Przyszłość Barcelony... od tego zależy przyszłość twojej rodziny. Przyszłość waszych rodzin!

Przewoźnik spojrzął na wielki okręt wielorybiczny. Musiałby zboczyć z kursu tylko odrobinę. Czemu nie? Dlaczego ma nie wierzyć Arnauowi Estanyolowi?

— Na statek wielorybiczny! — rozkazał wioślarzom. Gdy Arnau i Guillem złapali sznurowe drabinki, spuszczone

przez kapitana statku wielorybicznego, przewoźnik obrał kurs na galery.

— Do wiosel! — rozkazał Arnau kapitanowi, zanim wdrapał się na pokład.

Na znak kapitana wioślarze zajęli miejsca.

— Dokąd płyniemy? — zapytał marynarz.

— Do tasques — rzucił Arnau. Guillem przytaknął.

— Niech Allah, który jest wielki, ci pomoże.

Jednak w przeciwieństwie do Guillema, wojsko i mieszkańcy Barcelony nie zrozumieli planu Arnaua. Na widok okrętu wielorybicznego kierującego się na pełne morze bez żołnierzy i uzbrojonych ludzi ktoś skwitował:

— Chce ocalić swój statek

— Ży d! — wrzasnął ktoś inny.

— Zdrajca!

Ze wszystkich stron posypały się obelgi i po chwili cała plaża wygrażała Arnauowi. „Co zamierza ten Estanyol?”, pytali *bastaixos* i przewoźnicy, odprowadzając wzrokiem okręt, który sunął wolno, napędzany ponad stu wiosłami, opadającymi do wody i unoszącymi się raz za razem.

Arnau i Guillem stanęli na dziobie, bacznie obserwując kastylijską flotę, która była już niebezpiecznie blisko. Kiedy mijali katalońskie galery, musieli się schronić przed gradem strzał. Wyprostowali się dopiero, gdy znaleźli się poza ich zasięgiem.

— Zobaczysz, uda się — rzucił Arnau do Guillema. — Barcelona nie może wpaść w ręce tego padalca.

Tasques, ławice piasku, które ciągnęły się równolegle do wybrzeża, chroniąc je przed działaniem prądów morskich, były jedyną naturalną osłoną portu w Barcelonie, a jednocześnie zagrożeniem dla okrętów zawijających do stolicy Katalonii. Tylko jedna droga w formie głębokiego kanału umożliwiała dostęp do portu, okręty, które obierały inny szlak, osiadały na mieliznie.

Arnau i Guillem podpłynęli do tasques, zostawiając w tyle tysiące gardeł, ślących im okrutne przekleństwa. Krzyki Katalończyków zdołały zagłuszyć nawet bicie dzwonów.

Uda się, powtórzył Arnau, tym razem w myślach, po czym rozkazał wstrzymać pracę wioślarzy. Gdy sto wiosel zamarło nad burtą i statek wpłynął siłą rozpędu w strefę tasques, dobiegające z brzegu złorzeczenia i krzyki zaczęły milknąć, aż w końcu na plaży zapanowała cisza. Flota kastylijska była coraz bliżej. Pośród bicia dzwonów Arnau słyszał tarcie kila o mieliznę.

— Musi się udać! — rzucił przez zęby.

Guillem złapał go mocno za ramię. Nigdy jeszcze nie dotykał go w ten sposób.

Statek nadal płynął powoli, bardzo powoli. Arnau zerknął na kapitana. „Jesteśmy w kanale?”

pytały jego uniesione brwi. Kapitan skinął głową. Gdy tylko padł rozkaz uniesienia wiosł, odgadł zamiysł Arnaua.

Cała Barcelona odgadła.

— Teraz! — krzyknął Arnau. — Skręcaj!

Kapitan wydał rozkaz. Wiosła na lewej burcie zanurzyły się w morzu i okręt zaczął się ustawić w poprzek. Chwilę potem dziób i rufa zaryły się w ścianach kanału.

Statek się przechylił.

Guillem ścisnął z całej siły ramię Arnaua. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, Arnau przygarnął i objął Maura tłum zgromadzony na plaży i na galerach zaczął wiwatować.

Dostęp do portu został odcięty.

Król w bojowym rynsztunku spojrzął na statek wielorybiczny tarasujący tasques. Otaczający go moiżni i rycerze milczeli a monarcha kontemlował scenę.

— Na galery — rozkazał w końcu.

Statek Arnaua odciał Piotrowi Okrutnemu drogę do portu, zmuszając go do stoczenia bitwy na pełnym morzu. Piotr Ceremonialny przegrupowywał swe wojska po drugiej stronie tasques i o zmierzchu dwie floty — kastylijska, złożona z czterdziestu okrętów wojennych pełnych doświadczonych żołnierzy, i katalońska, skłecona na poczekaniu z dziesięciu galer i dziesiątek małych łodzi handlowych i rybackich wyladowanych ludźmi niezaprawionymi w boju — ustawiły się naprzeciwko siebie wzdłuż wybrzeża, od klasztoru Świętej Klary po Framenors. Nikt nie mógł opuścić Barcelony ani dostać się do miasta od strony morza.

Pierwszego dnia nie doszło do bitwy. Pięć galer Piotra III otoczyło statek wielorybiczny i królewscy żołnierze przedostali się na jego pokład w migotliwej poświacie księżyca.

— Wygląda na to, że znajdziemy się w ogniu walki — powiedział Guillem do Arnaua. Siedzieli oparci plecami o burtę, ukryci przed wzrokiem kastylijskich kuszników.

— Teraz jesteśmy murem obronnym miasta, a przecież wszystkie bitwy zaczynają się na murach.

Podszedł do nich królewski oficer.

— Arnau Estanyol? — zapytał. Arnau uniósł rękę. — zezwala się wam opuścić statek

— A moi ludzie?

— Galernicy? — W półmroku Arnau i Guillem dostrzegli zdumienie na twarzy oficera. Cóż obchodzi króla setka skazańców? — Mogą się nam przydać na miejscu — wybrnęła z opresji oficer.

— W takim razie ja też zostaję. To mój statek i moi ludzie — oznajmił Arnau.

Oficer wzruszył ramionami i wrócił do swych żołnierzy.

— Chcesz zejść na ląd? — zapytał Arnau Guillem. — Czy i ja nie jestem jednym z twoich ludzi?

— Nie i dobrze o tym wiesz. — Milczeli przez chwilę, obserwując cienie przemykające w mroku. Słyszeli bieganinę żołnierzy zajmujących pozycje i wydawane półgłosem, niemalże szeptem, rozkazy oficerów. — Już od dawna nie jesteś moim niewolnikiem — ciągnął Arnau. — Chętnie podpiszę twój akt uwolnienia, wystarczy jedno twoje słowo.

Kilku żołnierzy przysunęło się do nich.

— Zejdźcie do ładowni razem z resztą załogi — szepnęła jeden z nich, przymierzając się do zajęcia ich miejsca.

— To nasz statek, nikt nie będzie nam mówił, co mamy robić — odparł Arnau.

Żołnierz pochylił się nad nimi.

— Przepraszam — powiedział. — Wszyscy jesteście wam wdzięczni za to, co zrobiliście.

I poszukał sobie innego miejsca przy burcie.

— Kiedy pozwolisz mi cię uwolnić? — zapytał znowu Arnau.

— Chyba nie potrafiłbym żyć jako człowiek wolny. Zamilkł. Gdy już wszyscy żołnierze weszli na statek i zajęli swoje pozycje, noc zaczęła ustępować miejsca świtowi. Arnau i Guillem drzemali na pokładzie wśród pokasywania i szeptów obrońców.

O brzasku Piotr Okrutny wydał rozkaz ataku. Flota nieprzyjacielska podpłynęła do tasques i Kastylijczycy zaczęli strzelać z kuszy i miotać kamienie z niewielkich trebuszy umocowanych na burtach i z innych rodzajów katapult. Flota katalońska odpowiedziała na atak zza piaszczystych ławic. Walki toczyły się na całej linii wybrzeża, ale głównie wokół okrętu Arnaua. Piotr III nie mógł pozwolić, by nieprzyjaciel wdarł się na statek wielorybiczny, dlatego broniono go zaciekle między innymi z samej galery królewskiej.

Wiele osób straciło życie od strzał obu walczących stron. Arnau przy pomniał sobie świst strzał, które wystrzeliwał przed laty zza skał otaczających zamek Bellaguarda.

Do rzeczy wistości przywróciły go salwy śmiechu. Komu jest tak wesoło w trakcie bitwy? Barcelona jest w niebezpieczeństwie, wokół giną ludzie. Jak można się śmiać w takiej chwili? Arnau i Guillem popatrzyli na siebie. Tak nie przeszli się. Dochodził ich coraz głośniejszy rechot. Rozejrzeli się za jakimś schronieniem, skąd mogliby śledzić bitwę. Z łodzi ustawionych w drugiej i trzeciej linii, poza zasięgiem strzał, Katalończycy wyszadzali Kastylijczyków, pokrzykując na nich i dworując sobie z nich.

Atakujący starali się trafić ich z katapult, jednak z marnym skutkiem — miotane przez nich pociski raz po raz wpadały do morza, wzbijając fontanny piany. Arnau i Guillem ponownie wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się. Katalończycy na łodziach znowu zaczęli drwić sobie z wroga, a obywatele Barcelony, świeżo przemienieni w żołnierzy, wtórowali im z plaży, kwitując śmiechem każdy niecelny strzał atakujących.

Przez cały dzień Katalończycy naigrawali się z kastylijskich artylerzystów, którzy pudłowali raz za razem.

— Oj, nie chciałbym być teraz na galerze Piotra Okrutnego — mruknął Guillem.

— Ani ja — zaśmiał się Arnau. — Aż strach pomyśleć, co on zrobi z tymi patalaciami.

Ta noc w niczym nie przypominała poprzedniej. Arnau i Guillem pomagali rannym: opatrywali ich i odprowadzali do łodzi, które miały ich zawieźć na ląd. Co jak co, ale na statek wielorybiczny docierały kastylijskie strzały. Zjawił się oddział obrońców i gdy noc miała się już ku końcowi, Arnau z Guillem spróbowali się zdrzemnąć, by odpocząć przed czekającym ich dniem.

Pierwsze promienie słońca wyrwały z uspienia gardła Katalończyków. Wrzaski, obelgi i drwiny na powrót zaczęły nieść się po wodzie.

Wystrzeliwszy wszystkie strzały, Arnau schronił się z Guillemem w zacisznym miejscu, by śledzić przebieg bitwy.

— Patrz — powiedział Maur, wskazując nieprzyjacielskie galery — dzisiaj podpływają znacznie bliżej.

Miał rację. Król Kastylii postanowił czym prędzej skończyć z szyderstwami Katalończyków i ruszył wprost na statek wielorybiczny.

— Każ im zamilknąć — rzucił Guillem, wpatrując się w nadpływające galery.

Piotr III pospieszył na ratunek statkowi Arnaua, podpływając do niego na tyle, na ile pozwalało pasmo mielizn. Nowa bitwa rozegrała się tuż obok nich, Guillem i Arnau mogli niemal dotknąć królewskiej galery i widzieli jak na dłoni monarchę i jego rycerzy.

Dwie królewskie galery ustawiły się po obu stronach tasques, burtami do siebie. Kastylijczycy oddali salwę z trebuszy zamontowanych na dziobie. Arnau i Guillem spojrzeli na okręt królewski, ale kamienie nieprzyjaciela nie wyrządziły najwyraźniej większych szkód. Piotr III i jego ludzie nadal stali na pokładzie.

— Czy to bombarda? — zapytał Arnau, wskazując działą, ku któremu skierował się monarcha.

— Tak — odparł Guillem, Widział, jak wciągano działą na galerę, gdy król przygotowywał flotę, przekonany, że Kastylijczycy ruszą na Majorkę.

— Bombarda na statku?

— Tak — powtórzył Guillem.

Chyba pierwszy raz uzbraja się galerę w bombardę — rzucił Arnau, bacznie obserwując króla wydającego rozkazy artylerzystom. — Nigdy dotąd nie widziałem...

— Ani ja...

Ich rozmowę przerwał potworny łoskot. Bombarda pluła wielkim kamieniem ku galerze kastylijskiej. Arnau i Guillem podążyli za nim wzrokiem.

— Brawo! — wykrzyknęli jednocześnie na widok walącego się masztu.

Załogi wszy stkich katalońskich łodzi nagrodziły celność artylerzystów gromkim i wiwatami.

Król ponownie kazał załadować bombardę. Zaskoczenie i złamanie masztu uniemożliwiło nieprzyjacielowi ostrzelanie królewskiej galery. Następnym katalońskim pocisk trafił dokładnie w dziobówkę, niszcząc ją doszczętnie.

Kastylijczycy zaczęli wycofywać się z tasques.

Szyderstwa i królewska bombardą dały do myślenia władcy Kastylii, który dwie godziny później nakazał swej flocie zakończyć oblężenie Barcelony i obrać kurs na Ibizę.

Arnau i Guillem, wraz z licznymi oficerami, obserwowali z pokładu oddalające się okręty. Znów bito w dzwony.

— Teraz trzeba będzie ściągnąć statek z mielizny — odezwał się Arnau.

— My się tym zajmimy — rozległ się głos za jego plecami. Odwróciwszy się, zobaczył oficera, który przybył z wiadomością od króla. — Jego wysokość oczekuje was na swej galerze.

Piotr Ceremonialny miał całe dwie noce na poznanie szczegółów z życia Arnaua Estanyola. „Jest bogaty — oznajmili mu rajcy miejscy — nadzwyczaj bogaty, wasza wysokość”. Król bez zainteresowania słuchał kolejnych informacji: były *bastaix*, walczył pod rozkazami Eiximena d'Esparca, żarliwy czciciel Madonny z kościoła Santa Maria. Oczy króla rozwarły się szeroko dopiero na wieść o tym, że Arnau jest wdowcem. Bogaty wdowiec, pomyślał. Jeśli wyjdziemy cało z tej opresji...

— Arnau Estanyol — oznajmił gromkim głosem królewski szambelan. — Obywatel Barcelony.

Piotr III zasiadał na pokładzie w otoczeniu tłumy wielmożów, rycerzy, rajców i patrycjuszów, którzy przyплыli na królewską galerę zaraz po wycofaniu się Kastylijczyków. Guillem został z tyłu, przy burcie.

Arnau już miał uklęknąć przed królem, lecz ten go powstrzymał.

— Jesteśmy z was nad wyraz ukontentowani — przemówił — Wasz spryt i męstwo zaważyły na wyniku bitwy.

Monarcha zamilkł. Arnau się zawahał. Powinien się odezwać? A może zaczekać? Wpatrywały się w niego oczy wszystkich obecnych.

— W dowód wdzięczności za wasz czyn — ciągnął monarcha — pragniemy nagrodzić was łaską.

A teraz? Powinien coś powiedzieć? Jaką łaskę ma na myśli król? Przecież jemu nie potrzeba niczego do szczęścia...

— Dajemy wam za żonę naszą wychowanicę Elionor, której przekazujemy w posagu baronat Granollers, Sant Vicenc dels Horts i Caldes de Montbui.

Po obecnych przeszedł szmer, niektórzy poczęli bić brawo. Za żonę?! Król mówił coś o żonie? Arnau obejrzał się, szukając wzrokiem Guillema. Na próżno. Moźni i rycerze uśmiechali się do niego. Padło słowo „żona”?

— Nie jesteście szczęśliwi, panie baronie? — zapytał Piotr III, widząc, że Arnau zerka za siebie.

Spojrzał na króla. Panie baronie? Żona? Na co mu to? Moźni i rycerze umilkli, widząc, że Arnau nie odpowiada. Monarcha Przeszył go wzrokiem. Elionor? Królewska wychowanica? Nie może... nie powinien wzgardzić łaską króla!

— Nie... to znaczy... tak, wasza wysokość — wyjąkał. — Bardzo dziękuję za waszą wspaniałomyślność.

— No więc postanowione.

Piotr III wstał. Kilka osób poklepało Arnaua po plecach, winszując mu. Jednak ich słowa do niego nie docierały. Stał sam w miejscu, gdzie przed chwilą otaczał go tłum. Odwrócił się do Guillema i rozłożył ręce, jednak gdy Maur zaczął dawać mu znaki, patrząc znacząco na króla i jego świtę, pospiesznie je opuścił.

Na łądzie powitano Arnaua nie mniej hucznie niż samego króla. Całe miasto ruszyło ku niemu, by mu dziękować i gratulować, kępać go po plecach i ścisnąć mu dłoń. Wszyscy chcieli osobiście powinszować wybawcy Barcelony, lecz Arnau nie rozpoznawał twarzy, nie słyszał kierowanych do niego słów. Akurat teraz, gdy żyje mu się tak dobrze i szczęśliwie, król postanowił go ożenić. Ludzie odprowadzili Arnaua zbitą ciżbą od plaży aż pod sam kantor, a gdy wszedł do domu, zostali na ulicy, skandując jego imię i nie przestając wznosić okrzyków na jego cześć.

Kiedy tylko przekroczył próg, Mar rzuciła mu się w ramiona. Guillem wrócił wcześniej i siedział teraz na krześle. Nie opowiedział domownikom o tym, co się wydarzyło. Joan, który również zjawił się w kantorze, przyglądał się bratu jak zwykle posepnie.

Mar oniemiała, gdy Arnau wyrwał się gwałtownie z jej objęć. Joan chciał mu pogratulować, ale brat obszedł się z nim podobnie, a potem opadł na krzesło obok Guillema. Wszyscy patrzyli na niego, bojąc się odezwać.

— Co ci jest? — odważył się w końcu zapytać Joan.

— Wyswatano mnie! — krzyknął Arnau, unosząc ręce nad głowę. — Król postanowił zrobić ze mnie barona i wyswatał mnie ze swą wychowanicą. Oto, jak mi się odwdzięcza za pomoc w ratowaniu Barcelony. Zmuszając mnie do ożenku!

Joan myślał przez chwilę, przekrzywiwszy głowę, a potem się uśmiechnął.

— Co w tym złego? — zapytał.

Arnau spojrział na niego krzywo. Mar zaczęła drzeć. Dostrzegła to tylko stojąca w drzwiach kuchni Donaha, która pospieszyła jej na pomoc.

— Co w tym złego? — powtórzył Joan. Tym razem Arnau nawet na niego nie spojrział. Mar zaczęło się zbierać na wymioty. — Dlaczego wzbranasz się przed małżeństwem? I to z samą wychowanicą króla. Zostaniesz baronem Katalonii.

Mar uciekała do kuchni, walcząc z mdłościami. Donaha wybiegła za nią.

— Co jej dolega? — zapytał Arnau. Zakonnik zwrócił się z odpowiedzią.

— Powiem ci, co jej dolega — odrzekł w końcu. — Jej też przydałoby się małżeństwo. Wam obojgu! Na szczęście król ma więcej oleju w głowie niż ty.

— Proszę, Joan, zostaw mnie w spokoju — jęknął Arnau zmęczonym głosem.

Mnich podniósł ręce do nieba i opuścił kantor.

— Idź sprawdzić, co dolega Mar — poprosił Arnau Guillemu.

— Nie wiem, co jej dolega — powiedział niewolnik, wychodząc po chwili z kuchni. — Ale Donaha twierdzi, że to nic poważnego. Chyba sprawy kobiece.

Arnau spiorunował go wzrokiem.

— Nie wspominaj mi lepiej o kobietach.

— Nic nie poradzimy na widzimisię króla. Może czas Podsunie nam rozwiązanie...

Jednak nie mieli czasu do namysłu. Piotr III postanowił wyruszyć 23 czerwca na Majorkę w pogoni za królem Kastylii. Rozkazał, by cała flota zgromadziła się do tego dnia w Barcelonie, i ogłosił, że przed wyjazdem pragnie zobaczyć ślub swej wychowanki z majątnym bankierem. Wiadomość przekazał Arnauowi królewski oficer.

Zostało tylko dziewięć dni! — jęknął Arnau po jego wyjściu. — Albo i mniej!

Jaka jest ta Elionor? Pytanie to spędzało mu sen z powiek.

Stara? Ładna? Miła i pogodna czy wyniosła i cyniczna jak wszystkie znane mu wielkie damy? Ma się ożenić z kobietą której w ogóle nie zna? Poprosił Joana o przysługę:

— Dowiedz się czegoś o tej Elionor. Dla ciebie to fraszka a ja nie mogę przestać myśleć o tym, co mnie czeka.

— Podobno — powiedział Joan kilka godzin po wizycie królewskiego oficera — jest córką jednego z katalońskich książąt, któregoś z wujów monarchy, choć nikt na dobrą sprawę nie wie którego. Jej matka umarła, wydając ją na świat, dlatego Elionor wychowywała się na dworze...

— Ale... jaka ona jest? — przerwał mu Arnau.

— Ma dwadzieścia trzy lata i jest powabna.

— A charakter?

— To dama — skwitował Joan.

Po co powtarzać Arnauowi to, czego się dowiedział? Że owszem, jest powabna, ale jej zacięte rysy wyrażają pretensję do całego świata. Że jest kapryśna i rozpieszczona, dumna i ambitna. Król wydał ją za pewnego wielmożę, który zmarł jednak krótko po ślubie i bezdzietna Elionor wróciła na dwór. Nagroda? Dowód królewskiej łaski? Informatorzy Joana nie kryli rozbawienia. Piotr III ma już szczerze dość swej wychowanki, dlatego postanowił wydać ją jak najszybciej za mąż. A trudno o lepszego kandydata niż jeden z najbogatszych bankierów Barcelony. Król chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się Elionor i zapewnić sobie stałe źródło pożyczek. Po co mówić o tym Arnauowi?

— Co rozumiesz przez to, że jest damą?

— Właśnie to — powiedział Joan, unikając wzroku brata. — Jest damą, damą z charakterkiem, jak wszystkie aryстокratki.

Elionor również zasięgnęła języka i jej oburzenie wzrasta w miarę napływających doniesień: były bastaba, członek bractwa założonego przez dawnych niewolników portowych. Król ci ją wydać za tragarza? Może i jest bogaty — wszyscy informatorzy zgodnie twierdzili, że nawet bardzo — lecz co ją obchodzi jego fortuna? Przecież żyje na królewskim dworze i opływa w dostatki. Gdy dowiedziała się, że Arnau jest na domiar złego synem zbiegłego wieśniaka, a z pochodzenia najzwyklejszym chłopem pańszczyźnianym, postanowiła rozmówić się ze swym opiekunem. Król chce ją, księżącą córkę, wydać za kogoś takiego?

Ale Piotr III nie przyjął Elionor i wyznaczył datę ślubu na 21 czerwca, dwa dni przed swoim wyjazdem na Majorkę.

Uroczystość miała się odbyć nazajutrz w królewskiej kaplicy Świętej Agaty.

— To mała kaplica — wyjaśnił Joan. — Podobnie jak kaplica Sainte-Chapelle w Paryżu, skąd pochodziła królowa Blanka d'Anjou. Właśnie na jej prośbę Jakub Drugi wznosił na początku wieku tę kaplicę, umieszczając w niej relikwie męki Chrystusowej.

Zaplanowano skromną uroczystość, w której Arnauowi towarzyszyć miał tylko Joan, ponieważ Mar odmówiła udziału w zaślubinach. Odkąd dowiedziała się o planowanym małżeństwie Arnaua, unikała go, milkła w jego obecności i tylko czasami zerkała na niego, choć nie słała mu już uśmiechów jak dawniej.

Dlatego owego popołudnia Arnau zebrał się na odwagę i zaprosił ją na spacer.

— Dokąd? — zapytała.

— Dokąd? Czy ja wiem... Może do kościoła Santa Maria? Twój ojciec bardzo go lubił. Wiesz, właśnie tam go poznałem.

Mar przyjęła zaproszenie. Skierowali się ku niedokończonej fasadzie świątyni. Murarze rozpoczęli pracę przy dwóch mających ją oskrzydlać ośmiokątnych wieżach, a mistrzowie dłuta mogli rzeźbić kamienny tympanon, ościeża, filar i archiwolty portalu. Arnau i Mar weszli do środka. Żebra trzeciego sklepienia głównej nawy pięły się już w górę ku zwornikowi niczym pajęczyny na osłanianą przez drewniane rusztowania, na których ją rozpięto.

Arnau czuł bliskość dziewczyny. Dorównywała mu wzrostem włosy z wdziękiem spływały jej na ramiona. Pachniała świeżością, polnymi kwiatami. Zauważył, że robotnicy patrzą na nią z zachwytem, choć odwracają wzrok, czując na sobie jego spojrzenie. Aromat jej skóry rozchodził się wokół w rytm jej ruchów.

— Dlaczego nie chcesz być na moim ślubie? — zapytał nieoczekiwanie Arnau.

Mar nie odpowiedziała. Wodziła oczami po świątyni.

— Nawet nie pozwolono mi się ożenić w moim kościele — dodał rozżalony.

I tym razem nic nie powiedziała.

— Mar... — Arnau zaczął, aż na niego spojrzy. — Chciałbym, żebyś mi jutro towarzyszyła. Wiesz, że nie chcę się żenić, że robię to wbrew mojej woli, ale król... Nie będę więcej nalegał, zgoda? — Mar przytaknęła. — Powiedz tylko, że między nami wszystko pozostanie jak dawniej...

Mar spuściła oczy. Chciała mu tyle powiedzieć, tyle wyznać... Nie może mu odmówić, nie mogłaby odmówić mu niczego.

— Dziękuję — szepnął Arnau. — Gdybym stracił twą przyjaźń... Nie wiem, co bym zrobił, gdybym stracił przyjaźń tych, których kocham!

Dziewczyna zadrżała. Nie o takie uczucie, nie o przyjaźń jej chodzi. Pragnie jego miłości. Dlaczego zgodziła się mu towarzyszyć?

Popatrzyła na apsydę.

— Widzieliśmy z Joaniem, jak wciągano ten klucz sklepienia — rzucił Arnau, podążając za jej spojrzeniem. — Byliśmy jeszcze dziećmi.

Mistrzowie witraży ści pracowali z poświęceniem przy oknach apsydy, zakończywszy te najwyższe, których ostry hak odcięty był przez małą rozetę. W następnej kolejności mieli przystąpić do zdobienia wielkich okien ostrołukowych, znajdujących się poniżej. Łączyli kolory, tworząc figury i wzory — porozcinane cienkimi, delikatnymi pasekami ołowiu — przez które sączyło się do kościoła światło.

— Jako chłopiec — ciągnął Arnau — miałem zaszczyt rozmawiać z wielkim Berenguerem de Montagut. My, powiedział wtedy, mając na myśli Katalończyków, nie potrzebujemy innych dekoracji niż przestrzeń i światło. Wskazał ręką na apsydę, dokładnie tam, gdzie teraz patrzysz, a potem zaczął opuszczać ją w stronę głównego ołtarza, imitując światło, o którym mówił. Powiedziałem mu, że rozumiem, co ma na myśli, ale skłamałem. — Mar spojrzała na Arnaua. — Byłem młody — usprawiedliwił się — a on był mistrzem, wielkim Berenguerem de Montagut. Ale teraz już wiem, co miał na myśli. — Podeszedł jeszcze bliżej do Mar i wskazał rozetę apsydy, wysoko, bardzo wysoko. Mar starała się opanować drżenie, wywołane jego bliskością. — Widzisz, jak światło wpada do świątyni? — Arnau zaczął opuszczać rękę ku głównemu ołtarzowi, zupełnie jak przed laty Berenguer de Montagut, tyle że teraz pokazywał barwne snopy światła wpadające do wnętrza kościoła. Mar podążyła wzrokiem za jego dłoń. — Spójrz tylko. Od słonecznej strony witraże mają żywe, czerwone, żółte i zielone kolory, wykorzystują siłę śródziemnomorskiego światła. Pozostałe witraże są białe lub niebieskie. I co godzinę, w miarę jak słońce wędruje po niebie, świątynia zmienia wygląd, bo jej ściany barwią się na inny kolor. Mistrz Berenguer miał rację! Wydaje się, jakby kościół Przeobraził się codziennie, nawet co chwilę, jakby światło Wyczarowywało nam ciągle nową świątynię, bo choć kamień Jest martwy, słońce żyje i zmienia się, a jego odblaski nigdy nie są takie same.

Zamarli, oszołomieni grą światła.

Ujął Mar za ramiona i odwrócił do siebie. Nie opuszczaj mnie, Mar, błagam.

Nazajutrz o świcie, na uroczystości w kaplicy Świętej Agaty mrocznej i przeładowanej zdobieniami, Mar starała się powstrzymać łzy.

Państwo młodzi stali sztywno przed biskupem. Elionor ani drgnęła, wyprostowana, ze wzrokiem wbitym w ołtarz. Arnau odwrócił się do niej kilkakrotnie na początku ceremonii, ale ona uparcie patrzyła przed siebie. Potem pozwolił sobie już tylko na kilka ukradkowych spojrzeń.



39

Jeszcze tego samego dnia baronostwo Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui odjechało na zamek Montbui. Gdy tylko Joan zaczął przekazywać Arnauowi pytania ochmistrza baronowej: Gdzie zamieszka z donią Elionor? Na piętrze pospolitego kantoru? A służba? A niewolnicy? — Arnau kazał mu zamilknąć i zgodził się wyruszyć w drogę zaraz po ceremonii, pod warunkiem że Joan będzie mu towarzyszył.

— A ja po co? — zapytał mnich.

— Coś mi się zdaje, że będę potrzebował twojej wiedzy. Baronowa i ochmistrz odbyli drogę konno: Elionor siedziała bokiem na rumaku, prowadzonym przez sługę. Jej sekretarz i dwie dworki jechały na mulach, a około dziesięciu niewolników ciągnęło tyłek zwierząt jucznych obciążonych dobytkiem panny młodej.

Arnau wynajął dla siebie wóz.

Na widok rozłkotanej, zaprzężonej w parę mulic fury z wieloma tobołkami Arnaua, Joana i Mar — Guillem i Donaha zostali w Barcelonie — baronowa spiorunowała małżonka wzrokiem, który mógłby zapalić pochodnię. Było to pierwsze spojrzenie, jakim go zaszczyliła. Wysłała za niego, lubowała mu wierność w obecności biskupa, króla i królowej, ale jeszcze ani razu nie popatrzyła na niego i na jego bliskich.

Opuścili Barcelonę w eskorcie straży królewskiej. Arnau i Mar jechali na wozie, Joan siedł obok Baronowa popędzała sługę, chcąc jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Jeszcze przed zachodem słońca ujrzeli swój nowy dom.

Wzniesiony na szczycie pagórka zamek był niewielką fortecą zamieszkiwaną dotychczas przez kasztelana. Ponieważ włościanie i chłopcy pańszczyźniani przyłączali się po drodze do orszaku, na ostatnim odcinku ciągnęło za nimi już ponad sto osób, które pytały, kim jest tak wspaniale ubrany mężczyzna siedzący na rozłkotanej furze.

— Dlaczego stajemy? — zapytała Mar, gdy orszak zatrzymał się na rozkaz baronowej.

Arnau wzruszył ramionami.

— Nastąpi teraz przekazanie zamku — wyjaśnił Joan.

— Nie powinniśmy tam najpierw dojechać? — zdziwił się Arnau.

— Nie. Katalońskie prawo nakazuje kasztelanowi, jego rodzinie oraz służbie opuścić zamek w momencie wjazdu nowych właścicieli. — Ciężkie wrota warowni rozwarły się z wolna, wypuszczając kasztelana i jego świtę. Zrównawszy się z baronową, były właściciel wręczył jej jakiś przedmiot. — To ty powinienes odebrać klucze do zamku — zgañił Arnaua Joan.

— A na co mi zamek?

Gdy pochód mijał wóz, kasztelan przesłał Arnauowi i jego towarzyszom szyderczy uśmiech. Mar oblała się rumieńcem. Nawet służba nie bała się spojrzeć im prosto w oczy.

— Nie powinienes na to pozwalać — znów upomniał brata Joan. — Od dzisiaj jesteś ich nowym panem, winni są ci szacunek, wierność...

— Posłuchaj mnie dobrze — wszedł mu w słowo Arnau. — Nie potrzebuję żadnego zamku, nie jestem i nie chcę być niczym panem i zapewniam cię, że długo tu nie zabawię. Po wydaniu stosownych rozporządzeń i zapanowaniu nad sytuacją wracam do Barcelony. Jeśli pani baronowa chce zostać, proszą bardzo, będzie miała cały zamek tylko dla siebie.

Ma wargach Mar po raz pierwszy tego dnia zaigrał uśmiech.

— Nie możesz wyjechać — stwierdził Joan.

Uśmiech zamarł na ustach Mar, Arnau odwrócił się do mnicha.

— Mogę robić, co mi się żywnie podoba. Przecież jestem baronem. Czy baronowie nie wojażują z królem całym miesiącami?

— Tak ale prowadzą wojny.

— Za moje pieniądze, Joan, za moje pieniądze. Dlatego uważam, że mam większe prawo do wyjazdu niż ci baronowie, którzy nic, tylko domagają się tanich pożyczek. No — rzucił, spoglądając na zamek — na co jeszcze czekamy? Zamek jest już pusty, a ja jestem zmęczony.

— Kodeks nakazuje... — zaczął znówu Joan.

— Ty i twoje kodeksy — prychnął Arnau. — Dlaczego dominikanie muszą się uczyć tyłu praw? Co jeszcze nakazuje ko...?

— Arnau i Elionor, baronostwo Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui! — rozległ się krzyk, który echo niesło po dolinie rozciągającej się u stóp zaniku. Wszyscy spojrzeli na szczyt zamkowej wieży, skąd ochmistrz Elionor wrzeszczał wniebogłosy z dłońmi przytkniętymi do ust.

— Arnau i Elionor, baronostwo Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui! Arnau i Elionor!

— Kodeks nakazuje obwieścić zajęcie zamku — dokończył Joan.

Orszak znów ruszył.

— Przynajmniej wymienia moje imię. Ochmistrz nadal pokrzykiwał z wieży.

— W przeciwnym razie nie byłoby to zgodne z prawem — stwierdził mnich.

Arnau już miał coś powiedzieć, lecz tylko pokręcił głową.

Zamek, jak często by wało, rozrósł się chaotycznie i wokół donżonu dobudowano piętrową konstrukcję, gdzie na parterze mieściła się olbrzymia sala, kuchnia i spiżarnia, a na górze komnaty. Nieco dalej znajdowały się zabudowania przeznaczone dla służby i nielicznych żołnierzy stacjonujących w fortecy. Właśnie jeden z oficerów straży, człek niski, otyły, flejtuchowaty i obszarpany, powitał Elionor i jej świtę, a potem wprowadził przybyłych do głównej sali zamkowej.

— Pokaż mi komnaty kasztelana! — krzyknęła Elionor. Oficer wskazał kamienne schody ze skromną, również kamienną balustradą. Baronowa ruszyła na górę, za nią pospieszył oficer, och-

mistrz, sekretarz i dworci. Elionor nie raczyła nawet spojrzeć na Arnaua, który został z Joaniem i Mar w sali na parterze. Niewolnicy zaczęli wносить kufry i tobołki swej pani.

— Chyba powinienes... — zaczął Joan.

— Nie wtrącaj się — warknął Arnau.

Przez jakiś czas rozglądali się po sali, podziwiając wysocki strop, olbrzymi kominek, krzesła, kandelabry i stół magicy pomieścić tuzin biesiadników. Niewąwajem na schodach pojawił się ochmistrz Elionor. Nie zszedł jednak na dół, ale zatrzymał się trzy stopnie nad podłogą.

— Pani baronowa mówi — zapał, nie zwracając się do nikogo konkretnego — że jest zmęczona i nie życzy sobie, by ją tej nocy niepokojono.

Już miał odejść, lecz Arnau go powstrzymał:

— Ej, ty! — krzyknął. Ochmistrz się odwrócił. — Przekaż swej pani, by się nie martwiła, nikt jej nie będzie niepokoił tej nocy. — Po czym dodał nieco ciszej: — Ani żadnej innej... — Mar otworzyła szeroko oczy i zakryła usta dłońmi. Ochmistrz odwrócił się, ale Arnau znowu go zawołał: — Ej! A nasze komnaty? — Ochmistrz wzruszył ramionami. — Gdzie jest oficer straży?

— Usługuje pani.

— Więc pędź na górę i go tu przyślij. Tylko chyżo, bo jak nie, urnę ci klejnoty rodowe i następnym razem będziesz obwieszczał zajęcie zamku, popiskując jak panienka.

Ochmistrz, uczepiony poręczy schodów, nie wierzył własnym uszom. Czy to ten sam Arnau, który potulnie przesiadzał cały dzień na furmance? Baron zmrzył oczy, podszedł do schodów i wyciągnął sztylet cechowy *bastaios*. Ochmistrz nie zauważył stępnego czubka, dlatego przy trzecim kroku Arnaua ruszył pędem po schodach.

Arnau spojrzął za siebie i ujrzał kwaśną minę brata i roześmianą buzię Mar. Choć nie tylko ona się uśmiechała: kilku niewolników Elionor, świadków całej sceny, zerkąło na siebie z rozbawieniem.

— Wy! — krzyknął na nich — rozładujcie wóz i przenieście nasze rzeczy do komnat.

Od miesiąca mieszkali na zamku. Arnau chciał zaprowadzić ład w swych posiadłościach, jednak ilekroć zasiadał do ksiąg rachunkowych, wcześniej czy później zamykał je, wzdychając z rezygnacją. Wydarł stronicę, wydrapane i nieudolnie przerobione cyfry, sprzeczne lub wysrane z palca liczby. Rachunki były mętne i niezrozumiałe.

Tydzień po przyjeździe do Montbui Arnau zaczął przemyśliwać o powrocie do Barcelony i zostawieniu wszystkiego w rękach zarządcy. Postanowił jednak najpierw poznać z bliska włości. Daleki od zamiaru odwiedzania swych możnych wasali, którzy podczas wizyt na zamku okazywali mu lekceważenie, natomiast padali do nóg Elionor, odwiedzał chłopów pańszczyźnianych — poddanych swych poddanych.

Popychany ciekawością, ruszył razem z Mar między gmin. Ile było prawdy w tym, co mówiono w Barcelonie? Stołeczni kupcy często kierowali się w interesach doniesieniami i zewnątrz. Arnau słyszał, że epidemia z 1348 roku wyłudniła wieś, a przed rokiem, w 1358, plaga szarańczy doszczętnie zniszczyła uprawy, pogarszając sytuację. Brak własnego zaplecza dawał się powoli odczuć w wymianie handlowej i kupcy i byli zmuszeni do zmiany taktyki.

— Wielki Boże! — jęknął Arnau, gdy pierwszy odwiedzony chłop popędził do chałupy, by przedstawić nowemu baronowi swą rodzinę.

Również Mar patrzyła ze zgrozą na walący się dom i obejście, tak biedne i brudne jak mężczyzna, który ich powitał a teraz wybiegł z chałupy, prowadząc połowicę i dwoje małych dzieci.

Cała czwórka stanęła przed nimi w szeregu i niezgrabnie się ukloniła. Patrzyli na nieoczekiwanych gości z trwogą. Ubrani byli w lachmany, a dzieci... dzieci słańiały się z osłabienia. Ich kończyny były cienkie niczym źdźbła trawy.

— To twoja rodzina? — zapytał Arnau.

Chłop miał właśnie przytaknąć, gdy z chałupy dobiegł cichutki płacz. Arnau ściągnął brwi. Mężczyzna pokręcił wolno głową, jego spojrzenie nie wyrażało już lęku, ale smutek

— Moja żona nie ma pokarmu, panie.

Arnau popatrzył na kobietę. Jaktaka chudzina może mieć pokarm? Przecież nie ma nawet pierśsi!

— Może ktoś z sąsiedztwa mógłby... Chłop uprzedził jego pytanie:

— Wszyscy są w takim samym położeniu, panie. Niemowlęta umierają z głodu.

Kątem oka Arnau zobaczył, że Mar zakrywa ręką usta.

— Oprowadź mnie po gospodarstwie, chcę zobaczyć spichlerz, obory, chałupę, pola.

Na te słowa kobieta osunęła się na kolana i zaczęła czołgać się do Mar i Arnaua ze słowami:

— Nie możemy więcej płacić, panie!

Arnau podszedł do niej i wziął ją za ramiona. Kobieta skuliła się.

— Co?

Dzieci wybuchnęły płaczem.

— Nie bijcie jej, panie, błagam — prosił chłop. — Moja żona mówi prawdę, nie możemy więcej płacić. Ukarze lepiej mnie.

Arnau puścił kobietę i podszedł do Mar, która obserwowała całą scenę szeroko rozwartymi oczami.

— Nie będę jej bił — powiedział do chłopca. — Ani jej, ani ciebie, ani nikogo z twojej rodziny. Nie przyszedłem po pieniądze. Po prostu chcę obejrzeć twoje gospodarstwo. Każ żonie wstać.

Strach przerodził się w smutek, a smutek w niedowierzanie. Zdumieni wieśniacy wbili w Arnaua zapadnięte oczy. Czyżbyśmy zabawiali się w bogów? — pomyślał Arnau. Jak bardzo musiało ich skrzywdzić, skoro zachowują się w ten sposób... Ich dziecko umiera z głodu, a oni myślą, że przyszedłem po pieniądze.

Spichlerz był pusty, podobnie jak obora. Ziemia leżała odlogiem, narzędzia były zepsute, a chałupa... Nawet jeśli niemowlę nie umrze z głodu, na pewno zachoruje. Arnau bał się wzięć na ręce — wyglądało... wyglądało, jakby miało się rozsypać od jego dotyku.

Sięgnął do sakiewki i wyciągnął kilka monet. Już miał je podać gospodarzowi, ale namyślił się i dodał jeszcze kilka.

— To niemowlę musi żyć — powiedział, kładąc monety na czymś, co kiedyś było zapewne stołem. — Nie chcę, żebyście głodowali. To są wasze pieniądze, rozumiesz? Nikt inny nie ma do nich prawa. W razie czego przyjdź do mnie na zamek.

Ani drgnęli, wpatrywali się w monety jak zakłęci. Nie oderwali od nich wzroku, nawet żeby pożegnać wychodzącego gościa.

Arnau wracał na zamek przygnębiony, w zamyśleniu, milcząc. Mar również nie odzywała się ani słowem.

— Wszyscy są w takim samym położeniu — wyznał Arnau Juanowi, gdy przechadzali się w chłodzie wieczoru pod murami zamku. — Ci, którzy mieli trochę szczęścia, zajęli opuszczone gospodarstwa zmarłych chłopów lub po prostu uciekli. I trudno się dziwić. Dodatkowe ziemie

przeznaczali na lasy i pastwiska, dzięki którym mogą wyżywić się podczas nieurodzaju. Jednak większość... większość jest w tragicznej sytuacji. Ziemia nie wydaje plonów i przymierają głodem.

— To nie wszystko — dodał Joan. — Podobno możni, twoi lennicy, zmuszają tych, którzy się jeszcze ostali, do podpisania capbreus...

— Capbreus!

— Dokumentu przywracającego wszystkie prawa feudalne zniesione w latach dobrobytu. Chłopów jest mniej, dlatego możni ciemieją ich coraz bardziej, by zagwarantować sobie te same dochody co przed laty, gdy wieś była ludna, a zbiory obfite.

Już wcześniej Arnau źle sypiał. W snach widział wychudzone postacie, a wtedy budził się przerażony. Natomiast od rozmowy z Joanem w ogóle nie mógł zmrużyć oka. Obszedł swe włości, szczerze sypiąc groszem. Jak może pozwolić na taki wyzysk? To przecież jego poddani. Owszem, zależeli bezpośrednio od swych panów, którzy byli z kolei jego lennikami. Jeśli on, pan feudalny, wymaga świadczeń i spłaty czynszu od wasali, ci nakładają na biedaków nowe obowiązki, które kasztelan uprawomocnił rażącym niedopatrzaniem.

Ci ludzie są niewolnikami. Niewolnikami ziemi. Jego ziemi. Arnau skulił się na posłaniu. Jego niewolnikami! Armia zagłodzonych, obojętnych wszystkim mężczyźni, kobiet i dzieci, których się gnębi, wysysa z nich resztkę życia. Arnau pomyślał o możnych odwiedzających Elionor. Tryskali zdrowiem i radością! — byli krzepcy, bogato odziani... Jak mogą żyć, ślepi na tragedię swych poddanych? Co robić?

Był szczodry. Dawał pieniądze wszystkim potrzebującym, ze szkodą dla własnej kieszeni, ale widział radość na dziecięcych buziach oraz na twarzy towarzyszącej mu zawsze Mar. Lecz to nie może trwać wiecznie. Jak tak dalej pójdzie, na jego pieniądzech wzbogacą się możni. Nadal będą zalegali z opłatami, wyzyskując w dwójnasób biedaków. Co robić?

Podczas gdy Arnau był z dnia na dzień bardziej osowiały, jego żonie humor wyraźnie dopisywał.

Baronowa zaprosiła możnych, chłopów i całą okolicę na dzień Wniebowzięcia — poinformował brata Joan, który jako jedyny rozmawiał z Elionorą.

— Po co?

— By jej złożyli... by wam złożyli — poprawił się mnich — hołd lenny. Arnau kazał mu kontynuować. — W myśl prawa... — Joan rozłożył ręce, jakby mówił bratu: sam tego chciałeś. — W myśl prawa każdy pan feudalny może zażądać od swych wasali odnowienia hołdu lennego i przysięgi wierności. Elionor jeszcze go nie otrzymała, więc jej żądanie jest zrozumiałe.

— Chcesz powiedzieć, że przyjadą?

— Możni i rycerze nie muszą stawić się na publiczne wezwanie pod warunkiem, że przed upływem roku, miesiąca i jednego dnia odnowią przysięgę lenną prywatnie. Jednak Elionor rozmawiała z nimi i zapowiedzieli swą obecność. Nikt nie chce się narażać królewskiej wychowawicy.

— A małżonkowi królewskiej wychowawicy?

Joan nie odpowiedział. Jednak coś w jego oczach... Arnau znalazł to spojrzanie.

— Masz mi coś do powiedzenia? Mnich zaprzeczył ruchem głowy.

Elionor rozkazała zbudować podest na esplanadzie u stóp zaniku. Nie mogła się doczekać dnia Wniebowzięcia. Tyle razy patrzyła, jak możni i całe grody składają hołd lenny jej opiekunowi. A teraz będą przysięgali jej niczym królowej, pani tych ziem. Co z tego, że Arnau stanie obok

niej? Wszyscy będą wiedzieli, że ona, królewska wychowanka, jest tu najważniejsza.

Była tak rozanielona, że kiedy zbliżał się wielki dzień, uśmiechnęła się do swego męża — chłodno i z daleka, ale jednak

Arnau zawahał się, po czym odpowiedział jej wymuszonym grymasem.

Dlaczego to zrobiłam? — pomyślała Elionor i zacisnęła pięści. — Idiotka! — zganiała się w duchu. Jak możesz tak się poniżyć przed zwykłym bankierzyną, do tego zbiegłym chłopem? Choć mieszkali razem od półtora miesiąca, Arnau nigdy nie odwiedził jej alkowy. Czyżby nie był prawdziwym mężczyzną? Gdy nikt nie patrzył, Elionor pożerała wzrokiem silne mocarne ciało męża, a w samotne noce wyobrażała sobie, że posiadają dziko. Od jak dawna nie przeżywa takich uniesień? Arnau urąga jej swą obojętnością. Jak śmie?! Przygryzła ze złością dolną wargę. Przyjdzie koza do woza, powiedziała sobie w duchu.

W dniu Wniebowzięcia wstała o brzasku. Z okna swej samotnej sypialni wyjrzała na esplanadę, nad którą górował drewniany podest wzniesiony na jej polecenie. Chłopi zaczęli już ściągać pod zamek, niektórzy szli przez całą noc, by zdążyć na wezwanie swych panów. Nie zjawił się jeszcze nikt z moźnych.



40

Słońce zwiastowało piękny, upalny dzień. Jasne, bezchmurne niebo — niczym niebo, które przed czterdziestoma laty było świadkiem wesela pańszczyźnianego chłopca, Bernata Estanyola — rozciągało się błękitnym sklepieniem nad tysiącami poddanych zgromadzonych u stóp zamku. Zbliżała się umówiona godzina i Elionor, wystrojona w paradne szaty, chodziła nerwowo po głównej komnacie zamku Montbui. Wciąż czekali na możnych i rycerzy! Joan siedział na krześle w czarnym habicie, a Arnau i Mar, nie sobie nie robiąc z całej pompy, wymieniali rozbawione spojrzenia po każdym rozpaczliwym westchnieniu doby wającym się z piersi Elionor.

W końcu nadciągnęli i moiżni. Zapominając o nakazach dworskiej etykiety, sługa Elionor, nie mniej przejęty niż jego pani, wtargnął na salę, by oznajmić ich przyjazd. Baronowa wyjrzała przez okno, a gdy się odwróciła, jej twarz promieniała szczęściem. Zamieszkujący jej posiadłości moiżni i rycerze wjeżdżali na esplanadę w aureoli bogactwa i przepychu, ich wspaniałe szaty, miecze i klejnoty mieszały się z armią burych, smętnych i wytartych suknan chłopskich. Rżenie koni — odprowadzanych przez stajennych za podest przerwało ciszę, jaką chłopi powitali swych panów. Słudzy rozstawili krzesła obite barwnym jedwabiem u stóp podwyższenia, gdzie moiżni i rycerze mieli złożyć hołd lenny. Lud instynktownie odsunął się od ostatniego rzędu krzeseł, tworząc widoczny odstęp pomiędzy sobą a wielkimi tego świata.

Elionor ponownie wyjrzała przez okno i uradowała się na widok bogactwa i zbytku, jaki stanowili lennicy. Poczuli się jak prawdziwa królowa, gdy wyszła do nich w towarzystwie rodziny, zasiadła na podeście i popatrzyła wyniosło na obecnych.

Sekretarz Elionor, przemieniony w mistrza ceremonii, rozpoczął uroczystość od odczytania królewskiego edyktu, na mocy którego Piotr III dawał w posagu swej wychowawicy Elionor tytuł baronowej Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui, wraz ze swymi dotychczasowymi lennikami, ziemiami i czynszem... Elionor rozkoszowała się słowami sekretarza, czując się obiektem zazdrosnych, a nawet nienawistnych — czemuż by nie? — spojrzeń byłych królewskich lenników, będących teraz jej wasalami. Nadal winni będą wierność królowi, jednak od tej pory oddzielać

ich będzie od monarchy nowy szczebel w hierarchii — ona, Elionor. Arnau z kolei w ogóle nie słuchał słów sekretarza, zajęty odpowiadaniem na uśmiechy wdzięcznych chłopów.

Pośród gminu stały, również obojętne na przebieg ceremonii, dwie kobiety w jaskrawych sukniach, jakie prawo nakazywało nosić nierządnicom. Jedna z nich była już staruszką, druga, dojrziała, ale wciąż piękna, z dumą prezentowała swe kształty.

— Możni i rycerze! — ryknął sekretarz, ściągając na siebie uwagę nawet Arnaua — składacie hołd Arnauowi i Elionor, baronostwu Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui?

— Nie!

Krzyk zdawał się rozdzierać nieboskłon. Były kasztelan zamku Montbui wstał i grzmiącym głosem odpowiedział na pytanie sekretarza. Głuchy pomruk przeszedł przez tłum zgromadzony za rzędami krzeseł. Joan pokiwał głową, jakby się tego spodziewał. Mar była zmieszana i czuła się nieswojo. Arnau nie wiedział, co robić. Elionor zbladła, jej twarz była teraz biała jak płótno.

Sekretarz przeniósł wzrok na swą panią, jednak z braku wskazówek przejął inicjatywę:

— Odmawiacie?

— Odmawiamy! — ryknął kasztelan, pewny swego. — Nawet król nie może nas zmusić do złożenia hołdu osobie niższej stanem. Tak mówić prawo! — Joan pokiwał smutno głową. Wolał nie wspominać Arnauowi, że możni okłamali Elionor. — Arnau Estanyol — ciągnął kasztelan podniesionym głosem — jest obywatelem Barcelony, synem zbiegłego chłopca pańszczyźnianego. Nie złożymy hołdu osobie tak nisko urodzonej, choć król mianował ją baronem.

Młodsza z dwóch jaskrawo ubranych kobiet stanęła na palcach i spojrzała na podest. Zasiadający na nim możni już wcześniej wzbudzili jej ciekawość, jednak teraz, na wzmiankę o Estanyol, obywatelu Barcelony i chłopskim synu, nogi się pod nią ugięły.

Przez tłum znów przeszedł pomruk, a sekretarz ponownie zerknął na Elionor. Arnau poszedł za jego przykładem, jednak wychowanka króla ani drgnęła. Siedziała jak zakłeta. Gdy pierwsze wrażenie minęło, osłupienie przerodziło się w gniew. Jej dotychczas biała twarz oblała się pąsem, baronowa drżała z wściekłości, zaciskała dłonie na poręczy krzesła, jakby chciała je zmiażdżyć.

— Dłaczego powiedziałeś, że umarł? — zapytała młodsza z prosty tutek

— Bo to mój syn.

— Arnau jest twoim synem?

Francesca przytaknęła ruchem głowy, każąc Aledis mówić ciszej. Za nic w świecie nie chciała, by się wydało, że Arnau jest synem nierządnicy. Na szczęście otaczający ją chłopcy pochłonięci byli sprzeczką możnych.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Wobec biernej postawy towarzyszy Joan postanowił interweniować.

— Nie przeczymy, że mówicie prawdę — rzucił zza pleców znieważonej baronowej. — Możecie odmówić złożenia hołdu, nie zwalnia was to jednak z obowiązku posłuszeństwa i służenia naszym seniorom. Takie jest prawo! Zgadzacie się?

Gdy kasztelan, świadomy, że dominikanin ma rację, zerkał na swych towarzyszy, Arnau przywołał Joana.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał szeptem.

— To znaczy, że zachowają honor. Nie złożą hołdu osobie...

— ...niższej stanem — dokończył Arnau. — Przecież wiesz, że o to nie dbam.

— Nie złożą ci hołdu ani nie dopełnią aktu poddaństwa lennego, ale tak czy owak muszą być ci

posłuszni, świadczyć ci usługi i znać otrzymane od ciebie ziemie i przywileje.

— Coś podobnego do *capbreus*, jakie oni sami narzucają chłopom?

— Mniej więcej.

— Zgadzą się — odparł kasztelan.

Arnau zlekceważył go. Nawet na niego nie spojrział. Już wiedział, jak skończyć z wyzyskiem chłopów. Joan nadal nad nim stał. Elionor już się nie liczyła, spoglądała niewidzącym wzrokiem gdzieś ponad tłum, w ślad za pryskającym złudzeniami.

— Czy to znaczy — zapytał Arnau Joana — że choć nie uznają mnie za swego barona, nadal mam nad nimi władzę i muszą mnie słuchać?

— Tak Ratują jedyne honor.

— Znakomicie — stwierdził Arnau, wstając niespiesznie i przywołując do siebie mistrza ceremonii. — Widzisz odstęp między możnymi i ludem? — spytał go. — Staniesz tam i będziesz powtarzał jak najgłośniejsze, słowo w słowo, to, co teraz powiem. Chcę, by wszyscy mnie słyszeli! — Gdy sekretarz ruszył na wskazane miejsce, Arnau rzucił cyniczny uśmiech kasztelanowi, który wciąż czekał na odpowiedź. — Ja, Arnau, baron Granollers, San Vicenc i Caldes de Montbui... Arnau zaczął, aż jego słowa zostaną przekazane dalej.

— Ja, Arnau — zaczął powtarzać sekretarz — baron Granollers, San Vicenc i Caldes de Montbui...

— ...zakazuję na moich włościach tak zwanych „niesprawiedliwych przywilejów”...

— ...zakazuję...

— Nie możesz! — krzyknął jeden z możnych, przerywając sekretarzowi.

Arnau spojrział na Joana pytająco.

— Mogę — rzucił, usłyszawszy potwierdzenie Joana.

— Pójdziemy na skargę do króla! — krzyknął ktoś inny. Arnau wzruszył ramionami. Joan podszedł do niego.

— Pomyślałeś, co czeka tych biedaków, jeśli dasz im nadzieję, a król unieważni twe obietnice?

— Joan — odparł Arnau w nagłym przypływie pewności siebie — może nie znam się na hołdach lennych, możnowładztwie i rycerstwie, ale potrafię czytać wpisy w moich księgach rachunkowych dotyczących pożyczek zaciągniętych przez jego wysokość na kampanię marokańską. Zresztą pożyczki te, gwoli ścisłości — dodał z uśmiechem — znacznie wzrosły, odkąd ożeniłem się z królewską wychowanką. Co jak co, ale mogę cię zapewnić, że Piotr Trzeci nie zakwestionuje mojej decyzji.

Arnau nakazał sekretarzowi, by kontynuował.

— ...zakazuję na moich włościach tak zwanych „niesprawiedliwych przywilejów”... — wyrecytował sekretarz.

— Znoszę przywilej *intestia*, na mocy którego panu przysługuje część spadku po wasalu. — Arnau mówił wyraźnie i powoli, by sekretarz za nim nadążył. Lud słuchał w milczeniu, z niedowierzaniem i nadzieją. — Przywilej *cugutia*, pozwalający Panu przejąć połowę lub całość majątku poddanej przyłapanej na cudzołóstwie. Przywilej *exorquia*, przyznający mu część majątku żonatego chłopca, który umiera bezpotomnie. Przywilej *ius maletractandi*, pozwalający panom znęcać się nad poddany mi i przywłaszczać sobie ich własność. — Zrobiło się tak cicho, że sekretarz zamilkł, bo głos barona docierał teraz do wszystkich zgromadzonych przed zamkiem. Franceca ścisnęła rękę Aledis. — Przywilej *arsia*, który nakazuje chłopu wypłacić odszkodowanie za

pożar na pańskich ziemiach. Przywilej *firma de espuliforzada*, przyznający panu prawo do obcowania w noc poślubną z oblubienicą wasala...

Odległość nie pozwoliła Arnauowi dojrzeć, że w tłumie chłopów, którzy zaczęli rozglądać się radośnie, w miarę jak docierała do nich waga słów barona, jego leciwa matka puściła rękę Aledis i ukryła twarz w dłoniach. Aledis zrozumiała wszystko w okamgnieniu. Łzy napłynęły jej do oczu i objęła staruszkę. Tymczasem możni i rycerze stojący przed podestem, z którego Arnau przemawiał do ich wasali, rozprawiali nad najlepszym sposobem przedstawienia kwestii królowi.

— Znoszę wszelkie inne obowiązki obarczające dotychczas chłopów z wyjątkiem spłaty sprawiedliwego i zgodnego z prawem czynszu lennego od uprawianej ziemi. Pozwalam wam wypiekać chleb we własnych piecach, podkuwać zwierzęta i naprawiać narzędzia we własnych kuźniach. Kobiety zwalnim z obowiązku nieodpłatnego usługiwania na dworach, a matki z powinności karmienia pańskich dzieci. — Zatopiona we wspomnieniach staruszka nie mogła opanować płaczu. — Od tej pory nie musicie wręczać naszym seniorom podarków z okazji Bożego Narodzenia ani pracować bez wynagrodzenia na ich polach.

Arnau zawiesił głos na chwilę, obserwując ponad głowami oburzonych możnych tłum, który czekał na upragnione słowa. Brakowało najważniejszego! Lud o tym wiedział i z napięciem wsłuchiwał się w ciszę. Brakowało najważniejszego!

— Ogłaszam was wolnymi ludźmi! — oznajmił wreszcie Arnau.

Kasztelan krzyknął i pogroził Arnauowi pięścią. Pozostali możni również gestykulowali i pokrzykiwali.

— Wolnymi ludźmi! — zatkała staruszka, ale wiwatujący tłum zagłuszył jej szloch.

— Od dzisiaj, od dnia, w którym możni odmówili złożenia hołdu królewskiej wychowawicy, chłopci z baronatu Granollers, Sant Vicenc i Caldes de Montbui równi będą chłopom z Nowej Katalonii, zamieszkującym baronaty Entenca i Conca de Barbera, wsie Tarragony, hrabstwa Prades, Segarra i Garriga, markizat Aytona, terytoria Tortosy i Urgellu... Równi będą chłopom z któregośkolwiek z dziewiętnastu regionów Katalonii podbitej dzięki wysiłkowi i krwi waszych ojców. Jesteście wolni! Jesteście chłopami, jednak nigdy już nie będziecie sługami! Ani wy, ani wasze dzieci, ani wasze wnuki!

— Ani matki — szepnęła Francesca. — Ani wasze matki — powtórzyła i znów zaszochnęła, przytrzymując się Aledis, która również nie mogła opanować emocji.

Arnau musiał opuścić podest, by wdzięczni chłopci nie rzucili się na niego. Joan podtrzymał Elionor, która nie mogła iść o własnych siłach. Podążająca za nimi Mar walczyła z rozsadzającym jej piersi wzruszeniem.

Gdy Arnau i jego bliscy udali się na zamek, esplanada zaczęła pustoszeć. Możni ustalili, jak przedstawić sprawę królowi, i rozjechali się w pośpiechu. Zapelniający drogi i gościńce chłopci musieli uskakiwać na boki, by nie zginąć pod kopytami rumaków dosiadanych przez rozwścieczonych jeźdźców. Choć mieli przed sobą długą drogę, szli uśmiechnięci.

Na równinie przed zamkiem pozostały tylko dwie kobiety.

— Dlaczego mnie okłamałaś? — zapytała Aledis. Staruszka odwróciła się.

— Bo nie byłaś go warta... A i jemu nie było pisane spędzić z tobą życia. Nie mogłaś zostać jego żoną. — Francesca powiedziała to bez zająknięcia, na tyle obojętnie, na ile pozwalał jej ochryply ze wzruszenia głos.

Naprawdę uważasz, że nie byłam go warta? — zapytała?. Francesca otarła łzy i odzyskała

energii oraz stanowczość, które przez lata pozwalały jej stać na czele prężnie działającego interesu.

— Sama widzisz, do czego doszedł. Nie słyszałaś, co właśnie uczynił? Myślisz, że osiągnąłby to wszystko przy tobie?

— A więc historia o moim mężu i pojedynku...

— Była kłamstwem.

— I to, że mnie szukał...

— Podobnie. — Aledis spojrzała na Francescę, ściągając brwi. — Ty również mnie okłamałaś, pamiętasz?

— Miałam powody.

— Ja także.

— Pewnie, chciałaś, żebym dla ciebie pracowała... Teraz wszystko rozumiem.

— Nie tylko dlatego, choć przyznaję, że był to jeden z powodów. Masz mi coś do zarzucenia? Ile naiwnych dziewcząt oszukałaś od tamtej pory?

— To nie byłoby konieczne, gdybyś...

— Przypominam ci, że sama podjęłaś decyzję. — Aledis zawahała się. — Wiele z nas nie miało tyle szczęścia.

— Dużo wycierpiałam. Dotarłam do Figueras, doświadczając po drodze hańby, poniżenia... I na co mi to było?

— Żyjesz dostatnio, lepiej niż niejeden z moich, którzy tu dzisiaj zjechali. Niczego ci nie brak

— Z wyjątkiem godności.

Francesca wyprostowała się na tyle, na ile pozwalał jej wiek, i zmierzyła Aledis surowym spojrzeniem.

— Coś ci powiem. Nie znam się na tych sprawach, wiem natomiast, że dobrowolnie sprzedałaś mi swoją godność. Mnie skradziono ją, gdy byłam dzieckiem. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Dzisiaj wyplakałam się za wszystkie czasy, za lata, kiedy nie pozwalałam sobie na łzy. Ale już wystarczy. Jesteśmy kim jesteśmy, nic nie da — ani tobie, ani mnie — rozpamiętywanie, jak do tego doszło. Zostaw innym spory o godność. Przecież widziałaś ludzi, wśród których tu stałyśmy. Kto z nich może mówić o godności i honorze?

— Może teraz, po zniesieniu niesprawiedliwych przywilejów...

— Nie ludź się, pozostaną biedakami bez grosza przy duszy. Dużo nas kosztowało osiągnięcie tego, do czego doszłyśmy. Zapomnij o godności, to wynalazek nie dla ludu.

Aledis odprowadziła wzrokiem rozchodzących się wieśniaków. Tak, przywrócono im wolność, ale byli to wciąż ci sami mężczyźni i kobiety pozbawione nadziei, te same wygłodniałe, bose, na wpół nagie dzieci. Pokiwała głową i uściślała Francescę.



41

— Chyba mnie tu nie zostawisz?!

Elionor zbiegła ze schodów jak furia. Arnau siedział przy stole w sali zamkowej i podpisywał dokumenty znoszące w jego włościach niesprawiedliwe przywileje. „Gdy tylko to załatwię, wyjeżdżam”, oznajmił Joanowi. Mnich i Mar przyglądali się tej scenie zza jego pleców.

Arnau skończył podpisywanie dokumentów i podniósł wzrok na żonę. Rozmawiali chyba po raz pierwszy od dnia ślubu. Arnau nie wstał od stołu.

— Dlaczego chcesz, bym został?

— Myślisz, że będę mieszkała tu, gdzie doznałam takiego poniżenia?

— Zapytam więc inaczej: dlaczego chcesz ze mną wyjechać?

— Bo jesteś moim mężem! — zapisała Elionor. Przemyślała sprawę po tysiącokroć: nie może zostać w Montbui, nie może również wrócić na królewski dwór. Arnau skrzywił się z niesmakiem. — Jeśli wyjedziesz, jeśli mnie tu zostawisz — dodała Elionor — poskarżę się królowi.

Jej słowa zakolały w głowie Arnaua. „Pójdziemy na skargę do króla”, zagrozili mu możni. Liczył, że załatwi tę sprawę, ale rzucił okiem na właśnie podpisane dokumenty. Jeśli Elionor, jego żona i wychowanka króla, poprze skargę możnych...

— Podpisz — rozkazał, podsuwając jej dokumenty.

— Niby dlaczego? Uchylenie przywilejów pomniejszy nasze dochody.

— Jeśli podpiszesz, zamieszkaż w Barcelonie w pałacu przy ulicy Montcada i nie będą ci już potrzebne dochody z ziem. Będziesz się pławiła w pieniądzech.

Elionor podeszła do stołu, wzięła pióro i pochyliła się nad dokumentami.

— Jaką mam gwarancję, że dotrzy macz słowa? — zapytała zmienacka, odwracając się do męża.

— Taką, że w im większym domu zamieszkażemy, tym rzadziej będę cię widywał. Że im dostatniejsze życie ci zapewnię, tym rzadziej będziesz mi zawracała głowę. Oto gwarancja. Musi ci ona wystarczyć, bo innej nie dostaniesz.

Elionor spojrzała na Joana i Mar stojących za Arnauem. Czyżby ta mała się uśmiechała?

— Oni zamieszkają z nami? — zapytała, celując w nich piórem.

— Tak

— Ona też?

Mar i Elionor skrzyżowały lodowate spojrzenia.

— Chyba wyraziłem się jasno, Elionor. Podpisujesz czy nie?

Podpisała.

Nie czekając, aż żona się spakuje, jeszcze tego samego wieczoru, gdy zelżał upał, Arnau wyruszył do Barcelony na wynajętym wozie, czyli dokładnie tak, jak przyjechał.

Nikt z trojga podróżnych nie obejrzał się, gdy wyjeżdżali przez bramę zamku.

— Dlaczego musimy z nią mieszkać? — zapytała Mar.

— Nie mogę narażać się Piotrowi Trzeciemu. Z królami nigdy nic nie wiadomo.

Mar milczała przez chwilę, zatopiona w myślach.

— Dlatego jej to wszystko obiecałeś?

— Nie... Tak, ale to tylko jeden z powodów. Przede wszystkim chodzi mi o chłopów. Nie chcę, by Elionor poszła na skargę do króla. Monarcha przyznał nam dochody z lenna, choć w rzeczywistości są one znikome, by nie powiedzieć żadne. Gdyby Elionor powiedziała królowi, że zlekceważyłem jego podarunek, mógłby uchylić moją decyzję.

— Król? Dlaczego król miałby...

— Powinnaś wiedzieć, że zaledwie kilka lat temu monarcha wydał dekret przeciwko chłopom pańszczyźnianym, nawet przeciwko przywilejom, które on sam i jego poprzednicy przyznali miastom. Kościół i możnowładcy zażądali, by zarządził masowemu opuszczeniu roli przez chłopów, a król... spełnił ich prośbę.

— Nie posądzałam go o to.

— Król jest jednym z możnych, Mar. Największym z nich. Przenocowali w folwarku na przedmieściach Montcady.

Arnau szczerze wynagrodził gospodarzy za gościnę. Wstali o świcie i zanim słońce zaczęło przypiekać, byli już w Barcelonie.

— Sytuacja jest dramatyczna, Guillem — powiedział Arnau po powitaniach i wyjaśnieniach, gdy został sam na sam z niewolnikiem. — W Katalonii dzieje się gorzej, niż sądziliśmy. Do Barcelony docierają tylko ogólne informacje, ale wystarczy pojechać na wieś i rzucić okiem na pola i uprawy, by zrozumieć, że długo tak nie pociągniemy.

— Już dawno podjąłem stosowne kroki. — Słowa Guillena zaskoczyły Arnaua. Kazał mu mówić dalej. — Kryzys jest poważny, ale można się go było spodziewać. Zresztą nieraz o tym rozmawialiśmy. Nasza waluta ciągle traci na wartości na rynkach zagranicznych, ale tu, w Katalonii, król nie próbuje temu zaradzić i kurs wymiany jest zupełnie nie do przyjęcia. Miasto coraz bardziej się zadłuża, by pokryć rozpoczęte inwestycje. Klienci nie zarabiają już na handlu, dlatego lokuje oszczędności gdzie indziej.

— A nasze pieniądze?

— Za granicą. W Pizie, we Florencji, nawet w Genui. Tam nadal można handlować po rozsądnym kursie. — Milczeli przez kilka chwil. — Castelló zbankrutował — rzucił Guillem, przerywając milczenie. — To początek końca.

Arnau przypomniał sobie okrągłego, wiecznie spoconego i sympatycznego bankiera.

— Co się stało?

— Nie był przezorny. Klienci zaczęli wycofywać wkłady i nie mógł sprostać ich żądaniom.

— Zdoła zapłacić?

— Nie sądzę.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia król powrócił zwycięski z kampanii majorkańskiej przeciwko Piotrowi Okrutnemu, który zdobywszy i splądrowawszy Ibizę, czmychnął z wyspy na widok nadpływającej katalońskiej floty.

Miesiąc później Elionor przybyła do Barcelony i rodzina Estanyol wraz z Guillemem — mimo jego początkowego sprzeciwu — zamieszkała w pałacu na ulicy Montcada.

Dwa miesiące później król udzielił audiencji kasztelanowi Montbui. Poprzedniego dnia wysłanicy Piotra III poprosili Arnaua o nową pożyczkę. Otrzymawszy potrzebną sumę, król odprawił kasztelana i podtrzymał decyzję Arnaua.

Po upływie kolejnych dwóch miesięcy i wygaśnięciu sześciomiesięcznego terminu, jaki prawo dawało bankrutowi na spłacenie długów, Castelló został ścięty przed swym kantorem na placu Canvis. Wszyscy bankierzy Barcelony zmuszeni byli obserwować egzekucję z pierwszego rzędu. Arnau widział, jak głowa Castelló odskakuje od karku po celnym ciosie kłata. Chętnie zamknąłby oczy, jak wielu jego towarzyszy, ale nie mógł. Musiał to zobaczyć. To nauczka, której nigdy nie powinienem zapomnieć, powiedział do siebie, gdy na szafot chlusta krew.



42

Uśmiechała się do niego. Madonna nadal uśmiechała się do Arnaua, podobnie jak szczęście. Miał czterdzieści lat i mimo kryzysu jego interesy szły dobrze, przysparzając mu wielkich zysków, z których część oddawał potrzebującym lub przekazywał na budowę kościoła Santa Maria. Z czasem Guillem musiał przyznać mu rację: chłopci zwracali pożyczki, spłacając je co do grosza. Nadmorska świątynia nie przestawała się rozrastać, właśnie powstawało trzecie sklepienie nawy głównej i ośmioboczne dzwonnice okalające fasadę. W kościele roiło się od rzemieślników: kamieniarzy, rzeźbiarzy, malarzy, witrażystów, cieśli i kowali. Sprowadzono nawet konstruktora organów, którego pracę Arnau śledził z ciekawością, zastanawiając się, jak brzmieć będzie muzyka we wnętrzu tak okazałej świątyni. Po śmierci archidiacona Bernata Llulla i upływie kadencji dwóch innych kanoników na czele kościoła Santa Maria stanął Pere Salvete de Montirac, z którym Arnau utrzymywał bliskie stosunki. Zmarł również wielki mistrz Berenguer de Montagut oraz jego następca Ramon Despuig. Budową świątyni kierował teraz Guillem Metge.

Arnau był za pan brat nie tylko z przełożonymi kościoła Santa Maria. Jego nowa pozycja i sytuacja finansowa pozwoliły mu przestawać z rajcami miejskimi, patrycjuszami i członkami Rady Stu. Liczono się z jego zdaniem na giełdzie, a handlarze i kupcy cenili sobie jego rady.

— Powinieneś przyjąć nominację — przekonywał go Guillem.

Arnau namyślał się chwilę. Właśnie zaproponowano mu stanowisko konsula morskiego, jednego z dwóch najwyższych przedstawicieli handlu w mieście, arbitra w zatargach kupieckich — którego jurysdykcja nie podlegała żadnej innej instytucji w Barcelonie — rozjemcy sporów zaistniałych w porcie lub dotyczących robotników portowych oraz strażnika praw i dobrych obyczajów handlowych.

— Nie wiem, czy podolał...

— Trudno o lepszego kandydata niż ty, wierz mi — przekonywał go Guillem. — Podolasz. Na pewno podolasz.

Arnau zgodził się zastąpić jednego z konsulów po upływie ich kadencji.

Kościół Santa Maria, interesy, wyzwania czekające go w Konsulacie Morskim — były *bastair* otoczył się murem obowiązków, za którym czuł się bezpiecznie, i nie zwracał uwagi na to, co dzieje się za potężną bramą jego nowego domu przy ulicy Montcada.

Arnau spełnił obietnicę złożoną Elionor w Montbui i cieszył się korzyściami z niej wynikającymi: małżonkowie traktowali się chłodno i z dystansem, a ich kontakty ograniczone były do minimum. Tymczasem Mar skończyła dwadzieścia lat, była piękniejsza niż kiedykolwiek i nadal wzbraniała się przed zamążpójściem. Po co, skoro mam Arnaua tylko dla siebie? Co by beze mnie zrobił? Kto zdejmowałby mu buty, kto witałby go, gdy wraca z pracy? Z kim by gawędził i komu opowiadał o strapieniach? Elionor? Joanowi, wiecznie zatopionemu w uczonych księgach? Niewolnikom? A może Guillemowi, z którym i tak spędza większość dnia, myślała Mar.

Codziennie z niecierpliwością wypatrywała jego powrotu. Na odgłos kołatki zaczynała szybciej oddychać, a uśmiech znów wypływał na jej usta, gdy biegła ku schodom. Bo pod nieobecność Arnaua jej życie w domu przy ulicy Montcada było nieprzerwanym pasmem upokorzeń.

— Żadnych kuropatw! — rozległ się w pałacowej kuchni krzyk baronowej. — Dzisiaj jemymy cielęcinę.

Mar odwróciła się do stojącej w progu Elionor. Arnau bardzo lubi kuropatwy. Specjalnie poszła po nie na targ. Wybrała je powiesiła na pręcie w kuchni i codziennie sprawdzała, czy dostatecznie skruszały. Dzisiaj zesza z samego rana do kuchni by je przyrządzić.

— Ale... — próbowała protestować.

— Cielęcinę — przerwała jej Elionor, przesywając ją wzrokiem.

Mar spojrzała na Donahę, ale niewolnica odpowiedziała jej tylko niezauważalnym wzruszeniem ramion.

— To ja decyduję, co się w tym domu je — ciągnęła baronowa, zwracając się tym razem do niewolników. — Ja tu rządzę!

Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

Elionor postanowiła zbadać rezultat swej interwencji. Czy Mar poskarży się Arnauowi, czy przemilczy całe zdarzenie? Mar również się nad tym zastanawiała. Czy powinna opowiedzieć o wszystkim Arnauowi? Co na tym zyska? Jeśli Arnau weźmie ją w obronę, nie obejdzie się bez kłótni, a przecież Elionor miała rację: to ona jest panią domu. A gdyby nie wziął jej w obronę? Mar poczuła ucisk w żołądku. Co wtedy? Arnau napomknął kiedyś, że nie może narażać się królowi. A jeśli Elionor poskarży się monarsze? Co na to powie Arnau?

Pod wieczór Elionor obdarzyła Mar pogardliwym uśmiechem, przekonawszy się, że mąż traktuje ją w sposób normalny, czyli jak powietrze. Od tej pory rozsmakowała się w dręczeniu pasierbicy. Zabroniła jej chodzić z niewolnikami na zakupy i przestępować próg kuchni. Rozstawiła niewolników w drzwiach komnat. „Pani baronowa nie życzy sobie, by jej przeszkadzano”, mówili i nie wpuszczali Mar do środka. Z dnia na dzień Elionora wyszukiwała coraz więcej sposobów, by jej dokuczyć.

Król. Nie powinni narażać się królowi. Zdanie to wciąż kołatało się w głowie Mar. Przecież Elionor jest wychowanicą króla i może w każdej chwili pójść do niego na skargę, dziewczyna postanowiła, że zrobi wszystko, by le tylko jej nie urazić!

Jakże się myliła! Domowe niesnaski nie wystarczały Elionor. Zapominała o swych małych zwycięstwach, gdy tylko Arnau przestępował próg pałacu i Mar rzucała mu się na szyję. Gawędzili, śmiali się i... ocierali o siebie. Arnau opadał na fotel i opowiadał Mar o tym, co przydarzyło

mu się w ciągu dnia, o giełdowych sporach, o transakcjach i statkach. Mar siedziała u jego stóp, zasłuchana. Czy to nie miejsce żony? Wieczorami, po kolacji, pasierbica brała Arnaua pod ramię i razem kontemplowali przez okno rozgwieżdżone niebo. Za ich plecami Elionor zaciskała z całej siły pięści, przebijając skórę paznokciami. Dopiero gdy otrzeźwił ją ból, zrywała się od stołu i biegła do swych komnat.

Tam rozmyślała w samotności o swym położeniu. Arnau nie dotknął jej od dnia ślubu. Elionor pieściła swe ciało: piersi — wciąż były jędrne! — pośladki i łono, ale gdy czuła kielkującą rozkosz, rzeczywiście studziła jej zmysły. Ta dziewucha... Ta dziewucha zajęła jej miejsce!

— Co się stanie, gdy mój mąż umrze? — zapytała otwarcie, bez zbędnych wstępów, usiadłszy przy stole zawalonym książkami. Odkaszinęła. Wszytko przez ten gabinet pełen ksiąg, Papierzy sk, kurzu...

Reginald d'Area zmierzył ją beznamiętnym spojrzeniem. To najlepszy jurysta w mieście, powiedziano Elionor, biegły glosator Usatges, katalońskiego kodeksu praw.

— O ile wiem, nie macie dzieci? — Elionor ściągnęła brwi. — To ważne — zaznaczył oględnie prawnik Tęgi, o dobrotliwym wyglądzie, długich włosach i siwej brodzie budził zaufanie.

— Nie, nie mamy.

— Rozumiem, że wasze pytanie dotyczy kwestii majątkowych?

Elionor zaczęła wiercić się niespokojnie na krześle.

— Tak — odpowiedziała w końcu.

— Otrzymacie z powrotem wasz posag. Jeśli chodzi o majątek męża, on sam zdecyduje w testamencie o jego przeznaczeniu.

— Nic mi się nie należy?

— Owszem, dochody z majątku, ale tylko przez rok żałoby.

— Tylko?!

Okrzyk wyprował prawnika z równowagi. Co ta kobieta sobie wyobraża?

— Zawzięcie to waszemu opiekunowi — rzucił oschle.

— Co macie na myśli?

— Przed objęciem tronu przez Piotra Trzeciego w Katalonii obowiązywało prawo Jakuba Pierwszego, przekazujące cnotliwej wdowie dożywotni dochód z majątku zmarłego męża. Jednak kupcy z Barcelony i Perpignan zazdrośnie strzegą swego dziedzictwa nawet przed żonami, więc wymogli na królu przywilej, zapewniający wdowie utrzymanie tylko przez rok żałoby. Wasz opiekun podniósł przywilej do rangi prawa i rozszerzył je na całą Katalonię.

Elionor już nie słuchała. Wstała, nim adwokat zakończył wywód. Znów odchrząknęła i powiodła okiem po gabinecie. Po cóż mu tyle ksiąg? Reginald również wstał.

— Jeśli mogę wam jeszcze w czymś pomóc...

Elionor, która skierowała się już ku wyjściu, machnęła tylko ręką.

Wszystko jasne: musi dać Arnauowi potomka, by zapewnić sobie dostępną przyszłość. Arnau spełnił obietnicę i Elionor po raz pierwszy w życiu doświadczyła prawdziwego bogactwa. Mogła je co prawda oglądać na dworze, ale poddana ciągłym kontrolom królewskich skarbników, nie posmakowała go osobiście. Teraz szastała pieniędzmi, spełniała swe najwymyślniejsze zachcianki. Ale po śmierci Arnaua... Ta lubieżna wiedźma wszystko psuje, to ona omotała jej męża. Musi się jej pozbyć... Gdy tylko przegna ją z pałacu, Arnau padnie jej do stóp! Czyżby nie potrafiła uwieść chłopca pańszczyźnianego?

Kilka dni później Elionor wezwała do siebie Joana, jedyne go członka rodziny Estanyolów, z którym rozmawiała.

— Nie wierzę własnym uszom! — wykrzyknął zakonnik, wysłuchawszy, co ma mu do powiedzenia.

— Ale to prawda, bracie Joanie — rzuciła Elionor, nie odrywając rąk od twarzy. — Nie tknął mnie od ślubu.

Joan wiedział, że Arnau i Elionor nie łączą żadne uczucie, że nie dzielą sypialni. Co z tego? Przecież nikt nie pobiera się z miłości, większość moźnych śpi w oddzielnych komnatach. Ale skoro Arnau nigdy nie obcował z Elionor, ich małżeństwo jest nieważne.

— Rozmawialiście z mężem? — zapytał.

Elionor odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na mnicha zaczerwienionymi oczami, chcąc wzbudzić jego litość.

— Nie mam odwagi. Nie wiem, jak to zrobić. Poza tym obawiam się... — Urwała w pół zdania, pozwalając, by podejrzenie zawisło w powietrzu.

— Czego się obawiacie?

— Że Arnau jest bardziej zajęty Mar niż mną.

— Przecież wiecie, że Arnau uwielbia to dziewczę.

— Nie o takim rodzaju miłości mówię, bracie Joanie — Powiedziała z naciskiem Elionor, zniżając głos. Joan poderwał się z fotela. — Tak wiem, że trudno dać temu wiarę, jestem Jednak przekonana, że to dziewczę, jak nazywacie Mar, robi słodkie oczy do mojego męża. Mam wrażenie, że trzymam we własnym domu wcielonego diabła! — Elionor postarała się, by jej głos zadźwięczał. — Bracie Joanie, jestem mężatką i pragnę spełnić misję powierzoną żonie przez Kościół. Ale ilekroć próbuję to zrobić, przekonuję się, że mąż mój pogrążony jest w oparach rozpusty, przesłaniających mu moją osobę. Jestem bezsilna!

To dlatego Mar nie chce wyjść za mąż! Czyżby Elionor miała rację? Joan wyteżył pamięć. Arnau i Mar są nierozłączni. A jak ta dziewczyna rzuca mu się w objęcia. No i te spojrzenia, uśmiechy... Ależ z niego głupiec! Maur na pewno jest we wszystko wtajemniczony, dlatego tak jej broni.

— Sam nie wiem, co myśleć — wybąkał tylko.

— Mam pewien plan... Potrzebuję jednak waszej pomocy, a zwłaszcza rady.



Joan zdrzął, słuchając Elionor.

— Muszę się nad tym zastanowić — odparł, gdy baronowa po raz kolejny podkreśliła swą dramatyczną sytuację małżeńską.

Joan wy mówił się od kolacji. Przez resztę dnia unikał Arnaua i Mar oraz pytającego spojrzenia Elionor. Wieczorem zamknął się w swojej komnacie. Spojrzał na księgi teologiczne starannie poukładane na półkach. W nich właśnie poszuka odpowiedzi na nurtujące go wątpliwości. Przez wszystkie lata spędzone z dala od brata Joan nie przestawał o nim myśleć. Kochał Arnaua, on i jego ojciec byli jedynymi bliskimi mu osobami, gdy był dzieckiem. Jednak miłość ta miała nie mniej faldów niż jego habit zakonny. Krył się w niej podziw graniczący w najgorszych momentach z zawiścią. Arnau, chłopiec o szczerym uśmiechu i gorącym sercu, który zapewniał, że rozmawia z Madonną. Brat Joan uśmiechnął się gorzko na wspomnienie swoich wysiłków, by usłyszeć głos Matki Boskiej. Teraz wiedział, że to prawie niemożliwe, że tylko nieliczni dostępują tej łaski. Zgłębiał święte księgi i biczował się w nadziei, że dołączy do wybrańców, omal nie przyplącił zdrowiem ciągłych postów. Wszystko na próżno.

Brat Joan czytywał się w nauki biskupa Hinkmara, świętego Leona Wielkiego oraz mistrza Graejana, w listy świętego Pawła i w wiele innych pism.

Tylko przez *coniunctio sexum*, cielesną komunie męża i żony związek małżeński staje się odzwierciedleniem jedności Chrystusa z Kościołem, co stanowi główny cel sakramentu. Bez *carnalis copula* małżeństwo traci rację bytu, twierdził pierwszy z mędrców.

Nie wcześniej niż po skonsumowaniu małżeństwa podczas aktu kopulacji zostaje ono poświęcone w oczach Kościoła, zapewniał święty Leon Wielki.

Gracjan, mistrz Joana z uniwersytetu w Bolonii, rozwijał tę samą myśl, kojarząc małżeńską symbolikę — zgodę wyrażoną przez małżonków u stóp ołtarza — z *una caro*, seksualnym scaleniem mężczyzny i kobiety. Nawet święty Paweł w znanym Liście do Efezjan pisał: *Kto miłuje swoją żonę, siebie samego miłuje. Przecież nigdy nikt nie odnosił się z nienawiścią do własnego ciała, lecz [każdy] je żywi i pielęgnuje, jak i Chrystus — Kościół. Dlatego opuści człowiek ojca i mat-*

kę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła⁸.

Do późnej nocy brat Joan zgłębiał nauki i doktryny wielkich mistrzów. Czego szukał? Ponownie otworzył jeden z traktatów. Jak długo jeszcze wzbierać się będzie przed prawdą? Elionor ma rację: bez kopulacji, bez cielesnego zjednoczenia męża i żony małżeństwo jest nieważne. Dlaczego z nią nie obcuje? Żyjesz w grzechu. Kościół nie uznaje twego małżeństwa. Przy płomieniu świecy Joan ponownie odczytał pisma Gracjana: powoli, wodząc palcem po literach, próbował odnaleźć w nich coś, co — już to wiedział — nie istnieje. Królewska wychowanica! Sam monarcha przekazał ci swą podopieczną, a ty nie chcesz z nią obcować. Co powie król, kiedy się dowie? Cała twoja fortuna nie wystarczy... Dopuszciles się obrazy majestatu. Król dał ci Elionor za żonę. Osobiście poprowadził ją do ołtarza, ale ty wzgardziłeś jego łaską. A biskup? Co powie biskup? Joan znów zatonął w wywodach Gracjana. Wszystko przez tę wyniosłą młodkę, która drwi sobie z boskiej misji wyznaczonej kobiecie.

Joan godzinami wertował księgi, a jego myśli błądziły wokół planu Elionor i innych możliwych rozwiązań. Porozmawia otwarcie z bratem. Wyobraził sobie, jak siedzi przed Arnauem... Nie, lepiej powie mu to na stojąco, tak, obaj będą stali... „powinieneś spełnić małżeński obowiązek wobec Elionor. Żyjesz w grzechu”, powie mu. A jeśli Arnau uniesie się gniewem? Przecież to baron, konsul morski. Jak zwykły zakonnik śmie go pouczać? Joan znowu zagłębił się w uczonych pismach. W złą godzinę Arnau przygarnął Mar! To ona jest źródłem grzechu. Jeśli Elionor ma rację, Arnau może wziąć stronę Mar i zlekceważyć własnego brata. Tak, Mar jest wszystkim winna, ona i tylko ona. Odprawiła wszystkich pretendentów, by obnosić przed Arnauem swe zmysłowe ciało. Jakież mężczyzna oparłby się takiej pokusie? To demon! Diabeł w kobiecej postaci, wcielenie pokusy i grzechu. Dlaczego ma ryzykować utratę braterskiej miłości, skoro to Mar jest demonem? Tak, Mar jest siłą nieczystą. Ona jest wszystkim winna. Tylko Chrystus oparł się pokusie. A Arnau nie jest Bogiem, lecz zwykłym śmiertelnikiem. Nie może pozwolić, by jego brat cierpiał przez tę diabolicę.

Joan znów zatonął w księgach. Wreszcie znalazł to, czego szukał:

Spójrz tylko, jak skazani jesteśmy na zło, skoro nasza ludzka natura przez swe wrodzone zepsucie bez żadnego zewnętrznego bodźca ani podszeptu ulega grzechowi. Dlatego, gdyby dobroć naszego Pana nie powściągnęła tej naturalnej skłonności naszej, wszyscy w sposób plugawy uleglibyśmy grzechowi. Wszak czytamy, że dzieci niewinne, które nigdy nie widziały niewiasty, wychowane przez świętych mężów na pustyni, zaprowadzono do miasta, do ojca swego i matki swojej. I gdy tylko trafiło tam, gdzie oni się znajdowali, zapytało tych, którzy je przywieźli, o oglądane tam cuda. A ujrawszy piękne kobiety w szatach zdobnych, zapytało, co to takiego, i święci mężowie odrzekli, że to demony wodzące ludzi na pokuszenie. A gdy znajdowali się w domu ojca i matki, zapytali je święci pustelnicy: „Napatrzyłeś się na rzeczy liczne i nowe, których nigdy dotąd nie widziałeś. Powiedz, która z nich podobała ci się najbardziej?”. Na to dzieci odpowiedziało: „Ze wszystkich cudów, które tu ujrzałem, najbardziej podobały mi się demony wiodące ludzi na pokuszenie”. Wtedy oni zawołali: „O, nikczemny! Czy nie słyszałeś i nie czytałeś, jak przewrotne są to demony i jakie zło wyrządzają, i że domem ich jest piekło? Jakże więc mogły ci się spodobać, gdy je ujrzałeś?”. Odpowiedział im: „Choć są złe, wyrządzają zło i mieszkają w piekle, za nic miałbym całe to zło i chętnie zamieszkałbym w piekle, byle tylko je oglądać. Teraz już

wiem, że diabły nie są tak złe, jak mówiono, i że dobrze byłoby mi w piekle, skoro one je zamieszkują, bo z takimi właśnie diabłami chciałbym obcować. I niech Bóg da, bym tam do nich dołączył”.

Gdy skończył czytać i zamknął księgę, światło. Nie będzie ryzykował. Nie będzie świętym pułstelnikiem napominającym dziecię, które upodobało sobie diabła. Nie nazwie brata nikczemnikiem. Pozostało mu tylko jedno wyjście. Posłucha ksiąg, nabytych zresztą za pieniądze Arnaua. Joan opadł na kłęcznik ustawiony przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i pogrzyżył się w modlitwie.

Przed zaśnięciem wydało mu się, że czuje dziwną woń — zapach śmierci, który wypełnił cały pokój i omal go nie udusił.

W dzień świętego Marka Arnau Estanyol, baron Granollers Sant Vicenc i Caldes de Monbui, został wybrany przez patrycjat i Radę Stu na konsula morskiego Barcelony. Zgodnie z regulaminem on, drugi konsul, rajcy i patrycjusz na oczach wiwatujących tłumów obeszli w procesji miasto i udali się na giełdę, gdzie mieściła się siedziba Konsulatu Morskiego. Był to przebudowywany właśnie gmach stojący na nabrzeżu, niedaleko kościoła Santa Maria i kantoru Arnaua.

Missatges, żołnierze konsulatu, powitali ich z honorami, po czym orszak wkroczył do pałacu, gdzie rajcy Barcelony przekazali władzę nad budynkiem nowo wybranym konsulom. Po ich wyjściu Arnau od razu zabrał się do pracy. Pewien kupiec domagał się zwrotu pieniędzy za pieprz, który z winy niedoświadczonego przewoźnika wpadł podczas przeładunku do morza. Pieprz został dostarczony na salę sądową i Arnau przekonał się osobiście, że jest nieodwracalnie zniszczony.

Wysłuchał kupca i przewoźnika oraz świadków wezwanych przez obie strony. Znał tego kupca. Znał i młodego przewoźnika. Niedawno przyszedł do jego kantoru po pożyczkę. Dopiero co się ożenił. Arnau pamiętał, że życzył mu wszystkiego najlepszego.

— Nakazuję... — Arnauowi załamał się głos. — Nakazuję, by przewoźnik zwrócił pieniądze za pieprz. Tak stanowi — Arnau zerknął w księgę podsunętą mu przez sekretarza — rozdział sześćdziesiąty drugi kodeksu morskiego. — Poprosił go o pożyczkę. Dopiero co się ożenił, oczywiście w kościele Santa Maria, jak przystało na człowieka morza. A jeśli jego żona oczekuje dziecka? Arnau przypominał sobie blask oczu panny młodej, gdy składał życzenia nowożeńcom. Odchrząknął — Masz... — Odchrząknął ponownie. — Masz pieniądze?

Arnau nie patrzył na młodzieńca. Niedawno dał mu pożyczkę. Na dom? Na ubranie? Na meble? A może na łódź? Przecząca odpowiedź przewoźnika zadzwoniła mu w uszach.

— W takim razie skazuję cię na... — Głos uwiązał mu w gardle. Dopiero po chwili dokończył: — Skazuję cię na areszt aż do spłaty długu.

Skąd weźmie pieniądze, skoro nie będzie mógł pracować? A jeśli oczekują dziecka? Zapomniał uderzyć młotkiem w stół.

Opamiętał się na widok wymownych spojrzeń missatges. Uderzył. Młodzieniec został odprowadzony do lochów konsulatu. Arnau spuścił wzrok.

— Tak trzeba — zaczął mu tłumaczyć sekretarz, gdy sala opustoszała.

Arnau siedział bez ruchu na prawo od niego, za olbrzymim stołem stojącym na środku sali.

— Spójrz — przekonywał sekretarz, podsuwając mu jeszcze jedną księgę, tym razem regulamin konsulatu. — Tu jest mowa o karze aresztu: Dowodzi hierarchii władzy od najwyższego do najniższego rangą. Jesteś konsulem morskim, musisz dowieść swej władzy. Od tego zależy nasz dobrobyt, dobrobyt naszego miasta.

Tego dnia Arnau nie musiał posłać nikogo więcej do lochu, ale, owszem, robił to jeszcze wiele razy podczas swej kadencji. Uprawnienia konsula morskiego obejmowały wszelkie kwestie dotyczące handlu — cen, zarobków marynarzy, bezpieczeństwa okrętów i towarów — oraz wszystkie inne sprawy związane z morzem. Z chwilą objęcia nowej funkcji Arnau stał się niezależny od burmistrza i naczelnika miasta. Ferował wyroki, konfiskował majątki, zajmował dobytek dłużników, wtrącał do więzienia i miał na swe rozkazy własną armię.

Podczas gdy on był zmuszony posyłać do lochu młodych przewoźników, Elionor wezwwała Felipa de Ponts — rycerza i znajomego z czasów jej pierwszego małżeństwa — który wielokrotnie prosił ją o wstawiennictwo u męża. Winien był Arnauowi niebagatelną sumę i nie dotrzymywał terminów spłaty.

— Robiłam wszystko, co w mojej mocy, don Felipie — skłamała. — Na próżno. Wkrótce mój mąż zażąda zwrotu pożyczki.

Felip de Ponts, mężczyzna wysoki i potężny, o bujnej jasnej brodzie i małych oczkach, zbladł. Jeśli Arnau spełni groźbę, straci nieliczne posiadłości, a nawet... bojowego rumaka. Rycerz bez ziemi zapewniającej utrzymanie i bez konia do wojaczki nie jest rycerzem.

Felip de Ponts uklęknął na jedno kolano.

— Pani, błagam — poprosił Elionor. — Ufam, że zdołacie przekonać męża, by dał mi jeszcze trochę czasu. Bez majątku moje życie straci sens. Zróbcie to dla mnie! W imię dawnych dni!

Elionor dała się jeszcze trochę prosić, stojąc nad klęczącym rycerzem. Udawała, że się zastanawia.

— Wstańcie — rozkazała wreszcie. — Mam pomysł...

— Błagam! — raz jeszcze powtórzył Felip de Ponts, zanim wstał.

— Jest on jednak dość ryzykowny.

— Wszystko jedno. Niczego się nie ulękę. Walczyłem u boku króla we wszy...

— Chodzi o porwanie panny — wypaliła Elionor.

— Nie... nie rozumiem — wybąkał rycerz.

— Doskonale rozumiecie. Chodzi o porwanie panny i... zniewolenie jej.

— Czy ten karany jest śmiercią!

— Nie zawsze.

Elionor coś o tym słyszała. Nie miała odwagi pytać o szczegóły, zwłaszcza teraz, gdy ułożyła już cały plan, poczekala więc, aż dominikanin rozwieje jej wątpliwości.

— Ktoś musi porwać Mar — poinformowała szwagra. Joan wytrzeszczył na nią oczy. — Porwać i zniewolić. — Mnich podniósł rękę do ust. — Podobno — ciągnęła Elionor — jeśli pohańbiona dziewica lub jej rodzina wyrażą zgodę na małżeństwo, gwałciciel uniknie kary. — Joan stał oniemiały z ręką Przy ustach. — Czy to prawda, bracie Joanie? Czy to prawda? — powtórzyła, bo mnich wciąż milczał.

— Tak ale...

— Tak czy nie?

— Tak Urowadzenie karane jest wieczną banicją, jeśli nie doszło do gwałtu, lub śmiercią, jeśli porwana została zhańbiona.

Złoczyńca może jednak uniknąć kary, jeśli obie strony zgodzą się na jego małżeństwo z panną lub jeśli porywacz zaproponuje kandydata na męża równego pannie stanem.

Na ustach Elionor zaigrał uśmiezek Baronowa starała się go ukryć, gdy Joan zaczął ją odwo-

dział od pomysłu. Odegrała znieważoną żonę.

— Wiem, bracie Joanie, że to rozwiązanie dość brutalne, ale wierzcie mi, jestem gotowa na wszystko, byle tylko odzyskać męża. Ktoś musi uprowadzić i zniewolić Mar — powtórzyła. — Potem wydamy ją za winowajcę. — Joan pokręcił głową. — Co za różnica? — przekonywała Elionor. — Przecież gdyby Mar nie omotała i nie zaślepiła Arnaua, prędzej czy później wydalibyśmy ją za męża, nawet wbrew jej woli. Zrobilibyście to już dawno, gdyby nie sprzeciwił waszego brata. Chodzi o powstrzymanie zgubnego wpływu tej kobiety na mego męża. Sami wybieramy kandydata, podobnie jak w przypadku tradycyjnego małżeństwa, tyle że tym razem nie będziemy czekali na zgodę Arnaua. Nie możemy na niego liczyć, bo oszalał, zupełnie stracił głowę dla tej panny. Słyszeliście, by jakiś ojciec pozwalał swej córce gnąć w staropanieństwie? Choćby był nie wiadomo jak bogaty. Choćby był wielkim możnym. No, słyszeliście? Nawet król wydał mi się za męża wbrew... nie pytając mnie o zdanie.

Joan zaczął ustępować wobec argumentów bratowej. Elionor wykorzystała jego niezdecydowanie i napomknęła jeszcze! kilkakrotnie o swym żalnym położeniu, o grzechu, który pleni się w jej domu... Joan obiecał sprawę przemyśleć i słowa dotrzymał. Felip de Ponts uzyskał jego błogosławieństwo, choć na pewnych warunkach.

— Nie zawsze — powtórzyła teraz Elionor. Rycerze katalońscy znali kodeks Usatges.

— Utrzymujecie, że panna przystanie na małżeństwo? W takim razie dlaczego od razu nie wyjdzie za męża?

— Jej rodzina przystanie.

— Ale dlaczego dopiero po...

— To nie wasza sprawa — ucięła Elionor. To sprawa moja, dodała w myśli, i tego... durnego mnicha.

— Chcacie, bym porwał i zhańbił pannę, i twierdzicie, że to nie moja sprawa? Pani, pomylił się co do mnie. Jestem rycerzem, rycerzem tonącym w długach, ale rycerzem...

— Chodzi o moją wychowanicę. — Felip de Ponts nie krył zdumienia. — No właśnie, chodzi o moją wychowanicę, Mar Estanyol.

Rycerz znalazł podopieczną Arnaua. Widział ją kiedyś w kantorze jej ojca, a nawet odbył z nią przyjemną pogawędkę podczas wizyty w pałacu.

— Chciecie, żebym porwał i zniewolił waszą wychowanicę?

— Chyba wyraziłam się jasno. Zapewniam, że ujdzie wam to na sucho.

— Ale dlaczego...?

— To już moja sprawa! Jak brzmi wasza odpowiedź?

— Co będę z tego miał?

— Posag panny wystarczy na pokrycie waszych długów. Mogę was zapewnić, że mój mąż będzie bardzo hojny dla swej podopiecznej. Ponadto zaskarbicie sobie moją wdzięczność, a przecież wiecie, kim jestem dla króla.

— A baron?

— Ja się nim zajmę.

— Nie rozumiem...

— Co tu rozumieć? Bankructwo, kompromitacja i hańba albo moja wdzięczność. — Felip de Ponts aż przysiadł. — Bankructwo lub życie usłane różami. Jeśli odmówicie, już jutro baron upomni się o pieniądze i zajmie wasze ziemie, oręż i zwierzęta. O tym też mogę was zapewnić.



Dopiero po dziesięciu dniach dręczącej niepewności Arnau dostał pierwszą wiadomość o Mar. Na dziesięć dni zapomniał o obowiązkach i próbował dowiedzieć się czegokolwiek o swej wychowawicy, która przepadła bez śladu. Na licznych spotkaniach z naczelnikiem i rajcami przekonywał, by nie żałowano sił i środków na wyjaśnienie jej tajemniczego zniknięcia. Obiecał hojne nagrody za jakąkolwiek informację o losie lub miejscu pobytu Mar i modlił się więcej i goręcej niż kiedykolwiek. W końcu Elionor potwierdziła jego obawy. Powołała się na doniesienia wędrownego kupca, który trafił na ulicę Montcada, wypytując o konsula morskiego, i oznajmił, że panna została uprowadzona przez dłużnika Arnaua, rycerza Felipa de Ponts, i jest przetrzymywana w jego warownym dworku w okolicach Mataró, na północy Barcelony, niecały dzień piechotą od stolicy.

Arnau wysłał tam missatges, a sam poszedł do kościoła Santa Maria, by modlić się do Madonny.

Nikt nie śmiał zakłócać jego spokoju, nawet robotnicy zwolnili tempo pracy. Klęcząc przed kamienną figurką, tak ważną w jego życiu, Arnau próbował odgonić przerażające i pełne okrucieństwa sceny, które prześladowały go od dziesięciu dni, a w których pojawiała się teraz twarz porywacza.

Felip de Ponts napadł Mar w domu, po czym zakneblował ją i bił, aż zemdląła i przestała stawiać opór. Następnie wpełchnął do wora i wrzucił na tył fury powożonej przez jego sługę, załadowanej końskimi rzędami. Udając, że wraca z targu lub wiezie zreperowane uprzęże i siodła, rycerz przejechał przez bramy miasta, nie budząc podejrzeń. W warownej wieży przylegającej do dworku wielokrotnie posiadał swą zakładniczkę, a jego brutalność i żądza wzrastały w miarę, jak przekonywał się o jej urodzie oraz o zacięciu, z jakim broniła najpierw swego dziewictwa, a potem już tylko swego ciała. Felip de Ponts przyrzekł bratu Joanowi, że pozbawi Mar cnoty, nie rozbiierając jej, nie pokazując własnego ciała i w miarę możliwości stroniąc od przemocy. Obietnicy dotrzymał, ale tylko za pierwszym razem, bo choć zobowiązał się posiadać zakładniczkę jeden jedyny raz, żądza wzięła górę nad rycerskim słowem.

Wszystko, co z truchlejącym sercem wyobraził sobie Arnau przez łzy, kłęcząc przed Madoną, było tylko maleńką cząstką cierpień, jakich doznała Mar.

Gdy do świątyni wkroczył oddział missatges, robotnicy przerwali pracę. Słowa oficera poniosły się echem po kościele niczym po sali sądowej Konsulatu Morskiego.

— Wielce czcigodny konsulu, doniesienia okazały się prawdziwe. Wasza córka została porwana i jest przetrzymywana przez rycerza Felipa de Ponts.

— Rozmawialiście z nim?

— Nie, wielce czcigodny konsulu. Zamknął się w wieży i oznajmił, że nie mamy nad nim władzy, ponieważ sprawa nie dotyczy kwestii handlowych.

— Wiecie coś o panie? Oficer spuścił wzrok. Arnau wbił palce w kłęcznik.

— Nie mam nad nim władzy? Chce mojej władzy? — syknął przez zęby. — Będzie ją miał!

Wieść o porwaniu Mar w okamgnieniu rozeszła się po bieście. Nazajutrz o świcie we wszystkich kościołach zaczęły bić dzwony i okrzyk *Via fora!* znów niósł się z ust do ust Barcelona ruszała na pomoc swej mieszkance!

Jak tylekroć w przeszłości na plac Blat, punkt zborny *host* — oddziałów pospolitego ruszenia Barcelony — zaczęły ściągać bractwa cechowe. Przybyły wszystkie. Pod chorągwiami cechowymi ustawiali się konfratry w bojowym rynsztunku. Tego ranka Arnau zdjął wytworne szaty, by znów przywdziać strój, w którym walczył pod rozkazami Eiximena d'Esparca przeciwko Piotrowi Okrutnemu. Sięgnął po ojcowską kuszę, której nie chciał zastąpić żadną inną, i z czułością przesunął po niej dłonią. Do pasa przypiął sztyl, którym przed laty uśmiercił tak wielu wrogów.

Ponad trzy tysiące zgromadzonych na placu mężczyzn zgotowało mu huczne przyjęcie. Chorążowie podnieśli sztandary. Szczęk mieczy, włócznie i kusz mieszał się ogłuszającym z okrzykiem *Via fora!* Arnau stał nieporuszony. Za jego plecami Joan i Elionor pobledli. Powiódł spojrzeniem po morzu głów, broni i sztandarów — bankierzy nie mieli własnego bractwa.

— Tego chyba nie przewidzieliście? — powiedział dominikanin do baronowej pośród wrzawy.

Elionor błądziła wzrokiem po tłumie. Cała Barcelona poparła Arnaua. Na jej oczach tysiące mężczyzn wyło i wywijało bronią. A wszystko z powodu jednej gąski!

Arnau odnalazł sztandar, którego szukał. Tłum rozstępował się przed nim, gdy ruszył ku *bastaixos*.

— Tego chyba nie przewidzieliście? — powtórzył mnich. Oboje wpatrywali się w plecy Arnaua. Elionor milczała. — Rozniosą waszego rycerzyka na strzepy. Splądrują jego posiadłości, zrównają z ziemią jego dwór, a wtedy...

— Co? Co wtedy? — warknęła Elionor, wciąż patrząc przed siebie.

Stracę brata. Może zdołamy jeszcze zażegnać nieszczęście. Bo to na pewno źle się skończy, pomysłał Joan.

— Porozmawiajcie z nim... — próbował przekonać Elionor.

— Rozum wam odjęło, mnichu?

— A jeśli Arnau nie zgodzi się na małżeństwo? A jeśli Felip de Ponts wyzna prawdę? Porozmawiajcie z Arnauem, zanim *host* ruszy ku Mataró. Na Boga, Elionor, posłuchajcie mnie!

— Na Boga? — Tym razem Elionor spojrzała na Joana. — To lepiej wy porozmawiajcie z waszym Bogiem.

Przeszli pod sztandar *bastaixos*, gdzie spotkali Guillema bez broni. Niewolnicy nie mieli prawa jej nosić. Na widok żony Arnau ściągnął brwi i zmierzył ją wzrokiem.

— Mar jest również moją podopieczną — zauważyła.

Rajcy dali rozkaz do wymarszu i armia złożona z mieszkańców Barcelony ruszyła na północ. Pochód otwierał sztab miasta i świętego Jerzego, za nimi kroczyli *bastaios* — wśród nich Arnau, Elionor i Joan — a dopiero potem wszystkie inne bractwa: trzytysięczne wojsko przeciwko jednemu rycerzowi.

Po drodze przyłączyło się do nich ponad stu chłopów z posiadłości Arnaua, którzy, uzbrojeni w kusze, przyszli wesprzeć swego dobrodzieja. Arnau na próżno szukał wśród nich możnych lub rycerzy.

Maszerował zaszępiony pod sztandarem *bastaios*, ramię w ramię z dawnymi towarzyszami. Joan próbował się modlić, ale pacierze, które do tej pory klepał z pamięci, teraz płątały mu się w głowie. Nie on, ani Elionor w najśmielszych marzeniach nie podejrzewali, że Arnau zwoła pospolite ruszenie. Zgiełk, jaki wywołała trzytysięczna armia idąca wymierzyć sprawiedliwość i pomścić krzywdę obywatelki Barcelony, porażał Joana. Wielu mężczyzn ucałowało przed wyprawą swe córki. Niejeden z nich, już z bronią w ręce, żegnał się z żoną, ujmując ją pod brodę i mówiąc: „Barcelona troszczy się o swych mieszkańców, zwłaszcza o... niewiasty”.

Przecież oni obrócą w perzynę włóści nieszczęsnego Felipa de Ponts. Zupelnie jakby porwał ich rodzoną córkę, myślał Joan. Osądzą go i stracą, ale wcześniej posłuchają, co ma do Powiedzenia... Zerknął na Arnaua, który nadal kroczył z marszem aa czole.

O zmierzchu wojska dotarły do posiadłości Felipa i zatrzymały się u stóp niewielkiego pagórka, na którego szczycie stał dwór. W rzeczy wistości był to wiejski folwark pozbawiony jakichkolwiek umocnień obronnych, z wyjątkiem tradycyjnej wieży strażniczej przylegającej do gospodarstwa. Joan popatrzył na dom, potem na armię, czekającą na rozkazy rajców. Spojrzał na Elionor, która unikała jego wzroku. Trzy tysiące chłopów na jeden dworek!

Joan oprzytomniał i pobiegł za Arnauem i Guillemem pod chorągiew świętego Jerzego, gdzie gromadzili się rajcy i patrycjusze. Rozprawiano właśnie o najbliższych posunięciach i Joan wzdygnął się, słysząc, że zdecydowana większość chce natychmiast przypuścić szturm na wieżę, bez ultimatum i bez czekania, aż Ponts sam odda się w ich ręce.

Rajcy zaczęli wydawać rozkazy cechmistrzom poszczególnych bractw. Joan zerknął na Elionor, która nadal stała niewzruszona ze wzrokiem utkwionym w dworzę. Podeszedł do Arnaua. Chciał go zagadnąć, jednak głos uwiązł mu w gardle. Guillem, stojący sztywno obok swego pana, rzucił mu niechętnie spojrzenie. Cechmistrzowie zaczęli przekazywać wskazówki podwładnym. Odgłos przygotowań do bitwy był już wszechobecny. Zapalono pochodnie, rozległ się szczełk wymowianych z pochew mieczy i odgłos napinanych cięciw. Joan jeszcze raz spojrzął na wieżę przylegającą do dworu, a potem na żołnierzy. Właśnie szykowali się do ataku. Nie pójda na ustępstwa. Będą bezlitośni. Arnau zostawił zakonnik, niczym zwykły żołnierz ścisnął w rękę szylet i odwrócił się w stronę gospodarstwa Felipa de Ponts. Joan zerknął na Elionor: wciąż patrzyła przed siebie z kamienną twarzą.

— Nie...! — krzyknął, gdy Arnau stał już do niego plecami. Jego krzyk zatonął w pomruku trzytysięcznej armii. Z dworu wyjechała postać na koniu: Felip de Ponts zmierzał stępą w ich stronę. Nie spieszył się.

— Pojmać go! — rozkazał jeden z rajców.

— Nie! — wrzasnął Joan. Oczy wszystkich spoczęły dominikaninie. Arnau spojrzął na niego pytająco. — Męża, który się poddaje, nie bierze się do niewoli.

— O co chodzi, mnichu? — zagadnął jeden z rajców. — Chcesz rozkazywać armii Barcelony? Joan posłał Arnauowi błagalne spojrzenie.

— Męża, który się poddaje, nie bierze się do niewoli — powtórzył.

— Pozwólcie mu się poddać — przystał Arnau.

Filip de Ponts zatrzymał się przed chorągwią świętego Jerzego, gdzie stał między innymi Arnau i rajcy miejscy.

— Obywatele Barcelony! — krzyknął na tyle głośno, że usłyszała go cała armia. — Wiem, co was tu przywiodło, i rozumiem, że chcecie się upomnieć o waszą krajankę. Oto stoję przed wami i przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Jednak zanim mnie pojmacie i najedziecie mą własność, proszę, byście mnie wysłuchali.

— Mów! — rzucił rajca.

— To prawda, że uprowadziłem i... zniewoliłem Mar Estanyol wbrew jej woli. — Głuchy pomruk przeszedł po równinie, przerywając mowę rycerza. Arnau zacisnął ręce na kuszy. — Zrobiłem to, lekce sobie ważąc własne życie, świadomy kary wymierzonej za podobne przestępstwo. Zrobiłem to i zrobiłbym to jeszcze stokroć razy, potężna jest bowiem moja miłość do tej panny i wielka udręka, gdy widzę, jak wędnie bez męża, który cieszyłby się cnotami, jakimi Bóg ją obdarzył. Dlatego głos serca wziął górę nad rozsądkiem i me czyny były bardziej godne bestii oszalałej z namiętności aniżeli rycerza króla Piotra. — Na widok słuchających w skupieniu ludzi Joan próbował podyktować rycerzowi w myślach kolejne słowa. — A ponieważ zachowałem się jak bestia, oddaję się w wasze ręce, jednak jako rycerz, którym znów pragnę się stać, obiecuję pojąć Mar za żonę i kochać ją przez resztę mych dni. Oszczędźcie! Nie chcę, choć prawo na to pozwala, proponować męża stanu, wołałbym bowiem odebrać sobie życie, aniżeli ujrzeć w objęciach innego mężczyzny.

Skończył mówić i dumnie wyprężył się na koniu, spoglądając z góry na trzytysieczną armię, która w milczeniu rozważała jego słowa.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął Joan.

Zdumiony Arnau zmierzył go wzrokiem. Wszyscy, nie wyłączając Elionor, spojrzeli na mnicha.

— Co to ma znaczyć? — syknął Arnau.

— Bracie — odezwał się Joan, łapiąc brata za ramię. Mówił głośno, by słyszeli go wszyscy zgromadzeni. — To, co się wydarzyło, jest tylko i wyłącznie skutkiem naszego zaniedbania. — Arnau zachnął się na te słowa. — Tak, bracie, przez lata patrzyliśmy przez palce na kapryśne zachowanie Mar. Zlekceważyliśmy nasz obowiązek względem zdrowej i urodziwej panny, która dawno już powinna wydać na świat potomstwo zgodnie z misją powierzoną jej przez Pana. A my, niepomni tego, sprzeciwialiśmy się boskim zamyśłom. — Arnau próbował coś powiedzieć, lecz Joan nie dopuścił go do głosu. — Trawią mnie wyrzuty sumienia. Trawiły mnie przez lata, byłem bowiem zbyt pobłażliwy dla rozkapryśzonej panny, której życie z punktu widzenia świętego Kościoła katolickiego pozbawione było sensu. Rycerza tego — Joan wskazał Felipa — zysła nam sam Pan. Jako wysłannik Bożej opatrności zrobił on to, na co myśmy nie potrafili się zdecydować. Tak przez lata żyłem w poczuciu winy, patrząc, jak wędnie uroda i zdrowie, którymi Bóg obdarzył to dziewczę przygarbnięte na swe szczęście przez mężczyznę tak wielkodusznego jak ty. Nie chcę przyczynić się do śmierci tego rycerza. On to właśnie, z narażeniem życia, które nam teraz powierza, postanowił naprawić nasze niedopatrzenie. Zgódź się na to małżeństwo. Ja,

jeśli moje zdanie coś dla ciebie znaczy, tak właśnie postąpiłbym.

Arnau milczał przez chwilę. Cała armia czekała na jego decyzję. Joan wykorzystał ten moment, by zerknąć na Elionor. Zdało mu się, że dostrzeżga na jej wargach wyniosły uśmiech.

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina? — spytał Arnau.

— Moja, bracie, moja. To ja powinienem cię pouczyć, czego oczekuje od ciebie Kościół i jaką misję powierzył Bóg twej wychowawcy. Jednak nie zrobiłem tego i... bardzo żałuję.

Oczy Guillem'a miały błyskawice.

— Jaka jest wola Mar? — zapytał Arnau pana Pontsu.

— Jestem rycerzem króla Piotra — usłyszał w odpowiedzi. — Jego prawa, te same, które was tu przywiodły, nie biorą pod uwagę zdania panny na wydaniu. — Wojsko skwitowało te słowa pomrukiem aprobaty. — Ja, Felip de Ponts, rycerz kataloński, proszę o rękę waszej podopiecznej. Jeśli ty, Arnau Estanyol, baron i konsul morski, nie wyrazisz zgody na małżeństwo, oddam się w wasze ręce, możecie mnie oddać pod sąd. Jeśli jednak przyjmujesz moje oświadczenia, wola panny nie ma znaczenia.

Żołnierze znów przyznali rację rycerzowi. Przez jego usta przemawiało prawo, którego oni wszyscy przestrzegali, wydając córki za mąż bez pytania ich o zdanie.

— Tu nie chodzi o wolę Mar, bracie — wtrącił Joan, zniżając głos — ale o twoją powinność. Nikt nie potrzebuje opinii córki ani wychowanki, by podjąć decyzję z myślą o jej dobru. Ten mężczyzna obcował już z Mar, dlatego jej wola nie ma znaczenia, bo albo wyjdzie za mąż, albo jej życie zamieni się w piekło. Wybieraj: śmierć rycerza czy boska interwencja naprawiająca nasze zaniedbanie.

Arnau zerknął na swych bliskich. Na Guillem'a przeszywającego Felipa nienawistnym spojrzeniem, potem na kobietę, którą monarcha dał mu za żonę. Gdy ich oczy się spotkały, Arnau spytał ją bez słów o radę. Elionor skinęła głową. Na koniec odwrócił się do Joana.

— Tak każe prawo — usłyszał od brata.

Popatrzył na rycerza, potem na żołnierzy, którzy schowali już broń. Nikt z trzech tysięcy mężczyzn nie wątpił w słuszność argumentów pana Pontsu, nikt już nie myślał o ataku. Czekano na ostateczną decyzję. Odpowiedź podpowiadało mu prawo katalońskie, prawo dotyczące kobiet. Co wskóra, ruszając do szturm, zabijając porywacza i oswobadzając Mar? Co czeka uprowadzoną i zgwałconą pannę? Klasztor?

— Zgadzam się.

Jeszcze przez chwilę na równinie panowała cisza. Następnie po zbrojnych szeregach przeszedł szmer, gdy przekazywano sobie z ust do ust odpowiedź Arnaua. Ktoś głośno pochwalil jego decyzję. Ktoś inny wzniosł okrzyk, który podchwyciło kilka osób i niebawem cała armia Barcelony zaczęła wiwatawać.

Joan i Elionor wymienili spojrzenia.

Zaledwie sto metrów dalej zamknięta w wieży panna, której przyszłość została właśnie przesądzona, obserwowała wojska zgromadzone u stóp pagórka. Dlaczego nie podchodzą bliżej? Dlaczego nie atakują? O czym rozprawiają z tym nędznikiem? Co krzyczą?

— Arnau! Co krzyczą twoi ludzie?



45

Wrzawa i wiwaty uświadomiły Guillemowi, że się nie przesłyszał i że Arnau rzeczywiście powiedział: „Zgadzam się”. Zagryzł wargi. Ktoś poklepał go po plecach w odruchu ogólnej wesołości. „Zgadzam się”. Guillem spojrział na Arnaua, potem na Felipa de Ponts. Na twarzy rycerza malowała się ulga. Co może zrobić zwykły niewolnik? Znowu spojrział na porywacza. Uśmiechał się. „Obcowałem z Mar Estanyol — powiedział. — Obcowałem z Mar Estanyol!”. Jak Arnau mógł?

Podano mu bukłak wina. Guillem odsunął go gniewnie.

— Nie pijesz, chrześcijaninie? — usłyszał.

Napotkał wzrok swego pana. Patrycjusze winszowali Felipowi de Ponts, który nadal siedział na koniu. Wokół weselono się i raczono winem.

— Nie pijesz, chrześcijaninie? — usłyszał znowu za plecami. Odepchnął mężczyznę z bukłakiem i ponownie poszukał wzrokiem Arnaua. Patrycjusze winszowali również konsulowi, który spoglądał na Guillem'a znad głów otaczającego ich tłumy.

Cizba, w której krążył również Joan, popychała Arnaua ku dworowi, jednak konsul nie odwracał wzroku od niewolnika.

Wojska pospolitego ruszenia świętowały porozumienie. Palono ogniska i śpiewano wokół nich.

— Wypij za naszego konsula i za szczęście jego wychowanki — rzucił ktoś inny, podsuwając Guillemowi wino.

Arnau zniknął na drodze do dworu. Guillem znowu odsunął bukłak.

— Nie chcesz wznieść toastu?

Sporunował pytającego wzrokiem, odwrócił się na pięcie i ruszył do Barcelony. Gwar cichł stopniowo za jego plecami aż wreszcie Guillem znalazł się zupełnie sam na stołecznym gościńcu. Szedł, powłócząc nogami.

Arnau nie przyjął sera, którym poczęstowała go trzęsąca się staruszka służąca u Felipa. Patrycjusze i rajcy miejscy zgromadzili się na pierwszym pięttrze dworu — nad oborami — wokół

wielkiego kamiennego paleniska. Arnau szukał w tłumie Guillem'a. Ludzie gawędzili, śmiali się i poganiiali służącą, domagając się więcej sera i wina. Joan i Elionor stali przy palenisku. Oboje spuścili oczy, gdy spoczął na nich wzrok Arnau'a.

Smer na sali kazał konsulowi spojrzeć w drugą stronę.

Felip de Ponts wprowadził Mar, trzymając ją mocno za rękę. Na widok Arnau'a dziewczyna wyrwała się rycerzowi i ruszyła do opiekuna, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Rozwarła ramiona, jednak gdy już miała rzucić się Arnau'owi na szyję, zamarła i powoli opuściła ręce.

Arnau'owi wydało się, że dostrzeża siniak na jej policzku.

— Co się dzieje, Arnau?

Odwrócił się do Joana, szukając u niego pomocy, jednak mnich stał z opuszczoną głową. Wszyscy czekali na słowa konsula.

— Rycerz Felip de Ponts powołał się na prawo *Si quis virginem...*

Dziewczyna nie ruszała się. Po jej policzku potoczyła się łza. Arnau podniósł prawą rękę, jednak opamiętał się i pozwolił łzie skapnąć na jej szyję.

— Twój ojciec... — odezwał się zza jej pleców Felip. Arnau próbował go uciszyć władczym gestem. — Konsul morski obiecał mi twoją rękę na oczach całej barcelońskiej armii — wyrecytował jednym tchem, bojąc się, że Arnau przerwie mu lub... zmieni zdanie.

— To prawda? — zapytała Mar.

Prawdą jest, że mam ochotę cię pieścić... całować... mieć zawsze przy sobie. Czy to ojcowskie uczucie? — pomyślał Arnau.

— Tak, Mar.

Z jej oczu nie popłynęło więcej łez. Felip podszedł i złapał ją za ramię. Już się nie wyrwała. Ktoś przerwał ciszę, która zaległa po słowach Arnau'a, i po chwili w izbie znów zawrzało. Arnau i Mar nie odrywali od siebie wzroku. Okrzyk „Niech żyje młoda para!” oszołomił Arnau'a. Tym razem łzy zalały jego twarz. Może Joan postąpił słusznie, może jego brat odgadł coś, o czym nie wiedział nawet on sam. Przecież obiecał Madonnie, że już nigdy nie zdradzi żony, nawet poślubionej wbrew własnej woli, dla innej kobiety.

— Ojczec? — szepnęła Mar, ocierając mu łzę ręką. Zadrżał pod dotykiem jej dłoni.

Odwrócił się i wybiegł z izby.

W tej samej chwili, gdzieś na opustoszałym mrocznym gościńcu wiodącym do Barcelony, niewolnik podniósłszy oczy ku niebu, usłyszał udręczony krzyk dziewczynki, którą wychował jak własną córkę. Urodził się niewolnikiem i wiódł życie niewolnika. Nauczył się kochać w tajemnicy i skrywać uczucia. Niewolnik nie był uważany za człowieka, dlatego gdy był sam — w tym jednym jedynym czasie, gdy czuł się wolny — potrafił sięgać wzrokiem głębiej niż ludzie, którym wolność przyślaniała duszę. Dawno już odkrył miłość łączącą najdroższe mu istoty i modlił się do swych dwóch bogów, by uwolnili je z kajdan, znacznie mocniejszych od tych krępujących jego.

Żałka, choć niewolnikom nie wolno było płakać.

Nie wszedł do Barcelony. Dotarł do miasta jeszcze o zmroku i zatrzymał się przed zamkniętą bramą Świętego Daniela. Zabrano mu jego córeczkę. Arnau sprzedał ją jak niewolnicę. Cóż z tego, że nieświadomie? Jak ma wrócić do Barcelony, siadać na krześle, na którym siadywała Mar, chodzić ulicami którymi razem spacerowali, gawędząc, śmiejąc się i dzieląc jej słodką tajemnicę? Jak żyć pośród tylu wspomnień, w towarzystwie mężczyzny, który podeptał ich marzenia?

Guillem ruszył przed siebie i po dwóch dniach wędrówki wzdłuż wybrzeża dotarł do Salou, dru-

giego pod względem znaczenia portu w Katalonii. Spojrzał na morze, powiódł wzrokiem po linii horyzontu. Morska bryza przyniosła wspomnienie dzieciństwa spędzonego w Genui, wspomnienie matki i rodzeństwa. Został z nimi brutalnie rozdzielony, kiedy sprzedano go kupcowi i zaczął przy nim zgłębiać tajniki handlu. Jednak pewnego dnia statek, na którym płynął ze swym panem, wpadł w ręce Katalończyków, toczących wojnę z Genuą. Potem Guillem przechodził z rąk do rąk, aż w końcu Hasdai Crescas docenił jego smykałkę do handlu i dostrzegł w nim kogoś więcej niż zwykłego robotnika. Guillem znów spojrzał na morze, na okręty, na pasażerów... Dlaczego nie Genua?

— Kiedy wypływa najbliższy statek do Lombardii, do Pizy? — Młody pracownik portowy przerzucił nerwowo papiery piętrzące się na ladzie magazynu. Nie znał Guillega i z początku potraktował go z niechęcią, jak pierwszego lepszego brudnego i cuchnącego niewolnika. Lecz gdy Maur się przedstawił, przypomniał sobie słowa ojca: „Guillem jest prawą ręką Arnaua Estany oła, konsula morskiego, któremu zawdzięczamy pracę”. — Poproszę również o przybory do pisania i wskazanie spokojnego kąta, gdzie mógłbym napisać list — dodał Guillem.

Przyjmuję oferowaną przez ciebie wolność — napisał. — Wypływam do Genui przez Pizę, gdzie udam się jako twój niewolnik i będę czekał na akt uwolnienia. Co jeszcze dodać? Że nie może żyć w Barcelonie z dala od Mar? A Arnau będzie mógł? Po co mu o tym przypominać? Wyruszam na poszukiwanie swych korzeni, mojej rodziny — dopisał. — Ty i Hasdai byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi, proszę, opiekuj się nim. Pozostanę ci na zawsze wdzięczny. Niech Allah i Najświętsza Panienska czuwają nad tobą. Będę się za ciebie modlił.

Gdy galera, na którą wsiadł, podniosła kotwicę, posłaniec ruszył z listem do Barcelony.

Arnau podpisywał akt uwolnienia powoli, przyglądając się każdemu pociągnięciu piórem i wspominając epidemię dżumy, uliczną bójkę, kantor, lata wspólnej pracy, rozmów, przyjaźni, radości... Przy ostatniej kresce zdrzła mu ręka. Pióro złamało się na końcowym zawijajcie. Obaj znali prawdziwe powody, które skłoniły Guillega do wyjazdu.

Po powrocie na giełdę Arnau nakazał przesłać swemu agentowi w Pizie akt uwolnienia Guillega. Do listu dołączył zlecenie wypłaty niewielkiej fortuny.

— Nie czekamy na Arnaua? — zapytał Joan, wszedłszy do jadalni. Baronowa siedziała już przy stole.

— Jesteście głodni? — Joan skinął głową. — Więc korzystajcie z okazji i jedzcie.

Mnich usiadł naprzeciwko Elionor przy długim stole. Dwaj służący podali im biały pszenny chleb, wino, zupę i gęś pieczoną z cebulą i pieprzem.

— Przecież mówiliście, że jesteście głodni... — zauważyła Elionor, widząc, że mnich tylko rozgrzebuje jedzenie na talerzu.

Joan spojrzał na nią obojętnie. Przez resztę posiłku nie zamienili słowa.

Wiele godzin później, Joan, siedząc w swej komnacie, usłyszał, że w pałacu panuje poruszenie. Służący biegli, by przywitać Arnaua. Chcieli mu podać kolację, lecz odmówił — Jak trzykrotnie wcześniej, kiedy Joan chciał zjeść razem z nim. A siadał w jednej z sal pałacowych, gdzie czekał na niego i dziękował za posiłek zrezygnowanym gestem.

Mnich słyszał, jak służący się rozchodzą. Potem zza drzwi dobiegły kroki Arnaua zmierzające do sypialni. Po cóż miałby do niego wychodzić? Trzy razy czekał na niego do późna i próbował z nim rozmawiać, lecz Arnau zamykał się w sobie i odpowiadał zdawkowo na jego pytania. „Dobrze się czujesz?”. „Tak?”. „Masz dużo pracy na giełdzie?”. „Nie”. „Wszystko w porządku?”. Ci-

sza. „Jak tam kościół Santa Maria?”. „Dobrze”. W mroku pokoju Joan zatopił twarz w dłoniach. Kroki za drzwiami ucichły. Bo i o czym Arnau ma rozmawiać z Joanem? O niej? Ma mu wyznać, że ją kocha?

Joan wiedział, jak Mar ociera mu łzę z policzka. „Ojczy?”, szepnęła, a Arnau zadrżał. Wtedy Joan odwrócił się i zobaczył uśmiech na twarzy Elionor. Dopiero na widok cierpienia brata zrozumiał... Jednak nie mógł mu powiedzieć prawdy. Jakże miał się przyznać, że to właśnie on... Znów ujrzał tamtą łzę. Aż tak bardzo Arnau kocha Mar? Czy kiedykolwiek o niej zapomni? Nikt nie przyszedł podtrzymać na duchu Joana, który również i tej nocy padł na kolana i modlił się aż do świtu.

— Chciałbym wyjechać z Barcelony.

Przeor dominikanów przyjrzał się swemu podwładnemu: zmierzniał, miał podkrążone i zapadnięte oczy, jego habit był w stanie godnym pożałowania.

— Bracie Joanie, czujesz się na siłach przyjąć funkcję inkwizytora?

— Tak — odrzekł zapytany. Przeor zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. — Z dała od Barcelony na pewno poczuję się lepiej.

— Dobrze. W przyszłym tygodniu ruszasz na północ. Wysłano go do wsi zagubionych pośród gór i dolin, gdzie ludzie żyli z rolnictwa oraz z hodowli bydła. Z lękiem witali inkwizytora, tym bardziej że jego wizyta nie była dla nich nowością. Odkąd przed ponad stu laty papież Innocenty IV zlecił Rajmundowi de Penyafort wprowadzić do królestwa Aragonii i księstwa Narbonne inkwizycję, mieszkańcy często byli wzywani przez czarnych mnichów na przesłuchania.

Większość doktryn uznawanych przez Kościół za hereetyckie trafiła do Katalonii z Francji. Najpierw zjawili się tu katarzy i waldensi, potem begardzi, a na koniec templariusze, prześladowani przez francuskiego króla. Na terenach przygranicznych, które pierwsze uległy hereetyckim wpływom, skazano i stracono wielu możnych: wicehrabiego Arnaua i jego żonę Ermessandę, Ramona de Cadi czy też Guillemę de Niort, naczelnika hrabiego Nunó Sanca w Cerdagne i w Coflent, gdzie właśnie pełnić miał swą misję brat Joan.

— Ekscelencjo — powitała go reprezentacja miejscowych dygnitarzy w jednej z tamtejszych wsi, klanając się nisko.

— Nie jestem ekscelencją — rzucił przybyły, dając im znak, by się wyprostowali. — Nazywajcie mnie po prostu bratem Joanem.

Mimo niewielkiego doświadczenia zdążył się już przyzwyczaić do takich powitań. Miejscowi zostali uprzedzeni o przyjeździe inkwizytora, jego sekretarza i pół tuzina żołnierzy Świętej Inkwizycji. Znajdowali się teraz na niewielkim rynku. Joan spojrział badawczo na czterech mężczyzn, którzy bali się wyprostować: pochylali przed nim odkryte głowy i wierzili się niespokojnie. Na rynku prócz nich nie było żywego ducha, choć Joan wiedział, że śledzi go wiele par oczu. Aż tak dużo mają tu przed nim do ukrycia? Wiedział również, co czeka go po powitanii: najlepsza kwatery w okolicy oraz suto zastawiony stół — zbyt suto, jak na możliwości tutejszych mieszkańców.

— Zostawcie mi tylko kawałek sera, chleb i wodę, resztę Możecie zabrać. Dopilnujcie, by moim ludziom niczego nie brakowało — powiedział to co zwykle, siadając przy stole.

Dom również przypominał jego poprzednie kwatery: był ubogi i prosty, ale kamienny, w przeciwieństwie do wypełniających okolice chałup z gliny lub ze zbutwiały ch desek. Stół i kilka zdli stanowiło całe wyposażenie izby, gdzie królowało palenisko.

— Jego ekscelencja jest na pewno zmęczony.

Joan spojrzął na leżący przed nim ser. Miał za sobą wiele godzin marszu w chłodzie poranka,

po kamienistych i błotnistych drogach, po rosie. Założywszy pod stołem nogę na nogę rozmasował obolałą łydkę i prawą stopę.

— Nie jestem ekscelencją — powtórzył — i nie jestem zmęczony. Bóg nie wie, co to zmęczenie, gdy trzeba bronić jego imienia. Przystępujemy natychmiast do pracy, gdy tylko nieco się posilę. Zwolaj wszystkich na rynek.

Przed opuszczeniem Barcelony Joan wystarał się w klasztorze Świętej Katarzyny o traktat spisany w 1231 roku przez papieża Grzegorza IX i przyswoił sobie metody działania wędrownych inkwizytorów.

„Grzesznicy! Nawracajcie się!”. Najpierw kazanie. Niewiele ponad siedemdziesiąt osób zgromadzonych na rynku spuściło wzrok po pierwszych jego słowach. Spojrzenie mnicha w czerni przejmowało ich grozą. „Czeka was ogień piekielny!”. Z początku wątpił, czy potrafi przemawiać publicznie, jednak szybko okazało się, że słowa płyną z jego ust gładko, łatwo i robią wrażenie na wystraszonych wieśniakach. „Nikt nie uniknie kary! Bóg nie chce w swym stadzie czarnych owiec”. Mają na siebie donosić, herezja musi wyjść na jaw. Bo misja Joana polegała na tropieniu grzechów popełnianych w domowym zaciszu, znanych tylko sąsiadowi, przyjacielowi, żonie...

„Bóg wie wszystko. Zna was dobrze. Nie spuszcza z was oka. Człowiek, który patrzy obojętnie na grzech, będzie się smażył w piekle, większą winę ponosi bowiem ten, kto przymyka oko na grzech, a nie sam grzesznik. On bowiem może uzyskać przebaczenie, ale ten, kto tai cudzy grzech...”. Przy tych słowach Joan patrzył badawczo na zgromadzonych na rynku, wystarczy jeden nieostrożny gest, jedno ukradkowe spojrzenie. Ci pójdą na pierwszy ogień. „Kto zataja grzech...”. Joan znów zawiesił głos i milkł, by groźba przeraziła słuchaczy: „nie zagna wybaczenia”.

Strach. Ogień, cierpienie, grzech, kara... Mnich w mówił, póki nie zawładnął duszami wieśniaków. Już za pierwszym razem dane mu było posmakować tego szczególnego uczucia.

— Macie trzy dni — powiedział na koniec. — Kto w tym czasie sam przyzna się do grzechu, zostanie potraktowany łaskawie. Ale po upływie tego czasu... na winowajcę spadnie przykładna kara. — Joan skinął na oficera. — Mieście na oku tę blondynkę, bosego chłopca i tego z czarnym pasem. I jeszcze tamtą młódkę z dzieckiem... — Dyskretnie wskazywał wymieniane osoby. — Jeśli nie zgłoszą się same, przy prowadzicie ich razem z kilkoma innymi wieśniakami wybrany mi na chybił trafiał.

Przez trzy następne dni Joan tkwił z kamienną twarzą za stołem w towarzystwie sekretarza i kilku żołnierzy, którzy przestępowali z nogi na nogę, podczas gdy w ciszy mijała powoli godzina za godziną.

Tylko cztery osoby rozproszyły nudę: dwaj mężczyźni, którzy przyznali się do opuszczenia niedzielnej mszy, nieposłuszna mężowi kobieta oraz chłopiec o ogromnych oczach, który zajrzał przez szparę w drzwiach.

Ktoś popchnął go od tyłu, ale chłopiec bał się wejść i tkwił niezdecydowanie na progu.

— Wejź, chłopcze — zaprosił go Joan.

Malec cofnął się, lecz niewidzialna ręka wepchnęła go do i zatrzasnęła drzwi.

— Ile masz lat? — zapytał mnich.

Dziecko popatrzyło na żołnierzy, na sekretarza, który wziął do ręki pióro, i na Joana.

Dziewięć — wyjąkał.

Jak ci na imię? — Alfons.

— Podejdź bliżej, chłopcze. Co chciałeś nam powiedzieć? Że... że dwa miesiące temu zerwałem fasolę sąsiada. — Zerwałem? — upewnił się Joan.

Alfons spuścił wzrok.

— Ukradłem — przyznał słaby m głosiłkiem.

Wstał z posłania i podkręcił kaganek. Od kilku godzin we wsi panowała cisza i od kilku godzin Joan czekał na sen. Przytrzymał oczy i zaczął drzemać, jednak wyrwała go z uspienia łaźnia płynąca po policzku Arnaua. Potrzebował światła. Próbował zasnąć, ale wcześniej czy później wstawał z posłania — czasami zrywał się zły potem, innym razem zwlekał się powoli, pogrążony we wspomnieniach, spędzających mu sen z powiek.

Potrzebował światła. Upewnił się, że w kaganku zostało trochę oliwy.

W ciemności dojrzał smutną twarz brata.

Znów położył się na sienniku. Zimno. Zawsze jest zimno. Przez kilka sekund obserwował drganie płomienia i cienie tańczące w jego rytmie. Okno w sypialni pozbawione było okiennic i wiatr hulał po izbie. „Wszyscy płąsamy w rytmie jakiegoś tańca, mojego tańca...”

Joan skulił się pod derką i zacisnął powieki.

Dlaczego świt nie nadchodzi? Pojutrze miną trzy dni, jak tu siedzi.

Zapał w drzemkę, ale pół godziny później zbudził się spocony.

Kaganek nadal się palił. Cienie tańczyły na ścianach. Wieś była pogrążona w ciszy. Dlaczego nie świta?

Joan owinął się derką i podszedł do okna.

Jeszcze jedna wieś. Jeszcze jedna noc upływająca w oczekiwaniu na świt.

Oby te dwa dni minęły jak najszybciej...

Rano przed domem inkwizytora stał sznur ludzi pilnowany przez żołnierzy.

Przedstawiła się jako pątniczka. Joan udał niewielkie zainteresowanie blondynką, która weszła jako czwarta. Przesłuchanie trzech pierwszych osób niewiele dało. Pątniczka stała przed stołem, za którym zasiadał Joan i sekretarz. Na palenisku trząskła ogień. W izbie byli tylko we troje. Żołnierze czekali przed domem. Nagle Joan podniósł wzrok. Kobieta zadrżała.

— Ty coś wiesz, prawda, Pątniczko? Bóg na nas patrzy. — Pątniczka przytaknęła, nie odrywając wzroku od klepiska. — Spójrz na mnie. Musisz na mnie patrzeć. Chyba nie chcesz się smażyć od ognia piekielnym? Spójrz na mnie. Masz dzieci?

Zapytana powoli podniosła oczy.

— Mam, ale... — wyjąkała.

— Ale to nie one grzeszą — wszedł jej w słowo Joan. — W takim razie kto? — Kobieta zawała się. — Kto, Pątniczko?

— Bluźni — rzuciła.

— Kto bluźni?

Piéro sekretarza zawisło w powietrzu.

— Ona... — Joan czekał w milczeniu. Nie było odwrotu. — Słyszałam, jak bluźni w gniewie... — Kobieta znów wbiła wzrok w klepisko. — Marta, siostra mojego męża. W gniewie wygaduje straszne rzeczy.

Zgrzytanie pióra zagłuszyło wszystkie inne odgłosy.

— Coś jeszcze, Pątniczko?

Tym razem zapytana spokojnie uniosła głowę.

— Nie, już nic.

— Na pewno?

— Przyśięgam. Musicie mi wierzyć.

Pomylił się tylko co do chłopca z czarnym pasem. Bosa Mężczyzna doniósł bowiem na dwóch pasterzy, którzy nie przestrzegali postu. Wyznał, że przyłapał ich na jedzeniu mięsa Wielki Post. Natomiast młoda wdowa z niemowlęciem doniosła na żonatego sąsiada, który czynił jej nieprzyzwoite propozycje... Raz nawet dotknął jej piersi. — A ty mu pozwoliłaś? — zapytał Joan. — Podołało ci się? kobieta wybuchła płaczem.

— Czulaś rozkosz? — drążył Joan.

— Nie mieliśmy co jeść — zaszlochała, wskazując dziecko. Sekretarz zapisał imię matki. Joan wbił w nią wzrok. I co za to dostałaś? — pomyślał. Kawalek czerstwego chleba? Tyle jest warta twa cnota?

— Przyznała się! — krzyknął, wymierzając w nią palec. Dwóch mężczyzn doniosło na sąsiadów. Heretyków, jak zapewnili.

— Czasami budzą mnie w nocy dziwne odgłosy i widzę światło w ich oknach — powiedział jeden z nich. — Czczą diabła.

Czy m ci zawiñł sąsiad, że na niego donosisz? — pomyślał Joan. Dobrze wiesz, że nigdy nie pozna nazwiska donosiciela. Co zyskasz, jeśli go skażę? Kawalek pola?

— Jak ma na imię twój sąsiad?

— Anton, piekarz Anton.

Joan skończył przesłuchania dopiero o zmroku. Sekretarz podyktował przywołanemu oficerowi imiona osób, które nazajutrz o brzasku miały się stawić przed trybunałem inkwizycji.

Znowu noc, znowu cisza, zimno, migoczący płomień i... wspomnienia. Joan wstał z posłania.

Bluźniercy ni, rozpustnik i czciciel diabła. „O świecie będziecie moi”, rzucił przez zęby. Czy naprawdę trafił na wielbiciela szatana? Dostał już wiele podobnych donosów, ale tylko jeden okazał się prawdziwy. Czy tym razem mu się poszczęści? Jak zdemaskuje podejrzanego?

Poczuł zmęczenie, znów położył się na posłaniu i przyklnął powieki. Czciciel szatana...

— Przyśięgasz na świętą Ewangelię? — zapytał Joan, pierwsze promienie słońca zaczęły przedostawać się do izby parterze domu.

Mężczyzna przytaknął.

— Wiem, żeś zgrzeszył — oznajmił Joan.

Mężczyzna, który kupił chwilę rozkoszy od młodej wdowy i stał teraz między dwoma wyprężonymi żołnierzami, zbladł. Na jego czole perlil się pot.

— Jak ci na imię?

— Gaspar — padła odpowiedź.

— Wiem, żeś zgrzeszył, Gasparze — powtórzył Joan. Mężczyzna zaczął się jąkać:

— Ja... ja...

— Przyznaj się! — Joan podniósł głos.

— Ja...

— Chłosczzcie go, aż się przyzna! — Inkwizytor wstał, waląc w stół obiema pięściami.

Jeden z żołnierzy sięgnął po ramię przypięty do pasa. Przesłuchiwany padł na kolana przed Joannem i sekretarzem.

— Nie, błagam, ty lko nie chłosta.

— To się przyznaj.

Żołnierz szturchnął go w plecy, wciąż trzymając w ręku zwinięty bicz.

— Przyznaj się! — wrzasnął Joan.

— To... to nie moja wina. To ta kobieta. Rzuciła na mnie urok — Mężczyzna wypluwał gorączkowo słowa. — Jest rozpustna, mąż jej już nie zaspokaja. — Joan nie zareagował. — Nie daję mi spokoju, naprasza się. Uległem jej tylko kilka razy, ale... ale to się już nie powtórzy. Będę jej unikał. Przy sięgam.

— Cudzołożyłeś z nią?

— T... tak

— Ile razy?

— Nie wiem...

— Cztery? Pięć? Dziesięć?

— Cztery. Tak, na pewno cztery.

— Jak jej na imię?

Znów poszło w ruch pióro sekretarza.

— Jakich innych grzechów się dopuściłeś?

— Nie... już żadnego więcej, przy sięgam.

— Nie przy sięgaj nadaremno — Joan cedził powoli słowa. — Wy chłosczone go.

Po dziesięciu uderzeniach mężczyzna wyznał, że zabawiał się również z dziewczkami ulicznymi z targu w Puigcerda. Ponadto bluźnił, kłamał i dopuścił się wielu pomniejszych grzeszków. Po pięciu dodatkowych batach przypomniał sobie także młodą wdowę.

— Przyznał się! — zawyrokował Joan. — Jutro stawisz się na rynku na sermo generalis, podczas którego zostanie ci oznajmiona kara.

Skazany nie zdążył zaprotestować. Żołnierz wywlekił go przed dom, nie czekając, aż wstanie z kłęczek.

Marta, szwagierka Pątniczki, przyznała, się od razu. Po wezwaniu jej na następny dzień Joan przyjął spojrzeniem swego pomocnika.

— Wprowadźcie Antona Sinoma — rozkazał sekretarz oficerowi, zerknąwszy na listę podejrzanych.

Na widok czciciela szatana Joan wyprostował się na twardym drewnianym krześle. Ten garbaty nos, wysokie czoło, ciemne oczy...

Chciał usłyszeć jego głos.

— Przy sięgasz na świętą Ewangelię?

— Tak

— Jak się nazywasz? — zapytał, jeszcze zanim podejrzany przed nim stanął.

— Anton Sinom.

Ten niewielki, lekko przygarbiony człeczyna, ginący między pilnującymi go żołnierzami, odpowiadał na pytania z rezygnacją, która nie uszła uwagi inkwizytora.

— Zawsze tak się nazywałeś?

Anton Sinom zawahał się. Joan czekał na odpowiedź.

— Tutaj wszyscy znają mnie pod tym imieniem — odrzekł w końcu.

— A gdzie indziej? — Przedtem miałem inne imię.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Człeczcy na nie unikał wzroku inkwizytor.

— Czy aby na pewno chrześcijańskie?

Anton pokręcił głową. Joan stłumił uśmiech. Od czego zacząć? Powiedzieć, że wie, iż zgrzeszył? Ten przechrzta nie da się nabrać. We wsi go nie zdemaskowano, w przeciwnym razie wielu sąsiadów by go wydało, częste były bowiem donosy na przechrzczonych Żydów. Najwyraźniej nasz Sinom to sprytna szuka. Joan przyglądał mu się przez kilka sekund, zastanawiając się, co też ukrywa. Dlaczego w jego domu w środku nocy pali się światło?

Joan wstał i wyszedł przed dom. Sekretarz i żołnierze ani drgnęli. Gdy zamknął za sobą drzwi, tłoczący się przed chałupą gapie zamarli. Joan zlekceważył ich i zwrócił się do oficera:

— Czy przyszła rodzina tego w środku?

Oficer wskazał kobietę i dwóch chłopców, którzy się w niego wpatrywali. Było w nich coś...

— Czym trudni się ten chłop? Jak wygląda jego dom? Jak zareagował na wezwanie?

— Jest piekarzem — odparł oficer. — Ma piekarnię na parterze domu. A sama chałupa? Zwyczajna, czysta. Rozmawialiśmy nie z nim, ale z jego żoną.

— Nie było go wtedy w piekarni?

— Nie.

— Odwiedziście go o świcie, jak wam przykazałem? — Tak, bracie Joanie.

„Czasami w nocy budzi mnie...”. Jego sąsiad powiedział „budzi mnie”. Piekarz... piekarz wstaje przed świtem. „Nie sypiasz, Sinomie? Skoro musisz wstać przed świtem...”. Joan znów przyjrzał się rodzinie podejrzanego stojącej w pewnej odległości od gawiedzi. Przez chwilę chodził przed domem, po wszedł zdecydowanie do środka. Pod jego nieobecność sekretarz, żołnierze i przesłuchiwany nie ruszyli się z miejsca.

Joan podszedł do przechrzty tak blisko, że ich twarze niemal się zetknęły. Następnie wrócił na swoje miejsce.

— Rozbierzcie go — rozkazał żołnierzom.

— Jestem obrzezany. Przecież już mówi...

— Rozbierzcie go!

Żołnierze ruszyli do Sinoma, ale jeszcze zanim się na niego rzucili, jego oczy, skierowane na Joana, potwierdziły podejrzenia dominikanina.

— A teraz — powiedział, gdy mężczyzna był już nagi — co masz mi do powiedzenia?

Przechrzta starał się nie tracić zimnej krwi.

— Nie wiem, do czego zmierzasz — odparł.

— Zmierzam do tego — Joan zniżył głos, przeżuując każde słowo — że masz brudną twarz i szyję, lecz pierś nieskazitelnie czystą. Że twoje dłonie i nadgarstki są ubrudzone, ale ramiona dokładnie wymyte. Że masz brudne stopy i kostki, ale nie nogi.

— Odsłonięte części ciała są podatne na zabrudzenia, przed którymi chroni ubranie — argumentował Sinom.

— Nawet przed mąką, piekarzu? Chcesz mi wmówić, że ubranie chroni piekarza przed mąką? Mam wierzyć, że przy piecu chlebowym pracujesz w tym samym ubraniu, w którym chodzisz zimą po dworze? Gdzie są ślady mąki na twoich ramionach? Dzisiaj mamy poniedziałek Święci-leś Dzień Pański?

— Tak

Joan zerwał się z krzesła, uderzając pięścią w stół.

— Ale poddałeś się również ablucjom zgodnie z heretyckim obyczajem! — krzyknął.

— Nie — jęknął Sinom.

— Przekonamy się, Sinomie, przekonamy się. Uwięźcie go i przy prowadźcie jego żonę i dzieci.

— Nie! — błagał Sinom, gdy żołnierze złapali go pod pachy i powlekli do piwnicy. — Oni nie mają z tym nic wspólnego!

— Stać! — rozkazał Joan. Żołnierze zatrzymali się i odwrócili przechrztę twarzą do inkwizytora. — Z czym nie mają nic wspólnego? Sinomie, z czym nie mają nic wspólnego?

Przyznał się, byle tylko oczyścić z podejrzeń swych bliskich. Gdy skończył, Joan kazał wtrącić go do lochu wraz z... rodziną. Następnie polecił wprowadzić pozostałych oskarżonych.

Inkwizytor zjawił się na rynku jeszcze przed świtaniem.

— Czy on nie śpiał? — zapytał jeden z żołnierzy towarzysza, ziewając szeroko.

— Nie — usłyszał w odpowiedzi. — Podobno całymi nocami krąży po izbie.

Żołnierze przyjrzeni się Joanowi, który kończył przygotowywać kazanie wieńczące jego misję. Znoszony, sztywny od brudu czarny habit zdawał się krępować mu ruchy.

— Nie śpi, nie je... — mruknął pierwszy z nich.

— Żyje nienawiścią — wtrącił przysłuchujący się rozmowie oficer.

O brzasku na plac zaczęli schodzić się ludzie. Z przodu, w pewnej odległości od reszty mieszkańców, ustawiono oskarżonych, w tym również dziewięcioletniego Alfonsa. Pilnowali ich żołnierze inkwizycji.

Na znak Joana miejscowi dygnitarze, przysięgłszy posłuszeństwo Świętej Inkwizycji, zobowiązali się wymierzyć zasądzone kary. Osoby, które dobrowolnie przyznały się do winy w pierwszych trzech dniach działania trybunału, dostały łagodniejszy wyrok. Większość musiała odbyć pielgrzymkę pokutną do katedry w Geronie. Alfons miał przez miesiąc pomagać jeden dzień w tygodniu sąsiadowi, któremu ukradł fasolę. Gdy Joan odczytywał akt oskarżenia Gaspara, rozległ się krzyk

— Ty zdiuro! — Jakiś chłop rzucił się na kobietę, która spółkowała z Gasparem. Żołnierze zasłonili ją. — A więc to jest grzech, który przede mną ukrywałaś? — pokrzykiwał zdradzony mąż zza ich pleców.

Gdy zamilkł, Joan odczytał wyrok

— Przez najbliższe trzy lata co niedziela, od wschodu do zachodu słońca, będziesz klęczał w szacie pokutnej przed kościołem. A jeśli chodzi o ciebie... — zwrócił się do kobiety — Domagam się prawa ukarania jej! — wrzasnął mąż. Joan spojrzął na cudzołożnicę. „Masz dzieci?”, chciała ją zapytać. Co one zawiniły? Dlaczego mają od tej pory wdrapywać się na skrzynkę i rozmawiać z matką przez maleńkie okienko, czekając na pieszczotę choćby matczynej ręki? Lecz mężowi przysługuje prawo...

— Jeśli chodzi o ciebie — powtórzył — przekazuję cię władzom świeckim, by zgodnie z prawem Katalonii żądaniu twego męża stało się zadość...

Joan dalej odczytywał akty oskarżenia i wyroki.

— Antonie Sinomie, ty i twoja rodzina oddani zostaniecie w ręce wielkiego inkwizytora.

— W drogę — rozkazał Joan, zapakowawszy swój skromny dobytek na mulicę.

Spojrzął po raz ostatni na wioskę, mając w uszach własne słowa pobrzmiwające ciągle echem na niewielkim ryneczku. Jeszcze dzisiaj miał dotrzeć do kolejnej wsi, a potem do następ-

nej i następnej. A tamtejsi mieszkańcy — pomyślał — znów będą mnie obserwować i słuchać w twodze. A potem zaczną na siebie donosić i wywlekać na światło dzienne wzajemne przewinienia. A ja ich przesłucham, próbując wyczytać grzech z gestów, spojrzeń, z milczenia, z emocji...

— Spieszmy się, oficerze. Przed południem chcę być już na miejscu.

CZEŚĆ CZWARTA



SŁUDZYPRZEZNACZENIA



46

*Barcelona,
Wielkanoc 1367 roku*

Kapłani odprawiali misterium paschalne, podczas gdy Arnau klęczał przed swą Madonną, patronką morza. Wszedł do świątyni razem z Elionor. Kościół był wypełniony po brzegi, ale tłum zaczął się przed nim rozstępować, przepuszczając go pod sam ołtarz. Po drodze Arnau rozpoznawał uśmiechnięte twarze: ten dostał od niego pożyczkę na zakup nowej łodzi, tamten powierzył mu swe oszczędności, ten z kolei poprosił go o pieniądze na posag dla córki, natomiast tamten, ze wzrokiem wbitym w posadzkę, ciągle zalegał ze spłatą długu. Arnau zatrzymał się przy nim i ku zgrozie Elionor Podał mu rękę.

— Pokój z tobą — pozdrowił go.

Twarz dłużnika pojaśniała, a Arnau ruszył ku głównemu ołtarzowi. Tylko oni mu zostali, zwierzył się Madonnie: ludzie ubodzy, którzy cenią go za okazaną im pomoc. Joan pojechał tępić grzech, a po Guillemie słuch zaginął. A Mar? Cóż ma powiedzieć o Mar?

Elionor kopnęła go w kostkę. Gdy spojrzał na nią pytająco, dała znak, by czym prędzej wstał. „Widziałeś kiedykolwiek, by jakiś możny klęczał tak długo jak ty?”, wypominała mu nieraz. Arnau nie posłuchał, a wtedy Elionor znów zaczęła go szturchać.

To mi właśnie pozostało, matko. Żona, która dba jedynie o pozory i domaga się ode mnie potomstwa. Powiniennem ulec? Przecież chodzi jej tylko o spadkobiercę, chce urodzić moje dziecko, by zapewnić sobie dostatnią przyszłość. Elionor znów go szturchnęła. Gdy się odwrócił, wskazała wzrokiem pozostałych możnych biorących udział w nabożeństwie: niektórzy stali, ale większość siedziała — nikt oprócz Arnaua nie klęczał.

— Świętokradztwo! — krzyknął ktoś nagle.

Kapłani zamarli, Arnau wstał, wierni odwrócili się w stronę głównego wyjścia.

— Świętokradztwo! — zawołano ponownie.

Kilku mężczyzn przepychało się do ołtarza, krzycząc coś o świętokradztwie, o heretykach, demonach i o... Żydach! Choć przyszli porozmawiać z duchownymi, jeden z nich zwrócił się do wszystkich wiernych:

— Żydzi zbezczeszcili przenaświętą hostię! — krzyknął. Odpowiedział mu głuchy pomruk.

— Nie dość, że zabili Chrystusa — ciągnął ten sam mężczyzna, stojąc już na stopniach ołtarza — to jeszcze profanują jego ciało!

Pomruk zamienił się we wrzawę. Odwracając się w stronę tłumy, Arnau napotkał spojrzenie Elionor.

— Bardzo proszę, twoi kochani Żydzi... — usłyszał. Wiedział, co żona ma na myśli. Od ślubu Mar nie mógł znaleźć sobie miejsca w pałacu i często popołudniami odwiedzał swego starego przyjaciela Hasdaia i gawędził z nim do późna. Nie zdążył odpowiedzieć Elionor, bo siedzący obok nich możnowładcy i patrycjusze przyłączyli się do komentarzy i uwag prostego ludu:

— Gnębią Chrystusa nawet po jego śmierci — powiedział jeden z nich.

— Przecież prawo nakazuje im przebywać podczas świąt Wielkiejnocy w domu i zamykać drzwi i okna. Jak zdołali... — zastanawiał się jego sąsiad.

— Pewnie uciekli — padła odpowiedź.

— A co z naszymi dziećmi? — wtrącił kobiecy głos. — Ani chybi uprowadzili też jakieś chrześcijańskie dziecko, by je ukrzyżować i zjeść jego serce...

— I wypić krew — dorzucił ktoś inny.

Arnau nie mógł oderwać oczu od rozwścieczonej grupki. Jak oni mogą? Znów skrzyżował spojrzenia z Elionor. Uśmiechała się.

— Twoi kochani Żydzi... — powtórzyła z szyderstwem w głosie.

W tej samej chwili tłum wypełniający kościół Santa Maria zaczął nawoływać do zemsty i wykrzykiwać: „Heretycy!”, „Świętokradcy!”, „Bić Żyda!”. Arnau patrzył, jak rzucają się do wyjścia. Możli pozostali z tyłu.

— Jeśli się nie pospieszysz — dobiegł go głos Elionor — nie wpuszczą cię do getta.

Arnau spojrział na żonę, potem przeniósł wzrok na Madonnę. Zgiełk dochodził teraz z ulicy Mar.

— Skąd w tobie tyle nienawiści, Elionor? Przecież masz wszystko, o czym tylko zamarzysz.

— Nie, Arnau. Wiesz, że to nieprawda. Brakuje mi czegoś, co zapewne dajesz swoim żydowskim znajomym.

— O czym ty, kobieto, mówisz?

— O tobie, Arnau, o tobie. Chyba nie muszę ci przypominać, że nigdy nie spełniłeś małżeńskiego obowiązku.

Arnau przypomniał sobie chwile, kiedy odrzucił umizgi Elionor — najpierw delikatnie, nie chcąc jej urazić, potem opryskliwie i bezceremonialnie.

Król kazał mi się z tobą ożenić, nie napomknął jednak o zaspokajaniu twoich potrzeb w alkowie — odciał się.

— Król pewnie nie, ale Kościół, owszem.

— Bóg nie może mnie zmusić do obcowania z tobą!

Elionor wysłuchiwała słów Arnaua, patrząc mu prosto w oczy. Następnie bardzo powoli odwróciła głowę w stronę głównego ołtarza. Zostali w świątyni sami... tylko trzech duchowni w milczeniu przy słuchiwali się tej małżeńskiej kłótni. Arnau również zerknął na kapłanów. Gdy spojrzenia małżonków znów się spotkały, Elionor zmrużyła oczy.

Nie powiedziała nic więcej. Arnau odwrócił się i ruszył do wyjścia.

— Tak, tak, biegnij do swojej żydowskiej kochaneczki! — dobiegł go krzyk żony.

Ciarki przeszły mu po plecach.

Arnau, który również w tym roku piastował funkcję konsula morskiego, udał się w odświętnych szatach do dzielnicy żydowskiej. W miarę jak mijał ulicę Mar, plac Błat, stromą ulicę Presó, zgiełk ciżby narastał. Wreszcie dotarł do kościoła Świętego Jakuba, gdzie ludzie stłoczeni pod dzielnicą żydowską — strzeżoną przez żołnierzy — nawoływali do zemsty. Mimo zamętu Arnau szybko znalazł się pod bramą.

— Nie wolno nam nikogo wpuszczać, czcigodny konsulu — powiedział oficer straży. — Czekamy na rozkazy księcia Jana, syna i namiestnika naszego króla Piotra Trzeciego.

Rozkazy nadeszły. Następnego ranka książę Jan polecił uwięzić wszystkich barcelońskich Żydów w głównej synagodze i trzymać ich tam bez jedzenia i picia, póki nie wskażą winnych profanacji.

— Pięć tysięcy ludzi — wymamrotał Arnau, siedząc w swoim gabinecie na giełdzie, gdy przekazano mu tę wiadomość. — Pięć tysięcy ludzi stłoczonych w synagodze bez jedzenia i picia! Co stanie się z dziećmi i z noworodkami? Czego książę się spodziewa? Tylko dureń może oczekiwać, że jakkolwiek Żyd przyzna się do zbezczeszczenia hostii. Trzeba być skończonym głupcem, by sądzić, że ktoś wyda się na pewną śmierć.

Uderzył pięścią w stół i wstał. Woźny, który przekazał wiadomość, aż podskoczył.

— Wezwij gwardię — rozkazał Arnau.

Konsul kroczył w pośpiechu przez miasto w eskorcie sześciu uzbrojonych missatges. Bramy dzielnicy żydowskiej, wciąż strzeżonej przez oddziały królewskie, były otwarte na oścież. Tłum już się rozszedł, tylko setka ciekawskich zaglądała przez bramę, niewiele sobie robiąc z kuksańców żołnierzy.

— Kto wami dowodzi? — zapytał Arnau oficera straży.

— Naczelnik jest w środku.

— Wezwijcie go.

Naczelnik miasta nie pozwolił na siebie długo czekać. — Co cię tu sprowadza? — spytał, wyciągając dłoń do Arnaua.

— Przy szedłem porozmawiać z Żydami.

— Książę rozkazał...

— Wiem — przerwał mu Arnau. — Właśnie dlatego tu jestem. Wiele rozpoczętych formalności oraz transakcji handlowych dotyczy Żydów. Muszę je z nimi omówić.

— Ale książę... — upierał się naczelnik.

— Książę żyje z Żydów! Na rozkaz króla wypłacają mu dwanaście tysięcy soldów rocznie. — Naczelnik przytaknął. — Nie wątpię, że księciu zależy na wykryciu sprawców profanacji. Ale wierz mi, zależy mu również na tym, by interesy starozakonnych zbyt nie ucierpiały, bo w przeciwnym razie... Nie zapominaj, że zdecydowana większość z tych dwunastu tysięcy soldów pochodzi właśnie od społeczności żydowskiej Barcelony.

Nie namyślając się dłużej, naczelnik przepuścił konsula i jego straż przy boczną.

— Są w głównej synagodze — rzucił ty lko.

— Wiem, wiem.

W dzielnicy żydowskiej wrzało, mimo że wszyscy jej mieszkańcy siedzieli pod kluczem w boż-

nicy. Po drodze Arnau widział czarnych mnichów, którzy wywracali do góry nogami dom po domu w poszukiwaniu zakrwawionej hostii.

Pod synagogą natknął się na kolejny oddział gwardii królewskiej.

— Przyszedłem porozmawiać z Hasdaiem Crescasem. Żołnierz dowodzący oddziałem już miał zaprotestować, ale na znak towarzyszącego konsulowic oficera wyraził zgodę.

Arnau rozejrzał się, czekając na Hasdaia. Okoliczne domy przedstawiały żaloszny widok. Wszystkie miały otwarte na oścież drzwi, przez które co rusz wybiegali mnisi, niosąc jakieś przedmioty. Pokazywali je współbraćiom, a ci oglądali je bacznie, po czym kręcili głowami i ciskali na ziemię, gęsto usianą żydowskim dobytkiem. I kto tu dopuszcza się profanacji? — zastanawiał się Arnau.

— Czcigodny konsulu — usłyszał za sobą.

Odwrócił się i ujrzał Hasdaia. Przez kilka sekund patrzył mu w oczy, w których malowała się rozpacz. Arnau kazał strażnikom zostawić ich samych. Missatges posłuchali, ale żołnierze królewscy nie ruszyli się z miejsca.

— Czyżby interesowały was sprawy Konsulatu Morskiego? — zapytał Arnau. — Dołączcie do moich ludzi. Tematy konsularne są tajne.

Żołnierze posłuchali, aczkolwiek z ociąganiem.

— Mam ochotę cię uściskać — powiedział Arnau, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć.

— To byłoby nierozważne.

— Jak to znosicie?

— Źle, Arnau, źle. Ja i inni starcy już się nie liczy my. młodzi jakoś wytrzymają, ale dzieci od wielu godzin nie jedzą i nie piją. W środku jest dużo noworodków, gdy matkom zabraknie pokarmu... Minęło dopiero kilka godzin, jednak potrzeby naturalne...

— Mogę wam jakoś pomóc?

— Próbowaliśmy pertraktować, ale naczelnik nie chce nas wysłuchać. Wiesz dobrze, że istnieje tylko jeden sposób. Kup naszą wolność.

— Ile mogę...

Głos ugrzął Arnauowi w gardle na widok oczu Hasdaia kosztuje życie pięciu tysięcy Żydów?

— Liczę na ciebie, Arnau. Moja wspólnota jest w niebezpieczeństwie.

Arnau wyciągnął do niego rękę.

— Liczymy na ciebie — powtórzył Hasdaid, ściskając ją.

Arnau znów przeszedł obok mnichów w czerni. Znaleźli już zakrwawioną hostię? Coraz więcej przedmiotów, teraz nawet mebli, wałało się na ulicach. Pożegnał się z naczelnikiem. Jeszcze dzisiaj umówi się z nim na rozmowę. Ale... ile warte jest ludzkie życie? A życie całej społeczności? Arnau handlował rozmaitymi towarami: tkaninami, przyprawami, zbożem, zwierzętami, łodzia- mi, złotem i srebrem. Znał również cenę niewolników. Ale... ile kosztuje przyjaciel?

Arnau skręcił w lewo w ulicę Bany s Nous, przeszedł przez plac Blat i udał się na ulicę Carders, zatrzymał się jednak niedaleko skrzyżowania z Montcada, gdzie stał jego dom. Po co tu przyszedł? Do Elionor? Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem ku ulicy Mar, a stamtąd do swego kantoru. Odkąd przyszedł na małżeństwo Mar... Od tamtej pory Elionor ani na chwilę nie przestała mu się narzucać. Z początku wzięła się na sposób: ni z tego, ni z owego zaczęła go nazywać „ukochanym”, dopytywać się o jego pracę, troszczyć o to, co je, a nawet jak się czuje. Nigdy wcześniej tego nie robiła! Jednak gdy umizgi nie przyniosły rezultatu, zdecydowała się na atak frontalny.

„Jestem kobietą”, oznajmiła mu pewnego razu. Najwyraźniej nie spodobało się jej spojrzenie, jakim ją obrzucił, bo nic już nie dodała... przez następne kilka dni. Ale potem powiedziała: „Musimy skonsumować nasze małżeństwo. Żyjemy w grzechu”.

— Od kiedy troszczy się o moje zbawienie? — mruknął Arnau.

Jednak impertynencja męża nie zrażała Elionor. W końcu Postanowiła wtajemniczyć we wszystkie ojca Julii Andreu, kapłana z kościoła Santa Maria, który, owszem, miał obowiązek troszczyć się o zbawienie wiernych. Tym bardziej że Arnau należał do parafian najbliższych jego sercu. Nie da mu się tak łatwo zbyć.

— Nie mogę, ojczu — odpowiedział Arnau duchownemu który zagadnął go pewnego dnia w świątyni.

Nie kłamał. Zaraz po wydaniu Mar za rycerza de Ponts, Arnau próbował zapomnieć o swej wychowawcy i — dlaczego nie? — stworzyć rodzinę. Został sam. Wszystkie bliskie mu osoby go opuściły. Ale może przecież mieć dzieci, bawić się z nimi, poświęcić się im, odnaleźć dzięki nim cel w życiu. I tylko Elionor może mu je dać. Jednak kiedy patrzył na jej zaloty, na jej natrętność, gdy słyszał obłudny, wymuszony szczebiot, jakże inny od głosu, którym dotychczas się do niego zwracała, cały jego plan brał w łeb.

— Co chcecie przez to powiedzieć, synu? — dociekał kapłan.

— Król dał mi Elionor za żonę, nie pytając, czy mi się podoba.

— Baronowa...

— Baronowa mnie nie pociąga, ojczu. Moje ciało pozostaje zimne.

— Znam dobrego medyka... Arnau się uśmiechnął.

— Nie, ojczu, nie o to chodzi. Nic mi nie dolega, po prostu...

— W takim razie musicie się przemóc i spełnić małżeński obowiązek. Nasz Pan oczekuje...

Arnau znosił ze spokojem pouczenia duchownego, póki nie wyobraził sobie Elionor opowiadającą kapłanowi niestworzone historie. Co oni sobie wyobrażają?

— Posłuchajcie, ojczu — przerwał księdzu. — Nie mogę. Zmusić ciało, by pożałowało kobiety, która go nie pociąga. — Kapłan chciał zaprotestować, lecz Arnau nie dał mu dojść do słowa. — Przy sięgałem wierność żonie i przysięgi dotrzymuję, nikt nie może mi pod tym względem niczego zarzucić. Często przychodzę się tu modlić i łożę na budowę kościoła. Myślę, że pomagając w jego powstawaniu, pokutuję za słabości mego ciała.

— Synu...

— A jakie jest wasze zdanie, ojczu?

Ksiądz odwołał się do swej lichej wiedzy teologicznej, by odeprzeć argumenty rozmówcy — bezskutecznie. Oddalił się więc pospiesznie i zniknął między robotnikami. Zostawszy sam, Arnau uklęknął przed Madonną.

— Nie potrafię przestać o niej myśleć, matko. Dlaczego pozwoliłaś mi ją wydać za porywacza?

Nie widział Mar od dnia ślubu. Gdy Felip de Ponts umarł kilka miesięcy później, próbował się z nią zobaczyć, ale Mar odmówiła. Może to i lepiej, tłumaczył sobie. Przy sięga złożona Madonnie wiązała go silniej niż kiedykolwiek musi dotrzymać wierności kobiecie, której nie kocha i nie potrafi pokochać. A zapomnieć o jedynej osobie, z którą może być szczęśliwy?

— Znalaziono już hostię? — zapytał naczelnika. Siedzieli naprzeciwko siebie w pałacu przy pla-
cu Blat.

— Nie — usłyszał w odpowiedzi.

— Rozmawiałem z rajcami. — Zgadzą się ze mną, że uwięzienie Żydów może bardzo zaszkodzić interesom Barcelony. Właśnie rozpoczął się sezon żeglugowy. Jeśli zajdziesz do portu, zobaczysz, że wiele statków nie może wypłynąć. Wiozą towary powierzone im przez Żydów. Albo je wyładują, albo zaczekają na kupców, którzy mieli wypłynąć razem z nimi. Sęk w tym, że nie cały ładunek jest własnością Żydów, część należy do chrześcijan.

— Dlaczego nie wyładują towarów żydowskich? — To by podniosło koszty transportu. Naczelnik rozłożył ręce w geście bezsilności.

— Rozdzielcie ładunki Żydów i chrześcijan na oddzielne statki — zaproponował po chwili. Arnau pokręcił głową.

— To niemożliwe. Statki mają różne trasy. Przecież wiesz, że sezon żeglugowy trwa krótko. Jeśli okręty będą zwlekać z wypłynięciem, cały handel się opóźni i nie wrócą na czas.

Przypadnie im jakiś rejs, co z kolei odbije się na cenie towarów. Wszyscy na tym stracimy. — Ty również, pomyślał. — Poza tym statki nie powinny stać w nieskończoność w porcie. To niebezpieczne. Jeśli zerwie się sztorm...

— Co więc proponujesz?

Puśćcie ich wolno. Niech mnisi przestaną płądrować ich domy i zwrócą Żydom ich własność. Niech...

— Ukarcie Żydów grzywną.

— Lud domaga się winnych, a książę obiecał ich wytropić. Profanacja hostii...

— Profanacja hostii powinna kosztować więcej niż zwyczajne przestępstwo. — Po co się kłócić, skoro Żydzi zostali zawczasu osądzeni i skazani? I to bez względu na to, czy dominikanie znajdują zakrwawioną hostię, czy nie. Naczelnik zawahał się, ściągnął brwi. — Warto spróbować. Jeśli się uda, zapłacą Żydzi, tylko Żydzi. W przeciwnym razie czeka nas kiepski sezon i wszyscy na tym ucierpimy.

Wśród robotników, zgiełku i pyłu Arnau podniósł wzrok na zwornik drugiego sklepienia, ostatniego z czterech tworzących nawę główną kościoła Santa Maria. Na wielkim kamieniu przedstawiono zwiastowanie: Najświętsza Panna w czerwonym płaszczu przetykanym złotem słucha na kłęczkach anioła, przepowiadającego jej rychłe macierzyństwo. Jaskrawe kolory — czerwony, niebieski, a przede wszystkim złoty — przyciągnęły uwagę Arnaua. Piękna scena. Naczelnik przemysłał jego argumenty i ostatecznie ustąpił.

Dwadzieścia pięć tysięcy funtów i piętnastu winowajców! Taką właśnie odpowiedź otrzymał nazajutrz od naczelnika, który spotkał się z doradcami księcia Jana.

— Piętnastu winowajców? Chcecie stracić piętnaście osób dla widzimi się czterech szaleńców? Naczelnik uderzył pięścią w stół.

— Ci szaleńcy to święty Kościół katolicki.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda — obstawał przy swoim Arnau. Wymienili spojrzenia.

— Bez winowajców — uciał Arnau.

— To niemożliwe. Książę...

— Bez winowajców! Dwadzieścia pięć tysięcy funtów to majątek.

Arnau opuścił pałac naczelnikowski i ruszył na ośle przed siebie. Co powie Hasdaiowi? Że piętnastu z nich musi umrzeć? Nie mógł przestać myśleć o pięciu tysiącach ludzi stłoczonych w synagodze bez wody i jedzenia...

— Kiedy dostanę odpowiedź? — zapytał naczelnika.

— Księżę jest na polowaniu.

Na polowaniu! Księżę kazał uwięzić pięć tysięcy osób i pojechał na polowanie! Barcelonę dzieliły od Gerony, należącej do syna Piotra III — księcia Gerony i Cervery — nie więcej niż trzy godziny konnej jazdy, mimo to Arnau musiał czekać na odpowiedź aż do następnego popołudnia.

— Trzydzieści pięć tysięcy funtów i pięciu winnych. Tysiąc funtów za każdego uratowanego Żyda. Czy tyle właśnie kosztuje człowiek? — pomyślał Arnau.

— Czerdzieści tysięcy bez winnych.

— Nie.

— Będę interweniował u króla.

— Dobrze wiesz, że król jest zbyt zajęty wojną z Kastylią, by szukać zwady z własnym synem. Nie bez powodu mianował go namiestnikiem.

— Czerdzieści tysięcy, ale bez winnych.

— Nie, nie...

— Chociaż zapytaj! — krzyknął Arnau, tracąc nad sobą panowanie. — Błagam... — opamiętał się.

Smród zemdlił go, zanim doszedł do synagogi. Ulice przedstawiały jeszcze żałośniejszy widok niż poprzednio: wszędzie walał się żydowski dobytek. Z domów dobiegał stukot; to mnisi w czerni rozkuwali ściany i zrywali podłogi, szukając sprofanowanego ciała Chrystusa. Podczas rozmowy z Hasdaiem — któremu tym razem towarzyszyło dwóch rabinów i dwóch innych przywódców wspólnoty — Arnauowi trudno było zapanować nad emocjami. Piekły go oczy — czy to z winy wszechobecnego zapachu moczu, czy raczej wieści które przyniósł.

Przez kilka sekund, słuchając jęków dobiegających z bożnicy przy patrywał się mężczyznom, którzy łapczywie wdychali świeże powietrze. Co się musi dziać tam, w środku? Przyspieszony oddech pięciu Żydów na chwilę zamarł, gdy rozglądali się kątem oka po getcie.

— Domagają się winnych — powiedział Arnau, gdy cała piątka doszła do siebie. — Zaczęło się od piętnastu, potem spuścili do pięciu i mam nadzieję...

— Nie możemy czekać — przerwał mu rabin. — Dzisiaj zmarł jeden ze starców. Od dawna chorował, ale nasi lekarze nie mogli mu ulżyć w cierpieniu, nie mieli nawet czym zwilżyć mu warg. Nie pozwolono nam go pochować. Wiesz, co to znaczy? — Arnau przytaknął — Jutro fetor rozkładających się zwłok dołączy do...

— Jesteśmy stłoczeni — wszedł mu w słowo Hasdai — do granic możliwości. Ludzie... ludzie nie mogą wstać, by załatwić potrzeby. Matkom skończył się pokarm, którym żywiły własne niemowlęta i pozostałe spragnione dzieci. Jeśli poczekamy jeszcze kilka dni, nie skończy się tylko na pięciu ofiarach...

— I czterdziestu pięciu tysiącach funtów — dodał Arnau.

— Mniejsza o pieniądze, gdy całe społeczeństwo grozi zagładą — zabrał głos drugi rabin.

— W takim razie? — zapytał Arnau.

— Wstaw się jeszcze za nami — poprosił go Hasdai. Dodatkowe dziesięć tysięcy funtów dodało najwyraźniej skrzydeł księżęcym posłańcom. A może księżę Jan wcale nie opuścił miasta... Arnauowi wyznaczono spotkanie na Trzech winnych.

— Mowa o ludzkim życiu! — krzyczał Arnau do naczelnika

— O Żydach. Mówimy o Żydach. O heretykach stanowiących własność króla. Gdyby nie jego wspierałyśmy, wszyscy byliby już martwi. Monarcha zdecydował, że trzech z nich musi zapłacić za profanację hostii. Tego żąda lud.

Od kiedy król bierze sobie do serca żądania ludu? — pomyślał Arnau.

— Poza tym — zauważył naczelnik miasta — rozwiązemy za jednym zamachem problem konsultatu.

Trup starca, wyschnięte piersi matek, płacz dzieci, jęki, fetor — wszystko to skłoniło Arnaua do wyrażenia zgody. Naczelnik z ulgą opadł na oparcie fotela.

— Ale pod dwoma warunkami — zaznaczył Arnau, zmuszając go ponownie do koncentracji. — Pierwszy: Żydzi sami wybiorą winnych. — Naczelnik skinął głową. — Drugi: ugoda zostanie zaakceptowana przez biskupa, który zobowiąże się ostudzić nastroje wiernych.

— Już tego dopilnowałem. Myślisz, że uśmiecha mi się kolejny pogrom?

Procesja wyruszyła z getta. Drzwi i okna wszystkich żydowskich domów były zamknięte, a ulice opustoszałe. Panująca wokół cisza była jak wyrzut wobec tumultu dobiegającego zza murów getta, gdzie tłum zgromadził się wokół biskupa — odzianego w złote szaty połyskujące w śródziemnomorskim słońcu — oraz niezliczonych kapłanów i czarnych mnichów, ustawionych rzędem wzdłuż ulicy Boqueria. Duchownych oddzielały od mieszkańców Barcelony dwa szeregi królewskiej straży.

Kiedy w bramie getta ukazały się trzy postacie, zgiełk sięgnął zenitu. Tłum wyrzucił ponad głowy zaciśnięte pięści, a wyciska zmieszały się z metalicznym szczękiem mieczy, wyciąganych z pochew przez żołnierzy chroniących orszak. Gdy trzy postacie, o stopach i nadgarstkach skutykanych łańcuchami, wprowadzone zostały między dominikanów, procesja — otwierana przez biskupa Barcelony — ruszyła. Mimo obecności żołnierzy i zakonników ludzie ani na chwilę nie przestali obrzucać kamieniami i opluwać trzech skazańców.

Arnau modlił się w kościele Santa Maria. Wcześniej udał się do getta, gdzie znów został przyjęty pod synagogą przez Hasdaia, rabinów i przywódców wspólnoty.

— Trzech winowajców — powiedział, starając się patrzeć im w oczy. — Możecie... możecie sami ich wskazać.

Nie odezwali się, powiedli tylko wzrokiem po ulicach getta, a dobiegające z bożnicy skargi i jęki przenikały ich myśli. Arnau nie miał odwagi zostać z nimi dłużej, wychodząc, pożegnał się w bramie z naczelnikiem. „Trzej niewinni ludzie... Bo przecież wiesz równie dobrze jak ja, że zarzut o profanacji hostii to oszczerstwo”.

Arnau słyszał wrzawę dobiegającą z głębi ulicy Mar. Głuchy pomruk wypełnił kościół — wdarł się przez niedokończone otwory drzwiowe, wspiął niczym murarz po drewnianych rusztowaniach podtrzymujących nowe elementy konstrukcji i wbił pod samo sklepienie. Trzej niewinni ludzie! Jak ich wybrano? Wskazali ich rabini? A może zgłosili się na ochotnika? Arnau przypominał sobie wzrok Hasdaia rozglądającego się po ulicach getta. Co kryło się w jego oczach? Rezygnacja? Czy nie było to aby spojrzenie... pożegnalne? Arnau zadrżał. Zrobiło mu się słabo i musiał przytrzymać się kłęcznika. Procesja była coraz bliżej. Zgiełk narastał. Arnau wstał i popatrzył na plac Santa Maria. Za chwilę tu będą. Stał bez ruchu, póki nie ogłuszyły go wyzwicka pospólstwa.

Wtedy pobiegł do wyjścia. Nikt nie usłyszał jego rozpaczliwego krzyku. Nikt nie dostrzegł jego łez. Nikt nie widział, jak osuwa się na kolana na widok zakutego w kajdany Hasdaia powłóczącego

nogami w deszczu obelg, kamieni i płwocin. Hasdai minął kościół wpatrzony z kłęzącego mężczyzną, który tłukł pięściami w ziemię. Arnau nie podnosił wzroku, procesja nie znikła u wylotu ulicy, a ziemia nie zabarwiła się na czerwono. Wtedy ktoś uklęknął przed nim i delikatnie ujął jego dłoń.

— Tata nie chciałby, byś się zranił z jego powodu — powiedziała Raquel, gdy Arnau podniósł głowę.

— Oni... oni go zabijają.

— Tak

Arnau przyjrzał się twarzy dziewczynki, która teraz była już kobietą. Właśnie tutaj, pod tym kościołem ukrył ją przed laty. Raquel nie płakała. Mimo grożącego jej niebezpieczeństwa miała na sobie strój Żydówki z żółtą naszywką.

— Musimy być silni — powiedziała dziewczynka, którą Arnau zachował w pamięci.

— Dlaczego, Raquel? Dlaczego akurat on?

— Dla mnie. Dla Jucefa. Dla swoich wnuków: moich dzieci i dzieci Jucefa. Dla przyjaciół. Dla wszystkich Żydów z Barcelony. Powiedział, że jest stary, że zdążył nacieszyć się życiem.

Arnau wstał z pomocą Raquel i wsparty na niej ruszył za rozwrzeszczaną ciżbą.

Splonęli żywcem. Przywiązano ich do pali obłożonych chrustem i drwami, a potem podpalamo. Ani na chwilę nie umilkły krzyki chrześcijan świętujących zemstę. Gdy płomień dosięgł ciała Hasdaia, Żyd wznosił oczy ku niebu. Raquel wybuchnęła płaczem i objęła Arnaua, kryjąc twarz na jego piersi. Stali w pewnym oddaleniu od tłumy.

Arnau przygarnął ją, nie mogąc oderwać wzroku od płonącego przyjaciela. Wydało mu się, że Hasdai krwawi, jednak ogień szybko go pochłonął. Nagle przestały do niego docierać wrzaski gawiedzi, widział jedynie uniesione pięści... Wtem coś kazało mu spojrzeć w prawo. Pięćdziesiąt metrów od niego stał biskup, Wielki inkwizytor oraz Elionor, która pokazywała go palcem i coś mówiła. Towarzyszyła im inna elegancko ubrana dama, której Arnau z początku nie rozpoznał. Napotkał wzrok inkwizytora. Elionor wciąż krzyczała i gestykulowała, nie przestając na niego pokazywać.

— To ona. Ta Żydówka jest jego kochanką. Tylko spójrzcie. Widzicie, jak ją obściskuje?

W tej chwili Arnau mocniej przytulił Raquel szlochającą na jego piersi, podczas gdy płomień wzbijał się pod niebo w rytm wycia tłuszczy. Uciekając przed tym potwornym widokiem, przeniósł wzrok na Elionor. Wzdrygnął się na widok jej twarzy, emanującej ślepą nienawiścią i satysfakcją z dokonanej zemsty. Nagle doszedł go śmiech kobiety towarzyszącej jego żonie: nieomylny, szyderczy śmiech, który wyrył mu się w pamięci jeszcze w dzieciństwie — śmiech Margaridy Puig.



Była to od dawna obmyślana zemsta. Elionor miała sojuszników. A oskarżenie przeciwko Arnauowi i Żydówce Raquel stanowiło dopiero początek

Decyzje Arnaua Estanyola, barona Granollers, Sant Vicenc dels Horts i Caldes de Montbui, dopieky do żywego okolicznym możnym, zasiały bowiem ferment pośród ich poddanych... Niejeden z nich musiał dławić, z zaciętością większą niż dotychczas, chłopskie bunty. Ich uczestnicy domagali się zniesienia pewnych przywilejów, których Arnau, baron chłopskiego pochodzenia, wyrzekł się dobrowolnie. Pośród urażonych możnych znajdował się syn pana Navarcles, Jaume de Bellera, wykarmiony przez Francescę, oraz Genis Puig, którego Arnau Pozbawił domu i majątku. Najmłodszy Puig musiał zamieszkać w Navarcles, w starej chałupie należącej do jego dziadka, a ojca Graua, która nijak nie mogła się równać z pałacem przy ulicy Montcada. Obaj byli bogacze całymi dniami utyskiwali na swój los i obmyślali zemstę, która — jeśli wierzyć listom siostry Genisa, Margaridy — zaczęła się właśnie dopełniać.

Arnau uciszył marynarza składającego właśnie zeznania i odwrócił się do woźnego Konsulatu Morskiego, który przerwał posiedzenie trybunału.

— Oficer oraz kilku żołnierzy inkwizycji chcą się z wami widzieć — szepnął woźny, nachylając się nad Arnauem.

— Czego chcą? — Woźny wzruszył ramionami. — Niech zaczekają do końca rozprawy. — Arnau pozwolił zeznającemu marynarzowi kontynuować.

Jego towarzysz zmarł w czasie rejsu i właściciel statku chciał wypłacić jego spadkobiercom jedynie równowartość dwumiesięcznej pensji. Wdowa twierdziła jednak, że umowa obejmowała cały rejs, nie miesiące, a ponieważ jej mąż zmarł na pełnym morzu, przysługiwała jej połowa uzgodnionej sumy.

— Mówcie dalej — polecił Arnau, zerlając na wdowę i trójkę osieroconych brzdąców.

— Żaden marynarz nie przyjmuje zleceń na miesiące...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i na salę wkroczyło, odpychając bezceremonialnie woźnego,

siedmiu uzbrojonych żołnierzy inkwizycji.

— Arnau Estany ol? — zapytał oficer.

— Co to ma znaczyć?! — wykrzyknął Arnau. — Jak śmiecie zakłócać...

Oficer zatrzymał się dopiero tuż przed nim.

— Arnau Estany ol, konsul morski, baron Granollers?

— Przecież wiesz, że tak, oficerze — przerwał mu Arnau. — Ale...

— Z rozkazu Świętej Inkwizycji aresztuję was. Macie udać się ze mną.

Missatges zerwali się, by bronić swego konsula, lecz Arnau ich powstrzymał.

— Bądźcie tak dobrzy i przesunście się trochę — poprosił Arnau oficera inkwizycji.

Mężczyzna zawahał się. Konsul, bardzo spokojny, dał mu znak, by zaczął na niego przy drzwiach. W oficer, nie spuszczać aresztowanego z oka, odsunął się na tyle, by Arnau mógł widzieć rodzinę zmarłego marynarza.

— Rozstrzygam sprawę na korzyść wdowy i jej dzieci — zawyrokował, jak gdyby nigdy nic.

— Przysługuje im połowa pensji za cały rejs, a nie tylko za dwa miesiące, jak utrzymuje właściciel statku. Tak brzmi postanowienie tego trybunału.

Uderzył młotkiem w stół, wstał i skinął na oficera inkwizycji.

— Chodźmy — powiedział.

Wiadomość o zatrzymaniu Arnaua Estany ola rozniosła się po Barcelonie, a potem — za pośrednictwem możnych, kupców i zwykłych chłopów — po sporej części Katalonii.

Kilka dni później dotarła do inkwizytora siejącego postrach wśród mieszkańców małego grodu na północy księstwa.

Joan spojrzął na oficera, który przekazał mu nowinę.

— Wszystko wskazuje na to, że to prawda — usłyszał. Inkwizytor odwrócił się do ludzi.

O czym ten człowiek mówi? Arnau aresztowany?

Znów przeniósł wzrok na oficera, który skinął głową.

— Arnau?

Ludzie zaczęli kręcić się nerwowo. Joan chciał kontynuować kazanie, ale głos uwiązł mu w gardle. Gdy jeszcze raz popatrzył na oficera, dostrzegł na jego wargach uśmiech.

— Dlaczego milczycie, bracie Joanie? — rzucił żołnierz. — Grzesznicy czekają.

Joan znów obrzucił spojrzeniem ludzi.

— Jedziemy do Barcelony — zarządził.

W drodze powrotnej do stolicy Joan przejechał bardzo blisko włości barona Granollers. Gdyby zszedł ze szlaku, zobaczyłby, jak kasztelan Montbui i inni rycerze, lennicy Arnaua, zastraszają chłopów i ponownie narzucają im niesprawiedliwe przywileje, unieważnione przez Arnaua. „Podobno sama baronowa doniosła na męża”, zapewniano.

Ale Joan nie odwiedził włości brata. Przez całą drogę nie odzywał się do oficera ani do pozostałych towarzyszy podróży.

Nawet do sekretarza. Jednak, chcąc nie chcąc, słyszał ich rozmowy.

— Podobno oskarżono go o herezję — powiedział jeden z żołnierzy na tyle głośno, by wiadomość dotarła również do uszu Joana.

— Brata inkwizytora? — zdziwił się ktoś inny.

— Nicolau Eimeric na pewno skłoni go do zeznań — wtrącił oficer.

Joan przypomniał sobie wielkiego inkwizytora. Tyle razy wieszował mu sukcesów w obronie

wiary...

— Musimy zwalczać herezję, bracie Joanie... Musimy tropić grzech w ludziach pozornie dobroliwych, w ich alkowie, w zeznaniach ich dzieci, żony, męża.

Śluchał jego rad. „W razie konieczności należy wziąć podejrzanego na tortury. Najważniejsze, by wyznał swój grzech”. Tę radę Joan również wcielał w życie — bez przerwy. Jakim torturom poddano Arnaua, by przyznał się do herezji?

Joan przyśpieszył kroku. Brudny, poprzecierany czarny habit opadał mu ciężko na stopy.

— Przez niego znalazłem się w takim położeniu — rzucił Genis Puig, przemierzając komnatę.

— Ja, który miałem...

— ...pieniądze, kobiety, władzę — wszedł mu w słowo baron. Lecz Genis go nie słuchał.

— Moi rodzice i brat umarli jak pierwsi lepsi chłopcy z głodu i chorób, na które zapada tylko społeczeństwo. A ja...

— ...zwykły rycerz,ostałem się bez hufców, z którymi mógłbym pospieszyć w sukurs królowi

— baron dokończył zdumionym tonem znane mu na pamięć zdanie.

Genis Puig przystanął przed Jaumem, synem Llorenca de Bellera.

— Śmiesz cię to?

Pan Navarcles nie ruszył się z fotela, z którego obserwował Genisa chodzącego w tę i z powrotem po zamkowej wieży.

— Owszem — rzucił po chwili. — Nawet bardzo. Bo twoje powody, by nienawidzić Arnaua Estanyola, są śmieszne w porównaniu z moimi.

Jaume de Bellera wbił wzrok w powagę.

— Czy naprawdę musisz tak łączyć?

— Kiedy zjawi się twój oficer? — zapytał Genis, nie przystając.

Czekali na potwierdzenie wiadomości, o której Margarida Puig napomknęła w ostatnim liście. Przebywający w Navarcles Genis Puig namówił siostrę, by wykorzystała fakt, że Elionor spędza samotnie całe dnie w byłym pałacu Puigów, i zdobyła jej zaufanie. Nie było to trudne: baronowa potrzebowała powierniczki, która dzieliłaby z nią nienawiść do Arnaua. Właśnie Margarida podstępnie informowała Elionor, gdzie baron spędza popołudnia. To Margarida wymyśliła jego romans z Raquel. Gdy tylko Arnau Estanyol zostanie aresztowany za spółkowanie z Żydówką, Jaume de Bellera i Genis Puig wkroczą do akcji.

— Inkwizycja zatrzymała Arnaua Estanyola — potwierdził oficer, gdy tylko wszedł do wieży.

— Margarida miała rację... — rzucił Genis.

— Milcz — przerwał mu Jaume. — Opowiadaj — zwrócił się do posłańca.

— Zatrzymano go przed trzema dniami w Konsulacie Morskim podczas posiedzenia trybunału.

— Pod jakim zarzutem?

— Nie bardzo wiadomo. Niektórzy twierdzą, że chodzi o herezję, inni, że o wypełnianie rytuałów żydowskich lub o spółkowanie z Żydówką. Jeszcze go nie osądzono, na razie jest przetrzymywany w lochach pałacu biskupiego. Pół miasta go broni, druga połowa go oskarża, choć wszyscy wystają w kolejce przed jego kantorem. Na własne oczy widziałem, jak ludzie biją się, by odzyskać swoje oszczędności.

— Jest wypłacalny? — zapytał Genis.

— Na razie tak. Ale wiadomo, że Arnau Estanyol udzielał pożyczek biedakom. Jeśli nie zdoła odzyskać tych pieniędzy... Właśnie dlatego przed kantorem wybuchają bójkі. Ludzie podejrze-

wają, że wypłacalność bankiera nie potrwa długo. W mieście panuje wielkie poruszenie.

Jaume de Ballera i Genis Puig wymienili spojrzenia.

— To początek końca — stwierdził rycerz.

— Sprowadź dziwkę, która mnie wykarmiła — rozkazał oficerowi baron. — I wtrąć ją do lochów!

Genis Puig ponaglił oficera.

— Jej czarci pokarm był przeznaczony dla Arnaua Estanyola — tłumaczył mu wielokrotnie Jaume — jej syna, a nie dla mnie. Dlatego on opływa teraz w bogactwa i królewskie łaski, a mnie gnębi przekleństwo wysrane z jej piersi.

Jaume de Bellera musiał zabiegać u biskupa, by epilepsja, na którą cierpi, nie została uznana za dowód opętania przez demona. Nietrudno jednak będzie przekonać inkwizycję, że Francesca ma konszachty z diabłem.

— Pragnę się widzieć z bratem — oznajmił Joan, stawiawszy się w pałacu biskupim.

Nicolau Eimeric popatrzył na niego zmruczonymi małymi oczkami.

— Musisz go skłonić do wyznania grzechów i okazania skruchy.

— O co jest oskarżony? Wielki inkwizytor drgnął.

— Chcesz, bym wyjawiał zarzut ciąży na więźniu inkwizycji? Jesteś zasłużonym inkwizytorem, ale... Czyżbyś stał po stronie brata? — Joan spuścił wzrok — Mogę ci jedynie powiedzieć, że to bardzo poważne zarzuty. Pozwolę na widzenia pod warunkiem, że skłonisz więźnia do wyznania winy.

Dziesięć batów! Piętnaście, dwadzieścia pięć... Ile razy powtarzał ten rozkaz w ostatnich latach? „Bijcie, aż się przyzna!”, nakazywał swym żołnierzom. A teraz... teraz żądano, by wy dobył zeznania od własnego brata. Jak ma to zrobić? Chciał coś powiedzieć, lecz zdołał tylko machnąć rękami.

— To twój obowiązek — upomniał go Eimeric.

— To mój brat. Tylko on mi został...

— Masz jeszcze Kościół. Masz nas, braci w wierze. — Wielki inkwizytor odczekał kilka sekund.

— Bracie Joanie, czekałem na twój przyjazd. Jeśli nie weźmiesz na siebie tego obowiązku, zajmę się sprawą osobiście.

Skrzywił się z obrzydzeniem, gdy w nozdrza uderzyło go zgniłe powietrze pałacowych lochów. Szedł korytarzem, który miał go doprowadzić do Arnaua, pośród odgłosów cieknącej po ścianach wody i umykających mu spod nóg szczurów. Wzdrygnął się, bo jeden z gryzoni przebiegł mu po stopie. Dokładnie tak samo zareagował na groźbę Nicolaua Eimerica: „...zajmę się tym osobiście”. Co zrobił Arnau? Jak mu powie, że on, jego brat, zgodził się...

Dozorca pchnął drzwi celi i przed Joanem otworzyła się mroczna, cuchnąca czeluść. Kilka cieni drgnęło i dominikanin usłyszał złowieszczy szczełk łańcuchów. Na widok tego potwornego miejsca poczuł ucisk w żołądku i gorycz w ustach. „Tam”, powiedział strażnik wskazując kącie cień i wyszedł. Joan zadrżał na odgłos zatraskujących się za nim drzwi. Stał na progu pogrążonej w półmroku celi. Tylko przez zakratowane okienko pod sufitem sączyło się nieco bladego światła. Po wyjściu dozorczy znów zabrzączały łańcuchy ponad tuzina więźniów. Czują ulgę czy raczej rozpacz, że strażnik nie przyszedł po nich? — zastanawiał się Joan, słuchając coraz głośniejszych jęków i skarg. Podszedł do postaci, którą, jak mu się zdawało, wskazał dozorca, ale gdy uklękła, zwróciła się ku niemu owrzodzona twarz bezzębnej staruchy.

Odsunął się gwałtownie, stracił równowagę i upadł. Starucha przyglądała mu się przez chwilę, po czym znów ukryła w ciemnościach swą niedolę.

— Arnau? — syknął Joan, nie podnosząc się. Powtórzył imię brata na głos, mącąc ciszę, która odpowiedziała mu za pierwszym razem.

— Joan?

Zakonnik ruszył w kierunku, z którego dobiegł znajomy głos. Znów kucnął, ujął głowę brata w dłonie i przycisnął do piersi.

— Matko Boska! Co... Co oni ci zrobili? Jak się czujesz? — Zaczął wodzić palcami po twarzy Arnaua: po twardej szczecinie, po wystających kościach policzkowych. — Nie dają ci jeść?

— Dają. Kawalek czerstwego chleba i wodę.

Joan cofnął rękę, natrafiwszy na żelazne obręcze spinające kostki brata.

— Będziesz mógł mi pomóc? — zapytał Arnau. Joan nie odpowiedział. — Przecież jesteś jedynym z nich. Często wspominałeś, że inkwizytor bardzo cię ceni. To nie do zniesienia, Joan. Sam nie wiem, jak długo już tu siedzę. Czekałem na ciebie...

— Przyjechałem, gdy tylko otrzymałem wiadomość.

— Rozmawiałeś z inkwizytorem?

— Tak — Mimo ciemności Joan unikał wzroku brata.

Milczeli przez chwilę.

— I? — zapytał w końcu Arnau.

— Co zrobiłeś?

Arnau ścisnął ramię Joana.

— Jak możesz podejrzać...

— Muszę wiedzieć, Arnau. Chcę ci pomóc, ale najpierw muszę poznać stawiane ci zarzuty. Dobrze wiesz, że są tajne. Nicolau nie chciał mi powiedzieć...

— To o czym rozmawialiście?

— O niczym. Wolałem najpierw zobaczyć się z tobą. Zanim zacznę przekonywać Eimerica, muszę wiedzieć, o co ci oskarżają.

— Zapytaj Elionor. — Arnau znów zobaczył, jak żona wytyka go palcem na tle płomieni pochłaniających niewinnego człowieka. — Hasdai nie żyje — dodał.

— Elionor?

— Dziwi cię to?

Joan zachwiał się i musiał wesprzeć na bracie.

— Co ci jest? — zapytał Arnau, podtrzymując go.

— To miejsce... I ty, w takim stanie... Zrobiło mi się słabo.

— Idź już. Bardziej mi się przydasz na zewnątrz niż tutaj, siedząc ze mną i mnie pocieszając.

Joan wstał. Kolana mu drżały.

— Tak, chyba masz rację.

Wezwał dozorcę i opuścił lochy, podążając korytarzem za tłustym mężczyzną. Miał przy sobie kilka monet.

— To dla ciebie. — Dozorca bez słowa wziął pieniądze. — Jutro dostaniesz więcej, jeśli będziesz miły dla mojego brata. — Joanowi odpowiedziały tylko czmychające szczuty. — Słyszałeś? — Warknięcie strażnika poniosło się po podziemiach, zagłuszając piski gryzoni.

Potrzebował pieniędzy. Po wyjściu z pałacu biskupiego udał się do kantoru Arnaua. Na rogu

ulic Canvis Vells i Canvis Nous zobaczył tłum obiegający mały budynek, z którego Arnau do niedawna zawiadywał interesami. Cofnął się.

— To jego brat! — dobiegł go okrzyk.

Ludzie rzucili się w jego stronę. Joan chciał uciekać, ale zmienił zdanie, bo tłum zatrzymał się kilka kroków przed nim. Przecież nie zaatakują dominikanina. Wyprostował się, mszył przed siebie.

— Co się dzieje z twoim bratem, mnichu? — zapytał mężczyzna, obok którego właśnie przechodził.

Joan zmierzył go wzrokiem. Mężczyzna przerastał go o głowę.

— Jestem bratem Joanem, sługą Świętej Inkwizycji — ostatnie słowa wymówił z naciskiem. — Masz mnie nazywać „ojcem inkwizytorem”.

Zadarł głowę i spojrział nieznanemu w oczy. I wyznać mi swe grzechy, dodał w duchu. Mężczyzna cofnął się kilka kroków. Kiedy Joan znów ruszył do kantoru, tłum zaczął się przed nim rozstępować.

— Jestem bratem Joanem, członkiem Świętej Inkwizycji! — musiał powtórzyć przed zamkniętymi drzwiami.

Przyjęło go trzech subiektów. W kantorze panował bałagan: księgi leżały rozrzucone na wymiętym czerwonym obrusie przykrywającym długi stół. Dobrze, że Arnau tego nie widzi...

— Potrzebuję pieniędzy — oznajmił Joan. Subiektci spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

— My też — odparł najstarszy z nich, Remigi, który zastąpił Guillem'a.

— Co masz na myśli?

— Ano to, że nie mamy ani jednego solda. — Remigi wskazał na puste kufry i szkatuły. — Ani jednego, bracie Joanie.

— Mój brat nie ma pieniędzy?

— Nie ma gotówki. Jak myślicie, na co czekają ci wszyscy ludzie? Przyszli odebrać swoje oszczędności. Nachodzą nas od wielu dni. Arnau nadal jest bardzo bogaty — subiekt postanowił uspokoić zakonnik — tyle że jego majątek został zainwestowany w pożyczki, zlecenia handlowe, bieżące transakcje...

— Dlaczego nie zażądacie zwrotu pożyczek?

— Głównym dłużnikiem Arnau'a jest król, a wiecie, że królewski skarbiec...

— Nikt poza królem nie jest winien Arnauowi pieniędzy?

— Bardzo wiele osób, lecz albo nie upłynął termin spłaty, albo... Przecież wiecie, że Arnau udzielał pożyczek ludziom ubogim, którzy nie mogą zwrócić od razu całej kwoty. A przecież mimo to, gdy tylko usłyszeli o problemach Arnau'a, wielu z nich oddało część długu, tyle, ile zdołali. Ale to gest wyłącznie symboliczny, kropla w morzu potrzeb. Nie możemy zwrócić całości powierzonych nam wkładów.

Joan wskazał drzwi.

— A oni? Oni mogą żądać ich zwrotu?

— Nie mogą. Powierzając Arnauowi oszczędności, pozwolili nimi obracać i je inwestować. Lecz pieniądź jest małoduszny, a inkwizycja...

Joan dał mu znak, by nie zwracał uwagi na jego habit. Znów zadźwięczało mu w uszach warknięcie więziennego dozorca.

— Potrzebuję pieniędzy — powtórzył.

— Już mówiłem, że nie mamy gotówki — usłyszał od Remigiego.

— Tak czy owak potrzebujemy pieniędzy. Arnau ich potrzebuje.

Arnau potrzebuje pieniędzy, a jeszcze bardziej, pomyślał, spoglądając znowu na drzwi, potrzebuje spokoju. To zamieszanie może mu tylko zaszkodzić. Jeśli ludzie pomyślą, że zbankrutował, odsuną się od niego... A przecież będzie nam potrzebne poparcie.

— Nie da się jakoś uciszyć wierzycieli? Może coś sprzedamy?

— Moglibyśmy odstąpić niektóre zlecenia handlowe i rozdzielić depozytariuszy na zlecenia, w których nie pośredniczy Arnau — odparł Remigi. — Ale bez jego zgody...

— Moje upoważnienie ci nie wystarczy? Subiekt spojrzął na Joana.

— To naprawdę konieczne, Remigi.

— Zgoda — dał się w końcu przekonać subiekt. — W rzeczywistości nie stracilibyśmy na tym. Chodzi po prostu o wymianę transakcji: oni dostaliby jedną część, a my drugą. Uspokoją się, widząc, że Arnau już nie pośredniczy w ich interesach, ale... potrzebuję pisemnego upoważnienia.

Joan pochylił się nad dokumentem podsunętym przez Remigiego.

— Jutro rano musimy mieć gotówkę — powiedział, składając podpis. — Potrzebujemy pieniędzy — powtórzył na widok miny subiekta. — Zdobądź je, choćby sprzedając coś za bezcen.

Zaraz po wyjściu Joana, który znów uciszył wierzycieli, Remigi zaczął grupować zlecenia. Jeszcze tego samego dnia ostatni statek wypływający z Barcelony powiózł nowe dyspozycje dla wszystkich agentów Arnaua na wybrzeżu śródziemnomorskim. Remigi działał szybko — nazajutrz zadowoleni wierzyciele będą opowiadali o poprawie sytuacji finansowej Arnaua.



Pierwszy raz od tygodnia Arnau napił się świeżej wody i wziął do ust coś lepszego niż czerstwy chleb. Dozorca szturchnął go stopą, kazał wstać i chlusnął wodą na miejsce, gdzie dotychczas siedział. Lepsza woda niż gnój, pomyślał Arnau. Przez kilka sekund słychać było wodę ściekającą po podłodze i chrapliwy oddech tłustego strażnika. Nawet starucha, która wyczekiwała śmierci z twarzą ukrytą w gałganach, zerknęła na Arnaua.

— Zostaw wiadro — rozkazał były *bastaix* zbierającemu się do wyjścia dozorczy.

Arnau widział nieraz, jak strażnik znęca się nad więźniami tylko dlatego, że odważyli się spojrzeć mu w oczy. Również tym razem grubas postanowił ukarać zuchwalca, ale jego pięść zamarła kilka centymetrów od głowy Arnaua, który nie uchylił się przed ciosem. Dozorca splunął i cisnął wiadrem o ziemię, a wychodząc, kopnął jeden z zerkających na niego cieni.

Gdy woda wsiąkała w podłogę, Arnau usiadł. Z zewnątrz dobiegło bicie dzwonu. Tylko słabe światło sączące się przez więzienne okno oraz dźwięk dzwonu łączyły go ze światem. Podniósł wzrok ku okienku i wy tężył słuch. Kościół Santa Maria był już pełen barw i światła, ale nie miał jeszcze dzwonów. Natomiast dochodził do niego z oddali stukot dłut o kamienie i młotków o deski oraz nawoływania robotników. Gdy odgłosy te przedostawały się do lochów — mój Boże! — światło i dźwięk zniewalały Arnaua i unosiły myślami ku ludziom, którzy w pocie czoła budowali jego ukochaną świątynię. Znów poczuł na plecach ciężar pierwszego kamienia, przydźwiganego przed laty dla Madonny. Ile czasu upłynęło od tamtej pory? Jak wiele się zmieniło! Był wtedy dzieckiem i znalazł w Madonnie od Morza matkę, której nie dane mu było poznać...

Przynajmniej, pocieszał się, ustrzegłem Raquel przed groźącym jej niebezpieczeństwem. Zobaczywszy wycelowany w niego oskarżycielski palec Elionor i Margaridy Puig, dopilnował, by Raquel i jej rodzina czym prędzej opuścili dzielnicę żydowską. Nawet on nie wiedział, gdzie się ukryli...

— Sprowadź tu Mar — polecił Joanowi zaraz na początku drugiego widzenia.

Zakonnik zamarł.

— Słyszysz? — Arnau wstał i chciał do niego podejść, ale powstrzymał go łańcuch. Joan nie ruszał się z miejsca. — Słyszysz mnie?

— Tak... tak... słyszę. — Joan podszedł do Arnaua, by go uściskać. — Ale... — zaczął.

— Muszę się z nią zobaczyć. — Arnau chwycił zakonnik za ramiona, uniemożliwiając mu uścisk i lekko nim potrząsnął. — Chcę z nią porozmawiać przed śmiercią...

— Na Boga! Nie mów tak

— Ale to prawda. Być może umrę tu jak pies na oczach tych nieszczęśników. Ale przedtem chciałbym zobaczyć Mar. Chodzi o...

— Co chcesz jej powiedzieć? Co jest aż tak ważne?

— Wybaczenie. Chcę błagać ją o wybaczenie i... powiedzieć, że ją kocham. — Joan próbował wyrwać się bratu, ale Arnau go nie puszczał. — Znasz mnie, jesteś sługą Bożym. Wiesz, że nigdy nikogo nie skrzywdziłem, z wyjątkiem... tego dziecka.

Joan wyswobodził się z uścisku i padł przed bratem na kolana.

— To nie twoja wina... — zaczął tłumaczyć.

— Mam tylko ciebie — przerwał mu Arnau, również kłękając. — Musisz mi pomóc. Zawsze mogłem na tobie polegać, nie zawieź mnie teraz. Tylko ty mi zostałeś!

Joan milczał przez chwilę.

— A jej mąż? — zapytał w końcu. — Może nie pozwoli...

— Nie żyje. Dowiedziałem się o tym, gdy przestał spłacać odsetki od taniej pożyczki. Zginął pod rozkazami króla, broniąc Calatayud.

— Ale...

— Joanie... Jestem związany z Elionor przysięgą, która nie pozwala mi połączyć się z Mar za życia żony... Ale muszę się z nią chociaż zobaczyć. Muszę powiedzieć, co do niej czuję, nieważne, że nie możemy być razem... — Arnau powoli odzyskiwał spokój. Chciał poprosić brata o jeszcze jedną przysługę. — Wstał przy okazji do kantoru i sprawdził, jak się sprawy mają.

Joan westchnął. Rano odwiedził ulicę bankierów i dostał od Remigiego sakiewkę z pieniędzmi.

— To nie był dobry interes — usłyszał od subiekta.

A niby co jest teraz dobrym interesem? Pożegnawszy się z Arnauem i obiecawszy, że sprowadzi Mar, Joan zapłacił strażnikowi jeszcze w drzwiach lochu.

— Zażyczył sobie wiadra.

Cóż znaczy wiadro, skoro Arnau... Joan wyłuskał z sakiewki jeszcze jedną monetę.

— Chcę, by wiadro było regularnie opróżniane. — Dozorca schował pieniądze i ruszył korytarzem. — Jeden z więźniów umarł — dodał Joan.

Strażnik wzruszył ramionami.

Nie od razu opuścił pałac biskupi. Po wyjściu z lochów udał się do Nicolaua Eimerica. Znał dobrze pałacowe korytarze.

Wielokrotnie przemierzał je w młodości dumny ze spoczywającej na nim odpowiedzialności. Teraz mijali go inni młodzi zadbani duchowni, którzy zerkali na niego z niesmakiem.

— Przyznał się? Obiecał, że sprowadzi Mar.

— Przyznał się? — powtórzył wielki inkwizytor.

Joan przez całą noc przygotowywał się do tej rozmowy, ale nagle wszystko wyleciało mu z głowy.

— Jeśli się przyzna... Jaka kara...

— Już ci mówiłem, że ciąży na nim wyjątkowo poważne zarzuty.

— Mój brat jest bardzo bogaty. Wytrzymał spojrzenie Nicolaua Eimerica.

— Chcesz przekupić Świętą Inkwizycję? Ty, inkwizytor?

— Grzywny są powszechnie stosowane przez nasze trybunały. Jestem przekonany, że jeśli wyznaczycie karę pieniężną...

— Wiesz dobrze, że to zależy od wagi przewinienia. Zarzuty przeciwko twemu bratu...

— Elionor nie może mu niczego zarzucić — przerwał mu Joan.

Wielki inkwizytor zerwał się z krzesła i opierając dłonie na stole, zmierzył go wzrokiem.

— A więc — powiedział podniesionym głosem — obaj wiecie, że donos złożyła królewska wychowanica. Żona oskarżonego! Podopieczna samego króla! Skąd wiedzielibyście, że to ona, gdyby twój brat nie miał nic do ukrycia? Kto nie ufa własnej żonie? Czy Arnau nie powinien podejrzewać raczej jakiegoś zawistnego kupca, pracownika lub choćby sąsiada? Ileż osób skazał jako konsul morski? Każdy inny szukałby donosiela właśnie w ich gronie. No, mów, bracie Joanie! Dlaczego akurat baronowa? Jaki grzech skrywany przez twego brata pozwolił mu się domyślić, że doniosła na niego własna żona?

Joan skulił się na krześle. Tyle razy stosował podczas przesłuchań tę samą taktykę. Tyle razy czepiał się jednego słowa, by... Ale, ale... Skąd Arnau wie, że to Elionor? Czyżby rzeczywiście...?

— To nie Arnau — skłamał. — Sam się domyśliłem, kto na niego doniósł.

Nicolau Eimeric wznosił ręce do nieba.

— Domyśliłeś się, bracie Joanie? Niby jak?

— Bo Elionor go nienawidzi. Nie... opamiętał się za późno. Eimeric już miał go w garści.

— A dlaczego? Dlaczego wychowanica królewska nienawidzi swego małżonka? Dlaczego przykładna, bogobojna chrześcijanka nienawidzi własnego męża? Jakie zło jej wyrządził? Przecież niewiasty są stworzone do obsługiwania mężczyznom, tak uczy prawo ziemskie i boskie. Kobieta nie żywi nienawiści do męża, nawet jeśli ten bije ją i więzi. Musi dla niego pracować, spełniać jego cielesne zachcianki, troszczyć się o niego i być mu uległą, mimo to go nie nienawidzi. Co wiesz, bracie Joanie?

Joan zacisnął zęby. Nie powie nic więcej. Czuł się pokonany.

— Jesteś inkwizytorem. Musisz mi wszystko wyjawić! — krzyknął Eimeric.

Joan nadal milczał.

— Nie wolno ci zatajać grzechu. Bardziej grzeszy ten, kto ukrywa cudze występki, aniżeli sam grzesznik.

Joanowi stanęły przed oczami niezliczone rynki małych miast i ich zatrzwożeni mieszkańcy słuchający jego kazań.

— Bracie Joanie — Eimeric wycelował w niego palec i zaczął powoli cedzić słowa — jutro chcę mieć jego zeznanie. I módl się, bym i ciebie nie wtrącił do lochu. Ach, i jeszcze coś — rzucił za wychodzącym Joaniem — spraw sobie nowy habit. Doszły mnie skargi i w rzeczy samej...

Wychodząc z gabinetu inkwizytora i przyglądając się swemu zabloconemu i postrzępionemu habitowi, Joan wpadł na dwóch rycerzy czekających na audiencję. Tuż obok trzech uzbrojeni mężczyźni pilnowali dwóch zakutych na kajdany kobiet: starej oraz znacznie młodszej, której twarz...

— Co tu jeszcze robisz, bracie Joanie? — Nicolau Eimeric wyszedł na próg gabinetu, by przyjąć gości.

Joan nie zwlekał dłużej i czym prędzej opuścił pałac biskupi.

Jaume de Bellera i Genis Puig weszli do gabinetu. Nicolau Eimeric obrzucił spojrzeniem Francescę i Aledis i rozkazał im zostać w poczekalni.

— Doszły nas słuchy — zaczął Jaume, gdy on i jego towarzyszy przedstawili się i zajęli miejsca dla gości — że pojmaliście Arnaua Estanyola.

Genis Puig bębnił palcami w kolana.

— Tak — rzucił oschle Eimeric. — Zostało to podane do publicznej wiadomości.

— O co jest oskarżony? — zapytał Genis Puig. Jaume skarcił go spojrzeniem. „Masz siedzieć cicho, chyba że inkwizytor o coś cię zapyta”, powtarzał mu wielokrotnie.

Oczy duchownego spoczęły na Genisie.

— Czy nie wiecie, że to poufna informacja?

— Wybaczcie, proszę, mojemu towarzyszy — próbował ratować sytuację Jaume. — Rychno zrozumiecie, że nasza ciekawość jest usprawiedliwiona. Dowiedzieliśmy się, że złożono donos na Arnaua Estanola i chcemy świadczyć przeciwko niemu.

Wielki inkwizytor uniósł się w krzesło. Wychowanica królewska, trzech duchowni — świadkowie bluźnierstw, których Arnau dopuścił się podczas sprzeczki z żoną w kościele Santa Maria — a do tego możnowładca i rycerz. Trudniej o bardziej wiarygodne zeznania. Wzrokiem nakazał gościowi, by kontynuował.

Jaume de Bellera zmrzył oczy. Następnie rozpoczął starannie obmyśloni wywód:

— Mamy podstawy twierdzić, że Arnau Estanyol to wcielony diabeł. — Nicolau siedział nieporuszony. — Jest synem mordercy i czarownicy. Jego ojciec, Bernat Estanyol, zamordował młodego czeladnika na zamku Navarcles i wykradł Arnaua, którego mój ojciec, wiedząc, z kim ma do czynienia, uwięził dla dobra ogółu. Właśnie Bernat Estanyol w pierwszym roku głodu wszczął zamieszki na placu Blat. Przy pominięciu sobie te wydarzenia? Tam też został stracony...

— A syn spalił jego zwłoki — dodał Genis Puig. Wielki inkwizytor drgnął. Jaume de Bellera znów zgromił spojrzeniem nieposłusznego rycerza.

— Spalił zwłoki? — zdziwił się Eimeric.

— Tak na własne oczy widziałem — skłamał Genis, przy pominięciu sobie opowieść macochy.

— Doniosłeś na niego?

— Ja... — Jaume chciał interweniować, lecz Eimeric go powstrzymał. — Ja... byłem wtedy dzieckiem. Bałem się, że mnie również spali.

Inkwizytor przysunął rękę do brody, by zasłonić ledwie widoczny uśmiech, po czym kazał Jaumemu mówić dalej.

— Jego matka, ta starucha za drzwiami, jest czarownicą. Teraz utrzymuje się z nierządu, ale była moją mamką i zaraziła mnie czarcią chorobą przez pokarm przeznaczony dla jej syna. — Eimeric otworzył szeroko oczy. Pan Navarcles zauważył jego reakcję. — Nie obawiajcie się — dodał pospiesznie. — Gdy moja dolegliwość wyszła na jaw, ojciec zawiózł mnie natychmiast do biskupa. Jestem synem Llorenca de Bellera i jego żony Cateriny, panów Navarcles. Możecie się przekonać, że nikt z moich krewnych nie cierpiał na czarcią chorobę. To wszystko przez diabelskie mleko mojej mamki!

— Mówicie, że jest nierządnicą?

— Tak możecie to sprawdzić. Nazywa się Francesca.

— A ta druga kobieta?

— Uparła się, żeby jej towarzyszyć.

— Również jest czarownicą?

— Pozostawiamy to waszemu mądrymu osądowi.

Eimeric zamyślił się. — Coś jeszcze? — zapytał po chwili.

— Tak — odezwał się Genis Puig. — Arnau zamordował mojego brata Guiamona, bo ten nie chciał uczestniczyć w szatańskich obrzędach. Arnau próbował utopić go nocą na plaży... Krótko potem mój brat zmarł.

Inkwizytor znów przyjrzał się rycearzowi.

— Moja siostra Margarida potwierdzi, że mówię prawdę. Była świadkiem tego zdarzenia. Przestraszyła się i rzuciła do ucieczki, kiedy Arnau zaczął przyzywać diabła. Ona może poświadczyć.

— O tym również zapomnieliście donieść?

— Dowiedziałem się o wszystkim dopiero teraz, gdy napomknąłem siostrze o moim zamiarze. Margarida obawia się, że Arnau ją skrzywdzi, od lat panicznie się go boi.

— To bardzo poważne zarzuty.

— Bo i wina Arnaua Estanyola jest wielka — argumentował pan Navarcles. — Sami wiecie, że człowiek ten z premedytacją podkopuje struktury władzy. W swoich włościach na przekór własnej żonie zniósł większość przywilejów feudalnych, tu, w Barcelonie, pożycza pieniądze biedakom, a jako konsul morski zwykł rozsądzać spory na korzyść plebsu. — Nicolau Eimeric uważnie słuchał. — Zawsze próbował podważyć zasady rządzące światem. Bóg stworzył chłopów, by pracowali na roli i byli posłuszni panom. Nawet Kościół, nie chcąc, by chłopci porzucali ziemię, zabronił im przyjmować święcenia...

— Ale w Nowej Katalonii nie obowiązują przywileje, o których wspominałeś — przerwał mu inkwizytor.

Genis Puig przenosił wzrok z jednego rozmówcy na drugiego.

— To również chciałem wyjaśnić. — Jaume de Bellera zaczął żywo gestykulować. — W Nowej Katalonii przywileje zniesiono dla dobra księcia, dla dobra samego Boga, by zaludnić tereny odebrane niewiernym i skłonić lud do osiedlenia się na nich. Uchyłono tam przywileje z woli samego księcia. Ale Arnau nie jest księciem Katalonii, jest księciem... ciemności.

Genis Puig uśmiechnął się, widząc, że wielki inkwizytor kiwa lekko głową.

— Pożycza pieniądze biedakom — ciągnął możny — wiedząc z góry, że nigdy ich nie odzyska. Bóg stworzył bogatych i... biednych. To niedopuszczalne, by biedacy mieli pieniądze i wydawali córki za mąż jako bogaczki. To jest przeciwne zamysłom Stwórcy. Co sobie pomyślą biedacy o was, duchownych, albo o nas, możnych? Czyż nie jesteśmy posłuszni naukom Kościoła, traktując biedaków tak, jak na to zasługują? Arnau jest demonem, czarcim synem, podżega lud, przygotowując nadejście szatana. Zastanówcie się nad tym.

Nicolau Eimeric zastanowił się. Polecił sekretarzowi spisać zeznania Jaumego de Bellera i jego towarzysza, wezwał Margaridę Puig i kazał wtrącić Francescę do lochu.

— A co z tą drugą? — zapytał pana Navarcles. — Oskarżacie ją o coś? — Mężczyźni zawahali się. — W takim razie puścimy ją wolno.

Zakutą w kajdany Francescę umieszczono z dala od Arnaua, na drugim końcu olbrzymiego lochu, a Aledis przegnano z pałacu.

Po wydaniu stosownych rozporządzeń Nicolau Eimeric przeciągnął się na krześle. Bluznienie

w Domu Pańskim, spółkowanie z Żydówką, przyjaźń ze starozakonnymi, morderstwo, szatańskie rytuały, sprzeciwianie się naukom Kościoła. Wszystkie te zarzuty potwierdzone zostały przez kapłanów, możnych, rycerzy, a nawet przez... wychowankę króla. Wielki inkwizytor usiadł wygodnie i się uśmiechnął.

Mówisz, bracie Joanie, że Arnau Estanyol jest bardzo bogaty? Ty głupcze! Prawisz mi o grzywnie, a przecież gdy tylko skażę twego brata, cały jego majątek przejdzie na własność Kościoła!

Aledis potknęła się i omal nie upadła, kiedy żołnierze wypchnęli ją z pałacu. Odzyskawszy równowagę, powiodła wzrokiem po przechodniach. Co krzy czeli żołnierze? Czarownica? Stała na środku ulicy, wszyscy jej się przyglądali. Spojrzała na swoją zabrudzoną suknię. Przy ciągnęła ręką po brudnych, potarganych włosach. Przechodzący obok bogato odziany mężczyzna obrzucił ją bezwstydnym spojrzeniem. Aledis tupnęła nogą i ruszyła na niego, warcząc i szczerząc zęby niczym rozjuszony pies. Mężczyzna skoczył jak oparzony i zaczął uciekać. Przystanął dopiero, gdy przekonał się, że nieznajoma go już nie ściga. Aledis popatrzyła na gapiów, którzy zaczęli spuszczać oczy i rozchodzić się. Ten i ów zerknął jeszcze przez ramię na czarownicę, która odprowadzała ich wzrokiem.

Co się wydarzyło? Ludzie Jaumego de Bellera wtargnęli do domu i aresztowali Francescę. Brutalnie odepchnęli dziewczęta, które rzuciły się jej na pomoc. Wszystkie podopieczne patrzyły wyczekująco na Aledis, ale ona nie ruszała się z miejsca, oniemiała z przerażenia. Kilku klientów wybiegło z domu prawie nagich. W końcu Aledis zwróciła się do żołnierza, który wyglądał na oficera:

— Co to ma znaczyć? Dlaczego aresztujecie Francescę?

— Na rozkaz Jaumego de Bellera.

Jaume de Bellera! Aledis spojrzała na skuloną staruszkę podtrzymywaną przez dwóch żołnierzy. Francesca drżała na całym ciele. Jaume de Bellera! W dniu, w którym u stóp zamku Montbui Arnau zniósł niesprawiedliwe przywileje, a Francesca zdradziła Aledis swą tajemnicę, znikła jedyna dzieląca je bariera. Ile razy od tamtej pory słyszała z ust Franceski opowieść o Llorenцу de Bellera? Ile razy widziała, jak płacze na wspomnienie tamtych dni? A teraz... znów pojawia się w jej życiu pan Navarcles. Znowu zabierają ją na zamek, zupełnie jak wtedy...

Francesca nie przestawała dygotać.

— Puśćcie ją! — krzyknęła Aledis do żołnierzy. — Nie widzicie, że robicie jej krzywdę? — Żołnierze zerknęli na przełożonego. — Pójdziemy z wami dobrowolnie — dodała.

Oficer wruszył tylko ramionami i żołnierze popchnęli staruszkę w stronę Aledis.

Doprowadzono je na zamek Navarcles i wtrącono do lochu. Jednak obchodzono się z nimi łaskawie: dostały strawę i wodę, a nawet kilka snopków słomy do spania. Dopiero teraz Aledis zrozumiała dlaczego: Jaume de Bellera chciał, by Francesca trafiła do Barcelony w dobrej kondycji. Spędziły dwa dni w zamkowych lochach, a potem przewieziono je na furze do stolicy. Dlaczego? Po co? Co to wszystko ma znaczyć?

Gwar uliczny przywrócił Aledis do rzeczywistości. Przeszła zamyślona ulicą Bisbe, skręciła w Sederes i trafiła na plac Błat. W ten jasny i słoneczny wiosenny dzionek na targ zeszło się więcej ludzi niż zwykle. Wśród kupców i sprzedawców zboża kręciło się mnóstwo ciekawskich. Aledis, stojąca w dawnej bramie miejskiej, odwróciła się, gdy owionął ją zapach chleba z kramu po lewej stronie. Piekarz spojrzał na nią nieufnie i Aledis przypomniała sobie, jak wygląda. Nie miała

ani solda. Przelknęła więc tylko ślinę i oddaliła się, unikając wzroku piekarza.

Dwadzieścia pięć lat, upłynęło dwadzieścia pięć lat, odkąd ostatni raz chodziła tymi ulicami, patrzyła na tych ludzi, wdychała zapach stolicy. Czy kuchnia dobroczynna Pia Almoina nadal działa? Żołądek przypominał Aledis, że od wczoraj nie miała nic w ustach. Wróciła tą samą drogą do katedry, sąsiadującej z pałacem biskupim. Znow ślina napłynęła jej do ust, gdy podeszła do kolejki biedaków tłoczących się pod bramami Pia Almoina. Ilekroć przechodziła tędy w młodości, litowała się nad głodnymi ludźmi, którzy wystawiali na widok publiczny swą biedę i żebraли o strawę.

Teraz przyłączyła się do nich. Pochyliła głowę, zasłoniła włosami oczy i zaczęła posuwać się wraz z tłumem, powłócząc nogami. Jeszcze bardziej ukryła twarz, gdy nadeszła jej kolej i wyciągnęła ręce do nowicjusza. Dlaczego musi prosić o jałmużnę? Ma wygodny dom i oszczędności, które pozwolą jej dożyć w spokoju starości. Nadal pociąga mężczyzn i... Dostała czerstwy chleb z mąki bobowej, wino i miskę zupy. Zabrała się do jedzenia z apetytem, jak wszyscy otaczający ją biedacy.

Dopiero gdy skończyła, rozejrzała się. Siedziała wśród żebraków, kalek i starców. Wszyscy jedli, nie spuszczając z oka towarzyszy niedoli i trzymając kurczowo chleb i miskę. Co robi w Barcelonie? Dlaczego uwiezono Francescę? Wstała. Jej uwagę przyciągnęła blondynka w jaskrawoczerwonej sukni zmierzająca ku katedrze. Taka elegancka pani... sama? Ale, ale, przecież to nie żadna dama. W takim stroju to może być tylko... Teresa! Aledis pobiegła do niej.

— Wystawaliśmy na zmianę pod zamkiem, żeby się czegoś dowiedzieć — opowiadała Teresa, uściskawszy Aledis. — Nietrudno nam było wyciągnąć informacje od wartowników. — Dziewczyna zmrużyła filuternie piękne niebieskie oczy. — Gdy wywieziono was z zamku, a żołnierze powiedzieli, że jedzicie do Barcelony, musiałyśmy wystarać się o wóz, dlatego trochę nam zeszło... A Francesca?

— Uwięziona w pałacu biskupim.

— Dlaczego?

Aledis wruszyła ramionami. Gdy zabrano Francescę, a ją puszczono wolno, próbowała dowiedzieć się czegoś od duchownych i żołnierzy. „Wtrąćcie staruchę do lochu”, usłyszała tylko. Nikt nie chciał jej nic powiedzieć, odganiało ją kuksańcami. Z takim uporem próbowała się czegoś dowiedzieć, że młody mnich, którego habitu się uczepliła, wezwał straż. Wyrzucono ją z pałacu, wyzywając od czarownic.

— Ile was przyjechało?

— Eulalia i ja.

Z daleka zobaczyły biegnącą ku nim dziewczynę w jaskrawozielonej sukni.

— Przywiozłyście pieniądze?

— Rozumie się.

— A Francesca? — zapytała Eulalia, stając przy nich.

— Zatrzymana — powtórzyła Aledis. Eulalia już otwierała usta, ale Aledis ją uprzedziła: — Nie wiem dlaczego. — Popatrzyła na dziewczęta... Któż się im oprze? — Nie wiem, powtórzyła — ale się dowiemy dlaczego ją zatrzymano. Prawda, moje drogie?

Odpowiedziały jej figlarnymi uśmieškami.

Joan włóczył się po Barcelonie, zamiatając ulice ubłoconym habitem. Obiecał, że sprowadzi Mar do stolicy. Lecz jak spojrzy jej w oczy? Próbował pertraktować z wielkim inkwizytorem, ale

zamiast pomóc bratu, dał się złapać w pułapkę — jak pierwszy lepszy tępy wieśniak, który ch ty lu przesłuchiwał na prowincji — i tylko mu zaszkodził. O co mogła oskarżyć Arnaua Elionor? Chciał złożyć szwagierce wizytę, ale na samo wspomnienie uśmiechu, jaki przesłała mu w domu Felipa de Pons, zmienił zdanie. Skoro doniosła na własnego męża, niewiele u niej wskóra.

Ulicą Mar doszedł do kościoła Santa Maria, do ukochanej świątyni Arnaua. Przy stanął i zadął głowę. Budowla, nadal opleciona rusztowaniami, na których uwijali się robotnicy, objawiała już w całej krasie swą wspaniałość i zamysł twórcy. Wszystkie mury zewnętrzne i przypory były wykończone, podobnie jak apsyda i dwa z czterech sklepień składających się na nawę główną. Żebra trzeciego sklepienia — którego klucz opłacił sam król i polecił wyrzeźbić na nim postać swego ojca, króla Alfonsa, na koniu — pięły się w górę, tworząc idealny łuk podtrzymywany przez skomplikowany system rusztowań do czasu, aż zwornik nie zrównoważy sił i hak nie utrzyma się sam. Do całkowitego przykrycia kościoła brakowało jeszcze tylko dwóch ostatnich sklepień nawy głównej.

Jakże nie zakochać się w tej świątyni? Joan przypomniał sobie ojca Alberta oraz dzień, kiedy trafił tu po raz pierwszy razem z Arnauem. Nie potrafił się wtedy nawet modlić! Po latach, gdy jego uczono modlitw, czytania i pisania, brat dźwigał kamienie na budowę tego kościoła. Joan przypomniał sobie krwawiące rany, z którymi Arnau wracał z początku do domu. Mimo to... nie przestawał się uśmiechać. Joan zwrócił uwagę na majstrów rozmaitych rzemioł pracujących w skupieniu przy ościeżach i archiwoltach głównego portalu i zdobiących go rzeźbach, przy nabijanych ćwiekami drzwiach, geometrycznych wzorach innych na każdym skrzydle, przy kratkach z kutego żelaza i rzygaczach w kształcie najwymyślniejszych bajkowych stworów. Praca wrzała również przy kapitelach kolumn i witrażach, przede wszystkim przy witrażach — dziełach stworzonych po to, by sączyć do świątyni magiczne źródłem morskie światło i zabawiać się kształtami i barwami kościelnego wnętrza, odmieniając je z godziny na godzinę, a nawet z minuty na minutę.

Imponująca rozeta nad głównym wejściem zdradzała już swą przysłą kompozycję: w środku widniała wielolistna rozetka, od której odchodziły — niby kapryśne strzały lub promienie słońca starannie wykute w kamieniu — linie dzielące całą konstrukcję. Spiczasto zakończone wzory geometryczne okolone były linią zaokrąglonych trójliści, te z kolei — zaokrąglonymi czworoliściami wieńczącymi całość. W ten — oraz w mniejszy, zdobiący wąskie otwory okienne pod rozetą — ornament maswerkowy miano z czasem wstawić kolorowe szkiełka osadzone w ołowiu. Jednak na razie rozeta przypominała olbrzymią pajęczynę pieczołowicie czekającą, aż majstrowie witrażysci wypełnią jej ażury.

Zostało jeszcze sporo do zrobienia, pomyślał Joan na widok setki mężczyzn trudzących się, by spełnić marzenie całego narodu. W tej samej chwili na plac przed kościołem wszedł *bastaix* z wielkim kamieniem na plecach. Był zły potem od czoła po tyłek, a jego mięśnie, rysujące się wyraźnie pod skórą, napinały się i drgały przy każdym kroku przybliżającym go do celu. Mimo potwornego wysiłku uśmiechał się — zupełnie jak kiedyś Arnau. Joan nie mógł oderwać oczu od siłacza. Robotnicy przerwali pracę i zerkali z rusztowań na kamienie, które przyjdzie im niebawem obrabiać. W ślad za pierwszym osiłkiem zjawił się drugi, trzeci i następny — wszyscy szli przygięci do ziemi. Dłuta zamilkły na widok skromnych portowych tragarzy i przez kilka chwil kościół Santa Maria zamarł jak zaczarowany, jeden z robotników z górnych rusztowań przerwał ciszę: jego okrzyk, dopingujący *bastaixos*, przeciął powietrze, odbił się od murów i zbudził wszyst-

kim obecnych.

„Naprzód”, szepnął Joan, poddając się ogólnemu uniesieniu. Hełkoć któryś z uśmiechniętych *bastaiços* rzucał na ziemię przydźwigany kamień, krzyki się wzmagaly. Potem częstowano tragarzy wodą, a oni, nim ugasilili pragnienie, przechylali dzban nad głowami i polewali sobie twarze. Joan przypomniał sobie, jak sam poił kiedyś *bastaiços* z bukłaka Bernata. Wzniósł oczy do nieba. Musi przeprowadzić wychowaniec Arnaua. Bóg nałożył na niego tę pokutę, dlatego pójdzie do Mar i wyzna jej prawdę. Obszedł kościół i minąwszy plac Born, Pla d'en Llull i klasztor klarysek, opuścił Barcelonę przez bramę Świętego Daniela.

Aledis bez trudu odnalazła Jaumego de Bellera i Genisa Puiga. Oprócz giełdy, gdzie nocowali kupcy ściągający do Barcelony, w stolicy było tylko pięć zajazdów. Rozkazała Teresie i Eulalii ukryć się przy drodze na Montjuic i tam na nią czekać. Patrzyła za odchodzącymi dziewczętami w milczeniu, podczas gdy jej serce ścisnęło się od wspomnień...

Straciwszy z oczu blask ich sukni, przystąpiła do poszukiwań. Zaczęła od zajazdu Bou przy placu Nova, niedaleko pałacu biskupiego. Parobek przegnał ją, gdy weszła tylnym wejściem i zaczęła rozpytywać o Jaumego de Bellera. W gospodzie Massa przy Portaferrissa, również niedaleko pałacu biskupiego, kobieta miesząca na podwórzu ciasto odpowiedziała przecząco na pytanie o możnego z Navarcles. Wtedy Aledis udała się do zajazdu Estanyer przy placu Liana, gdzie bezwstydnym posługacz zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

— A kto pyta o Jaumego de Bellera? — chciał wiedzieć.

— Moja pani — odparła Aledis. — Przybyła w ślad za nim z Navarcles.

Wysoki i chudy jak patyk chłopak utkwiał wzrok w piersiach Aledis, po czym sięgnął do nich prawą ręką.

— A co twoja pani od niego chce?

Aledis ani drgnęła, starając się zapanować nad uśmiechem.

— To nie moja sprawa. — Chłopak zaczął nachalnie ją obmacywać. Aledis podeszła i sięgnęła do jego krocza. Parobek skulił się pod jej dotykem. — Chociaż — powiedziała, przeciągając słowa — jeśli osoby, których szukam, zatrzymały się właśnie tutaj, być może będą musiały spędzić noc w ogrodzie, podczas gdy moja pani...

Aledis pieściła krocze młodzika.

— Dziś rano — wymamrotał — dwaj moźni poprosili o gościnnie.

Tym razem pozwoliła sobie na uśmiech. Już miała się odwrócić i odejść, ale... Czemu nie? Od dawna nie czuła na sobie młodego, niedoświadczonego kochanka, buźującego pożądaniem...

Pchnęła parobka do małej szopy. Za pierwszym razem chłopak nie zdążył nawet opuścić spodni, ale potem Aledis nacieszyła się w pełni swą miłosną zabawką.

Gdy wstała i zaczęła się ubierać, zasapany parobek nadal leżał wyciągnięty na klepisku z oczami utkwionymi w powale.

— Jeśli mnie jeszcze kiedyś spotkasz — powiedziała — w jakichkolwiek okolicznościach, nie znasz mnie. Rozumiesz?

Musiała powtórzyć to dwukrotnie, zanim parobek przytaknął.

— Będziecie udawały moje córki — oznajmiła Teresie i Eulalii, wręczając im nowe ubrania. — Niedawno owdowiałam i idziemy do Gerony, prosić mojego brata, by nas przygarnął. Wasz ojciec był prostym czeladnikiem... garbarz z Tarragony, i po jego śmierci zostałyśmy bez środków do życia.

— Jak na właśnie owdowiałą niewiastę bez środków do życia jesteś nader radosna — prychnęła Eulalia, zrzucając zieloną suknię i zerkając filuternie na Teresę.

— Święta racja — przyznała jej przyjaciółka. — Ten wyraz zaspokojenia na twojej twarzy nie przystoi pogrążonej w żalu wdówce. Nie wyglądasz na wdowę, raczej na świeżo...

— O mnie się nie martwcie — przerwała Aledis. — W stosownej chwili udam iście wdowi żal.

— Ale zanim ta chwila nadejdzie, może zdradzisz nam, dlaczego jesteś taka rozanielona? — nalegała Teresa.

Dziewczęta się roześmiały. Gdy tak rozmawiały, ukryte w krzakach gęsto porastających zbocza góry Montjuic, Aledis nie odrywała wzroku od ich nagich, pięknych, zmysłowych ciał... Młodość. Sięgnęła pamięcią wstecz i zobaczyła siebie w tych samych zaroślach...

— Aj — pisnęła Eulalia. — To... drapie.

Aledis ocknęła się i zobaczyła Eulalię w długiej, jasnej kamizeli sięgającej do kostek.

— Córci czeladnika garbarstwa nie chodzą w jedwabiach.

— Ale... to? — zrywała się Eulalia, pokazując materiał.

— W to właśnie ubierają się przyzwoite panny — przekonywała ją Aledis. — Tyle że o czymś zapomniałyście.

Pokazała im dwa długie pasy tkaniny, nie mniej zgrzebne niż kamizele. Dziewczęta podeszły bliżej.

— Co to? — zapytała Teresa.

— *Alfardas*, służą do...

— No nie, chyba nie chcesz...

— Przyzwoite kobiety obwiązują sobie piersi. — Dziewczęta próbowały protestować. — Najpierw to — rozkazała Aledis — potem kamizele, a na wierzch kaftan. I cieszcie się — skwitowała ich utyskiwania — że nie kupiłam wam wlosiennic. Pokuta wy słaby wam na zdrowie.

Wspólny mi siłami obandażowały sobie piersi.

— Sądziłam, że mamy uwieść dwóch kawalerów — powiedziała Eulalia, gdy Aledis krępowała jej wydatny biust. — Pojęcia nie mam, jak w czymś takim...

— Zaufaj mi, wiem co robię — usłyszała w odpowiedzi. — Wasze prawie białe kaftany są symbolem... dziewictwa. Ci dwaj szubrawcy nie przepuszczą dwóm dziewicom. Pamiętajcie — pouczała je Aledis, gdy kończyły się ubierać — nie miałyście nigdy do czynienia z mężczyzmi. Nie kokietujcie ich ani nie poczynajcie sobie zbyt śmiało. Nie odpowiadajcie na ich umizgi. Odmawiajcie im.

— A jeśli się zniechęcą?

Aledis uniosła brwi, spoglądając na Teresę.

— O święta naiwności! — zaśmiała się. — Musicie ich tylko upić. Póki z nimi będziecie, nie przestaną się do was zalecać. Zaufajcie mi. I nie zapominajcie, że Francesca została zatrzymana przez władze kościelne, nie przez naczelnika ani burmistrza miasta. Skierujecie rozmowę na tematy religijne.

Dziewczęta spojrzały na siebie z niedowierzaniem.

— Religijne?! — wykrzyknęły jednocześnie.

— Wiem, że to nie jest wasza mocna strona — przyznała Aledis. — Ale spróbujcie improwizować. Chyba chodzi o czary... Żołnierze, którzy przegnali mnie z pałacu, wyzwali mnie od

wiedźm.

Kilka godzin później wartownicy strzegący bramy Trentaclus wpuścili do Barcelony niewia-
stę w czerni z włosami upiętymi w kok oraz jej dwie córki — ubrane na białą, bez fiksaturów
i pachnideł, skromnie uczesane i obute w pospolite espadryle — które szły za matką ze spuszczo-
nymi głowami i wzrokiem utkwionym w jej piętach, tak jak kazała im Aledis.



49

Drzwi lochu otworzyły się zniecka. Słońce wciąż stało wysoko i światło próbowało przecisnąć się przez małe zakratowane okienko. Jednak rozpacz unosząca się w powietrzu zdawała się je przechwytywać i jasność wsiąkała w brud i odchody. To nie była pora odwiedzin i cienie wypełniające loch poruszyły się niespokojnie. Arnau usłyszał szcęk kajdan, który ucichł, gdy tylko dozorca wprowadził nowego więźnia — tym razem nie przyszedł po nikogo. Jeszcze jeden nieszczęśnik... nieszczęśniczka, poprawił się Arnau na widok staruszki stojącej w drzwiach. Jaki grzech popełniła ta biedna babina?

Strażnik wpełchnął nową ofiarę do lochu. Kobieta upadła.

— Wstawaj, wiedźmo! — rozległ się jego krzyk. Ale wiedźma ani drgnęła. Mężczyzna dwukrotnie kopnął ciało leżące u jego stóp. Echo głuchych uderzeń drgało w powietrzu przez kilka niekończących się sekund. — Kazałem ci wstać!

Arnau widział, jak współwięźniowie próbują wtopić się w ściany, do których ich przykuto. To był ten sam krzyk, ten sam rozkazujący ton, ten sam głos. Odkąd tu trafił, ilekroć Wyprowadzano kóregoś z jego towarzyszy niedoli, zza drzwi dobiegał właśnie ten grzmiący głos. Wtedy także cienie kulily się, wymiotując strach przed torturami. Najpierw słychać było ten głos, ten krzyk, a zaraz potem rozdzielające wycie katowanego człowieka.

— Wstawaj, stara dziwko!

Staruszka leżała bez ruchu, mimo spadających na nią kopniaków. W końcu dozorca schylił się, posapując, złapał ją za ramię i powlekł do miejsca, gdzie kazano ją zakuć — z dala od bankiera. Odgłos klucza i kajdan był wyrokiem na nową więźniarkę. Przed wyjściem dozorca poszedł na drugi koniec lochu.

— Dlaczego? — zapytał, gdy polecono mu zakuć wiedźmę jak najdalej Arnaua.

— Bo to jego matka — odpowiedział żołnierz inkwizycji, który dowiedział się tego od oficera Jaumego de Bellera.

— Nie myśl sobie — oznajmił dozorca, stając przed Arnauem — że za te same pieniądze

również twoja mamuśka dostanie lepsze żarcie. Wiedźma ma specjalną cenę, guzik mnie obchodzi, że to twoja matka.

Nic się nie zmieniło. Dwór, z przylegającą do niego wieżą obronną, wciąż stał na szczycie niewielkiego pagórka. Joan spojrzął przed siebie i znów zabrzmiał mu w uszach zgiełk pospolitego ruszenia, pomruki tysięcy mężczyzn, szcęk mieczy i radosne okrzyki, które rozległy się właśnie w tym miejscu, gdy przekonał brata, by wydał Mar za mąż. Nigdy nie był na przyjacielskiej stopie z wychowanicą Arnaua. Jak zostanie przez nią przyjęty?

Wzniósł oczy do nieba i ruszył pod górę przygarbiony, ze spuszczoną głową, zamiatając drogę skrajem habitu.

W obejściu nie było widać żywego ducha. Ciszę przerywały tylko dobiegające z parteru odgłosy wydawane przez zwierzęta.

— Jest tam kto?! — krzyknął Joan.

Miał zawołać ponownie, ale coś zwróciło jego uwagę. Mały chłopiec wpatrywał się w niego zza węgła wytrzeszczony mi oczami.

— Chodź no tu, smyku — przywołał go Joan.

Chłopiec zawahał się.

— No, chodź...

— Co się dzieje?

Joan odwrócił się w stronę schodów prowadzących na piętro. Na szczycie stała Mar i spoglądała na niego pytająco.

Oboje przez długą chwilę stali bez ruchu, nie odzywając się. Joan próbował odnaleźć w tej kobiecie dziewczę, które oddał rycerzowi de Ponts, jednak emanująca z niej powaga niewiele miała wspólnego z burzą uczuć, której przed pięcioma laty był świadkiem w tym właśnie dworze. Minuty mijały i Joan czuł się coraz bardziej zakłopotany. Mar, niewzruszona, świdrowała go wzrokiem.

— Czego chcesz, mnichu? — spytała w końcu.

— Przyśzedłem z tobą porozmawiać — Joan musiał podnieść głos.

— Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia. Mar już się odwracała, ale gość odrzekł pospiesznie:

— Obiecałem to Arnauowi. — Ku jego zaskoczeniu Mar przyjęła obojętnie wzmiankę o jego bracie, ale przy najmniej się zatrzymała. — Wysłuchaj mnie, przyśzedłem tu w jego imieniu. — Odczekał chwilę. — Mogę wejść?

Kobieta odwróciła się i zniknęła w głębi domu. Joan ruszył ku schodom, ale zanim na nie wszedł, znów wzniósł oczy do nieba. Czy rzeczywiście zasłużył sobie na taką pokutę?

Odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. Mar stała przy kuchni, mieszając coś w kociołku zawieszonym na haku wbitym w pułap.

— Mów — rzuciła.

Joan przyjrzał się jej. Stała tyłem do niego, pochylona nad paleniskiem. Włosy opadały jej na plecy, prawie muskając jędrne, kształtne pośladki, zarysowujące się wyraźnie pod kamizelą. Zamieniła się w kobietę... w piękną kobietę.

— Długo tak będziesz stał? — zapytała, zerkając na niego.

— Inkwizycja uwięziła Arnaua — wyrzucił jednym tchem.

Mar przestała mieszać strawę.

Joan milczał.

Drżący głos Mar zdawał się dobiegać z płomieni:

— Niektórzy są uwięzieni od lat...

Nadal stała wyprostowana tyłem do Joana. Opuściła ręce wzdłuż tułowia i wpatrywała się w okap nad paleniskiem.

— To nie Arnau cię uwięził. Mar odwróciła się gwałtownie.

— Kto, jeśli nie on, oddał mnie porywaczowi? — krzyknęła. — Kto kazał mi za niego wyjść? Kto nie pomścił mej hańby? Zostałam zniewolona! Porwana i zniewolona!

Pluła słowami. Drżała — od górnej wargi aż po dłoń, które próbowała spleść na piersiach. Joan nie mógł znieść spojrzenia jej nabiegłych ch krwią oczu.

— To nie Arnau — powtórzył. — To... To ja! — krzyknął. — Rozumiesz, niewiasto? To ja. To ja namówiłem go, by wydał cię za rycerza de Ponts. Jaki los czekał pohańbioną pannę? Co by się z tobą stało, gdyby cała Barcelona dowiedziała się o twym nieszczęściu? To ja, za namową Elionor, ukartowałem porwanie i przystałem na twą hańbę, byle Arnau wydał cię za męża. To ja jestem wszystkiemu winien. Arnau nie byłby do tego zdolny.

Ich oczy się spotkały. Joan poczuł, że habit mniej mu ciąży. Mar przestała drżeć, łzy napłynęły jej do oczu.

— Kochał cię — dodał Joan. — Kochał cię i nadal kocha. Potrzebuje cię...

Mar ukryła twarz w dłoniach. Zgięła kolana, skuliła się i osunęła na podłogę.

Już. Ma to za sobą. Teraz Mar pojedzie do Barcelony, powie o wszystkim Arnauowi i... Joan, zatopiony w myślach, pochylił się, by pomóc Mar wstać...

— Nie dotykaj mnie! Joan odskoczył.

— Coś się stało, pani?

Spojrzał na drzwi. W progu stał uzbrojony w kosę herkules, który mierzył go groźnym wzrokiem. Zza jego nóg zerkał nań znajomy malec. Joan stał niecałe dwie piędzi od nowo przybyłego, który przerastał go o dwie głowy.

— Nic się nie stało — odparł Joan, jednak osiłek zlekceważył go, odepchnął i ruszył ku Mar. — Powiedziałem, że nic się nie stało — powtórzył z naciskiem mnich. — Wracaj do swoich zajęć.

Pacholeń schroniło się za framugą i nie przestawało obserwować gościa. Gdy Joan odwrócił spojrzenie od malca i przeniósł je na izbę, zobaczył, że osiłek kłęczy przy Mar, jednak jej nie dotyka.

— Nie słyszysz, co się do ciebie mówi? — zapytał go. Mężczyzna nie odpowiedział. — Kazałem ci wracać do swoich zajęć.

Tym razem osiłek odwrócił się do niego.

— Słucham tylko rozkazów mej pani.

Ilu mężczyzn takich jak on, rosyłych, silnych, zadufanych w sobie, padło przed nim na kolana? Ilu płakało i błagało o litość, gdy odczytywał im wyrok? Joan zmrugał oczyma, zacisnął pięści i zrobił dwa kroki do przodu.

— Jak śmiesz sprzeciwiać się Świętej Inkwizycji?! — krzyknął.

Nim zdążył dokończyć zdanie, Mar zerwała się z podłogi. Znowu drżała. Osiłek również wstał, choć nieco wolniej.

— Jak śmiesz zjawiać się tu i grozić memu słudze? Inkwizytor? Nie rozśmieszaj mnie! Jesteś po prostu czartem w habicie dominikanina. To ty mnie zhańbiłeś! — Joan zauważył, że mężczyzna zaciska ręce na kosie. — Sam się do tego przyznałeś!

— Ja... — zająknął się Joan.

Parobek podszedł do niego i przytknął mu do brzucha tępą krawędź kosi.

— Nikt się nie dowie, proszę pani. Przyszedł sam. Joan spojrzął na Mar. W jej oczach nie wyczytał strachu ani litości, tylko... Rzucił się do wyjścia, ale malec zatrzasnął drzwi przed nosem i wbił w niego wzrok.

Parobek od tyłu sięgnął kosą do szyi mnicha. Ostrze wbiło się w grdykę ofiary. Joan zamarł. Na twarzy dziecka nie widać już było strachu, odzwierciedlała teraz uczucia dorosłych, stojących za dominikaninem.

— Co... co chcesz zrobić, Mar? — Gdy mówił, kosa zadrasnęła mu skórę na szyi.

Milczała przez chwilę. Joan słyszał jej oddech.

— Zamknij go w wieży — rozkazała parobkowi.

Nie weszła tam ani razu, odkąd zobaczyła, jak oddziały Barcelony gotują się do szturm, a potem wiwatują. Gdy jej mąż zginął pod Calatayud, zamknęła wieżę na cztery spusty.



50

Wdowa i jej dwie córki przeszły przez plac Liana i skierowały się do zajazdu Estanyer, dwupiętrowego budynku z kamienia, gdzie na parterze mieściła się kuchnia i jadalnia, a na piętrze pokoje gościnne. Przyjął ich właściciel i parobek Aledis puściła oko do znajomego chłopaka, który wpatrywał się w nią oniemiały. „Na co się gapisz?” — wrzasnął gospodarz, waląc go po łbie. Młodziak uciekł na podwórze za domem. Teresa i Eulalia zauważyły mrugnięcie Aledis i uśmiechnęły się.

— Wy też się doigracie — warknęła Aledis, gdy gospodarz odwrócił się na chwilę — jeśli nie przestaniecie stawiać nóg jak pokraki i się czochrać. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że się drapiecie...

— W tym nie da się normalnie chodzić...

— Cicho — syknęła Aledis, bo gospodarz znów na nie spojrział.

Miał jeden wolny pokój, w którym zmieściłyby się wszystkie trzy, ale były tam tylko dwa sienniki.

— Nic nie szkodzi, dobry człowieku — uspokoiła go Aledis. — Moje córki przy wykły do dziełnia posłania.

— Widziałyście jego minę, kiedy mu powiedziałaś, że sypiamy razem? — zapytała Teresa, gdy zostały same w pokoju.

“Dwa sienniki wypchane słomą i niewielka skrzynia, na której stała lampka oliwna, stanowiły całe umeblowanie izby.

— Wyobraził sobie ani chybi, że leży między nami — zachichotała Eulalia.

— I to mimo że starannie zasłoniłyście swe wdzięki. A nie mówiłam? — wtrąciła Aledis.

— Może powinnyśmy pracować w takich strojach. Biorąc pod uwagę rezultaty...

— To sprawdza się tylko raz, co najwyżej kilka razy. Mężczyzn pociąga niewinność, cnota. Gdy dostaną to, czego chcieli... Musiałybyśmy wędrować z miejsca na miejsce, oszukując ludzi, i nie mogłybyśmy brać pieniędzy.

— Za żadne skarby świata nie nosiłabym tych espadryli i tego... — Teresa zaczęła drapać się

po brzuchu i biuście.

— Przestań!

— Przecież nikt nie widzi — broniła się dziewczyna.

— Im bardziej się drapiesz, tym bardziej będzie cię swędzieć.

— Dlaczego puściłaś oko do posługacza? — zainteresowała się Eulalia.

Aledis zmierzyła trzpiotki groźnym wzrokiem.

— Nie wasza sprawa.

— Bierzesz od niego pieniądze? — chciała wiedzieć Teresa. Aledis przypomniała sobie minę chłopaka, gdy nie zdążył nawet opuścić spodni, oraz nieporadną żądzę, z jaką rzucił się na nią chwilę potem. Ją też pociągała niewinność, cnota...

— Każdy ma swoje przyjemności — skwitowała z uśmiechem.

Przesiedziały w izbie do kolacji. O umówionej porze zeszły do jadalni i usiadły przy topornym nieheblowanym stole. Niebawem zjawili się również Jaume de Bellera i Genis Puig. Usiedli przy stole w drugim końcu izby i zaczęli natarczywie przyglądać się dziewczętom. W jadalni nie było innych stołowników. Na znak Aledis jej „córki” przeżegnały się i pochyliły nad zupą podaną przez gospodarza.

— Wino? Tak, ale tylko dla mnie — odpowiedziała Aledis na jego pytanie. — Moje dziewczynki nie piją.

— Przyńście jeszcze jeden dzban wina. I jeszcze jeden... Od śmierci naszego ojca... — Teresa usprawiedliwiała matkę przed gospodarzem.

— Topi smutek w winie... — dokończyła za siostrę Eulalia.

— Posłuchajcie mnie dobrze — szepnęła Aledis. — Wy piłam już trzy dzbany i nie ukrywam, że wino uderzyło mi do głowy. Lada chwila padnę na stół i zacznę chrapać. Wiecie, co robić. Musimy się dowiedzieć, dlaczego pojmano Francescę i co ją czeka.

Aledis osunęła się na stół, ułożyła głowę na dłoniach i nastawiła ucha.

— Chodźcie do nas — rozległo się w jadalni. Zapanowała cisza. — Przecież jest pijana... — dodał po chwili ten sam głos.

— Nic wam nie zrobimy — powiedział drugi mężczyzna. — W zajeździe w Barcelonie jesteście bezpieczne. Zresztą pod okiem gospodarza...

Aledis pomyślała o oberzyście. Wystarczy, że pozwolą mu dotknąć tego i owego...

— Nie bójcie się... Przecież jesteśmy rycerzami...

W końcu dały się przekonać. Aledis usłyszała, że wstają od stołu.

— Coś nie chrapiesz — syknęła jej do ucha Teresa. Aledis pozwoliła sobie na przelotny uśmiech.

— Zamek!

Wyobraziła sobie, jak Teresa wpatruje się w Jaumego olbrzymimi zielonymi oczami, pozwalając mu podziwiać swą urodę.

— Słyszałaś, Eulalio? Pan kawaler ma zamek. To prawdziwy możnowładca. Nigdy nie rozmawialiśmy z prawdziwym możnowładcą...

— Chętnie posłuchamy o waszych walecznych czynach — dobiegły Aledis słowa Eulalii. — Widzieliście króla Piotra? Rozmawialiście z nim?

— Kogo jeszcze znacie? — dopytywała się Teresa. Zasypały pana Navarcles pytaniami. Aledis miała ochotę uchylić powieki, żeby podejrzeć... Ale nie, lepiej nie. Jej podopieczne znajdują się

na rzeczy.

Zamek, król, kortezy... Uczestniczyliście w obradach kortezów? Wojna... Strwożone piski, gdy Genis Puig — bez zamku, dostępu do króla i miejsca w kortezach — postanowił zwrócić ich uwagę barwnymi opisami bitew, w których brał udział... No i wino, bardzo dużo wina.

— Co taki możny jak wy, panie, robi w Barcelonie, w rym zajeździe? Czyżbyście czekali na jakąś osobistość? — zapytała Teresa.

— Przywieźliśmy czarownicę — odrzekł Genis.

Dziewczeta zadawały pytania tylko Jaumemu. Teresa zauważyła, że gani on wzrokiem towarzysza. Nadszedł właściwy moment.

— Czarownicę! — pisnęła Teresa, przy padając do moźnego i ściskając go za ręce. — W Tarragonie widziałyśmy czarownicę płonąącą na stosie. Wyzionęła ducha, wrzeszcząc wniebogłosy, podczas gdy płomienie lizaly japo udach, parzyły jej piersi i...

Teresa spojrzęła w sufit, jakby wciąż miała przed oczami stos. Zaraz potem przyłożyła ręce do piersi, jednak po chwili opamiętała się i uduła zawstyżenie na widok moźnego, który spoględał na nią poźdliwie.

Jaume wstał, nie puszczając jej dłoni.

— Chodź. — Zabrmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. Teresa pozwoliła zacięgnąć się na góę.

Genis Puig odprowadził ich wzrokiem.

— A my? — powiedział do Eulalii, kładąc znięacka dłoni na jej udzie.

Dziewczyna nie zareagowała.

— Najpierw chciałabym posłuchać o tej czarownicy. To mnie podnieca...

Rycerz przesunął dłoni wyżej i zaczął opowiadać. Aledis o mały włos nie podniosła głowy i nie zepsuła wszystkiego gdy usłyszała imię Arnaua. „Ta wiedźma jest jego matką”, powiedział. „Zemsta jest słodka...”.

— To co, idziemy? — zapytał, skończywszy opowieść. Eulalia milczała.

— Czy ja wiem... — mruknęła w końcu. Rycerz zerwał się i uderzył ją w twarz.

— Przestań się krygować, tylko chodź!

— Niech wam będzie — ustąpiła Eulalia.

Gdy Aledis została sama, z trudem wstała od stołu. Rozmasowała sobie kark. Dojdzie do spotkania Arnaua i Franceski, diabła i czarownicy, jak powiedział Genis Puig.

— Wolałabym umrzeć, aniżeli przyznać się, że jestem jego matką — stwierdziła kilkakrotnie Francesca, gdy rozmawiały o nim po wydarzeniach na esplanadzie przed zamkiem Montbui. — On jest szanowanym obywatelem — dodała, nie dopuszczając Aledis do głosu — a ja zwykłą prostytutką. Poza tym... nie potrafiłabym wyjaśnić mu wielu rzeczy: dlaczego nie uciekłam z nim i z jego ojcem, dlaczego porzuciłam go, skazując na pewną śmierć...

Aledis spuściła wzrok.

— Nie wiem, co powiedział mu o mnie ojciec — ciągnęła Francesca. — Zresztą co się stało, to się odstanie. Czas zsyła zapomnienie, nawet matkom. Lubię wspominać, jak stoi na podęście w Montbui i rzuca wyzwanie moźnym. Nie pozwolę, by z mojej winy doznał poniżenia. Lepiej niech wszystko pozostanie tak, jak jest. Aledis, ty jedna znasz całą prawdę. Obiecuj, że nawet po mojej śmierci dochowasz tajemnicy. Przyrzeknij mi.

Ale na cóż zda się teraz ta obietnica?

Kiedy Esteve wszedł ponownie na wieżę, nie miał już przy sobie kosy.

— Moja pani chce, byś zawiązał sobie oczy — powiedział, rzucając Joanowi gałgan.

— Za kogo mnie masz? — oburzył się Joan, odsuwając sukno stopą.

Wieża była wąska, liczyła nie więcej niż trzy metry średnicy. Jeden krok — i Esteve znalazł się przy mnichu. Uderzył go na odlew w oba policzki.

— Pani powiedziała, że masz zawiązać sobie oczy.

— Jestem inkwizytorem!

Kolejny cios i mnich runął na ścianę, a potem osunął się parobkowi pod nogi.

— Rób, co mówię. — Esteve uniósł go jedną ręką. — Zawiążuj oczy — powtórzył, gdy Joan już stał.

— Próbujesz zastraszyć inkwizytora? Nie myśl sobie... Esteve nie pozwolił mu dokończyć. Uderzył go pięścią w twarz, a gdy Joan ponownie osunął się na ziemię, zaczął go kopać w krocze, w brzuch, w pierś, w głowę...

Mnich skulił się z bólu. Esteve znów podniósł go jedną ręką.

— Pani powiedziała, że masz zawiązać sobie oczy.

Z ust mnicha płynęła krew. Nogi się pod nim uginały. Gdy Esteve go puścił, Joan próbował utrzymać równowagę, ale silny ból w kolanie przygiął go do ziemi. Upadł na parobka i próbował się go przytrzymać, ale osiłek pchnął go na ziemię.

— Zawiążuj oczy.

Gałgan leżał tuż obok Joan poczuł, że nieświadomie oddał moc i że habit klei mu się do ud.

Sięgnął po szmatę i przewiązał sobie oczy.

Słyszał, jak parobek zamyka drzwi i wychodzi z wieży. Zapanowała cisza — cisza trwająca w nieskończoność. Potem na schodach rozległy się liczne kroki. Joan wstał, macając ściany. Drzwi się otworzyły. Wnoszono meble. Może krzesła?

— Wiem, żeś zgrzeszył. — Głos siedzącej na stołku Mar poniósł się po wieży. Towarzyszący jej mały chłopiec obserwował mnicha.

Joan milczał.

— Inkwizycja nie odbiera swoim... więźniom prawa do oglądania trybunału — rzucił po chwili. Może jeśli wda się z nią w dyskusję...

— Racja — usłyszał w odpowiedzi. — Wy odbieracie im tylko duszę, godność, dobre imię, honor. Wiem, żeś zgrzeszył — powtórzyła Mar.

— Nie uznaję tej kalumnii.

Mar skinęła na parobka. Esteve podszedł do Joana i uderzył go pięścią w brzuch. Mnich zgiął się wpół, łapiąc z trudem powietrze. Gdy się wyprostował, w wieży znów panowała cisza. Jego rżenie zagłuszało oddechy obecnych. Bolały go nogi i pierś, piekła twarz. Nikt się nie odezwał. Cios kolanem w zewnętrzzną część uda powalił go na ziemię.

Ból zelżał, lecz Joan nadal leżał na ziemi.

Znów zapadła cisza.

Kopniak w nerki kazał Joanowi odwrócić się na drugi bok. Znowu się skulił.

— Czego ode mnie chcesz? — jęknął, wijąc się z bólu. Nie doczekał się odpowiedzi. Gdy ból zelżał, parobek podniósł go i znowu postawił przed Mar.

Joan ślaniał się na nogach.

— Czego ode mnie...?

— Wiem, żeś zgrzeszył.

Jak daleko może się posunąć? Zakatuje go? Chce go zabić? Owszem, zgrzeszył, ale Mar nie ma prawa go sądzić. Zatrząst się i omal nie upadł.

— Przecież już wydałaś na mnie wyrok — wyduśił. — Po co chcesz mnie jeszcze sądzić?

Cisza. Mrok.

— No, powiedz! Po co chcesz mnie jeszcze sądzić?

— Masz rację — usłyszał w końcu. — Już wydałam na ciebie wyrok, ale pamiętaj, że sam się do wszy stkiego przyznałeś. Tu, gdzie teraz stoisz, skradziono mi dziewictwo, tu Właśnie wielokrotnie mnie hańbiono. Powieś go, a potem pozbądź się ciała — rzuciła Mar do parobka.

Jej kroki oddaliły się i poczęły cichnąć na schodach. Joan poczuł, że Esteve krępuje mu ręce na plecach. Nie mógł się ruszać, mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Parobek uniósł go i postawił na stolku, na którym dopiero co siedziała Mar. Potem rozległ się szmer powrozu przerzucanego przez belki stropu. Esteve nie trafił za pierwszym razem i powróż uderzył o podłogę. Joan zrobił pod siebie. Miał już stryczek na szyi.

— Zgrzeszyłem! — krzyknął resztką sił. Mar była już na dole.

Nareszcie.

Wróciła na wieżę w towarzystwie malca.

— No, a teraz słucham — przemówiła do mnicha.

O świcie wyruszyli do Barcelony. Esteve pomógł Mar — odświętnie ubranej, wystrojonej w swe nieliczne kosztowności, ze świeżo umy tymi, rozpuszczonymi włosami — wsiąść na mulicę.

— Opiekuj się domem — powiedziała parobkowi, spinając zwierzę. — A ty pomagaj ojcu — zwróciła się do chłopca.

Esteve pchnął Joana w ślad za mulicą.

— Rób, czego się od ciebie wymaga, mnichu — rzucił. Joan ruszył za Mar ze spuszczoną głową, powłócząc nogami.

Co go teraz czeka? Nocą, gdy zerwano mu przepaskę z oczu, stanął oko w oko z Mar, oświetloną przez migotliwe płomienie pochodni zatkniętych w uchwytych umieszczonych na ścianie za jej plecami.

Napłuła mu w twarz.

— Nie zasługujesz na przebaczenie... Ale Arnau może cię potrzebować — dodała po chwili. — Gdyby nie to, własnoręcznie bym cię zatłukła.

Małe spiczaste kopyta mulicy miękko uderzały o ziemię. Joan szedł w rytm tego miarowego stąpania wpatrzony we własne stopy. Wyznał wszystko: od rozmów z Elionor po nienawiść, która popchnęła go do objęcia funkcji inkwizytora. Właśnie wtedy Mar zerwała mu opaskę i splunęła w twarz.

Mulica dreptała potulnie do Barcelony. Joana owionął napływający z lewej strony zapach morza, który towarzyszył im przez resztę podróży.



51

Słońce zaczynało już przygrzewać, kiedy Aledis wyszła z zajazdu i wmieszała się w tłum zapelniający plac Liana. W Barcelonie dawno już rozpoczął się nowy dzień. Kilka kobiet, uzbrojonych w wiadra, dzbany i bukłaki stało w kolejce do studni Cadena, zaraz obok zajazdu, inne tłoczyły się przed jatką na drugim końcu placu. Pokrzykiwały i śmiały się na cały głos. Aledis zamierzała wcześniej opuścić zajazd, ale przebijanie się za wdowę — z wątpliwą pomocą dwóch dziewcząt, które nie przestawały wypytywać, co teraz będzie, co stanie się z Francescą, czy spłonie na stosie zgodnie z życzeniem poznanych w zajeździe kawalerów — zajęło jej więcej czasu, niż sądziła. Przynajmniej nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy ulicą Bória zmierzała na plac Błat. Czula się dziwnie. Przywykła do wzbudzania zainteresowania mężczyzn i pogardy kobiet, tymczasem teraz, gdy słońce kleiło się do jej żalobnych szat, zerkala na boki i nie natrafiała na choćby jedno ukradkowe spojrzenie.

Zgiełk dobiegający z pobliskiego placu zwiastował jeszcze większy tłok i skwar. Aledis była już i tak złana potem, a jej piersi wyrywały się spod ściskających je *alfardas*. Dlatego przed głównym targowiskiem stolicy odbiła na prawo w zacienioną ulicą Semolers, a stamtąd na plac Oli, gdzie mieszkańcy Barcelony ścigali w poszukiwaniu najlepszej oliwy i kupowali pieczywo. Aledis szła dalej i po chwili dotarła do studni Świętego Jana. Obiegające ją kobiety również nie zwróciły uwagi na spoconą wdowę.

Aledis skręciła w lewo i doszła do katedry i do pałacu biskupiego. Poprzedniego dnia przegnano ją stąd, wyzywając od wieźm. Zostanie rozpoznana? Posługacz z zajazdu... Aledis uśmiechnęła się i rozejrzała za bocznym wejściem. Parobek miał okazję przyjrzeć jej się lepiej niż żołnierze inkwizycji.

— Muszę się widzieć z dozorcą więziennym. Mam dla niego wiadomość — odpowiedziała na pytanie wartownika stojącego w bramie.

Żołnierz wpuścił ją i wskazał drogę do lochów.

W miarę jak schodziła do podziemi, światło i barwy dnia zanikały. Na samym dole natrafiła na

prostokątne, opustoszałe i oświetlone pochodniami pomieszczenie z klepiskiem. W jednym kącie siedział, oparty o ścianę, trusty dozorca, naprzeciwko niego otwierał się mroczny korytarz.

Mężczyzna w milczeniu mierzył wzrokiem idącą ku niemu wdowę.

Aledis wzięła głęboki oddech.

— Przynszłam odwiedzić staruszkę, która trafiła tu wczoraj. — Przy tych słowach zadzwoniła wypchaną sakiewką.

Dozorca nie ruszył się ani nie odezwał, tylko strzyknął śliną pod jej nogi i machnął ręką ze wzgardą. Aledis zrobiła krok do tyłu.

— Nie ma mowy — rzucił po chwili grubas.

Aledis otworzyła sakiewkę. Żrenice dozorca chłonęły blask monet wysypujących się na jej dłoń. Rozkaz był wyraźny — bez upoważnienia Nicolaua Eimerica nikt nie może wejść do lochów — a on nie zamierza narażać się wielkiemu inkwizytorowi. Znał jego napady złości i... kary za niesubordynację. Lecz wdowa oferowała mu niechlą sumkę... Poza tym oficer wspomniał, że inkwizytorowi chodzi głównie o Arnaua Estanyola. A ta kobieta chce się widzieć z czarownicą, nie z bankierem. — Niech będzie, wchodzi — ustąpił.

Nicolau walnął z całej siły w stół.

— Co ten łachudra sobie myśli?!

Młody zakonnik, który przekazał mu wiadomość, cofnął się o krok. Dowiedział się o wszystkim, jedząc kolację u swego brata, handlarza winem, pośród wrzawy czynionej przez piątkę jego po- ciech.

— To mój najlepszy interes od lat — cieszył się kupiec. — Ponoć brat Arnaua Estanyola, dominikanin, który na gwałt potrzebuje gotówki, nakazał odstępować za bezcen jego zlecenia handlowe. Daję głowę, że jak tak dalej pójdzie, dopnie swego. Subiekt Arnaua sprzedaje wszystko za pół ceny. — Kupiec wziął szklanicę wina i nie posiadając się z radości, wznosił toast za Arnaua.

Na wieść o tym Nicolau zaniemówił, spąsował, a następnie wpadł w furię. Młody zakonnik słyszał, jak Nicolau wykrzykuje do oficera:

— Sprowadź mi tu brata Joana, i to już. Zawiadom gwardię! Gdy brat kupca wychodził z gabinetu, Eimeric pokręcił głową. Co sobie myśli ten mnich z bożej łaski? Próbuje okraść Kościół, rozprzedając fortunę braciszka? Majątek Arnaua Estanyola tak czy owak przypadnie Świętej Inkwizycji... Cały, caluśki! Eimeric zacisnął pięści, aż zbiełały mu kostki.

— Choćby m musiał posłać tego Estanyola na stos — rzucił przez zęby.

— Francesco... — Aledis uklęka obok staruszki, która wykrzywiła usta, siłąc się na uśmiech. — Co oni ci zrobili? Jak się czujesz? — Nie odpowiadała. Jęki pozostałych więźniów towarzyszyły jej milczeniu. — Pojmano Arnaua. Właśnie dlatego tu jesteś.

— Wiem. — Aledis pokręciła głową ze zdziwieniem, ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Francesca dodała: — Stoi tam.

Aledis spojrzała w drugi koniec lochu, na wyprostowaną postać, która obserwowała szepczące kobiety.

— Jak...?

— Niewiasto — rozległo się. — Niewiasto rozmawiająca ze staruszką. — Aledis zerknęła za siebie. — Muszę zamienić z wami słowo. Nazywam się Arnau Estanyol.

— Co się dzieje? — zapytała Franceski.

— Ciągłe pyta, dlaczego dozorca nazwał mnie jego matką. Powtarza, że jest Arnauem Esta-

ny olem i że został uwięziony przez inkwizycję... To dla mnie prawdziwa męka.

— Co mu powiedziałaś?

— Nic.

— Kobieto, na miłość boską! Aledis wołała się nie oglądać.

— Inkwizycja chce dowieść, że Arnau jest synem czarownicy — powiedziała Francesca.

— Wy słuchajcie mnie, proszę.

Aledis poczuła, jak starcze dłonie zaciskają się na jej ramieniu. Uporowi staruszki towarzyszyły nalegania Arnaua.

— Nic... — Aledis odchrząknęła. — Nic mu nie powiesz?

— Nikt nie może się dowiedzieć, że jest moim synem. Rozumiesz? Trzymałam to w tajemnicy przez tyle lat. Ani myślę przyznać się teraz, kiedy inkwizycja... Tylko ty znasz prawdę. — Głos staruszki stał się wyraźniejszy.

— Jaume de Bellera...

— Proszę! — rozległ się znowu głos Arnaua.

Aledis odwróciła się. Niewiele widziała przez łzy, jednak wołała ich nie ocierać.

— Tylko ty — powtórzyła Francesca. — Przy sięgnij, że nikomu nie powiesz.

— Ale przecież Jaume de Bellera...

— Nie ma dowodów. Przy sięgnij.

— Będą cię torturowali.

— Bardziej niż samo życie? Bardziej niż milczenie, którym muszę odpowiadać na prośby Arnaua? Przy sięgnij.

Oczy Franceski zaszkliły się w półmroku.

— Przy sięgam.

Aledis objęła staruszkę. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak jest wątpa.

— Nie... nie chcę cię tu zostawiać — powiedziała, płacząc. — Co z tobą będzie?

— Nie martw się — wyszeptła jej na ucho staruszka. — Zniosę wszystko i przekonam ich, że Arnau nie jest moim synem. — Zaczerpnęła powietrza i ciągnęła: — Llorenc de Bellera zrujnował mi życie, nie pozwolę, by jego syn zrobił to samo z życiem Arnaua.

Aledis ucałowała Franceskę — długo trzymała usta przy jej policzku. Potem wstała.

— Niewiasto!

Aledis spojrzała na przyzywający ją cień.

— Nie słuchaj go — prosiła Francesca z klepiska.

— Podejdźcie tu, błagam.

— To będzie ponad twoje siły, Aledis. Przy sięgłaś.

Arnau i Aledis skrzyżowali spojrzenia. Dwie postacie wpatrywały się w siebie z przeciwnych kątów lochu. Łzy płynące po policzku Aledis załśniły w mroku.

Arnau osunął się na ziemię, widząc, że nieznaną kieruje się do wyjścia.

Tego samego ranka przez bramę Świętego Daniela wjechała do Barcelony kobieta na mulicy. Wlokący się za nią dominikanin nawet nie spojrzał na wartowników. Oboje udali się bez słowa do pałacu biskupiego.

— Brat Joan? — zapytał żołnierz trzy mający straż przed pałacem.

Mnich uniósł posiniaczoną twarz.

— Brat Joan? — żołnierz powtórzył pytanie. Joan przytaknął.

— Mam rozkaz doprowadzić was do wielkiego inkwizytora.

Wartownik wezwał strażników, którzy otoczyli mnicha. Kobieta nie zsiadła z mulicy.



Sahat wpadł do magazynu stojącego na brzegu Arno, niedaleko portu w Pizie. Kilku subiektów i uczniów zaczęło go witać, jednak Maur nie zwracał na nich uwagi. „Gdzie jest wasz pan?”, rozpytywał wszystkich, krążąc między stosami towarów piętrzących się w wielkiej hali. Wreszcie, na drugim końcu magazynu, zobaczył właściciela pochylonego nad belami sukna.

— O co chodzi, Filippo?

Stary kupiec wyprostował się z trudem i spojrzał na Sahata.

— Wczoraj wpłynął do portu statek zmierzający do Marsylii.

— Wiem. Coś się stało?

Filippo przyjrzał się Sahatowi. Ile może mieć lat? Na pewno młodość ma już za sobą. Był jak zwykle wykwintnie odziany, ale bez przesadnego przepychu, czym różnił się od wielu nawet mniej zamożnych kupców. Co zaszło między nim a Arnauem? Sahat nigdy nie poruszał tego tematu. Filippo przypominał sobie niewolnika świeżo przybyłego z Katalonii, akt uwolnienia, dyspozycję wypłaty podpisaną przez Arnaua...

— Filippo!

Głos Sahata przywrócił go na chwilę do rzeczy wistoci. Tak czy owak — starzec znów pogrążył się w rozmyślnościach — nadal tryska młodzieńczą energią. Nie brak mu entuzjazmu...

— Filippo, błagam!

— Tak, tak, masz rację. Przepraszam. — Starzec podszedł do Maura i wsparł się na jego ramieniu. — Masz rację, świętą rację. Ale przejdźmy lepiej do mojego gabinetu. Bądź tak dobry i pomóż mi.

W świecie interesów Pizy niewiele było osób, na których ramieniu raczył się wesprzeć Filippo Tescio. Taki publiczny dowód zaufania otwierał więcej drzwi aniżeli tysiąc złotych florenów. Jednak tym razem Sahat nie mógł znieść powolności starca i przy stanął w pół drogi.

— Filippo, proszę...

Starzec pociągnął go z lekka, każąc mu iść dalej.

— Wieści... złe wieści. Arnau — rzucił, po czym dał Maurowi czas na pozbieranie myśli. — Został uwięziony przez inkwizycję.

Sahat milczał.

— Powody są dość niejasne — ciągnął Filippo. — Subiektci Arnaua wyprzedają zlecenia handlowe i ponoć jego położenie... Ale to tylko plotki, złośliwe, jak mniemam. Usiądź — powiedział, gdy doszli do miejsca nazywanego przez starca gabinetem: zwykłego stołu ustawionego na podestacie. Stąd właśnie Filippo nadzorował subiektów, którzy przy podobnych stołach odnotowywali w olbrzymich księgach rachunkowych przychody i rozchody, oraz miał baczenie na cały magazyn.

Filippo westchnął, opadając na krzesło.

— To nie wszystko — dodał. Siedzący naprzeciwko niego Sahat ani drgnął. — Tej Wielkanocy mieszkańcy Barcelony oskarżyli Żydów o zbezczeszczenie hostii. Skończyło się na wysokiej grzywnie i trzech straconych... — Filippo spostrzegł, że dolna warga Maura zaczyna drżeć. — Hasdai.

Starzec spuścił wzrok, pozwalając Sahatowi oswoić się z tą wiadomością. Gdy znów na niego spojrzął, usta Maura były mocno zacisnięte. Sahat pociągnął nosem, podniósł dłonie do twarzy i przetarł oczy.

— Proszę — powiedział Filippo, podając mu pismo. — List od Jucefa. Galera płynąca z Barcelony do Aleksandrii oddała go mojemu przedstawicielowi w Neapolu, a mnie przekazał kapitan okrętu wracającego do Marsylii. Jucef przejął interesy po ojcu i opisuje ostatnie wydarzenia w Barcelonie, choć niewiele mówi o Estanyolu.

Sahat wziął list, nie otworzył go jednak.

— Hasdai stracony, Arnau pojmany — szepnął — a ja tutaj...

— Zarezerwowałem ci miejsce na statku do Marsylii — powiedział Filippo. — Odpływa o świcie. Z Marsylii bez trudu dostaniesz się do Barcelony.

— Dziękuję. Filippo milczał.

— Przyjechałem tu w poszukiwaniu swoich korzeni — zaczął mówić Maur. — W poszukiwaniu rodziny, którą, jak mi się zdawało, utraciłem. Wiesz, co znalazłem? — Filippo spojrzął na niego bez słowa. — Gdy w dzieciństwie zostałem sprzedany, oddzielono mnie od matki i pięciorga rodzeństwa. Odnalazłem tylko jednego brata... Nie mam nawet pewności, czy rzeczywiście jest moim bratem. Pracował dla przewoźnika portowego z Genui. Nie rozpoznałem go... Nawet nie pamiętałem jego imienia. Powłóczył nogą, brakowało mu małego palca u prawej ręki i obu uszu. Pomyślałem, że jego pan był wyjątkowym okrutnikiem, skoro tak go okaleczył, ale potem... — Sahat urwał i spojrzął na starca, który i tym razem się nie odezwał. — Odkupiłem go, zwróciłem mu wolność i kazałem wypłacić pokaźną sumę, nie wyjawiając, kto za tym stoi. Pieniądze przepuścił w sześć dni. Przez sześć dni nie trzeźwiał i roztrwonił na grę i kobiety sumę, która dla niego stanowiła prawdziwą fortunę. Następnie sprzedał się w zamian za jedzenie i posłanie dawnemu właścicielowi. — Sahat machnął z niesmakiem ręką. — To wszystko, co tu znalazłem: brata warchoła i pijaka...

— I co najmniej jednego przyjaciela — poprawił go Filippo.

— To prawda. Wybacz. Miałem na myśli...

— Wiem, co miałeś na myśli.

Obaj utkwili wzrok w papierach zaścielających stół. Z zamyślenia wyrwał ich rejwach panu-

jący w magazynie.

— Sahat — odezwał się po chwili Filippo — przez wiele lat pracowałem dla Hasdaia, a teraz, póki Bóg mi pozwoli, będę pracował dla jego syna. Na życzenie Hasdaia i za twoją radą stałem się również agentem Arnaua. Od tamtej pory słyszałem o nim same dobre rzeczy, zarówno od kupców, jaki od marynarzy czy kapitanów. Nawet tutaj dotarła wieść o tym, jak potraktował swoich chłopów pańszczyźnianych! Powiedz, co między wami zaszło? Gdybyście się poróżnili, nie podarowałby ci wolności, tym bardziej nie poleciliby wypłacić ci tak wielkiej sumy. Co sprawiło, że zdecydowałeś się go opuścić, a on postanowił hojnie cię wynagrodzić?

Myśli Sahata uleciały na wzgórze pod Mataró, znów zabrzmiał mu w uszach szcęk mieczy i kusz...

— Dziewczę... Wyjątkowe dziewczę.

— Ach!

— Nie, to nie to, co myślisz — odrzekł spieszenie Maur.

I pierwszy raz opowiedział na głos to, co przez pięć ostatnich lat dusił w sobie.

— Jak śmiesz! — krzyk Nicolaua Eimerica, który nawet nie zaczęła, aż żołnierze opuszczą gabinet, poniósł się po pałacu. Inkwizytor chodził po komnacie, żywo gestykulując. — Masz czelność narażać na szwank majątek Świętej Inkwizycji? — Eimeric odwrócił się gwałtownie do Joana, stojącego na środku komnaty. — Kto ci pozwolił wyprzedawać za bezcen umowy handlowe więźnia?

Joan nie odpowiedział. Miał za sobą bezsenność, podczas której został poniżony i pobity. Przeszedł właśnie wiele mil za zadem muła i wszystko go bolało. Od wczoraj nic nie jadł i chciało mu się pić. Nie. Nie zamierza odpowiadać.

Eimeric zbliżył się do niego od tyłu.

— Co knujesz, bracie Joanie? — syknął mu do ucha. — Chcesz wyprzedać majątek brata, żeby nie dostał się w ręce inkwizycji?

Nicolau stał przez chwilę obok Joana.

— Cuchniesz! — krzyknął, odsuwając się od niego i znów wymachując rękami. — Cuchniesz jak prosty wieśniak — Jeszcze chwilę krążył po komnacie, mamrocząc coś pod nosem. Na koniec usiadł. — Inkwizycja przejęła księgi rachunkowe twego brata. Niczego więcej nie sprzedasz — Joan ani drgnął. — Zakazałem odwiedzin, więc nie próbuj się z nim zobaczyć. Za kilka dni rozpoczyna się proces.

Joan nadal stał bez ruchu.

— Nie słyszysz, mnichu? Za kilka dni zacznę sądzić twój brata.

Eimeric grzotnął pięścią w stół.

— Dość tego! Wynos się!

Joan zamiótł brudnym habitem lśniąca posadzkę gabinetu wielkiego inkwizytora.

Zatrzymał się w progu, by przyzwyczaić oczy do światła słonecznego. Mar stała przed pałacem i czekała na niego z uzdą w ręku. Sprowadził ją tu aż z Mataró, a teraz... Jak jej powie, że inkwizytor zabronił widzeń? Jak ma się pogodzić z faktem, że to również jego wina?

— Wychodzisz, mnichu? — usłyszał za plecami.

Odwrócił się i ujrzał tonącą we łzach wdowę.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

— Joan? — zapytała.

Te kasztanowe oczy. Ta twarz...

— Joan? — powtórzyła wdowa. — Joan, to ja, Aledis. Pamiętasz mnie?

— Córka garbarza...

— Co się stało, mnichu? — Mar podeszła do nich. Aledis zobaczyła, że Joan odwraca się do nieznamomej. Znów spojrzął na nią, a potem jeszcze raz na kobietę z mulicą.

— Znajoma z dzieciństwa. Aledis, poznaj Mar. Mar, przedstawiam ci Aledis.

Kobiety przy witały się skinieniem głowy.

— To nie miejsce na pogawędki. — Wszyscy troje odwrócili się na głos żołnierza. — Nie wolno zastawiać wejścia do pałacu.

— Przyszedliśmy odwiedzić Arnaua Estanyola — oznajmiła głośno Mar, nie wypuszczając uzdy.

Żołnierz zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a potem wykrzywił się drwiąco.

— Tego bankiera? — spytał.

— Właśnie — powiedziała z naciskiem Mar.

— Wielki inkwizytor zakazał widzeń. Strażnik zaczął wypychać Aledis i Joana za próg.

— A to dlaczego? — zapytała Mar, gdy jej towarzysze opuszczali pałac.

— Jego zapytaj — odparł żołnierz, wskazując Joana. Zaczęli się oddalać.

— Coraz bardziej żałuję, że cię wczoraj nie zabiłam, mnichu. Aledis widziała, jak Joan na słowa Mar opuszcza wzrok.

Nawet się nie odezwał. Zerknęła na właścicielkę mulicy: szła wyprostowana, pewnie prowadząc zwierzę. Co zaszło wczoraj między nią i mnichem? Joan nie próbował ukryć sińców na twarzy, a jego towarzyszka chciała się widzieć z Arnauem. Kim ona jest? Przecież Arnau jest mężem kobiety, która stała obok niego przed zamkiem Montbui podczas znoszenia niesprawiedliwych przywilejów...

— Za kilka dni rozpocznie się proces Arnaua.

Mar i Aledis stanęły jak wryte. Joan przeszedł jeszcze kilka kroków, nim zorientował się, że pozostały w tyle. Obejrzał się na dwie kobiety przyglądające się sobie w milczeniu. „Kim jesteście?”, można było wyczytać w ich oczach.

— Śmiem wątpić, by ten mnich miał dzieciństwo... A tym bardziej przyjaciółki — odezwała się Mar.

Nie drgnęła jej nawet powieka. Stała wyprostowana, jej młode oczy przesywały Aledis na wylot. Mulica tkwiła za nią bez ruchu, strzygąc uszami.

— Jesteś szczerą — stwierdziła Aledis.

— Życie mnie tego nauczyło.

— Gdyby dwadzieścia pięć lat temu mój ojciec nie stanął nam na przeszkodzie, byłabym teraz żoną Arnaua.

— Gdyby pięć lat temu nie potraktowano mnie jak zwierzęcia — przy tych słowach Mar spionowała Joana wzrokiem, nadal byłaby u boku Arnaua.

Znów zamilkły i zatopiły w sobie spojrzenia, jakby toczyły pojedynek i próbowały wy badać swe intencje.

— Ostatni raz widziałam Arnaua ćwierć wieku temu — powiedziała w końcu Aledis. „Nie zamierzam ci go odebrać”, mówiły jej źrenice w języku zrozumiałym tylko dla kobiet.

Mar przestąpiła z nogi na nogę i popuściła cugle. Zmrużyła oczy i przestała świdrować Aledis

wzrokiem.

— Jestem tu przejazdem. Możesz zaferować mi gościnnie? — zapytała po chwili.

— Ja również nie mieszkam w Barcelonie. Zatrzymałam się z... córkami w zajeździe Estany-er. Ale w izbie znajdzie się miejsce i dla ciebie — dodała, widząc, że Mar się waha. — A on? — wskazała głową Joana.

Zerknęły na mnicha: na jego posiniaczoną twarz i brudny, poszarpany habit zwisający mu z ramion. Przez cały ten czas nie ruszył się z miejsca.

— Musi nam to i owo wytłumaczyć — rzuciła Mar. — Poza tym może nam się jeszcze przydać. Niech śpi w stajni z mulicą.

Kobiety ruszyły przed siebie, Joan poczłapał za nimi.

„A co ciebie tu sprowadza?” — pewnie będzie chciała wiedzieć. „Co robiłaś w pałacu biskupim?”. Aledis zerknęła kątem oka na nową znajomą, która kroczyła wyniośle, prowadząc mulicę i nie ustępując nikomu z drogi. Co zaszło między nią i mnichem? Joan jest jej tak uległy... Jak dominikanin może pozwalać, żeby kobieta zmuszała go do nocowania w stajni? Przeszli przez plac Błat. Zdradziła Mar, że zna Arnaua, nie powiedziała jednak, że dopiero co widziała go w lochu ani że ją wołał. A Francesca? Co mam im powiedzieć o Francesce? Że jest moją matką? Nie. Joan może sobie przypomnieć, że miała inaczej na imię. To może matką mego zmarłego męża? Ale jeśli dowiedzą się, że jest zamieszana w sprawę Arnaua? Powinna przecież o tym wiedzieć. A kiedy się wyda, że to kobieta uliczna? Moja teściowa jest prostytutką? Chyba lepiej nic nie mówić. A jeśli zapytają, co robiła w pałacu biskupim?

— Ano... — zaczęła odpowiadać na pytanie Mar — poszłam doręczyć zamówienie od garbarza, majstra mego męża. — Wiedział, że zamierzamy zatrzymać się w Barcelonie...

Eulalia i Teresa spojrzały z ukosa na Aledis, nie przerywając jedzenia. Udało się przekonać gospodarza zajazdu, by umieścił w ich pokoju dodatkowy siennik. Joan skinął głową, gdy Mar zapowiedziała, że będzie spał w stajni.

— Bez względu na to, co usłyszycie — ostrzegła Aledis dziewczęta — trzymajcie języki za zębami. Najlepiej nie odpowiadajcie na pytania. A przede wszystkim pamiętajcie, że nie znamy żadnej Franceski.

Cała piątka zasiadła do obiadu.

— Wyjaśnij nam teraz, mnichu — znów odezwała się Mar — dlaczego inkwizytor nie pozwala odwiedzać Arnaua.

Joan nawet nie spojrział na jedzenie.

— Potrzebowałem pieniędzy, by przekupić więziennego dozorcę, odpowiedział z rezygnacją. — W kantorze nie było już gotówki i kazałem sprzedać kilka umów handlowych. Eimeric uznał, że próbuję wykraść majątek Arnaua i pozbawić inkwizycję...

W tej samej chwili do zajazdu weszli Jaume de Bellera i Genis Puig. Na widok znajomych dziewcząt uśmiechnęli się od ucha do ucha.

— ...Bracie Joanie, ci dwaj kawalerowie narzucali się wczoraj moim córkom i wydaje mi się, że ich intencje... Możecie zadbać, by się im więcej nie naprzykrzali? — poprosiła Aledis.

Uśmiech zamarł nowo przybyłym na ustach na widok mnicha w czarnym habicie. Joan spiorunował ich wzrokiem i kawalerowie usiedli w milczeniu za stołem, a następnie zatopili spojrzenia w miskach podsuniętych im przez gospodarza.

— O co oskarża się Arnaua? — zapytała Aledis, gdy Joan odwrócił się w ich stronę.

Podczas gdy załoga czyliła ostatnie przygotowania do wypłynięcia w morze, Sahat przyglądał się marsylskiemu okrętowi. Była to masywna jednomasztowa galera o pojemności około trzystu szalup, wprawiana w ruch przez stu dwudziestu wiosłarzy i wyposażona z jeden ster na rufie i dwa po bokach.

— Jest szybka i bardzo bezpieczna — powiedział Filippo. — Zaliczyła już niejedno spotkanie z piratami i zawsze udawało jej się uciec. Za trzy, cztery dni będziesz w Marsylii. — Sahat pokławał głową. — Tam bez trudu zaokrętujesz się na statek żeglugi przybrzeżnej i popłyniesz do Barcelony.

Filippo jedną ręką przytrzymał się ramienia Maura, a laską wskazywał galerę. Przechodzący obok kupcy, urzędnicy i robotnicy portowi pozdrawiali go z szacunkiem, a następnie witali Sahata.

— Pogoda ci sprzyja — dodał Filippo, celując laską w niebo. — Czeka cię spokojna podróż.

Kapitan galery wychylił się przez burtę i dał znak Filippowi. Dłoń starca zacisnęła się na ramieniu Maura.

— Coś mi mówi, że widzimy się po raz ostatni — powiedział. Gdy Sahat spojrział na niego, ścisnął go jeszcze mocniej. — Jestem już stary.

Padli sobie w objęcia.

— Dogłądaj moich interesów — poprosił Sahat.

— Tak uczynię. A gdy mnie zabraknie — dodał Filippo drżącym głosem — zastąpią mnie moi synowie. Wówczas ty, gdziekolwiek będziesz, wesprzesz ich radą.

— Tak uczynię — obiecał Sahat.

Filippo przyciągnął go do siebie i na oczach tłumu, który czekał na odpłynięcie galery i nie spuszczał z oka ostatniego pasażera, pocałował Maura w usta. Szmer poniósł się po zebranych na widok takiego dowodu przyjaźni Filippa Teścia.

— Idź już — powiedział starzec.

Sahat puścił przodem niewolników niosących jego bagaże i wszedł na pokład. Gdy wychylił się przez burtę, nie dojrzał już Filippa.

Morze było spokojne, a pogoda bezwietrzna i galera posuwała się tylko dzięki sile mięśni stu dwudziestu wiosłarzy.

Zabrakło mi odwagi — wyznał w liście Jucef, opisując wydarzenia, które nastąpiły po oskarżeniu Żydów o profanację hostii — nie wymknąłem się z getta, by towarzyszyć ojcu w jego ostatnich chwilach. Ufam, że mnie zrozumie, gdziekolwiek teraz jest.

Z dziobu statku Sahat omiótł wzrokiem horyzont. Ty i twoi bracia macie aż nadto odwagi. W przeciwnym razie nie mieszkalibyście pośród chrześcijan, powiedział do siebie. Znał list Jucefa prawie na pamięć:

Raquel nie chciała uciekać, ale w końcu zdołaliśmy ją przekonać.

Sahat przebiegł oczami list i skupił się na końcowych stronach:

Arnau został wczoraj pojmany przez inkwizycję. Znajomy Żyd, służący na dworze biskupa, zdradził mi, że jego własna żona oskarżyła go o praktyki starozakonne. A ponieważ inkwizycja potrzebuje dwóch świadków do uwiarygodnienia donosu, Elionor wskazała kilku duchownych z kościoła Santa Maria de la Mar, obecnych podczas jej kłótni z mężem. Słowa wypowiedziane ponoć wtedy przez Arnaua uznano za bluźnierstwo, a to potwierdziło zarzuty Elionor.

Sytuacja Arnaua — pisał dalej Jucef — jest dosyć skomplikowana. Inkwizycja ma chrapkę na

jego pokazy majątek, na domiar złego będzie go sądzić sam Nicolau Eimeric. Sahat wspomniął dumnego zakonnika, który objął funkcję inkwizytora sześć lat przed jego wyjazdem z Katalonii. Miał okazję przyjrzeć mu się podczas kilku uroczystości religijnych, w których musiał towarzyszyć Arnauowi.

Od twojego wyjazdu Eimeric przestał umacniać swej władzy, nie cofając się nawet przed publicznym występowaniem przeciwko królowi. Od wielu lat monarcha zalega z podatkami dla papieża, dlatego Urban IV oddał Sycylię w lenno możnowładcy de Arborea, przywódcy tamtejszego powstania przeciwko Katalończykom. Po długotrwałej wojnie z Kastylią Piotr III musi teraz tłumić kolejny bunt Korsykanów. Eimeric, podlegający bezpośrednio papieżowi, postanowił wykorzystać sytuację i wszcząć otwarty spór z królem. Chce mieć — uchowaj Boże! — większą władzę nad Żydami i innymi wyznaniem. Król, któremu podlegają katalońskie getta, sprzeciwia się temu zdecydowanie, jednak Eimeric naciska na papieża, a ten bynajmniej nie sprzyja Piotrowi III.

Eimeric nie tylko chce zaszkodzić królowi, podporządkowując sobie getta żydowskie, ale również ważył się nazwać heretykiem katalońskiego teologa Ramona Llulla, którego pisma i nauki są od półwiecza szanowane przez tutejszy Kościół. Dlatego król uznał opinię inkwizytora za osobistą zniewagę i polecił jurystom i myślicielom wystąpić w obronie Llulla.

Dlatego też, jak mi wiadomo, Eimeric będzie chciał wykorzystać proces Arnaua, katalońskiego barona i konsula morskiego, do osobistych porachunków z królem, a przy okazji zasilić skarb inkwizycji. Ponoć Eimeric wy stosował już do papieża list, w którym obiecuje przekazać mu, z racji zaległych podatków, należną królowi część majątku Arnaua. W ten sposób inkwizytor, gnębiąc katalońskiego możnego, chce wziąć odwet na królu i umocnić swą pozycję w oczach papieża.

Poza tym obawiam się, że osobista sytuacja Arnaua wygląda bardzo źle, by nie powiedzieć rozpaczliwie. Jego brat Joan jest inkwizytorem, zresztą nader okrutnym, żona wydała go inkwizycji, mój ojciec nie żyje, a my, z racji ciężącego na więźniu podejrzenia o praktyki starożytne, moglibyśmy mu tylko zaszkodzić naszą interwencją. Tylko ty mu pozostałeś.

Tylko ty mu pozostałeś, kończył Jucef. Sahat włożył list do szkatułki, w której przechowywał pięcioletnią korespondencję z Hasdaiem. Tylko ty mu pozostałeś. Z dziobu statku, ze szkatułką w ręce, Maur znów omiół wzrokiem horyzont. Wiosłujcie, Marsylczycy, bo tylko ja mu pozostałem...

Na znak Aledis Eulalia i Teresa wyszły z jadalni. Joan wstał od stołu nieco wcześniej i Mar pożegnała go bez słowa.

— Dlaczego tak go traktujesz? — spytała Aledis, gdy zostały same. Na parterze zajazdu słychać było tylko trzask dopalających się drzew. Mar milczała. — Przecież to jego brat...

— Nie zasługuje na nic lepszego.

Powiedziała to ze wzrokiem wbitym w stół, skubiąc wystającą drzazgę. Jest piękna, pomyślała Aledis. Lśniące, kręcone włosy spływały na ramiona Mar, a jej rysy były wyraziste: miała ładnie zarysowane usta, pociągłe policzki, prosty nos i ostry podbródek. Aledis zdumiała się na widok jej białych, równych zębów, a w drodze z pałacu do hotelu zwróciła uwagę na jej kształtną sylwetkę i jędrne ciało. Jednak szorstkie, stwardniałe dłonie zdradzały osobę pracującą na roli.

Mar przestała bawić się drzazgą i spojrzała Aledis w oczy.

— To długa historia — westchnęła.

— Mam czas, jeśli chcesz...

Mar skrzywiła się i przez chwilę nic nie mówiła.

Czemu nie? Od lat nikomu się nie zwierzała, od lat żyła zamknięta w sobie, oddając się niewdzięcznej pracy w polu w nadziei, że żdźbła trawy i słońce zrozumieją jej cierpienie i uzalą się nad nią. Czemu nie? To chyba poczciwa kobieta.

— Rodzice obumarli mnie w dzieciństwie podczas wielkiej zarazy...

Nie pominęła niczego. Aledis zadrżała, gdy Mar napomknęła o miłości, którą poczuła u stóp zamku Montbui. „Rozumiem cię — miała ochotę jej powiedzieć — ja również...”. Arnau, Arnau, Arnau... Imię Arnaua pojawiało się w każdym zdaniu Mar. Aledis przypominała sobie morską bryzę, która pieściła kiedyś jej młode ciało, skradając jej niewinność, podsycając żądzę. Mar rozplakała się, wspominając porwanie i przy musowy ślub.

— Dziękuję — szepnęła, gdy odzyskała głos. Aledis wzięła ją za rękę.

— Masz dzieci? — zapytała, kiedy Mar się uspokoiła.

— Miałam synka. — Aledis ścisnęła jej dłoń. — Umarł cztery lata temu, tuż po urodzeniu, podczas dziecięcej zarazy. Jego ojciec nie zdążył go poznać, nawet nie wiedział, że ma przyjść na świat. Zginął pod Calatayud, walcząc w obronie króla, który miał stać na czele swych wojsk popłynął z Walencji do Roussillon, by ratować rodzinę przed nowym atakiem morowego powietrza. — Przy tych słowach Mar uśmiechnęła się pogardliwie.

— Ale co to ma wspólnego z Joaniem? — zapytała Aledis.

— Wiedział, że kocham Arnaua i że jest to miłość... odwzajemniona.

Aledis uderzyła pięścią w stół, wysłuchawszy do końca opowieści Mar. Zapadła już noc i echo uderzenia poniosło się po zajęździe.

— Doniesiesz na mnicha?

— Arnau zawsze go bronił. Kocha go, przecież to jego brat. — Aledis przypominała sobie dwóch chłopców śpiących obok siebie na parterze domu Perego i Mariony: starszy dźwigał kamienie, młodszy się uczył. — Nie chciałabym zranić Arnaua. A zresztą... nie mogę go zobaczyć, pewnie nawet nie wie, że jestem w Barcelonie i że wciąż go kocham... Ma być sądzony. Może... może zostanie skazany na...

Mar znów zaniósła się płaczem.

— Nie złamię złożonej ci przysięgi, ale muszę z nim porozmawiać — rzuciła przy pożegnaniu. W półmroku Francesca wpatrywała się w nią badawczo. — Zaufaj mi. — dodała.

Arnau wstał, gdy Aledis weszła do celi, ale już jej nie wołał. Przyglądał się w milczeniu dwóm szepczącym kobietom. Gdzie się podział Joan? Od dwóch dni go nie odwiedza, a przecież ma do niego tyle spraw. Chciał, by dowiedział się czegoś o tej staruszce. Za co trafiła do lochu? Dlaczego dozorca nazwał ją jego matką? Co z procesem? I z kantorem? A Mar? Co z Mar? Coś jest nie tak. Krótko po ostatniej wizycie Joana dozorca zaczął znów go traktować jak innych więźniów, znów dostawał kawałek czerstwego chleba i brudną wodę, znikło też wiadro.

Gdy Arnau zobaczył, że nieznajoma wstaje, zaczął osuwać się na ziemię, oparty plecami o ścianę, lecz... lecz kobieta odwróciła się do niego.

Widząc w mroku, że rusza w jego stronę, wyprostował się. Zatrzymała się kilka kroków od niego, kryjąc twarz przed bladymi promieniami światła wpadającymi do celi.

Arnau zmruczył oczy, by ją lepiej widzieć.

— Zabroniono cię odwiedzać — usłyszał głos nieznajomej.

— Kim jesteś? Skąd wiesz?

— Nie mamy czasu, Arn... Arnau. — Nazwała go po imieniu! — Jeśli wejdzie dozorca...

— Kim jesteś?

Dlaczego nie powiedzieć mu prawdy? Dlaczego go nie objąć i nie podtrzymać na duchu? Nie wytrzymałaby. Ostrzeżenie Franceski zakolatało jej w głowie. Zerknęła na staruszkę, potem znów na Arnaua. Morska bryza, plaża, młodość, długa droga do Figueras...

— Kim jesteś? — usłyszała znowu.

— Nieważne. Chcę ci tylko przekazać, że Mar jest w Barcelonie i czeka na ciebie. Kocha cię. Nadal cię kocha.

Zobaczyła, jak mężczyzna przytrzymuje się ściany. Odczekała kilka sekund. Kroki na korytarzu. Dozorca dał jej tylko kilka minut. Znowu kroki, coraz głośniejsze. Zgrzyt klucza w zamku. Arnau również zerknął na drzwi.

— Mam jej coś przekazać?

Drzwi się rozwarły i światło zatkniętych w korytarzu pochodni padło na Aledis.

— Powiedz jej, że ja też... — Dozorca wszedł do celi. — Że ja też ją kocham. Choć nie mogę...

Aledis odwróciła się i skierowała do wyjścia.

— Kto ci pozwolił rozmawiać z bankierem? — zapytał tłusty strażnik zamknąwszy drzwi.

— Przywołał mnie, gdy już wychodziłam.

— Nie wolno z nim rozmawiać.

— Skąd miałam wiedzieć? Nie wiedziałam, że to bankier. Zresztą nawet się nie odezwałam ani nie podeszłam do niego.

— Inkwizytor zabronił...

Aledis zadzwoniła mu przed nosem sakiewką.

— Nie chcę cię tu więcej widzieć — rzucił dozorca, sięgając po pieniądze. — Jeśli wrócisz, już stąd nie wyjdiesz.

Tymczasem pogrążony w mroczach celi Arnau rozważał słowa nieznamomej: „Kocha cię. Nadal cię kocha”. Jednak myśli o Mar zaćmił ulotny blask pochodni w ogromnych kasztanowych oczach. Znał te oczy. Gdzie je widział?

Obiecała, że przekaze mu wiadomość.

— Nie martw się — powtórzyła kilkakrotnie — Arnau dowie się, że jesteś w Barcelonie i czekasz na niego.

— Powiedz mu, że go kocham — krzyknęła Mar, gdy Aledis zniknęła już w głębi placu Liana.

Mar wiedziała, jak odwraca się i uśmiecha do niej. Kiedy straciła ją z oczu, również opuściła zajazd. Rozmyślała o tym w drodze z Mataró i potem, gdy nie wpuszczono jej do Arnaua, myślała o tym również poprzedniej nocy. Z placu Liana przeszła kawałek ulicą Bória, minęła Kaplicę Marcusa i skręciła w prawo. Zatrzymała się u wylotu ulicy Montcada i przez chwilę kontemplanowała stojące przy niej pałace.

— Pani! — zawołał Pere, stary sługa Elionor, otwierając drzwi wielkiej bramy pałacu Arnaua. — Jak to dobrze znowu panią widzieć. Tak dawno... — Zamilkł i nerwowym ruchem zaprosił gościa na wybrukowany dziedziniec. — Co was tu sprowadza?

— Chciałam się zobaczyć z donią Elionor. Pere skinął głową i zniknął.

Mar zatonąła we wspomnieniach. Nic się tu nie zmieniło: ani czysty i zacieniony dziedziniec wybrukowany gładkimi, błyszczącymi kamieniami, ani stojące w głębi stajnie, ani wspaniałe

schody, po których Pere ruszył właśnie do pałacowych komnat.

Po chwili wrócił zasmucony.

— Pani nie chce was przyjąć.

Mar spojrzała na piętro pałacu. W jednym z okien mignął cień. Już przeżyła podobną sytuację. Kiedy...? Znow popatrzyła w stronę komnat.

— Kiedyś — wyszeptła, a Pere nie miał odwagi jej pocieszyć — byłam świadkiem takiej sytuacji. Wówczas Arnau wygrał. Elionor, ostrzegam cię: Arnau odebrał wtedy cały... dług.



Broń i żołnierski rynsztunek dźwięczały w bezkresnych wysokich korytarzach biskupiego pałacu. Orszak maszerował w zwartym szyku: na przedzie oficer, a za nim, między dwoma parami strażników, więzień. Pokonawszy schody prowadzące z lochów, Arnau przy stanął, by oswoić się ze światłem zalewającym pałac, ale silny cios w plecy popchnął go do przodu.

Mijali zakonników, księży i sekretarzy, którzy ustępowali im z drogi, opierając się o ściany. Nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Dozorca wszedł do celi i go rozkuł. „Dokąd mnie prowadzisz?”. Na korytarzu dominikanin w czarnym habicie przeżegnał się na jego widok, inny uniósł krucyfiks. Prowadzący go żołnierze kroczyli z kamiennymi twarzami, wszyscy się przed nimi rozstępowali. Arnau od wielu dni nie widział Joana ani kobiety o kasztanowych oczach. Skąd zna te oczy? Chciał się czegoś dowiedzieć od staruszki, lecz na próżno. „Kim ona jest?”, zapytał ją czterokrotnie. Kilka cieni przy kuty ch do ścian zaczęło się zrymać, inne nie zareagowały, staruszka również ani drgnęła. A jednak gdy dozorca wyprowadzał go, poszturchując, z celi, wydało mu się, że kobiecina wierci się niespokojnie.

Arnau wpadł na idącego przed nim żołnierza. Stanęli przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Żołnierz odepchnął go.

Oficer załomotał w drzwi, otworzył je i cały orszak wkroczył do wielkiej komnaty obwieszanej drogocennymi arrasami, żołnierze wprowadzili Arnaua na środek sali i ustawili się przy drzwiach.

Za długiego, bogato rzeźbionego stołu spoglądało na niego siedmiu mężczyzn. Wielki inkwizytor Nicolau Eimeric oraz biskup Barcelony Berenguer d'Erill zasiadali na środku, wystrojeni w szaty haftowane złotem. Arnau ich znał. Na lewo od inkwizytora siedział sekretarz Świętej Inkwizycji. Arnau spotkał go kilkakrotnie, choć nie miał okazji z nim rozmawiać. Trybunał inkwizytorski uzupełniało czterech nieznanym mu dominikanów w czarnych habitach, po dwóch przy każdym końcu stołu.

Arnau wytrzymał ich spojrzenie w milczeniu, póki jeden z mnichów nie skrzywił się z odrazą. Wtedy podniósł rękę do twarzy i pomacał się po oślizgłej brodzie, która urosła mu w lochu.

Jego poszarpane ubranie dawno utraciło kolory. Był bosy, miał brudne stopy i długie, czarne paznokcie u rąk. Cuchnął. Brzydził się własnego zapachu.

Eimeric uśmiechnął się na widok jego zażenowania.

— Najpierw będzie musiał złożyć przysięgę na Ewangelię — wyjaśnił Joan. Siedział z Mar i Aledis przy stole w zajezdzie. — Proces może trwać wiele dni, a nawet miesięcy — powiedział, gdy wyszły go do pałacu po wieści. — Lepiej zaczekać tutaj.

— Dostanie obrońcę? — zapytała Mar. Joan pokręcił z rezygnacją głową.

— Ma prawo do adwokata, który nie może go... bronić.

— Jak to?! — wykrzyknęły jednocześnie Mar i Aledis.

— Zabramy adwokatów i sekretarzy — zaczął recytować mnich — pomagać heretykom, udzielać im rad i wsparcia, wierzyć w ich niewinność i bronić ich podczas procesu. — Kobiety popatrzyły na niego pytająco. — Tak mówi bulla papieża Innocentego Trzeciego.

— Jakie jest więc zadanie adwokata? — zapytała Mar.

— Ma przekonać oskarżonego, żeby dobrowolnie przyznał się do winy. Broniąc heretyka, broniłby również herezji.

— Nie mam się do czego przyznawać — odpowiedział Arnau młodemu kapłanowi, którego wyznaczono na jego adwokata.

— To znawca prawa cywilnego i kościelnego — oświadczył Nicolau Eimeric. — I zagorzały katolik — dodał z uśmiechem.

Kapłan rozłożył ręce w geście bezsilności. To samo uczynił wcześniej na oczach dozorcej po bezskutecznej próbie przekonania Arnaua, by przyznał się do herezji. „Zrób to dla własnego dobra — radził mu — przyznaj się i zdaj na łaskawość trybunału”. Teraz powtórzył ten sam gest — ileż razy robił to jako adwokat heretyków? — i na znak Eimerica opuścił salę.

— Potem — ciągnął Joan, wypytany przez Aledis — każą mu wymienić jego wrogów.

— Po co?

— Jeśli wspomni któregoś z autorów oskarżenia, trybunał może wziąć pod uwagę stronniczość świadka.

— Ale Arnau nie wie, kto na niego doniósł — zauważyła Mar.

— Na razie. Potem może się dowiedzieć, jeśli Eimeric... zechce. W rzeczy wistości powinien poznać nazwiska świadków oskarżenia — dodał na widok zdziwionych min swoich słuchaczek — bo tak zarządził Bonifacy Ósmy, ale papież jest daleko, więc każdy inkwizytor prowadzi proces po swojemu.

— Sądzę, że żona mnie nienawidzi — odpowiedział na pytanie Eimerica.

— Dlaczegoż donia Elionor miałaby cię nienawidzić? — chciał wiedzieć inkwizytor.

— Bo nie dałem jej potomstwa.

— A próbowałeś? Obcowałeś z nią? Złożył przysięgę na Ewangelię.

— Obcowałeś z żoną? — powtórzył Eimeric.

— Nie.

Sekretarz puścił pióro w ruch. Nicolau Eimeric odwrócił się do biskupa.

— Masz innych wrogów? — zabrał głos Berenguer d'Erill.

— Tak, moich z moich posiadłości, przede wszystkim kasztelana z Montbui. — Sekretarz notował wszystko w leżącej przed nim księdze. — Poza tym jako konsul morski wydałem wiele wyroków, moim zdaniem sprawiedliwych.

— Masz wrogów wśród kleru?

Co ma znaczyć to pytanie? Zawsze był w dobrych stosunkach z Kościołem.

— Nie, chyba że ktoś z obecnych...

— Członkowie trybunału są bezstronni — wszedł mu w słowo Eimeric.

— Mam nadzieję. — Arnau wytrzymał spojrzenie wielkiego inkwizytora.

— Chcesz wymienić kogoś jeszcze?

— Jak wam wiadomo, od wielu lat prowadzę kantor. Być może...

— Nie chodzi o to — przerwał mu znowu Eimeric — byś snuł rozważania na temat tego, kto i dlaczego miałby ci źle żyć. Jeśli masz wrogów, podaj ich nazwiska, w przeciwnym razie odpowiedz przecząco. No więc masz czy nie masz więcej wrogów?! — zagrzmiał Eimeric.

— Nie sądzę, bym miał.

— No, a potem? — zapytała Aledis.

— Potem rozpocznie się proces inkwizytorski w pełnym znaczeniu tego słowa. — Joan przeniósł się myślami na rynki miasteczek, do domów tamtejszych prominentów, przypomniał sobie bezsenne noce... Jednak uderzenie w stół przywróciło go do rzeczywistości.

— Co masz na myśli, mnichu? — krzyknęła Mar. Joan westchnął i spojrzał jej w oczy.

— Łacińskie słowo *inquisitio* oznacza dochodzenie, poszukiwanie. Inkwizytor poszukuje herezji, grzechu. Nawet kiedy istnieje donos, proces nie opiera się na nim ani się do niego nie ogranicza. Jeśli oskarżony nie przyzna się sam, trybunał musi szukać ukrytej prawdy.

— W jaki sposób? — zapytała Mar. Joan zamknął oczy i odpowiedział:

— Jeśli chodzi ci o tortury, to, owszem, jest to jeden ze sposobów.

— Na czym one polegają?

— Może Arnau nie będzie torturowany.

— Na czym polegają? — upierała się Mar.

— Po co ci to wiedzieć? — zapytała Aledis, biorąc ją za rękę. — To tylko... przysporzy ci cierpień.

— Prawo nie dopuszcza tortur prowadzących do śmierci lub trwałego okaleczenia — wyjaśnił Joan. — Poza tym podejrzany może być wzięty na męki tylko raz.

Joan patrzył na swe towarzyszkę, które pocieszały się wzajemnie ze łzami w oczach. Jednak Eimeric znalazł sposób, by ominąć prawo. *Non ad modum iterationis sed continuationis*, zwykł mawiać z osobliwym błyskiem w oczach. „Nie powtórzenie, lecz kontynuacja”, tłumaczył kandydatom na duchownych, którzy nie zdążyli jeszcze opanować łaciny.

— A jeśli mimo tortur Arnau nie przyzna się do winy? — zapytała Mar, pociągając nosem.

— Zostanie to wzięte pod uwagę przy wydawaniu wyroku.

— A kto go wyda? Eimeric? — To pytanie zadała Aledis.

— Tak, chyba że Arnau czeka dożywotnie więzienie lub śmierć na stosie, lecz wtedy potrzebna jest również zgoda biskupa. Jednak — ciągnął Joan, uprzedzając następne pytanie — w skomplikowanych przypadkach trybunał może zasięgnąć opinii *boni viri*, świeckiej grupy liczącej od trzydziestu do osiemdziesięciu osób, które przedstawiają swe zdanie na temat winy oskarżonego i kary, na jaką zasługuje. Wtedy proces ciągnie się miesiącami.

— Które Arnau przesiedzi w lochu — westchnęła Aledis.

Joan skinął głową. Zapadła cisza. Kobiety próbowały oswoić się z tym, co usłyszały, mnich myślał o jeszcze jednej zasadzie Eimerica: „Więzienie musi być odrażające. Powinno mieścić

się w piwnicy pozbawionej światła — zwłaszcza słonecznego i księżycowego — oraz być na tyle srogie i dokuczliwe, by skrócić życie więźnia i jak najszybciej doprowadzić do jego zgonu”.

Podczas gdy Arnau, brudny i obszarpany, stał na środku sali, inkwizytor oraz biskup pochylili się ku sobie i zaczęli szeptać. Sekretarz wykorzystał chwilę przerwy do uporządkowania papierów, natomiast czterej dominikanie wbili wzrok w oskarżonego.

— Jak zamierzasz poprowadzić przesłuchanie? — zapytał Berenguer d’Erill inkwizytora.

— Zaczniemy jak zwykłe i w miarę rozwoju sytuacji będziemy przedstawiali mu zarzuty.

— Chcesz mu je zdradzić?

— Tak. W tym przypadku lepsze skutki przyniesie presja dialektyczna, a nie fizyczna, której jednak również nie wykluczam...

Arnau próbował wytrzymać spojrzenia mnichów w czerni. Jeden, dwa, trzy, cztery... Przeształpił z nogi na nogę, po czym zerknął na inkwizytora i biskupa. Wciąż się naradzali. Dominikanie nie przestawali wpatrywać się w niego badawczo. Na sali panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć ledwie słyszalnych szeptów dwóch dostojników kościelnych.

— Zaczyna się niecierpliwić — stwierdził biskup, zerknąwszy na Arnaua, a potem znów na inkwizytora.

— Przywykł do rozkazowania i budzenia posłuchu — odpowiedział Eimeric. — Musi pogodzić się ze swoim nowym położeniem, zaakceptować trybunał i jego władzę, poddać się nam. Dopiero wtedy przystąpimy do przesłuchania. Poniżenie to pierwszy krok do sukcesu.

Biskup i inkwizytor naradzali się jeszcze długą chwilę. W tym czasie dominikanie nie przestawali mierzyć oskarżonego wzrokiem. Arnau próbował myśleć o Mar lub o Joanie, lecz ilekroć przywoływał kóreś z nich, oczy mnicha w czerni raniły go, jakby czytały w jego myślach. Bez przerwy przestępował z nogi na nogę, sięgnął do brody i włosów, przekonując się, że dosłownie obrósł brudem. Berenguer d’Erill i Nicolau Eimeric — lśniący złotem, rozparci wygodnie za stołem — rzucali mu ukradkowe spojrzenie, a potem znów zaczęli szeptać.

W końcu Nicolau Eimeric przemówił grzmiącym głosem:

— Arnau Estanyol, wiem, żeś zgrzeszył.

Zacząło się przesłuchanie. Arnau wziął głęboki oddech.

— Nie wiem, co macie na myśli. Uważam się za dobrego chrześcijanina. Staram się...

— Przyznałeś przed tym trybunałem, że nie obcujesz z żoną. Czy tak postępuje dobry chrześcijanin?

— Nie mogę utrzymać stosunków cielesnych. Nie wiem, czy wiecie, że Elionor jest moją drugą żoną, i że z pierwszą również nie... doczekałem się potomstwa.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś niesprawny? — wtrącił biskup.

— Tak.

Eimeric przyglądał się przez chwilę Arnauowi. Oparł łokieć o stół, splótł dłonie i zasłonił nimi usta. Następnie szepnął coś rozkazującym tonem do sekretarza.

— Oświadczenie Juli Andreu, kapłana z kościoła Santa Maria de la Mar — zaczął czytać sekretarz, zatapiając się w jednym z dokumentów. — Ja, Juli Andreu, pasterz parafii Santa Maria de la Mar, przed wielkim inkwizytorem Katalonii zeznając, że około marca roku Pańskiego tysiąc trzysta sześćdziesiątego czwartego przeprowadziłem rozmowę z Arnauem Estanyolem, baronem katalońskim, na prośbę jego małżonki, donii Elionor, baronowej i królewskiej wychowawicy, która wyznała mi z niepokojem, że jej mąż nie wypełnia względem niej obowiązków małżeńskich. Arnau

Estanyol powiedział mi wtedy, że żona go nie pociąga, a jego ciało wzbrania się przed obcowaniem z donią Elionor, że jest zdrow, ale nie może zmusić się do pożądania żony. Dodał, że wie, iż popełnia grzech. — Nicolau Eimeric zmrzył oczy i wbił je w Arnaua. — Dlatego bardzo często modli się w kościele Santa Maria i przeznacza pokaźne sumy na budowę naszej świątyni.

Na sali znów zapadła cisza. Eimeric nie spuszczał Arnaua z oka.

— Nadal tłumaczysz swe zaniedbanie fizyczną niesprawnością? — zapytał w końcu.

Arnau pamiętał wspomnianą rozmowę, choć nie wiedział już dokładnie, co...

— Nie pamiętam, co wtedy mówiłem.

— Przyznajesz więc, że rozmawiałeś z ojcem Juli Andreu?

— Tak

Arnau słyszał skrzyknięcie pióra sekretarza.

— Mimo to podajesz w wątpliwość zeznania duchownego. Dlaczegoż ojciec Juli Andreu miałby kłamać?

— Może po prostu się myli, może nie pamięta dokładnie moich słów...

— Sądzisz, że gdyby nie pamiętał dokładnie waszej rozmowy, złożyłby takie zeznanie?

— Ja tylko twierdzę, że ojca Juli Andreu może zawodzić pamięć.

— Ojciec Juli Andreu nie jest twoim wrogiem, prawda? — zabrał głos biskup.

— Tak sądziłem.

Nicolau znów spojrzał znacząco na sekretarza.

— Oświadczenie Perego Salvete'a, duchownego z kościoła Santa Maria de la Mar. Ja, Pere Safoete, pasterz parafii Santa Maria de la Mar, zeznaję przed wielkim inkwizytorem Katalonii, że w dzień Wielkiej Nocy roku Pańskiego tysiąc trzy sta sześćdziesiątego siódmego podczas mszy kilku mężczyzn wbiegło do kościoła z wiadomością, że heretycy wykradli świętą hostię. Mszę przerwano i świątynię opuścili wszyscy wierni z wyjątkiem Arnaua Estanyola, konsula morskiego, oraz jego małżonki, donii Elionor. — „Biegnij do swej żydowskiej kochanki!”. Słowa Elionor zakolały Arnauowi w głowie. Teraz również, zupełnie jak tamtego dnia, przeszły go ciarki. Podniósł wzrok Nicolau obserwował go uważnie i... uśmiechał się. Zauważył jego reakcję? Sekretarz czytał dalej — ...na co konsul odparł, że Bóg nie może go zmusić do obcowania z żoną...

Nicolau kazał sekretarzowi przerwać. Już się nie uśmiechał.

— Czyżby ksiądz kanonik również kłamał?

„Biegnij do swej żydowskiej kochanki!”. Dlaczego inkwizytor nie pozwolił sekretarzowi dokończyć? Co on kuje? Żydowska kochanka, żydowska kochanka... płomień liżące ciało Hasdaia, ciższa, rozwścieczony tłum domagający się w milczeniu zemsty, wykrzykujący niesłychalne słowa, wycelowany w Arnaua palec Elionor, inkwizytor i biskup spoglądający na niego i na... obejmującą go Raquel.

— Kanonik również kłamie? — powtórzył Nicolau.

— Nie zarzuciłem nikomu kłamstwa — bronił się Arnau. Potrzebował czasu do namyśłu.

— Opierasz się boskim nakazom? Przeciwstawiasz małżeńskiemu obowiązkowi chrześcijanina?

— Nie... nie — zająknął się Arnau.

— Czy li?

— Czy li co?

— Czy opierasz się boskim nakazom? — powtórzył Eimeric podniesionym głosem.

Jego słowa odbiły się echem od kamiennych ścian wielkiej sali. Arnauowi zdrętwiały nogi,

osłabione po tyłu dniach spędzonych w lochu...

— Trybunał może uznać twoje milczenie za przyznanie się do winy — ostrzegł go biskup.

— Nie, nie opieram się boskim nakazom. — Nogi zaczynały go boleć. — Czy Świętą Inkwizycję aż tak interesuje moje życie małżeńskie? Czy grzechem jest...

— Nie zapędzaj się — przerwał mu inkwizytor. — To my zadajemy pytania.

— Pytajcie więc.

Eimeric zauważył, że Arnau kręci się nerwowo i raz po raz przestępuje z nogi na nogę.

— Zaczyna się męczyć — szepnął Berenguerowi d'Erill na ucho.

— Pozwólmy mu pocierpieć trochę w ciszy — odparł biskup. Znów zaczęły szeptać. Arnau kolejny raz poczuł na sobie cztery pary dominikańskich oczu. Bolał go nogi, ale musi wytrzymać. Nie może paść na kolana przed Nicolauem Eimerikiem. A jeśli upadnie? Potrzebuje... kamienia! Kamienia na ramionach i długiej drogi do przebycia dla Madonny. Gdzie jesteś? Czy naprawdę to są twoi przedstawiciele? Był tylko dzieckiem, a mimo to... Dlaczego nie miałby wytrzymać i teraz? Przetaszczył blok skalny ważący więcej od niego przez całą Barcelonę, złany potem i krwią, zagrzewany do wysiłku przez przechodniów. Czyżby nic w nim nie zostało z tamtego zacięcia? Ma ulec fanatycznemu mnichowi? On? Mały *bastaix*, którego podziwiali wszyscy rówieśnicy z Barcelony? Taszczył kamień do kościoła Santa Maria, a potem wracał do domu, by nabrać sił przed kolejnym dniem pracy. Do domu... Kasztanowe oczy, wielkie kasztanowe oczy. Arnau zadrżał i omal nie upadł, bo nagle rozumiał, że kobietą odwiedzającą mroczny loch była Aledis. Nicolau Eimeric i Berenguer d'Erill spojrzeli na siebie, gdy Arnau się wyprostował. Po raz pierwszy jeden z dominikanów przeniósł wzrok na swych przełożonych.

— Nie daje się — mruknął niespokojnie biskup.

— Z kim zaspokajasz swe potrzeby? — zapytał Nicolau gromkim głosem.

Tak to dlatego zwróciła się do niego po imieniu. Ten głos... Ileż razy słyszał go na zboczach góry Montjuic.

— Arnau Estanyo! — Krzyk inkwizytora wyrwał go z zamyślenia. — Pytałem, z kim zaspokajasz swe potrzeby.

— Nie rozumiem, co macie na myśli.

— Jesteś mężczyzną. Nie obcuje z żoną. Pytanie narzuca się samo: z kim zaspokajasz swe potrzeby?

— Od lat nie obcuje z żoną ani z żadną inną kobietą — odpowiedział bezwiednie.

Dozorca więzienny stwierdził, że to jego matka.

— Łżeś! — Arnau się wzdygnął. — Członkowie tego trybunału widzieli, jak trzymasz w objęciach heretyczkę. Czy to nie obcowanie z kobietą?

— Nie takie, jakie macie na myśli.

— Cóż skłania kobietę i mężczyznę do obejmowania się publicznie, jeśli nie... — Eimeric zaczął wymachiwać rękami — rozpusta?

— Cierpienie.

— Jakie cierpienie? — chciał wiedzieć biskup.

— Jakie cierpienie? — powtórzył inkwizytor, próbując nakłonić przesłuchiwanego, by odpowiedział. Arnau milczał. Komnatę oświetlił płonący stos. — Cierpienie spowodowane śmiercią heretyka, który zbezczeszczył świętą hostię? — zapytał ponownie, wytykając upierścienionym palcem. — Czy nad tym boleje dobry chrześcijanin? Nad tym, że sprawiedliwość dosięgła niego-

dziwca, świętokradcę, podleca i złodzieja?

— To nie była jego wina! — krzyknął Arnau. Członkowie trybunału, z sekretarzem włącznie, poruszyli się na krzesłach.

— Wszyscy trzej skazańcy przyznali się do winy. Dłaczego stajesz w obronie heretyków? Żydz...

— Żydz! Żydz! — obruszył się. — Czemu cały świat uwziął się na Żydów?

— Czy zbyś nie wiedział? — zapytał inkwizytor, podnosząc głos. — Bo ukrzyżowali Chrystusa!

— Odpokutowali już za to swoim życiem.

Wszyscy członkowie trybunału wlepili wzrok w Arnaua i unieśli się na krzesłach.

— Opowiadasz się za przebaczeniem? — spytał Berenguer d'Erill.

— Czy nie do tego właśnie namawia nas Pan?

— Nawrócenie jest jedyną drogą! Nie można przebaczyć komuś, kto nie okazuje skruchy! — wykrzyknął Eimeric.

— Mówicie o wydarzeniach sprzed ponad tysiąca trzystu lat. Za cóż ma okazywać skruchę dzisiejszy Żyd? Przecież nie ponosi winy za to, co stało się przed wiekami.

— Każdy, kto wyznaje żydowską wiarę, bierze na siebie winę i odpowiedzialność za czyny przodków.

— Przecież oni wyznają tylko myśli, przekonania, podobnie jak my, chrześcijanie... — Eimeric i Berenguer aż podskoczyli na krzesłach. Dlaczego nie? Przecież to prawda. Czy ten szalowany człowiek, który oddał życie za swą wspólnotę, nie zasługuje na obronę? — Jak my, chrześcijanie — powtórzył dobitnie Arnau.

— Porównujesz wiarę katolicką z herezją? — oburzył się biskup.

— Nie porównuję, bo to zadanie was, duchownych. Ja tylko powiedziałem...

— Doskonale słyszeliśmy, co powiedziałaś! — przerwał mu Nicolau Eimeric gniewnie. — Postawiłeś na równi wiarę chrześcijańską, jedyną, prawdziwą, z żydowską herezją.

Arnau powiódł odważnie wzrokiem po twarzach członków trybunału. Sekretarz nie przerywał pisania. Nawet żołnierze, którzy z kamiennymi obliczami strzegli drzwi, zdawali się wsłuchiwać w skrzypienie pióra. Nicolau Eimeric uśmiechał się. Dźwięki wydawane przez pióro przeszyły Arnaua do szpiku kości. Wzdrygnął się. Nie uszło to uwagi inkwizytora, który skwitował jego reakcję szerokim uśmiechem. Tak to jest twoje zeznanie, można było wyczytać z jego oczu.

— Są tacy jak my — powtórzył Arnau. Eimeric uniosł rękę, nakazując mu milczenie.

Sekretarz pisał jeszcze przez kilka chwil. Twe słowa zostały uwiecznione, mówił teraz wzrok inkwizytora. Gdy sekretarz podniósł pióro, Nicolau znów się uśmiechnął.

— Zawieszam posiedzenie do jutra — obwieścił, wstając z krzesła.

Mar nie chciała dłużej słuchać Joana.

— Dokąd idziesz? — zapytała ją Aledis. Mar spojrzała na nią wymownie. — Znowu? Chodzisz tam dzień w dzień i nie zdołałaś...

— Zdołałam ją powiadomić, że jestem w Barcelonie i nie zapomniałam, co mi zrobiła. — Joan ukrył twarz w dłoniach. — Widziałam ją przez okno i przekonałam, że Arnau należy do mnie. Wyczytałam to w jej oczach. Chcę, by pamiętała o tym przez wszystkie dni swego życia i ani na chwilę nie zapominała, że ją pokonałam.

Aledis odprowadziła wzrokiem Mar, która po wyjściu z zajazdu przebyła tę samą co zawsze drogę i stanęła przed pałacem przy ulicy Montcada. Zakolatała z całej siły do bramy. Elionor jej

nie przyjmie, ale musi wiedzieć o jej obecności.

Jak co dzień stary sługa uchylił okienko w bramie.

— Pani — powiedział, nie otwierając drzwi. — Przecież wiecie, że donia Elionor...

— Wpuść mnie. Chcę ją tylko zobaczyć, choćby przez okno, za którym się przede mną chowa.

— Donia Elionor nie pozwala.

— Wie, kto przyszedł?

Pere zerknął w pałacowe okna.

— Wie.

Mar znów uderzyła kołatką w bramę.

— Nie nalegajcie, pani, bo inaczej donia Elionor wezwie strażę — przekonywał starzec.

— Wpuść mnie, Pere.

— Dona Elionor nie chce was przyjąć, pani. Ktoś złapał Mar za ramię i odciągnął od drzwi.

— To może zechce przyjąć mnie — usłyszała, zanim zdążyła spojrzeć na mężczyznę przysuwającego się do okienka.

— Guillem! — krzyknęła, rzucając mu się na szyję.

— Pamiętasz mnie, Pere? — zapytał Maur, tuląc Mar.

— Jakże miałbym nie pamiętać?

— Więc przekaz swej pani, że chcę się z nią widzieć. Gdy starzec zatrzasnął okienko, Guillem chwycił Mar w pasie, uniósł i zatoczył z nią koło w powietrzu. Roześmiana kobieta nie bronila się. Zaraz potem postawił ją na ziemi, wziął za ręce i odsunął od siebie, by się jej przyjrzeć.

— Moja maleńka — powiedział rwącym się głosem. — Tyle razy marzyłem, by unieść cię w ramionach! Ale teraz jesteś znacznie cięższa. Zmieniłaś się w prawdziwą...

Mar wtuliła się w niego.

— Dlaczego mnie zostawiłeś? — zapytała, płacząc.

— Byłem zwykłym niewolnikiem, moje dziecko. Co mogłem zrobić?

— Myślałam, że jesteś dla mnie jak ojciec.

— Myślałeś? Już tak nie myślisz?

— Zawsze będziesz moim ojcem.

Mar uściśliła Guilleva z całej siły. „Zawsze będziesz moim ojcem”, powtórzył w myślach Maur. Dlaczego straciłem tyle czasu z dala od niej? Odwrócił się do uchylonego znów okienka w pałacowej bramie.

— Dona Elionor was również nie chce przyjąć — usłyszał głos Perego.

— Przekaż jej, że jeszcze o mnie usłyszysz.

Żołnierze odprowadzili go do lochów. Gdy dozorca znów przykuwał go do ściany, Arnau nie spuszczał wzroku z postaci skulonej w przeciwległym kącie ponurej celi. Nie usiadł po wyjściu strażnika.

— Co cię łączy z Aledis?! — krzyknął do staruszki, kiedy ucichły kroki w korytarzu.

Zdawało mu się, że postać drgnęła, jednak po chwili znów zamarła.

— Co cię łączy z Aledis? — powtórzył. — Po co tu przyszedła? Dlaczego cię odwiedza?

W ciszy, która mu odpowiedziała, przypomniał sobie blask pochodni w olbrzymich kasztanowych oczach.

— Co łączy Aledis z Mar? — spytał znów błagalnie. Arnau próbował przynajmniej usłyszeć oddech staruszki, ale jęki i rżenia więźniów zagłuszyły jej milczenie. Powiódł spojrzeniem po

ścianach celi. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Na widok Mar wchodzącej do zajazdu w towarzystwie bogato odzianego Maura gospodarz przestał mieszać strawę w wielkim kotle zawieszonym nad paleniskiem. Jego podniecenie wzrosło, gdy w ślad za nimi wkroczyli dwaj niewolnicy objuczeni bagażami Guillem. Dlaczego nie zatrzymał się w miasteczku handlowym, jak wszyscy kupcy? — pomyślał i ruszył witać gościa.

— To prawdziwy zaszczyt dla tych niskich progów — oznajmił, gnąc się w przesadnym ukłonie.

Guillem zacheł, aż gospodarz skończy się wdzięczyć.

— Masz wolne pokoje?

— Tak Niewolnicy mogą spać w...

— Pytam o dwa pokoje — wszedł mu w słowo Guillem. — Jeden dla mnie, drugi dla nich.

Gospodarz zerknął na dwóch chłopców o wielkich czarnych oczach i kędzierzawych włosach, którzy stali w milczeniu za swym panem.

— Tak — odpowiedział. — Jeśli takie jest wasze życzenie. Chodźcie za mną.

— Oni się wszystkim zajmą. Ale najpierw przynieście nam trochę wody. Guillem usiadł z Mar przy stole w jadalni. Zostali sami.

— Mówisz, że dzisiaj rozpoczął się proces?

— Tak, choć nie wiem tego na pewno. Tak naprawdę nic nie wiem. Nie pozwolono mi go zobaczyć.

Guillem usłyszał drżenie w jej głosie. Wyciągnął rękę, by ją pocieszyć, lecz zatrzymał się w pół drogi. Nie jest już małą dziewczynką, a on przecież... jest zwykłym Maurem. Nikt nie powinien myśleć... Wystarczy, że dał się ponieść emocjom przed pałacem Elionor. Dłoń Mar przebyła odległość, której nie odważyła się pokonać ręka Guillem.

— Jestem tą samą osobą co przed laty. Dla ciebie zawsze zostanę taka sama.

Guillem się uśmiechnął.

— A twój mąż?

— Nie żyje.

Na jej twarzy nie było śladu smutku. Guillem zmienił temat:

— Udało się jakoś pomóc Arnauowi? Mar zmrużyła oczy i zacisnęła usta.

— Co masz na myśli? Nie możemy mu nijak...

— A Joan? Przecież jest inkwizytorem. Wiesz coś o nim? Nie wstawił się za Arnauem?

— Ten mnich? — Mar skrzywiła się z niechęcią i ugryzła w język. Po co mówić mu o Joanie? Teraz najważniejszy jest Arnau, Guillem właśnie dla niego przyjechał do Barcelony. — Nie, nie mógł. Na dodatek wielki inkwizytor za nim nie przepada. Jest tu z nami...

— Z nami?

— Tak. Poznałam wdowę, która ma na imię Aledis i zatrzymała się tu z dwiema córkami. Zna Arnaua z czasów dzieciństwa. Była akurat przejazdem w Barcelonie i dowiedziała się o jego aresztowaniu. To dobra kobieta. Dzielę z nimi trzema pokój. Poznasz je podczas obiadu.

Guillem ścisnął dłoń swej ulubienicy.

— A co ty porabiałaś przez ten cały czas? — zapytała Mar

Podczas gdy Mar i Guillem rozprawiali o wydarzeniach ostatnich pięciu lat, które spędzili z dala od siebie, minęło południe i słońce wspięło się wysoko nad Barcelonę. Pierwsze zjawily się w zajeździe Teresa i Eulalia. Weszły zgrzane, ale wesołe, choć uśmiech zniknął z ich ślicznych buź

na widok Mar i na wspomnienie Franceski zamkniętej w lochu.

Przemierzyły pół miasta, korzystając z nowej tożsamości i swego sierocego oraz... dziewiczego przyodziewku. Nigdy przedtem nie cieszyły się taką swobodą i anonimowością, prawo zmuszało je bowiem do noszenia jaskrawych jedwabnych sukien, po których można je było łatwo rozpoznać. „Wchodzimy?”, zapytała Teresa, wskazując głową kościół Świętego Jakuba. Powiedziało to szepem, bojąc się ściągnąć na siebie gniew Barcelony. Nic się jednak nie wydarzyło. Wierni w świątyni prawie nie zwrócili na nie uwagi, podobnie zresztą jak kapłan, na którego widok dziewczęta spuściły wzrok i przytuliły się do siebie.

Potem, gawędząc i chichocząc, udały się ulicą Boqueria ku wybrzeżu. Gdyby skręciły w ulicę Bisbe i doszły do placu Nova, spotkałyby Aledis, która wpatrywała się w okna pałacu biskupiego, próbując rozpoznać Arnaua lub Francescę w sylwetkach migających za witrażami. Nie wiedziała nawet, w której sali sądzono Arnaua! Czy przesłuchano już Francescę? Joan nic o niej nie wiedział. Wzrok Aledis błądził po kolorowych szybkach. Po co mu cokolwiek mówić, skoro i tak nie może nic poradzić. Arnau jest silny, a Francesca... Oni jeszcze nie znają Franceski.

— Co tak tu sterczysz, kobieto? — Jeden z żołnierzy inkwizycji wyrósł przed nią niespodziewanie. Nie zauważyła, jak podchodzi. — Na co się gapisz?

Aledis skuliła się i umknęła bez słowa. Nie znanie Franceski, myślała, oddalając się. Żadne tortury nie wydobędą z niej tego, co skrywała całe życie.

Joan wrócił do zajazdu jeszcze przed Aledis. Miał na sobie nowy habit, który dostał w klasztorze Sant Pere de les Puelles. Na widok Guillem'a, siedzącego przy stole z Mar i córkami Aledis, zamarł na środku jadalni.

Guillem spojrział na niego. Czy ten grymas na twarzy mnicha oznacza radość czy raczej niechęć? — pomyślał.

Nawet Joan nie potrafiłby mu na to odpowiedzieć. Czy Mar wspomniała Guillemowi o jego udziale w porwaniu?

Nagle były niewolnik przypomniał sobie, jak mnich obchodził się z nim swego czasu. Jednak wstał, uznając, że to nie pora na roztrząsanie dawnych uraz. Powinni trzymać się razem dla dobra Arnaua.

— Jak się masz? — rzucił, ściskając dominikanina za ramiona. — Co ci się stało? — Wskazał na jego posiniaczoną twarz.

Joan zerknął na Mar. Odpowiedziało mu to samo zacięte i nieprzeniknione spojrzenie, którym obrzucała go, odkąd zjawił się w dworku pod Mataró. Nie, Guillem nie byłby aż tak cyniczny, by pytać...

— Przykre spotkanie — odparł. — Nawet mnichom się takie zdarzają.

— Założę się, że obłożyłeś delikwenta klątwą — uśmiechnął się Maur, prowadząc go do stołu. — Czy nie tak stanowi prawo? — Joan i Mar skrzyżowali spojrzenia. — Dobrze mówię? Klątwa spadnie na śmiałka, który rękę podniesie na nieuzbrojonego duchownego... Bo chyba nie miałeś przy sobie broni, bracie Joanie?

Guillem nie zdążył dostrzec napięcia między Mar i mnichem, bo w tej samej chwili weszła do zajazdu Aledis. Powitania trwały krótko, Guillem miał kilka pytań do Joana:

— Jak ty, inkwizytor, oceniasz położenie Arnaua?

— Myślę, że Nicolau Eimeric bardzo chciałby go skazać, nie sądzę jednak, by ciążyły na nim poważne zarzuty. Pewnie skończy się na szacie pokutnej i wysokiej grzywnie, bo o to głównie

chodzi Eimericowi. Znam Arnaua, nigdy nikogo nie skrzywdził. Mimo donosu Elionor, nie znajduję...

— A gdyby donos Elionor poparło kilku duchownych? — Joan struchlał na te słowa. — Przecież duchowni nie oskarżaliby go o błahostki...

— Do czego zmierzasz?

— Mniejsza o to — powiedział Guillem, myśląc o liście Jucefa. — Co będzie, jeśli jednak duchowni poprą oskarżenie Elionor?

Aledis nie słuchała odpowiedzi Joana. Czy powinna wyjawić, co wie? Czy ten Maur może coś poradzić? Jest bogaty i wygląda na... Napotkała wzrok Eulalii i Teresy. Zgodnie z jej poleceniem dochowały sekretu, ale teraz wyraźnie zachęcały ją do zabrania głosu. Nie musiała ich nawet pytać o zdanie, obie skinęły głowami. Ale to znaczy, że... Co z tego! Przecież trzeba działać, a ten Maur...

— To nie wszystko — oznajmiła raptem, przerywając wywód Joana.

Wzrok Mar i obu mężczyzn spoczął na niej.

— Musicie mi najpierw obiecać, że nie będziecie pytały, skąd to wiem, ani wracać do tego tematu. Zgadźcie się?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Joan.

— To chyba jasne, mnichu — warknęła Mar.

Guillem spojrział na nią zdumiony. Dlaczego zwraca się w ten sposób do Joana? Zobaczył, że mnich wbija oczy w blat stołu.

— Mów, Aledis. Zgadźmy się — przy stał Guillem.

— Pamiętajcie dwóch możliwych, którzy mieszkają w tym zajęździe?

Guillem przerwał jej na wzmiankę o Genisie Puigu.

— Ma siostrę Margaridę — dodała Aledis. Maur ukrył twarz w dłoniach.

— Mówisz, że właśnie tu się zatrzymali? — zapytał. Aledis opowiedziała, czego dowiedziały się jej dziewczęta.

Uległość Eulalii wobec Genisa Puiga przyniosła rezultaty. Wyładowawszy na niej żądzę podlaną winem, rycerz nie dał się długo prosić i chętnie wyznał jej, o co oskarżyli Arnaua przed inkwizytorem.

— Ponoć spalił zwłoki swego ojca. Trudno mi w to uwierzyć... — zakończyła.

Joan sprawiał wrażenie, jakby zbierało mu się na wymioty. Wszyscy spojrzeli na niego. Zbladł i przycisnął rękę do ust. Mrok ciała Bernata wiszące na prowizorycznej szubienicy, płomienie...

— Co to znaczy? — dobiegło go pytanie Guillega.

— Zostanie stracony — zdążył tylko wykrzusić i wybiegł na ulicę, zasłaniając ręką usta.

Jego przepowiednia zawisa nad głowami rozmawiających, którzy woleli nie patrzeć sobie w oczy.

— Co zaszło między tobą i Joaniem? — szepnęła Guillem do Mar, bo mnich długo nie wracał.

„Byłem zwykłym niewolnikiem... Co mógł zrobić zwykły niewolnik?”. Słowa Guillega znów zabrzmiały jej w uszach. Jeśli powie mu prawdę... Powinni trzymać się razem, Joan... również! Tylko w ten sposób mogą pomóc Arnauowi.

— Nic — odpowiedziała, unikając wzroku Guillega. — Przecież wiesz, że nigdy za nim nie przepadałam.

— Opowiesz mi kiedyś o tym? Mar spuściła wzrok



Cztery dominikanie i sekretarz zajęli miejsca za stołem, żołnierze strzegli drzwi, a Arnau, równie brudny jak poprzedniego dnia, tkwił na środku sali, obserwowany przez wszystkich obecnych.

Chwilę potem wkroczyli Nicolau Eimeric i Berenguer d'Erill, wynieśli i epatujący przepychem. Żołnierze zaszalutowali, a pozostali członkowie trybunału wstali i zaczęli wyprostowani, aż nowo przybyli zajmą miejsca.

— Rozpoczynamy posiedzenie — oznajmił Eimeric. — Przypominam ci — zwrócił się do Arnaua — że nadal zeznajesz pod przysięgą.

„Ten Estanyol — mruknął do biskupa w drodze na salę — więcej nam powie ze względu na przysięgę niż ze strachu przed torturami”.

— Odczytaj ostatnią wypowiedź oskarżonego — nakazał sekretarzowi.

„Wyznają tylko poglądy i przekonania, podobnie jak my” — Arnau oszołomiły jego własne słowa. Wciąż mając przed oczami Mar i Aledis, całą noc rozmyślał o tym, co powiedział przed trybunałem. Eimeric nie dał mu czasu na wyjaśnienia, ale z drugiej strony... Co miał powiedzieć? Jak wyjaśnić tym łowcom heretyków przywiązanie do Raquel i jej rodziny?

Sekretarz czytał dalej. Nie może skierować śledztwa na Raquel. Ona i jej bliscy dość już wycierpieli, by nasyłać na nich inkwizycję...

— Utrzymujesz, że wiara chrześcijańska sprowadza się do poglądów i przekonań, które mogą być dobrowolnie uznawane przez człowieka? — zapytał Berenguer d'Erill. — Twoim zdaniem zwykły śmiertelnik może sądzić boską naukę?

Czemu nie? Arnau spojrział wprost na Eimerica. Czy i wy nie jesteście zwykłymi śmiertelnikami? Skończy na stosie. Spalą go jak Hasdaia i tylu innych. Przeszły go ciarki.

— Wyraziłem się nieprecyzyjnie — stwierdził po chwili.

— Więc jakbyś się teraz wyraził? — zapytał Eimeric.

— Nie wiem. Nie posiadam waszej wiedzy. Mogę tylko powiedzieć, że wierzę w Boga, i zawsze postępowałem zgodnie z jego nauką. Jestem dobrym chrześcijaninem.

— Palenie zwłok własnego ojca nazywasz postępowaniem zgodnym z boską nauką?! — wrzasnął inkwizytor, zrywając się na równe nogi i waląc obiema rękami w stół.

Raquel, przemykając w mroku, szła do domu Jucefa na umówione spotkanie.

— Sahat — rzuciła tylko, stając w progu.

Guillem wstał od stołu, przy którym siedział z jej bratem.

— Przykro mi, Raquel.

W odpowiedzi Żydówka wykrzywiła twarz w bólu. Dzieliło ich kilka kroków, jednak lekki ruch jej ręki sprawił, że Guillem podszedł i wziął ją w ramiona. Objął mocno i chciał pocieszyć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Popłacz sobie, pomyślał. Niech łzy ugaszą płomienie, które wciąż palą się w twoich oczach.

Po chwili Raquel odsunęła się od Guilleva i otarła łzy.

— Przyjechałeś ze względu na Arnaua, prawda? — zapytała. — Musisz mu pomóc. My niewiele możemy zrobić, zresztą tylko byśmy mu zaszkodzili.

— Mówiłem właśnie Jucefowi, że potrzebny mi jest polecający, bo chcę poprosić o audiencję na dworze.

Raquel spojrzała pytająco na brata.

— To się da załatwić — skinął głową Jucef. — Książę Ja wraz ze swym dworem, doradcami ojca i mężami stanu z całego królestwa obradują właśnie w Barcelonie nad sytuacją na Sardynii. Doskonale się składa.

— Co zamierzasz? — zapytała Raquel Maura.

— Jeszcze nie wiem. Pisałeś — zwrócił się do jej brata że król ma na pieńku z inkwizytorem.

— Jucef przytaknął. A książę?

— Jeszcze bardziej. Książę Jan jest mecenasem kultury i sztuki. Lubi muzykę i poezję, sprasza do siebie do Gerony pisarzy i myślicieli. Wszyscy oni sprzeciwiają się zdecydowanie atakom Eimerica na Ramona Llulla. Inkwizycja jest źle widziana przez katalońskich filozofów. Na początku wieku zarzuciła bowiem herezję czternastu dziełom medyka Arnaua de Villanova, a pisma Mikołaja z Kalabrii zostały potępione z tego właśnie powodu przez samego Eimerica. Teraz inkwizycja uwzięła się na innego wielkiego mistrza, na Ramona Llulla, zupełnie jakby odrzucała wszystko co katalońskie. Tylko nieliczni mają jeszcze odwagę sięgać po pióro, wszyscy boją się inkwizytora. Trudno się dziwić, skoro Mikołaj z Kalabrii skończył na stosie. Poza tym marzenie Eimerica, by podporządkować sobie getta żydowskie w Katalonii, godzi w interesy samego księcia. Nie zapomnij, że on żyje z naszych podatków. Dlatego chętnie cię wysłucha — zakończył Jucef. — Ale nie ludź się, nie sądzę, by chciał wypowiedzieć inkwizycji otwartą wojnę.

W głębi duszy Guillem musiał przyznać mu rację.

Palenie zwłok?

Nicolau Eimeric nadal stał z rękami wspartymi o świdrując oskarżonego wzrokiem. Zbladł.

— Twój ojciec — rzucił przez zęby — był demonem podjudzającym lud. Dlatego go stracono i dlatego go spaliłeś. Chciałeś, by zginął jak demon.

Mówiąc ostatnie słowa, Eimeric wycełował palec w Arnaua.

Skąd wie? Tylko jedna osoba mogła... Sekretarz skrobał piórem po papierze. To niemożliwe. Joan nie... Arnau poczuł, że nogi się pod nim uginają.

— Zaprzeczasz, że spaliłeś trupa swego ojca? — zapytał Berenguer d'Erill.

Joan nie mógł na niego donieść!

— Zaprzeczasz?! — zagrzmiał Eimeric.

Twarze członków trybunału stężały. Arnau poczuł mdłości.

— Nie mieliśmy co jeść! — krzyknął. — Czy wy w ogóle wiecie, co to głód? — Posiniałe oblicze ojca z wywieszonym językiem stopiło się z twarzami patrzącymi na niego zza stołu. Joan? Dlaczego go już nie odwiedza? — Nie mieliśmy co jeść! — Zakolatały mu w głowie słowa ojca: „Na twoim miejscu bym się nie poddawał”.

Arnau rzucił się na Eimerica, który stał wyniośle, świdrując go wzrokiem. Jednak żołnierze złapali go w pół drogi i zawlekli z powrotem na środek sali.

— Spaliłeś ojca, bo był demonem?! — ryknął Eimeric.

— Mój ojciec nie był żadnym demonem! — Arnau próbował wyrywać się strażnikom.

— A jednak spaliłeś jego zwłoki.

Joanie, dlaczego? Jesteś moim bratem, a Bernat... Bernat kochał cię jak rodzzonego syna. Arnau spuścił głowę i zawisł na ramionach żołnierzy. Dlaczego?

— Matka ci kazała? Arnau uniósł głowę.

— Twoja matka jest czarownicą, która przynosi czarcia chorobę — dodał biskup.

Co oni wygadują?

— Potwierdzasz, że twój ojciec zabił młodego czeladnika, by cię uwolnić?

— Co? — wykrztusił Arnau.

— Ty z kolei zamordowałeś chrześcijańskiego chłopca. Co zamyslałeś z nim zrobić?

— Rodzice ci kazali? — zapytał biskup.

— Chciałeś mu wyrwać serce? — drażył Eimeric.

— Ile dzieci masz na sumieniu?

— Co cię łączy z heretykami?

Inkwizytor i biskup zarzucili Arnaua pytaniami. Ojciec, matka, chrześcijańskie dzieci, morderstwa, serca, heretycy, Żydzi... Joan! Arnau znów opuścił głowę. Trząsł się.

— Przyznajesz się? — rzucił na koniec Eimeric.

Arnau milczał. Członkowie trybunału czekali, patrząc na oskarżonego zwisającego z ramion strażników. W końcu inkwizytor pozwolił go wyprowadzić.

— Stać! — krzyknął inkwizytor. Żołnierze odwrócili się. — Arnau Estany ol! — krzyknął. — Arnau Estany ol! — powtórzył.

Arnau uniósł wolno głowę i spojrzał na Eimerica.

— Zabierzcie go — rzucił inkwizytor do żołnierzy, gdy tylko poczuł na sobie jego wzrok — A wy piszcie — ostatnie słowa, skierowane do sekretarza, dobiegły Arnaua już zza progu. — Oskarżony nie zaprzeczył żadnemu z zarzutów postawionych mu przez trybunał i wzbraniał się przed przyznaniem do winy, udając omdlenie. Zdradził się jednak zaraz po zawieszeniu posiedzenia, kiedy to, wywlekany z sali, zareagował na wezwanie inkwizytora.

Skrzypienie pióra odprowadziło Arnaua aż do lochów.

Guillem rozkazał swym niewolnikom przenieść bagaże do miasteczka kupieckiego, położonego niedaleko zajazdu Estanyer, którego właściciel z żalem żegnał gościa. Maur niechętnie rozstawał się z Mar, bał się jednak, że Genis Puig go rozpozna. Służący Guillemu kręcili tylko głowami na przekonywanie gospodarza, próbującego zatrzymać majątnego kupca.

„Co mi po gościach, którzy nie płacą?“, mruczał, przeliczając monety wręczone mu przez niewolników.

Z dzielnicy żydowskiej Guillem udał się wprost do miasteczka kupieckiego. Nikt z zakwaterowanych tam kupców, będących przejazdem w Barcelonie, nie znał go z dawnych czasów, gdy pracował dla Arnaua.

— Mam magazyny w Pizie — odpowiedział na pytanie sycylijskiego kupca, który przysiadł się do niego podczas obiadu.

— A co cię sprowadza do Barcelony? — chciał wiedzieć Sycylijczyk.

Przyjacieli w tarapatkach, już miał odpowiedzieć Guillem. Sycylijczyk był niskim, łysym mężczyzną o ostrych rysach. Przedstawił się jako Jacopo Lercardo. Guillem odbył właśnie długą pogawędkę z Jucefem, ale uznał, że nie zaszkodzi zasięgnąć jeszcze języka.

— Przed laty utrzymywałem bliskie kontakty z Katalonią, postanowiłem więc odwiedzić Barcelonę w drodze powrotnej z Walencji. Chcę poznać tutejszy rynek.

— Nie ma wiele do poznawania — stwierdził Sycylijczyk Guillem czekał na dalsze wyjaśnienia, lecz Jacopo zajął się zupą mięsną. Ten człowiek da się wciągnąć w rozmowę tylko komuś, kto zna się na interesach równie dobrze jak on, pomyślał Maur.

— Zauważyłem, że od mojej ostatniej wizyty sytuacja bardzo się zmieniła. Na targowiskach przestali handlować chłopci. A pamiętam, że przed laty ruch był tu taki, że zwaśnionych kupców i wieśniaków musieli rozdzielać nadzorcy miar i wag...

— Którzy teraz zostali bez pracy — skwitował Sycylijczyk z uśmiechem. — Chłopi nie wytwarzają już żywności i nie handlują na targowiskach miejskich. Zdziesiątkowały ich epidemie, ziemia nie rodzi, więc jej właściciele porzucają ją lub zamieniają w ugory. Wieśniacy uciekają do Walencji, skąd właśnie przybywasz.

— Odwiedziłem kilku znajomych z dawnych lat. — Sycylijczyk zerknął na niego znad miski. — Już nie inwestują pieniędzy w ryzykowne transakcje handlowe, wolą wykupywać miejskie długi. Zamienili się w rentierów. Ponoć zadłużenie miasta, które dziewięć lat temu wynosiło w przybliżeniu sto sześćdziesiąt dziewięć tysięcy funtów, sięgnęło dwustu tysięcy funtów i wciąż rośnie. Miasto nie może spłacić censales ani violarios stanowiących zabezpieczenie długu. Barcelona stoi na skraj bankructwa.

Guillem przypomniał sobie odwieczną dyskusję nad zakazanymi przez Kościół odsetkami od pożyczek pieniężnych. Mimo iż działalność kupiecka podupadła, a więc zmalały zyski z wymiany handlowej, chrześcijanie i tym razem znaleźli sposób, by ominąć oficjalny zakaz, i wymyślili tak zwane censales lub violarios. Zamożni obywatele udzielali pożyczek miastu, to z kolei zobowiązywało się spłacać je w corocznych ratach, które — a jakże — zawierały zakazane odsetki. W przypadku violarios zwrócona pożyczka przewyższała o jedną trzecią sumę wyjściową. Na dodatek wykupywanie długów miejskich wolne było od ryzyka, nieuniknionego przy operacjach zamorskich. Oczywiście póki Barcelona była wypłacalna...

— A na razie, nim nastąpi koniec, Katalonia to raj dla tych, którzy chcą łatwo i szybko zarobić... — stwierdził Sycylijczyk.

— Wyprzedając... — wszedł mu w słowo Guillem.

— Przeważnie. — Sycylijczyk stał się bardziej rozmowny. — Ale również kupując, oczywiście pod warunkiem, że użyje się odpowiedniej monety. Kurs złotego florena do srebrnego croata w żaden sposób nie odpowiada rzeczywistości ani sytuacji na rynkach zagranicznych. Choć srebro jest masowo odprowadzane z Katalonii, król wbrew zasadom rynku i zdrowego rozsądku podtrzymuje kurs złotego florena. I będzie go to słono kosztować.

— Jak myślisz, dlaczego Piotr Trzeci tak postępuje? Zawsze dotąd postępował dość rozważnie...

— To kwestia czysto polityczna — orzekł Jacopo. — Floren jest monetą królewską bitą w mennicy w Montpellier, podlegającej bezpośrednio monarchii. Croaty natomiast bite są na królewskiej koncesji w miastach takich jak Barcelona czy Walencja. Monarcha woli się mylić, niż obniżyć kurs swej monety. My natomiast powinniśmy być mu dozwownie wdzięczni za tę pomyłkę. Narzucony przez króla parytet złota do srebra jest trzykrotnie wyższy od obowiązującego na innych rynkach!

— A co z królewskim skarbem?

Do tego właśnie cały czas zmierzał Guillem.

— Trzykrotnie przeceniony! — zarechotał Sycylijczyk — Król nadal wojuje z Kastylią, choć najprawdopodobniej wojna ma się już ku końcowi. Piotr Okrutny nie daje sobie rady z możnowładcami, którzy opowiedzieli się po stronie Henryka Trastamary, a i Piotrowi Ceremonialnemu wiernie pozostały już tylko miasta, no i może jeszcze Żydzi. Wojna przeciwko Kastylii zrujnowała monarchę. Cztery lata temu kortezy obradujące w Monzon przyznały mu pomoc w wysokości dwustu siedemdziesięciu tysięcy funtów w zamian za kolejne ustępstwa na rzecz możnych i miast. Król zdobywa pieniądze na wojnę kosztem swej władzy, co niczego dobrego mu nie wróży. A teraz jeszcze ten bunt na Korsyce... Jeśli zamierzasz prowadzić interesy z dworem, wybij to sobie z głowy.

Jednak Guillem nie słuchał już Sycylijczyka. Potakiwał tylko odruchowo i uśmiechał się, gdyż miał wrażenie, że rozmówca na to właśnie czeka. Król jest zrujnowany, a Arnau należy do jego głównych wierzycieli. Przed wyjazdem Guillega z Barcelony dług monarchy wobec jego przyjaciela opiewał na ponad dziesięć tysięcy funtów. Ile wynosi teraz? Zapewne król nie płacił nawet odsetek od tanich kredytów. „Zostanie stracony”, zakłatały mu w głowie słowa Joana. „Eimeric chce wykorzystać Arnaua do umocnienia swej władzy — powiedział Jucef. — Król zalega z podatkami dla papieża, więc inkwizytor obiecał podzielić się z biskupem Rzymu fortuną Arnaua”. Czy Piotr III zechce zostać dłużnikiem papieża, który dopiero co podważył prawa Aragonii do Korsyki, czy m przyczynił się do wybuchu powstania na wyspie? Tyko jak nakłonić monarchę do wystąpienia przeciwko inkwizycji?

— Wasza propozycja brzmi interesująco.

Głos księcia poniósł się po przestronnej sali Tinell. Mimo młodego wieku szesnastoletni książę Jan dopiero co przewodniczył w imieniu ojca zgromadzeniu parlamentu obradującemu nad sardyńskim powstaniem. Guillem przyjrzał się ukradkiem następcy Piotra III. Książę zasiadał na tronie, po którego obu stronach stali doradcy: Juan Fernandez de Heredia oraz Francesc de Perellós. Wbrew pogłoskom o jego słabowitości ten właśnie chłopiec przed dwoma laty zmuszony był osądzić, skazać i posłać na szafot wicehrabiego Bernata de Cabrera, który opiekował się nim od kołyski. Po egzekucji na rynku w Saragossie książę przesłał ojcu, Piotrowi Ceremonialnemu, głowę swego wychowawcy.

Jeszcze w dniu pogawędki z Sycylijczykiem Guillem został przyjęty przez Francesca de Perellós. Wysłuchawszy go uważnie, doradca kazał mu poczekać za drzwiami. Gdy po dłuższym czasie został wpuszczony, znalazł się w najwspanialszej komnacie, jaką kiedykolwiek oglądał: w wielkiej, szerokiej na trzydzieści metrów sali o sklepieniu z siedmiu długich łuków sięgających prawie do samej ziemi i nagich, oświetlonych pochodniami ścianach. Książę i jego doradcy czekali na nie-

go w głębi sali Tinell.

Guillem przyklęknął na jedno kolano jeszcze wiele kroków przed tronem.

— Musicie jednak pamiętać! — ciągnął księżę — że nie wystąpimy przeciwko inkwizycji.

Francesc de Perellós spojrział na Maura porozumiewawczo, zachęcając go do zabrania głosu.

— To nie będzie konieczne, wasza wysokość.

— W takim razie zgadzam się — rzekł księżę, po czym wstał i opuścił salę w towarzystwie Juana Fernandeza de geredia.

— Wstańcie — zwrócił się do Maura Francesc de Perellós. — Kiedy to się stanie?

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro. Najpóźniej pojutrze.

— Powiadomię naczelnika miasta.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Guillem opuszczał pałac królewski. Spojrzął na bezchmurne śródziemnomorskie niebo i wziął głęboki oddech. Jest jeszcze dużo do zrobienia. Kilka godzin wcześniej, podczas pogawędki z Sycylijczykiem Jacopem, otrzymał wiadomość od Jucefa: Doradca Francesc Perellós przyjmie cię dzisiaj w pałacu królewskim po posiedzeniu parlamentu. Guillem wiedział, jak zainteresować księcia. Wystarczy po prostu umorzyć dług królewski figurujący w księgach rachunkowych Arnaua, uniemożliwiając papieżowi jego przejęcie. Pozostaje tylko jedno „ale”. Jak uwolnić Arnaua, nie zmuszając księcia Gerony do wystąpienia przeciwko inkwizycji?

Przed audiencją Guillem wybrał się na spacer. Nogi poniosły go na róg ulic Canvis Nous i Canvis Vells. Kantor Arnaua był zamknięty. Zapewne Nicolau Eimeric przejął księgi rachunkowe, by nie wyprzedano dóbr oskarżonego, a subiekci się rozpieczęśli. Maur spojrzął na opleciony rusztowaniami kościół Santa Maria. Jak to możliwe, że ktoś, kto poświęcił wszystko dla tej świątyni... Skierował się ku Konsulatowi Morskiemu i wyrbrzeżu.

— Jak się miewa twój pan? — usłyszał za plecami. Obejrzał się i zobaczył tragarza portowego z wielkim worem na plecach. Przed laty Arnau udzielił mu pożyczki, a on spłacił ją co do grosza. Guillem wzruszył ramionami i ściągnął brwi. Właśnie rozładowywano okręt i niebawem otoczyła Maura grupa objuczonych *bastaixos*. „Czego oni chcą od Arnaua? — rzucił kolejny. — Jak mogą oskarżać go o herezję?”. Również temu tragarzowi Arnau pożyczył kiedyś pieniądze, bodaj że na posag dla córki. Ilu z nich odwiedziło kantor Arnaua? „Jeśli go zobaczysz — powiedział ktoś inny — przekaż mu, że u stóp Madonny pali się świeczka w jego intencji. Pilnujemy, by nie zgasała”. Guillem chciał wyjaśnić, że nie widuje Arnaua, ale *bastaixos* nie dopuścili go do głosu. Zaczęli zlorzeczyc w inkwizycję, a potem ruszyli z ładunkami ku miastu.

Odprowadziwszy wzrokiem wzburzonych *bastaixos*, Guillem skierował się zdecydowanym krokiem do pałacu.

Teraz znów stał przed kantorem Arnaua, za jego plecami noc obrysowywała kontury kościoła Santa Maria. Przyszedł po podpisane przed laty przez Abrahama Leviego zlecenie wypłaty, które własnoręcznie ukrył w murze. Drzwi kantoru były zamknięte na klucz, ale Guillem pamiętał, że jedno z okien na parterze się nie domyka. Sprawdził, czy nikt nie kręci się w pobliżu. Arnau nigdy nie dowiedział się o istnieniu tego dokumentu. Guillem i Hasdai, świadomi, że Arnau nie zaakceptuje pieniędzy pochodzących z handlu niewolnikami, postanowili zataić zyski z operacji. Pomógł im w tym Abrahamowi Levi, znajomy Żyd goszczący przejazdem w Barcelonie. Okno zatrzęszczało, mącąc ciszę nocy. Guillem struchlał. Był tylko Maurem, niewiernym, który zakradł się pod osłoną ciemności do domu więźnia inkwizycji. Jeśli zostanie przyłapany na gorącym uczynku, nie

uratuje go nawet to, że przyjął chrzest. Jednak codzienne odgłosy nocy — falowanie morza, skrzywienie rusztowań pobliskiego kościoła, płacz niemowląt, głosy mężczyźni pokrzykujących na żony ... — uspokoiły go i przekonały, że nikt niczego nie zauważył.

Uchylił okno i wślizgnął się do środka. Arnau dobrze zainwestował pieniądze powierzone mu przez Abrahama Leviego i po każdej operacji zapisywał czwartą część zysków na konto fikcyjnego właściciela wkładu. Guillem odczekał, aż wszędzie księżyc i jego wzrok oswoi się z mrokiem. Przed wyjazdem Abrahama z Barcelony Hasdai zaprowadził go do rejenta, by przepisał na Arnaua powierzone mu uprzednio pieniądze. Tak wkład należał do Arnaua, choć w księgach rachunkowych nadal figurował przy nazwisku Leviego.

Guillem ukłękł pod ścianą. Drugi kamień od kąta. Próbował go obłuzować. Nigdy nie zdobył się na wyznanie Arnauowi prawdy o tych pierwszych operacjach handlowych przeprowadzonych w jego imieniu, choć za jego plecami, i wkład Abrahama Leviego przez lata się pomnożył. Kamień ani drgnął. “Nie zaprzataj tym sobie głowy. — Guillem przypomniał sobie słowa Hasdaia, gdy Arnau napomknął w jego obecności o Levim. — Otrzymałem wskazówki, by wszystko pozostało bez zmian. Nie zaprzataj tym sobie głowy — powtórz!” Gdy Arnau nie patrzył, Hasdai zerknął na Maura, który wzruszył tylko ramionami i westchnął. Kamień zaczął wreszcie ustępować. Nie, Arnau nigdy nie zgodziłby się obracać pieniędzmi pochodzącymi z handlu niewolnikami. W końcu zdołał wyluskać kamień ze ściany i wyciągnąć spod niego dokument starannie owinięty w płótno. Nie musiał go czytać — dobrze znał jego treść. Włożył kamień na miejsce i zniechęcony przy oknie. Nie usłyszawszy żadnych podejrzanych odgłosów, opuścił kantor Arnaua, zamykając za sobą okno.



Musieli siłą wywlec go z celi. Dwaj żołnierze inkwizycji chwycili go pod pachy, a on potykał się raz po raz, przewracał, uderzał kostkami o schody prowadzące na parter, dał się ciągnąć po pałacowych korytarzach. Przez całą noc nie zmrzył oka. Nawet nie spojrzął na mnichów i księży, którzy przyglądali się, jak prowadzą go przed oblicze Nicolaua Eimerica. Jak Joan mógł na niego donieść?

Odkąd po przesłuchaniu zaprowadzono go do lochu, Arnau nie przestał płakać, krzyczeć i tuc głową o ścianę. Dlaczego Joan? Skoro Joan na niego doniósł, to co miała z tym wspólnego Aledis? A więziona staruszka? Tak, Aledis miała powody, by go nienawidzić: uciekł od niej, a potem porzucił ją w Figueras. Jest w znowiu z Joanem? Czy naprawdę Mar przybyła do Barcelony? A skoro tak, dlaczego go nie odwiedza? Tak trudno przekupić dozorcę?

Francesca słyszała, jak Arnau szlocha i wyje. Przy każdym jego krzyku kulila się jeszcze bardziej. Chciała spojrzeć na syna, zagadać go, choćby skłamać, byle podtrzymać go na duchu. „Nie wytrzymasz”, ostrzegła Aledis. A ona? Jak długo wytrzyma? Arnau nie przestawał się zalić i Francesca przylgnęła do zimnej kamiennej ściany.

Drzwi sali otworzyły się i wciągnięto Arnaua do środka.

Trybunał był już w komplecie. Żołnierze doprowadzili oskarżonego na środek sali i puścili. Arnau osunął się na kolana z rozstawionymi nogami i spuszczoną głową. Słyszał, że Nicolau coś mówi, lecz nie rozumiał jego słów. Cóż go obchodzi ten mnich i jego decyzje, skoro własny brat wydał na niego wyrok? Nikt mu już nie został na tym świecie. Jest zupełnie sam.

„Nie łudź się”, powiedział dozorca, gdy Arnau próbował go przekupić, obiecując zawrotną sumę, „Już nie masz pieniędzy”. Pieniądze! One są wszystkim winne. Gdyby nie jego majątek, król nie kazałby mu się ożenić z Elionor, a i ona by na niego nie doniosła i nie wydała go inkwizycji. Czy również pieniądze skłoniły Joana...

— Wprowadźcie jego matkę!

Rozkaz inkwizy tora otrzeźwił Arnaua.

Mar, Aledis oraz trzy mający się nieco z boku Joan stali przed pałacem biskupim. „Mój pan ma po południu audiencję na dworze księcia Jana”, powiadomili ich poprzedniego dnia niewolnik Guillem. O świecie ten sam niewolnik przekazał im jego prośbę, by udali się na plac Nova.

Wszyscy troje czekali teraz w wyznaczonym miejscu, próbując odgadnąć zamiary Guillem. Arnau słyszał drzwi otwierające się za jego plecami i żołnierzy, którzy zbliżyli się do niego, a potem znowu zajęli miejsca koło wejścia.

Wy czuł jej obecność. Zobaczył bosa, pomarszczone, brudne, zakrwawione i pokryte wrzodami stopy. Eimeric i biskup uśmiechnęli się, widząc, że więzień wpatruje się w nogi matki. Arnau odwrócił się. Staruszka była tak przygarbiona, że nawet o pięćdziesiąt nie przewyższała kłęzącego Arnaua. Dni spędzone w więzieniu sprawiły, że jej rzadkie siwe włosy sterczały na wszystkie strony, a jej twarz przypominała z profilu obwisły skórzany worek, nie widać było na niej choćby jednego mięśnia. Arnau bezskutecznie szukał źrenic zatopionych w podkrążonych oczodołach.

— Francesco Esteve — przemówił Eimeric — przyśięgasz na świętą Ewangelię?

Głos staruszki, mocny i zdecydowany, zaskoczył wszystkich obecnych:

— Przyśięgam. Ale mylicie się, panie, nie nazywam się Francesca Esteve.

— A niby jak?

— Na imię mam Francesca, ale na drugie mi Ribes, nie Esteve. Nazywam się Francesca Ribes — powiedziała z naciskiem.

— Mamy ci przypomnieć, że zznajesz pod przyśięgą? — wtrącił biskup.

— Nie. Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę. Nazywam się Francesca Ribes.

— A więc zaprzeczasz, że jesteś córką Perego i Franceski Esteve? — zapytał wielki inkwizytor.

— Nie znam moich rodziców.

— Nie wysłała za mąż w Navarcles za Bernata Estanyola? Arnau drgnął na wzmiankę o ojcu.

— Nie, nie znam tego miejsca i nigdy nie wysłałam za mąż.

— Zaprzeczasz, że Arnau Estanyol jest twoim synem?

— Nie znam żadnego Arnaua Estanyola. Arnau spojrział na Francescę.

Nicolau Eimeric i Berenguier d'Erill zaczęli naradzać się półgłosem. Następnie inkwizytor skinął na sekretarza i rozkazał Francescę:

— Słuchaj uważnie.

— Zeznanie Jaumego de Bellera, pana Navarcles — zaczął czytać sekretarz.

Arnau przymknął powieki na wzmiankę o tym człowieku. Ojciec wspominał kiedyś to nazwisko. Z ciekawością wysłuchał domniemanej historii własnego dzieciństwa, której ojciec nie zdążył mu opowiedzieć. Dowiedział się, że jego matka została ponoć wezwana na zamek w Navarcles jako mamka nowo narodzonego syna Llorenca. Czarownica? Według Jaumego de Bellera, gdy krótko potem nawiedziły go pierwsze ataki czarnej choroby, jego mamka uciekła z zamku.

— Bernat Estanyol, ojciec Arnaua — ciągnął sekretarz — wykorzystał wtedy nieuważę straży i zamordował niewinnego czeladnika, porwał syna i zbiegł z nim do Barcelony, porzucając gospodarstwo. W stolicy przygarnął uciekinierów kupiec Grau Puig. Autor donosu zapewnia, że czarownica zaczęła parać się nierządem. Arnau Estanyol jest synem wiedźmy i mordercy — zakończył sekretarz.

— I co na to powiesz? — zapytał Francescę inkwizytor.

— Że pomyliły się wam, panie, nierządnicę — odrzekła najspokojniej w świecie staruszka.

— Jak śmiesz! — wrzasnął biskup, wycelowawszy w nią palec. — Jak śmiesz, ty, jawno grzesz-

nica, podawać w wątpliwość skuteczność Świętej Inkwizycji?

— Nie trafiłam tu z racji mej profesji — odparowała Francesca. — I nie za to chcecie mnie sądzić. Święty Augustyn uczy, że jawnogrzesznice sądzić będzie Bóg.

Biskup spąsował.

— Jak śmiesz cytować świętego Augustyna? Jak... Berenguer d'Erill krzyczał dalej, lecz Arnau go nie słuchał.

Święty Augustyn uczy, że jawnogrzesznice sądzić będzie Bóg. Święty Augustyn powiedział... Przed laty... w karczmie w Figueras usłyszał to samo od pewnej prostytutki... Czy nie miała ona czasem na imię Francesca? Święty Augustyn powiedział... Jak to możliwe?

Odrzucił się do niej. Widział ją tylko dwa razy, ale były to decydujące momenty w jego życiu. Jego reakcja na ostatnie słowa staruchy nie uszła uwagi trybunału.

— Spójrz na swego syna! — krzyknął Eimeric. — Wypierasz się go?

Słowa inkwizytora zadudniły o ściany komnaty. Arnau kłęczał z twarzą zwróconą do kobiety, która patrzyła uparcie przed siebie, prosto w oczy inkwizytora.

— Patrz na niego! — ryknął znowu Eimeric, wskazując Arnaua.

Lekki dreszcz przebiegł Francescę na widok nienawiści, z jaką inkwizytor potrząsał oskarżycielskim palcem. Tylko kłęzący tuż obok Arnau spostrzegł ledwie zauważalne drganie zwiotczalej skóry na jej szyi. Francesca nie odrywała wzroku od inkwizytora.

— Przyznasz się — zapewnił ją Eimeric, cedząc słowa. Wszystko nam wyśpiewasz.

— *¡Via fora!*

Okrzyk zakłócił spokój panujący przed pałacem biskupim. Jakiś wyrostek przebiegł przez plac Nova, wzywając mieszkańców Barcelony do broni:

— *¡Via fora! ¡Via fora!*

Aledis i Mar spojrzwały na siebie, a następnie zerknęły pytające na Joana.

— Dzwony nie biją — wymamrotał mnich i wzruszył ramionami.

W kościele Santa Maria nie było jeszcze dzwonów.

Mimo to okrzyk *¡Via fora!* obiegił stolicę i zdziwieni mieszkańcy ścigali na plac Błat, wypatrując chorągwi świętego Jerzego, która powinna na nich czekać obok kamienia wyznaczającego środek rynku. Jednak stojący tam dwaj *bastaxos*, uzbrojeni w kusze, kierowali przybyłych pod kościół Santa Maria.

Na przykościelnym placu kamienna Madonna czekała na swój lud pod baldachimem, na ramionach tragarzy portowych. Mieszkańców nadbiegających ulicą Mar witali cechmistrzowie *bastaxos* zgromadzeni u stóp swego sztandaru i patronki morza. Jeden z nich miał na szyi klucz do Grobu Pańskiego. Ludzie tłoczyli się wokół Madonny, z każdą chwilą było ich coraz więcej. Guillem stał z boku, obserwował wszystko spod kantoru Arnaua, bacznie nasłuchując.

— Inkwizycja uprowadziła konsula morskiego, obywatela Barcelony — oznajmili cechmistrzowie *bastaxos*.

— Ale przecież inkwizycja... — zająknął się ktoś w tłumie.

— Inkwizycja nie podlega władzom miasta — odparł jeden z cechmistrzów. — Nie podlega nawet królowi. Nie obowiązują jej rozkazy Rady Stu, naczelnika ani burmistrza. Nie miasto mianuje jej członków, ale papież, cudzoziemiec, któremu zależy wyłącznie na naszych pieniądzech. Jak można oskarżać o herezję człowieka, który tyle zrobił dla naszej Madonny?

— Inkwizycja czyha na majątek naszego konsula! — krzyknął ktoś.

— Kłamstwem chce przywłaszczyć sobie nasze pieniądze!

— Pała nienawiścią do narodu katalońskiego — dodał inny cechmistrz.

Argumenty starszych bractwa *bastaixos* wędrowały z ust do ust. Niebawem pełne oburzenia krzyki doszły do ulicy Mar.

Guillem patrzył, jak cechmistrzowie *bastaixos* tłumaczą coś przywódcom pozostałych bractw. Któż nie obawia się o swój majątek? Choć inkwizycja również przejmowała lękiem. Przecież nawet zupełnie niedorzeczny donos...

— Musimy bronić naszych praw! — krzyknął ktoś po naradzie z *bastaixos*.

Na placu robiło się coraz goręcej. Miecze, sztylety i kusze falowały już nad głowami w rytm okrzyku *¡Via fora!*

Zgiełk stał się ogłuszający. Na widok nadchodzących rajców miejskich Guillem podszedł czym prędzej do grupki, która rozprawiała z ożywieniem pod figurką Madonny.

— A gwardia królewska? — dobiegło go pytanie jednego z rajców.

Cechmistrz powtórzył słowo w słowo to, co usłyszał niedawno od Maura.

— Chodźmy na plac Blat i przekonajmy się, co zrobi naczelnik.

Guillem oddalił się. Jego wzrok zawisł na kamiennej figurce spoczywającej na ramionach *bastaixos*. Pomóż mu, poprosił w milczeniu.

Orszak ruszył. „Na plac Blat!”, rozległy się okrzyki.

Guillem przyłączył się do rzeki ludzi płynącej ulicą Mar ku pałacowi naczelnikowskiemu. Tylko nieliczni wiedzieli, że idą zobaczyć reakcję naczelnika miasta. Dlatego, gdy wśród ogólnej wrzawy przeniesiono Madonnę na środek placu — gdzie zwykle stał sztandar świętego Jerzego i chorągiew miasta — Guillem bez trudu przedostał się pod sam pałac.

Cechmistrzowie i rajcy miejscy, zgromadzeni wokół kamiennej figurki i sztandaru bractwa *bastaixos*, przenieśli wzrok na pałac. Lud wiedział już, na co czekają. Zaległa cisza, wszyscy patrzyli teraz w tym samym kierunku. Guillem był niespokojny. Czy książę dotrzyma słowa? Straż wyległa przed pałac, otoczyła kordonem budynek i sięgnęła po broń. Naczelnik ukazał się w oknie, omiótł spojrzeniem morze głów i zniknął. Gdy po chwili oficer gwardii królewskiej wyszedł z pałacu, spoczęło na nim tysiące par oczu, również oczy Guillema.

— Król nie może zajmować stanowiska w sprawach dotyczących Barcelony — przemówił. — Zwołanie *host* należy do władz miejskich.

Po tych słowach odwołał strażników.

Tłum odprowadził wzrokiem żołnierzy, którzy przemaszerowali przed pałacem i skręcili w dawną bramę miejską. Jeszcze zanim ostatni z nich zniknął zgromadzonym z oczu, okrzyk *¡Via fora!* zmącił ciszę, przeszywając Guillema dreszczem.

Nicolau Eimeric miał właśnie rozkazać, by zabrano Francescę do lochu i poddano torturom, gdy rozległo się bicie dzwonów. Najpierw odezwały się dzwony kościoła Świętego Jakuba, które zawsze pierwsze ogłaszały pospolite ruszenie, do nich przyłączały się dzwony wszystkich innych świątyń w mieście. Większość kapłanów Barcelony była zwolennikami Ramona Llulla — kolejnej ofiary nienawiści Eimerica — dlatego prawie wszyscy z zadowoleniem przyjęli nauczkę, którą miasto zamierzało dać wielkiemu inkwizytorowi.

— A to co? Pospolite ruszenie? — zapytał tenże Berenguera d'Erill.

Zdezorientowany biskup rozłożył tylko ręce.

Figurka Madonny nadal znajdowała się na placu Blat w oczekiwaniu na sztandary innych ce-

chów, dołączające powoli do chorągwi *bastaixos*. Jednak mieszkańcy Barcelony zaczęli już kierować się ku pałacowi biskupiemu.

Aledis, Mar i Joana doszedł zgiełk nadciągającego tłumu, chwilę potem okrzyk *¡Via fora!* zabrzmiał również na placu Nova.

Nicolau Eimeric i Berenguer d'Erill podeszli do okna i otworzywszy je, ujrzeni ponad setkę uzbrojonych i wzburzonych ludzi. Na widok dwóch dostojników kościelnych krzyki jeszcze się wznogły.

— Co się dzieje? — Nicolau odskoczył od okna.

— Barcelona przyszła uwolnić konsula morskiego — odpowiedział chłopiec z tłumu na to samo pytanie Joana.

Aledis i Mar przy mknęły powieki i zacisnęły usta, po czym złapały się za ręce i utkwili załzawione oczy w uchylonym oknie pałacu.

— Biegnij do naczelnika! — rozkazał Eimeric oficerowi. Korzystając z zamieszania, Arnau podniósł się i złapał Francescę za ramię.

— Dlaczego zdradzałaś, kobieto? — szepnęła. Francesca powstrzymała łzę wzbierającą się w kąciku oka, nie mogła jednak zapanować nad ustami, które wygięły się w bólu.

— Zapomnij o mnie — odpowiedziała rwącym się głosem. Wrzawa dobiegająca z zewnątrz zagłuszała rozmowy i myśli.

Oddziały *host*, już w komplecie, sunęły na plac Nova. Minęły dawną bramę miejską i pałac naczelnika, który obserwował je z okna, przeszły ulicami Seders i Boqueria, a potem skierowały się ulicą Bisbe — przed kościołem Świętego Jakuba, którego dzwon nadal zagrzewał je do czynu — do pałacu biskupiego.

Mar i Aledis, wciąż trzymając się za ręce, spojrzały w głąb ulicy i zacisnęły dłonie, aż zbiegły im palce. Przechodnie przywierali do murów, rozstępując się przed wojskami pospolitego ruszenia: na przedzie niesiono sztandar *bastaixos*, za którym podążali cechmistrzowie bractwa, potem Madonna pod baldachimem, a za nią, w feerii barw, chorągwie wszystkich miejskich konfraterni.

Naczelnik miasta nie przyjął oficera inkwizycji.

— Król nie może się mieszać do spraw barcelońskiej *host* — oznajmił mu oficer królewskiej straży.

— Ależ oni przypuszczają szturm na pałac biskupi — jęknął zdyszany posłaniec.

Jego rozmówca wzruszył tylko ramionami. „Używasz tego miecza do torturowania?”, miał ochotę zapytać. Oficer inkwizycji dostrzegł jego spojrzenie i przez chwilę dwaj żołnierze mierzyli się w milczeniu wzrokiem.

— Chętnie zobaczyłbym, jak wymachujesz nim przeciwko mieczom kastylijskim i saraceńskim bulatom — powiedział oficer królewski i splunął posłańcowi pod nogi.

Tymczasem Madonna dotarła pod pałac biskupi i kołysała się teraz w rytm okrzyków wnoszonych przez tłum. Niosący ją *bastaixos* dawali w ten sposób wyraz gwałtownym emocjom, które opanowały lud Barcelony.

Ktoś cisnął kamieniem w okno pałacu.

Pierwszy pocisk nie dosięgnął celu, drugi owszem — a potem wiele innych.

Nicolau Eimeric i Berenguer d'Erill odsunęli się od okna. Arnau nadal czekał na odpowiedź Franceski. Oboje nie ruszali się z miejsca.

Zaczęto szturmować bramy pałacu. Jakiś młodzik wspiał się na ścianę z kuszą na plecach. Lud nagroził go owacjami, kilku innych śmiałków wzięło z niego przykład.

— Dość tego! — krzyknął jeden z rajców miejskich do niecierpliwych, dobijających się do bram. — Dość! — powtórzył, odpychając ich. Czekaście na rozkazy władz miejskich.

Posłuchano go.

— Rozkaz do ataku wydają rajcy i patrycjat — przypomniał z naciskiem.

Osoby stojące najbliżej zamilkły, po chwili słowa rajcy obiegly cały plac. Madonna zamarła na ramionach *bastaixos*, zapadła cisza i oczy wszystkich spoczęły na szczęściu śmiałkach wspinających się po murze pałacu. Pierwszy z nich był już przy rozbitym oknie sali trybunału.

— Schodzić! — padł rozkaz.

Pięciu rajców oraz cechmistrz *bastaixos* z kluczem do Grobu Pańskiego zastukało do bram pałacu.

— Na rozkaz *host* Barcelony, otwierać!

— Otwierać! — Oficer inkwizycji dobijał się do bram getta, zatrzaśniętych z powodu zamieszania w mieście. — Na rozkaz inkwizycji, otwierać!

Próbował dostać się do pałacu biskupiego przez miasto, ale wszystkie prowadzące doń ulice były szczelnie zapchane. Pozostała jedna droga — przez przylegające do pałacu getto. Tylko w ten sposób zdoła powiadomić wielkiego inkwizytora, że nacelnik miasta odmawia interwencji.

Eimeric i Berenguer wysłuchali wiadomości na sali trybunału: nie mogą liczyć na pomoc oddziałów królewskich, a rajcy miejscy grożą szturmem, jeśli nie zostaną wpuszczeni do pałacu.

— Czego żądają? Posłaniec zerknął na Arnaua.

— Uwolnienia konsula morskiego.

Eimeric podszedł do Arnaua, ich twarze prawie się stykały.

— Jak śmiać? — syknął. Odwrócił się i usiadł za stołem. Berenguer wziął z niego przykład. — Wpuścić ich — rozkazał inkwizytor.

„Uwolnienia konsula morskiego!”. Arnau wyprostował się, na ile pozwalały mu nadwątlone siły. Francesca, odkąd usłyszała pytanie syna, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. „Konsula morskiego”. To ja jestem konsulem morskim, mówiły oczy Arnaua wbite w Eimerica.

Pięciu rajców oraz cechmistrz bractwa *bastaixos* wkroczyli na salę. Za nimi wsunął się Guillem. Cechmistrz pozwolił mu przyłączyć się do delegacji.

Maur zatrzymał się przy drzwiach, natomiast pozostała szóstka stanęła w pełnym uzbrojeniu przed wielkim inkwizytorem. Jeden z rajców wystąpił naprzód.

— Co... — zaczął Nicolau Eimeric.

— *Host* Barcelony — przerwał mu gromkim głosem rajca — rozkazuje wam uwolnić Arnaua Estanyola, konsula morskiego.

— Jak śmiesz rozkazywać Świętej Inkwizycji? — warknął Eimeric.

Rajca wytrzymał jego spojrzenie.

— Powtarzam: *host* Barcelony rozkazuje wam uwolnić konsula morskiego.

Eimeric zawahał się i spojrzał pytająco na biskupa.

— Przy puszcza szturm na pałac — pisał tenże.

— Nie wazą się — szepnęła Eimeric. — To heretyk! — zakrzyknął.

— Chyba najpierw powinniście go osądzić... — stwierdził jeden z rajców stojących z tyłu.

Inkwizytor wbił w nich zmruczone oczy.

— To heretyk — powtórzył.

— Powtarzam po raz trzeci i ostatni: uwolnijcie konsula morskiego.

— Co rozumiecie przez „po raz ostatni”? — chciał wiedzieć Berenguer d’Erill.

— Wyjrzyjcie przez okno, to się dowiedzie.

— Aresztujcie ich! — zagrział inkwizytor do strażników pilnujących wyjścia.

Guillem odsunął się od drzwi. Rajcy ani drgnęli. Kilku żołnierzy sięgnęło po broń, jednak dowódca powstrzymał ich ruchem ręki.

— Aresztujcie ich! — ryknął Eimeric.

— To posłańcy, przyszli pertraktować.

— Jakim prawem...? — Eimeric zerwał się na równe nogi.

— Aresztuję ich — przerwał mu oficer — jeśli mi powiecie, jak mam obronić pałac bez pomocy wojsk królewskich. — Wskazał na okno, skąd znów zaczynały dobiegać krzyki, po czym przeniósł wzrok na biskupa, szukając jego wsparcia.

— Możecie zabrać waszego konsula — oznajmił Berenguer d’Erill. — Jest wolny.

Nicolau Eimeric spurpurowiał.

— Coście powiedzieli?! — wrzasnął, łapiąc biskupa za ramię.

Berenguer d’Erill wyrwał mu się jednym szarpnięciem.

— Nie macie takiej władzy. Tylko wielki inkwizytor może uwolnić Arnau Estanyola — powiedział rajca biskupa. — *Host* Barcelony prosiła was o to już trzykrotnie — ciągnął, zwracając się do Nicolaua Eimerica. — Albo uwolnicie konsula Barcelony, albo poniesiecie konsekwencje waszego uporu.

Jakby na poparcie słów rajcy przez okno wleciał kamień, lądując na długim stole, za którym zasiadali członkowie trybunału. Wszyscy, nawet dominikanie, podskoczyli na krzesłach. Na placu Nova znów zawrzało, posypały się kolejne kamienie. Sekretarz wstał, pozbierał ze stołu stosy papierów i czmychnął w drugi koniec sali. Siedzący najbliżej okna mnisi również rzucili się do ucieczki, ale inkwizytor powstrzymał ich jednym gestem.

— Postradaliście rozum? — szepnęła do niego biskup. Eimeric powiódł spojrzeniem po obecnych. Napotkał wzrok konsula. Arnau się uśmiechał.

— Heretyk! — zagrział inkwizytor.

— Dość tego — warknął rajca i obrócił się na pięcie.

— Zabierzcie go — nalegał biskup, wskazując Arnaua.

— Przyszliśmy pertraktować — tłumaczył rajca, zatrzymując się i starając przekrzyczeć wrzawę dobiegającą z placu. — Skoro inkwizycja nie chce przystać na żądania miasta i uwolnić więźnia, zrobią to oddziały *host*. Tak mówi prawo.

Nicolau stał wyprostowany, dygocząc z wściekłości. Nabiegłe krwią oczy wychodziły mu z orbit. Kolejne dwa kamienie odbiły się od ścian sali.

— Wezmą pałac szturmem — przekonywał inkwizytora biskup, nie dbając, że wszyscy go słyszą. — Co wam zależy! Przecież macie już zeznania i majątek Estanyola. Tak czy owak możecie go skazać za herezję. Będzie się musiał ukrywać do końca życia.

Delegacja była już przy drzwiach. Wystraszeni żołnierze rozstąpili się. Guillem przysłuchiwał się uważnie rozmowie dwóch dostojników. Arnau stał na środku sali obok Franceski, spoglądając hardo na Eimerica, który unikał jego wzroku.

— Zabierzcie go! — ustąpił w końcu inkwizytor.

Wszyscy zaczęli wiwatować — najpierw tłum zgromadzony na placu, potem ludzie wypełniający sąsiednie ulice — gdy Arnau ukazał się w bramie pałacu w towarzystwie rajców. Francesca wlokła się za nimi; nikt nie zwrócił uwagi na staruchę, którą Arnau ujął za ramię i wyprowadził z sali trybunału. Jednak na progu komnaty puścił ją i przystanął, mimo sprzeciwu rajców. Nicolau Eimeric obserwował go zza stołu, obojętny na grad kamieni wpadających przez okno. Jeden z nich trafił go w lewe ramię, mimo to inkwizytor nawet nie drgnął. Pozostali członkowie trybunału uciekli jak najdalej od okien, przez które wlewał się gniew miasta.

Arnau stanął obok strażników, nie bacząc na ponaglenia rajców.

— Guillem...

Maur podszedł do niego, ścisnął go za ramiona i pocałował w usta.

— Idź z nimi, Arnau — powiedział. — Na zewnątrz czeka na ciebie Mar i Joan. Ja mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Potem się zobaczymy.

Gdy tylko Arnau przestąpił bramę pałacu, tłum rzucił się na niego. Na nic nie zdały się wysiłki rajców, by go osłonić. Poczęto go ścisnąć, poklepywać, wieszować mu. Roześmiane twarze migaly mu przed oczami jak w kalejdoskopie. Tlum nie rozstępował się, krzyki dochodziły ze wszystkich stron.

Kołyszący się tłum spychał konsula, otoczonego przez rajców i cechmistrza *bastaixos*, to na jedną, to znów na drugą stronę placu. Hałas ogłuszył go i przeniknął do głębi. Miał przed sobą coraz to nowe twarze. Kolana się pod nim ugięły. Spojrzał w górę, ale zobaczył tylko gąszcz wyceLOWANYCH w niebo kusz, mieczy i sztyletów, unoszących się i opadających w rytm okrzyków *host...* Zrobiło mu się słabo. Nagle, gdy osuwał się już na rajców, zamajaczyła mu przed oczyma mała kamienna figurka falująca w morzu kusz.

Guillem wrócił, a jego Madonna znów się do niego uśmiechała. Arnau przymknął oczy i pozwolił się nieść rajcom.

Ani Mar, ani Aledis, ani Joan nie zdołali przedostać się do Arnaua, mimo że się przepychali, rozdając kukuksańce na prawo i lewo. Dopiero gdy Madonna i chorągwie bractw miejskich zaczęły kierować się na plac Blat, zobaczyli go w ramionach rajców. Również Jaume de Bellera i Genis Puig, wmieszani w tłum, dostrzegli uwolnionego więźnia. Dopiero co wraz z tysiącami obywateli Barcelony potrząsali bronią nad głową, wygrażając prześladowcom Arnaua. Zmuszeni byli wraz z ciżbą wygrażać inkwizytorowi, choć w głębi duszy modlili się, by Nicolau Eimeric nie ustąpił rajcom, a król opamiętał się i przybył z pomocą Świętej Inkwizycji. Jak to możliwe, że monarcha, za którego tylekroć narażali życie...

Na widok Arnaua Genis Puig zaczął wywijać mieczem i wyć jak opętany. Pan Navarcles poznał ten okrzyk, słyszał go nieraz, gdy jego towarzysz pędził do ataku. Miecz Genisa uderzył o broń otaczających go ludzi. Zaczęto się przed nim rozstępować. Ruszył ku czołu pochodu, który miał lada moment opuścić plac Nova i zagłębić się w ulicę Bisbe. Chce zmierzyć się sam jeden z oddziałami *host!* Przecież go zabijają, najpierw jego, a potem...

Jaume de Bellera rzucił się na przyjaciela i zmusił go do opuszczenia broni. Ludzie zerkali na nich ze zdumieniem, jednak parli nieprzerwanie do przodu. Wolna przestrzeń wokół Genisa wypełniła się, gdy tylko rycerz przestał wyć i wymachiwać mieczem. Jaume pociągnął go za sobą, odsuwając od tych, którzy widzieli jego dziwaczne zachowanie.

— Oszalałeś? — warknął.

— Uwolnili go... Estanyol znów jest wolny! — jęczał Genis, odprowadzając wzrokiem chorąg-

gwie znikające w ulicy Bisbe. Jaume de Bellera kazał mu na siebie spojrzeć.

— I co zamierzasz?

Zapytany próbował mu się wyrwać. Znow popatrzył na sztandary.

— Zemścić się!

— Nie tędy droga — przekonywał go pan Navarcles. — Nie tędy droga. — Potrząsnął z całej siły Genisem, aż ten oprzytomniał. — Znajdziemy inny sposób...

Puig utkwiał w nim wzrok, wargi mu drżały.

— Przyrzekasz?

— Na mój honor.

W miarę jak oddziały *host* opuszczały plac Nova, sala trybunału pogrążyła się w ciszy. Kiedy ostatnie triumfalne okrzyki przepadły w ulicy Bisbe, dał się słyszeć przyspieszony oddech inkwizytora. Nikt się nie ruszał. Żołnierze stali na baczność, pilnując, by ich broń i lederwerki nie stykały się i nie zakłócały ciszy. Nicolau Eimeric powiódł oczami po zebranych. Jego wzrok mówił wszystko: „Zdrajca — wyrzucił Berenguerowi d’Erill. — Tchórze”. Zerknąwszy na żołnierzy, dostrzegł Guillem’a.

— Co tu robi ten niewierny?! — wykrzyknął. — Czy to jakaś kpina?

Oficer nie wiedział, co odpowiedzieć. W oczekiwaniu na rozkazy nawet nie zauważył pojawienia się intruza. Guillem chciał wyprowadzić Nicolau’a Eimerica z błędu i wyjaśnić, że jest ochrzczony, zmienił jednak zdanie. Mimo ciągłych zakusów wielki inkwizytor nie zdobył jeszcze władzy nad Żydami i Maurami, nie mógł więc wtargnąć go do lochu.

— Nazywam się Sahat z Pizy — odezwał się głośno. — Chcę z wami porozmawiać.

— Nie mam o czym rozmawiać z niewiernymi. Wyrzucicie tego...

— Myślę, że zainteresuje was to, co mam do powiedzenia.

— Nie obchodzi mnie, co myślisz.

Eimeric skinął na oficera, który sięgnął po miecz.

— Być może zaciekaw i was fakt, że Arnau Estanyol jest bankrutem. Nie zobaczycie więc ani jednego solda z jego majątku.

Nicolau Eimeric westchnął i wbił wzrok w sufit. Oficer schował broń, nie czekając na jego rozkaz.

— Mów jaśniej, Maurze — rozkazał inkwizytor.

— Macie księgi rachunkowe Arnau’a Estanyola. Przejrzyjcie je.

— Myślisz, że tego nie zrobiliśmy?

— Ale nie wiecie jeszcze, że królewskie długi zostały umorzone.

Guillem własnoręcznie podpisał stosowny dokument i przekazał go Francescowi de Perellós. Arnau nigdy nie cofnął udzielonych mu pełnomocnictw, Maur sprawdził to w stosownych księgach magistrackich.

Na twarzy Eimerica nie drgnął ani jeden mięsień. Wszyscy obecni pomyśleli to samo: oto dlaczego naczelnik nie przyszedł im z pomocą.

Przez kilka chwil inkwizytor i Maur mierzyli się wzrokiem. Guillem zdawał się czytać w myślach inkwizytora. Co powiesz teraz swemu papieżowi? Skąd weźmiesz pieniądze, które mu obiecałeś? List jest już w drodze, nie zdążyś sz zawrócić posłańca. Co mu powiesz? Potrzebujesz poparcia papieża w stosunkach z królem, z którym n nie ty lko szukałeś zwady.

— A co ty masz z tym wspólnego? — zapytał w końcu Eimeric.

— Mogę wszystko wyjaśnić. Na osobności... — skwitował Guillem.

— Miasto powstaje przeciwko Świętej Inkwizycji, Maur żąda ode mnie prywatnej audiencji — zrywał się Eimeric. — Co to wszystko ma znaczyć?!

Co powiesz papieżowi? zapytał go Guillem wzrokiem. Chcesz, by cała Barcelona dowiedziała się o twoich knowaniach?

— Przeszukajcie go — rozkazał inkwizytor strażnikom. — Upewnijcie się, że nie ma broni, a potem zaprowadźcie go pod mój gabinet i zaczekajcie tam na mnie.

Guillem, pilnowany przez oficera i dwóch żołnierzy, czekał, stojąc, przed gabinetem inkwizytora. Nigdy nie miał odwagi wyjawić Arnauowi, że jego fortuna pochodzi z handlu niewolnikami. Długi króla zostały umorzone. Jeśli inkwizycja zarekwiruje majątek Arnaua, przejmie również jego długi, a tylko on, Guillem, wie, że liczby widniejące obok nazwiska Abrahama Leviego są nieważne. Póki nie ujawni dokumentu podpisanego przed laty przez znajomego Żyda, majątek Arnaua jest nic niewart.



56

Wyszędłszy na plac Nova, Francesca przywarła plecami do ściany pałacu, tuż obok wejścia. Widziała, jak tłum rzuca się na Arnaua, podczas gdy rajcy nadaremnie próbują utrzymać kordon, którym go otoczyli. „Spójrz na swego syna!”, zabrzmiały jej w uszach słowa Nicolaua Eimerica, zagłuszając panującą wokół wrzawę. Chciała, bym na niego spojrziała, inkwizytorze? Proszę bardzo, oto mój syn. Pokonał cię. Gdy zobaczyła, że Arnau osuwa się na ziemię, wyciągnęła niespokojnie szyję, ale niebawem tłum przesłonił jej widok. W okamgnieniu plac przemienił się w ocean głów, broni i sztandarów, z którego raz po raz wynurzała się maleńka figurka Madonny, targaną gwałtownie na wszystkie strony.

Oddziały pospolitego ruszenia zaczęły stopniowo znikać w głębi ulicy Bisbe, nie przestając pokrzykiwać i wymachiwać bronią. Francesca nie ruszała się z miejsca. Nie mogła odsunąć się od ściany pałacu, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Gdy plac zaczął pustoszeć, zobaczyła Aledis. Jej przyjaciółka odłączyła się od Mar i Joana, wiedząc, że na nic nie zda się szukanie Franceski pośród rajców miejskich. O, tam! Serce Aledis ścisnęło się na widok wątłej, skulonej, bezbronnej postaci.

Ruszyła ku niej biegiem, jednak milknące w oddali odgłosy *host* wywabily z pałacu żołnierzy inkwizycji. Francesca stała zaledwie krok od bramy.

— Ty czarownico! — splunął na nią jeden ze strażników. Aledis zatrzymała się niedaleko Franceski i wartowników.

— Zostawcie ją! — krzyknęła. Żołnierze wylegli już przed pałac. — Zostawcie ją w spokoju, bo jak nie... zawołam ich — zagroziła, wskazując na ostatnie miecze znikające właśnie w głębi ulicy Bisbe.

Kilku żołnierzy zerknęło w tamtym kierunku, ale inny sięgnął do pochwy.

— Inkwizytor pochwali nas za zgładzenie czarownicy — oznajmił.

Francesca nie spojrziała nawet na żołnierzy. Stała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w Aledis. Spędziły wspólnie tyle lat... Tyle razem przeżyły...

— Zostawcie ją, parszywe psy! — krzyknęła Aledis, cofając się kilka kroków i wskazując palcem oddziały *host*. Chciała biec za nimi, ale miecz wartownika zawisł już nad głową Franceski. Jego ostrze wydawało się większe od ofiary. — Zostawcie ją — zaskomlała.

Francesca widziała, jak Aledis chowa twarz w dłoniach i osuwa się na kolana. Przygarnęła ją w Figueras. Od tamtej pory... Ma odejść z tego świata, nie uściskawszy jej?

Gdy żołnierz przeżył miśnię, gotując się do ciosu, Francesca przeszła go wzrokiem.

— Czarownice nie giną od miecza — powiedziała dziwnie spokojnie. Broń zadrżała w dłoniach żołnierza. Co ta stara wiedźma plecie? — Czarownice umierają w oczyszczających płomieniach. — To prawda? Żołnierz spojrzął pytająco na towarzyszy, ale ci zaczęli się już wycofywać. — Jeśli zabijesz mnie mieczem, mój duch będzie cię prześladował do samej śmierci. Ciebie i was wszystkich! — Nikt się nie spodziewał, że z wątłego starczego ciała może się wydobyć tak przesywający krzyk. Aledis odjęła ręce od twarzy. — Będę gnębiła was wszystkich — syczała Francesca — również wasze żony i dzieci, dzieci waszych dzieci i ich żony. Przeklinam was! — Pierwszy raz od opuszczenia pałacu Francesca stanęła o własnych siłach, już nie potrzebowała oparcia. Żołnierze skryli się w bramie pałacu, na zewnątrz pozostał tylko ich towarzysz z uniesionym mieczem. — Przeklinam cię. Jeśli mnie zabijesz, twój trup nie zagna spokoju. Przybiorę postać tysięcy glist, które stoczą twe trzewia. Skradnę ci oczy i przywłaszczę je sobie na wieczne czasy.

Podczas gdy Francesca nie przestawała grozić żołnierzowi, Aledis wstała, podeszła do niej, położyła jej rękę na ramionach i zaczęła prowadzić.

— Trąd spadnie na twoje potomstwo... — Przeszły pod wiszącym w powietrzu mieczem. — Twoja żona zostanie nalożnicą diabła...

Nie oglądały się za siebie. Żołnierz jeszcze przez chwilę stał z uniesionym mieczem, a potem opuścił go i odprowadził wzrokiem dwie kobiety oddalające się wolno środkiem placu.

— Uciekajmy stąd, moje dziecko — powiedziała Francesca, gdy tylko skręcili w ulicę Bisbe, teraz już opustoszałą.

Aledis zadrżała.

— Przedtem muszę wstąpić do zajazdu.

— Nie, nie. Chodźmy już teraz. Nie ma czasu do stracenia.

— A Teresa i Eulalia?

— Prześlemy im wiadomość z drogi — odparła Francesca, obejmując mocniej dziewczę z Figueras.

Dotarwszy na plac Świętego Jakuba, okrążyły getto i skierowały się ku najbliższej bramie miejskiej — bramie Boqueria. Słyły w milczeniu, przytulone do siebie.

— A Arnau? — spytała Aledis. Francesca nie odpowiedziała.

Pierwszą część planu powiodła się. *Bastaixos* ukryli już zapewne Arnaua na niewielkiej łodzi do żeglugi przybrzeżnej, wynajętej przez Maura. Umowa z księciem Janem nie pozostawiała złudzeń. Guillem wspomniał słowa Francesca de Perellós: „Książę obiecuje tylko i wyłącznie — powiedział doradca, wysłuchawszy propozycji Maura — nie występować przeciwko *host* Barcelony. W żadnym wypadku nie sprzeciwi się otwarciu Świętej Inkwizycji, nie będzie jej do niczego przymuszał ani podważał jej wyroków. Jeśli twój plan się powiedzie i Estany ol odzyska wolność, namiestnik nie wstawi się za nim, kiedy inkwizycja zatrzyma go ponownie lub go skąże. Czy to jasne?”. Guillem przytaknął i wręczył doradcy dokument, na mocy którego Arnau umarzał królów-

skie długi. Pozostała do wykonania druga część planu. Guillem musiał przekonać Nicolaua Eimerica, że Arnau jest bankrutem, wobec czego niewiele wskóra, ścigając go i osądając. Mogli co prawda uciec razem do Pizy, zostawiając inkwizycji majątek Arnaua — tak czy owak Eimeric położył już na nim rękę, a wyrok skazujący, nawet wydany zaocznie, oznaczał konfiskatę mienia skazanego. Dlatego Guillem chciał wywieść Eimerica w pole. Nie miał nic do stracenia, mógł natomiast bardzo dużo zyskać: spokój Arnaua, uwolnienie go od inkwizycji, która w przeciwnym razie ścigałaby go do końca życia.

Wielki inkwizytor kazał na siebie czekać kilka godzin. W końcu zjawił się w towarzystwie niedużego Żyda — odzianego w obowiązkową czarną pelerynę z żółtą naszywką — który szedł za nim ze stertą ksiąg pod pachą, stawiając drobne, pospieszne kroczki. Żyd nie spojrział na Maura, gdy Eimeric skinieniem ręki rozkazał im wejść do gabinetu.

Inkwizytor nie zachęcił ich, by spoczęli, sam natomiast rozsiadł się za stołem.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą — zwrócił się do Guillem — Estany ol zbankrutował.

— Dobrze wiecie, że mówię prawdę. Król nie jest już dłużny Arnauowi Estany ołowi ani grosza.

— W takim razie mogę donieść o tym urzędnikowi magistrackiemu nadzorującemu działanie kantorów — stwierdził inkwizytor. — A wtedy miasto, które wyrwało Estany oła z rąk Świętej Inkwizycji, zetnie go za bankructwo. Trudno o większą ironię losu.

Nigdy by do tego nie doszło — chciał już powiedzieć Guillem. — Moja w tym głowa. Wystarczy, że pokażę dokument podpisany przez Abrahama Leviego... Ale nie, Eimeric nie przetrzymał go tyle godzin po to, by teraz straszyć magistrackim urzędnikiem. Jemu chodzi o pieniądze, które obiecał swemu papieżowi, a które, o czym napomknął mu najpewniej ten mały Żyd, prawdopodobnie przyjaciel Jucefa, nie są jeszcze bezpowrotnie stracone.

Guillem milczał.

— Tak mógłbym to zrobić — powtórzył Eimeric. Guillem rozłożył tylko ręce. Inkwizytor spojrział na niego przenikliwie.

— Kim jesteś? — spytał po chwili.

— Nazywam się...

— Tak, tak, wiem. — Eimeric machnął ręką. — Nazywasz się Sahat z Pizy. Zastanawiam się jednak, co robi mieszkaniec Pizy w Barcelonie, wstawiając się za heretykiem.

— Arnau Estany ol ma wielu przyjaciół, również w Pizie.

— Niewiernych i heretyków! — krzyknął Eimeric. Guillem znów rozłożył ręce. „Ciekawe, kiedy zmiekniesz i napomkniesz o pieniądzach?” — pomyślał. Eimeric zdawał się czytać w jego myślach, bo po krótkim milczeniu zapytał:

— Co owi przyjaciele Estany oła mają do zaproponowania inkwizycji?

— W księgach rachunkowych Arnaua — powiedział Guillem, wskazując drobnego Żyda, który nie odrywał oczu od stołu — widnieje pokaźna suma, prawdziwa fortuna, na koncie pewnego wierzy ciela.

Inkwizytor po raz pierwszy przemówił do starozakonnego pomocnika.

— Czy to prawda?

— Tak — odpowiedział Żyd. — Od początku działalności kantoru dopisywano odsetki do sumy powierzonej Arnauowi Estany ołowi przez niejakiego Abrahama Leviego.

— Kolejny heretyk! — wszedł mu w słowo Eimeric. W gabinecie zapadła cisza.

— No, mów dalej — rozkazał inkwizytor.

— Wkład pomnożył się przez lata i teraz opiewa na ponad piętnaście tysięcy funtów.

W na wół przykniętych oczach inkwizytora pojawił się błysk. Nie uszło to uwagi Guillem ani Żyda.

— I co z tego? — mruknął Eimeric.

— Przyjaciele Arnau Estanyola są gotowi przekonać Abrahama Leviego, by zrzekł się tej sumy.

Eimeric rozparł się na krześle.

— Wasz kamrat Estanyol — rzucił — jest już na wolności. Dlaczego więc ktokolwiek, choćby nawet najserdeczniejszy przyjaciel, rezygnowałby z piętnastu tysięcy funtów? Nikt nie rozdaje pieniędzy bez powodu.

— Arnau Estanyol został jedynie uwolniony przez miasto. Guillem położył nacisk na słowie „Jedynie”. Formalnie Arnau nadal był więźniem inkwizycji. Nadszedł wyczekiwany moment. Guillem przemyślał wszystko dokładnie — nie spuszczając wzroku z mieczy strażników — podczas wielogodzinnego oczekiwania pod gabinetem. Nie powinien lekceważyć inteligencji Nicolaua Eimerica. Oficjalnie nie ma on władzy nad niewiernym, chyba że... Chyba że udowodni mu obrazę Świętej Inkwizycji. Dlatego propozycja musi wyjść od Eimerica, Guillem nie może zrobić pierwszego kroku. Biada Maurowi próbującemu przekupić inkwizycję.

Eimeric wzrokiem nakazał mu kontynuować. Nie dam się złapać w pułapkę, pomyślał Guillem.

— Chyba macie rację — powiedział. — Rzeczywiście, fakt, że ktoś miałby zrzec się takiej fortuny teraz, gdy Arnau jest już na wolności, przeczy zdrowemu rozsądkowi. — Oczy inkwizytora zamieniły się wążutkie szparki. — Nie rozumiem, po co mnie tu przysłano. Powiedziano, że wy się wszystkiego domyślicie... Przyznaję, że w pełni podzielam wasz sceptycyzm. Przykro mi, naraziłem was tylko na stratę czasu.

Guillem zaczął, aż do Eimerica dotrą jego słowa. Widząc, jak unosi się na krześle i otwiera szeroko oczy, rozumiał, że wygrał pojedynek.

— Wyjdź — rozkazał Żydowi. Gdy tylko czelczy na zamknął za sobą drzwi, Eimeric, który i tym razem nie wskazał gościowi krzesła, ciągnął: — Wasz przyjaciel przebywa na wolności, to prawda, ale proces przeciwko niemu nadal trwa. Mam jego zeznania. Mogę go skazać zaocznie i ogłosić zatwardziałym heretykiem. Inkwizycja — zdawał się mówić sam do siebie — nie może zatwierdzić wyroku śmierci, to obowiązek władz świeckich, czyli króla. Wasi przyjaciele — dodał, zerkając na Guillem — wiedzą zapewne, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Być może pewnego dnia król...

— Jestem przekonany, że zarówno wy, jak i monarcha, spełnicie swój obowiązek — skwitował Guillem.

— Obowiązki monarchy są oczywiste: walka z niewiernymi i krzewienie chrześcijaństwa po najdalsze zakątki królestwa, lecz Kościół... Czasami niełatwo wybrać najlepsze wyjście dla królestwa bez granic, jakim jest Kościół. Wasz przyjaciel, Arnau Estanyol, przyznał się do winy i musi ponieść karę. — Eimeric urwał. Znów wbił oczy w Guillem. To powinno wyjść od ciebie, odpowiedział mu spojrzeniem Maur. — Mimo to — ciągnął inkwizytor wobec milczenia rozmówcy — Kościół i Święta Inkwizycja są gotowe okazać łaskawość w trosce o pokrycie wyższych potrzeb i o wspólne dobro. Czy twoi przyjaciele, ci, którzy cię przysyłają, zgodzą się na łagodniejszy wy-

rok?

Nie będę się z tobą targował, ale odpowiedział mu w myślach Guillem. Tylko Allah, który jest wielki, wie, co zyskasz, wtrącając mnie do lochu. On jeden wie, czy te ściany mają oczy i uszy, które teraz na nas patrzą i nas słuchają. Propozycja musi wyjść od ciebie.

— Nikt nie będzie podważał decyzji inkwizycji — rzucił tylko.

— Eimeric zaczął się wiercić na krześle.

— Poprosiłeś o audiencję, przekonując, że powiesz mi coś, co mnie zainteresuje. Wspomniałeś, że przyjaciele Arnaua Estanyola mogą nakłonić jego głównego wierzyciela do zrzeczenia się piętnastu tysięcy funtów. Czego ty właściwie chcesz, Maurze?

— Wiem, czego nie chcę.

— Dobrze. — Eimeric wstał. — Jeśli twoi przyjaciele skłonią tego Leviego do wyrzeczenia się zdeponowanej sumy, złagodzę wyrok, skazując Estanyola na noszenie sambenito w katedrze przez wszystkie niedziele w roku.

— W kościele Santa Maria. — Guillem zdumiał się, słysząc własny głos, który dobiegł z głębi jego serca. Bo gdzie powinien odbyć pokutę Arnau, jeśli nie w kościele Santa Maria?



Mar próbowała dogonić grupkę rajców, którzy eskortowali Arnaua, ale zwarty tłum hamował jej kroki.

Wspomniała pożegnalne słowa Aledis, starającej się przekrzyczeć hałas:

— Opiekuj się nim! Uśmiechała się.

Mar odwróciła się gwałtownie i zaczęła biec pod prąd, walcząc z napierającą rzeką ludzi.

— Opiekuj się nim dobrze — powtórzyła Aledis, podczas gdy Mar, która starała się nie stracić jej z oczu, wymijała pędzące z przeciwną postacie. — Tak jak ja chciałam przed laty...

Nagle znikła.

Mar o mały włos nie upadła i nie została stratowana. „To nie miejsce dla bab”, zbeszał ją ktoś, odpychając bez pardonu. Udało jej się odwrócić. Poszukała wzorkiem sztandarów, które były już na drugim końcu ulicy Bisbe, prawie na placu Świętego Jakuba. Pierwszy raz tego ranka zapomniała o łzach. Wrzasnęła przeraźliwie, uciszając wszystkich wokół. Nawet nie pomyślała o Joanie. Krzykiem, łokciami i kopniakami torowała sobie drogę przez tłum.

Oddziały *host* zgromadziły się na placu Błat. Mar była już blisko Madonny, która kołysała się na ramionach *bastaixos* ponad głazem wyznaczającym środek placu. Mar wydało się, że słyszy, jak kilku mężczyzn spiera się z rajcami. Wśród nich... tak, właśnie tam! Jeszcze tylko kilka kroków. Jednak na placu panował niebywały tłok. Wbiła paznokcie w ramię kogoś, kto nie chciał się odsunąć. Mężczyzna sięgnął po sztylet i mało brakowało... Ale nie, wybuchnął śmiechem i ją przepuścił. Za nim powinien być już Arnau. Jednak Mar napotkała tylko rajców i cechmistrza *bastaixos*.

— Gdzie jest Arnau? — spytała go zdyszana i spocona. Olbrzymi *bastaix* z kluczem do Grobu Pańskiego na szyi spojrzał na nią z góry. To tajemnica. Inkwizycja...

— Nazywam się Mar Estanyol — powiedziała, polykając sylaby. — Jestem córką jednego z was, Ramona. Może go znalazł?

Nie, nie znalazł Ramona, ale słyszał o nim i o jego córce, przy garniętej przez Arnaua.

— Biegnij na plażę — powiedział.

Mar przedarła się przez tłum na placu i pomknęła jak na skrzydłach opustoszała już ulicą Mar. Tuż pod konsulatem dogoniła sześciu *bastaixos* niosących omdłego Arnaua.

Mar chciała do niego podbiec, ale jeden z mężczyzn okazał się szybszy i zagroził jej drogę. Rozkazy przybysza z Pizy były wyraźne: nikt nie może wiedzieć, gdzie ukrywa się konsul.

— Puszczaj! — krzyczała, wierzącą nogami w powietrzu. *Bastaix* trzymał ją w pasie, starając się nie zrobić jej krzywdy.

Nie wazyła nawet w połowie tyle, co kamienie i worki, które dźwigał dzień w dzień.

— Arnau! Arnau!

Tyle razy marzył, by usłyszeć jeszcze kiedyś ten głos... Otworzył oczy i zobaczył mężczyzn, których twarzy nie rozpoznał. Nieśli go gdzieś pospiesznie, w milczeniu. Co się dzieje? Gdzie ja jestem? „Arnau!”. Znow ten krzyk. Przed laty, w domu

Felipa de Ponts, wyczytał go w oczach dziewczyny, którą zawiódł.

Arnau! Plaża. Wspomnienia zlewały się teraz z szumem morza i słonąwą wonią bryzy. Co ja robię na plaży?

— Arnau!

Głos dochodził teraz z oddali.

Bastaixos weszli do wody i skierowali się ku łodzi, która miała zabrać Arnaua na czekającą w głębi portu felukę wynajętą przez Guillem'a. Fala opryskała jego twarz.

— Arnau.

— Stójcie — wyjąkał, starając się unieść. — Ten głos... Kto to?

— Jakaś kobieta. Nie sprawi nam kłopotu. Musimy... Arnau stanął przy łodzi, przytrzymywany przez *bastaixos* pod pachami. Popatrzył w stronę łądu. „Mar czeka na ciebie”. Słowa Guillem'a znow zabrzmiały mu w uszach, zaguszając inne odgłosy. Guillem, Nicolau Eimeric, inkwizycja, lochy — niedawne wydarzenia przemknęły mu przez głowę jak błyskawica.

— O Boże! — krzyknął. — Przeprowadźcie ją, błagam. Jeden z *bastaixos* pospieszył do miejsca, gdzie zatrzymano nieproszonego gościa.

Arnau zobaczył biegnącą ku niemu Mar.

Bastaixos, którzy również na nią patrzyli, spuścili wzrok, gdy Arnau się im wyrwał. Zdawało się, że pierwsza fala, która liźnie mu tyłki, zwali go do wody.

Mar stanęła przed Arnauem, który stał z opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami. Na widok łzy spływającej po jego policzku podeszła i scałowała ją.

Nie padło ani jedno słowo. Mar pomogła wprowadzić Arnaua na łódkę.

Nic nie wskóra, występując otwarcie przeciwko królowi. Od wyjścia Guillem'a Nicolau Eimeric nie przestawał krążyć po komnacie. Skoro Arnau zbankrutował, skazanie go nic nie da.

Papież nie zapomni o jego obietnicy. Pizańczyk ma go w garści. Aby dotrzymać słowa danego papieżowi, musi...

Pukanie do drzwi tylko na moment wyrwało go z zamyślenia — po chwili znow chodził z kąta w kąt.

Tak złagodzony wyrok uratuje jego reputację, pozwoli uniknąć starcia z królem i podreperuje jego finanse na tyle, by...

Znowu ktoś zapukał.

Eimeric zerknął na drzwi.

Szkoda, że mimo szczerych chęci nie zdołał posłać Estanyola na stos. A jego matka? Co się sta-

lo z tą starą wiedzmą? Pewnie wykorzystana zamieszanie, by ...

Pukanie przerodziło się w łomot i zatrząsło ścianami. Eimeric szarpnął gwałtownie drzwi.

— Czego...

Na progu stał z podniesioną pięścią Jaume de Bellera, który gotował się do ponowienia szturmu na drzwi.

— Czego chcecie? — warknął inkwizytor, szukając wzrokiem oficera pełniącego wartę pod gabineciem. Strażnik kulił się w kącie pod mieczem Genisa Puiga. — Jak śmiesz podnosić rękę na żołnierza Świętej Inkwizycji? — zagrzmiał.

Genis opuścił miecz i zerknął na towarzysza.

— Czekamy już bardzo długo — wyjaśnił pan Navarcles.

— Powiedziałem, że nie chcę nikogo widzieć — oznajmił Eimeric oficerowi, którego Genis zostawił już w spokoju. — Chyba wyraziłem się jasno.

Miał właśnie trzasnąć drzwiami, ale Jaume de Bellera uprzedził go, łapiąc za kławkę.

— Jestem katalońskim baronem — powiedział, przeciągając sylaby. — Żądam odpowiedniego traktowania.

Genis przytaknął słowom przyjaciela i zagroził drogę żołnierzowi, który ruszał na pomoc inkwizytorowi.

Przez chwilę Eimeric i pan Navarcles mierzyli się wzrokiem. Inkwizytor mógł wezwać pomoc, żołnierze przybiegliby natychmiast, jednak te przymrużone oczy... Bóg jeden wie, do czego zdolni są ci możnowładcy nawykli do narzucania swej woli. Westchnął. Cóż, zdecydowanie to nie jest jego dzień.

— Dobrze, panie baronie — ustąpił. — Czego chcecie?

— Obiecaliście skazać Arnau Estanyolą, a tymczasem puściliście go wolno.

— Nie przypominam sobie, bym cokolwiek obiecywał. A jeśli chodzi o puszczenie wolno... To wasz król, któremu zawdzięczacie tytuły, odmówił Kościołowi pomocy. Do niego idźcie na skargę.

Jaume de Bellera zaczął mamrotać coś pod nosem, wymachując rękami.

— Możecie go jeszcze skazać — powiedział w końcu.

— Zbiegł — stwierdził Eimeric.

— Odnajdziemy go i doprowadzimy! — zawołał Genis Puig, który przyслуchiwał się rozmowie, nie spuszczając oficera z oka.

Eimeric przeniósł wzrok na rycerza. Dlaczego ma się przed nimi tłumaczyć?

— Dostarczyliśmy wam bardzo dużo dowodów przeciwko Estanyolowi — przypomniał Jaume de Bellera. — Inkwizycja nie może...

— Dowodów? — prychnął Eimeric. Dzięki tym dwóm zarozumiałcom uratuje swój honor. Jeśli podważy ich zeznania... — Jakich dowodów? — powtórzył. — Macie na myśli wasze oskarżenie, baronie? Oskarżenie osoby opętanej przez diabła? — Jaume chciał coś powiedzieć, ale Eimeric uciszył go gniewnym machnięciem ręki. — Szukałem dokumentów, które według was biskup podpisał zaraz po waszym przyjsciu na świat. Niczego nie znalazłem. Co wy na to?

Genis Puig opuścił rękę, w której ścisnął miecz.

— Może zostały u biskupa... — bronił się Jaume de Bellera. Eimeric pokręcił głową.

— A wy, rycerzku... — krzyknął na Genisa. — Co wam zrobił Arnau Estanyol? — Inkwizytor, doświadczony śledczy, natychmiast wyczytał z twarzy Puiga lęk osoby przyłapaną na kłamstwie. — Wiecie, że wprowadzanie inkwizycji w błąd jest przestępstwem? — Genis szukał pomo-

cy u przyjaciela, ale Jaume patrzył gdzieś w głąb gabinetu. Był sam. — Co macie mi teraz do powiedzenia, panie rycerzu? — Genis przestępował z nogi na nogę, unikając wzroku inkwizytora. — W czym wam zawinił Arnau Estanyol? — dociekał inkwizytor. — Czyżby doprowadził was do ruiny?

To trwało tylko sekundę — jedno ukradkowe spojrzenie, które przekonało inkwizytora, że zgadł. Z jakiego innego powodu rycerz mógł żywić urazę do bankiera?

— Nie mnie — odpowiedział naiwnie zapytany.

— Ach, nie was? To może waszego ojca? Genis wbił wzrok w posadzkę.

— Skłamałście, chcąc posłużyć się Świętą Inkwizycją. Złożyliście fałszywe zeznania, by się zemścić!

Złowrogie pokrzykiwania inkwizytora wyrwały z zamyślenia Jaume.

— Ale on spalił zwłoki ojca — obstawał przy swoim Genis ledwie słyszalnym głosem.

Eimeric odegnał nieistniejącą muchę. Co ma z nimi zrobić? Uwięzić i osądzić? To dolałoby tylko oliwy do ognia, ożywiło spór, o którym lepiej jak najszybciej zapomnieć.

— Zgłosicie się do sekretarza Świętej Inkwizycji i odwołacie swoje zeznania, bo jeśli nie... Czy mam mówić dalej?! — wrzasnął, nie mogąc doczekać się reakcji. Dopiero wtedy Jaume i Genis przytaknęli. — Inkwizycja nie będzie nikogo sądzić na podstawie fałszywych zeznań. A teraz żegnam. — Skinął na oficera.

— Poprzy sięgleś Estanyolowi zemstę, dałeś słowo honoru — wypomniał przyjacielowi Genis w drodze do wyjścia.

Nicolau Eimeric usłyszał słowa rycerza, jak również odpowiedź Jaume:

— Pan Navarcles zawsze dotrzymuje słowa.

Wielki inkwizytor przymknął powieki. Miał tego szczerze dość. Wypuścił na wolność podsądnego. Kazał świadkom wycofać oskarżenie. Wdał się w pertraktację z jakimś... pizańczykiem. Bóg wie z kim! A jeśli Jaume de Bellera spełni swą groźbę, zanim inkwizycja dostanie obiecane piętnaście tysięcy funtów? Czy wtedy Maur dotrzyma obietnicy? Należało załatwić tę sprawę raz, a dobrze.

— Ale teraz — ryknął w ślad za wychodzącymi — pan Navarcles nie dotrzyma słowa!

Odwrócili się jak na komendę.

— Co to ma znaczyć?! — krzyknął Jaume de Bellera.

— Święta Inkwizycja nie dopuści, by... — Eimeric machnął pogardliwie ręką — osoby świeckie kwestionowały wyroki jej trybunału i kpiły sobie z boskiej sprawiedliwości. Nie będzie żadnej zemsty! Zrozumiano, panie Navarcles? W przeciwnym razie będę zmuszony uznać was za osobę opętaną przez diabła i marnie skończycie. Czy tym was przekonałem?

— Ale przy sięga... — zająknął się baron.

— W imieniu Świętej Inkwizycji zwalniam was z przysięgi. — Jaume de Bellera skinął w końcu głową. — A wy — inkwizytor zwrócił się do Genisa Puiga — nie ważcie się ingerować w boskie wyroki i mścić się na własną rękę. Czy wyrażam się jasno?

Genis Puig również przytaknął.

Feluka — mała, dziesięciometrowa łódź wyposażona w żagiel laciński — schroniła się u wybrzeży regionu Garraf, w zacisznej zatoczce dostępnej tylko od morza i niewidocznej z przepływających w pobliżu okrętów.

Tylko chatka sklecona przez rybaków z desek wypluwanych przez morze zakłócała monotony

krajobraz złożony ze skał i szarych kamyków, które przekomarzały się ze słońcem, próbując odbić jego promienie i ciepło.

Wraz z pękatą sakiewką kapitan feluki dostał od Guillem'a wyraźne polecenie: „Zostawisz Arnaua z którymś z twoich najbardziej zaufanych ludzi oraz z wystarczającą ilością prowiantu i wody. Potem możesz zająć się swoimi sprawami. Nie oddalaj się jednak zbyt daleko i co dwa dni zawiadaj do Barcelony po dalsze rozkazy. Gdy operacja dobiegnie końca, otrzymasz więcej pieniędzy”, obiecał Guillem, by zapewnić sobie jego lojalność, choć nie było to konieczne, bo ludzie morza cenili Arnaua, którego uważali za sprawiedliwego konsula. Mimo to kapitan nie wzgardził brzęczącą nagrodą. Maur nie wspomniał jednak o Mar, ta natomiast ani myślała dzielić się z kimkolwiek opieką nad Arnauem.

— Sama sobie poradzę — zapewniła, gdy wysiedli z łodzi i ułożyli Arnaua w chatce.

— Ale pizańczyk... — zaczął tłumaczyć kapitan.

— Przekaż mu, że zajęłam się Arnauem. Jeśli będzie kręcił nosem, wrócisz z marynarzem.

Determinacja pobrzmiwająca w jej głosie zupełnie nie pasowała do niewiasty. Kapitan zerknął na nią i próbował jeszcze oponować.

— No, idź już — rozkazała Mar.

Gdy feluka znikła za skałami osłaniającymi zatokę, Mar odetchnęła głęboko i spojrzała w niebo. Jakże często nie pozwalała sobie nawet marzyć o tej chwili. Ile razy, mając przed oczami wspomnienie ukochanego mężczyzny, próbowała sobie tłumaczyć, że nie jest jej przeznaczony. A teraz... Spojrzała na chatkę. Arnau nadal spał. W czasie podróży upewniła się, że nie ma gorączki i nie jest ranny. Usiadła przy burcie, skrzyżowała nogi i ułożyła na nich jego głowę.

Kilkakrotnie rozchyłał powieki, by na nią spojrzeć, po czym znów je przymykał, uśmiechając się błogo. Wzięła jego rękę i ścisła ją, ilekroć na nią patrzył, a wtedy Arnau znów zasypiał, wyraźnie uspokojony. Sytuacja powtarzała się raz po raz, jakby Arnau chciał się upewnić, że nie śni, że Mar naprawdę przy nim jest. A teraz... Mar wróciła do chatki i usiadła obok niego.

Przez dwa dni wędrował po Barcelonie, wspominając miejsca, w których spędził prawie całe życie. Stolica Katalonii niewiele zmieniła się podczas jego pięcioletniej nieobecności. Mimo

krzyżu, w mieście wrzało jak zwykle. Barcelona nadal była bezbronna od strony morza, chroniona tylko przez tasques — piaszczyste mielizny, na których Arnau osadził kiedyś swój okręt wielorybiczny, by odciąć flocie wojennej Piotra Okrutnego dostęp do stolicy. Mimo to na rozkaz króla wznoszono nowe mury, mające chronić miasto od zachodu. Nie przerywano również prac przy królewskiej stoczni. Do czasu ich zakończenia okręty naprawiano i budowano w starych dokach na plaży, naprzeciwko wieży Regomir. Już z daleka dobiegła Guillem'a ostra woń dziegciu, który po wymieszaniu z pakulami służył robotnikom do uszczelniania okrętów. Maur przyjrzał się zapracowanym cieślom portowym, rzemieślnikom wyrabiającym wiosła oraz kowalom i powroźnikom. Przed laty towarzyszył Arnauowi, gdy jako konsul morski przychodził nadzorować pracę tych ostatnich, by upewnić się, że do powrozów przeznaczanych na liny okrętowe i takielunek nie dodawano starych włókien konopnych. Przechadzali się wtedy między statkami, oprowadzani przez portowych cieślów. Sprawdziwszy jakość powrozów, Arnau podchodził zawsze do robotników uszczelniających statki, po czym odprawiał swych przewodników, chcąc rozmówić się z nimi na osobności.

„Bezpieczeństwo statków zależy właśnie od nich, dlatego prawo nie pozwala im pracować na akord”, wyjaśnił Guillemowi. Zwykł z nimi gawędzić, by upewnić się, że żaden z nich, przyci-

śnięty biedą, nie przyjmuje dodatkowych zleceń.

Guillem przyjrzał się jednemu z robotników, który na kolanach oglądał świeżo uszczelnione spojenie. Na ten widok Maur zaniknął oczy, zagryzł wargi i pokręcił głową. Tyle razem przeszli, walczyli o dobro miasta, a teraz Arnau ukrywa się w małej zatoce, czekając na wyrok inkwizycji. Ach, ci chrześcijanie! Przynajmniej ma przy sobie Mar, swój skarb... Gdy kapitan feluki zjawił się na dziedzińcu, by zdać mu relację z wykonanego zadania, Guillemu bynajmniej nie zdziwiła wzniątka o Mar. Właśnie tego się spodziewał po swojej dziewczynce!

— Powodzenia, ślicznotko — szepnął.

— Słucham?

— Nic, nic. Znakomicie się spisalesz. Możesz wypłynąć w morze, spotkamy się za dwa dni.

Pierwszego dnia Eimeric nie odezwał się do Guillemu. Nazajutrz Maur znów udał się na spacer po Barcelonie. Nie miał ochoty przesiedzieć całego dnia w miasteczku kupieckim, wypatrując posłańców inkwizytora. Niewolnicy mieli go zawiadomić, jeśli ktoś będzie o niego pytał.

Barcelona wyglądała dokładnie tak jak przed laty. Można było po niej chodzić z zamkniętymi oczami, kierując się tylko charakterystycznym zapachem jej poszczególnych dzielnic. Wciąż trwała budowa katedry, podobnie zresztą jak kościołów Santa Maria i Pi, choć prace przy świątyni ludzi morza były znacznie bardziej zaawansowane. Przebudowywano również kościoły Świętej Klary i Świętej Anny. Guillem przystawał przed każdą ze świątyni, by przyjrzeć się pracy cieśli i murarzy. Dobrze, kościoły kościołami, ale co z umocnieniami od strony morza? A port? Konia z rzędem temu, kto zrozumie tych chrześcijan!

— Pytają o was w miasteczku kupieckim — doniósł mu trzeciego dnia zasapany niewolnik.

Już ustąpiłeś, panie inkwizytorze? — zaśmiał się w duchu Guillem i pospieszył za niewolnikiem.

Nicolau Eimeric podpisał wyrok w obecności stojącego przed nim Guillemu. Opatrzywszy dokument pieczęcią, wręczył go Maurowi, który rozwinął pergamin i zaczął czytać.

— Na końcu, na samym końcu — ponaglał go inkwizytor.

Rozkazał sekretarzowi pracować przez całą noc i nie miał ochoty tracić również dnia, czekając, aż niewolny przeczyta dokument od deski do deski.

Guillem zerknął na Eimerica, po czym najspokojniej w świecie zagłębił się w inkwizytorskie wywody. Proszę, proszę, Jaume de Bellera i Genis Puig wycofali zarzuty wobec Arnaua. Ciekawe, jak Eimeric ich do tego zmusił... Zeznania Margaridy Puig zostały podważone, gdy tylko trybunał odkrył, że Arnau Estanyol przyczynił się do bankructwa jej rodziny. A jeśli chodzi o Elionor... Eimeric uznał, że sprzeniewierzyła się chrześcijańskiemu obowiązkowi bezwzględnego oddania i posłuszeństwa wobec męża!

Poza tym Elionor zeznała, że przyłapała męża na publicznym obciskiwaniu Żydówki, jego kochanki, jak twierdziła. Jako świadków tego skandalicznego zachowania wskazała samego wielkiego inkwizytora i biskupa Berenguera d'Erill. Guillem znów spojrzął na Eimerica znad dokumentu — inkwizytor wytrzymał jego wzrok. Nie jest prawdą — dowodził — jakoby oskarżony w chwili opisanej przez donię Elionor obejmował Żydówkę. Ani ja, wielki inkwizytor, ani biskup Berenguer d'Erill, którego podpis widnieje również pod wyrokiem — Guillem zerknął na ostatnią stronę dokumentu, by przyjrzeć się podpisowi i pieczęci biskupa — nie potwierdzamy takowego zdarzenia. Dym, płomień, zgiełk i gwałtowne emocje towarzyszące publicznym egzekucjom — pisał Eimeric — najpewniej nie pozostały bez wpływu na słabą kobiecą naturą, mącą donię Elionor wzrok. A skoro oskarżenie donii Elionor dotyczące związku jej męża z Żydówką są z gruntu fałszy-

we, inne postawione przez nią zarzuty również tracą na wiarygodności.

Guillem uśmiechnął się.

Tak więc na karę zasługuje jedynie to, co czynił Arnau na oczach duchownych z kościoła Santa Maria de la Mar. Sam oskarżony przyznał się do bluźnierstwa, okazał jednak skruchę przed trybunałem, co stanowi główny cel procesu inkwizytorskiego. W związku z powyższym Arnau Estanyol skazany zostaje na konfiskatę mienia oraz publiczny akt skruchy. Przez rok będzie musiał odprawiać we wszystkie niedziele pokutę przed kościołem Santa Maria de la Mar, odziany w strój hańby sambenito.

Przeczytawszy wywody prawne Eimerica, Guillem obejrzał podpisy i pieczęcie wielkiego inkwizytora oraz biskupa. Udało się!

Zwinął dokument i sięgnął za pazuchę, by wyjąć zlecenie wypłaty podpisane przez Abrahama Leviego. Guillem patrzył bez słowa, jak Nicolau Eimeric odczytuje w milczeniu dokument, oznaczający dla Arnaua finansową ruinę, ale jednocześnie wolność i życie. Tak czy owak Guillem nie potrafiłby wytłumaczyć przyjacielowi pochodzenia tych pieniędzy ani dlaczego przez tyle lat je ukrywał.



Arnau przespał cały dzień. O zmroku Mar rozpalila niewielkie ognisko z liści i gałęzi zgromadzonych przez rybaków w chatce. Morze tchnęło spokojem. Mar spojrzała w rozgwieżdżone niebo, a potem skierowała wzrok na urwiste zbocza okalające zatokę. Księżyc zabawiał się z ostrymi graniami, muskając je kapryśnie światłem to tu, to tam.

Rozkoszowała się panującą wokół ciszą i spokojem. Świat przestał istnieć. Nie istniała Barcelona ani inkwizycja, ani nawet Elionor czy Joan. Zostali tylko oni: ona i Arnau.

O północy usłyszała odgłosy dobiegające z chaty. Podniosła się i gdy już miała ruszyć w tym kierunku, w zalanych księżycową poświatą drzwiach stanął Arnau. Zamarli kilka kroków od siebie.

Mar stała między Arnauem i ogniskiem. Płomienie wydobywały z mroku jej sylwetkę, ale twarz tonęła w ciemności. Czy jestem już w niebie? — pomyślał Arnau. W miarę jak jego wzrok przyzwyczajał się do półmroku, odkrywał powoli twarz, o której marzył w najcudowniejszych snach. Najpierw zobaczył lśniące źrenice — ileż nocy przeplakał, tęskniąc za tymi oczami? — potem nos, policzki, podbródek i... usta, ach, te usta... Kobieta wyciągnęła do niego ręce, a wtedy blask ogniska spowił jej sylwetkę wyraźnie zarysowaną pod zwiewnymi szatami, muskając je światłem i cieniem. Przyzywała go.

Arnau pospieszył ku niej. Co się dzieje? Gdzie ja jestem? Czy to naprawdę Mar? Odpowiedź odnalazł w uścisku jej dłoni, w jej uśmiechu, w gorących ustach szukających jego ust.

Mar objęła mocno Arnaua i sen zamienił się w rzeczywistość. „Przytul mnie”, poprosiła. Opasał ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Usłyszał, że płacze. Poczł, jak drży od szlochu. Pogłaskał ją po głowie i zaczął delikatnie kołysać. Ile lat musiało upłynąć, by mógł rozkoszować się tą chwilą? Ile błędów popełnił w tym czasie?

Podniósł głowę Mar ze swego ramienia i spojrzał jej w oczy.

— Wybacz mi — wyszeptał. — Wybacz, że oddałem cię...

— Ciii... — przerwała mu. — Przeszłość nie istnieje. Nie muszę ci niczego wybaczać. Za-

cznijmy nowe życie. Spójrz na morze. — Odsunęła się od niego i wzięła go za rękę. — Morza nie obchodzi przeszłość. Po prostu jest. Nie domaga się wyjaśnień. Podobnie jak gwiazdy i księżyc. One również są i przyświecają nam, błyszczą dla nas. Nie obchodzi ich to, co się zdarzyło. Dotrzymują nam towarzystwa i tylko dlatego są szczęśliwe. Widzisz, jak lśnią, jak migoczą nad naszymi głowami? Migotałyby, gdyby obchodziła je nasza przeszłość? Gdyby Bóg chciał nas ukarać, zesłałby teraz sztorm. Jesteśmy sami, tylko ty i ja — bez przeszłości, bez wspomnień, bez winnych, bez niczego, co stanęłoby na drodze naszej... miłości.

Arnau wpatrywał się przez jakiś czas w niebo, a potem przeniósł wzrok na morze, na małe fale, które łagodnie obmywały plażę, nie rozbijając się o nią. Popatrzył na osłaniającą ich skalną ścianę, a potem zakrył się w milczeniu.

Spojrzał na Mar, nie puszcżając jej ręki. Musi jej o czymś powiedzieć, o czymś przykrym: o obietnicy, którą złożył Madonnie po śmierci pierwszej żony, o obietnicy, której musi dotrzymać. Wyznał prawdę szeptem, patrząc Mar w oczy. Gdy skończył, westchnęła.

— Wiem jedno, Arnau. Wiem, że już nigdy cię nie opuszczę. Chcę być z tobą, blisko ciebie... nic więcej mnie nie obchodzi.

Piątego dnia o świcie do zatoczki wpłynęła feluka, z której wysiadł tylko Guillem. Cała trójka spotkała się na brzegu. Mar odsunęła się nieco i dwaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Boże! — załkał Arnau.

— O czym Bogu mówisz? — zapytał wzruszony Guillem, odsuwając się od Arnaua i pokazując w uśmiechu białe zęby.

— Bogu nas wszystkich — odrzekł Arnau z uśmiechem.

— Chodź no tu, moje kochanie. — Guillem wyciągnął rękę do Mar.

Stała między nimi i objęła ich w pasie.

— Już nie jestem twoim kochaniem — powiedziała figlarnie.

— Zawsze będziesz.

— Tak, zawsze — zgodził się Arnau.

Przeszli objęci w głąb plaży i usiedli przy wygasłym już ognisku.

— Jesteś wolny — oznajmił Guillem i podał Arnauowi dokument.

— Powiedz, co tam napisano — poprosił Arnau, nie chcąc wziąć go do ręki. — Nigdy nie musiałem czytać pism doręczanych przez ciebie.

— Inkwizycja konfiskuje cały twój majątek... — Guillem zerknął na przyjaciela, który przyjął wiadomość zupełnie obojętnie. — Ponadto przez rok będziesz musiał co niedziela odprawiać pokutę ubrany w sambenito przed kościołem Santa Maria. Ale jesteś wolny.

Arnau wyobraził sobie, jak kłęczący przed swą ukochaną świątynią bosi, w długiej, sięgającej do kostek szacie pokutnej z dwoma wymalowanymi krzyżami.

— Powinienem zgadnąć, że mnie z tego wyciągniesz, gdy tylko zobaczyłem cię na sali trybunału. Jednak mój stan...

— Arnau — przerwał mu Guillem — chyba mnie nie słuchałeś. Skonfiskowano twój majątek.

Arnau odpowiedział mu dopiero po chwili:

— Byłem martwy. Eimeric chciał mnie posłać na stos. Zresztą oddałbym wszystko, co mam... co miałem — poprawił się, ściskając rękę Mar — za te ostatnie dni. — Guillem spojrzał na swą ulubienicę. Uśmiechała się promiennie, oczy jej lśniły. Moja mała dziewczynka, powiedział w myślach i również się uśmiechnął. — Pomyślałem sobie...

— Ty zdrajco! — zganiała go Mar, robiąc zabawną minkę. Arnau poklepał ją po dłoni.

— Coś mi się zdaje, że drogo cię kosztowało przekonanie księcia, by nie występował przeciwko oddziałom *host*.

Guillem przytaknął.

— Dziękuję — powiedział Arnau. Przez chwilę patrzyli na siebie.

— No, dobrze — Arnau zdecydował się przerwać ten szczególny moment. — A teraz opowiadaj o sobie. Co się z tobą działo przez ostatnie lata?

Dali znak kapitanowi feluki, by podpłynął do plaży, i gdy słońce stało już wysoko, wszyscy trzej skierowali się ku łodzi. Arnau i Guillem weszli na pokład.

— Zaczekajcie jeszcze chwileczkę — poprosiła Mar. Odwróciła się i spojrzała na chatkę. Co ją teraz czeka?

Pokuta Arnaua, Elionor... Spuściła wzrok.

— Nią się nie przejmuj — pocieszał ją Arnau, głaszcząc po włosach. — Nie mamy już pieniędzy, więc da nam spokój. Pałac przy ulicy Montcada należy teraz do inkwizycji, więc będzie musiała przeprowadzić się do Montbui. Został jej tylko zamek.

— Zamek — szepnęła Mar. — Czy inkwizycja go nie przejmie?

— Nie. Zamek i tamtejsze posiadłości Elionor otrzymała w posagu od króla. Inkwizycja nie może ich skonfiskować, bo nie wchodzi w skład mojego majątku.

— Szkoda biednych chłopów — westchnęła Mar, wspominając dzień, kiedy Arnau zniósł niesprawiedliwe przywileje.

Nikt nie napomknął o Mataró, o posiadłości Felipa de Ponts.

— Jakoś sobie poradzimy... — próbował ją pocieszać Arnau.

— O czym ty mówisz? — wszedł mu w słowo Guillem. — Przecież macie tyle pieniędzy, ile tylko sobie zażyczycie. Jeśli chcecie, możemy odkupić pałac na ulicy Montcada.

— To twoje pieniądze — pokręcił głową Arnau.

— To nasze pieniądze. Posłuchajcie — Guillem zwrócił się do obojga — nie mam na świecie nikogo oprócz was. Co zrobię z majątkiem, którego dorobiłem się dzięki twojej hojności? — spojrzał na przyjaciela. — Wszystko, co moje, należy również do was.

— Nie, nie — Arnau obstawał przy swoim.

— Jesteście moją rodziną: moja mała dziewczynka i ty, który... podarowałeś mi wolność i bogactwo. Czy to znaczy, że nie chcecie mnie przyjąć na członka rodziny?

Mar wyciągnęła rękę do Guillega.

— Nie... Nie to miałem na myśli... Ależ oczywiście, że... — wyjąkał Arnau.

— W takim razie musicie przyjąć również moje pieniądze — przerwał mu znowu Maur. — Chyba że wolisz, bym oddał je inkwizycji...

Arnau skwitował jego słowa uśmiechem.

— I mam wielkie plany na przyszłość — dodał Guillem. Mar nadal patrzyła na plażę. Nie próbowała otrzeć płynącej po policzku łzy, która w końcu stoczyła się do jej warg i znikła w kąciku ust. Jadą poddać się niesprawiedliwemu wyrokowi. Wracają do Barcelony, do inkwizycji i do Joana, który zdradził własnego brata... Oraz do żony, którą Arnau pogardza, ale na którą jest skazany.



59

Guillem wynajął dom w dzielnicy Ribera. Choć stronił od przepychu, dom był na tyle przestronny i wygodny, by zaspokoić potrzeby ich trojga. Guillem dopilnował wszystkiego, pomyślał również o pokoju dla Joana. Arnau zszedł na ląd w porcie, gdzie został serdecznie przyjęty przez ludzi morza. Kilku kupców, którzy nadzorowali załadunek towarów lub przechodzili akurat obok giełdy, pozdrowiło go skinieniem głowy.

— Widać, że nie jestem już bogaty — rzucił do Guillega. Odpowiadała na pozdrowienia, nie przystając.

— Wiadomości szybko się rozchodzą — przyznał Maur. Arnau chciał najpierw udać się do kościoła Santa Maria, żeby podziękować Madonnie za uwolnienie. Wciąż miał w pamięci unoszącą się nad tłumem figurkę. Jednak po drodze musieli się zatrzymać na rogu ulic Canvis Vells i Canvis Nous. Drzwi i okna jego byłego kantoru były otwarte na oścież. Grupka gapiów rozstąpiła się na jego widok. Nie weszli do środka. Rozpoznali meble i sprzęty pakowane właśnie przez żołnierzy inkwizycji na wóz stojący przed domem. Zobaczyli długi stół, wystający z wozu i przy mocowany do niego powrozami, czerwony obrus, nożyce do cięcia fałszywych monet, liczydło, skrzynie...

Zauważywszy mnicha w czerni spisującego dobytek, Arnau od razu zapomniał o sprzętach. Dominikanin wbił w niego wzrok, pióro zamarło mu w dłoni. Arnau wpatrywał się w dobrze mu znane źrenice, które niedawno świdrowały go zza stołu podczas przesłuchań.

— Sępy — mruknął.

To był jego dobytek, jego przeszłość, jego radości i troski. Nie sądził, że będzie musiał przyglądać się grabieniu własnego domu... Nigdy nie przywiązywał wagi do przedmiotów, ale to było przecież całe jego życie.

Mar czuła, że poci mu się ręka.

Za ich plecami ktoś zaczął szydzić z mnicha. Żołnierze natychmiast sięgnęli po broń. Z wnętrza domu wybiegli natychmiast trzej inni strażnicy z mieczami.

— Nie zniosą kolejnego poniżenia — mruknął Guillem, odciągając Mar i Arnaua.

Żołnierze ruszyli na grupką ciekawskich, którzy rozpierzchli się i rzucili do ucieczki. Guillem prowadził Arnaua, który zerkał raz po raz za siebie, nie mogąc oderwać oczu od wozu.

Musieli odłożyć wizytę w kościele Santa Maria, bo aż tam dotarli żołnierze inkwizycji. Troje przyjaciół okrążyło świątynię, weszło na plac Born i skierowało się do swego nowego domu.

Więść o powrocie Arnaua obiegła miasto. Pierwsi złożyli mu wizytę *massatges* z konsulatu. Oficer nie miał odwagi spojrzeć Arnauowi w oczy. Zwracając się do niego, używał należącego konsulowi tytułu „wielce czcigodny”, mimo iż wręczył mu pismo podpisane przez Radę Stu, odwołujące go ze stanowiska. Arnau przeczytał dokument, po czym wyciągnął dłoń do oficera, który tym razem podniósł wzrok.

— Praca z wami była prawdziwym zaszczytem — powiedział.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odrzekł Arnau. — Nie chcę biedaka na konsula — rzucił do Guillega i Mar po wyjściu posłańców.

— O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać — zagadnął Guillem.

Ale Arnau pokręcił głową. Jeszcze nie teraz.

Wielu gości odwiedziło ich w nowym domu. Niektórych, jak chociażby cechmistrza *bastaxos*, Arnau przyjął osobiście, inni, mniej znaczący, przekazywali życzenia i powinszowania przez służących.

Na drugi dzień zjawił się Joan. Odkąd usłyszał o powrocie Arnaua, nie przestawał się zastanawiać, czy Mar wyjawiała mu prawdę. Nie mogąc dłużej znieść niepewności, postanowił zmierzyć się z własnym lękiem i odwiedzić brata.

Na jego widok Arnau i Guillem wstali od stołu. Natomiast Mar nie ruszyła się z miejsca. Arnauowi znów zabrzmiały w uszach słowa wielkiego inkwizytora: „Spaliłeś zwłoki ojca!”. Aż do tej chwili odpędzał od siebie to wspomnienie.

Joan powiedział coś cicho, po czym ruszył ze spuszczoną głową ku bratu.

Arnau przyknął oczy. Przychodzi prosić o wybaczenie. Jak jego własny brat mógł...

— Jak mogłeś? — rzucił, gdy Joan stanął przed nim. Joan drgnął i przeniósł wzrok ze stóp Arnaua na Mar. Czy nie wystarczająco go już ukarała? Czy musiała jeszcze mówić Arnauowi... Jednak Mar była wyraźnie zaskoczona.

— Po co przyszedłeś? — zapytał chłodno Arnau. Joan szukał rozpaczliwie jakiejś wymówki.

— Trzeba zapłacić za zajazd... — usłyszał własny głos. Arnau machnął ręką i odwrócił się do niego plecami. Guillem przywołał służącego i podał mu sakiewkę.

— Pójdiesz z mnichem zapłacić za zajazd — polecił. Joan poszukał współczucia u Maura, ale ten nie kiwnął nawet palcem w jego obronę, więc dominikanin skierował się do wyjścia i zniknął za progiem.

— Co między wami zaszło? — zapytała Mar, gdy Joan wyszedł.

Arnau milczał. Powinien wyznać im prawdę? Powiedzieć, że spalił zwłoki własnego ojca i że brat doniósł na niego inkwizycji? Tylko on o tym wie.

— Zapomnijmy o przeszłości — rzekł po chwili. — Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

Mar zamysliła się, a potem skinęła powoli głową.

Joan opuścił dom w ślad za niewolnikiem, który musiał się co rusz oglądać i ponaglać dominikanina, bo mnich przystawał na środku ulicy, błądząc wokół niewidzącym wzrokiem. Szli do zajazdu znaną młodemu słudze drogą wiodącą do miasteczka kupieckiego.

Jednak na ulicy Montcada niewolnik nie zdołał już przekonać Joana, by szedł za nim. Mnich stał

jak zakłęty przed dawnym pałacem Arnaua.

— Idź do zajazdu — powiedział. — Ja muszę wyrównać inne rachunki.

Stary Pere wpuścił go do pałacu. Od przekroczenia progu mnich nie przestawał mamrotać pod nosem tego samego zdania. Zaczął je powtarzać coraz głośniejszym głosem, wchodząc po kamiennych schodach za Perem, który oglądał się na niego niepewnie. Stanąwszy przed Elionor, wypluł jej grzmącym głosem, jeszcze zanim jego szwagierka zdążyła się odezwać:

— Wiem, żeś zgrzeszyła!

Baronowa, która przyjęła dominikanina w salonie, zmroziła go wyniosłym spojrzeniem.

— Co ty bredzisz, mnichu? — parsknęła.

— Wiem, żeś zgrzeszyła!

Elionor zaśmiała się cynicznie i odwróciła plecami. Joan powiódł wzrokiem po jej sukni z brokatu. Mar wiele wycierpiała. On też Arnau... Arnau zaś cierpiał najbardziej. Elionor nadal się śmiała.

— Za kogo ty się uważasz, mnichu?

— Jestem inkwizytorem Świętej Inkwizycji — odparł Joan. — A w twoim przypadku nie potrzebuję nawet spowiedzi.

Chłód wionący z jego słów sprawił, że Elionor się odwróciła. Mnich trzymał w ręku lampkę oliwną.

— Co...?

Nie dał jej dokończyć. Cisnął w nią kaganek Kosztowne szaty natychmiast nasiąkły oliwą i zapaliły się.

Elionor zawyla.

Gdy stary sługa przybiegł jej na pomoc, zwołując po drodze pozostałych niewolników, Elionor zamieniła się w żywą pochodnię. Gdy Joan zobaczył, że Pere zrywa ze ściany kobierzec, by ugasić nim swą panią, odepchnął go brutalnie. Jednak na progu pojawili się już pozostali niewolnicy, którzy patrzyli na tę scenę wytrzeszczonymi oczami.

Ktoś zaczął biec po wodę.

Joan spojrział na Elionor, która osunęła się na kolana, cała w płomieniach.

— Panie, przebacz mi — jęknął.

Poszukał wzrokiem innego kaganka. Chwycił go i zbliżył się do Elionor. Ogień zaczął natychmiast lizać dół jego habitu.

— Żałuj za swe winy! — krzyknął, zanim otoczyły go płomienie.

Rzucił kagankiem w Elionor, a potem ukląkł przy niej.

Dywan pod nimi stanął w płomieniach, zajęły się również meble.

Gdy niewolnicy przybiegli wreszcie z wiadrami, chlusnęli tyłko wodą, stojąc w progu i uciekli, zaslaniając nosy i usta, by nie udusić się gęstym dymem.



60

*Święto Wniebowzięcia,
kościół Santa Maria de la Mar,
Barcelona,
15 sierpnia 1384 roku*

Uplęnęło szesnaście lat.

Arnau stał na placu Santa Maria. Spojrzał w niebo. Nad Barceloną unosił się głos dzwonów jego kościoła. Słuchał ich z gęsią skórką, bicie tych czterech dzwonów przyprawiało go o dreszcze. Widział, jak wciągano je na linach, kusiło go nawet, by podejść do młodych robotników i im pomóc. A teraz słuchał, jak dzwonią wszystkie cztery: największy, Assumpta, ważący osiemset siedemdziesiąt pięć kilogramów; nieco mniejszy, sześćsetpięćdziesięciokilowy, Conventual; średni, bo dwustukilogramowy, Andrea, oraz najmniejszy z nich, Vedada, zawieszony na samej górze.

Dziś konsekrowano świątynię Santa Maria de la Mar i dzwony zdawały się bić inaczej niż zwykle. A może to on słuchał ich w inny sposób... Spojrzał na ośmioboczne wieże podpierające z obu stron główną fasadę kościoła — wysoke, strzeliste, lekkie, złożone z trzech części zwężających się ku górze, patrzące na cztery strony świata ostrołukowymi oknami, obramowane na każdym poziomie i zwieńczone płaskim tarasem.

Podczas ich budowy powiedziano Arnauowi, że będą proste, pozbawione iglic i hełmów. Naturalne jak morze, którego patronki strzegły, a jednocześnie, pomyślał przyglądający się im, wspinała i olśniewająca, właśnie takie jak morze.

Odświętnie ubrani mieszkańcy miasta ścigali do kościoła Santa Maria. Niektórzy od razu wchodzili do środka, inni, jak Arnau, woleli postać chwilę na zewnątrz, podziwiając piękną fasadę i chłonąc głos dzwonów. Arnau jedną ręką przytulił Mar. Po jego lewej stronie stał trzyastoletni chłopiec ze znamięm nad prawym okiem, nie mniej wzruszony niż jego ojciec.

Przy wtórce dzwonów Arnau wszedł do świątyni z żoną i synem. Tłum rozstąpił się i przepuścił

ich w drzwiach. Był to bowiem kościół Arnaua Estanyola, który jeszcze jako *bastair* przydzwigał tu na plecach pierwsze kamienie, a następnie hojnie wspierał budowę jako bankier i konsul oraz potem, gdy poświęcił się ubezpieczeniom morskim. Jednak nieszczęścia nie omijały świątyni. 28 lutego 1373 roku trzęsienie ziemi, które nawiedziło Barcelonę, zniszczyło dzwonnice. Arnau pierwszy pomógł w jej odbudowie.

— Potrzebuję pieniędzy — powiedział wówczas Guillemowi.

— Są twoje — odparł Maur, świadomy rozmiarów katastrofy oraz faktu, że tego samego ranka Arnaua odwiedził członek kościelnej rady budowlanej.

Fortuna znowu się do nich uśmiechnęła. Za radą Guillem Arnau zajął się ubezpieczeniami morskimi. Katalonia — pozbawiona stosownych przepisów, w przeciwieństwie do Genui, Wenecji czy Pizy — była rajem dla tych, którzy zajęli się tą działalnością, ale tylko rozważni kupcy, tacy jak Arnau i Guillem, zdołali utrzymać się na powierzchni. System finansowy księstwa katalońskiego walił się, pociągając za sobą osoby liczące na szybki zysk. Niektóre z nich ubezpieczały ładunek znacznie powyżej jego wartości, a potem dziwiły się, że słuch po nim zagał. Inne ubezpieczały statek mimo pogłosek, że wpadł w ręce korsarzy, liczyli bowiem, że wiadomość się nie sprawdzi. Arnau i Guillem rozważnie wybierali ubezpieczane statki i właściwie oceniali ryzyko, dzięki czemu szybko przekonali do nowego interesu szeroką sieć przedstawicieli, z którymi współpracowali jeszcze jako bankierzy.

Dwudziestego szóstego grudnia 1379 roku Arnau nie mógł zapytać Guillem, czy może przeznaczyć kolejną sumę na kościół Santa Maria, ponieważ Maur zmarł nagle rok wcześniej. Arnau znalazł go w ogrodzie: siedział na krześle, zwrócony w stronę Mekki, ku której zwykł się modlić we wszystkich dobrze znanej tajemnicy. Arnau powiadomił osiadłych w Barcelonie Maurów, a ci pod osłoną ciemności zabrali jego ciało.

Owej nocy, 26 grudnia 1379 roku, gwałtowny pożar zniszczył kościół Santa Maria de la Mar. Ogień pochłonął zakrystię, chór, organy, ołtarze oraz całe wnętrze, ocalały jedynie kamienie. Zresztą na nich również płomienie wypaliły swe piętno, niszcząc zdobienia oraz zwornik przedstawiający Alfonsa Lagodnego, ojca króla Piotra, który ufundował płaskorzeźbę.

Piotr Ceremonialny zawrzał gniewem na wieść o zniszczeniu hołdu, jaki oddał swemu rodzicowi, i nakazał rekonstrukcję dzieła. Jednak dla mieszkańców dzielnicy Ribera zakup nowego klucza sklepienia był nie lada wydatkiem, nie mogli więc spełnić kaprysu monarchy. Odbudowa zakrystii, chóru, organów i ołtarzy pochłonęła ogromne sumy, dlatego wykonano z gipsu kopię zniszczonej płaskorzeźby, dokleiono ją do zwornika i pomalowano na czerwono i złoto.

Trzeciego listopada 1383 roku wciągnięto ostatni — położony najbliższej wyjścia — zwornik nawy głównej, na którym wryto godło rady budowlanej świątyni. W ten sposób uczczono wszystkich anonimowych mieszkańców Barcelony, bez których udziału i wsparcia kościół Santa Maria de la Mar nigdy by nie powstał.

Arnau zadarł głowę i spojrzął na klucz sklepienia. Mar i Bernat wzięli z niego przykład, po czym cała trójka uśmiechnęła się i ruszyła w głąb świątyni.

Odkąd zwornik spoczął na rusztowaniu, czekając na mające go podtrzymać żebra sklepienia, Arnau wielokrotnie pokazywał go synowi.

— To nasze godło — powiedział mu pewnego razu. Bernat spojrzął na olbrzymi kamień.

— Ojcze, to godło prostego ludu — odrzekł. — Znamienici mieszczanie, tacy jak ty, mają własne herby wyrzeźbione na łukach i ścianach, w kapticach i... — Arnau podniósł rękę, by coś po-

wiedzieć, ale chłopiec nie dopuścił go do słowa. — Nie masz nawet własnego miejsca na chórze!

— Bo to świątynia prostego ludu, synu. Wiele osób poświęciło się dla niej bez reszty, choć nigdzie nie widnieją ich imiona.

Arnau przypominał sobie chłopca, który przed laty dźwigał skalne bloki z kamieniołomu królewskiego aż na plac budowy.

— Twój ojciec — wtrąciła Mar — własną krwią skropił wiele z tych kamieni. Trudno o lepsze godło.

Bernat spojrział na Arnaua szeroko otwartymi oczami.

— Ja oraz wielu innych. Wielu innych, synu...

Sierpień zawitał nad Morze Śródziemne, sierpień zawitał do Barcelony. Słońce lśniło nad miastem piękniej aniżeli gdziekolwiek indziej na ziemi, bo nim zajrzało przez witrażowe szybki do kościoła Santa Maria de la Mar — by malować kamienie barwami tęczy — morze przesyłało mu odbicie własnego światła. Właśnie dlatego słoneczne promienie padające na miasto były skąpane w wyjątkowym blasku. A wewnątrz świątyni barwne snopy światła, rzucane przez witraże, zlewały się z migotaniem tysięcy świec płonących przed głównym ołtarzem i w bocznych kaplicach. Woń kadzidła unosiła się nad rzeszą wiernych, muzyka organów wypełniała wnętrze o doskonałej akustyce.

Arnau, Mar i Bernat szli w stronę głównego ołtarza. We wspaniałej, otoczonej ośmioma wysmukłymi kolumnami apsydzie stała przed retabulum figurka Madonny od Morza. Za ołtarzem przystrójony beczennymi francuskimi tkaninami pożyczonymi specjalnie na tę okazję przez króla Piotra, który w liście wysłanym z Vilafranca del Penedes nie omieszczał przypomnieć, by zwrócono je natychmiast po uroczystości — biskup Pere de Planella przygotowywał się do mszy konsekracyjnej.

Kościół był wypełniony po brzegi i rodzina Estanyolów nie mogła już iść dalej. Ktoś rozpoznał Arnaua i odsunął się, przepuszczając go do przodu. Arnau podziękował, lecz nie skorzystał z okazji. Tu jest jego miejsce: pośród rodziny i prostych ludzi. Brakowało tylko Guillem'a i... Joana. Arnau wolał wspominać brata z czasów, gdy ramię w ramię odkrywali świat, a nie jako zgorzkniałego mnicha, który wydał się na pastwę płomieniom.

Biskup Pere de Planella rozpoczął uroczystość. Serce Arnaua przeszył dziwny niepokój. Guillem, Joan, Maria, ojciec i... staruszka z lochów. Dlaczego, ilekroć myśli o ludziach, którzy bezpowrotnie odeszli, przypomina sobie tę kobietę? Poprosił kiedyś Guillem'a, by odnalazł ją oraz Aledis.

— Przepadły bez wieści — powiadomił go po jakimś czasie Maur.

— Inkwizytor powiedział, że to moja matka. Szukaj dalej.

— Jak kamień w wodę — skwitował ostatecznie Guillem.

— Ale...

— Zapomnij o nich — rada Maura zabrzmiała jak rozkaz. Msza trwała.

Arnau miał sześćdziesiąt trzy lata i był zmęczony. Wsparł się na synu.

Bernat serdecznie uściśnął rękę ojca. Arnau kazał chłopcu przysunąć ucho do swych ust i wskazał główny ołtarz.

— Widzisz, synku, jak się uśmiecha?

Od autora

Podczas pisania tej powieści korzystałem z kronik Piotra III, oczywiście dokonując koniecznych zmian, narzuconych przez wymogi fikcji literackiej.

Czytelnik na próżno szukać będzie na mapie Navarcles z zamkiem i posiadłościami wielmoży de Bellera. Istniały natomiast baronaty Granollers, San Vicenc dels Horts i Caldes de Montbui, które w powieści Piotr Ceremonialny przekazał Arnauowi wraz z ręką swej wychowawicy Elinor, postaci stworzonej przez autora. W rzeczy wistości posiadłości te w roku 1380 zostały podarowane przez księcia Marcina, syna Piotra Ceremonialnego, Guillemowi Ramonowi de Montcada — należącemu do sy cylijskiej gałęzi rodu Montcada — za pomoc w skojarzeniu małżeństwa królowej Marii i jednego z synów, księcia Marcina, który przeszedł do historii jako król Marcin Ludzki. Jednak wspomniane włości należały do Guillemu Ramona de Montcada znacznie krócej niż do bohatera powieści. Zaraz po ich otrzymaniu odsprzedał je bowiem hrabiemu d'Urgell, a za uzyskane pieniądze wyposażył floty iłę statków i oddał się piractwu.

Prawo do spędzenia nocy poślubnej z oblubienicą poddanego stanowiło jeden z przywilejów przysługujących panom feudalnym na mocy katalońskiego kodeksu Usatges. Owe niesprawiedliwe przywileje obowiązywały wyłącznie w Starej — nie w Nowej — Katalonii i były zarzewiem ciągłych buntów chłopskich, które trwały aż do ich całkowitego zniesienia wyrokiem arbitrażowym wydanym w Guadalupe w roku 1486. Oczywiście nie obeszło się bez słonego odszkodowania wypłaconego panom feudalnym.

Opisany w powieści wyrok, skazujący wiarołomną żonę na spędzenie reszty życia o chlebie i wodzie w izbie bez drzwi, został rzeczywiście wydany w 1330 roku przez króla Alfonsa III przeciwko niejakej Eulalii, żonie Juana Doski.

Autor nie podziela przytoczonych w powieści opinii o kobietach i chłopach. Najczęściej są to dosłowne cytaty z dzieła *Lo crestid*, napisanego około roku 1381 przez mnicha Francesca Eiximenisa.

W średniowiecznej Katalonii prawo *Si quis virginem*, na które powołuje się rycerz de Ponts, pozwalało porywaczom pojąć za żonę swą ofiarę. Na pozostałym terytorium ówczesnej Hiszpanii obowiązywały natomiast zabraniające tego procederu prawa gockie, zebrane w kodeksie *Fuero Juzgo*.

Porywacz musiał odpowiednio wyposażyć uprowadzoną pannę, ułatwiając jej zamążpójście, lub się z nią ożenić. Jeśli porwana była zamężna, wymierzano wówczas karę za cudzołóstwo.

Nie wiadomo, czy nieudany spisek króla Majorcki, zamierzającego porwać Piotra III, ujawniony przez spowinowaconego z niedosłą ofiarą mnicha — w powieści pomaga mu Joan — rzeczywiście miał miejsce, czy jest tylko wymysłem Piotra Ceremonialnego, który chciał w ten sposób usprawiedliwić proces wszczęty w celu konfiskaty dóbr władcy Majorcki. Prawdopodobny natomiast wydaje się kaprys Jakuba III, który zażądał wybudowania osłoniętego pomostu łączącego królewską galerię zakotwiczoną u wybrzeży Barcelony z klasztorem franciszkanów. Być może właśnie ta niecodzienna zachcianka pobudziła wyobraźnię Piotra Ceremonialnego i zrodziła w nim podejrzenie o spisek opisany w królewskiej kronice.

Na jej kartach Piotr III opisuje również szczegółowo morski atak króla Kastylii Piotra Okrutnego na stolicę Katalonii. Na skutek przyrastania lądu i związanego z nim niszczenia kolejnych

portów, wybrzeże Barcelony było przez wieki wystawione na kaprysy pogody i stanowiło łatwy cel dla ataków nieprzyjaciela. Dopiero w roku 1440, za panowania Alfonsa Wspaniałego, rozpoczęto budowę nowego portu odpowiadającego potrzebom Barcelony.

Piotr III wiernie opisał przebieg pamiętnej bitwy morskiej oraz fakt, że Barcelonę uratował przed Kastylijczykami okręt — według historyka Antonia Capmany'ego był to statek wielorybniczy — który celowo utknął w tasques, przybrzeżnych ławicach piaski, odcinając nieprzyjacielowi drogę do portu. W tym właśnie opisie natrafiamy na jedną z pierwszych wzmianek

O użyciu artylerii — działa zamontowanego na dziobie królewskiej galery — w bitwie morskiej. Krótco potem łodzie do transportu wojsk zamieniły się w olbrzymie, ciężkie okręty wojenne uzbrojone w armaty, rewolucjonizując pojęcie bitwy morskiej. W swej kronice król Piotr III rozpisuje się na temat kpin i szyderstw, którymi oddziały pospolitego ruszenia powitały — z brzegu oraz z pokładu licznych łodzi wypływających na spotkanie najeźdźcy — wojska Piotra Okrutnego i upatruje w nich jeden z głównych powodów (prócz skuteczności działa) odwrotu króla Kastylii.

W tak zwanym pierwszym roku głodu, po zdławieniu buntu na placu Blat, kiedy barcelończycy domagali się od władz miejskich wydania zboża, podżegaczy rzeczywiście postawiono przed sądem i skazano w błyskawicznym procesie na śmierć przez powieszenie. Dla dobra fabuły autor obrał na miejsce egzekucji tenże plac. Natomiast w pełni zgodna w prawdą historyczną jest w tym przypadku wiara władz miejskich, że zwykła przysięga położy kres głodowi w Barcelonie.

Ponadto w 1360 roku rzeczywiście ścięto przed własnym kantorem, mieszcącym się niedaleko dzisiejszego placu Palacio, bankiera F. Castelló, taką karę przewidywało bowiem prawo dla abatu, czyli bankrutów.

Siedem lat później, w roku 1367, po oskarżeniu barcelońskich Żydów o profanację hostii i uwięzieniu ich w synagodze bez wody i jedzenia, trzej członkowie wspólnoty starozakonnej zostali straceni na rozkaz księcia Jana, namiestnika króla Piotra.

Podczas chrześcijańskich świąt Wielkiej Nocy Żydów obowiązywał areszt domowy. W obawie, że mogliby podglądać lub zakłócać wielkanocne procesje, kazano im ponadto ściśle zamknąć drzwi i okna. Mimo to w owych dniach jeszcze bardziej wzrastał zapal fanatyków — i tak już niezwykle pobudzony — dlatego oskarżenia o heretyckie rytuały mnożyły się właśnie w czasie Wielkanocy, której Żydzi nie bez powodu się bali.

Wspólnocie żydowskiej zarzucano najczęściej dwie zbrodnie związane z chrześcijańskim świętem paschalnym: rytualne morderstwa chrześcijan, głównie dzieci (ukrzyżowanie, torturowanie, a także spożywanie krwi i serca ofiary) oraz beczczenie hostii. Gmin wierzył, że Żydzi chcą pognać chrześcijan, powtarzając męki, jakie przed wiekami zadali Chrystusowi.

Pierwszy znany przypadek oskarżenia Żydów o ukrzyżowanie chrześcijańskiego dziecka miał miejsce w roku 1147 w Wurzburgu, w Świętym Cesarstwie Narodu Niemieckiego. Nietrudno się domyślić, że zaślepienie gawiedzi, spragnionej mocnych wrażeń, doprowadziło do pojawienia się podobnych przypadków w całej Europie. Zaledwie rok później, w 1148 roku, ten sam zarzut postawiono żydowskiej wspólnotie z angielskiego miasta Norwich. Zaczęły się mnożyć oskarżenia o rytualne morderstwa, głównie ukrzyżowania, zbiegające się zazwyczaj ze świętami Wielkiej Nocy. Kolejne przypadki odnotowano w Gloucester w 1168 roku, w Fuldzie w 1235, w Lincoln w 1255, w Monachium w 1286... O tym, jak wielka była nienawiść do Żydów i łatwowierność średniowiecznych ludzi, świadczy chociażby przykład żyjącego w XV wieku włoskiego franciszkanina Bernardino da Feltre, który przepowiadał ukrzyżowania dzieci. Pierwsze „proroctwo”

sprawdziło się co do joty i w Trydencie znaleziono zwłoki Simona przybitego do krzyża. Kościół beatyfikował małego męczennika, a mnich przepowiedział kolejne ukrzyżowania w Reggio, Bassano, Mantui. Dopiero w połowie XX wieku Kościół przyznał się do błędu i unieważnił beatyfikację Simona z Trydentu, męczennika nie wiary, lecz fanatyizmu.

Jedną z wypraw *host* Barcelony — miejskich oddziałów pospolitego ruszenia — rzeczywiście wymierzona była przeciwko grodowi Creixell, choć doszło do niej później w powieści, bo dopiero w roku 1369. Obywatele Barcelony chcieli ukarać w ten sposób tamtejszych możnych za przetrzymywanie i utrudnianie wypasu bydła prowadzonego na ubóg do stolicy, gdzie wpuszczano tylko żywe zwierzęta. Właśnie z powodu przetrzymywania stad zwoływano najczęściej pospolite ruszenie mieszkańców Barcelony, gotowych bronić swych przywilejów, zagrożonych przez inne grody i panów feudalnych.

Santa Maria de la Mar jest ponad wszelką wątpliwość jednym z najpiękniejszych kościołów na świecie. Choć monumentalnością nie może się równać z innymi, współczesnymi mu lub późniejszymi sławnymi budowlami sakralnymi, jego wnętrze tchnie urokiem, będącym zasługą architekta Berenguera de Montagut — urokiem kościoła zbudowanego przez prosty lud i dla prostego ludu, kościoła podobnego do katalońskiego dworku: surowego, zacisznego i przytulnego, gdzie główną rolę odgrywa niepowtarzalne śródziemnomorskie światło.

Według znawców wielką zaletą kościoła Santa Maria jest to, że budowano go nieprzerwanie przez pięćdziesiąt pięć lat, dzięki czemu zachowano w nim jeden styl architektoniczny, oraz że oparł się późniejszym modom, unikając poprawek i dodatków. Wszystko to sprawia, że Santa Maria de la Mar stanowi wspaniały przykład gotyku katalońskiego, zwanego również gotykiem szerokim. Zgodnie ze średniowiecznym zwyczajem, troszczącym się o ciągłość posługi religijnej, kościół Santa Maria powstawał dosłownie na poprzedniej świątyni. Architekt Bassegoda Amigó twierdził co prawda, że pierwsza świątynia znajdowała się na rogu ulicy Espasera, natomiast późniejsza, gotycka, powstała po drugiej stronie dzisiejszej ulicy Santa Maria, czyli nieco bardziej na pomoc. Jednak w 1966 roku, podczas prac przy nowym prezbiterium i krypcie, odkryto w podziemiach świątyni nekropolię rzymską, co podważyło teorię Bassegody Amigó. Dziś jego wnuk — architekt i badacz świątyni Santa Maria de la Mar — utrzymuje, że kolejne kościoły stały zawsze na tym samym miejscu, wyrastając na fundamentach swej poprzedniczki. Właśnie na cmentarzu rzymskim, przypadkowo odkrytym w podziemiach kościoła, pochowano najprawdopodobniej patronkę Barcelony, świętą Eulalię, której relikwie król Piotr Ceremonialny przeniósł do katedry.

Opisana w powieści figurka Madonny od Morza znajduje się dzisiaj w głównym ołtarzu, choć początkowo zdobiła tympanon nad wejściem od ulicy Born.

Średniowieczne kroniki nie wspominają o dzwonach kościoła Santa Maria. Pierwsze wzmianki na ten temat pochodzą dopiero z roku 1714, a zawdzięczamy je kastylijskiemu królowi Filipowi V, który po zwycięstwie nad Katalończykami obłożył ich dzwony specjalnym podatkiem za to, że nawoływały katalońskich patriotów do obrony ojczyzny. Zresztą nie tylko Kastylijczycy mieli za złe dzwonom, że wzywają ludność do broni. Sam Piotr Ceremonialny, po stłumieniu powstania w Walencji, rozkazał stracić kilku buntowników przez wlanie im do gardła roztopionego metalu z dzwonu Unión, który wzywał do pospolitego ruszenia.

O znaczeniu kościoła Santa Maria świadczy chociażby opisany w powieści fakt, że król Piotr właśnie na placu przed świątynią — a nie na rynku Błat, przed pałacem naczelnika — prosił

mieszkańców Barcelony o pomoc w wojnie przeciwko Sardynii.

Prości *bastaixos*, nieodpłatnie znoszący bloki skalne na budowę świątyni, stanowią najlepszy przykład poświęcenia, z jakim wierni uczestniczyli w powstawaniu kościoła Santa Maria. Parafia nagrodziła *bastaixos* licznymi przywilejami, a o ich oddaniu Marii świadczą postacie z brązu do dzisiaj zdobiące bramy świątyni, płaskorzeźby w prezbiterium oraz marmurowe kapitele świątyni — wszędzie tam uwieczniono tragarzy portowych.

Żyd Hasdai Crescas jest postacią historyczną, podobnie jak Bernat Estanyol, kapitan almogawarów. Pierwszy z nich został świadomie wybrany przez autora, o drugiej zbieżności zdecydował przypadek. Jednak zawód żydowskiego bankiera oraz opisane w powieści przygody Hasdaia Crescasy to czysta *licentia poetica*.

W roku 1391, siedem lat po konsekracji kościoła Santa Maria — i ponad wiek przed wygnaniem Żydów przez Królów Katolickich — ludność Barcelony napadła na dzielnicę żydowską i wymordowała jej mieszkańców. Nielicznych ocalałych Żydów — między innymi tych, którzy schronili się w klasztorach — zmuszono do porzucenia wiary przodków i przyjęcia chrztu. Gdy po barcelońskim getcie nie pozostał ślad, gdy zburzono żydowskie domy, a bożnice zastąpiono kościołami, król Jan, zaniepokojony pustkami, jakimi począł świecić królewski skarbiec wkrótce po zniknięciu Żydów, próbował skłonić ich do ponownego osiedlenia się w mieście. Był nawet skłonny zwolnić ich początkowo z podatków (póki żydowska wspólnota nie rozrośnie się do dwustu mieszkańców) tudzież z ciążących na nich dotychczas obowiązków wobec monarchy, takich jak przekazywanie łóżek i innych sprzętów na potrzeby dworu odwiedzającego stolicę oraz karmienie lwów i dzikich bestii z królewskiego zwierzyńca. Mimo to Żydzi nie powrócili do Barcelony i w roku 1397 król przyznał miastu przywilej nieposiadania getta.

Wielki inkwizytor Katalonii, Nicolau Eimeric, musiał się schronić w Awinionie pod opiekunictwem skrzydłami papieża, ale po śmierci Piotra Ceremonialnego wrócił i nadal potępiał pisma Ramona Llulla. Gdy w roku 1393 król Jan wypędził go z Katalonii, inkwizytor udał się ponownie na dwór papieski, choć jeszcze w tym samym roku zawiązał do Seu d'Urgell. Król Juan zażądał od tamtejszego biskupa bezwzględного wygnania Eimerica, który i tym razem uciekł do Awinionu. Dopiero po śmierci Jana I jego następcą Marcin Ludzki pozwolił inkwizytorowi dożyć swych dni w rodzinnym mieście, Geronie, gdzie Nicolau Eimeric zmarł w wieku osiemdziesięciu lat. Prawdziwa jest wspomniana w powieści maksyma wielkiego inkwizytora: „kontynuacja, nie powtórzenie”, pozwalająca obejść zakaz wielokrotnych tortur, oraz jego wizja idealnych lochów, które powinny przyspieszyć zgon więźnia.

W przeciwieństwie do Kastylii, gdzie inkwizycja rozpoczęła działalność dopiero w roku 1487 (choć pamięć o jej okrucieństwie przetrwała wieki), w Katalonii trybunały inkwizycyjne — niezależne od kościelnej władzy sądowniczej biskupów — działały prętnie już od 1249 roku. Przyczyn tak wczesnego zaistnienia inkwizycji na ziemiach katalońskich należy upatrywać w pierwotnych zadaniach tej instytucji, a mianowicie w walce z herezją utożsamianą naówczas z katarami zamieszkującymi południe Francji i waldensami Piotra Walda z Lyonu. Ze względu na geograficzne sąsiedztwo oba odłamy chrześcijaństwa, uznawane przez Kościół za hereetyckie, miały swych wyznawców pośród mieszkańców Starej Katalonii. Katarami byli na przykład katalońscy możnowładcy z rejonu Pirenejów: wicehrabia Arnau i jego żona Ermessenda, Ramon, pan Cadi oraz Guillem z Niort, naczelnik hrabiego Nunó Sanca w Cerdagne i Conflent.

Nie bez powodu więc inkwizycja właśnie od Katalonii rozpoczęła swą ponurą karierę na Pół-

wyspie Iberyjskim. Gdy w 1286 roku wytępiono katarów, papież Klemens V nakazał inkwizycji katalońskiej zająć się, za przykładem Francuzów, członkami rozwiązane go zakonu templariuszy. W Katalonii jednak templariusze byli zdecydowanie milej widziani aniżeli po drugiej stronie granicy — gdzie nienawiść króla do rycerzy świątyni miała podłoże głównie ekonomiczne — dlatego na synodzie zwołanym przez metropolitę Tarragony biskupi zgodnie oczyścili templariuszy z zarzutu herezji.

Po templariuszach przyszła kolej na begardów, których nauki również dotarły za Pireneje. Także w tym przypadku nie obeszło się bez wyroków śmierci, zatwierdzonych i wykonanych — jak zwykle — przez władze świeckie. Natomiast w połowie XIV wieku, dokładnie w roku 1348, w związku z pogromami ludności żydowskiej, spowodowanymi szerzącą się w Europie epidemią dżumy, oraz mnożącymi się zarzutami przeciwko Żydom, inkwizycja katalońska — z braku herezyków i innych sekt lub ruchów religijnych — poczęła tropić wyznawców judaizmu.

Dziękuję mojej żonie, Carmen, ponieważ bez niej książka ta nigdy by nie powstała, Pau Perezowi, który poświęcił się mojej powieści nie mniej niż ja sam, instytucji Escola d'Esriptura de l'Ateneu Barcelones za wielki wkład dydaktyczny w dziedzinie literatury, a także mojej agentce Sandrze Brunie i redaktorce Anie Liaras.

Barcelona, listopad 2005

Przypisy

[←1]

Francesc Eiximenis „*Lo Crestià*” („*Chrześcijanin*”).

[←2]

Dla wygody czytelnika zastosowano miary dziesiętne, nieznanne w opisywanych czasach.

[←3]

Księga słów mędrców i filozofów.

[←4]

Kana — dawna miara długości w Katalonii równa 1,5 m.

[←5]

Ambit — w kościołach romańskich przejście obiegające prezbiterium, zwykle na przedłużeniu naw bocznych, oddzielone murem lub arkadami.

[←6]

Przywilej nadany w średniowieczu — obowiązujący do dzisiaj — parafii u Świętych Justa i Pastora w Barcelonie. Pozwala on uznać ostatnią wolę umierającego, wyrażoną ustnie, jeśli świadkowie potwierdzą ją uroczystą przysięgą złożoną przed Najświętszym Sakramentem.

[←7]

Pospolite ruszenie obejmujące wszystkie terytoria Katalonii, bez względu na ich właściciela, w odróżnieniu od *host*, obowiązującego tylko mieszkańców włości królewskich; zwoływane wyłącznie w razie zagrożenia z zewnątrz.

[←8]

Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Mapa

CZĘŚĆ PIERWSZA: SŁUDZY ZIEMI

- o 1
- o 2
- o 3
- o 4
- o 5

CZĘŚĆ DRUGA: SŁUDZY MOŻNYCH

- o 6
- o 7
- o 8
- o 9
- o 10
- o 11
- o 12
- o 13
- o 14
- o 15
- o 16
- o 17
- o 18
- o 19
- o 20

CZĘŚĆ TRZECIA: SŁUDZY NAMIĘTNOŚCI

- o 21
- o 22
- o 23
- o 24
- o 25
- o 26
- o 27
- o 28
- o 29
- o 30
- o 31
- o 32
- o 33

- o 34
- o 35
- o 36
- o 37
- o 38
- o 39
- o 40
- o 41
- o 42
- o 43
- o 44
- o 45

CZĘŚĆ CZWARTA: SŁUDZY PRZEZNACZENIA

- o 46
- o 47
- o 48
- o 49
- o 50
- o 51
- o 52
- o 53
- o 54
- o 55
- o 56
- o 57
- o 58
- o 59
- o 60

Od autora

Przy pisy

